

**ROBIN COOK**

**NAPAD**

**Seizure**

**Przełożył: Norbert Radomski**

**Wydanie oryginalne: 2003**

**Wydanie polskie: 2004**

**TMN**

**DLA AUDREY**

*Jej pamięć osłabła, ale moja nie;  
tak więc dziękuję Ci z całego serca, Mamo,  
za Twoją miłość, oddanie i poświęcenie,  
zwłaszcza podczas pierwszych lat mojego życia...  
teraz ta wdzięczność jest bardziej przejmująca  
i głęboka, bo sam wychowuję zdrowego,  
radosnego i rozkrzychanego trzylatka!*

## **Podziękowania**

Podobnie jak w przypadku wielu innych moich powieści, szczególnie tych, których tematyka wykracza poza moje wykształcenie w dziedzinie chemii, chirurgii i okulistyki, podczas zbierania informacji, obmyślania intrygi i pisania Napadu, którego fabuła obejmuje zagadnienia medycyny, biotechnologii i polityki, korzystałem w znacznym stopniu z erudycji zawodowej, mądrości i doświadczenia swoich przyjaciół oraz przyjaciół swoich przyjaciół. Cały sztab ludzi niezwykle szczerze udostępnił mi swój cenny czas i uwagi. Oto osoby, którym chciałbym wyrazić szczególną wdzięczność (w kolejności alfabetycznej):

Jean Cook, MSW, CAGS: psycholog, wnikliwa czytelniczka, odważny krytyk i nieoceniony papierek lakmusowy dla moich pomysłów.

Joe Cox, doktor praw, LL.M.: utalentowany prawnik podatkowy i miłośnik beletrystyki, doskonale zaznajomiony ze strukturą i finansowaniem przedsiębiorstw, a także kwestiami prawnymi dotyczącymi firm zlokalizowanych w „oazach podatkowych”.

Gerald Doyle, lek. med.: pełen współczucia internista w dawnym stylu, z pierwszorzędną listą kontaktów ze znakomitymi klinicystami.

Orrin Hatch, doktor praw: szanowany senator z Utah, który wspinałomyślnie umożliwił mi poznanie z pierwszej ręki typowego senatorskiego dnia i który uraczył mnie anegdotami z życia zmarłych senatorów, stanowiącymi bogate źródło informacji przy tworzeniu fikcyjnej postaci Ashleya Butlera.

Robert Lanza, lek. med.: człowiek-żywiol, który niezmiernie stara się zasypać przepaść pomiędzy medycyną kliniczną a biotechnologią XXI wieku.

Valerio Manfredi, dr: pełen entuzjazmu włoski archeolog i pisarz, który w swojej życzliwości zapoznał mnie z odpowiednimi ludźmi i zorganizował mój wyjazd do Turynu w celu zebrania informacji na temat fascynującego Całunu Turyńskiego.

## **Prolog**

Poniedziałek 22 lutego 2001 roku był jednym z owych zaskakująco ciepłych zimowych dni, które przedwcześnie ludźmi mieszkańcami atlantyckiego wybrzeża przybyciem wiosny. Słońce świeciło jasno od Maine po najdalsze wysepki Florida Keys, dzięki czemu różnica temperatur w całym pasie nie przekraczała jedenastu stopni Celsjusza. Dla przeważającej większości ludzi żyjących na obszarze tego długiego wybrzeża miał to być normalny, szczęśliwy dzień, jednak dla dwóch szczególnych osób stał się on początkiem serii zdarzeń, które w końcu dramatycznie połączyły ich losy.

### **13.35**

#### **Cambridge, Massachusetts**

Daniel Lowell uniósł wzrok znad trzymanego w dłoni różowego świstka z notatką o telefonie. Dwie rzeczy były w niej niezwykle. Po pierwsze, zadzwonił dr Heinrich Wortheim, dziekan Wydziału Chemii na Uniwersytecie Harvarda, z informacją, że chce widzieć doktora Lowella w swoim gabinecie, a po drugie, w małym kwadraciku z napisem PILNE widniał wyraźny krzyżyk. Doktor Wortheim zawsze komunikował się z podwładnymi listownie i oczekiwał odpowiedzi w takiej samej formie. Jako jeden z czołowych chemików świata, zajmujący prestiżowe i wysoce lukratywne stanowisko szefa wydziału na Harvardzie, obyczajnie miał wybitnie napoleońskie. Rzadko zadawał się osobiście z pospółstwem, do którego zaliczał także Daniela, mimo że był on kierownikiem jednego z instytutów, które podlegały władzy Wortheima.

– Hej, Stephanie! – zawołał Daniel na drugą stronę laboratorium. – Widziałaś tę notatkę na moim biurku? To od cesarza. Chce mnie widzieć w swoim gabinecie.

Stephanie uniosła wzrok znad mikroskopu stereoskopowego, przy którym pracowała, i spojrzała na Daniela.

– To nie brzmi dobrze – oznajmiła.

– Nie mówiłaś mu nic, prawda?

– Jakim cudem mogłabym mu cokolwiek powiedzieć? Widziałam go raptem dwa razy w ciągu całych swoich studiów doktoranckich: na obronie pracy doktorskiej i przy rozdaniu dyplomów.

– On musiał jakoś się dowiedzieć o naszych planach – stwierdził Daniel. – Sądzę, że nie jest to zbyt dziwne, jeśli weźmiemy pod uwagę, do ilu zwracałem się osób, formując nasz naukowy komitet doradczy.

– Pójdiesz?

– Za nic bym tego nie przepuścił.

Niewielki dystans dzielił laboratorium od budynku mieszczącego biura wydziału. Daniel wiedział, że czeka go ciężka rozmowa, ale nie przejmował się tym. Prawdę mówiąc, nie mógł się tego doczekać.

Gdy tylko wszedł, sekretarka gestem skierowała go wprost do sanktuarium Wortheima. Wiekowy noblista siedział za swym antycznym biurkiem. Białe włosy i szczupła twarz sprawiały, że Wortheim wyglądał na więcej niż swoje domniemane siedemdziesiąt dwa lata. Ale wygląd nie ujmował nic z jego władczej osobowości, która emanowała z niego niczym pole magnetyczne.

– Proszę usiąść, doktorze Lowell – odezwał się Wortheim, przyglądając się swemu gościowi sponad drucianych oprawek okularów do czytania. Choć spędził w Stanach Zjednoczonych większą część życia, wciąż mówił z lekkim niemieckim akcentem.

Daniel zrobił, co mu polecono. Wiedział, że po jego twarzy błąka się lekki, niefrasobliwy uśmiech, który na pewno nie uszedł uwagi szefa wydziału. Choć Wortheim przekroczył już siedemdziesiątkę, jego władze umysłowe pozostały równie sprawne jak zawsze i wyczułone na wszelkie uchybienia. A fakt, że Daniel powinien się płaszczyć przed tym dinozaurem, był jednym z powodów, dla których tak stanowczo zdecydował się opuścić uczelnię. Wortheim miał przenikliwy umysł i otrzymał Nagrodę Nobla, ale wciąż tkwił w ubiegłowiecznej nieorganicznej chemii syntetycznej. Teraźniejszość i przyszłość tej dziedziny leżała w chemii organicznej, a ściślej mówiąc, w jej gałęzi badającej białka i kodujące je geny. Przez chwilę dwaj mężczyźni w milczeniu mierzyli się wzrokiem. Ciszę przerwał Wortheim.

– Wnioskuje z pańskiego wyrazu twarzy, że plotki mówią prawdę.

– Czy mógłby pan wyrazić się jaśniej? – zapytał Daniel. Chciał mieć pewność, że jego podejrzenia są słuszne. Nie planował ujawniania swych planów przez następny miesiąc.

– Formuje pan naukowy komitet doradczy – odparł Wortheim. Wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. – Komitet doradczy może oznaczać tylko jedno. – Przystanął i spojrzał na Daniela. – Zamierza pan złożyć rezygnację i założyć pan lub planuje założyć firmę.

– Przyznaję się do winy – oświadczył Daniel. Mimo woli uśmiechnął się od ucha do ucha. Twarz Wortheima oblała się głęboką czerwieńią. Bez wątpienia dla niego cała sytuacja nasuwała na myśl zdradzieckie postępowanie Benedicta Arnolda w czasie wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych.

– Postawiłem na szali własny autorytet, kiedy werbowaliśmy pana – warknął Wortheim. – Urządziliśmy nawet laboratorium, jakiego pan zażądał.

– Nie zabiorę laboratorium ze sobą – odparł Daniel. Nie mógł uwierzyć, że Wortheim próbuje wzbudzić w nim poczucie winy.

– Pańska nonszalancja jest irytująca.

– Mógłbym przeproszać, ale to byłoby nieszczerze.

Wortheim wrócił do biurka.

– Pańskie odejście postawi mnie w trudnej sytuacji wobec rektora.

– Przykro mi z tego powodu – stwierdził Daniel. – Mówię to z całą szczerością. Ale właśnie taka biurokratyczna błazenada jest jednym z powodów, dla których nie będę tęsknił za uczelnią.

– A pozostałe?

– Mam dość poświęcania czasu przeznaczonego na badania na zajęcia ze studentami.

– Pańskie obciążenie zajęciami dydaktycznymi jest jednym z najmniejszych na całym wydziale. Negocjowaliśmy to, kiedy zatrudnialiśmy pana.

– Mimo wszystko odrywa mnie to od badań. Ale i to nie jest najważniejsze. Chcę czerpać korzyści ze swojej pracy twórczej. Zdobywanie nagród i publikowanie artykułów w czasopiśmie naukowych to za mało.

– Marzy się panu sława.

– Przypuszczam, że można i tak to nazwać. A i pieniądze też nie zaszkodzą. Czemu nie? Udaje się to ludziom o połowę mniej zdolnym ode mnie.

– Czytał pan kiedyś Doktora Arrowsmitha Sinclaira Lewisa?

– Rzadko miewam okazję, żeby czytać powieści.

– Może powinien pan znaleźć trochę czasu – podsunął pogardliwie Wortheim. – Mogłoby to skłonić pana do przemyślenia tej decyzji, zanim stanie się nieodwołalna.

– Dobrze już ją przemyślałem – odparł Daniel. – Uważam, że postępuję słusznie.

– Chce pan poznać moje zdanie?

– Sądzę, że już je znam.

– Myślę, że obaj wyjdziemy na tym źle, ale pan najgorzej.

– Dziękuję za słowa zachęty – odparł Daniel. Wstał. – Do zobaczenia na kampusie – dodał i wyszedł z gabinetu.

## 17.15

### Waszyngton

– Dziękuję wam wszystkim, że przyszliście spotkać się ze mną – oświadczył senator Ashley Butler ze swym zwykłym, kordialnym akcentem południowca. Z uśmiechem przyklepionym do nalanej twarzy przywitał się serdecznie z grupą przejętych mężczyzn i

kobiet, którzy zerwali się z miejsc, gdy tylko w towarzystwie asystentki wpadł do małej sali konferencyjnej w biurze senatu. Goście zgromadzili się wokół zajmującego środek sali dębowego stołu. Byli to przedstawiciele zrzeszenia drobnych przedsiębiorców ze stolicy stanu, który Ashley reprezentował, usiłujący przeforsować wprowadzenie ulg podatkowych, czy też może ubezpieczeniowych. Senator nie pamiętał dokładnie, poza tym tego spotkania nie ujęto, tak jak trzeba, w jego rozkładzie dnia. Zanotował w pamięci, żeby wspomnieć o tym niedopatrzeniu kierownicze swego biura. – Przepraszam za spóźnienie – podjął, uściskawszy energicznie dłoń ostatniej osoby. – Cieszyłem się na spotkanie z wami i miałem zamiar przyjść tutaj wcześniej, ale to właśnie jeden z tych dni... – Przewrócił oczami dla podkreślenia swych słów. – Niestety, z powodu godziny i innych palących spraw, nie mogę zostać. Przykro mi, ale jest tu Mike, który się wami zajmie.

Senator z uznaniem poklepał po ramieniu młodego pracownika przydzielonego do spotkania z grupą, wypychając go naprzód, aż jego uda oparły się o blat stołu.

– Mike jest najlepszym z moich ludzi. Wysłucha waszych problemów, po czym mi je streści. Jestem pewien, że możemy wam pomóc, i chcemy wam pomóc.

Znów kilka razy poklepał Mike'a w ramię z pełnym podziwu uśmiechem, niczym dumny ojciec chwalaący syna podczas ceremonii ukończenia szkoły.

Goście chórem podziękowali senatorowi za przybycie, zwłaszcza w tym natłoku zajęć. Na wszystkich twarzach widniały entuzjastyczne uśmiechy. Jeśli nawet byli rozczarowani krótkością spotkania i półgodzinnym oczekiwaniem, nie okazali tego w najmniejszym stopniu.

– Cała przyjemność po mojej stronie – oświadczył Ashley. – Jesteśmy tu po to, by służyć.

Obrócił się na pięcie i ruszył do wyjścia. Przy drzwiach zatrzymał się i pomachał na pożegnanie. Goście odpowiedzieli tym samym gestem.

– To było łatwe – mruknął Ashley do Carol Manning, swej długoletniej asystentki, która wyszła z sali konferencyjnej za swym szefem. – Bałem się, że przygwoźdzą mnie litanią smutnych historii i nierozsądnych żądań.

– Wyglądali na mi na takich, zauważyła wymijająco Carol.

– Myślisz, że Mike poradzi sobie z nimi?

– Nie wiem – odparła Carol. – Nie pracuje z nami na tyle długo, żebym zdążyła wyrobić sobie jakieś zdanie.

Senator kroczył długim korytarzem w stronę swego prywatnego gabinetu. Zerknął na zegarek. Była piąta dwadzieścia po południu.

– Przypuszczam, że pamiętasz, dokąd teraz jedziemy.

– Oczywiście – powiedziała Carol. – Do gabinetu doktora Whitmana.

Senator rzucił jej pełne wyrzutu spojrzenie. Przyłożył palec do warg.

– To nie jest rzecz do publicznej wiadomości – szepnął z rozdrażnieniem.

Nie zwracając najmniejszej uwagi na Dawn Shackelton, kierowniczkę biura, Ashley

chwycił papiery, które wyciągnęła w jego stronę, gdy mijał jej biurko, i wszedł do gabinetu. Dokumenty obejmowały wstępny plan zajęć na następny dzień, wykaz osób, które dzwoniły w czasie, gdy był w stolicy na późnym obowiązkowym głosowaniu, oraz odpis improwowanego wywiadu z jakimś dziennikarzem z CNN, który zaczął go na korytarzu.

– Lepiej pójść po samochód – odezwała się Carol, zerkając na zegarek. – Jesteśmy umówieni z doktorem na szóstą trzydzieści, a nie wiadomo, jaki będzie ruch na drodze.

– Dobry pomysł – przyznał Ashley. Przeszedł za biurko, jednocześnie przeglądając wzrokiem listę telefonów.

– Mam odebrać pana na rogu C i Drugiej?

Ashley jedynie chrząknął na potwierdzenie. Parę telefonów było ważnych, od szefów kilku z jego licznych komitetów wyborczych. Uważał, że zdobywanie funduszy jest najbardziej istotną częścią jego pracy, tym bardziej że czekały go kolejne wybory, przewidziane na listopad następnego roku. Usłyszał, jak drzwi zamykają się za Carol. Po raz pierwszy tego dnia ogarnęła go cisza. Uniósł wzrok. Również po raz pierwszy tego dnia znalazł się sam.

W jednej chwili niepokój, który towarzyszył mu przy przebudzeniu, wybuchnął niczym płomień. Ashley czuł go od dołka aż po czubki palców. Nigdy nie lubił chodzić do lekarza. W dzieciństwie był to po prostu strach przed zastrzykiem albo innym bolesnym czy wstydlivym przeżyciem. Ale z biegiem czasu ów lęk zmienił oblicze, stał się potężniejszy i bardziej dręczący. Wizyta u lekarza stała się niemiłym przypomnieniem własnej śmiertelności i faktu, że nie był już młodzieniaszkiem. Teraz miał wrażenie, jak gdyby samo zjawienie się w gabinecie lekarskim zwiększało ryzyko, że usłyszy jakąś straszliwą diagnozę w rodzaju raka albo, jeszcze gorzej, stwardnienia zanikowego bocznego, znanego także jako choroba Lou Gehriga.

Kilka lat wcześniej jeden z braci Ashleya zaczął się skarżyć na nieokreślone zaburzenia neurologiczne. Rozpoznano u niego stwardnienie zanikowe boczne. Po diagnozie ten potężnie zbudowany i wysportowany człowiek, o wiele większy okaz zdrowia niż Ashley, w szybkim tempie stał się kaleką i parę miesięcy później zmarł. Lekarze byli bezradni.

Ashley machinalnie odłożył dokumenty na biurko i zapatrzył się w dal. Miesiąc temu on także zaczął doświadczać nieokreślonych zaburzeń neurologicznych. Z początku po prostu je lekceważył, przypisując ich pojawienie się napięciom w pracy, wypiciu zbyt wielu filiżanek kawy albo niewyspaniu. Objawy to nasilały się, to słabły, nigdy jednak nie ustępowały do końca. Prawdę mówiąc, zdawały się powoli pogłębiać. Najbardziej niepokojące było sporadyczne drżenie lewej ręki. Aby nikt tego nie zauważył, czasami musiał przytrzymywać ją prawą ręką. Do tego dochodziło wrażenie piasku pod powiekami, które wywoływało żenujące łzawienie. I wreszcie niekiedy pojawiała się też uczucie sztywności, co przysparzało mu fizycznych i psychicznych udręk przy wstawaniu.

Przed tygodniem problem ten skłonił go wreszcie, pomimo przesądnej niechęci, do



zasięgnięcia porady lekarza. Nie udał się do Waltera Reeda ani do Krajowego Centrum Medycznego Marynarki Wojennej w Bethesda. Za bardzo obawiał się, że media wywęszą, że coś jest nie w porządku. Ashley nie potrzebował tego rodzaju rozgłosu. Po niemal trzydziestu latach w senacie stał się potęgą, z którą należało się liczyć, mimo swej reputacji obstrukcjonisty, polityka regularnie przeciwstawiającego się wytycznym własnej partii. Istotnie, swoim konsekwentnym popieraniem rozmaitych fundamentalistycznych i populistycznych kwestii w rodzaju praw stanowych i modlitwy w szkołach, sprzeciwem wobec faworyzowania grup dyskryminowanych i postawą antyaborcyjną skutecznie zaciemnił kurs partii, jednocześnie zdobywając sobie rosnące grono zwolenników w całym kraju. Zbliżające się wybory do senatu nie były problemem dla jego dobrze naoliwionej politycznej maszyny. Tym, co zaprzętało jego uwagę, był wyścig do Białego Domu w roku 2004. Nie życzył sobie, żeby ktokolwiek snuł domysły lub rozpowszechniał plotki na temat stanu jego zdrowia.

Przewyciężywszy swą niechęć do zasięgnięcia opinii lekarza, Ashley zwrócił się do pewnego prywatnego internisty z Virginii, u którego leczył się w przeszłości i którego dyskrecji mógł zaufać. Internista zaś niezwłocznie skierował go do neurologa, doktora Whitmana.

Doktor Whitman unikał jednoznacznych wypowiedzi, choć kiedy Ashley zwierzył mu się ze swych obaw, oświadczył, że wątpi, by w grę wchodziło stwardnienie zanikowe boczne. Przebadał Ashleya dokładnie i wysłał go na kilka specjalistycznych badań, z obrazowaniem techniką rezonansu magnetycznego włącznie, jednak zamiast postawić diagnozę, przepisał mu lekarstwo, by sprawdzić, czy złagodzi ono objawy. Następnie kazał Ashleyowi zgłosić się ponownie za tydzień, gdy będą już znane wyniki wszystkich badań. Powiedział, że zapewne wtedy będzie mógł już stwierdzić coś konkretnego. Tę właśnie wizytę Ashley miał teraz przed sobą.

Senator przeciągnął dłonią po czole. Pojawiły się na nim krople potu, mimo panującego w pokoju chłodu. Czuł, że tętno wali mu jak szalone. A jeśli jednak ma stwardnienie zanikowe boczne? A jeśli ma guza mózgu? Kiedy Ashley był jeszcze senatorem stanowym, na początku lat siedemdziesiątych, jeden z jego kolegów zachorował na guz mózgu. Ashley na próżno starał się przypomnieć sobie objawy. Pamiętał jedynie, że na jego oczach człowiek ten stał się zaledwie cieniem swego dawnego ja, nim umarł.

Drzwi gabinetu uchyliły się lekko i przez szparę wsunęła się starannie uczesana głowa Dawn.

– Carol właśnie zadzwoniła z komórki. Będzie w umówionym miejscu za pięć minut.

Ashley skinął głową i wstał od biurka. Z otuchą stwierdził, że nie sprawiło mu to najmniejszej trudności. Fakt, że lekarstwo, które dostał od doktora Whitmana, najwyraźniej czyniło cuda, był dla niego jedynym jasnym punktem w całej tej sprawie. Niemal wszystkie niepokojące objawy zniknęły, z wyjątkiem lekkiego drżenia dłoni tuż przed zażyciem kolejnej

dawki. Jeżeli problem tak łatwo dawał się pokonać, być może nie warto było aż tak się zamartwiać. A przynajmniej to właśnie usiłował sobie wmówić.

Carol przybyła punktualnie, tak jak się spodziewał. Pracowała dla niego przez szesnaście lat z jego niemal trzydziestoletniej senatorskiej kariery i bez przerwy składała dowody swej wiarygodności, oddania i lojalności. W drodze do Virginii próbowała nawet wykorzystać podróż na omówienie wydarzeń dnia i planów na jutro, szybko jednak zorientowała się, że Ashley myślni jest gdzie indziej, i umilkła, koncentrując się na jeździe w potwornym tłoku.

Im bardziej przybliżali się do gabinetu lekarza, tym bardziej wzrastał się niepokój Ashleja. Kiedy wysiadał z samochodu, jego czoło znów zlane było potem. Z wiekiem nauczył się słuchać intuicji, a teraz jego intuicja dzwoniła na alarm. Z jego mózgiem działo się coś niedobrego, a on wiedział o tym i wiedział, że próbuje temu zaprzeczać.

Na życzenie Ashleja wizyta została wyznaczona po normalnych godzinach przyjęć i w pustej poczekalni panowała grobowa cisza. Jedynym źródłem światła była mała lampka, rzucająca blade jasny krąg na pusty blat recepcji. Ashley i Carol stali przez chwilę, nie wiedząc, co robić. Potem w głębi otworzyły się drzwi, zalewając pomieszczenie ostrym fluorescencyjnym blaskiem, na którego tle ukazała się pozbawiona rysów sylwetka doktora Whitmana.

– Przepraszam za to niegościnne przyjęcie – odezwał się neurolog. – Wszyscy poszli już do domu. – Pstryknął wyłącznikiem na ścianie. Ubrany był w wykrochmalony biały fartuch lekarski. Cały jego sposób bycia tchnął profesjonalizmem.

– Nie ma za co przepraszać – odparł Ashley. – Doceniamy pańską dyskrecję. – Spojrzał uważnie w twarz lekarza, licząc na to, że dostrzeże jakieś złagodzenie wyrazu twarzy, które mógłby zinterpretować jako pomyślny znak. Na próżno.

– Proszę do gabinetu, panie senatorze. – Doktor Whitman gestem zaprosił go do środka. – Pani Manning, zechce pani poczekać tutaj?

Gabinet doktora był wzorem pedantycznego porządku. Umeblowanie składało się z biurka i dwóch krzeseł dla gości. Wszystkie przedmioty na biurku były ułożone równiutko, a książki w regale uporządkowano według wielkości.

Doktor Whitman wskazał senatorowi jedno z krzeseł, po czym sam usiadł za biurkiem. Oparł łokcie na blacie, składając razem czubki palców. Spojrzał na Ashleja. Nastąpiła wymowna cisza.

Ashley nigdy jeszcze nie czuł się tak niezręcznie. Jego niepokój sięgnął szczytu. Większość dorosłego życia spędził na walce o władzę i odniósł w tym sukces przekraczający jego najśmielsze marzenia. A jednak w tej chwili był całkowicie bezradny.

– Kiedy rozmawialiśmy przez telefon, wspomniał pan, że lekarstwo, które panu przepisałem, pomogło – zaczął doktor Whitman.

– Znakomicie! – wykrzyknął Ashley, podniesiony na duchu faktem, że neurolog zaczął od pozytywów. – Niemal wszystkie objawy zniknęły.

Doktor Whitman ze znanstwem pokiwał głową. Wyraz jego twarzy pozostał nieprzenikniony.

– Sądziłem, że to dobra wiadomość.

– To pomaga nam postawić diagnozę – przyznał lekarz.

– Więc... co to jest? – zapytał Ashley po nieprzyjemnej pauzie. – Jak brzmi diagnoza?

– To lekarstwo jest postacią lewodopy – zaczął rzeczowym tonem Whitman. – Organizm może przekształcić ją w dopaminę, która jest substancją spełniającą rolę przekaźnika nerwowego.

Ashley wziął głęboki oddech. Ogarnęła go fala gniewu, grożąca przedostaniem się na powierzchnię. Nie życzył sobie słuchać wykładu, jak gdyby był studentem. Chciał diagnozy. Miał wrażenie, że lekarz drażni się z nim jak kot z zapędzoną w kąt myszą.

– Stracił pan część komórek odpowiedzialnych za wytwarzanie dopaminy – ciągnął Whitman. – Komórki te znajdują się w obszarze mózgu zwanym istotą czarną.

Ashley uniósł dłonie, jakby się poddawał. Przełknął z wysiłkiem ślinę, by powstrzymać cisnące mu się na usta ostre słowa.

– Panie doktorze, przejdźmy do rzeczy. Jaką stawia pan diagnozę?

– Jestem mniej więcej na dziewięćdziesiąt pięć procent pewny, że cierpi pan na chorobę Parkinsona – oświadczył Whitman. Odchylił się na oparcie krzesła, które zatrzeszczało.

Przez chwilę Ashley milczał. Nie wiedział zbyt dużo o chorobie Parkinsona, ale nie brzmiało to dobrze. Przed oczyma stanęły mu nagle obrazy sławnych osób zmagających się z tą chorobą. Jednocześnie jednak ulżyło mu, iż nie usłyszał, że ma guza mózgu albo stwardnienie zamkowe boczne. Odchrząknął.

– Czy to da się wyleczyć? – odważył się zapytać.

– Przy dzisiejszym stanie wiedzy, nie – odparł doktor Whitman. – Ale jak zauważył pan, zażywając lekarstwo, które panu przepisałem, można to opanować na pewien czas.

– Co to oznacza?

– Możemy stosunkowo skutecznie usuwać objawy, być może przez rok, być może dłużej. Niestety, biorąc pod uwagę tempo, w jakim dotychczas nasilały się objawy, przypuszczam, że w pana wypadku leki przestaną być skuteczne szybciej niż u większości pacjentów. Od tego momentu choroba będzie czynić coraz większe spustoszenie. Będziemy musieli po prostu zajmować się każdą dolegliwością w miarę pojawiania się.

– To katastrofa – wymamrotał Ashley. Był zdruzgotany konsekwencjami tego, co usłyszał. Jego największe obawy stawały się rzeczywistością.

## **Rozdział pierwszy**

**18.30, środa, 20 lutego 2002**

**Rok później**

Daniel Lowell miał wrażenie, że taksówka bez powodu zatrzymała się pomiędzy skrzyżowaniami na samym środku M Street, ruchliwej, czteropasmowej arterii w Georgetown, dzielnicy Waszyngtonu. Nigdy nie przepadał za jazdą taksówkami. Uważał za szczyt głupoty powierzać własne życie zupełnie obcemu człowiekowi, którym z reguły był przybysz z odległego kraju Trzeciego Świata, często bardziej zainteresowany rozmową przez telefon komórkowy niż tym, co dzieje się na drodze. Siedzenie w ciemnościach na środku M Street, pomiędzy śmigającymi z obu stron sznurami pojazdów, z kierowcą dyskutującym z przejęciem w nieznanym języku, było tego znakomitym przykładem. Daniel zerknął na Stephanie. Wydawała się odprężona. Uśmiechnęła się do niego w półmroku i czułym gestem ścisnęła jego dłoń.

Dopiero pochyliwszy się do przodu, Daniel spostrzegł zawieszony na wysięgniku sygnalizator świetlny, ułatwiający dość mało widoczny skręt w lewo pomiędzy skrzyżowaniami. Zerknąwszy na drugą stronę ulicy, zauważył podjazd prowadzący do nijakiego, pudełkowatego, ceglanego budynku.

– Czy to jest ten hotel? – zapytał. – Jeśli tak, wygląda nieszczególnie.

– Wstrzymajmy się z oceną, dopóki nie zbierzemy trochę więcej danych – odparła Stephanie żartobliwym tonem.

Światła zmieniły się i taksówka wyrwała naprzód jak koń wyścigowy z bramki. Kierowca trzymał kierownicę tylko jedną ręką, dodając gazu na zakręcie. Daniel zapał się, by siła odśrodkowa nie rzuciła go na drzwi samochodu. Po solidnym podskoku na skrzyżowaniu ulicy i hotelowego podjazdu oraz po kolejnym ostrym skręcie w lewo pod bramą wjazdową, kierowca zahamował na tyle ostro, by pasy bezpieczeństwa Daniela wyraźnie się naprężyły. Chwilę później otworzyły się drzwi taksówki po jego stronie.

– Witamy w hotelu Cztery Pory Roku – pogodnie oświadczył ubrany w liberię

odźwierny. – Zatrzymują się państwo u nas?

Zostawiwszy swój bagaż w rękach odźwiernego, Daniel i Stephanie weszli do holu i skierowali się ku recepcji. Po drodze minęli grupę rzeźb, które mogłyby zdobić salę muzeum sztuki współczesnej. Puszysty dywan tchnął komfortem. Szykownie ubrani ludzie siedzieli rozparci w wyściełanych aksamitnych fotelach.

– Jak ci się udało namówić mnie na ten hotel? – zapytał retorycznie Daniel. – Z zewnątrz wyglądał może nieszczególnie, ale wewnątrz wskazuje, że będzie drogo.

Stephanie chwyciła go za rękę i zatrzymała.

– Chcesz powiedzieć, że zapomniałeś o naszej wczorajszej rozmowie?

– Rozmawialiśmy o wielu sprawach – mruknął Daniel. Zauważył, że mijająca ich właśnie kobieta z pudłem na rękach miała na palcu pierścionek zaręczynowy z diamentem wielkości piłeczki pingpongowej.

– Wiesz dobrze, o co mi chodzi! – oburzyła się Stephanie. Wyciągnęła dłoń i odwróciła twarz Daniela w swoją stronę. – Postanowiliśmy, że uprzyjemnimy sobie ten wyjazd, jak tylko się da. Zatrzymamy się w tym hotelu na dwie noce i będziemy nurzać się w luksusie i, mam nadzieję, rozpuście.

Zarażony jej frywolnością Daniel uśmiechnął się mimo woli.

– Twoje jutrzejsze przesłuchanie przed podkomisją senatora Butlera do spraw polityki zdrowotnej nie będzie spacerkiem po parku – ciągnęła Stephanie. – To jest pewne. Ale bez względu na to, co się tam wydarzy, zabierzemy przynajmniej ze sobą do Cambridge wspomnienie także i miłych doświadczeń.

– Czy nie moglibyśmy mieć tych miłych doświadczeń w nieco mniej kosztownym hotelu?

– W żadnym razie – oznajmiła Stephanie. – Mają tu klub fitness, gabinet masażu i znakomitą obsługę, i z wszystkiego tego zrobimy użytek. Tak więc odpręż się i wyluzuj. Poza tym, to ja płacę rachunek.

– Naprawdę?

– Jasne! Przy pensji, jaką zgarniam, powinnam coś poświęcić dla firmy.

– Och, to cios poniżej pasa! – jęknął żartobliwie Daniel, udając, że zatacza się po wyimaginowanym uderzeniu.

– Słuchaj – powiedziała Stephanie. – Wiem, że firma nie była na razie w stanie wypłacać nam pensji, ale zamierzam dopilnować, żeby cała ta wyprawa poszła na konto firmy. Jeśli jutro sprawy pójdą naprawdę źle, co jest bardzo prawdopodobne, niech sąd prowadzący postępowanie upadłościowe zadecyduje, jak dużo Cztery Pory Roku otrzymają za naszą rozpustę.

Daniel parsknął gromkim śmiechem.

– Stephanie, nigdy nie przestajesz mnie zdumiewać!

– A to dopiero początek – stwierdziła Stephanie z uśmiechem. – Pytanie brzmi: jesteś

gotów iść w tango czy nie? Nawet w taksówce widziałam, że jesteś napięty jak struna.

– To dlatego, że martwiłem się, czy dostaniemy się tutaj w jednym kawałku, a nie jak za to zapłacimy.

– Już dobrze, rozrzutniku – ucięła Stephanie, popychając go przed siebie. – Chodźmy do naszego apartamentu.

– Do apartamentu?! – zdumiał się Daniel, pozwalając zaciągnąć się do recepcji.

Stephanie nie przesadzała. Z okien ich apartamentu rozciągał się widok na część zatoki Chesapeake i Ohio Canal, z rzeką Potomac w tle. Na stoliku w salonie stał kubełek z lodem, w którym chłodziła się butelka szampana. Wazony świeżych kwiatów zdobiły toaletkę w sypialni i szeroki blat w przestronnej marmurowej łazience.

Gdy tylko boy hotelowy zostawił ich samych, Stephanie zarzuciła Danielowi ręce na szyję. Jej ciemne oczy wpatrywały się w jego błękitne tęcza. Na jej pełnych wargach igrał lekki uśmiech.

– Wiem, że bardzo się stresujesz jutrzejszym dniem zaczęła – więc co powiesz na to, żebym to ja była przewodnikiem wycieczki? Oboje wiemy, że proponowana przez senatora Butlera ustawa oznaczałaby zakaz twojej opatentowanej i genialnej procedury. A to pociągnęłoby za sobą odwołanie drugiej tury płatności dla firmy, z wiadomymi katastrofalnymi konsekwencjami. To wszystko jest jasne i oczywiste, ale zapomnijmy o tym do jutra. Możesz się na to zdobyć?

– Spróbuję – odparł Daniel, choć wiedział, że nic z tego nie będzie. Lęk przed porażką był jedną z jego największych obaw.

– O nic więcej nie proszę – powiedziała Stephanie. Pocałowała go szybko, po czym odeszła, by zająć się szampanem. – Oto nasz program! Wypijemy po kieliszku bąbelków, a potem odświeżymy się pod prysznicem. Następnie mamy rezerwację w pobliskiej restauracji o nazwie Citronelle, o której słyszałam, że jest fantastyczna. Po wspaniałej kolacji wrócimy tutaj i będziemy szaleńczo, namiętnie się kochać. Co ty na to?

– Byłbym szalony, gdybym się opierał – odparł Daniel, unosząc dłonie w udawanym geście kapitulacji.

Stephanie i Daniel mieszkali razem od przeszło dwóch lat i czuli się w swoim towarzystwie swobodnie i pewnie. Zwrócili na siebie uwagę w połowie lat osiemdziesiątych, kiedy Daniel wrócił na uczelnię, a Stephanie była studentką chemii na Harvardzie. Nie poddali się wzajemnej fascynacji, ponieważ takie związki były wyjątkowo niemile widziane przez władze uniwersytetu. Poza tym żadne z nich nie miało najmniejszego pojęcia o uczuciach drugiej strony, przynajmniej dopóki Stephanie nie ukończyła studiów doktoranckich i nie przyłączyła się do młodszych kadr uczelni, co umożliwiło im nawiązanie kontaktu na bardziej równej stopie. Nawet ich obszary zainteresowań zawodowych dopełniały się wzajemnie. Gdy Daniel opuścił uniwersytet, żeby założyć własną firmę, było rzeczą naturalną, że Stephanie odejdzie wraz z nim.

– Zupełnie niezły – stwierdziła Stephanie, opróżniwszy kieliszek i odstawiwszy go na stolik. – No dobrze! Rzućmy monetą, żeby zobaczyć, kto pierwszy pójdzie pod prysznic.

– Nie ma potrzeby – odparł Daniel, stawiając swój pusty kieliszek obok jej kieliszka. – Poddaję się bez walki. Ty pierwsza. Kiedy będziesz brać prysznic, ja się ogolę.

– W porządku – zgodziła się Stephanie.

Daniel nie miał pojęcia, czy sprawił to szampan, czy zaraźliwa pogoda ducha Stephanie, ale kiedy mydlił sobie twarz i zaczynał się golić, czuł się już znacznie mniej spięty, choć wcale nie mniej niespokojny. Ponieważ wypił tylko jeden kieliszek, podejrzewał, że chodziło o to drugie. Jak wspomniała Stephanie, następny dzień mógł przynieść katastrofę, co niepokojąco przywodziło na myśl prorocstwo wypowiedziane przez Heinricha Wortheima w dniu, w którym odkrył, że Daniel zamierza wrócić do sektora prywatnego. Ale Daniel nie chciał pozwolić, by takie myśli zdominowały jego pobyt w Waszyngtonie, przynajmniej nie tego wieczoru. Spróbuje pójść za przykładem Stephanie i dobrze się bawić.

Za odbiciem własnej namydlonej twarzy w lustrze mógł dostrzec przez zaparowane szyby kabiny prysznicowej zamazaną postać Stephanie. Poprzez szum wody docierał do niego jej cichy śpiew. Miała trzydzieści sześć lat, ale wyglądała o dobrych dziesięć lat młodziej. Jak powtarzał jej przy niejednej okazji, wygrała wielki los na loterii genetycznej. Jej wysoka, apetycznie zaokrąglona sylwetka była smukła i jędrna, jak gdyby Stephanie regularnie trenowała, czego jednak nie robiła, a jej ciemna, oliwkowa skóra pozostawała niemal nieskazitelna. Obrazu dopełniały gęste, lśniące, ciemne włosy i równie ciemne, głębokie jak noc oczy.

Drzwi kabiny prysznicowej otworzyły się i Stephanie wyszła na zewnątrz. Zupełnie nie skrępowana swoją nagością, pospiesznie osuszyła włosy. Na chwilę pochyliła się, pozwalając, by mokre kosmyki opadły swobodnie, i szybko potarła je ręcznikiem. Potem znów wyprostowała się, odrzucając przy tym włosy w tył niczym potrząsający grzywą koń. Prowokacyjnie kołysząc biodrami, zaczęła wycierać sobie plecy, gdy nagle jej wzrok przypadkowo natrafił na spojrzenie Daniela w lustrze. Znieruchomiła.

– Hej! – zawołała. – Na co ty patrzysz? Podobno miałeś się golić. – Nagle zawstydzona, owinęła się w ręcznik, robiąc z niego minisukienkę bez ramiączek.

W pierwszej chwili zażenowany, że przyłapano go na podglądaniu, Daniel szybko odzyskał rezon. Odłożył maszynkę do golenia i podszedł do Stephanie. Chwycił ją za ramiona i wbił wzrok w jej onyksowe oczy.

– Cóż mogę poradzić, że wyglądasz tak seksownie i zniewalająco.

Stephanie przekrzywiła głowę, przyglądając mu się z ukosa.

– Dobrze się czujesz?

Daniel roześmiał się.

– Jak najbardziej.

– Pewnie wymknąłeś się z powrotem do salonu i wykończyłeś tę butelkę szampana?

– Mówię poważnie.

– Nie słyszałam od ciebie czegoś takiego już od miesiący.

– Powiedzieć, że miałem głowę zaprzątniętą czymś innym, byłoby stwierdzeniem łagodnym. Kiedy wpadłem na pomysł założenia firmy, nie miałem pojęcia, że zdobywanie funduszy będzie pochłaniało sto dziesięć procent moich wysiłków. A teraz, jak gdyby tego było mało, dochodzi jeszcze ta polityczna z mora, grożąca powstrzymaniem całej działalności.

– Rozumiem – odparła Stephanie. – Naprawdę rozumiem, i nie brałam tego do siebie.

– Czy to rzeczywiście były miesiące?

– Wierz mi. – Stephanie pokiwała głową dla podkreślenia swych słów.

– Przepraszam – powiedział Daniel. – I na dowód swej skruchy chciałbym wnieść wniosek o zmianę rozkładu wieczoru. Proponuję, żebyśmy przeszli od razu do kochania się, a plany kolacyjne odłożyli na później. Czy ktoś mnie popiera?

Pochylił się, by złożyć na półeczku Stephanie figlarnego całusa, ona jednak oparła czubek palca na jego nosie i odsunęła od siebie jego wciąż namydloną twarz. Z pełną odrazy miną otarła pianę z palca o jego ramię.

– Dyplomatyczne zabiegi nie pozbawią tej damy dobrej kolacji – oświadczyła. – Zdobycie rezerwacji kosztowało mnie sporo trudu, tak więc pozostaniemy przy planach na wieczór ustalonych we wcześniejszym głosowaniu. A teraz marsz do golenia! – Energicznie popchnęła go w stronę umywalki, po czym podeszła do sąsiedniej, by wysuszyć włosy.

– Bez żartów – odezwał się Daniel, przekrzykując odgłos suszarki do włosów, gdy skończył się golić. – Naprawdę wyglądasz fantastycznie. Czasami zastanawiam się, co widzisz w takim starcu jak ja. – Poklepał sobie policzki płynem po goleniu.

– Pięćdziesiąt dwa lata to jeszcze nie starość – odkrzyknęła Stephanie. – Szczególnie u kogoś tak aktywnego jak ty. Prawdę mówiąc, sam jesteś dość seksowny.

Daniel przyjrzał się sobie w lustrze. Uznał, że nie wygląda najgorzej, choć nie zamierzał się łudzić, że jest choć odrobinę seksowny. Ciesząc się od szóstej klasy opinią dziecka o wyjątkowym talencie do nauk ścisłych, dawno już zdążył pogodzić się z faktem, że należy do fajtłapowatej części populacji. Stephanie po prostu starała się być miła. Zawsze miał pociągłą twarz, więc przynajmniej nie groził mu problem obwisłych policzków czy nawet zmarszczek, jeśli nie liczyć ledwie dostrzegalnych kurzych łapek w kącikach oczu, które pojawiały się przy uśmiechu. Dbał o aktywność fizyczną, choć w ciągu ostatnich kilku miesięcy w mniejszym stopniu, z powodu ograniczeń czasowych, związanych ze zdobywaniem funduszy. Jako pracownik naukowy Harvardu korzystał w pełni z obiektów sportowych uniwersytetu, regularnie grywając w squasha i piłkę ręczną, a także wiosłując po Charles River. Uważał, że jego jedynym rzeczywistym problemem z wyglądem są tworzące się zakola i rzednące włosy na czubku głowy oraz zaczątki siwizny na poza tym brązowych włosach, ale na to akurat niewiele mógł poradzić.

Gdy obydwójce zakończyli toaletę, ubrali się, nałożyli płaszcze i opuścili hotel, uzbrojeni



w otrzymane od portiera proste wskazówki co do drogi do restauracji. Ze splecionymi rękoma przeszli spacerkiem kilka przecznic wzdłuż M Street, mijając po drodze szereg galerii sztuki, księgarń i sklepów z antykami. Noc była rześka, lecz nie nazbyt zimna. Pomimo światła latarni ulicznych na niebie widać było gwiazdy.

W restauracji szef sali zaprowadził ich do stolika na uboczu, który zapewniał względną prywatność w ruchliwym otoczeniu. Zamówili jedzenie i butelkę wina, po czym usadowili się wygodnie w oczekiwaniu romantycznej kolacji. Dla zabicia czasu wspominali z radością swe wzajemne zauroczenie w czasach, nim jeszcze zaczęli spotykać się ze sobą, aż wreszcie, po podaniu głównego dania, zapadli w zadowolone milczenie. Niestety, przerwał je Daniel.

– Być może nie powinienem o tym wspominać... – zaczął.

– Więc nie rób tego – przerwała mu Stephanie, od razu wyczuwając, do czego zmierza.

– Ale muszę – odparł Daniel. – I tak trzeba będzie o tym pomówić, a lepiej teraz niż później. Kilka dni temu powiedziałaś, że masz zamiar dowiedzieć się czegoś więcej o naszym dręczycielu, senatorze Ashleyu Butlerze, aby ewentualnie jakoś mi pomóc na jutrzejszym przesłuchaniu. Wiem, że zajęłaś się tym, ale nic nie powiedziałaś. Dlaczego?

– O ile sobie przypominam, zgodziłaś się zapomnieć dziś wieczorem o przesłuchaniu.

– Zgodziłem się spróbować zapomnieć – sprostował Daniel. – Nie do końca mi się to udało. Czy nie wyjawiałaś mi, czego się dowiedziałaś, dlatego że nie odkryłaś nic pożytecznego, czy z jakichś innych względów? Wyjaśnij mi tę jedną rzecz, a potem możemy odłożyć to na bok na resztę wieczoru.

Stephanie na kilka chwil odwróciła wzrok, żeby zebrać myśli.

– Co chcesz wiedzieć?

Daniel parsknął krótkim, rozdrażnionym śmiechem.

– Utrudniasz sprawę bardziej, niż potrzeba. Mówiąc szczerze, nie mam pojęcia, co chcę wiedzieć, bo wiem zbyt mało, by móc choćby zadawać pytania.

– Nie pójdzie z nim łatwo.

– Już wcześniej odnieśliśmy takie wrażenie.

– Jest w senacie od siedemdziesiątego drugiego roku i jego staż daje mu znaczne wpływy.

– Tyle mogę się domyślić, skoro jest przewodniczącym podkomisji – zauważył Daniel. – Interesuje mnie, co nim kieruje.

– Moim zdaniem to dość typowy, staromodny demagog z Południa.

– Demagog, powiadasz? – Daniel na chwilę przygryzł wewnątrz policzka. – Chyba muszę przyznać się tu do swojej głupoty. Słyszałem już wcześniej to słowo, ale prawdę mówiąc, nie wiem, co ono dokładnie oznacza, niezależnie od pejoratywnego sensu.

– Chodzi o polityka, który dla zdobycia i utrzymania władzy wykorzystuje popularne uprzedzenia i lęki.

– Czyli, w tym przypadku, powszechne obawy przed biotechnologią jako taką.

– Właśnie – przyznała Stephanie. – Zwłaszcza kiedy w grę wchodzi takie słowa jak

„embrion” czy „klonowanie”.

– Co oznacza hodowlę ludzkich zarodków i widmo Frankensteina.

– Otóż to – przytaknęła Stephanie. – On gra na ludzkiej ignorancji i strachu. A w senacie jest obstrukcjonistą. Zawsze łatwiej jest być przeciw niż za. Oparł na tym swoją karierę, przy paru okazjach przeciwstawiając się nawet własnej partii.

– To nie wróży nam dobrze – jęknął Daniel. – Z tego wynika, że próby przekonania go za pomocą jakichkolwiek racjonalnych argumentów są z góry skazane na porażkę.

– Niestety, odniosłam takie samo wrażenie. Dlatego właśnie nie wyjawiałam ci, czego się o nim dowiedziałam. To przygnębiające, że ktoś taki jak Butler w ogóle jest w senacie, nie mówiąc już o pozycji i wpływach, jakie posiada. Senatorzy powinni być przywódcami, nie ludźmi zabiegającymi o władzę dla samej władzy.

– Przygnębiające jest to, że ten półgłówek jest w stanie zastopować moją twórczą i obiecującą pracę naukową.

– Nie wydaje mi się, żeby był półgłówkiem – zaoponowała Stephanie. – Wręcz przeciwnie. Na swój sposób jest bardzo błyskotliwy. Powiedziałabym nawet, że makiaweliczny.

– Jakie inne sprawy go interesują?

– Takie, jakich można się spodziewać po fundamentalistycznym konserwatyście. Prawa stanowe, oczywiście. To jego wielki konik. Ale jest też przeciwko takim rzeczom jak pornografia, homoseksualizm, małżeństwa homoseksualne i tak dalej. Aha, i jest też przeciwko aborcji.

– Przeciwko aborcji? – zapytał Daniel z zaskoczeniem. – Jest demokratą i nie popiera prawa do przerywania ciąży? To zaczyna zakrawać raczej na skrajną prawicę republikanów.

– Mówiałam ci, że on nie obawia się przeciwstawić własnej partii, jeśli tylko mu to odpowiada. Jest zdecydowanym przeciwnikiem aborcji, chociaż taka postawa zmuszała go do pewnych manewrów i wycofywania się przy paru okazjach. W podobny sposób tańczył wokół kwestii praw obywatelskich. To sprytny, przebiegły, faworyzujący pracowników fizycznych, populistyczny konserwatysta, który, w przeciwieństwie do Stroma Thurmonda i Jesse'ego Helmsa, nie opuścił Partii Demokratycznej.

– Niewiarygodne! – zauważył Daniel. – Można by sądzić, że ludzie powinni w końcu się zorientować, jaki on jest naprawdę, wyrachowany i żądny władzy, i odrzucić go w głosowaniu. Jak myślisz, dlaczego partia nie zjednoczyła się przeciwko niemu, skoro przeciwstawiał się jej w kluczowych kwestiach?

– Jest po prostu zbyt potężny – odparła Stephanie. – To czołg, jeśli chodzi o gromadzenie funduszy, z siecią komitetów wyborczych, fundacji, a nawet korporacji działających na rzecz jego rozmaitych populistycznych akcji. Inni senatorowie autentycznie się go boją, przy sumach, jakimi może się posłużyć na public relations. On nie ma oporów przed wykorzystaniem swych ogromnych funduszy przeciwko każdemu, kto mu się sprzeciwi, gdy

przychodzi do kolejnych wyborów.

– To brzmi coraz gorzej – mruknął Daniel.

– Odkryłam coś ciekawego – dodała Stephanie. – Nie uwierzyłbyś, ale ty i on macie ze sobą sporo wspólnego.

– Och, daj spokój! – jęknął Daniel.

– Po pierwsze, obaj pochodzicie z wielodzietnych rodzin – ciągnęła Stephanie. – Mówiąc ściślej, obaj macie po dziewięcioro rodzeństwa i obaj jesteście trzecimi w kolejności, z dwójką starszych braci.

– To przypadek! Jakie jest prawdopodobieństwo czegoś takiego?

– Niewielkie. Trzeba by przyznać, że wy dwaj jesteście do siebie bardziej podobni, niż byś sądził.

Twarz Daniela zachmurzyła się.

– Mówisz poważnie?

Stephanie parsknęła śmiechem.

– Nie, oczywiście, że nie! Drocę się tylko z tobą! Wyluzuj się! – Sięgnęła ponad stołem po kieliszek Daniela i podała mu go, po czym podniosła własny. – Dość już o senatorze Butlerze! Wznieśmy toast za nasze zdrowie i nasz związek, ponieważ cokolwiek zdarzy się jutro, mamy przynajmniej to, a co jest od tego ważniejsze?

– Masz rację – przyznał Daniel. – Za nas oboje! – Uśmiechnął się, czuł jednak, jak w żołądku zaciska mu się węzeł. Choć starał się ze wszystkich sił, nie był w stanie odsunąć od siebie widma klęski, które wisiało nad nim niczym czarna chmura.

Trącili się kieliszkami i wypili, spoglądając na siebie ponad krawędzią szkła.

– Naprawdę jesteś cudowna – powiedział Daniel, próbując przywołać na nowo nastrój tamtej chwili w hotelowej łazience, gdy Stephanie wyszła spod prysznica. – Piękna, inteligentna i bardzo pociągająca.

– Tak już lepiej – stwierdziła Stephanie. – Nawzajem.

– Potrafisz też grać na nerwach – dodał Daniel. – Ale i tak cię kocham.

– Ja też cię kocham – odparła Stephanie.

Gdy kolacja dobiegła końca, Stephanie nie mogła się doczekać powrotu do hotelu. Szli żwawym krokiem. Po ciepłej restauracji nocny chłód przenikał przez ich płaszcze. W pustej hotelowej windzie Stephanie namiętnie pocałowała Daniela i wcisnęła go w kąt, tuląc się do niego zmysłowo.

– Opanuj się! – zawołał Daniel z nerwowym śmiechem. – Na pewno jest tu kamera nadzorująca.

– O Boże! – mruknęła Stephanie, pospiesznie prostując się i wygładzając płaszcz. Przebiegła wzrokiem po suficie windy. – Nie przyszło mi to do głowy.

Gdy drzwi windy otworzyły się na ich piętrze, Stephanie chwyciła Daniela za rękę i pociągnęła go szybko przez korytarz. Z uśmiechem otworzyła kartą magnetyczną drzwi

pokoju. W środku demonstracyjnie odszukała wywieszkę „Nie przeszkadzać” i powiesiła ją na zewnątrz na klamce. Następnie wzięła Daniela za rękę i wciągnęła go z małego przedpokoju do sypialni.

– Płaszcz zdejm! – rozkazała, rzucając swój na krzesło. Przewróciła Daniela na wznak na łóżko. Usadowiła się na nim okrakiem, otaczając kolanami jego klatkę piersiową, i zaczęła rozluźniać mu krawat. Nagle przerwała. Spostrzegła, że jego czoło lśni od potu. – Dobrze się czujesz? – zapytała z niepokojem.

– Zrobiło mi się gorąco – przyznał Daniel.

Stephanie zsunęła się na bok i podciągnęła go do pozycji siedzącej. Daniel otarł ręką czoło i spojrzał na wilgoć na swej dłoni.

– Jesteś też blady.

– Wyobrażam sobie – odparł Daniel. – Chyba przechodzę małe załamanie autonomicznego układu nerwowego.

– To brzmi jak lekarski bełkot. Możesz wyjaśnić to ludzkim językiem?

– Jestem po prostu wyczerpany nerwowo. Myślę, że doświadczyłem właśnie nagłego przypływu adrenaliny. Przykro mi, ale nie sądzę, by seks wchodził w grę.

– Nie musisz przeproszać.

– Chyba jednak muszę – stwierdził Daniel. – Wiem, że zależało ci na tym, ale kiedy już wracaliśmy do hotelu, miałem wrażenie, że po prostu nic z tego nie wyjdzie.

– Wszystko w porządku – powtórzyła z naciskiem Stephanie. – To nie jest żadna wielka sprawa. O wiele bardziej zależy mi na twoim dobrym samopoczuciu.

Daniel westchnął.

– Moje samopoczucie będzie dobre po jutrzejszym dniu, kiedy wszystko będę już wiedział. Niepewność i ja nigdy nie byliśmy najlepszymi kompanami, zwłaszcza kiedy chodziło o coś przykrego.

Stephanie objęła go ramionami i przytuliła do siebie. Czują, jak serce wali mu w piersi.

Później, gdy Stephanie leżała bez ruchu wystarczająco długo, by jej oddech uspokoił się w głębinach snu, Daniel odsunął kołdrę i wysliznął się z łóżka. Nie był w stanie zasnąć, gdy jego myśli i puls tłukły się jak szalone. Nałożył hotelowy szlafrok i przeszedł do salonu. Wyrzwał przez okno na zewnątrz.

Tym, co go dręczyło, było złowieszcze proroctwo Heinricha Wortheima i fakt, że zdawało się ono spełniać. Problem polegał na tym, że Daniel spalił za sobą mosty, kiedy opuścił Harvard. Wortheim nigdy nie przyjmie go z powrotem, a może nawet będzie próbował mu szkodzić w innych instytucjach. Na domiar złego Daniel spalił również za sobą mosty, kiedy opuścił zakłady Mercka w 1985 roku, po przyjęciu posady na Harvardzie, swojej dawnej uczelni.

Jego uwagę przyciągnęła butelka szampana, wciąż tkwiąca w kubelku. Wyciągnął ją z wody. Lód stopił się już dawno temu. Daniel uniósł butelkę do okna, by przyjrzeć się jej pod

światło. Została jeszcze niemal połowa zawartości. Nalał sobie kieliszek i spróbował. Bąbelki ulotniły się, ale szampan był nadal w miarę chłodny. Upił parę łyków i ponownie spojrzął za okno.

Wiedział, że jego lęk przed koniecznością powrotu do Revere Beach w stanie Massachusetts jest irracjonalny, ale i tak odczuwał go dalej w nie pomniejszonym stopniu. W tej właśnie miejscowości dorastał w rodzinie drobnego przedsiębiorcy, który zrzucał winę za swe liczne niepowodzenia na swoją żonę i dzieci, szczególnie te, które sprawiały mu wstyd. Niestety, był to zwykle Daniel, pechowo urodzony po dwóch starszych braciach, którzy wybijali się jako sportowcy w szkole średniej, co dawało odrobinę pociechy wrażliwemu ego ich ojca. W przeciwieństwie do nich Daniel był patykowatym chłopakiem bardziej zainteresowanym grą w szachy i zabawą zestawem „Mały chemik” w piwnicy. To, że dostał się do gimnazjum Boston Latin i osiągał tam doskonałe wyniki, nie zrobiło żadnego wrażenia na jego ojcu, który nadal bezlitośnie wykorzystywał go jako kozła ofiarnego. Nawet stypendia Daniela w Wesleyan University, a potem w Columbia Medical School nie zmieniły tu wiele, poza tym że na pewien czas oddaliły go od rodzeństwa.

Daniel dopił do końca kieliszek szampana i nalał sobie następny. Sącząc wino, znów powrócił myślami do senatora Ashleya Butlera, swej aktualnej antypatii. Stephanie powiedziała, że droczy się z nim, kiedy zasugerowała, że on i senator są do siebie bardziej podobni, niż by przypuszczał. Zastanawiał się, czy naprawdę tak myśli, gdyż istotnie był to niezwykle zbieg okoliczności, że obaj pochodzą z rodzin zbliżonego typu. Gdzieś w głowie kołatała mu myśl, że może jest w tym coś z prawdy. Ostatecznie Daniel musiał przyznać sam przed sobą, że zazdrości temu człowiekowi władzy, która pozwalała zagrozić jego własnej karierze.

Odstawił kieliszek na stolik i skierował się z powrotem ku sypialni. Szedł powoli, posuwając się po omacku w nie znanym otoczeniu. Nie sądził, by był w stanie usnąć, gdy intuicja nie przestawała mu podpowiadać, że nadchodzi katastrofa, ale nie miał ochoty siedzieć przez całą noc. Postanowił, że wróci do łóżka i spróbuje się odprężyć, a jeśli nawet nie uda mu się zasnąć, przynajmniej odpocznie.

## **Rozdział drugi**

### **9.51, czwartek, 21 lutego 2002**

Drzwi gabinetu Ashleya Butlera otworzyły się gwałtownie i senator wypadł z nich w towarzystwie asystentki. W marszu chwycił dokument podsunęty mu przez Dawn, kierowniczkę biura, która siedziała za swym biurkiem.

– To pańskie przemówienie na otwarcie posiedzenia podkomisji – zawołała za senatorem, który zniknął już za zakrętem korytarza, kierując się w stronę drzwi wejściowych biura. Była przyzwyczajona do tego, że jest ignorowana i nie brała sobie tego do serca. Ponieważ to właśnie ona pisała na komputerze rozkład dnia senatora, wiedziała, że jest już spóźniony. Powinien już być w sali posiedzeń, by przesłuchanie mogło zacząć się punktualnie o dziesiątej.

Ashley tylko chrząknął po przeczytaniu kilku pierwszych linijek tekstu i podał kartkę za siebie, by Carol mogła rzucić na nią okiem. Carol była kimś więcej niż tylko szefową kadr, jak brzmiała jej oficjalna funkcja, odpowiedzialną za przyjmowanie i zwalnianie pracowników. Kiedy dotarli do poczekalni biura i Ashley przystanął, by przywitać się z kilkorgiem osób oczekujących na spotkania z różnymi członkami jego personelu, Carol musiała skierować go ku drzwiom, by nie spóźnili się jeszcze bardziej.

W marmurowym holu gmachu senatu przyspieszyli kroku. Nie było to łatwe dla Ashleya, u którego sztywność powróciła, mimo leków przepisanych przez doktora Whitmana. Według własnego opisu, czuł się tak, jakby próbował się poruszać w gęstym syropie.

– Jak ci się podoba to przemówienie? – zapytał Ashley.

– Niezłe, na ile zdążyłam przeczytać – odparła Carol. – Myśli pan, że Rob dał je do przejrzania Philowi?

– Mam taką nadzieję – rzucił krótko Ashley. Szli przez krótką chwilę w milczeniu, zanim dodał: – Kto to, u licha, jest Rob?

– To względnie nowy człowiek, przydzielony do podkomisji do spraw polityki zdrowotnej – wyjaśniła Carol. – Na pewno go pan pamięta. Dosłownie wybija się ponad tłum.

To ten wysoki rudzielec, który przeszedł do nas ze sztabu Kennedy'ego.

Ashley pokiwał tylko głową. Choć szczylił się znakomitą pamięcią do nazwisk, nie był już w stanie zapamiętać wszystkich pracowników, odkąd jego zespół rozrósł się do ponad siedemdziesięciu osób, wśród których w dodatku zachodziła nieunikniona rotacja. Phila w każdym razie znał, gdyż należał on do personelu niemal tak długo jak Carol. Jako główny analityk sytuacji politycznej Phil odgrywał w zespole Ashleya kluczową rolę i ważne było, by wszystko, co miało trafić do sprawozdań lub protokołów z posiedzeń Kongresu, przechodziło przez jego ręce.

– Co z pańskim lekarstwem? – zapytała Carol. Stukot jej obcasów o marmurową posadzkę rozbrzmiewał niczym wystrzały z karabinu.

– Zażyłem je – odparł z irytacją Ashley. By mieć absolutną pewność, ukradkiem wsunął dłoń do bocznej kieszeni marynarki i przeszukał ją. Jak podejrzewał, pigułki, którą wcześniej tam włożył, już nie było, co oznaczało, że połknął ją tuż przed opuszczeniem gabinetu. Chciał przyjść na posiedzenie z dobrym, wysokim poziomem leku we krwi. Tego by mu tylko brakowało, żeby ktoś z mediów zauważył jakiegokolwiek objawy, na przykład drżenie rąk, w czasie obrad, szczególnie teraz, kiedy miał plan pozbycia się tego problemu.

Na zakręcie korytarza wpadli na zmierzającą w przeciwnym kierunku grupę senatorów o wyjątkowo liberalnych poglądach. Ashley przystanął i bez trudu powrócił do swojego charakterystycznego, cikliwego, południowego akcentu, kiedy wychwalał fryzury, modne garnitury i ekstrawaganckie krawaty kolegów. W żartobliwie autoironicznym stylu porównywał ich szykowny wygląd ze swym własnym ciemnym garniturem, nie rzucającym się w oczy krawatem i zwykłą białą koszulą. Dokładnie takie same rzeczy nosił przed trzydziestu laty, gdy po raz pierwszy zjawił się w senacie. Ashley był wierny swym przyzwyczajeniom. Nie tylko wciąż ubierał się w tym samym stylu, ale i nadal kupował całą garderobę w tym samym konserwatywnym sklepie w rodzinnym mieście.

Gdy jedni i drudzy ruszyli znów w swoją stronę, Carol zwróciła uwagę na niezwykłą serdeczność Ashleya.

– Po prostu im kadzę – wyjaśnił drwiąco senator. – Potrzebuję ich głosów, żeby przepchnąć mój projekt ustawy, który ma być rozpatrywany w przyszłym tygodniu. Wiesz, że nie znoszę takiej fircykowości, zwłaszcza przeczepów włosów.

– Ja też nie – przyznała Carol. – Dlatego byłam zaskoczona.

Gdy zbliżyli się do bocznego wejścia do sali posiedzeń, Ashley zwolnił kroku.

– Szybko zreferuj mi jeszcze raz, czego dowiedzieliście się o pierwszym świadku przewidzianym na dziś rano. Mam w zanadru specjalny plan, który koniecznie chciałbym zrealizować.

– Jego życiorys zawodowy jest, moim zdaniem, niezwykły – odparła Carol. Zamknęła na chwilę oczy, by wspomóc pamięć. – Już w szkole średniej wyróżniał się jako wyjątkowy talent do nauk ścisłych, po czym przeszedł jak burza przez szkołę medyczną i studia

doktoranckie. To co najmniej imponujące! Do tego w krótkim czasie stał się jednym z najmłodszych naukowców stojących na czele działu w Mercku, zanim został zwerbowany na prestiżowe stanowisko na Uniwersytecie Harvarda. Jego iloraz inteligencji musi być niebotyczny.

– Pamiętam jego życiorys. Ale nie to jest teraz istotne. Opowiedz mi o wrażeniach Phila na temat osobowości tego faceta!

– Przypominam sobie, że Phil uznał go za zarozumiałego egocentryka, ze względu na lekceważenie, z jakim odnosi się do pracy innych uczonych. Wie pan, większość ludzi, nawet jeżeli myśli w ten sposób, zachowuje to dla siebie. On musi być strasznym waśniakiem.

– Co jeszcze?

Dotarli do drzwi przedsionka i przystanęli. W głębi korytarza, przy głównym wejściu do sali posiedzeń, kłębił się mały tłumek. Gwar głosów docierał aż do nich.

Carol wzruszyła ramionami.

– Niewiele więcej pamiętam, ale mam ze sobą dossier przygotowane przez personel, które na pewno zawiera także wrażenia Phila. Chce pan je przeczytać jeszcze raz, zanim zaczniemy posiedzenie?

– Miałem nadzieję, że powiesz mi coś o lęku przed porażką u tego faceta – stwierdził Ashley. – Przypominasz sobie coś na ten temat?

– Tak, teraz, kiedy pan o tym wspomniał, wydaje mi się, że Phil zwrócił na to uwagę.

– Świetnie! – oświadczył Ashley ze wzrokiem utkwionym w oddali. – Co w połączeniu z jego najwyraźniej rozdmuchanym ego daje mi nad nim znaczącą przewagę, nie sądzisz?

– Chyba tak, chociaż nie jestem pewna, czy pana rozumiem. Rzeczywiście przypominam sobie, że Phil uznał, że ten człowiek obawia się porażki w stopniu nieproporcjonalnym do swych dokonań i swojej niewątpliwej inteligencji. Ostatecznie mógłby zapewne odnosić sukcesy we wszystkim, jeśli tylko tak sobie postanowi. W jaki sposób jego lęk przed porażką miałby dać panu przewagę, i w czym?

– Być może jest w stanie osiągnąć wszystko, co sobie zamierzy, ale w tej chwili najwyraźniej marzą mu się sława i pieniądze, jak zupełnie bezwstydnie przyznał w jednym ze swych wywiadów. A żeby zrealizować ten cel, dokonał dość ryzykownego posunięcia, zarówno jeśli chodzi o karierę zawodową, jak i finanse. Zależy mu, żeby jego nowo otwarta firma, która ma się zajmować wdrażaniem jego opatentowanej procedury, odniosła sukces z bardzo osobistych, a może wręcz płytkich powodów.

– Więc co pan zamierza? – zapytała Carol. – Phil chce, żeby wypowiedział się pan publicznie za zakazem tej procedury. To wszystko.

– Okoliczności trochę skomplikowały tę sprawę. Chcę, żeby doktorek zrobił coś, na co z całą pewnością nie miałby ochoty.

Na szerokiej twarzy Carol odmalował się niepokój.

– Czy Phil o tym wie?



Ashley pokręcił głową. Wyciągnął rękę po kartkę z przemówieniem. Carol oddała mu ją.

– Co ten człowiek ma dla pana zrobić? – zapytała.

– Ty i on dowiedcie się dziś wieczorem – odparł Ashley, przebiegając wzrokiem tekst. – Teraz nie ma czasu, żeby to wyjaśnić.

– Przeraza mnie to – przyznała Carol. Podczas gdy senator czytał swą mowę, rozejrzała się po korytarzu. Niepewnie przestąpiła z nogi na nogę. Jej ostatecznym celem i powodem, dla którego poświęciła tak znaczną część życia obecnemu stanowisku, było to, że zamierzała ubiegać się o urząd Ashleya po jego przejściu na emeryturę, co z powodu rozpoznanej u niego choroby Parkinsona zapowiadało się na raczej bliższą niż dalszą przyszłość. Miała aż nadto wystarczające kwalifikacje, bo była senatorem stanowym, zanim przybyła do Waszyngtonu, by zajmować się sprawami Ashleya, i nie chciała, by teraz, gdy cel był już w zasięgu wzroku, senator wyciął jej jakiś numer, robiąc to, co Bili Clinton zrobił Ałowi Gore'owi. Od czasu owej pamiętnej wieczornej wizyty u doktora Whitmana Ashley stał się rozkojarzony i nieobliczalny. Odchrząknęła, by przyciągnąć uwagę szefa. – Jak właściwie ma pan zamiar skłonić doktora Lowella do zrobienia czegoś, na co nie ma ochoty?

– Mydląc mu oczy, a potem podcinając mu nogi – odparł Ashley, unosząc wzrok, by spojrzeć na nią. Uśmiechnął się konspiracyjnie. – Ruszam do bitwy i zamierzam ją wygrać. Żeby to osiągnąć, skorzystam ze starej jak świat wskazówki ze Sztuki wojennej: zlokalizuj punkty zapalne, po czym rzuć tam przytłaczające siły! Pokaż mi sprawozdanie finansowe jego firmy!

Carol przez chwilę wertowała plik papierów, które niosła, nim wydobyła żądany dokument. Podała mu go, a on szybko przebiegł go wzrokiem. Obserwowała jego twarz w nadziei, że dostrzeże na niej jakieś wskazówki. Zastanawiała się, czy nie powinna przy pierwszej nadarzającej się okazji zadzwonić z telefonu komórkowego do Phila i ostrzec go, by przygotował się na niespodzianki.

– Świetnie – mruknął Ashley. – Doskonale. Całe szczęście, że mam te kontakty z FBI. Sami nie dalibyśmy rady zdobyć nawet części tego materiału.

– Może powinien pan przedyskutować z Philem swoje plany – podsunęła Carol.

– Nie ma na to czasu – uciął Ashley. – A w ogóle która jest teraz godzina?

Carol zerknęła na zegarek.

– Już po dziesiątej.

Ashley wyciągnął przed siebie lewą rękę, podpierając ją prawą, by sprawdzić, czy pojawi się drżenie. Pojawiło się, ale było ledwo dostrzegalne.

– Lepiej już nie będzie. Ruszajmy do pracy!

Senator wszedł do sali posiedzeń bocznymi drzwiami po prawej stronie podkowiastego podium. Salę wypełniał bezładny, kłębiący się tłum, rozbrzmiewający gwarem niespójnych rozmów. Ashley musiał mozolnie torować sobie drogę pośród kolegów i pracowników, by dotrzeć do swego krzesła. Rudowłosy Rob pojawił się natychmiast z drugą kopią

przygotowanego tekstu przemówienia. Ashley odprawił go, machając egzemplarzem, który trzymał już w ręce. Usiadł za stołem i poprawił ustawienie mikrofonu na giętkim wysięgniku.

Jego oczy szybko obiegły znajomy, klasycystyczny wystrój sali posiedzeń, by spocząć w końcu na dwóch postaciach, które siedziały przy stole dla świadków u stóp podium. Jego uwagę natychmiast przykuła młoda atrakcyjna kobieta o twarzy okolonej włosami lśniąco jak futro norki. Ashley miał słabość do pięknych kobiet, a ta, na którą właśnie patrzył, była w jego guście. Miała na sobie klasyczny, granatowy kostium z białym kołnierzem, który ostro kontrastował z jej opaloną, oliwkową karnacją. Mimo skromnego stroju emanowała z niej zdrowa zmysłowość. Skierowała ciemne oczy wprost na Ashleya, który miał przez to wrażenie, że spogląda w głąb dwóch luf karabinowych. Nie miał pojęcia, kim ona jest ani co tutaj robi, pomyślał jednak, że dzięki jej obecności przesłuchanie zapowiada się nieco przyjemniej.

Z niechęcią oderwał wzrok od czarnowłosej piękności i przeniósł uwagę na Daniela Lowella. Oczy naukowca były jaśniejsze niż oczy jego towarzyszki, jednak ich nieruchome spojrzenie zdradzało tę samą arogancję. Ashley domyślał się, że doktor jest dość wysoki, mimo niedbałej pozy, w jakiej rozpiął się na krześle. Był drobnej budowy, ze szczupłą, kanciastą twarzą zwieńczoną strzechą niesfornych, przyprószonych siwizną włosów. Nawet jego ubiór wskazywał na nonszalancję równą tej, jaka przejawiała się w jego oczach i postawie. W przeciwieństwie do stosownego, oficjalnego stroju swej towarzyszki, doktor miał na sobie tweedową marynarkę ze skórzanymi łatami na łokciach i rozpiętą pod szyją koszulę bez krawata, na nogach zaś, widocznych pod blatem stołu, dzinsy i tenisówki.

Sięgając po młotek, Ashley uśmiechnął się w duchu. Domyślał się, że swobodna postawa i ubiór Daniela są żalną próbą udowodnienia, że nic sobie on nie robi z wezwania na przesłuchanie przed podkomisją senatu. Być może Daniel łudził się, że jego naukowy, harwardzki autorytet w jakiś sposób onieśmieli wychowanego w małomiasteczkowej szkole baptystów Ashleya. Ale nadzieja ta miała się okazać płonna. Ashley wiedział, że prowadzi rozgrywkę na własnym terenie, co daje mu oczywistą przewagę nad Danielem.

– Otwieram posiedzenie podkomisji do spraw polityki zdrowotnej komitetu do spraw zdrowia, edukacji, pracy i emerytur – oświadczył z wyraźnym południowym akcentem, stukając młotkiem. Odczekał parę chwil, aż bezładna do tej pory gromada widzów usiadła na miejscach. Za plecami słyszał szuranie krzeseł, gdy rozmaici członkowie personelu robili to samo. Zerknął na Daniela Lowella, ale doktor nie poruszył się. Obejrzał się na prawo i na lewo. Większość członków podkomisji nie stawiała się, czterech jednak przyszło. Siedzieli teraz, czytając memoranda lub rozmawiając szeptem ze swymi współpracownikami. Nie było kworum, ale nie miało to znaczenia. Porządek obrad nie przewidywał głosowania, a Ashley nie zamierzał o nie prosić.

– Niniejsze posiedzenie dotyczy projektu ustawy numer S. 1103 – ciągnął Ashley, kładąc tekst przemówienia na stole przed sobą. Skrzyżował ramiona i objął łokcie dłońmi, by

zapobiec ewentualnemu drzeniu. Odchylił lekko głowę w tył, by lepiej widzieć druk przez soczewki dwuogniskowych okularów. – Jest to ustawa uzupełniająca do ustawy uchwalonej przez Kongres, dotycząca zakazu procedury klonowania zwanej...

Urwał i pochylił się naprzód, wpatrując się w kartkę spod przymrużonych powiek.

– Proszę o wybaczenie – powiedział, wyraźnie odchodząc od przygotowanego tekstu. – Ta procedura jest nie tylko przerażająca, ale ma też okropnie skomplikowaną nazwę, więc może pan doktor mnie poprawi, jeśli się przejęzyczę. Nazywa się: homologiczna transgeniczna rekombinacja segmentalna, w skrócie HTRS. Uff! Udało mi się, panie doktorze?

Daniel wyprostował się i pochylił się do mikrofonu.

– Tak – stwierdził po prostu, po czym znów odchylił się na oparcie krzesła. On także skrzyżował ramiona.

– Dlaczego wy, lekarze, nie mówicie ludzkim językiem? – zapytał Ashley, spoglądając na niego ponad oprawkami okularów. Ku jego zadowoleniu kilkoro spośród widzów zachichotało. Uwielbiał grać pod publiczność.

Daniel pochylił się naprzód, by odpowiedzieć, ale senator uniósł dłoń.

– To pytanie było poza protokołem i nie wymaga odpowiedzi.

Protokółantka dokonała poprawek w tekście. Ashley obrócił się w lewo.

– To także będzie poza protokołem, ale chciałbym wiedzieć, czy szanowny senator z Montany zgodzi się ze mną, że lekarze specjalnie opracowali własny język tylko po to, byśmy my, zwykli śmiertelnicy, w połowie przypadków nie mieli zielonego pojęcia, o czym oni u licha mówią.

Widzowie znów parsknęli śmiechem. Senator z Montany uniósł wzrok znad lektury i z zapalem pokiwał głową.

– No dobrze, na czym to ja skończyłem? – mruknął Ashley, spoglądając znów w tekst przemówienia. – Ta ustawa jest niezbędna, ponieważ biotechnologia w ogóle, a medycyna w szczególności, straciły w naszym kraju moralne i etyczne podstawy. My, członkowie podkomisji senatu do spraw polityki zdrowotnej, uważamy, że naszym obowiązkiem, jako zaniepokojonych i wyznających określone wartości moralne Amerykanów, jest odwrócić tę tendencję, idąc za przykładem naszych kolegów z Izby Reprezentantów. Cele nie usprawiedliwiają środków, zwłaszcza w dziedzinie badań medycznych, co niedwuznacznie stwierdzono już podczas procesów norymberskich. HTRS jest tego doskonałym przykładem. To kolejna z procedur grożących powoływaniem do życia biednych, bezbronnych embrionów, a następnie kawałkowaniem ich z wątpliwym usprawiedliwieniem, że komórki uzyskane z tych maleńkich, tworzących się istot ludzkich zostaną wykorzystane do leczenia rozmaitych chorób. Ale to jeszcze nie wszystko. Jak usłyszymy w zeznaniu jej twórcy, którego mamy zaszczyt gościć tu jako świadka, bynajmniej nie jest to typowa procedura klonowania terapeutycznego i ja, jako główny autor projektu ustawy, jestem wstrząśnięty, że

ma ona się stać standardowym narzędziem medycyny. Oświadczam głośno: po moim trupie!

Wśród słuchaczy rozległy się skromne oklaski. Ashley podziękował za nie skinieniem głowy i krótką pauzą. Zaczerpnął głęboki oddech.

– Mógłbym mówić dalej o tej nowej metodzie, jednak nie jestem lekarzem, więc z szacunkiem zdaję się na eksperta, który łaskawie stawił się przed naszą podkomisją. Chciałbym przejść do przesłuchania świadka, chyba że mój szanowny kolega z drugiej strony przejścia miałby coś do dodania.

Spojrzał na senatora siedzącego po jego prawej stronie, który pokręcił głową, zakrył mikrofon ręką i nachylił się do przewodniczącego.

– Ashley – szepnął – mam nadzieję, że poprowadzisz to szybko. Muszę stąd wyjść przed dziesiątą trzydzieści.

– Nie ma obawy – odparł cicho Ashley. – Załatwię się z tym raz-dwa.

Upił łyk ze stojącej przed nim szklanki z wodą, po czym skierował wzrok na Daniela.

– Naszym pierwszym świadkiem jest znakomity uczoney Daniel Lowell, który, jak już wspomniałem, jest odkrywcą HTRS. Pan Lowell ma imponujące kwalifikacje, w tym tytuły doktora medycyny i chemii, uzyskane w jednych z najbardziej szacownych uczelni naszego kraju. Co niezwykle, znalazł nawet czas, by odbyć staż jako lekarz internista. Otrzymał liczne nagrody za swe dokonania naukowe i zajmował prestiżowe stanowiska w zakładach farmaceutycznych Mercka i na Uniwersytecie Harvarda. Witamy, doktorze Lowell.

– Dziękuję, panie senatorze – odparł Daniel. Przesunął się naprzód na krześle. – Doceniam pańskie życzliwe uwagi na temat mojego życiorysu zawodowego, ale, jeśli mogę, chciałbym od razu zaprotestować przeciwko pewnemu konkretnemu sformułowaniu z pańskiego wstępu.

– Proszę bardzo – odparł Ashley.

– HTRS i klonowanie terapeutyczne nie mają nic, powtarzam, nic wspólnego z kawałkowaniem embrionów. – Daniel mówił powoli, podkreślając każde słowo. – Komórki terapeutyczne są pobierane, zanim zaczną formować się zarodek, ze struktury zwanej blastocystą.

– Czy zaprzecza pan, że blastocysta jest zaczątkiem ludzkiego życia?

– Blastocysta jest ludzkim życiem, ale kiedy zostaje rozdzielona, jej komórki nie różnią się od tych, które ściera pan z własnych dziąseł przy energicznym szczotkowaniu zębów.

– Nie sądzę, żebym szczotkował je aż tak energicznie – stwierdził Ashley, prychnając krótkim śmiechem. Kilka osób z publiczności zawtórowało mu.

– Wszyscy tracimy żywe komórki nabłonka.

– Być może, ale te komórki nabłonka nie przekształcają się w zarodki, tak jak blastocysty.

– Mogą to zrobić – oświadczył Daniel. – W tym cała rzecz. Jeśli komórka nabłonka zostanie połączona z komórką jajową, z której wcześniej usunięto jądro, i kombinacja ta zostanie zaktywizowana, może rozwinąć się w zarodek.

– Tak jak robi się w procesie klonowania.

– Otóż to – przyznał Daniel. – Blastocysty mogą przekształcić się w zdolne do życia zarodki, ale tylko po wszczepieniu do macicy. W klonowaniu terapeutycznym nigdy do tego nie dochodzi.

– Wydaje mi się, że grzęźniemy w kwestiach semantycznych – stwierdził niecierpliwie Ashley.

– To istotnie kwestie semantyczne – przyznał Daniel. – Ale o ogromnym znaczeniu. Ludzie muszą zrozumieć, że w klonowaniu terapeutycznym i w HTRS nie mamy do czynienia z zarodkami.

– Pańska opinia na temat mojego przemówienia wstępnego została sumiennie odnotowana – oświadczył Ashley. – Chciałbym, żebyśmy zajęli się teraz samą procedurą. Czy zechciałby pan przedstawić ją dla wiadomości nas tu obecnych i dla oficjalnego zaprotokołowania?

– Z przyjemnością – odparł Daniel. – Homologiczna transgeniczna rekombinacja segmentalna to nazwa, jaką nadaliśmy procedurze, która polega na zastąpieniu odpowiedzialnego za określoną chorobę odcinka DNA danej osoby homologicznym, zdrowym odcinkiem. Dokonuje się tego w jądrze jednej z komórek pacjenta, która następnie staje się materiałem wyjściowym dla klonowania terapeutycznego.

– Chwileczkę – przerwał mu Ashley. – Jestem już zdezorientowany i myślę, że większość słuchaczy również. Zobaczmy, czy dobrze to rozumiem. Mówi pan o pobraniu komórki od chorej osoby i modyfikacji jej DNA przed wykonaniem klonowania terapeutycznego.

– Zgadza się – przyznał Daniel. – Chodzi o wymianę małego fragmentu DNA komórki, odpowiedzialnego za chorobę danej osoby.

– A klonowanie terapeutyczne wykonuje się, by wytworzyć większą liczbę tych komórek do leczenia pacjenta.

– To też się zgadza! Za pomocą odpowiednich hormonów wzrostu skłania się te komórki do przekształcenia się w typ komórek, jakiego potrzebuje pacjent. A dzięki HTRS nie wykazują one już genetycznej skłonności do odnowienia leczonej choroby. Kiedy zostaną wprowadzone do organizmu pacjenta, efektem jest nie tylko wyleczenie, ale także usunięcie genetycznej tendencji do ponownego zapadnięcia na tę samą chorobę.

– Być może moglibyśmy porozmawiać o jakiejś konkretnej chorobie – zaproponował Ashley. – To powinno być dla nas, laików, łatwiejsze do zrozumienia. Z artykułów, które pan opublikował, wnioskuję, że jedną z dolegliwości, jakie pańskim zdaniem będą dawały się wyleczyć tą metodą, jest choroba Parkinsona.

– Istotnie – odparł Daniel. – Jak również wiele innych schorzeń, od choroby Alzheimera i cukrzycy począwszy, na niektórych postaciach artretyzmu skończywszy. Jest to imponująca lista chorób, z których wiele dotychczas nie poddawało się terapii, nie mówiąc już o całkowitym wyleczeniu.

– Skoncentrujemy się na razie na chorobie Parkinsona – powiedział Ashley. – Dlaczego sądzi pan, że HTRS okaże się skuteczne przy tej dolegliwości?

– Dlatego, że w przypadku choroby Parkinsona mamy to szczęście, że możemy prowadzić badania na myszach – wyjaśnił Daniel. – Te myszy cierpią na chorobę Parkinsona, co oznacza, że w ich mózgach brakuje komórek nerwowych, wytwarzających substancję zwaną dopaminą, która spełnia rolę neuroprzekaźnika, a ich postać choroby jest dokładnym odpowiednikiem ludzkiej postaci. Wzięliśmy te zwierzęta, wykonaliśmy HTRS i doprowadziliśmy do trwałego wyleczenia.

– To imponujące – przyznał Ashley.

– Jest to jeszcze bardziej imponujące, kiedy można to zobaczyć na własne oczy.

– Komórki są wstrzykiwane.

– Tak.

– I nie ma z tym żadnych problemów?

– Nie, absolutnie – odparł Daniel. – Ta sama technika jest już stosowana u ludzi w ramach innych terapii. Wstrzykiwanie musi być przeprowadzone starannie, w kontrolowanych warunkach, ale na ogół nie ma z tym najmniejszych problemów. U naszych myszy nie zaobserwowaliśmy żadnych niekorzystnych efektów.

– Czy wyleczenie następuje wkrótce po wstrzyknięciu?

– Z naszych doświadczeń wynika, że objawy choroby Parkinsona zaczynają ustępować natychmiast – oświadczył Daniel. – I proces ten przebiega bardzo szybko. U myszy, które leczylimy, było to naprawdę niesamowite. Po upływie tygodnia osobniki poddane kuracji były nieodróżnialne od zdrowej grupy kontrolnej.

– Przypuszczam, że nie może się pan doczekać, by wypróbować tę metodę na ludziach – podsunął Ashley.

– Zdecydowanie – przyznał Daniel, kiwając głową dla podkreślenia swych słów. – Kiedy zakończymy nasze szybko postępujące badania na zwierzętach, chcielibyśmy załatwić formalności w Urzędzie Żywności i Leków, by móc rozpocząć próby na ludziach w kontrolowanych warunkach.

Ashley zauważył, że Daniel zerknął na swą towarzyszkę, a nawet przelotnie uściśnął jej dłoń. Uśmiechnął się w duchu, wyczuwając, że uczony sądzi, iż przesłuchanie przebiega pomyślnie. Nadszedł czas, by sprostować to mylne mniemanie.

– Proszę mi powiedzieć, doktorze Lowell – odezwał się Ashley. – Czy kiedykolwiek słyszał pan powiedzenie: Jeśli coś brzmi zbyt dobrze, by mogło być prawdą, najpewniej nią nie jest?

– Oczywiście.

– Cóż, myślę, że HTRS jest tego znakomitym przykładem. Niezależnie od semantycznego sporu o to, czy zarodki są, czy nie są kawałkowane, procedura ta stwarza inny poważny problem etyczny.

Przerwał na chwilę dla większego efektu. Na sali zapanowała kompletna cisza.

– Panie doktorze – zaczął znów, przybierając protekcyjny ton. – Czy czytał pan może ową klasyczną powieść Mary Shelley pod tytułem Frankenstein?

– HTRS nie ma nic wspólnego z mitem Frankensteina – oświadczył z oburzeniem Daniel, dając do zrozumienia, że doskonale wie, do czego zmierza Ashley. – Przywoływanie go w tym miejscu to nieodpowiedzialna próba wykorzystania powszechnych lęków i nieporozumień.

– Pozwolę sobie się z tym nie zgodzić – odparł Ashley. – W istocie myślę, że Mary Shelley musiała przeczuwać pojawienie się HTRS i dlatego właśnie napisała tę powieść.

Słuchacze znów wybuchnęli śmiechem. Nie ulegało wątpliwości, że chłoną każde słowo i doskonale się bawią.

– Wiem, że nie mogę równać się z panem wykształceniem, ale czytałem Frankenstein, którego podtytuł brzmi Nowoczesny Prometeusz, i moim zdaniem podobieństwa są uderzające. Jeśli dobrze rozumiem, słowo „transgeniczna”, które pojawia się w zawilej nazwie pańskiej procedury, oznacza, że bierze się fragmenty genomów różnych osób i łączy je razem tak, jak robi się ciasto. Dla mnie, zwykłego prowincjusza, nie różni się to zbyt od tego, co zrobił Wiktor Frankenstein, gdy pozszywał razem części ciała wzięte z różnych zwłok, by stworzyć swoje monstrum. Wykorzystał nawet elektryczność, dokładnie tak, jak wy to robicie przy klonowaniu.

– W HTRS łączymy stosunkowo krótkie odcinki DNA, nie całe narządy – zaprotestował żywo Daniel.

– Proszę się uspokoić, panie doktorze! – odparł Ashley. – To nie jest kłótnia, ale przesłuchanie mające na celu ustalenie faktów. Zmierzam do tego, że w swojej procedurze bierze pan fragmenty jednej osoby i wprowadza je do ciała innej. Czyż nie tak?

– Na poziomie molekularnym.

– Nie interesuje mnie, na jakim poziomie się to odbywa – uciął Ashley. – Chcę tylko ustalić fakty.

– Medycyna już od dawna transplantuje narządy – warknął Daniel. – Ogół społeczeństwa nie widzi w tym moralnego problemu, wręcz przeciwnie, a przeszczepy narządów są z pewnością lepszą analogią do HTRS niż dziewiętnastowieczna powieść Mary Shelley.

– Kiedy mówił pan o leczeniu choroby Parkinsona, przyznał pan, że zamierza wstrzykiwać tych małych, molekularnych Frankensteinów, których chce pan fabrykować, tak że trafiłyby do ludzkich mózgow. Przykro mi, panie doktorze, ale jak dotąd nie mieliśmy zbyt wiele przeszczepów mózgu w ramach naszych programów, więc uważam, że ta analogia jest zupełnie chybiona. Wstrzykiwanie części jednej osoby do mózgu innej jest moim zdaniem rzeczą niedopuszczalną, a opieram się tutaj na Biblii.

– Terapeutyczne komórki, które tworzymy, nie są molekularnymi Frankensteinami – odparł gniewnie Daniel.

– Pańska opinia została sumiennie odnotowana – oświadczył Ashley. – Przejdźmy dalej.

– To farsa! – wykrzyknął z oburzeniem Daniel, wyrzucając w górę ręce.

– Panie doktorze, przypominam panu, że znajduje się pan na posiedzeniu podkomisji senatu, gdzie obowiązuje przestrzeganie określonych zasad. Wszyscy jesteśmy rozsądnymi ludźmi, którzy powinni okazywać sobie nawzajem szacunek, jednocześnie dokładając wszelkich starań, by zgromadzić możliwie pełne dane na zajmujący nas temat.

– Staje się coraz bardziej jasne, że to przesłuchanie zostało zorganizowane jedynie dla zachowania pozorów. Nie przyszedł pan tu po to, by z otwartym umysłem zasięgnąć informacji na temat HTRS, jak próbuje pan wielkodusznie dać do zrozumienia. Wykorzystuje pan po prostu to posiedzenie, by grać na emocjach publiczności zawczasu przygotowanymi frazesami.

– Chciałbym uświadomić panu – oświadczył protekcyjnie Ashley – że tego rodzaju agresywne stwierdzenia i oskarżenia są szczególnie niemile widziane przez Kongres. To nie jest Crossfire ani jakaś inna szopka medialna. Jednak nie będę brał sobie tego do serca. Zamiast tego jeszcze raz zapewniam pana, że pańska opinia została należycie zaprotokołowana, i jak powiedziałem, chciałbym przejść do kolejnych punktów. Nie można oczekiwać, że jako twórca HTRS będzie pan całkowicie obiektywny w ocenie moralnych reperkusji tej procedury, tym niemniej chciałbym zadać panu kilka pytań w tej kwestii. Przedtem jednak muszę przyznać, że nie sposób było nie zauważyć tej oszałamiająco pięknej damy, która siedzi obok pana przy stole dla świadków. Czy przyszła tu, by pomóc panu w zeznaniach? Jeśli tak, to może powinien pan ją nam oficjalnie przedstawić.

– To doktor Stephanie D’Agostino – rzucił Daniel. – Moja współpracowniczka.

– Jeszcze jedna doktor medycyny i nauk ścisłych? – zapytał Ashley.

– Mam tytuł doktora, ale nie jestem lekarzem – powiedziała Stephanie, pochylając się do mikrofonu. – I panie przewodniczący, chciałabym przyłączyć się do zdania doktora Lowella na temat stronniczego sposobu, w jaki prowadzone jest to przesłuchanie, choć może bez posługiwania się tak zapalczywymi słowami. Jestem głęboko przekonana, że aluzje do mitu Frankenstein’a w odniesieniu do HTRS są niestosowne, gdyż grają na najbardziej podstawowych ludzkich lękach.

– Jestem rozczarowany – odparł Ashley. – Zawsze zdawało mi się, że wy, absolwenci renomowanych uczelni, z zamiłowaniem robicie aluzje do najrozmaitszych arcydzieł literatury, a tu, gdy jeden jedyny raz spróbowałem dostosować się do tego tonu, słyszę nagle, że to niestosowne. Czy to sprawiedliwe, tym bardziej że doskonale pamiętam, jak uczono mnie w mojej małej szkółce baptystów, że Frankenstein jest, między innymi, przestrogą przed moralnymi konsekwencjami niekontrolowanego naukowego materializmu? Moim zdaniem z tego powodu odwołanie się do tej książki jest tu wyjątkowo właściwe. Ale dość już o tym! To jest przesłuchanie, nie dyskusja literacka.

Wykorzystując krótką pauzę, Rób podszedł z tyłu do Ashleya i poklepał go w ramię.



Senator zakrył mikrofon dłonią, by nie przechwycił słów jego współpracownika.

– Panie senatorze – szepnął Rób do ucha Ashleya. – Gdy tylko dziś rano wpłynęła do nas prośba o pozwolenie na udział doktor D’Agostino w dzisiejszym przesłuchaniu, szybko zasięgnęliśmy podstawowych informacji na jej temat. To absolwentka Harvardu. Pochodzi z bostońskiego North Endu.

– I co z tego wynika?

Rób wzruszył ramionami.

– To być może zbieg okoliczności, ale nie sędzę. Tym postawionym w stan oskarżenia inwestorem firmy doktora Lowella, o którym poinformowało nas FBI, także jest niejaki D’Agostino z North Endu. Prawdopodobnie są spokrewnieni.

– No, no – mruknął Ashley. – To interesujące. – Wziął kartkę, którą podał mu Rób, i położył ją obok sprawozdania finansowego firmy Daniela. Z trudem powstrzymał się, by nie uśmiechnąć się na tak nieoczekiwany dar losu. – Doktor D’Agostino – przemówił do mikrofonu, odsuwając dłoń. – Czy nie jest pani przypadkiem spokrewniona z Anthonym D’Agostino, zamieszkałym przy Acorn Street 14 w Medford w stanie Massachusetts?

– To mój brat.

– I jest to ten sam Anthony D’Agostino, który został postawiony w stan oskarżenia za wymuszanie okupu?

– Niestety tak – przyznała Stephanie. Zerknęła na Daniela, który wpatrywał się w nią z niedowierzaniem.

– Doktorze Lowell – ciągnął Ashley. – Czy zdawał pan sobie sprawę, że jeden z pańskich pierwszych i chyba głównych inwestorów jest oskarżony o takie przestępstwo?

– Nie, nie wiedziałem o tym – odparł Daniel. – Ale on wcale nie jest głównym inwestorem.

– Hmm – mruknął Ashley. – Moim zdaniem kilkaset tysięcy dolarów to sporo pieniędzy. Ale nie będziemy spierać się o szczegóły. Przypuszczam, że ten człowiek nie zasiada w zarządzie pańskiej firmy?

– Nie.

– Co za ulga. I sędzę, że możemy też przyjąć, że oskarżony o wymuszanie okupu Anthony D’Agostino nie jest członkiem rady etycznej, którą, jak rozumiem, pańska firma posiada.

Wśród publiczności rozległy się stłumione chichoty.

– Nie jest członkiem naszej rady etycznej – uciął Daniel.

– To także ulga. Porozmawiajmy teraz przez chwilę o pańskiej firmie – podjął Ashley. – Jej nazwa brzmi CURE, co jak się domyślam, jest jakimś akronimem.

– Zgadza się – odparł Daniel z westchnieniem, jak gdyby cała procedura zaczęła go już nudzić. – To skrót od Cellular Replacement Enterprises.

– Przykro mi, jeśli jest pan zmęczony tym przesłuchaniem, panie doktorze – powiedział

Ashley. – Postaram się zakończyć sprawę tak szybko, jak się da. Ale rozumiem, że pańska firma stara się uzyskać drugą turę płatności od inwestorów instytucjonalnych, z HTRS jako pańską główną własnością intelektualną. Czy pańskim ostatecznym zamiarem jest wprowadzenie firmy na giełdę przez zgłoszenie pierwszej oferty publicznej?

– Tak – odparł krótko Daniel. Odchylił się na oparcie krzesła.

– To, co teraz powiem, jest poza protokołem – oświadczył Ashley. Obrócił się w lewo. – Chciałbym zapytać szanownego senatora z prześwietnego stanu Montana, czy nie sądzi, że Komisję Papierów Wartościowych i Giełd mogłoby zainteresować to, że jeden z pierwszych inwestorów firmy, która zamierza wejść na giełdę, jest oskarżony o wymuszanie okupu. Chodzi mi o to, że pojawia się tu kwestia przyzwoitości. Pieniądze uzyskane z szantażu, a może nawet, o ile nam wiadomo, prostytucji, są prane dzięki uruchomieniu firmy biotechnologicznej.

– Myślę, że bardzo by ich to zainteresowało – przyznał senator z Montany.

– Też tak uważam – stwierdził Ashley. Spojrzał znów w swoje notatki, po czym przeniósł wzrok na Daniela. – Rozumiem, że owa druga tura płatności została wstrzymana ze względu na S. 1103 i na fakt, że Izba Reprezentantów już zatwierdziła swoją wersję ustawy. Czy to prawda?

Daniel skinął głową.

– Musi pan odpowiadać ustnie, w celu zaprotokołowania – upomniał go Ashley.

– Prawda – odparł Daniel.

– Rozumiem też, że pańskie koszty własne, to znaczy sumy, jakie pan obecnie wydaje, by utrzymać się na powierzchni, są bardzo wysokie, i że jeśli nie otrzyma pan owej drugiej tury płatności, stanie pan w obliczu bankructwa.

– Zgadza się.

– To przykre – stwierdził Ashley ze wszystkimi pozorami współczucia. – Jednak dla celów naszego przesłuchania muszę przyjąć, że pański obiektywizm w odniesieniu do moralnych aspektów HTRS jest mocno wątpliwy. To znaczy, cała przyszłość pańskiej firmy zależy od tego, by S. 1103 nie przeszła. Czyż nie tak, panie doktorze?

– Uważam, i pozostanę przy tej opinii, że rzeczą moralnie niewłaściwą jest nie kontynuować badań, a potem nie wykorzystywać HTRS do leczenia niezliczonych cierpiących istot ludzkich.

– Pańska opinia została odnotowana – oświadczył Ashley. – Ale dla porządku chciałbym zaznaczyć, że doktor Daniel Lowell uchylił się od odpowiedzi na zadane pytanie.

Ashley opadł na oparcie krzesła i spojrzał w prawo.

– Nie mam więcej pytań do tego świadka. Czy ktoś z moich szanownych kolegów ma jakieś pytania?

Powiódł wzrokiem po twarzach siedzących na podium senatorów.

– Doskonale – powiedział. – Podkomisja do spraw polityki zdrowotnej dziękuje

doktorowi Lowellowi i doktor D'Agostino za łaskawą pomoc. Prosimy o wprowadzenie następnego świadka: pana Harolda Mendesa z organizacji Prawo do Życia.

## **Rozdział trzeci**

### **11.05, czwartek, 21 lutego 2002**

Stephanie wypatrzyła taksówkę w sznurze nadjeżdżających samochodów i z nadzieją uniosła rękę. Wraz z Danielem skorzystali z rady, którą dał im pracownik ochrony gmachu senatu, i przeszli pieszo na Constitution Avenue, aby złapać tam taksówkę, ale jak dotąd nie mieli zbyt wiele szczęścia. Pogoda, rano zapowiadająca się jeszcze stosunkowo nieźle, zmieniła się na gorsze. Od wschodu napłynęły ciemne, ciężkie chmury, co przy temperaturze wahającej się w okolicach zera mogło nawet zapowiadać śnieg. Najwyraźniej w takich warunkach popyt na taksówki znacznie przewyższał podaż.

– Jedzie! – burknął Daniel, jak gdyby Stephanie miała coś wspólnego z brakiem taksówek. – Nie przepuść jej!

– Widzę ją – odparła Stephanie równie szorstkim tonem.

Od opuszczenia sali posiedzeń praktycznie nie odzywali się do siebie, jeśli nie liczyć krótkiej wymiany zdań niezbędnej dla podjęcia decyzji, czy przejść na Constitution Avenue. Analogicznie do gromadzących się na niebie chmur, ich nastroje w miarę postępów porannego przesłuchania stawały się coraz bardziej ponure.

– Cholera! – mruknęła Stephanie, gdy taksówka przemknęła obok. Wyglądało to tak, jak gdyby kierowca miał klapki na oczach. Stephanie zrobiła wszystko z wyjątkiem rzucenia się pod pędzące samochody.

– Przepuściłaś ją – stwierdził z wyrzutem Daniel.

– Przepuściłam? – wybuchnęła Stephanie. – Machałam ręką. Gwizdałam. Podskakiwałam nawet. Nie widziałam, żebyś ty kiwnął choć palcem.

– Co my, u diabła, zrobimy? – zapytał Daniel. – Zimno tu jak na Syberii.

– No cóż, Einsteinie, jeśli masz jakiś genialny pomysł, to powiedz.

– Co? Czy to moja wina, że nie ma taksówek?

– Moja też nie – odpaliła Stephanie.

Oboje skulili się w daremnej próbie uchronienia się przed zimnem, ale z rozmysłem

trzymali się od siebie na dystans. Żadne z nich nie zabrało na tę podróż porządnego zimowego płaszcza. Sądziło, że nie będą ich potrzebować, skoro udają się czterysta mil na południe.

– Jedzie następna – odezwał się Daniel.

– Twoja kolej.

Z uniesioną ręką Daniel zapuścił się na jezdnię tak daleko, jak tylko się odważył, musiał jednak cofnąć się niemal natychmiast, gdy kątem oka dostrzegł na prawym pasie jadącą prosto na niego furgonetkę. Machał rękami i krzyczał, ale taksówka minęła go w masie pojazdów, nawet nie zwalniając.

– Dobra robota – zauważyła Stephanie.

– Zamknij się!

Mieli już właśnie dać za wygraną i ruszyć pieszo na zachód przez Constitution Avenue, gdy usłyszeli klakson. Inny taksówkarz stał na światłach na skrzyżowaniu Pierwszej i Constitution, i widział wyczyny Daniela. Po zmianie świateł skręcił w lewo i zjechał do krawężnika.

Stephanie i Daniel wsiedli do środka i zapięli pasy.

– Dokąd? – zapytał kierowca, spoglądając na nich we wstecznym lusterku. Miał na głowie turban i był tak brązowy, jak gdyby właśnie spędził tydzień na Saharze.

– Hotel Cztery Pory Roku – odparła Stephanie.

Jechali w milczeniu, każde ze wzrokiem wbitym w swoje okno.

– To przesłuchanie poszło tak fatalnie, że gorzej chyba być nie mogło – odezwał się wreszcie Daniel.

– Święte słowa – przyznała Stephanie.

– Nie ma wątpliwości, że ten skurczybyk Butler przepchnie swój projekt ustawy, a kiedy to nastąpi, jak zapewniła mnie Biotechnology Industry Organization, pełna komisja i sam senat też opowiedzą się za jej przyjęciem.

– Więc żegnaj, CURE.

– To wstyd, że w tym kraju badania medyczne są zdane na łaskę i niełaskę demagogicznych polityków – warknął Daniel. – Nie powinienem był w ogóle zawracać sobie głowy przyjazdem do Waszyngtonu.

– Cóż, może i racja. Może byłoby lepiej, gdybym przyjechała sama. Z pewnością nie pomogłeś sprawie, mówiąc Ashleyowi, że gra pod publiczność i nie ma otwartego umysłu.

Daniel odwrócił się i utkwiał wzrok w potylicy Stephanie.

– Co proszę? – wykrztusił.

– Nie powinienem był się unosić.

– Nie wierzę własnym uszom – oświadczył ze zdumieniem Daniel. – Chcesz dać do zrozumienia, że ten gówniany wynik to moja wina?

Stephanie odwróciła się, by spojrzeć mu w oczy.

– Wrażliwość na uczucia innych nie jest twoją najmocniejszą stroną. A to przesłuchanie było tego znakomitym przykładem. Kto wie, jak mogłoby się zakończyć, gdybyś nie stracił głowy. Atakowanie go w taki sposób było nierozsądne, bo uniemożliwiło ewentualny dialog, jaki bylibyście może w stanie nawiązać. To wszystko, co chciałam powiedzieć.

Błada twarz Daniela poczerwieniała.

– To przesłuchanie było jedną wielką farsą!

– Być może, ale to nie usprawiedliwia mówienia tego Butlerowi prosto w oczy, ponieważ dzięki temu zdusiłeś w zarodku wszelką szansę na sukces, jaką być może mieliśmy, choćby nie wiem jak znikomą. Myślę, że on celowo starał się wyprowadzić cię z równowagi, żebyś zrobił niekorzystne wrażenie, i udało mu się. To był jego sposób na podważenie twojej wiarygodności jako świadka.

– Denerwujesz mnie.

– Daniel, jestem zirytowana tym wynikiem tak samo jak ty.

– Tak, ale mówisz, że to moja wina.

– Nie. Mówię, że twoje zachowanie nie pomogło sprawie. To różnica.

– Cóż, twoje zachowanie również nie pomogło sprawie. Jak to się stało, że nigdy nie wspomniałaś mi, że twój brat jest oskarżony o wymuszanie okupu? Powiedziałaś tylko, że jest doświadczonym inwestorem. Też mi doświadczenie! I w znakomitym momencie dowiaduję się o tej śmierdzącej sprawie.

– To było po tym, jak został inwestorem, i pisano o tym w bostońskich gazetach. Więc nie jest tak, żebym robiła z tego jakąś tajemnicę, po prostu nie miałam ochoty rozmawiać o tym, przynajmniej na razie. Sądziłam, że nie wspominasz o tym, bo chcesz być taktowny. Ale powinnam była być mądrzejsza.

– Nie miałaś ochoty o tym rozmawiać? – powtórzył Daniel z przesadnym zdumieniem. – Wiesz, że nie zaprzęłam sobie głowy czytaniem głupich bostońskich szmat. Więc skąd niby miałem się o tym dowiedzieć? A prędzej czy później musiałbym się dowiedzieć, bo Butler miał rację. Gdybyśmy wystąpili z pierwszą ofertą publiczną, wyszłoby na jaw, że jeden z naszych inwestorów jest przestępcą, i wszystko wzięłoby w łeb.

– Jest tylko oskarżony – oświadczyła Stephanie. – Jeszcze nie ogłoszono wyroku. Pamiętaj, że w naszym systemie prawnym człowiek jest niewinny, dopóki nie udowodnią mu winy.

– To dość kulawa wymówka, żeby nie wspomnieć mi o tym – warknął Daniel. – A udowodnią mu winę?

– Nie wiem. – Głos Stephanie stracił swą ostrość. Dręczyły ją wyrzuty sumienia, że nie była bardziej szczerą z Danielem co do swego brata. Od czasu do czasu nachodziła ją myśl, żeby wspomnieć o jego kłopotach z prawem, ale zawsze odkładała to do jutra, które nigdy nie nadeszło.

– Nie masz najmniejszego pojęcia? Jakoś nie chce mi się w to wierzyć.

– Miałam pewne podejrzenia – przyznała Stephanie. – Podobne podejrzenia miałam co do ojca, a Tony w zasadzie przejął jego interesy.

– O jakich interesach mówisz?

– Nieruchomości i kilka restauracji, plus kawiarnia na Hanover Street.

– To wszystko?

– Tego właśnie nie wiem. Jak mówię, miałam pewne podejrzenia, na przykład z powodu ludzi, którzy przychodzili i wychodzili z naszego domu o różnych porach dnia i nocy, albo odsyłania kobiet i dzieci z jadalni po zakończeniu rodzinnych obiadów, żeby mężczyźni mogli swobodnie porozmawiać. Z perspektywy czasu wydaje mi się, że pod wieloma względami mogliśmy uchodzić za typowy przykład włosko-amerykańskiej rodziny mafijnej. Oczywiście nie odbywało się to na taką skalę, jaką ogląda się na filmach gangsterskich, ale zasady były podobne. Od nas, kobiet, oczekiwano, że będziemy żyć pomiędzy domem a kościołem, trzymając się z dala od wszelkich interesów. Prawdę mówiąc, było to dla mnie żenujące, bo my, dzieciaki, byliśmy traktowani inaczej w sąsiedztwie. Nie mogłam się doczekać, żeby się stamtąd wyrwać, a byłam dość sprytna, by zrozumieć, że najlepszym sposobem na to jest dobrze się uczyć.

– Wiem, jak to jest – przyznał Daniel. Jego głos także stracił poprzednią ostrość. – Mój ojciec też brał się do różnych interesów, niektóre na granicy prawa. Problem polegał na tym, że wszystkie kończyły się plajtą, przez co on, a z czasem także moje rodzeństwo i ja, staliśmy się obiektem żartów w miasteczku Revere, zwłaszcza w szkole, przynajmniej ci z nas, którzy nie należeli do elity, a ja z pewnością do niej nie należałam. Mojego ojca nazywano „Lowell Nieudacznik” i niestety ten przydomek miał skłonność do przechodzenia na nas wszystkich.

– W moim przypadku było odwrotnie – stwierdziła Stephanie. – Traktowano nas ze swoistym szacunkiem, co nie było zbyt miłe. Wiesz, jak nastolatki lubią wtapiać się w tło. Cóż, w moim przypadku było to niemożliwe, a ja nie wiedziałam nawet dlaczego. Nienawidziłam tego.

– Jak to się stało, że nigdy nie powiedziałaś mi o tym wszystkim?

– Jak to się stało, że nigdy nie powiedziałeś mi o swojej rodzinie nic więcej ponad to, że masz ośmioro rodzeństwa, z których nikogo, mogłabym dodać, nigdy nie spotkałam? Ja przynajmniej pytałam o twoją rodzinę przy paru okazjach.

– Trafna uwaga – przyznał wymijająco Daniel. Jego wzrok powędrował za okno, gdzie widać było kilka samotnych płatków śniegu, tańczących w podmuchach wiatru. Wiedział, że tak naprawdę nigdy nie poruszał tego tematu z tego powodu, że jej rodzina obchodziła go równie mało, jak jego własna. Odchrząknął i odwrócił się z powrotem do Stephanie. – Być może nie rozmawialiśmy o naszych rodzinach dlatego, że oboje wstydziliśmy się swojego dzieciństwa. A może dochodziło do tego także nasze zaabsorbowanie pracą naukową i zakładaniem firmy.

– Być może – przytaknęła Stephanie bez większego przekonania. Zapatrzyła się w widok

za przednią szybą. – To prawda, że uczelnia zawsze była dla mnie azylem. Oczywiście mój ojciec nigdy się z tym nie pogodził, ale to tylko zwiększało moją determinację. Do licha, on uważał, że w ogóle nie powinnam iść na studia. Twierdził, że to strata czasu i pieniędzy, że mam po prostu wyjść za mąż i rodzić dzieci, jak było pięćdziesiąt lat temu.

– Mój ojciec dosłownie się wstydził, że dobrze się uczę. Mówił wszystkim, że musiałem to przejąć po matce, jak gdyby chodziło o jakąś dziedziczną chorobę.

– A twoje rodzeństwo? Z nimi było tak samo?

– Do pewnego stopnia tak, bo ojciec był człowiekiem na tyle małostkowym, by zwać na nas winę za swoje niepowodzenia. Wiesz, rzekomo nadszarpywaliśmy kapitał, którego potrzebował, żeby naprawdę rozkręcić to, co w danej chwili było jego genialnym pomysłem na biznes. Ale moi bracia, którzy byli dobrzy z WF-u, mieli u niego trochę większe względy, przynajmniej dopóki jeszcze chodzili do szkoły, bo ojciec miał bzika na punkcie sportu. Wróćmy jednak do twojego brata Tony'ego. Czyj to był pomysł, żeby zainwestował w CURE? Twój czy jego? – Głos Daniela odzyskał nieco ze swej wcześniejszej szorstkości.

– Znow zaczyna się kłótnia?

– Po prostu odpowiedz na pytanie!

– Jaka to różnica?

– Było olbrzymim błędem pozwolić, by potencjalny – lub prawdziwy, jak może się okazać – mafioso inwestował w naszą firmę.

– To był nasz wspólny pomysł – odparła Stephanie. – W przeciwieństwie do mojego ojca, Tony ostatnio zaczął interesować się tym, co robię. Powiedziałam mu, że biotechnologia jest dobrą lokatą dla jego dochodów z restauracji.

– Znakomicie! – wykrzyknął z przekąsem Daniel. – Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, że inwestorzy na ogół nie lubią tracić pieniędzy, nawet jeśli zostali należycie ostrzeżeni o ryzyku związanym z firmami dopiero rozpoczynającymi działalność. Przypuszczam, że w odniesieniu do mafiosa podobne stwierdzenie jest eufemizmem. Słyszałaś kiedykolwiek o takich przykrościach jak roztrzaskane rzepki?

– Rany boskie, przecież to mój brat! Nie będzie żadnego rozbijania kolan.

– Tak, ale ja nie jestem jego bratem.

– Jak możesz w ogóle sugerować coś takiego? – wybuchnęła Stephanie. Odwróciła głowę, by spojrzeć przez okno. Na ogół, dzięki podziwowi, jaki żywiła dla naukowych talentów Daniela, miała dość cierpliwości, by znosić jego uszczypliwość, egocentryzm i aspołeczne nastawienie, ale w tej chwili, w dodatku po wydarzeniach poranka, jej cierpliwość wyczerpała się prawie do zera.

– W tej sytuacji nie mam specjalnie ochoty kiblować w Waszyngtonie przez kolejną noc – oświadczył Daniel. – Myślę, że powinniśmy spakować rzeczy, wymeldować się i wracać najbliższym samolotem do Bostonu.

– Jestem za – odparła krótko Stephanie.



Gdy Daniel płacił za kurs, Stephanie wysiadła z taksówki i skierowała się prosto do holu hotelowego, niejasno tylko zdając sobie sprawę, że on rusza tuż za nią. Była na tyle wytrącona z równowagi, że zastanawiała się, co zrobi, kiedy oboje wrócą do Bostonu. W jej obecnym stanie ducha myśl o powrocie do mieszkania Daniela w Cambridge nie wydawała się zbyt pociągająca. Sugestia Daniela, że jej rodzony brat może być tak nikczemny, by zniżyć się do fizycznej przemocy, zirytowała ją. Nie wykluczała, że jej rodzina para się lichwą lub inną wątpliwą działalnością, ale mogłaby przysiąc, że nigdy nikomu nie stała się krzywda.

– Doktor D’Agostino, przepraszam! – zawołał głośno jeden z recepcjonistów.

Ten nieoczekiwany okrzyk zaskoczył Stephanie do tego stopnia, że stanęła jak wryta na środku holu. Daniel wpadł na nią, wpuszczając przy tym tekturową teczkę, którą niósł w ręce.

– Rany boskie! – warknął, kucając, by pozbierać papiery, które wysypały się z teczki. Jeden z boyów rzucił się do pomocy. Na kartkach widniały fachowo rozrysowane schematy HTRS. Daniel zabrał je ze sobą na przesłuchanie, na wypadek gdyby uznał za konieczne rozdać je wśród obecnych dla lepszego uzmysłowienia im, na czym polega procedura. Niestety, nie było po temu okazji.

Kiedy wyprostował się, Stephanie zdążyła już wrócić od biurka recepcjonisty.

– Mogłaś mnie uprzedzić, że się zatrzymujesz – burknął z wyrzutem.

– Kto to jest Carol Manning? – zapytała Stephanie.

– Nie mam zielonego pojęcia. Dlaczego pytasz?

– Dostałaś od niej pilną wiadomość. – Stephanie podała mu świstek papieru.

Daniel szybko przebiegł go wzrokiem.

– Mam do niej zadzwonić. Podobno to bardzo pilne. Jak może być bardzo pilne, skoro nie wiem nawet, kim ona jest?

– Jaki jest kierunkowy? – zapytała Stephanie, zaglądając mu przez ramię.

– Dwa zero dwa! – odparł Daniel. – Gdzie to jest, nie wiesz czasem?

– Oczywiście, że wiem! To stąd, z Dystryktu Kolumbii.

– Waszyngton! – wykrzyknął Daniel. – Cóż, to załatwia sprawę. – Zmiał notatkę, podszedł do recepcji i poprosił jednego z pracowników, by umieścił ją w skoroszycie.

Stephanie stała bez ruchu. Jej umysł gorączkowo pracował, kiedy przyglądała się, jak Daniel rusza w stronę wind. Tknięta nagłym impulsem podbiegła do recepcji, zabrała kartkę pracownikowi, który wciąż jeszcze ścisnął ją w garści, zajęty rozmową z innym z gości, i popędziła za Danielem.

– Myślę, że powinieneś zadzwonić – powiedziała lekko zdyszana, kiedy go dogoniła.

– Och, doprawdy? – zapytał wyniośle. – Nie wydaje mi się.

Winda przyjechała i Daniel wszedł do środka. Stephanie wsiadła za nim.

– Nie, naprawdę sędzę, że powinieneś zadzwonić. Ostatecznie co masz do stracenia?

– Resztkę poczucia własnej wartości – odparł Daniel.

Winda ruszyła w górę. Daniel wbił wzrok we wskaźnik pięt. Stephanie wbiła wzrok w Daniela. Drzwi otworzyły się. Wyszli na korytarz.

– Wydaje mi się, że poznaję prefiks. Pamiętam, że kiedy tydzień temu dzwoniłam do biura senatora Ashleya Butlera, numer zaczynał się od dwa dwa cztery. Ten chyba też, a jeśli tak, to jest to centrala gmachu senatu.

– Jeszcze jeden powód, żeby tam nie dzwonić – oświadczył Daniel. Otworzył drzwi ich apartamentu i wszedł do środka. Stephanie podążyła tuż za nim.

Gdy Daniel zdejmował płaszcz, Stephanie dała nura do salonu. Stała przy biurku i wyglądała kartkę.

– To dwa dwa cztery – zawołała. – „Bardzo pilne” jest podkreślone. Może dziadek zmienił zdanie!

– Prędzej księżyc zmieniłby orbitę – stwierdził Daniel. Podeszedł do Stephanie i zerknął na notatkę. – Dziwne. Co to za pilna sprawa, do diabła? W pierwszej chwili myślałem, że to ktoś z mediów, ale to niemożliwe, jeśli dzwoni z gmachu senatu. Wiesz co? Mam to gdzieś. Nawiązanie kontaktu z kimkolwiek, kto ma cokolwiek wspólnego z senatem Stanów Zjednoczonych, nie jest w tej chwili czymś, na czym by mi szczególnie zależało.

– Zadzwoń! Być może na złość babci odmrażasz sobie uszy. Jeżeli ty nie chcesz, ja to zrobię. Udam, że jestem twoją sekretarką.

– Ty sekretarką? Niezły dowcip! No dobrze, na miłość boską, dzwoń!

– Przełączę na głośnik, żebyś mógł słyszeć.

– Świetnie – prychnął Daniel. Wyciągnął się na sofie, z głową na jednej poręczy mebla, a nogami na drugiej.

Stephanie wybrała numer. Połączenie zostało odebrane już po pierwszym sygnale. Zdecydowanie kobiecy głos rzucił krótkie „halo”, jak gdyby ta osoba na drugim końcu linii niecierpliwie czekała przy telefonie.

– Dzwonię w imieniu doktora Lowella – powiedziała Stephanie. Spojrzała w oczy Daniela. – Czy to Carol Manning?

– Tak. Dziękuję, że pani oddzwoniła. Muszę porozmawiać z doktorem w niezwykle ważnej sprawie, zanim wymelduje się z hotelu. Czy to możliwe?

– Czy mogę zapytać, czego dotyczy ta sprawa?

– Jestem asystentką senatora Ashleya Butlera – zaczęła Carol. – Być może widziała mnie pani dziś rano. Siedziałam za senatorem.

Daniel szybko przeciągnął palcem wskazującym po gardle na znak, by Stephanie zakończyła rozmowę. Stephanie zignorowała go.

– Muszę porozmawiać z doktorem – ciągnęła Carol. – Jak wspomniałam, to niezwykle ważne.

Wykrzywiając się w gniewnym grymasie, Daniel ponownie wykonał palcem ruch markujący podrzwanie gardła. Gdy Stephanie zawahała się, powtórzył to raz jeszcze.

Machnięciem ręki kazała mu przerwać te błazeństwa. Widziała, że Daniel nie ma zamiaru rozmawiać z Carol Manning, ale nie chciała się rozłączać.

– Czy doktor jest w hotelu? – zapytała Carol.

– Tak, ale chwilowo jest nieosiągalny.

Daniel przewrócił oczami.

– Czy mogłabym wiedzieć, z kim rozmawiam? – zapytała Carol.

Stephanie znów się zawahała, bo nie wiedziała, co ma odpowiedzieć, skoro oznajmiła Danielowi, że będzie udawać jego sekretarkę. Teraz pomysł ten wydał jej się śmieszny, ostatecznie podała więc po prostu swoje nazwisko.

– Och, to świetnie! – ucieszyła się Carol. – Z zeznań doktora Lowella wynikało, że jest pani jego współpracowniczką. Czy mogę zapytać, na ile bliska jest państwa współpraca i czy ma ona może charakter osobisty?

Na twarzy Stephanie pojawił się cierpki uśmiech. Przez chwilę wpatrywała się w telefon, jak gdyby on mógł jej wyjaśnić, dlaczego asystentka senatora Butlera postanowiła naruszyć zasady etykiety, zadając tego typu pytania. W bardziej normalnych okolicznościach rozgniewałoby ją to. Teraz jedynie wzmogło jej zaciekawienie.

– Nie chciałam być nietaktowna – dodała Carol, jak gdyby wyczuwając reakcję Stephanie. – To dość niezręczna sytuacja, ale powiedziano mi, że jesteście państwo zameldowani w tym samym pokoju. Zapewniam panią, że nie chcę naruszać państwa prywatności, ale raczej zapewnić jak największą dyskrecję. Widzi pani, senator chciałby zorganizować poufne spotkanie z doktorem Lowellem, a w tym mieście nie jest to łatwe, ze względu na jego wysokie stanowisko i sławę.

Usta Stephanie powoli otworzyły się ze zdumienia, gdy wysłuchiwała tej zaskakującej prośby. Nawet Daniel zdjął nogi z oparcia sofy i usiadł prosto.

– Miałam nadzieję – ciągnęła Carol – że będę mogła przekazać tę wiadomość bezpośrednio doktorowi Lowellowi, tak że jedynie senator, on i ja wiedzielibyśmy o spotkaniu. Teraz jest to już oczywiście niemożliwe. Wierzę, że mogę liczyć na pani dyskrecję, doktor D’Agostino.

– Doktor Lowell i ja jesteśmy bardzo bliskimi współpracownikami – odparła Stephanie. – Naturalnie może pani liczyć na moją pełną dyskrecję. – Gorączkowymi gestami próbowała nakłonić Daniela, by włączył się teraz do rozmowy, skoro przybrała tak nieoczekiwany obrót. Daniel pokręcił przecząco głową, ale dał jej znak, by rozmawiała dalej.

– Chcielibyśmy, aby spotkanie odbyło się dziś wieczorem – oświadczyła Carol.

– Co mam przekazać doktorowi Lowellowi, jeżeli chodzi o cel spotkania?

– Tego nie mogę powiedzieć.

– W takim razie pojawia się problem – odparła Stephanie. – Tak się złożyło, że wiem, że doktor Lowell nie jest zadowolony z przebiegu dzisiejszego przesłuchania. Nie jestem pewna, czy będzie skłonny spotkać się z senatorem, o ile nie będzie miał podstaw, by sądzić, że leży

to w jego interesie. – Spojrzała na Daniela. Uniesionym kciukiem dał jej znak, że podoba mu się sposób, w jaki prowadzi rozmowę.

– Jestem w dość kłopotliwej sytuacji – przyznała Carol. – Chociaż jestem asystentką senatora i zazwyczaj wiem o wszystkim, co dzieje się w jego biurze, nie mam zupełnie pojęcia, dlaczego senator chce spotkać się z doktorem. Z grubsza rzecz biorąc, ze słów senatora wynika, że chociaż doktor Lowell może być zirytowany dzisiejszymi wydarzeniami, powinien wstrzymać się z wyciąganiem jakichkolwiek wniosków na temat S. 1103 do czasu ich rozmowy.

– To dość ogólne – zauważyła Stephanie.

– Niestety, nic więcej nie wiem. Tym niemniej usilnie namawiam, żeby doktor spotkał się z senatorem. W moim odczuciu będzie to dla niego naprawdę korzystne. Nie mogę wyobrazić sobie innego powodu takiego spotkania. To jest absolutnie niezwykle, a mogę coś na ten temat powiedzieć. Pracuję z senatorem od szesnastu lat.

– Gdzie miałyby się odbyć to spotkanie?

– Najbezpieczniejszym miejscem będzie jadący samochód.

– To brzmi nazbyt melodramatycznie.

– Senator nalegał na absolutną dyskrecję, a jak już mówiłam, w tym mieście nie jest to łatwe.

– Kto będzie prowadził ten samochód?

– Ja.

– Jeżeli to spotkanie dojdzie do skutku, nalegam, żebym ja także mogła wziąć w nim udział.

Daniel jeszcze raz przewrócił oczami.

– Ponieważ i tak już panią powiadomiłam o spotkaniu, przypuszczam, że będzie to możliwe, ale żeby mieć całkowitą pewność, będę musiała zapytać senatora.

– Czy mogę oczekiwać, że przyjedzie pani po nas do hotelu?

– Obawiam się, że byłoby to niewskazane. Najbezpieczniej byłoby, gdybyście oboje państwo przyjechali taksówką na Union Station. Dokładnie o dziewiątej przyjadę czarnym chevroletem suburbanem z przyciemnionymi szybami i numerem rejestracyjnym GDF471. Podjadę do krawężnika tuż przed wejściem na dworzec. Na wszelki wypadek podaję pani numer mojego telefonu komórkowego.

Stephanie zanotowała podyktowane przez Carol cyfry.

– Czy senator może liczyć na przybycie doktora Lowella?

– Przekażę doktorowi tę wiadomość dokładnie tak, jak mi ją pani przedstawiła.

– O nic więcej nie mogę prosić – odparła Carol. – Chciałabym jednak jeszcze raz podkreślić, że jest to niezwykle ważne zarówno dla senatora, jak i dla doktora Lowella. Senator użył dokładnie tych słów.

Stephanie podziękowała jej, obiecała, że oddzwoni za piętnaście minut, i rozłączyła się.

Spojrzała na Daniela.

– To chyba jedno z najbardziej dziwacznych wydarzeń, z jakimi kiedykolwiek miałam do czynienia – powiedziała, przerywając ciszę. – Co o tym wszystkim myślisz?

– Co, do diabła, ten stary dziad kombinuje?

– Obawiam się, że jest tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć.

– Naprawdę uważasz, że powinienem pójść?

– Ujmijmy to w ten sposób – odparła Stephanie. – Myślę, że postąpiłbyś głupio, gdybyś nie poszedł. Skoro spotkanie ma być poufne, nie musisz nawet martwić się o utratę resztek poczucia własnej wartości, chyba że zależy ci na opinii Ashleya Butlera, a znając twoje zdanie na jego temat, nie sądzę, żeby tak było.

– Czy uwierzyłaś tej Manning, kiedy mówiła, że nie zna celu spotkania?

– Tak, uwierzyłam. W jej głosie pobrzmiwały zranione uczucia. Odnoszę wrażenie, że senator szykuje coś wybitnie niekonwencjonalnego, czego nie chce zdradzić nawet najbliższej współpracownicy.

– No dobrze – oświadczył niechętnym tonem Daniel. – Oddzwoń do niej i powiedz, że będę czekał o dziewiątej przed Union Station.

– Że będziemy czekać przed Union Station – poprawiła go Stephanie. – Mówiłam poważnie, kiedy oznajmiłam to pani Manning. Idę z tobą.

– Czemu nie? – zgodził się Daniel. – Możemy zrobić z tego wieczorek towarzyski.

## **Rozdział czwarty**

### **20.15, czwartek, 21 lutego 2002**

Kiedy Carol zjeżdżała na podjazd i zatrzymywała samochód przed domem senatora Butlera w Arlington, odniosła wrażenie, że w skromnej willi palą się wszystkie światła. Zerknęła na zegarek. Przy kapryśnych waszyngtońskiego ruchu ulicznego dotarcie na Union Station punktualnie o dwudziestą pierwszą nie należało do najłatwiejszych zadań. Miała nadzieję, że dobrze rozplanowała czas, choć początek nie wypadł zbyt pomyślnie. Przejazd z własnego mieszkania w Waszyngtonie do domu Ashleya zajął jej o dziesięć minut więcej, niż przewidywała. Na szczęście uwzględniła w swoich planach ewentualny piętnastominutowy poślizg.

Zostawiając silnik na chodzie i zaciągając ręczny hamulec, Carol przygotowała się do wyjścia z pojazdu, okazało się jednak, że wystawianie się na zimną mżawkę nie jest konieczne. Drzwi willi otworzyły się i senator wyszedł na ganek. Za nim ukazała się jego postawna, poślubiona przed czterdziestu laty małżonka, która wyglądała niczym uosobienie cnót domowych w swym białym, obszytym koronką fartuchu, nałożonym na podomkę w tureckie wzory. Stojąc pod osłoną daszku i najwyraźniej kierując się jej poleceniami, senator próbował otworzyć parasol. Powracające przez cały dzień przelotne opady śniegu przerodziły się w ciągły deszcz.

Z twarzą ukrytą pod czaszą czarnego parasola Ashley zaczął schodzić po frontowych schodach. Poruszał się powoli i ostrożnie. Carol przyglądała się zwałistemu, lekko przygarbionemu, ociężałemu mężczyźnie, który w innym wcieleniu mógłby być rolnikiem lub nawet hutnikiem. Nie był to dla niej zbyt miły widok. Cała ta scena miała w sobie coś zdecydowanie przygnębiającego i żalostnego. W pewnej mierze przyczyniała się do tego wisząca w powietrzu mgła i szarobury koloryt, jak również monotony stukot wycieraczek, niezmordowane zakreślających łuki na zachlapanej deszczem szybie. Ale na nastrój Carol w większym stopniu wpływało to, co wiedziała, niż to, co widziała. Oto był człowiek, którego darzyła ogromnym szacunkiem, dla którego od przeszło dziesięciu lat dokonywała

niezliczonych poświęceń, lecz który ostatnio stał się nieobliczalny, a niekiedy wręcz niemiły. Choć przez cały dzień ze wszystkich sił starała się nakłonić senatora do zwierzeń, wciąż nie miała pojęcia, dlaczego nalegał na to potajemne i ryzykowne pod względem politycznym spotkanie z doktorem Lowellem, a ponieważ nalegał na absolutną dyskrecję, nie mogła zapytać nikogo innego. Co gorsza, nie mogła uwolnić się od wrażenia, że Ashley ukrywa przed nią powód spotkania ze złośliwości, tylko dlatego, że wie, jak bardzo ją to intryguje. W ciągu ostatniego roku, dzięki licznym niezasłużonym i uszczypliwym uwagom, wyczuła, że senator zazdrości jej względnej młodości i dobrego zdrowia.

Przyglądała się, jak Ashley przystaje u podnóża schodów, by dopasować krok do płaskiej powierzchni. Przez chwilę zdawało się, że zastygł jak posąg, uosobienie niewzruszonego uporu, cechy, którą Carol niegdyś w nim podziwiała, gdy dotyczyła ona jego populistycznych politycznych przekonań, ale która teraz ją irytowała. W przeszłości Ashley walczył o władzę, aby realizować swój konserwatywny program, ale teraz najwyraźniej walczył o władzę dla samej władzy, jak gdyby był od niej uzależniony. Zawsze uważała go za człowieka wielkiego formatu, który wie, kiedy usunąć się na bok, ale teraz nie była już tego tak pewna.

Ashley zaczął powoli iść przed siebie. Jego czarny płaszcz, zaokrąglone ramiona i drobny, szurający chód przywiodły Carol na myśl wielkiego pingwina. Z każdym krokiem senator poruszał się coraz szybciej. Carol spodziewała się, że obejdzie samochód, by usiąść na przednim fotelu pasażera, on jednak otworzył tylne drzwi po jej stronie. Poczula, jak samochód lekko się kołysze, gdy wsiadał do środka. Drzwi zatrzasnęły się. Usłyszała, jak parasol pada na podłogę.

Carol odwróciła się. Ashley rozparł się na siedzeniu. W bladym, szaroburym świetle, wypełniającym wnętrze samochodu, jego twarz zdawała się blada jak u trupa, a grubo ciosane rysy żłobiły ją, jakby były zagłębieniami w bochenku niewypieczonego chleba. Rzednące siwe włosy, które zazwyczaj znały swoje miejsce, były nastroszone jak kłęb stalowej waty. W soczewkach okularów w grubych oprawkach upiornie odbijały się światła jego domu.

– Spóźniłaś się – powiedział z wyrzutem, bez śladu swego południowego akcentu.

– Przepraszam – odparła odruchowo Carol. Zawsze przepraszala. – Ale myślę, że zdążymy na czas. Może porozmawialibyśmy, zanim pojedziemy do miasta?

– Jedź! – polecił Ashley.

Carol poczuła, że ogarnia ją fala gniewu, ale ugryzła się w język, bo doskonale wiedziała, jakie mogłyby grozić jej konsekwencje, gdyby dała wyraz swym odczuciom. Ashley miał doskonałą pamięć do wszelkich rzeczywistych i domniemyanych afrontów, a złośliwość jego zemsty była legendarna. Carol wrzuciła bieg i wyjechała tyłem z podjazdu.

Na prostą trasę składały się głównie drogi częściowo zamknięte dla ruchu. Ku swej uldze Carol gładko dotarła do autostrady numer 395, trafiając na zielone światło na wszystkich skrzyżowaniach. Na głównej arterii z zadowoleniem stwierdziła, że ruch jest mniejszy niż przed piętnastoma minutami, i swobodnie przyspieszyła do prędkości autostradowej. Nie

groziło im już spóźnienie, więc odprężyła się nieco, ale gdy zbliżyli się do rzeki Potomac, w górze rozległ się ryk pasażerskiego odrzutowca, startującego z lotniska Reagana. Carol miała wrażenie, że samolot przeleciał tuż nad ich głowami. W stanie napięcia, w jakim się znajdowała, niespodziewany, dudniący dźwięk przeraził ją do tego stopnia, że samochodem na chwilę zarzuciło.

– Gdybym nie wiedział, że to niemożliwe – powiedział Ashley, wracając do charakterystycznego południowego zaciągania i odzywając się po raz pierwszy od owego opryskliwego polecenia – przysiągłbym na pamięć mojej matki, że turbulencje wywołane przez ten odrzutowiec dotarły aż do autostrady. Czy w pełni panujesz nad pojazdem, moja droga?

– Wszystko w porządku – odparła szorstko Carol. W tym momencie irytował ją nawet teatralny akcent Ashleya, gdyż wiedziała, jak łatwo senator może go przyjmować lub tracić.

– Przejrzałem dossier, które skompletowaliście na temat doktora – powiedział Ashley po krótkiej pauzie. – Prawdę mówiąc, niemal nauczyłem się go na pamięć. Muszę pochwalić was wszystkich. Odwaliliście kawał świetnej roboty. Wiem chyba teraz o tym gościu więcej, niż on sam wie o sobie.

Carol skinęła głową, ale nie odpowiedziała. Panowała cisza, dopóki nie wjechali do tunelu biegnącego pod trawnikami Washington Mall.

– Wiem, że jesteś niezadowolona i zła na mnie – oświadczył nagle Ashley. – I wiem też z jakiego powodu.

Carol zerknęła na senatora we wstecznym lusterku. Refleksy światła odbitego od ceramicznych kafelków tunelu padały raz po raz na jego twarz, nadając mu wygląd jeszcze bardziej upiorny niż przedtem.

– Jesteś na mnie zła, bo nie zdradziłem ci, dlaczego urządziliśmy to spotkanie.

Carol znów na niego zerknęła. Była zaskoczona. Takie wyznanie było zupełnie do niego niepodobne. Nigdy dotąd nie dawał po sobie poznać, że dostrzega czy dba o jej odczucia. W sumie był to jeszcze jeden dowód jego obecnej nieobliczalności i Carol nie do końca wiedziała, co ma powiedzieć.

– To przypomina mi sytuację, kiedy rozgniewała się na mnie moja mama – ciągnął Ashley, dodając do akcentu swój gawędziarski sposób mówienia. Carol jęknęła w duchu. Ten jego nawyk uważała za równie denerwujący. – Byłem wtedy jeszcze zupełnym smarkaczem. Wpadłem na pomysł, że pójde sam na ryby nad rzekę płynącą ponad milę od naszego domu, gdzie podobno były sumy wielkości pancerników. Wszedłem przed świtem, kiedy wszyscy jeszcze spali, i przysporzyłem mamie wiele zmartwień. Kiedy wróciłem do domu, była wściekła. Złapała mnie za kark i chciała wiedzieć, dlaczego nie zapytałem jej o pozwolenie na tak lekkomyślną wyprawę w tak młodym wieku. Odparłem, że nie zapytałem, bo wiedziałem, że się nie zgodzi. No więc, moja droga Carol, z tym czekającym nas za chwilę spotkaniem z doktorkiem jest dokładnie tak samo. Znam cię na tyle dobrze, by wiedzieć, że próbowałabys



odwieść mnie od tego zamiaru, a moja decyzja jest nieodwołalna.

– Próbowałabym odwieść pana od tego zamiaru, gdybym uznała, że leży to w pana interesie – odparła Carol.

– Są chwile, moja droga, kiedy twoja zawiesz staję się wręcz przejrzysta. Większość ludzi być może nigdy nie domyśliłaby się, co naprawdę tobą kieruje, przez to twoje na pozór bezinteresowne oddanie, ale ja znam cię lepiej.

Carol nerwowo przełknęła ślinę. Nie była pewna, co ma sądzić o pompatycznej uwadze Ashleya, ale wiedziała, że nie chce kontynuować tego wątku, który wyraźnie wskazywał, że senator odgadł jej skryte ambicje. Zamiast tego zapytała:

– Czy przynajmniej omówił pan to spotkanie z Philem, żeby upewnić się co do jego możliwych politycznych konsekwencji?

– Na Boga, nie! Nie rozmawiałem o tym spotkaniu z nikim, nawet z moją pocziwą żoną. Ty, doktor Lowell, doktor D'Agostino i ja jesteśmy jedynymi osobami, które wiedzą, że ma się ono odbyć.

Carol zjechała z autostrady i skierowała się ku Massachusetts Avenue. Czowała ulgę, że zbliżają się do Union Station, co zmniejszało ryzyko, że rozmowa powróci do tematu jej skrywanych celów. Spojrzała na zegarek. Była za piętnaście dziewiąta.

– Będziemy trochę za wcześnie – powiedziała.

– W takim razie pokręć się trochę – odparł Ashley. – Wolałbym przyjechać dokładnie o umówionej godzinie. To nada spotkaniu właściwy ton.

Carol skręciła w prawo w North Capital, potem w lewo w D. Znała dobrze tę okolicę, gdyż niedaleko znajdował się gmach senatu. Gdy znów skierowała się w stronę Union Station, była za trzy dziewiąta. Punktualnie o dziewiątej samochód stanął przed dworcem.

– Są tam – powiedział Ashley, wyciągając dłoń nad ramieniem Carol. Daniel i Stephanie stali skuleni pod hotelowym parasolem. Wyróżniali się w tłumie z powodu swego bezruchu. Wszyscy inni spieszyli się, by schronić się przed deszczem w budynku dworca lub w jednej z oczekujących taksówek.

Carol mignęła światłami, by przyciągnąć uwagę naukowców.

– Nie musisz robić sceny – burknął Ashley. – Zauważyli nas.

Widzieli, jak Daniel zerka na zegarek, po czym niespiesznym krokiem rusza w stronę suburbana, ze Stephanie trzymającą go za lewe ramię.

Naukowcy podeszli do okna Carol. Opuściła szybę.

– Pani Manning? – zapytał szorstko Daniel.

– Jestem z tyłu, panie doktorze! – zawołał Ashley, nim Carol zdążyła odpowiedzieć. – Proponuję, żeby przyłączył się pan do mnie, a pańska piękna współpracownica usiadła z przodu obok Carol.

Daniel wzruszył ramionami, po czym przeszedł wraz ze Stephanie na drugą stronę samochodu. Przytrzymał parasol nad swą towarzyszką, kiedy wsiadała, po czym sam wszedł

do środka.

– Witajcie! – wykrzyknął radośnie Ashley, wyciągając szeroką dłoń o grubych palcach. – Dziękuję, że zgodziliście się przyjść na to spotkanie w tak paskudny wieczór.

Daniel spojrzął na dłoń Butlera, ale jej nie uściśnął.

– O co panu chodzi, panie senatorze?

– Oto prawdziwy człowiek z Północy – oświadczył wesoło Ashley, cofając dłoń i najwyraźniej nie przejmując się postępowaniem Daniela. – Zawsze gotów przeć prosto do celu bez tracenia czasu na subtelności. Cóż, niech tak będzie. Przyjdzie pora na ściskanie rąk. Na razie chciałbym, żebyśmy lepiej się poznali. Widzi pan, jestem bardzo zainteresowany pańskimi eskulapskimi zdolnościami.

– Dokąd, panie senatorze? – zapytała Carol, spoglądając na Ashleya we wstecznym lusterku.

– Może zabierzemy szanownych uczonych na wycieczkę po naszym pięknym mieście? – podsunął Ashley. – Jedź w stronę Basenu Pływowego, żeby mogli zobaczyć najbardziej eleganckie oblicze stolicy!

Carol wrzuciła bieg i skierowała się Pierwszą Ulicą na południe. Ona i Stephanie wymieniły krótkie, taksujące spojrzenia.

– Po prawej stronie mamy gmach Kapitolu – powiedział Ashley, wskazując palcem. – A te budynki po lewej to Sąd Najwyższy, który osobiście uważam za znakomite dzieło architektury, i Biblioteka Kongresu.

– Panie senatorze – oświadczył Daniel. – Z całym należnym szacunkiem, którego, jak się obawiam, nie mam dla pana zbyt wiele, nie jestem zainteresowany wycieczką po mieście z panem w roli przewodnika, ani wcale nie pragnę lepiej pana poznać, szczególnie po szopce, jaką zrobił pan z dzisiejszego przesłuchania.

– Mój drogi przyjacielu... – zaczął Ashley po krótkim milczeniu.

– Niech pan da spokój z tym południowym zadęciem! – warknął pogardliwie Daniel. – I tak między nami, nie jestem pańskim drogim przyjacielem. W ogóle nie jestem pańskim przyjacielem.

– Panie doktorze, z całym należnym szacunkiem, który naprawdę dla pana żywię, takimi grubiańskimi uwagami naprawdę wyrządza pan sobie niedźwiedzią przysługę. Jeśli mogę udzielić panu małej rady: Szkodzi pan swojej własnej sprawie, kiedy pozwala pan emocjom brać górę nad pańskim ogromnym intelektem, jak miało to miejsce dziś rano. Pomimo wrogości, jaką niedwuznacznie pan wyraża, chciałbym negocjować z panem jak człowiek z człowiekiem, a najchętniej jak dżentelmen z dżentelmenem, w bardzo ważnej, ale delikatnej sprawie. Każdy z nas ma coś, na czym drugiemu zależy, i aby to uzyskać, obaj musimy zrobić coś, na co bynajmniej nie mamy ochoty.

– Mówi pan zagadkami – mruknął Daniel.

– Być może – przyznał Ashley. – Czy jest pan zainteresowany? Nie powiem nic więcej,

dopóki nie będę przekonany o pańskim zainteresowaniu.

Usłyszał, jak Daniel niecierpliwie wypuszcza powietrze, i z jego ruchów domyślił się, że przewraca oczami, choć w samochodzie było zbyt ciemno, by to wiedzieć na pewno. Czekał, a Daniel odwrócił głowę i spojrzął na mijane właśnie zabudowania Smithsonian Institution.

– Samo wyrażenie zainteresowania do niczego pana nie zobowiązuje ani niczym panu nie grozi – zapewnił Ashley. – Nikt z wyjątkiem osób znajdujących się w tym pojeździe nie wie o naszej pogawędce, oczywiście jeśli tylko pan sam kogoś nie poinformował.

– Wstydzilibym się powiedzieć komukolwiek.

– Postanowiłem nie reagować na pańskie grubiaństwo, panie doktorze, podobnie jak dziś rano nie reagowałem na lekceważenie, jakie okazał pan swym niestosownym strojem, niedbałą postawą i słownymi atakami na moją osobę. Jako człowiek dobrze wychowany mógłbym czuć się dotknięty, ale tak nie jest. Proszę więc darować sobie te uwagi! Chcę tylko wiedzieć, czy jest pan zainteresowany negocjacjami.

– Co dokładnie mielibyśmy negocjować?

– Rentowność pańskiej rozpoczynającej działalność firmy, pańską obecną karierę, potencjalną drogę do sławy i co może najważniejsze, szansę na ratunek przed porażką. Mam powody, by sądzić, że porażka jest dla pana czymś szczególnie znieawidzonym.

Daniel zerknął na niego w półmroku. Choć Ashley nie był w stanie dostrzec jego oczu, czuł na sobie intensywność tego spojrzenia. Upewniło go to, że istotnie uderzył w najczulszą strunę tego człowieka.

– Uważa pan, że boję się porażki? – zapytał Daniel głosem już mniej zgryźliwym.

– Zdecydowanie – odparł Ashley. – Jest pan człowiekiem niezwykle ambitnym, co w połączeniu z pańską inteligencją stanowi siłę napędową pańskich sukcesów. Ale ludzie o wielkiej ambicji nie lubią przegrywać, zwłaszcza kiedy jednym z motywów ich działań jest ucieczka przed własną przeszłością. Przeszedł pan daleką drogę z Revere w stanie Massachusetts, a jednak wciąż nie opuszcza pana lęk przed upadkiem, który na powrót wtłoczyłby pana w środowisko z czasów dzieciństwa. Ze względu na pańskie kwalifikacje nie jest to obawa uzasadniona, tym niemniej prześladowa ona pana.

Daniel parsknął krótkim, wymuszonym śmiechem.

– Jak wykoncypował pan tę dziwną teorię? – zapytał.

– Wiem o panu wiele, mój przyjacielu. Tato zawsze mi powtarzał, że wiedza to potęga. A ponieważ mamy negocjować, zrobiłem użytek z pokaźnych środków, jakie mam do dyspozycji, w tym także z kontaktów w FBI, by dowiedzieć się jak najwięcej na temat pana i pańskiej firmy. Prawdę mówiąc, wiem sporo nie tylko o panu, ale i o pańskiej rodzinie do kilku pokoleń wstecz.

– Kazał pan mnie sprawdzić FBI? – zdumiał się Daniel. – Nie wierzę w to.

– A powinien pan! Proszę bardzo, oto parę ciekawszych fragmentów tej, jak się okazało, niezwykle zajmującej historii. Przede wszystkim jest pan spokrewniony w prostej linii ze

słynnym rodem Lowellów z Nowej Anglii, wymienionym w tym znanym opisie bostońskich wyższych sfer, gdzie Lowellowie rozmawiają tylko z Cabotami, a Cabotowie rozmawiają tylko z Bogiem. Czy może odwrotnie? Carol, pamiętasz, jak to było?

– Tak jak pan powiedział, panie senatorze – odparła Carol.

– Ulżyło mi – stwierdził Ashley. – Nie chciałbym podważyć swojej wiarygodności już na samym początku opowieści. Niestety, panie doktorze, pochodzenie od słynnych Lowellów nie panu nie dało. Jak się wydaje, pana dziadek alkoholik został wyklęty i, co ważniejsze, wydziedziczony, kiedy wbrew życzeniom rodziny opuścił prywatne liceum, by zaciągnąć się do piechoty w czasie pierwszej wojny światowej, a po skończeniu służby ożenił się z plebejką z Medfordu. Wydaje się, że przeżył taki wstrząs na wojnie w Europie, że psychicznie nie był już w stanie znaleźć sobie miejsca w uprzywilejowanej części społeczeństwa. To oczywiście odróżniało go od jego braci i sióstr, którzy nie poznali wojny, którzy uczestniczyli w wybrykach szalonych lat dwudziestych i którzy nawet jeśli również wpadali w alkoholizm, przynajmniej kończyli szkoły i zawierali małżeństwa z osobami z odpowiednich sfer.

– Panie senatorze, nie uważam tego za zabawne. Czy możemy przejść do rzeczy?

– Cierpliwości, przyjacielu – odparł Ashley. – Niech pan pozwoli mi doprowadzić tę historię do czasów współczesnych. Wydaje się, że pański nadużywający alkoholu dziadek był także nie najlepszym ojcem i kiepskim wzorem dla dziesiątki swych dzieci, z których jednym był pański tato. Powiedzenie „jaki ojciec, taki syn” doskonale pasuje do pańskiego ojca, który walczył w drugiej wojnie światowej. Choć w zasadzie udało mu się uniknąć alkoholizmu, nie był raczej, jak z pewnością się pan zgodzi, dobrym ojcem i wzorem dla dziewiątki swych dzieci. Na szczęście dzięki swej ambicji, inteligencji i wymiganiu się od udziału w wojnie w Wietnamie przełamał pan ten trwający od paru pokoleń, samonapędzający się, opadający trend, choć nie bez pewnych ran.

– Panie senatorze, po raz ostatni, jeśli nie powie mi pan wprost, o co panu chodzi, będę nalegał, żeby odwiózł nas pan z powrotem do hotelu.

– Przecież powiedziałem – oświadczył Ashley. – Zaraz po tym, jak wsiadł pan do samochodu.

– Musi pan chyba powtórzyć mi to jeszcze raz – odparł drwiąco Daniel. – Najwyraźniej było to tak subtelne, że zupełnie tego nie zauważyłem.

– Powiedziałem panu, że jestem zainteresowany pana eskulapskimi zdolnościami.

– Nawiązanie do rzymskiego boga sztuki lekarskiej nadal czyni z tego zagadkę, do której nie mam cierpliwości. Mówmy konkretnie, zwłaszcza że twierdzi pan, że to są negocjacje.

– Mówiąc konkretnie, chcę kupić pańskie usługi jako lekarza w zamian za własne usługi jako polityka.

– Jestem naukowcem, nie praktykującym lekarzem.

– Ale mimo wszystko jest pan lekarzem, a badania, jakie pan prowadzi, dotyczą nowych metod leczenia.

– Proszę mówić dalej.

– To, co zamierzam powiedzieć, wyjaśni powody, dla których prowadzimy tę rozmowę. Ale musi mi pan dać absolutne słowo honoru, że to, co za chwilę powiem, pozostanie między nami, bez względu na wynik tego spotkania.

– Jeśli to rzecz naprawdę osobista, bez problemu zachowam ją w tajemnicy.

– Doskonale! A pani, doktor D’Agostino? Czy mam także pani słowo?

– Oczywiście – wyjąkała Stephanie, zaskoczona, że senator tak nagle zwrócił się do niej. Siedziała obrócona w tył, przyglądając się obu mężczyznom. Trwała w tej pozycji, odkąd Ashley zaczął mówić o lęku Daniela przed porażką.

Carol miała wyraźne kłopoty z prowadzeniem pojazdu i znacznie zwolniła. Zafascynowana toczącą się na tylnym siedzeniu rozmową, częściej spoglądała na odbicie Ashleya we wstecznym lusterku niż na drogę. Była pewna, że wie, co senator zamierza teraz powiedzieć, i zaczynała się domyślać, na czym polega jego plan. Ogarnęło ją przerażenie.

Ashley odchrząknął.

– Niestety, rozpoznano u mnie chorobę Parkinsona. Co gorsza, mój neurolog sądzi, że cierpię na jej gwałtownie postępującą postać, co wydaje się być zgodne z prawdą. Podczas ostatniej wizyty wspomniał nawet, że choroba może wkrótce wpłynąć na moje władze umysłowe.

Na kilka chwil w samochodzie zapadła absolutna cisza.

– Od jak dawna pan o tym wie? – zapytał Daniel. – Nie zauważyłem żadnego drżenia.

– Mniej więcej od roku. Zażywam leki, ale jak przewidywał mój neurolog, ich skuteczność dość szybko maleje. Tak więc jeśli nie podejmie się, i to prędko, jakichś środków zaradczych, opinia publiczna dowie się o stanie mojego zdrowia. Obawiam się, że stawką jest moja kariera polityczna.

– Mam nadzieję, że ta cała zgadywanka nie prowadzi do tego, co myślę – stwierdził Daniel.

– Wydaje mi się, że prowadzi – przyznał Ashley. – Panie doktorze, chcę być pańskim królikiem doświadczalnym czy, mówiąc ściślej, zastępczą białą myszką. Dziś rano chwalił się pan, jak dobrze panu idzie z myszami.

Daniel pokręcił głową.

– To absurd! Chce pan, żebym leczył pana tak, jak leczyłem nasze myszy?!

– Otóż to. Wiedziałem, że z rozmaitych względów nie zechce pan tego zrobić, dlatego właśnie ta rozmowa ma charakter negocjacji.

– To byłoby sprzeczne z prawem – wybuchnęła Stephanie. – Urząd Żywności i Leków nigdy by na to nie pozwolił!

– Nie zamierzam informować Urzędu Żywności i Leków – odparł spokojnie Ashley. – Wiem, jacy wścibscy bywają czasami.

– Taki zabieg musiałby być wykonany w szpitalu – stwierdziła Stephanie. – A bez

aprobaty Urzędu żaden szpital na to nie pozwoli.

– Żaden szpital w tym kraju – uściślił Ashley. – Tak naprawdę myślałem o Bahamach. To dość odpowiednia pora roku na wycieczkę na Bahamy. Poza tym jest tam klinika, która znakomicie posłuży naszym celom. Pół roku temu moja podkomisja do spraw polityki zdrowotnej prowadziła szereg przesłuchań w sprawie oburzającego braku przepisów regulujących działalność klinik niepłodności w naszym kraju. W trakcie tych przesłuchań wymieniano często niejaką Klinikę Wingate’a jako przykład, w jaki sposób instytucje te obchodzą nawet najbardziej liberalne normy, by uzyskać olbrzymie zyski. Klinika Wingate’a przeniosła się niedawno na wyspę New Providence, by uniknąć tych nielicznych obowiązujących u nas przepisów odnoszących się do jej działalności, która obejmowała pewne bardzo wątpliwe przedsięwzięcia. Ale szczególnie przyciągnęła moją uwagę wiadomość, że są właśnie w trakcie wznoszenia nowego, supernowoczesnego ośrodka badawczego i szpitala.

– Panie senatorze, nie bez powodu badania w medycynie prowadzi się najpierw na zwierzętach, a dopiero potem na ludziach. Odwrotne postępowanie byłoby w najlepszym razie nieetyczne, a w najgorszym niemądre. Nie mogę brać udziału w takim przedsięwzięciu.

– Wiedziałem, że nie będzie pan początkowo zachwycony tym pomysłem – przyznał Ashley. – Jak powtarzam, dlatego właśnie są to negocjacje. Widzi pan, jestem gotów dać panu słowo honoru, że mój projekt ustawy, S. 1103, nigdy nie wyjdzie poza podkomisję, jeśli tylko zgodzi się pan z zachowaniem pełnej tajemnicy poddać mnie kuracji poprzez HTRS. To oznacza, że pańska firma otrzyma drugą turę płatności i nabierze rozpędu, a pan stanie się bogatym i sławnym naukowcem, jakim ma pan ambicję zostać. Co do mnie, moje wpływy polityczne są wciąż silne i takie pozostaną, jeśli tylko groźba choroby Parkinsona zostanie oddalona. Tak więc... jeśli każdy z nas zrobi coś, na co nie ma ochoty, w rezultacie obaj na tym zyskamy.

– Co pan takiego robi, na co nie ma pan ochoty? – zapytał Daniel.

– Podejmuję ryzyko roli królika doświadczalnego – oświadczył Ashley. – Jako pierwszy przyznaję, że wolałbym, żeby nasze role były odwrócone, ale takie jest życie. Ryzykuję też polityczne konsekwencje ze strony moich konserwatywnych wyborców, którzy oczekują, że S. 1103 zostanie zatwierdzona przez podkomisję.

Daniel w zdumieniu pokręcił głową.

– To absurd – stwierdził.

– Ale to jeszcze nie wszystko – ciągnął Ashley. – Przy tym stopniu ryzyka, które zapewne wiąże się z tą nową terapią, nie sądzę, żeby nasza wymiana usług była równa. Aby skorygować tę nierównowagę i dopomóc szczęściu, życzę sobie pewnej boskiej interwencji.

– Boję się pytać, co ma pan na myśli.

– Jeśli dobrze rozumiem, to gdyby miał pan leczyć mnie za pomocą swojej HTRS, potrzebowałby pan fragmentu DNA osoby, która nie ma choroby Parkinsona.

– To prawda, ale nie ma znaczenia, kim będzie ta osoba. Nie jest tu wymagana zgodność tkankowa, jak przy przeszczepach narządów.

– Dla mnie ma znaczenie, kim będzie ta osoba – oświadczył Ashley. – Rozumiem też, że może pan uzyskać ten niewielki odcinek DNA z krwi?

– Nie mógłbym uzyskać go z czerwonych krwinek, które nie mają jąder komórkowych – odparł Daniel. – Ale mógłbym pobrać go z białych krwinek. Więc tak, jest taka możliwość.

– Dzięki ci, Panie, za białe krwinki – powiedział Ashley. – Chodzi więc o to, że interesuje mnie źródło owej krwi. Mój ojciec był pastorem w Kościele baptystów, ale moja matka, święć, Panie, nad jej duszą, była irlandzką katoliczką. Nauczyła mnie paru rzeczy, które zostały ze mną na całe życie. Pozwoli pan, że zadam panu pytanie: Czy słyszał pan kiedyś o Całunie Turyńskim?

Daniel zerknął na Stephanie. Na jego twarzy pojawił się cierpki uśmiech niedowierzania.

– Ja byłem wychowywana jako katoliczka – odezwała się Stephanie. – Wiem, co to jest Całun Turyński.

– Ja też wiem, co to takiego – dodał Daniel. – To relikwia, uchodząca za całun, w którym pogrzebano Jezusa Chrystusa. Z pięć lat temu udowodniono, że to fałszerstwo.

– Zgadza się – przyznała Stephanie. – Tyle że to było przeszło dziesięć lat temu. Dzięki metodzie węglowej stwierdzono, że pochodzi z połowy trzynastego wieku.

– Nie interesują mnie wyniki datowania metodą węglową – oświadczył Ashley. – Tym bardziej, że zostały podważone przez kilku wybitnych naukowców. Zresztą nawet gdyby nie zostały zakwestionowane, moje zainteresowanie byłoby takie samo. Całun był szczególnie ważny dla mojej mamy, a coś z jej wiary udzieliło się i mnie, kiedy jako niewinny brzdąc pojechałem wraz z nią i dwójką starszych braci do Turynu, żeby zobaczyć go na własne oczy. Niezależnie od kwestii jego autentyczności, niezaprzeczalne jest, że na całunie są plamy krwi. Co do tego niemal wszyscy są zgodni. Chcę, żeby potrzebny do HTRS fragment DNA pochodził z Całunu Turyńskiego. To jest moje żądanie i moja oferta.

Daniel prychnął drwiącym śmiechem.

– To więcej niż absurd. To szaleństwo. Poza tym jak miałbym zdobyć próbkę krwi z Całunu Turyńskiego?

– Pana w tym głowa, panie doktorze – odparł Ashley. – Ale chcę i mogę panu pomóc. Sądzę, że zdołam dowiedzieć się czegoś na temat dostępu do całunu od jednego ze znajomych arcybiskupów, którzy zawsze są skłonni spełniać drobne prośby w zamian za szczególne względy polityczne. Przypadkiem wiem, że istnieją próbki całunu, które Kościół najpierw przekazał naukowcom, a potem im je odebrał. Być może udałoby się uzyskać jedną z nich, ale musiałby pan sam pojechać i ją dostać.

– Brak mi słów – powiedział Daniel, tłumiąc rozbawienie.

– To zupełnie zrozumiałe – przyznał Ashley. – Nie wątpię, że oferta, którą panu złożyłem, zaskoczyła pana. Jako człowiek rozważny uznałem, że zapewne będzie pan chciał

to przemyśleć. Proponuję, żeby zadzwonił pan do mnie. Podam panu specjalny numer, na który może pan dzwonić. Ale chciałbym uprzedzić, że jeśli nie otrzymam od pana odpowiedzi do dziesiątej rano jutrzejszego dnia, przyjmę, że postanowił pan nie korzystać z mojej oferty. O dziesiątej wydam swojemu zespołowi polecenie, by wyznaczył termin głosowania nad S. 1103 tak szybko, jak to możliwe, żeby projekt mógł w najbliższym czasie zostać przedstawiony pełnej komisji, a następnie senatowi. A wiem, że lobby BIO poinformowało już pana, że ustawa przejdzie bez trudu.



## **Rozdział piąty**

### **22.05, czwartek, 21 lutego 2002**

Tylne światła suburbańska Carol Manning bladły, w miarę jak samochód się oddalał, tonąc w masie pojazdów podążających Louisiana Avenue, i wreszcie zniknął w ciemnościach nocy. Stephanie i Daniel śledzili je wzrokiem, dopóki nie stały się zupełnie niedostrzegalne, po czym spojrzeli po sobie. Ich nosy prawie stykały się ze sobą, gdyż oboje stali przytuleni pod jednym parasolem. Znowu tkwili nieruchomo na chodniku przed Union Station, dokładnie tak samo, jak przed godziną, kiedy czekali na przyjazd Carol. Wtedy płonęli ciekawością. Teraz byli osłupiali.

– Jutro rano będę gotowa przysiąc, że to był tylko sen – stwierdziła Stephanie, kręcąc głową.

– To prawda, że jest w tym wszystkim coś nierzeczywistego – przyznał Daniel.

– Powiedziałabym raczej „dziwacznego”.

Daniel zerknął na wizytówkę senatora, którą wciąż trzymał w wolnej dłoni. Odwrócił ją na drugą stronę. Widniał tam nagryzmołony nieregularnym, odręcznym pismem senatora numer telefonu komórkowego, dzięki któremu miał skontaktować się z nim osobiście w ciągu najbliższych dwunastu godzin. Wpatrywał się w cyfry, jak gdyby uczył się ich na pamięć.

Silny podmuch wiatru sprawił, że mżawka w jednej chwili zmieniła kierunek z pionowego na poziomy. Stephanie zadrzała, gdy wilgotne kropelki sypnęły jej w twarz.

– Zimno mi. Wracajmy do hotelu! Nie ma sensu stać tutaj i moknąć.

Daniel, jakby budząc się z transu, przeprosił ją i rozejrzał się po placu przed dworcem. Nieco dalej z boku znajdował się postój taksówek, gdzie szczęśliwym trafem czekało kilka wozów. Pochylając parasol dla osłony przed wiatrem, pociągnął Stephanie w tamtą stronę. Po dotarciu do pierwszej z oczekujących taksówek przytrzymał parasol nad Stephanie, a następnie sam wsiadł do środka.

– Hotel Cztery Pory Roku – powiedział do kierowcy, który przyglądał się im we wstecznym lusterku.

– Dzisiejszy wieczór był nie tylko dziwaczny, ale i pełen ironii – odezwała się nagle Stephanie, gdy taksówka ruszyła z miejsca. – Tego samego dnia, kiedy dowiedziałam się co nieco o twojej rodzinie od ciebie, usłyszałam kompletną historię z ust senatora Butlera.

– Moim zdaniem to bardziej irytujące niż ironiczne – odparł Daniel. – Do diabła, to najzwyklejsze pod słońcem naruszenie mojej prywatności, kazać FBI zaglądać w moją przeszłość. Poza tym to straszne, że FBI w ogóle zgodziło się to zrobić. W końcu jestem osobą prywatną, nie podejrzaną o żadne przestępstwo. Takie nadużycie pachnie mi epoką J. Edgara Hoovera.

– Więc to wszystko, co Butler powiedział na twój temat, jest prawdą?

– W zasadzie tak, jak sądzę – odparł z roztargnieniem Daniel. – Słuchaj, porozmawiajmy o ofercie senatora.

– Mogę od razu ci powiedzieć, co o niej sądzę. To śmierdząca sprawa, i tyle!

– Nie dostrzegasz żadnych pozytywnych aspektów?

– Moim zdaniem jedynym pozytywnym aspektem jest to, że potwierdziła się nasza opinia o tym człowieku jako o typowym demagogu. Senator jest też obrzydliwym hipokrytą. Atakuje HTRS wyłącznie ze względów politycznych i jest gotów zdelegalizować ją i powstrzymać dalsze badania, choć wie, że ta metoda mogłaby ratować ludzkie życie i nieść ulgę w cierpieniach. Jednocześnie sam chce z niej skorzystać. To nieprzyzwoite i niewybaczalne, i na pewno nie będziemy brać w tym udziału. – Stephanie parsknęła krótkim szyderczym śmiechem. – Żałuję, że obiecałam zachować jego chorobę w tajemnicy. To dokładnie tego rodzaju historia, jaką uwielbiają media, i z ochotą bym im ją przekazała.

– Absolutnie nie możemy przekazać tego mediom – oświadczył kategorycznie Daniel. – Poza tym uważam, że nie powinniśmy ulegać emocjom. Myślę, że należy się zastanowić nad ofertą Butlera.

Zaskoczona Stephanie odwróciła się ku niemu. Starła się dostrzec jego twarz w nikłym świetle.

– Nie mówisz chyba poważnie?

– Zestawmy to, co wiemy. Technologię uzyskiwania neuronów dopaminoergicznych z komórek macierzystych mamy dobrze opanowaną, więc nie można powiedzieć, żebyśmy pod tym względem poruszali się po omacku.

– Robiliśmy to z mysimi komórkami macierzystymi, nie z ludzkimi.

– Zasada pozostaje ta sama. Koledzy robili to już z ludzkimi komórkami macierzystymi, stosując te same metody. Uzyskanie komórek nie będzie problemem. A kiedy już będziemy je mieli, możemy wykonać krok po kroku tę samą procedurę, którą opracowaliśmy dla myszy. Nie ma powodów, dla których nie miałyby to zadziałać u człowieka. Ostatecznie wszystkie myszy, które leczylimy, mają się nadzwyczaj dobrze.

– Jeśli nie liczyć tych, które padły.

– Wiemy, dlaczego zdechły. Zdarzyło się to, zanim jeszcze udoskonaliliśmy technikę

wstrzykiwania. Wszystkie myszy, u których przeprowadziliśmy zabieg prawidłowo, przeżyły i zostały wyleczone. W wypadku ludzkiego ochotnika będziemy mogli skorzystać ze sprzętu stereotaktycznego, jakiego nie mieliśmy do dyspozycji, kiedy pracowaliśmy na gryzoniach. W ten sposób wstrzykiwanie będzie jeszcze dokładniejsze, zdecydowanie łatwiejsze, a co za tym idzie, bezpieczniejsze. Poza tym nie będziemy robić tego sami. Znajdziemy jakiegoś skłonnego do współpracy neurochirurga.

– Nie wierzę własnym uszom – stwierdziła Stephanie. – Mówisz tak, jakbyś przekonał już sam siebie do tego szalonego, nieetycznego eksperymentu, bo tym właśnie to będzie: niekontrolowanym, ryzykownym eksperymentem na pojedynczym ludzkim podmiocie. Bez względu na to, jaki będzie wynik, nie będzie miał żadnej wartości dla nikogo, z wyjątkiem być może Butlera.

– Nie zgadzam się z tym. Dzięki temu zabiegowi ocalimy CURE i HTRS, co oznacza, że ostatecznie skorzystają na tym miliony ludzi. Wydaje mi się, że drobny kompromis etyczny nie jest wygórowaną ceną wobec olbrzymich korzyści, jakich możemy oczekiwać na koniec.

– Ale to byłoby dokładnie to, o co Butler oskarżył przemysł biotechnologiczny w swoim inauguracyjnym przemówieniu podczas dzisiejszego przesłuchania: wykorzystywanie celów, by usprawiedliwić środki. Eksperymentowanie na senatorze Butlerze byłoby nieetyczne, i tyle.

– Tak, zgoda, w pewnym stopniu masz rację, ale kogo narażamy na ryzyko? Właśnie winowajcę! To on sam o to prosi. Co gorsza, posługuje się podejrzanymi metodami, kiedy przypiera nas do muru informacjami, które zdobył, skłaniając w jakiś sposób FBI do przeprowadzenia nielegalnego śledztwa.

– Może to i prawda, ale mimo wszystko dwa zła nie dają w wyniku dobra i nie rozgrzeszy to nas z winy za współudział.

– Myślę, że rozgrzeszy. Każemy Butlerowi podpisać oświadczenie, w którym zawrzemy to wszystko, włącznie z faktem, że jesteśmy w pełni świadomi, że wykonanie tego zabiegu zostałoby uznane za nieetyczne przez każdy badawczy komitet doradczy w tym kraju, ponieważ odbywa się bez stosownego protokołu. W oświadczeniu wyraźnie zaznaczymy, że to Butler wysunął pomysł, by poddać się zabiegowi i by odbyło się to za granicą. Zaznaczymy też, że wymusił na nas współpracę.

– Myślisz, że on podpisze takie oświadczenie?

– Nie damy mu wyboru. Albo je podpisze, albo nici z HTRS. Odpowiada mi myśl, żeby zrobić to na Bahamach, bo dzięki temu nie naruszymy przepisów Urzędu Żywności i Leków, a w razie potrzeby będziemy mieli niepodważalne oświadczenie. Cała odpowiedzialność spadnie na barki Butlera.

– Muszę się nad tym przez chwilę zastanowić.

– Proszę bardzo, ale naprawdę uważam, że względy moralne przemawiają za przyjęciem jego oferty. Byłoby inaczej, gdybyśmy zmuszali go w jakikolwiek sposób. Ale nie robimy

tego. Jest dokładnie odwrotnie.

– Ale można by argumentować, że on jest niedoinformowany. Jest politykiem, nie lekarzem. Nie zdaje sobie sprawy z ryzyka. Może umrzeć.

– Nie umrze – oświadczył z naciskiem Daniel. – Zachowamy wszelkie środki ostrożności, co oznacza, że w najgorszym razie wstrzykniemy mu zbyt mało komórek, by stężenie dopaminy wzrosło na tyle, żeby w pełni usunąć objawy. Jeśli tak się stanie, będzie nas błagał, żebyśmy powtórzyli zabieg, a to będzie proste, ponieważ zachowamy lecznicze komórki w hodowli.

– Daj mi to przemyśleć.

– Jasne – odparł Daniel.

Resztę drogi odbyli w milczeniu. Dopiero w hotelowej windzie Stephanie powiedziała:

– Naprawdę wierzysz, że uda nam się znaleźć odpowiednie miejsce do wykonania zabiegu?

– Butler zajął się tą sprawą solidnie – odparł Daniel. – Nie zostawił niczego na łaskę losu. Szczerze mówiąc, byłbym zaskoczony, gdyby nie kazał sprawdzić tej kliniki, o której wspomniał, pod kątem jej przydatności do naszych celów, w tym samym czasie, kiedy kazał sprawdzić mnie.

– Chyba masz rację. Istotnie, przypominam sobie, że jakiś rok temu czytałam coś na temat tej Kliniki Wingate’a. To był popularny, niezależny ośrodek leczenia niepłodności w Bookfordzie, w stanie Massachusetts, zanim został zmuszony do przeprowadzki na Bahamy. Był z tym niezły skandal.

– Ja też to pamiętam. Kliniką kierowało dwóch nieszablonowych specjalistów od niepłodności. Ich dział badawczy prowadził nieetyczne eksperymenty z klonowaniem reprodukcyjnym.

– Powiedziałabym raczej: szokujące, jak na przykład próby hodowania ludzkich zarodków w macicach świń. Pamiętam, że byli też zamieszani w zaginięcie dwóch studentek z Harvardu, które były dawczyniami komórek jajowych. Szefowie musieli uciec za granicę i z trudem udało im się uniknąć ekstradycji do Stanów Zjednoczonych. W sumie wygląda to akurat na ten rodzaj miejsca i ludzi, z jakimi absolutnie nie powinniśmy się zadawać.

– Nie będziemy się z nimi zadawać. Wykonamy zabieg, umyjemy ręce i wrócimy do domu.

Drzwi windy otworzyły się. Ruszyli korytarzem w stronę apartamentu.

– A co z neurochirurgiem? – zapytała Stephanie. – Naprawdę myślisz, że uda się znaleźć kogoś, kto zgodzi się wziąć udział w tej szopce? Każdy zorientuje się, że coś w tym śmierdzi.

– Przy odpowiednich bodźcach nie powinno być z tym problemu. To samo dotyczy kliniki.

– Masz na myśli pieniądze.

– Oczywiście! Uniwersalny czynnik motywujący.

– A co z dyskrecją, jakiej domaga się Butler? Jak sobie z tym poradzimy?

– Dyskrecja to bardziej jego problem niż nasz. Nie będziemy podawać jego prawdziwego nazwiska. Przypuszczam, że bez tych okularów i ciemnego garnituru byłby dość nijakim, ofermowatym facetem. W pstrokatej koszuli z krótkim rękawem i ciemnych okularach być może nikt go nawet nie rozpozna.

Stephanie otworzyła kartą drzwi. Zdjęli płaszcze i weszli do salonu.

– Może sięgniemy do barku? – zaproponował Daniel. – Jestem w nastroju do świętowania. Parę godzin temu zdawało mi się, że ugrzęźliśmy pod czarną chmurą. Teraz pojawił się promyk słońca.

– Chętnie napiłabym się wina – przyznała Stephanie. Zatarła dłonie, by je ogrzać, po czym zwinęła się w kłębek w rogu kanapy.

Daniel odkorkował małą butelkę caberneta i nalał sówitą porcję do pękatego kielicha. Podał go Stephanie, po czym sam wziął sobie pocziwej szkockiej. Usiadł w przeciwnym rogu kanapy. Trącili się kieliszkami i upili po łyku.

– Więc chcesz realizować ten wariacki plan? – odezwała się Stephanie.

– Tak, chyba że potrafisz podać jakiś istotny powód, żeby tego nie robić.

– A co z tą bzdurą z Całunem Turyńskim? „Boska interwencja”! Cóż za niedorzeczny i arogancki pomysł!

– Nie zgadzam się z tobą. Uważam, że jest w tym iskra geniuszu.

– Chyba żartujesz!

– Bynajmniej! To byłoby najlepsze z możliwych placebo, a wiemy, jak potężny potrafi być efekt placebo. Jeśli Butler chce wierzyć, że otrzyma część genów Jezusa Chrystusa, niech mu będzie. To da mu znakomity bodziec do wiary w powodzenie kuracji. Myślę, że to genialny pomysł. Nie twierdzą, że musimy koniecznie uzyskać DNA z całunu. Możemy po prostu powiedzieć mu, że to zrobiliśmy, a rezultat będzie dokładnie ten sam. Ale możemy spróbować. Jeśli, jak on utrzymuje, na całunie są ślady krwi, i jeśli, jak dał do zrozumienia, możemy otrzymać próbkę, to powinno się udać.

– Nawet jeśli ta krew pochodzi z trzynastego wieku?

– Wiek nie powinien robić żadnej różnicy. DNA będzie fragmentaryczne, ale to nie jest problem. Użyjemy tej samej sondy, którą posłużylibyśmy się przy świeżej próbce DNA, by wydzielić potrzebny nam odcinek, a potem namnożymy go poprzez reakcję łańcuchową polimerazy. To doda naszej pracy nieco wyzwania i dreszczyku emocji. Najtrudniej będzie oprzeć się pokusie, by kiedy będzie już po wszystkim, opisać procedurę w „Nature” albo w „Science”. Wyobrażasz sobie ten tytuł: „HTRS i Całun Turyński łączą siły w pierwszym przypadku wyleczenia choroby Parkinsona u ludzi”?

– Nie będziemy mogli opublikować tej historii – przypomniała Stephanie.

– Wiem! Po prostu zabawnie jest wyprzedzić trochę bieg wydarzeń. Następnym krokiem będzie kontrolowany eksperyment, a wiadomość o nim z pewnością będziemy mogli

opublikować. Kiedy do tego dojdzie, CURE będzie w centrum zainteresowania, a nasze kłopoty finansowe dawno już będą należały do przeszłości.

– Chciałabym podzielać twój entuzjazm.

– Myślę, że nabierzesz optymizmu, kiedy tylko sprawy ruszą z miejsca. Choć dziś wieczorem nie było mowy o terminach, domyślam się, że senatorowi będzie zależało na czasie. To oznacza, że powinniśmy zacząć przygotowania już jutro, zaraz po powrocie do Bostonu. Ja zajmę się rozmowami z Kliniką Wingate'a i poszukiwaniem neurochirurga. Może wzięłabyś na siebie część związaną z Całunem Turyńskim?

– To przynajmniej powinno być ciekawe – odparła Stephanie, usiłując wykrzesać z siebie choć iskrę zapału dla tego przedsięwzięcia, mimo tego, co podpowiadała jej intuicja. – Intryguje mnie, dlaczego Kościół nadal uważa go za relikwię, skoro udowodniono już, że to fałszerstwo.

– Senator najwyraźniej uważa go za autentyk.

– Jak sobie przypominam, wynik datowania metodą węglową został potwierdzony przez trzy niezależne laboratoria. Trudno byłoby go podważyć.

– Cóż, zobaczymy, czego się dowiesz – odparł Daniel. – Tymczasem lepiej zacznijmy się szykować do dłuższej podróży.

– Masz na myśli Nassau?

– Nassau i prawdopodobnie Turyn, zależnie od tego, co odkryjesz.

– Skąd weźmiemy pieniądze na taką wyprawę?

– Od Ashleya Butlera.

Stephanie uniosła brwi.

– Może ta eskapada nie będzie mimo wszystko taka zła.

– Więc zgadzasz się ze mną? – zapytał Daniel.

– Tak, chyba tak.

– To nie brzmi zbyt optymistycznie.

– Na nic lepszego nie mogę się w tej chwili zdobyć. Ale myślę, że jak mówiłeś, w miarę postępów prac zmienię zdanie.

– Cóż, dobre i to – stwierdził Daniel. Wstał z kanapy, ściskając lekko ramię Stephanie. – Wezmę sobie jeszcze jedną szkocką. Daj, doleję ci wina.

Ponownie napełnił obydwie kieliszki, po czym usiadł z powrotem. Zerknął na zegarek, położył przed sobą wizytówkę Butlera i przestawił telefon na stolik.

– Zawiadomimy senatora. Na pewno będzie obrzydliwie zadowolony z siebie, ale jak sam powiedział, „takie jest życie”. – Wybrał numer i przełączył aparat na głośnik. Nie musiał czekać długo. Po chwili zaciągający baryton Ashleya Butlera wypełnił pokój.

– Panie senatorze – zawołał Daniel, przerywając wylewne powitanie Ashleya. – Nie chcę być niegrzeczny, ale jest już późno i chciałem tylko powiedzieć panu, że zdecydowałem się skorzystać z pańskiej propozycji.

– Bogu dzięki! – wykrzyknął Ashley. – I tak szybko! Bałem się, że postanowi pan zмагаć się z tą prostą decyzją przez całą noc i że zadzwoni pan dopiero rano. Jestem wniebowzięty! Czy mogę przyjąć, że doktor D’Agostino również zgodziła się uczestniczyć w tym przedsięwzięciu?

– Tak jest – odparła Stephanie, starając się nadać głosowi optymistyczne brzmienie.

– Cudownie, cudownie! – zagrział Ashley. – Nie żebym był tym zaskoczony, skoro chodzi o sprawę korzystną dla nas wszystkich. Ale naprawdę wierzę, że jednomyślność i zgodność celów są kluczem do sukcesu, a nam z całą pewnością zależy na sukcesie tego przedsięwzięcia.

– Domyślamy się, że chciałby pan przeprowadzić to jak najszybciej – powiedział Daniel.

– Zdecydowanie, moi drodzy przyjaciele. Zdecydowanie. Wkrótce nie będę już dłużej mógł ukrywać swojej choroby – wyjaśnił Ashley. – Nie ma czasu do stracenia. Na szczęście dla naszych planów zbliżają się wakacje senatu. Zaczynają się mniej więcej za miesiąc, dwudziestego drugiego marca, i trwają do ósmego kwietnia. Zazwyczaj wracam wtedy do domu, żeby politykować, ale tym razem chciałbym wykorzystać ten czas na kurację. Czy miesiąc wystarczy wam, uczonym, by przygotować komórki terapeutyczne?

Daniel zerknął na Stephanie.

– To szybciej, niż się spodziewałem. Jak myślisz? Zdążymy? – zapytał cicho.

– Będzie ciężko – szepnęła Stephanie, wruszając ramionami. – Po pierwsze, będziemy potrzebowali paru dni na założenie hodowli fibroblastów. Potem, o ile w wyniku transferu jądrowego uzyskamy zdolny do życia preembrion, musimy odczekać pięć czy sześć dni na uformowanie się blastocysty. Później trzeba przewidzieć jakieś dwa tygodnie na hodowlę wyizolowanych komórek macierzystych.

– Jest jakiś problem? – zapytał Ashley. – W ogóle nie słyszę, o czym rozmawiacie.

– Sekundkę, panie senatorze! – zawołał Daniel do mikrofonu. – Omawiam z doktor D’Agostino ramy czasowe. To ona będzie wykonywać większość faktycznych prac.

– Potem będziemy musieli skłonić je do zróżnicowania się we właściwe komórki nerwowe – ciągnęła Stephanie. – To zajmie kolejne dwa tygodnie, może nieco mniej. Komórki myszy były gotowe już po dziesięciu dniach.

– Więc jak sądzisz? – zapytał Daniel. – Jeśli wszystko pójdzie dobrze, miesiąc wystarczy?

– Teoretycznie jest to możliwe – odparła Stephanie. – Da się to zrobić, ale musielibyśmy zacząć niemal natychmiast, na przykład jutro! Problem w tym, że będziemy potrzebowali ludzkich oocytów, a ich nie mamy.

– O, cholera! – mruknął Daniel. Przygryzł dolną wargę i zmarszczył brwi. – Tak przyzwyczałem się do pracy z łatwo dostępnymi krowimi komórkami jajowymi, że zapomniałem o problemach ze zdobyciem ludzkich.

– To główna przeszkoda – przyznała Stephanie. – Nawet w najbardziej sprzyjających

okolicznościach, gdybyśmy mieli na podorzędzi dawczynię komórek jajowych, potrzebowalibyśmy około miesiąca, by pozyskać je po stymulacji hormonalnej.

– Cóż, może nasi nieszablonowi przyjaciele z Kliniki Wingate’a będą mogli nam pomóc także pod tym względem. Jako działająca klinika niepłodności z pewnością mają parę jajeczek na zbyciu. Biorąc pod uwagę ich złą reputację, założę się, że odpowiednią łapówką zdołamy ich przekonać, by dali nam to, czego potrzebujemy.

– Możliwe, ale wtedy będziemy wobec nich jeszcze bardziej zobowiązani. Im więcej dla nas zrobią, tym trudniej będzie nam umyć ręce i wrócić do domu, jak to beztrudno zasugerowałaś zaledwie przed chwilą.

– Ale nie mamy wielkiego wyboru. Alternatywą jest zrezygnowanie z CURE, HTRS i całej naszej krwi, potu i łez.

– To ty decydujesz. Ale tak między nami, wobec historii Kliniki Wingate’a czuję się nieswojo na myśl o zawdzięczaniu czegokolwiek tym ludziom.

Daniel, kiwając głową, rozważał przez chwilę te kwestie. Wreszcie westchnął i odwrócił się z powrotem do mikrofonu.

– Panie senatorze, jest szansa, że zdążymy przygotować komórki terapeutyczne w ciągu miesiąca. Ale muszę pana ostrzec, że będzie to wymagało wysiłku i odrobiny szczęścia i że musielibyśmy rozpocząć prace natychmiast. Liczymy na wsparcie z pana strony.

– Będę potulny jak baranek. Podjąłem zresztą pierwsze kroki już miesiąc temu, rezerwując sobie przelot do Nassau na dwudziestego trzeciego marca i pobyt na wyspie przez tak długą część wakacji, jaka będzie potrzebna. Zrobiłem nawet rezerwacje dla was. Tak byłem pewny waszej zgody. Trzeba było zrobić to wcześniej, bo o tej porze roku na Bahamach jest pełnia sezonu. Zamieszkamy w ośrodku Atlantis, który miałem przyjemność odwiedzić w zeszłym roku z myślą o tych właśnie planach. To kompleks hotelowy dość potężny, by zapewnić odpowiednią anonimowość, która pozwala wchodzić i wychodzić bez wzbudzania podejrzeń. Jest tam też kasyno, a jak się pan pewnie domyśla, uwielbiam hazard, kiedy tylko zdarzy mi się mieć trochę pieniędzy do przepuszczenia.

Daniel zerknął na Stephanie. Z jednej strony był zadowolony, że Ashley przygotował się już wcześniej do przedsięwzięcia, z drugiej strony jednak ubodło go, że senator uznał jego współudział za rzecz oczywistą.

– Czy zamelduje się pan pod własnym nazwiskiem? – zapytała Stephanie.

– Tak, rzeczywiście – odparł Ashley. – Ale w Klinice Wingate’a zamierzam używać pseudonimu.

– Co wie pan o tej klinice? – zapytał Daniel. – Ufam, że przyjrzał się jej pan równie uważnie jak mojej przeszłości.

– Pańskie zaufanie jest dobrze ulokowane. Myślę, że uzna pan tę klinikę za doskonale odpowiadającą naszym celom, choć jej personel wzbudza już mniejszy entuzjazm. Nominalnie szefem kliniki jest doktor Spencer Wingate, który sprawia wrażenie bufona, choć



niewątpliwie jest wysoko kwalifikowanym specjalistą od niepłodności. Wydaje się, że bardziej od kliniki interesuje go życie towarzyskie na wyspie, poza tym z niecierpliwością wyczekuje odlotu na kontynent, by rozgrywać swoje sprawy w sądach Europy. Drugim po Bogu jest doktor Paul Saunders i to właśnie on rządzi tam na co dzień. To bardziej skomplikowany osobnik, który uważa się za światowej klasy naukowca, choć jego wykształcenie ogranicza się do dziedziny niepłodności klinicznej. Jestem pewien, że obaj okażą się bardzo przychylnie nastawieni, jeśli tylko odwoła się pan do ich osobistych próżnostek. Dla takich ludzi perspektywa współpracy z kimś o pańskich kwalifikacjach i renomie jest życiową szansą.

– Pochlebiamy mi pan, panie senatorze. Stephanie uśmiechnęła się na sarkazm Daniela.

– Tylko dlatego, że zasługuje pan na to – odparł Ashley. – Poza tym człowiek musi wierzyć w swojego lekarza.

– Śmiem sądzić, że Wingate i Saunders będą bardziej zainteresowani pieniędzmi niż moim życiorysem zawodowym – zauważył Daniel.

– Przypuszczam, że będą zainteresowani pańskim życiorysem, bo dzięki panu zyskają renomę, która pomoże im zarabiać pieniądze – stwierdził Ashley. – Ale ich sprzedajność i brak przygotowania naukowego to nie nasz problem, tyle że musimy o tym pamiętać i wykorzystywać to do własnych celów. Interesuje nas wyłącznie ich klinika i sprzęt.

– Mam nadzieję, że zdaje pan sobie sprawę, że przeprowadzenie całej procedury w takich warunkach nie będzie tanie, choćby nie wiem jak wysilać wyobraźnię.

– I wcale nie chcę, żeby było tanie – odparł Ashley. – Chcę kosztownej, luksusowej, najwyższej jakości kuracji. Co do reszty, mam dostęp do funduszy aż nadto wystarczających na pokrycie wszelkich kosztów ważnych dla mojej kariery politycznej. Ale oczekuję, że wasze osobiste usługi będą gratis. Ostatecznie wymieniamy przysługę za przysługę.

– Zgoda – powiedział Daniel. – Ale zanim podejmiemy jakiegokolwiek działania, doktor D'Agostino i ja domagamy się, żeby podpisał pan specjalne oświadczenie, które przygotujemy. Opiszemy w nim dokładnie, w jaki sposób wyłoniła się ta sprawa, jak również wszystkie wiążące się z nią zagrożenia, włącznie z faktem, że nigdy nie wykonywaliśmy tej procedury na istocie ludzkiej.

– Jeśli tylko zagwarantujecie, że oświadczenie pozostanie poufne, nie będę miał żadnych oporów przed jego podpisaniem. Rozumiem, że potrzebujecie go jako zabezpieczenia. Jestem absolutnie pewien, że na waszym miejscu poprosiłbym dokładnie o to samo, więc nie będzie z tym żadnego problemu, pod warunkiem że oświadczenie nie będzie zawierało nic nierozsądnego ani niestosownego.

– Zapewniam pana, że będzie najzupełniej rozsądne – odparł Daniel. – Poza tym chciałbym prosić, by wykorzystał pan swoje możliwości, o których pan wspomniał, żeby zdobyć dla nas próbkę Całunu Turyńskiego.

– Poleciłem już pani Manning, by umówiła mnie na spotkania z różnymi dostojnikami

kościelnymi, z którymi wiążą mnie sprawy służbowe. Przypuszczam, że dojdą one do skutku w ciągu najbliższych paru dni. Jak duża próbka będzie wam potrzebna?

– Może być zupełnie maleńka – odparł Daniel. – Wystarczy zaledwie parę nitek, ale muszą to być nitki pochodzące z fragmentu pokrytego krwią.

Ashley roześmiał się.

– Tego domyśliłby się nawet taki ignorant i laik jak ja. Fakt, że potrzebujecie jedynie małego skrawka, znacznie wszystko ułatwi. Jak wspomniałem podczas naszej wcześniejszej rozmowy, wiem, że takie próbki zostały pobrane, a potem przejęte przez Kościół.

– Musimy je mieć jak najszybciej – dodał Daniel.

– W pełni zdaję sobie z tego sprawę – odparł Ashley. – Czy macie do mnie jeszcze jakieś prośby?

– Tak – odezwała się Stephanie. – Chcielibyśmy, żeby zrobił pan jutro rano trepanobiopsję skóry. Jeśli mamy zdążyć z przygotowaniem komórek terapeutycznych w ciągu miesiąca, musimy otrzymać wycinek pana skóry już jutro, przed odlotem do Bostonu. Pański lekarz skieruje pana na zabieg do dermatologa, który może przysłać nam próbkę do hotelu przez gońca. Posłuży nam ona jako źródło fibroblastów, z których założymy hodowlę tkanki.

– Zajmę się tym z samego rana.

– Myślę, że to na razie wszystko – stwierdził Daniel. Spojrzał na Stephanie, która kiwnęła głową na znak zgody.

– W takim razie ja mam bardzo istotną prośbę – powiedział Ashley. – Myślę, że powinniśmy wymienić specjalne adresy e-mailowe i komunikować się wyłącznie poprzez Internet, w sposób możliwie zwięzły i krótki. Nasza następna bezpośrednia rozmowa powinna się odbyć dopiero w Klinice Wingate’a na wyspie New Providence. Niezmiernie zależy mi na tym, by ta sprawa była ściśle strzeżonym sekretem, i im mniej będziemy kontaktować się ze sobą, tym lepiej. Zgadzaście się z tym?

– Jak najbardziej – odparł Daniel.

– Co do funduszy na pokrycie kosztów – ciągnął Ashley – podam wam przez e-mail numer poufnego konta w zagranicznym banku w Nassau, założonego przez jeden z moich komitetów wyborczych, z którego będziecie mogli pobierać pieniądze. Oczywiście w przyszłości będę oczekiwał rozliczenia tych sum. Czy to jest do przyjęcia?

– Dopóki środki będą wystarczające – odparł Daniel. – Jedną z najbardziej kosztownych spraw będzie zdobycie ludzkich komórek jajowych.

– Jeszcze raz powtarzam – powiedział Ashley – że pieniędzy będzie dość. O resztę się nie martwcie!

Kilka minut później, gdy rozwlekłe pożegnanie Ashleya dobiegło końca, Daniel pochylił się i wyłączył mikrofon. Odstawił telefon z powrotem na boczny stolik, po czym obrócił się, by spojrzeć na Stephanie.

– Śmiać mi się chciało, kiedy nazwał szefa Kliniki Wingate’a bufonem. Przyganiał kocioł garnkowi, a sam smoli.

– Miałaś rację, że on dokładnie przemyślał tę sprawę. Byłam zaszokowana, kiedy powiedział, że zarezerwował przelot i hotel już miesiąc temu. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że kazał sprawdzić tę klinikę.

– Czujesz się lepiej na myśl o leczeniu go?

– Do pewnego stopnia – przyznała Stephanie. – Zwłaszcza, że twierdzi, że nie będzie miał żadnych oporów przed podpisaniem oświadczenia, które przygotowujemy. Przynajmniej będę miała pewność, że wziął pod uwagę eksperymentalny charakter zabiegu i wiążące się z tym ryzyko. Wcześniej wcale nie było to dla mnie takie oczywiste.

Daniel przesunął się na drugą stronę kanapy, objął Stephanie i przytulił ją do siebie. Czuł, jak serce bije jej w piersi. Odsunawszy się nieco, by móc spojrzeć jej w twarz, utkwiał wzrok w ciemnych głębiach jej oczu.

– Skoro wygląda na to, że sprawy polityki, biznesu i badań naukowych są już pod kontrolą, co powiesz na to, żebyśmy zaczęli tam, gdzie przerwaliśmy zeszłej nocy?

Stephanie odwzajemniła jego spojrzenie.

– Czy to propozycja?

– Tak, rzeczywiście.

– Czy twój autonomiczny układ nerwowy będzie współpracować?

– O wiele lepiej niż wczoraj, możesz być pewna.

Daniel wstał i pomógł Stephanie podnieść się na nogi.

– Zapomnieliśmy o wywieszce „Nie przeszkadzać” – zauważyła, gdy niecierpliwie ciągnął ją w stronę sypialni.

– Zakosztujmy ryzyka – odparł z błyskiem w oku.

## **Rozdział szósty**

### **14.35, piątek, 22 lutego 2002**

Od chwili przebudzenia się we wczesnych godzinach rannych Stephanie pochłonięta była szczegółami projektu Butlera. Choć jej negatywne nastawienie wobec leczenia senatora nie zmieniło się, czekało ją zbyt wiele zadań, żeby mogła zaprzętać sobie głowę tym, co podszeptowała jej intuicja. Zanim jeszcze wzięła prysznic, wysłała do senatora szereg e-maili ze swego laptopa, by określić dokładnie warunki biopsji.

Po pierwsze, chciała otrzymać wycinek możliwie jak najwcześniej. Po drugie, chciała mieć absolutną pewność, że zostanie pobrany ze skóry o pełnej grubości, gdyż potrzebne jej były komórki z głębokich warstw skóry właściwej. I po trzecie, prosiła, by próbkę umieszczono po prostu we fiolce z pożywką, bez zamrażania czy nawet okładania lodem. Wiedziała, że komórki dobrze zniosą temperaturę pokojową do czasu jej powrotu do laboratorium w Cambridge, gdzie zajmie się nimi w odpowiedni sposób. Jej celem było założenie hodowli fibroblastów senatora, których jądra miały na koniec posłużyć do utworzenia komórek terapeutycznych. Transfer jądrowy, lub klonowanie terapeutyczne, jak woleli nazywać to niektórzy, wychodził jej zawsze lepiej, gdy wykonywała go na świeżych, nie na zamrożonych komórkach.

Ku zaskoczeniu Stephanie senator pomimo wczesnej pory odpisał na jej e-mail niemal natychmiast, co wskazywało, że nie tylko był rannym ptaszkiem, ale i że istotnie zależało mu na tej sprawie tak bardzo, jak dał to do zrozumienia poprzedniego wieczoru. W swej wiadomości oznajmił, że próbował już skontaktować się z lekarzem i zapewnił ją, że gdy tylko lekarz oddzwoni, przekaże mu jej żądania i dopilnuje, żeby zostały spełnione.

Daniel był niezwykle ożywiony, odkąd wyskoczył z łóżka. Także rozpoczął dzień od sesji przy laptopie. Ubrany jedynie w hotelowy szlafrok frotte, napisał e-maila do pewnej grupy kapitałowej z zachodniego wybrzeża, która wyraziła zainteresowanie inwestycją w CURE, ale postanowiła wstrzymać się z udostępnieniem jakichkolwiek funduszy, dopóki nie zapadnie decyzja co do projektu ustawy senatora Butlera. Daniel chciał poinformować ich, że projekt z

pewnością nie wyjdzie poza podkomisję i nie stanowi już zagrożenia. Chętnie wyjaśniłby, skąd uzyskał tę informację, wiedział jednak, że nie wolno mu tego uczynić. Nie spodziewał się odpowiedzi w ciągu najbliższych kilku godzin, gdyż na zachodnim wybrzeżu była dopiero czwarta rano, kiedy przesłał wiadomość, ale nie wątpił, że nowina zostanie przyjęta z zadowoleniem.

Poszli na całość i zamówili śniadanie do pokoju. Daniel uparł się, żeby ozdabiały je mimozy. Ze śmiechem stwierdził, że Stephanie powinna przyzwyczajać się do takiego życia, gdyż będzie to ich chleb powszedni, gdy tylko CURE wejdzie na giełdę.

– Mam już dość uczelnianego ubóstwa – oświadczył. – Będziemy milionerami i dobrze odegramy tę rolę!

O dziewiątej piętnaście zaskoczył ich telefon z recepcji z wiadomością, że goniec dostarczył właśnie pilną przesyłkę od doktor Claire Schneider. Zapytano ich, czy życzą sobie, by przesłano im ją wprost do pokoju, na co odpowiedzieli twierdząco. Tak jak przypuszczali, przesyłka zawierała wycinek skóry Butlera, co napełniło ich podziwem dla sprawności działania senatora. Dotarła do nich dobrych kilka godzin wcześniej, niż się spodziewali.

Mając już wycinek skóry, zdążyli złapać samolot do Bostonu o dziesiątej trzydziści i tuż po dwunastej wylądowali na lotnisku Logan. Po jeździe taksówką, zdaniem Daniela jeszcze bardziej szaleńczej od tych w Waszyngtonie, z Pakistańczykiem za kierownicą rozklekotanego samochodu, znaleźli się w mieszkaniu Daniela na Appleton Street. Przebrali się, zjedli szybki lunch, po czym pojechali fordem focusem Daniela do aktualnej siedziby CURE w East Cambridge na Athenaeum Street. Weszli do budynku. Firma zajmowała ciąg pomieszczeń na parterze, zaraz na prawo od wejścia.

W początkach swego istnienia CURE zajmowała niemal całe pierwsze piętro odrestaurowanego ceglanego biurowca z XIX wieku. Lecz gdy trudności finansowe się pogłębiły, w pierwszej kolejności zrezygnowali z przestrzeni. W tej chwili była to jedna dziesiąta pierwotnej powierzchni, z jednym laboratorium, dwoma małymi gabinetami i recepcją. Drugim krokiem była redukcja personelu. Aktualnie zespół składał się z Daniela i Stephanie, którzy od czterech miesięcy nie pobrali pensji, jeszcze jednego pracownika naukowego o nazwisku Peter Conway, recepcjonistki i sekretarki Vicky McGowan oraz trzech laborantów, z których wkrótce miało pozostać tylko dwóch, może nawet jeden. Daniel nie podjął jeszcze co do tego decyzji. Nie zmienił się jedynie zarząd, naukowy komitet doradczy i rada etyczna, przy czym żadnego z tych organów Daniel nie zamierzał informować o układzie z Butlerem.

– Jest dopiero za dwadzieścia pięć trzecia – oświadczyła Stephanie po zamknięciu drzwi.  
– Moim zdaniem to zupełnie nieźle, jeśli zważyć, że obudziliśmy się w Waszyngtonie.

Daniel jedynie chrząknął w odpowiedzi. Skierował uwagę na Vicky, podającą mu właśnie plik notatek, z których kilka wymagało komentarza. Przed wszystkim zatelefonowali inwestorzy z zachodniego wybrzeża, zamiast odpisać na e-mail Daniela. Według Vicky byli

niezbyt usatysfakcjonowani informacją, jaką otrzymali, i domagali się dalszych wyjaśnień.

Pozostawiając interesy Danielowi, Stephanie przeszła do laboratorium. Przywitała się z Peterem, który siedział przy jednym z mikroskopów. Kiedy Stephanie i Daniel wyjechali do Waszyngtonu, on został w firmie, żeby nadzorować przebieg doświadczeń.

Stephanie położyła laptopa na steatytowym blacie stołu laboratoryjnego, który służył jej jako biurko; jej prywatny gabinet padł ofiarą pierwszych cięć. Z fiolką z wycinkiem skóry Butlera w ręce przeszła do roboczej części laboratorium. Szczypcami wyjęła próbkę, rozdrobniła ją, po czym umieściła w świeżej porcji pożywki, wraz z antybiotykami. Kiedy kolba z próbką spoczęła bezpiecznie w inkubatorze, Stephanie wróciła do biurka.

– Jak poszło w Waszyngtonie? – zawołał Peter.

Drobny i szczupły, wyglądał na nastolatka, choć w rzeczywistości był starszy od Stephanie. Jego najbardziej charakterystycznymi cechami był złachmaniony strój i szopa jasnych włosów, które nosił związane w koński ogon. Zdaniem Stephanie wyglądał jak żywy obraz hipisowskich lat sześćdziesiątych.

– Nieźle – odparła wymijająco. Wraz z Danielem postanowili nie mówić innym o Butlerze, dopóki nie będzie już po wszystkim.

– Więc nadal działamy? – zapytał Peter.

– Na to wygląda – przyznała Stephanie. Wetknęła wtyczkę do kontaktu i włączyła laptopa. Chwilę później była już w Internecie.

– A forsa z San Francisco przyjdzie? – drążył Peter.

– Musisz o to zapytać Daniela – powiedziała Stephanie. – Ja staram się trzymać z daleka od tych spraw.

Peter zrozumiał aluzję i znów pochylił się nad mikroskopem.

Odkąd tylko Daniel zaproponował, by to ona na początek zajęła się częścią projektu Butlera związaną z Całunem Turyńskim, Stephanie nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie będzie mogła zabrać się do rzeczy. Zamierzała zacząć już rano, po prysznicu, w oczekiwaniu na przybycie próbki skóry Butlera, ale zrezygnowała z tego, gdyż łączenie się z Internetem przez modem wydawało jej się nieznośnie powolne, odkąd przyzwyczała się do szerokopasmowego łącza CURE. Poza tym uznała, że ledwie zdąży się wciągnąć, będzie musiała przerwać. Teraz miała do dyspozycji całe popołudnie.

Wywołała wyszukiwarkę Google, wpisała hasło CAŁUN TURYSKI i wcisnęła przycisk SZUKAJ. Nie miała pojęcia, czego oczekiwać. Choć pamiętała szcątkowe wzmianki o całunie z czasów dzieciństwa, gdy była jeszcze praktykującą katoliczką, jak również wieść o uznaniu go za fałszerstwo w wyniku datowania metodą węglową, gdy była na pierwszym roku studiów doktoranckich, przez całe lata nie zaprzętała sobie głowy tą relikwią i przypuszczała, że inni postępują podobnie. Ostatecznie jak można było się podniecać trzynastowiecznym fałszyfikatem? Jednak chwilę później, gdy wyszukiwanie zostało zakończone, spostrzegła, że była w błędzie. Ze zdumieniem wpatrywała się w liczbę

znalezionych wyników: ponad dwadzieścia osiem tysięcy trzysta!

Kliknąwszy pierwszą pozycję na liście, otworzyła stronę internetową poświęconą Całunowi Turyńskiemu i przez następną godzinę zgłębiała wszelkie dostępne informacje. Już na pierwszej wprowadzającej stronie przeczytała, że całun jest najczęściej badanym obiektem w całej ludzkiej historii! Ponieważ stosunkowo niewiele wiedziała o całunie, uznała to stwierdzenie za zaskakujące, tym bardziej że ogólnie interesowała się historią. Studiowała wprawdzie chemię, lecz jako przedmiot dodatkowy wybrała właśnie historię. Preczytała także, że wielu ekspertów jest głęboko przekonanych, iż zagadnienie autentyczności całunu jako zabytku z pierwszego wieku naszej ery nie zostało rozstrzygnięte przez wyniki datowania metodą węgłową. Jako naukowiec, który zna precyzję tej metody nie mogła zrozumieć, jak ktokolwiek mógł żywić takie poglądy, i ogromnie ją to zaintrygowało. Zanim jednak zagłębiła się w tę kwestię, wywołała na ekran zdjęcia całunu, przedstawione zarówno w pozytywie, jak i w negatywie.

Z komentarza dowiedziała się, że fotograf, który jako pierwszy wykonał zdjęcia całunu w roku 1898, z zaskoczeniem stwierdził, że na negatywie obraz rysuje się znacznie wyraźniej, i sama również była tego zdania. Na pozytywie obraz był blady, a próby rozpoznania w nim ludzkiej postaci przypominały jej jedną z letnich rozrywek dzieciństwa: doszukiwanie się kształtów twarzy, ludzi lub zwierząt w zmiennych układach chmur kłębiastych. Ale negatyw robił wstrząsające wrażenie! Przedstawiał wyraźny wizerunek człowieka, którego bito, torturowano i ukrzyżowano, co nasuwało pytanie, jakim cudem średniowieczny fałszerz mógł przewidzieć wynalezienie fotografii. To, co na pozytywie wyglądało jak zwykłe plamy, tu okazywało się przejmująco realnymi strużkami krwi. Zerknąwszy jeszcze raz na pozytyw, Stephanie ze zdumieniem stwierdziła, że krew zachowała nawet swą czerwoną barwę.

W menu głównym Stephanie znalazła przycisk z napisem NAJCZĘŚCIEJ ZADAWANE PYTANIA i wcisnęła go. Jedno z pytań brzmiało: Czy kiedykolwiek przeprowadzono na całunie badania DNA? Zaciekawiona kliknęła myszką. Z zamieszczonej odpowiedzi dowiedziała się, że naukowcy z Teksasu znaleźli w plamach krwi cząsteczki DNA, choć było nieco wątpliwości co do pochodzenia przebadanych próbek. Wskazywano także, że część DNA może stanowić jedynie zanieczyszczenia pozostawione przez setki ludzi, którzy dotykali całunu w ciągu wieków.

Strona internetowa Całunu Turyńskiego zawierała też obszerną bibliografię, do której Stephanie nie omieszkała zajrzeć. I znów zaskoczona była liczbą wymienionych tytułów. Jako miłośniczka książek z ciekawością sięgającą zenitu przejrzała kilka pozycji. Po opuszczeniu strony całunu wywołała księgarnię internetowa, gdzie znalazła setkę tytułów, w większości tych samych, które wymieniała bibliografia. Przejrzawszy niektóre z recenzji, wybrała kilka książek, które chciała nabyć natychmiast. Szczególnie zainteresowały ją dzieła Iana Wilsona, naukowca z Oksfordu, o którym pisano, że przedstawia racje obu stron sporu co do autentyczności całunu, mimo że sam przekonany jest o prawdziwości tej relikwii, co

oznaczało, że uważa ją nie tylko za zabytek z pierwszego wieku naszej ery, ale za prawdziwy całun pogrzebowy Jezusa Chrystusa!

Stephanie podniosła słuchawkę i zadzwoniła do najbliższej księgarni. Ku jej zadowoleniu okazało się, że sklep posiada jeden z interesujących ją tytułów. Był to *The Turin Shroud: The Illustrated Evidence* autorstwa Iana Wilsona i Barrie Schwortza, zawodowego fotografa, który wchodził w skład amerykańskiego zespołu, prowadzącego w roku 1978 wszechstronne badania całunu. Poprosiła, by odłożono dla niej tę książkę.

Powróciła do księgarni internetowej i zamówiła kilka kolejnych książek na temat całunu, które miały dotrzeć do niej następnego dnia. Po tym wszystkim wstała i zdjęła płaszcz z oparcia krzesła.

– Idę do księgarni – zawołała do Petera. – Mają tam dla mnie książkę o Całunie Turyńskim. Tak z ciekawości, co o nim wiesz?

– Hmmm – mruknął Peter, krzywiąc się jak gdyby z wielkiego wysiłku umysłowego. – Znam nazwę miasta, w którym się znajduje.

– Mówię poważnie – skarciła go Stephanie.

– Cóż, ujmę to w ten sposób – odparł Peter. – Słyszałem o nim, ale nie jest to temat, jaki pojawiałby się zbyt często w moich rozmowach z kumplami. Gdyby ktoś usilnie pytał, mógłbym powiedzieć, że to jeden z tych przedmiotów, z których pomocą średniowieczny Kościół podsyczał zapał religijny, by zapełniać puszkę na datki, takich jak kawałki prawdziwego krzyża albo paznokcie świętych.

– Sądzisz, że jest autentyczny?

– To znaczy, że jest całunem pogrzebowym Chrystusa?

– Tak.

– Nie, coś ty! Dziesięć lat temu dowiedziono, że to fałszerstwo.

– A gdybym ci powiedziała, że to najdokładniej przebadany obiekt w ludzkiej historii?

– Zapytałbym cię, co ostatnio paliłaś.

Stephanie parsknęła śmiechem.

– Dzięki, Peter.

– Za co mi dziękujesz? – zapytał, wyraźnie zdezorientowany.

– Martwiłam się, że może tylko ja jedna nie wiem nic o Całunie Turyńskim. Ulżyło mi, że jednak tak nie jest. – Stephanie nałożyła płaszcz i skierowała się ku drzwiom.

– Skąd to nagle zainteresowanie całunem? – zawołał za nią Peter.

– Dowiesz się już wkrótce – odkrzyknęła przez ramię. Przeszła na ukos przez recepcję i wetknęła głowę do gabinetu Daniela. Z zaskoczeniem ujrzała go zgarbionego nad biurkiem, z głową w dłoniach.

– Hej – odezwała się. – Wszystko w porządku?

Daniel uniósł wzrok i zamrugnął. Oczy miał zaczerwienione, jak gdyby od tarcia, a jego twarz była bledsza niż zwykle.



– Tak, w porządku – odparł słabym głosem. Po jego wcześniejszym ożywieniu nie zostało ani śladu.

– Co się dzieje?

Daniel pokręcił głową, wodząc oczami po zagraconym biurku. Westchnął.

– Kierowanie tą firmą przypomina rejs przeciekającą łodzią z naparstkiem do wybierania wody. Inwestor nie zgadza się uruchomić drugiej tury płatności, dopóki nie wyjaśnię, skąd mam pewność, że projekt ustawy Butlera nie wyjdzie poza podkomisję. A nie mogę tego wyjaśnić, bo jeśli to zrobię, wiadomość na pewno przedostanie się na zewnątrz i Butler najprawdopodobniej nie dotrzyma słowa i przeforsuje ustawę. A wtedy wszystko weźmie w łeb.

– Ile pieniędzy nam zostało?

– Prawie nic – jęknął Daniel. – Za miesiąc będziemy musieli zaciągnąć dług, żeby wypłacić pensje.

– To daje nam miesiąc, którego potrzebujemy na leczenie Butlera – stwierdziła Stephanie.

– Co za łaskawość losu – burknął kwaśno Daniel. – Szlag mnie trafia, że musimy przerywać nasze badania i przestawać z typkiem pokroju Butlera i może jeszcze tymi błaznami od niepłodności z Nassau. To karygodne, że badania medyczne stały się w tym kraju kwestią polityczną. Twórcy naszej konstytucji, którzy obstawali przy rozdziale Kościoła od państwa, na pewno przewracają się w grobach na widok tej garstki polityków, wykorzystujących swe rzekome przekonania religijne, by powstrzymać coś, co ma szansę okazać się największym przełomem w medycynie.

– Cóż, wszyscy wiemy, co w rzeczywistości kryje się za tym luddystowskim oporem wobec biotechnologii – zauważyła Stephanie.

– O czym ty mówisz?

– Tak naprawdę to polityka antyaborcyjna w przebraniu – wyjaśniła Stephanie. – Chodzi o to, że ci demagodzy chcą, by zygota została uznana za pełnoprawną istotę ludzką bez względu na to, w jaki sposób powstała i bez względu na to, jaka przyszłość ją czeka. To niepoważne, ale jeśli mimo wszystko do tego dojdzie, precedens „Roe versus Wade” straci rację bytu.

– Chyba masz rację – przyznał Daniel. Wypuścił powietrze, wydając przy tym odgłos niczym spuszczana dętka. – Co za absurdalna sytuacja. Przyszłe pokolenia będą się zdumiewać, jak mogliśmy pozwolić, by sprawa osobista, jaką jest aborcja, przez długie lata wywierała negatywny wpływ na całe społeczeństwo. Zapożyczyliśmy wiele z naszych wyobrażeń o prawach jednostki, sposobie rządzenia, i oczywiście nasze prawo zwyczajowe, z Anglii. Dlaczego nie możemy wzorować się na Anglii także jeśli chodzi o podejście do etyki biotechnologii reprodukcyjnej?

– To dobre pytanie, ale roztrząsanie go nic nam w tej chwili nie da. Co się stało z twoim entuzjazmem wobec leczenia Butlera? Doprowadźmy to do końca! Po kuracji nie będzie mógł

wyprzeć się naszej umowy, nawet jeżeli coś przedostanie się do mediów, bo będziemy mieli jego oświadczenie. To znaczy, kiedy będzie już zdrowy, będzie mógł załatwić sprawę mediów, po prostu odrzucając wszelkie oskarżenia jako wypływające z pobudek politycznych. Ale nie będzie w stanie zanegować własnoręcznie podpisanego oświadczenia.

– Racja – przyznał Daniel.

– A co z pieniędzmi Butlera? – zapytała Stephanie. – Wydaje mi się, że to jest w tej chwili najważniejsze. Były na ten temat jakieś wieści?

– Nawet nie pomyślałem, żeby sprawdzić. – Daniel włączył swój komputer i uderzywszy w parę klawiszy, otworzył skrzynkę odbiorczą. – Jest jakiś e-mail, który może być tylko od Butlera. Ma zaszyfrowany załącznik, co wygląda obiecująco.

Otworzył załącznik. Stephanie okrążyła biurko i zajrzała mu przez ramię.

– Powiedziałyby, że nawet bardzo obiecująco – przyznała. – Senator podaje nam numer konta w bahamskim banku i zdaje się, że oboje możemy z niego korzystać.

– Jest tu link do strony internetowej banku – zauważył Daniel. – Zobaczmy, czy uda się sprawdzić, jakie jest saldo konta. Dzięki temu będziemy wiedzieli, jak poważnie Butler traktuje tę sprawę.

Parę kliknięć później odchylił się na oparcie krzesła. Uniósł wzrok ku Stephanie, która odwzajemniła jego spojrzenie. Oboje byli kompletnie zaskoczeni.

– Odnoszę wrażenie, że jest bardzo poważny! – stwierdziła Stephanie. – I napalony!

– Aż mnie zatkało! – przyznał Daniel. – Spodziewałem się dziesięciu, góra dwudziestu tysięcy, ale w żadnym razie nie stu. Skąd on wziął takie pieniądze w tak krótkim czasie?

– Mówiłam ci, że ma sieć komitetów wyborczych, które nie robią nic poza zdobywaniem funduszy. Zastanawia mnie tylko, czy komukolwiek z ofiarodawców przyszłoby do głowy, na co zostaną spożytkowane te pieniądze. Jest w tym diabelna ironia, jeżeli ci ludzie rzeczywiście są tak konserwatywni, jak sobie wyobrażam.

– To nie nasze zmartwienie – stwierdził Daniel. – Poza tym na pewno nie wydamy stu tysięcy dolarów. Z drugiej strony dobrze jest wiedzieć, że są tak na wszelki wypadek. A więc do dzieła!

– Założyłam już hodowlę fibroblastów ze skóry Butlera.

– Znakomicie! – odparł Daniel, ponownie się ożywiając. Nawet jego twarz odzyskała rumieńce. – Ja też wezmę się do roboty i zobaczę, czego uda mi się dowiedzieć na temat Kliniki Wingate’a.

– Świetny pomysł! – przyznała Stephanie. Ruszyła do drzwi. – Wrócę za jakąś godzinę.

– Dokąd idziesz?

– Do księgarni w centrum – odkrzyknęła przez ramię. Przystanąła na progu. – Odłożyli tam dla mnie książkę. Kiedy założyłam hodowlę fibroblastów, zaczęłam zgłębiać sprawę Całunu Turyńskiego. Muszę powiedzieć, że dobrze wyszłam na tym podziale prac. Całun okazuje się o wiele ciekawszy, niż sądziłam.

– Czego się dowiedziałaś?

– Na razie powiem ci tylko, że było tego dość, żebym złapała bakcyła, ale pełny raport złożę ci dopiero jutro.

Daniel z uśmiechem podniósł kciuk na znak aprobaty, po czym odwrócił się z powrotem do komputera. Włączył wyszukiwarkę, by wyświetlić listę klinik niepłodności, i odnalazł witrynę Kliniki Wingate'a. Po paru kliknięciach miał ją już na ekranie.

Przewiął kilka pierwszych stron. Jak się spodziewał, zawierały materiały reklamowe, które miały zwabić potencjalnych klientów. W części zatytułowanej POZNAJ NASZ PERSONEL zatrzymał się na chwilę, by przeczytać życiorysy zawodowe kierownictwa, które tworzyli: założyciel i dyrektor generalny, doktor Spencer Wingate, szef działu badań i laboratorium, doktor Paul Saunders, oraz kierowniczka przychodni, doktor Sheila Donaldson. Życiorysy były równie entuzjastyczne w tonie jak opisy samej kliniki, choć zdaniem Daniela cała ta trójka mogła poszczycić się ukończeniem jedynie drugorzędnych czy nawet trzeciorzędnych szkół i kursów.

U dołu strony znalazł to, czego szukał: numer telefonu. Był tam także adres e-mailowy, ale Daniel chciał porozmawiać osobiście z którymś z szefów, z Wingate'em albo z Saundersem. Podniósł słuchawkę i wystukał cyfry. Już po chwili zgłosiła się telefonistka o przyjemnym głosie, która wygłosiła krótką, standardową mowę pochwalną na cześć kliniki, po czym spytała, z kim ma go połączyć.

– Z doktorem Wingate'em – odparł. Uznał, że równie dobrze może zacząć od samej góry.

Po krótkiej chwili ciszy w słuchawce odezwała się kolejna kobieta o równie miłym głosie. Zanim zdradziła, czy doktor Wingate jest osiągalny, uprzejmie zapytała Daniela o nazwisko. Kiedy się przedstawił, reakcja była natychmiastowa.

– Doktor Daniel Lowell z Uniwersytetu Harvarda?

Daniel zawahał się chwilę, nie wiedząc, jak odpowiedzieć.

– Pracowałem na Harvardzie, ale aktualnie prowadzę własną firmę.

– Połączę pana z doktorem Wingate'em – odparła sekretarka. – Wiem, że czeka na telefon od pana.

Daniel zamrugał z niedowierzaniem. Odsunął słuchawkę od ucha i wpatrywał się w nią przez chwilę, jak gdyby się spodziewał, że wyjaśni mu nieoczekiwaną reakcję sekretarki. Jakim cudem Spencer Wingate mógł czekać na jego telefon? Pokręcił głową.

– Witam, doktorze Lowell! – odezwał się w słuchawce głos z ostrym, nowoangielskim akcentem, o całą oktawę wyżej, niż Daniel mógł się spodziewać. – Mówi Spencer Wingate. Bardzo się cieszę, że pan dzwoni. Spodziewaliśmy się telefonu od pana już w zeszłym tygodniu, ale to nie ma znaczenia. Czy będzie pan uprzejmy zaczekać chwilkę, żebym mógł skontaktować się z doktorem Saundersem? To potrwa minutę, ale myślę, że dobrze będzie urządzić telekonferencję, bo wiem, że doktor Saunders ma nie mniejszą niż ja ochotę na rozmowę z panem.

– Dobrze – odparł życzliwie Daniel, choć jego konsternacja nie słabła. Oparł się wygodnie na krześle, położył nogi na biurku i przełożył słuchawkę do lewej ręki, by prawą móc bębnić ołówkiem o blat biurka. Reakcja Spencera Wingate’a na jego telefon zupełnie zbiła go z tropu i czuł lekki niepokój. W uszach dźwięczały mu ostrzeżenia Stephanie co do wchodzenia w konszachty z tymi podejrzanymi specami od niepłodności.

Minuta przeciągnęła się do pięciu. Akurat gdy Daniel doszedł do siebie na tyle, by zacząć się zastanawiać, czy połączenie przypadkiem nie zostało przerwane, w słuchawce znów rozległ się głos Spencera. Był lekko zdyszany.

– W porządku, już jestem! A ty, Paul? Jesteś na linii?

– Tak jest – odparł Paul, najwyraźniej korzystając z aparatu w innym pomieszczeniu. W przeciwieństwie do głosu Spencera, jego głos był dość niski, z wyraźnym nosowym brzmieniem zdradzającym mieszkańca Środkowego Zachodu. – Miło mi z tobą rozmawiać, Daniel, jeśli mogę tak cię nazywać.

– Proszę bardzo – zgodził się Daniel. – Jak sobie życzysz.

– Dziękuję. I proszę, mów mi Paul. Przyjaciele i koledzy po fachu nie potrzebują ceremoniału. Pozwól, że powiem od razu, jak bardzo się cieszę na naszą współpracę.

– Ja także – wtrącił Spencer. – Do diabła! Cała klinika nie może się doczekać. Kiedy możemy się ciebie spodziewać?

– To właśnie jeden z powodów, dla których dzwonię – odparł wymijająco Daniel, próbując powściągnąć dręczącą go ciekawość. – Ale najpierw chciałbym zapytać, jak to możliwe, że spodziewaliście się mojego telefonu?

– Od twojego wysłannika, czy kim on tam był – wyjaśnił Spencer. – Jak on się nazywał, Paul?

– Marlowe – odparł Paul.

– Racja! Bob Marlowe – powiedział Spencer. – Kiedy już obejrzał naszą klinikę, powiedział, że skontaktujesz się z nami w następnym tygodniu. Nie trzeba dodawać, że byliśmy rozczarowani brakiem wiadomości. Ale to już nieważne, skoro wreszcie zadzwoniłeś.

– Bardzo się cieszymy, że chcesz wykorzystać naszą klinikę – dodał Paul. – To dla nas zaszczyt pracować z tobą. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, żebym snuł domysły co do twoich planów. Bob Marlowe wyrażał się dość ogólnikowo, ale zgaduję, że chcesz wypróbować swoją genialną HTRS na pacjencie. Bo w końcu jaki inny powód mógłby skłonić cię do opuszczenia własnego laboratorium i tych wspaniałych szpitali, jakie macie w Bostonie? Czy mam rację?

– Skąd wiesz o HTRS? – zapytał Daniel. Nie był pewien, czy powinien przyznawać się do swych zamiarów na tak wczesnym etapie rozmowy.

– Czytaliśmy twój znakomity artykuł w „Nature” – odparł Paul. – Był świetny, po prostu świetny. Jego ogólne znaczenie dla biotechnologii przypomina mi mój własny referat,

Dojrzewanie ludzkich oocytów in vitro. Czytałeś go może?

– Jeszcze nie – odparł Daniel, zmuszając się do zachowania taktu. – Gdzie go opublikowano?

– W „Przeglądzie Technologii Reprodukcyjnej Dwudziestego Pierwszego Wieku” – odparł Spencer.

– Nie znam tego czasopisma – odparł Daniel. – Kto je wydaje?

– My – oświadczył z dumą Paul. – Tu, w Klinice Wingate’a. Nasza działalność obejmuje nie tylko usługi medyczne, ale i prace badawcze.

Daniel przewrócił oczami. Bez recenzji i opinii środowiska publikowanie własnych prac naukowych było absurdem i musiał przyznać, że zwięzły opis tych dwóch osobników, jaki przedstawił mu Butler, był niezwykle trafny.

– Nigdy jeszcze nie przeprowadzono HTRS na ludziach – oznajmił, nadal unikając odpowiedzi na pytanie Paula.

– Zdajemy sobie z tego sprawę – wtrącił Spencer. – I jest to jeden z wielu powodów, dla których bylibyśmy zachwyceni, gdyby pierwsza próba została dokonana właśnie u nas. Staramy się, by Klinika Wingate’a miała opinię placówki pionierskiej i przecierającej nowe szlaki.

– Eksperymentalna procedura wykonywana bez zatwierdzonego protokołu nie przypadłaby do gustu Urzędowi Żywności i Leków – ciągnął Daniel. – Oni nigdy nie wyraziliby na to zgody.

– Oczywiście, że nie – przyznał Spencer. – I my dobrze o tym wiemy – dodał ze śmiechem, a Paul mu zawtórował. – Ale Urząd Żywności i Leków nie musi wiedzieć o niczym, co się dzieje na Bahamach, bo nie ma tutaj żadnej władzy.

– Gdybym miał wykonać HTRS na istocie ludzkiej, musiałyby się to odbyć w absolutnej tajemnicy – oświadczył Daniel, nareszcie pośrednio przyznając się do swych planów. – Nie wolno byłoby rozgłaszać tej sprawy i oczywiście nie moglibyście wykorzystać jej do waszych celów promocyjnych.

– Jesteśmy tego w pełni świadomi – odparł Paul. – Spencer nie sugerował, że zrobimy z tego użytek od razu.

– Oczywiście, że nie! – wtrącił piskliwym głosem Spencer. – Miałem na myśli wykorzystanie tego tylko po wejściu procedury do głównego nurtu.

– Musiałbym zastrzec sobie prawo do zdecydowania, kiedy to nastąpi – powiedział Daniel. – Nawet ja sam nie będę wykorzystywał tego epizodu dla promocji HTRS.

– Nie? – zapytał Paul. – Więc po co chcesz to zrobić?

– Ze względów czysto osobistych – odparł Daniel. – Jestem pewien, że HTRS będzie równie skuteczna u ludzi jak jest u myszy. Ale muszę udowodnić to samemu sobie na pacjencie, by dodać sobie odwagi do zmagania z gwałtownym sprzeciwem, jakiego doznaję ze strony politycznej prawicy. Nie wiem, czy zdajecie sobie z tego sprawę, ale istnieje realna

groźba zakazania przez Kongres mojej procedury.

Nastąpiła niezręczna chwila ciszy. Daniel nie wątpił, że żądając dyskrecji i niwecząc wszelkie nadzieje na reklamę w najbliższej przyszłości, odebrał Klinice Wingate'a poważny powód do współpracy. Gorączkowo usiłował wymyślić coś, co złagodziłoby rozczarowanie, zanim jednak zdążył się odezwać i być może pogorszyć sprawę, Spencer przerwał milczenie.

– Sądzę, że możemy uszanować twoją potrzebę dyskrecji. Ale jeśli nie możemy w najbliższym czasie liczyć na żadne korzyści promocyjne z twojej współpracy z nami, jaką rekompensatę nam proponujesz za korzystanie z naszego obiektu i usług?

– Myślałem o pieniądzach – odparł Daniel.

W słuchawce ponownie zapadła cisza. Daniel przeraził się, że negocjacje nie przebiegają dobrze, co groziło utratą szans na przeprowadzenie kuracji Butlera w Klinice Wingate'a. Ze względu na ograniczenia czasowe taka strata mogłaby oznaczać koniec całego przedsięwzięcia. Daniel wyczuł, że musi zaproponować więcej. Przypomniał sobie wzmiankę senatora na temat próżności Spencera i Paula, zacisnął zęby i powiedział:

– Potem, w przyszłości, kiedy Urząd Żywności i Leków zatwierdzi już HTRS do ogólnego użytku, moglibyśmy wspólnie opublikować opis tego przypadku.

Skrzywił się. Myśl o publikowaniu artykułu do spółki z takimi palantami była przykra, nawet jeśli, jak przekonywał sam siebie, można było odkładać to w nieskończoność. Jednak mimo tej propozycji milczenie trwało, a jego panika rosła. Przypomniał sobie własną reakcję na żądanie Butlera, by użyć do HTRS krwi pochodzącej z Całunu Turyńskiego i dorzucił również ten kasek, wyjaśniając, że taka była prośba pacjenta. Zaproponował nawet ten sam tytuł, który żartobliwie rzucił w rozmowie ze Stephanie.

– Rany, to będzie fantastyczny artykuł! – wykrzyknął nagle Paul. – Podoba mi się to! Gdzie go byśmy zamieścili?

– Gdziekolwiek – odparł wymijająco Daniel. – W „Science”, albo w „Nature”. Gdzie tylko chcesz. Nie sądzę, żeby trudno było znaleźć chętnych do jego publikacji.

– Czy HTRS się powiedzie, jeśli użyje się krwi z Całunu Turyńskiego? – zapytał Spencer. – O ile sobie przypominam, on liczy jakieś pięćset lat.

– Może raczej dwa tysiące – wtrącił Paul.

– Czy nie udowodniono, że to średniowieczne fałszerstwo? – zdziwił się Spencer.

– Nie zamierzamy wdawać się w spór co do jego autentyczności – oświadczył Daniel. – Dla naszych celów jest to bez znaczenia. Jeśli pacjent chce wierzyć, że całun jest prawdziwy, nic nam do tego.

– Ale czy to się powiedzie, od strony praktycznej? – powtórzył pytanie Spencer.

– DNA będzie pokawałkowane, bez względu na to, czy liczy pięćset, czy dwa tysiące lat – odparł Daniel. – Ale to nie powinno stanowić problemu. Potrzebujemy jedynie fragmentów, które nasze sondy wyszukają po namnożeniu dzięki reakcji łańcuchowej polimerazy. Z pomocą enzymów zmontujemy z tego kompletne geny. Wszystko pójdzie dobrze.

– A co powiesz na „The New England Journal of Medicine”? – podsunął Paul. – To byłaby świetna reklama dla kliniki! Bardzo chciałbym zamieścić coś w tym napuszonym piśmie.

– Jasne – powiedział Daniel, wzdrygając się na samą myśl o tym. – Czemu nie?

– Mnie też zaczyna się to podobać – stwierdził Spencer. – Na taki artykuł media rzuciłyby się jak na ciepłe bułeczki! Cytowano by go we wszystkich gazetach. Do diabła, wyobrażam już sobie nawet, jak mówią o tym w wieczornych wiadomościach.

– Przypuszczam, że masz rację – przyznał Daniel. – Ale pamiętaj, że dopóki artykuł się nie ukáže, cała sprawa musi pozostać w zupełnej tajemnicy.

– Oczywiście – odparł Spencer.

– W jaki sposób zamierzasz zdobyć próbkę Całunu Turyńskiego? – zapytał Paul. – O ile wiem, Kościół katolicki zamknął go we Włoszech w swego rodzaju krypcie na miarę ery kosmicznej.

– Właśnie zajmujemy się tą sprawą – odparł Daniel. – Obiecano nam pomoc ze strony wysokich dostojników kościelnych.

– Musielibyście chyba zwrócić się do papieża! – zauważył Paul.

– Może powinniśmy porozmawiać o kosztach – powiedział Daniel, by zmienić temat, widząc, że kryzys został już zażegnany. – Nie chcemy żadnych nieporozumień.

– Jakiego rodzaju usługi wchodziłyby w grę? – zapytał Paul.

– Pacjent, który ma zostać poddany terapii, cierpi na chorobę Parkinsona – wyjaśnił Daniel. – Będziemy potrzebować sali operacyjnej z obsługą i aparatury stereotaktycznej do implantacji.

– Mamy salę operacyjną – odparł Paul. – Ale aparatury stereotaktycznej nie.

– To nie jest problem – oznajmił Spencer. – Możemy wypożyczyć ją z Princess Margaret Hospital. Rząd Bahamów i tutejsze środowisko lekarskie bardzo przychylnie odniosły się do naszej przeprowadzki. Jestem pewien, że z chęcią nam pomogą. Nie powiemy im tylko, do czego zamierzamy wykorzystać ten sprzęt.

– Będziemy potrzebowali też usług neurochirurga – dodał Daniel. – I to takiego, który umie zachować dyskrecję.

– Z tym również nie powinno być problemu – stwierdził Spencer. – Jest na tej wyspie paru neurochirurgów, którzy moim zdaniem nie są w pełni wykorzystywani. Sądzę, że moglibyśmy umówić się z jednym z nich. Nie wiem dokładnie, ile policzy sobie za usługę, ale mogę cię zapewnić, że będzie to o wiele mniej niż w Stanach. Domyślam się, że wyniesie coś koło dwustu lub trzystu dolarów.

– Nie obawiasz się, że wymóg dyskrecji może skomplikować sprawę? – zapytał Daniel.

– Nie – uspokoił go Spencer. – Oni wszyscy szukają pracy. Odkąd coraz mniej turystów wypożycza motorowery, liczba urazów głowy gwałtownie spadła. Wiem o tym, bo dwóch chirurgów przyszło do kliniki zostawić wizytówki.

– To brzmi zachęcająco – przyznał Daniel. – Poza tym potrzebowalibyśmy jeszcze tylko trochę miejsca w waszym laboratorium. Zakładam, że macie laboratorium, skoro prowadzicie prace nad sztucznym zapłodnieniem.

– Mamy, i to jeszcze jakie! – oświadczył z dumą Paul. – Jest wyposażone w supernowoczesny sprzęt, który znacznie przekracza zapotrzebowanie kliniki niepłodności! A oprócz mnie będziesz miał do dyspozycji kilkoro utalentowanych pracowników, doświadczonych w transferze jądrowym, którzy bardzo chcieliby zapoznać się z HTRS.

– Nie będziemy potrzebować pomocy personelu laboratoryjnego – odparł Daniel. – Wszystkie manipulacje na komórkach wykonamy sami. Potrzebne będą nam natomiast ludzkie oocyty. Czy moglibyście je dostarczyć?

– Oczywiście! – powiedział Paul. – Oocyty to nasza specjalność i wkrótce staną się naszym głównym źródłem dochodów. Zamierzamy w przyszłości zaopatrywać w nie całą Amerykę Północną. Na kiedy je potrzebujesz?

– Tak szybko, jak się da – odparł Daniel. – To może zakrawać na zbyt optywizm, ale chcielibyśmy być gotowi do implantacji za miesiąc. Pacjent narzucił nam dość napięte ramy czasowe.

– Z naszej strony nie ma żadnego problemu – oświadczył Paul. – Możemy dostarczyć ci oocyty nawet jutro!

– Poważnie? – zapytał Daniel. To brzmiało zbyt dobrze, by mogło być prawdziwe.

– Możemy dostarczyć ci oocyty o dowolnej porze – zapewnił Paul. – Nawet w niedziele i święta! – dodał ze śmiechem.

– Jestem pod wrażeniem – przyznał szczerze Daniel. – I ulżyło mi. Martwiłem się, że zdobycie oocytów może wstrzymać nasze prace. Ale w ten sposób wracamy znów do kwestii kosztów.

– Z tego wszystkiego jedynie na oocyty mamy ustaloną stawkę – oznajmił Spencer. – Prawdę mówiąc, nigdy nie braliśmy pod uwagę możliwości udostępnienia komuś naszej kliniki. Uprośmy sprawę. Co powiesz na dwadzieścia tysięcy za wynajęcie sali operacyjnej wraz z personelem i dwadzieścia tysięcy ryczałtem za korzystanie z laboratorium?

– Zgoda – odparł Daniel. – A co z oocytami?

– Pięćset za sztukę – powiedział Paul. – I gwarantujemy, że każdy przejdzie co najmniej pięć podziałów, albo wymieniamy go na inny.

– To brzmi uczciwie – przyznał Daniel. – Ale muszą być świeże!

– Będą świeżuteńkie – odparł Paul. – Kiedy możemy się ciebie spodziewać?

– Odezwę się dziś po południu albo wieczorem – obiecał Daniel. – Albo najpóźniej jutro. Musimy ostro ruszyć z tą robotą.

– Zatem czekamy – odparł Spencer.

Daniel powoli odłożył słuchawkę. Gdy spoczęła już bezpiecznie na widełkach, wydał okrzyk radości. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że mimo niedawnych trudności przyszłość



CURE, HTRS i jego samego zaczyna rysować się pomyślnie!

Spencer Wingate zatrzymał opaloną dłoń na odłożonej już słuchawce telefonu, a jego myśli wciąż krążyły wokół dopiero co zakończonej rozmowy z Danielem Lowellem. Nie przebiegła dokładnie tak, jak się spodziewał, i czuł się rozczarowany. Gdy przed dwoma tygodniami niespodziewanie wypłynęła kwestia udostępnienia kliniki słynnemu naukowcowi, uznał to za szczęśliwe zrządzenie losu, gdyż dopiero niedawno otworzyli swe podwoje po ośmiu miesiącach budowy i zamętu. Jak sądził, zawodowe kontakty z człowiekiem, który, zdaniem Paula, był potencjalnym noblistą, byłyby znakomitym sposobem na obwieszczenie światu, że Klinika Wingate'a wznawia działalność po nieszczęsnej ubiegłorocznej awanturze w Massachusetts. Ale w tej sytuacji nie było mowy o żadnym rozgłosie. Czterdzieści tysięcy dolarów nie chodziło wprawdzie piechotą, ale były to tylko nędzne grosze w porównaniu z sumami, jakie pochłonęła budowa i wyposażenie kliniki.

Drzwi jego gabinetu, które pozostały lekko niedomknięte, odkąd wrócił w pośpiechu po odnalezieniu swojego zastępcy, otworzyły się na całą szerokość i ukazała się w nich niska, krępa postać doktora Paula Saundersa. Szeroki uśmiech odsłaniał jego kwadratowe, rzadko rozstawione zęby. Paul najwyraźniej nie podzielał rozczarowania Spencera.

– Wyobrażasz sobie? – wybuchnął. – Będziemy mieli artykuł w „New England Journal of Medicine”! – Rzucił się na krzesło naprzeciw biurka Spencera, triumfalnym gestem unosząc w górę pięści, jak gdyby właśnie wygrał etap Tour de France. – I to jaki artykuł: „Klinika Wingate'a, Całun Turyński i HTRS łączą siły w pierwszym przypadku wyleczenia choroby Parkinsona”. To będzie fantastyczne! Ludzie będą walić do nas drzwiami i oknami!

Spencer odchylił się na oparcie krzesła i założył za głowę splecione dłonie. Z pewną dozą protekcjonalności przyjrzał się szefowi do spraw badań naukowych, jak kazał się tytułować Paul. Saunders był ciężko pracującym człowiekiem z wyobraźnią, ale nieraz ponosił go entuzjazm i brak mu było zmysłu praktycznego, niezbędnego do właściwego prowadzenia interesów. W Massachusetts właściwie doprowadził klinikę do ruiny finansowej. Gdyby Spencer nie zahipotekował kliniki aż po sam dach i nie zadekował większości aktywów za granicą, nie przetrwaliby.

– Skąd masz pewność, że będzie z tego jakiś artykuł? – zapytał.

Twarz Paula zachmurzyła się.

– O czym ty mówisz? Dopiero co omówiliśmy to z Danielem przez telefon, tytuł i wszystko. Sam to zaproponował.

– Zaproponował, ale skąd możemy wiedzieć, że do tego dojdzie? Zgadzam się, że byłoby świetnie, gdyby tak się stało, ale on może po prostu odkładać to w nieskończoność.

– Dlaczego, u diabła, miałby to robić?

– Nie wiem, ale z jakiegoś powodu dyskrecja jest dla niego niezmiernie istotna, a artykuł położyłby jej kres. On nie zamierza nic publikować, w każdym razie nie na tyle szybko, by

nas to urządziło, a jeśli pospieszymy się i napiszemy artykuł bez niego, on prawdopodobnie wyprze się udziału w tej sprawie. A wtedy nikt tego nie opublikuje.

– Masz rację – przyznał Paul.

Dwaj mężczyźni spoglądali na siebie ponad blatem biurka. W górze przetoczył się ryk odrzutowca, podchodzącego do lądowania na międzynarodowym lotnisku w Nassau. Klinika mieściła się zaraz na zachód od lotniska, na suchym, porośniętym krzakami terenie. Było to jedyne miejsce, gdzie zdołali kupić za rozsądną cenę odpowiednio rozległą działkę i należycie ją ogrodzić.

– Myślisz, że on mówił poważnie o wykorzystaniu Całunu Turyńskiego? – zapytał Paul.

– Tego też nie wiem – odparł Spencer. – Trochę mi to śmierdzi, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

– Mnie z kolei ten pomysł wydał się intrygujący.

– Nie zrozum mnie źle – wyjaśnił Spencer. – Sama myśl jest niezła i z pewnością nadaje się na świetny artykuł i wiadomość w dzienniku, ale jeśli spojrzeć na to wszystko razem, włącznie z wymogiem dyskrecji, sprawa wydaje się dosyć podejrzana. Uwierzyłeś w jego wyjaśnienie, kiedy zapytałeś go, dlaczego robi to wszystko?

– Masz na myśli to, że chce udowodnić sam sobie skuteczność HTRS?

– Właśnie.

– Nie do końca, chociaż to prawda, że Kongres Stanów Zjednoczonych myśli o wprowadzeniu zakazu HTRS. Ale teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, wydaje mi się, że on istotnie trochę za szybko zgodził się na sumy, które podsunąłeś, jak gdyby cena nie odgrywała roli.

– Otóż to – przyznał Spencer. – Nie miałem pojęcia, ile powinienem żądać za korzystanie z naszych obiektów, więc po prostu rzuciłem parę liczb z powietrza, spodziewając się, że on wystąpi z kontrpropozycją. Do diabła, mogłem poprosić o dwa razy tyle, tak łatwo się zgodził.

– Więc co sądzisz o tym wszystkim?

– Myślę, że kluczem jest tożsamość pacjenta – stwierdził Spencer. – To jedyna sensowna rzecz, jaka przychodzi mi do głowy.

– I kto to może być?

– Nie wiem – odparł Spencer. – Ale gdybym musiał zgadywać, pomyślałbym najpierw, że to ktoś z rodziny. Po zastanowieniu postawiłbym jednak na kogoś bogatego, bardzo bogatego, być może nawet sławnego i bogatego, i przypuszczam, że właśnie z kimś takim mamy do czynienia!

– Ktoś bogaty! – powtórzył Paul. Na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech. – Kuracja mogłaby być warta miliony.

– Otóż to, i dlatego właśnie sądzę, że powinniśmy się trzymać hipotezy „bogaty i sławny”. W końcu dlaczego Daniel Lowell miałby zgarnąć miliony, a my tylko marne

czterdzieści tysięcy?

– Co oznacza, że będziemy musieli odkryć tożsamość tego pacjenta-ochotnika.

– Cieszę się, że dzielisz mój punkt widzenia. Obawiałem się, że uznasz, że wystarczy ci sam zaszczyt współpracy z tym znanym naukowcem.

– Do diabła, nie! – burknął Paul. – Ani trochę, skoro nie będziemy mogli wykorzystać tego do celów reklamowych, jak zamierzaliśmy. Dał nawet do zrozumienia, że nie możemy liczyć na praktyczne przeszkolenie w HTRS, kiedy wspomniał, że sam wykona wszystkie manipulacje na komórkach. Przedtem sądziłem, że mamy to jak w banku. Tak czy owak, chcę nauczyć się tej procedury, więc kiedy znów zadzwoni, powiedz mu, że to jeden z naszych warunków.

– Zrobię to z przyjemnością – odparł Spencer. – Mam też zamiar mu powiedzieć, że chcemy otrzymać połowę zapłaty z góry.

– Dodaj też, że w przyszłości oczekujemy na specjalne względy przy udzielaniu licencji na HTRS.

– To dobry pomysł – przyznał Spencer. – Zobaczą, jakie korzyści da się wynegocjować bez podwyższania uzgodnionych kwot. Nie chciałbym go odstraszyć. A tymczasem może ty spróbowałbyś się zająć ustaleniem tożsamości pacjenta? Jesteś w tych sprawach lepszy ode mnie.

– Traktuję to jako komplement.

– To miał być komplement.

Paul wstał.

– Zlecę to natychmiast Kurtowi Hermannowi, naszemu szefowi ochrony. On uwielbia takie zadania.

– Powiedz temu zdegradowanemu komandosowi, czy czym on tam, u diabła, był, żeby postarał się nie zabić przy tym zbyt wielu ludzi. Po takich nakładach i tylu wysiłkach nie chciałbym nadużyć gościnności na tej wyspie.

Paul roześmiał się.

– On jest naprawdę bardzo ostrożny i konserwatywny.

– Osobiście jestem innego zdania – odparł Spencer. Uniósł dłonie, by zapobiec protestom.

– Nie sądzę, by te dziwki, które obrobił na Okinawie, nazwały go konserwatywnym, a w Massachusetts poczynał sobie dość niezręcznie na naszych usługach, ale to już przeszłość. Przyznaję, że jest dobry w tym, co robi, w przeciwnym razie nie pracowałby już dla nas. Po prostu zrób mi tę łaskę i powiedz mu, żeby był dyskretny! To wszystko, o co proszę.

– Nie ma sprawy. – Paul wstał z krzesła. – Ale musisz pamiętać, że skoro nikt z nas, z Kurtem włącznie, nie może wrócić do Stanów, prawdopodobnie nie uda mu się dokonać zbyt wiele, dopóki Daniel, jego ekipa i pacjent nie przybędą tutaj.

– Nie oczekuję cudów – oświadczył Spencer.

## **Rozdział siódmy**

### **16.45, piątek, 22 lutego 2002**

Zębate iglice wieżowców Manhattanu rysowały się wyraźnie na tle ciemniejącego, zimowego nieba, gdy samolot z Waszyngtonu do Nowego Jorku przechylił się, podchodząc do lądowania na lotnisku LaGuardia. Światła ciągnącego się po widnokrąg, tętniącego życiem miasta skrzyły się jak klejnoty w gęstniejącym mroku. Latarnie na licznych mostach wiszących wyglądały jak naszyjniki świetlistych pereł, rozwieszane między strzelistymi słupami. Falujące rzędy reflektorów samochodowych na FDR Drive przypominały sznury diamentów, a tylne światła przywodziły na myśl rubiny. Barwnie iluminowany statek wycieczkowy wyglądał jak broszka, kiedy wolno wpływał do przystani na rzece Hudson.

Carol Manning odwróciła się od owego porywającego obrazu, by rozejrzeć się po wnętrzu samolotu. Nie było żadnych rozmów. Podróżni, obojętni na majestatyczny widok za oknem, siedzieli ze wzrokiem utkwionym w gazetach, dokumentach lub monitorach laptopów. Spojrzała na senatora, siedzącego obok, na fotelu przy przejściu. Jak inni pasażerowie, był pogrążony w lekturze. W potężnych dłoniach ścisnął plik notatek dotyczących programu na następny dzień, który wyrwał Dawn Shackelton, kiedy wybiegał wraz z Carol w pośpiechu z biura w nadziei złapania samolotu o piętnastej trzydzieści. Zdążyli w ostatniej sekundzie.

Na polecenie Ashleya Carol zadzwoniła rano do jednego z osobistych sekretarzy kardynała, by umówić senatora na spotkanie tegoż popołudnia. Zgodnie ze wskazówkami wyjaśniła, że chodzi o pilną sprawę, która nie zajmie jednak więcej niż piętnaście minut. Ojciec Maloney oświadczył, że zobaczy, co da się zrobić, gdyż kardynał jest tego dnia niezwykle zajęty, ale godzinę później oddzwonił, by powiedzieć, że Jego Eminencja może poświęcić senatorowi czas pomiędzy piątą trzydzieści a szóstą trzydzieści, po oficjalnym powitaniu przybywającego z wizytą włoskiego kardynała, a przed obiadem u burmistrza. Carol przystała na to.

Wobec szaleńczego wyścigu do samolotu i widma ewentualnych korków na

nowojorskich ulicach Carol z podziwem patrzyła na pozornie niewzruszony spokój Ashleya. Oczywiście zatrudniał ją, by martwiła się za niego, ale gdyby zamienili się rolami i gdyby to ona stała w obliczu tego, co mu groziło, byłaby zbyt roztrzęsiona, by móc się skoncentrować. Ale z pewnością nie można było tego powiedzieć o Ashleyu! Pomimo lekkiego drżenia rąk jego oczy przebiegały stroną po stronie w błyskawicznym tempie, co sugerowało, że jego legendarna szybkość czytania nie doznała szwanku wskutek choroby czy wydarzeń ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Carol odchrząknęła.

– Panie senatorze, im więcej myślę o obecnej sprawie, tym bardziej zdumiewa mnie, że nie zapytał pan o moje zdanie. Radzi się mnie pan w niemal każdej innej kwestii.

Ashley odwrócił głowę i spojrzał na nią sponad okularów w grubych oprawkach, które zsunęły mu się na sam czubek nosa. Jego szerokie czoło zmarszczyło się protekcyjnie.

– Carol, moja droga – zaczął. – Nie musisz mi mówić, jakie jest twoje zdanie. Jak wspominałem wczoraj wieczorem, doskonale je znam.

– W takim razie zdaje pan sobie zapewne sprawę, że uważam, że podejmuje pan zbyt wielkie ryzyko, decydując się na tę rzekomą kurację.

– Doceniam twoją troskliwość, bez względu na to, co tobą kieruje, ale moja decyzja jest nieodwołalna.

– Pozwala pan robić z siebie królika doświadczalnego. Nie ma pan najmniejszego pojęcia, jaki będzie efekt.

– To prawda, że nie wiem, jaki będzie efekt, ale prawdą jest też, że jeśli nie zrobię nic w obliczu mojej postępującej, w przeciwnym wypadku nieuleczalnej, choroby, efekt może być tylko jeden. Mój tato powtarzał zawsze: Pomagaj sam sobie, a Bóg ci dopomoże. Przez całe życie walczyłem o swoje i bynajmniej nie zamierzam poddać się teraz. Nie odejdę z podwiniętym ogonem. Będę się szarpał i wył niczym skunks w potrzasku.

– A jeśli kardynał odradzi panu ten pomysł?

– To mało prawdopodobne, skoro nie mam najmniejszego zamiaru informować kardynała o swoich planach.

– W takim razie po co tam jedziemy? – wybuchnęła Carol niemal gniewnym tonem. – Miałam nadzieję, że Jego Eminencja zdoła przemówić panu do rozsądku.

– Nie pielgrzymujemy do siedziby katolickich władz kontynentu północnoamerykańskiego po to, by zasięgnąć porady duchowej, tylko po to, by załatwić skrawek Całunu Turyńskiego dla zabezpieczenia przed wszelkimi niewiadomymi punktami mojej terapii.

– Ale jak zamierza pan uzyskać dostęp do całunu, nie wyjaśniając powodu?

Ashley uniósł dłoń niczym mówca uspokajający niesforny tłum.

– Dość już, moja droga Carol, albo twoja obecność stanie się bardziej ciężarem niż pomocą.

Na powrót utkwiał wzrok w papierach, a samolot schodził już do lądowania.

Szorstkość tej odprawy sprawiła, że twarz Carol oblała się głębokim rumieńcem. Tak upokarzające traktowanie powtarzało się coraz częściej, podobnie jak jej związane z tym rozdrażnienie. Bojąc się, że zdradzi swoje uczucia, odwróciła się znów w stronę okna.

Gdy samolot kołował pod terminal, Carol nie odrywała wzroku od miasta. Z bliska Nowy Jork nie przypominał już klejnotu, z powodu ciągnących się wzdłuż drogi kołowania zwalów śmieci i stert brudnego śniegu. Jak gdyby dostosowując się do mrocznej, ponurej scenerii, zaczęła roztrząsać sprzeczne emocje i wyrzuty sumienia, jakie dręczyły ją w związku z planem Ashleya. Z jednej strony pełna była uzasadnionych obaw co do eksperymentalnego charakteru terapii, z drugiej jednak wierzyła, że kuracja może okazać się skuteczna. Choć jej pierwszą reakcją na diagnozę Ashleya było stosowne współczucie, w ciągu roku zaczęła dostrzegać w niej także swoją szansę. Teraz, nawet jeśli trudno było jej przyznać się do tego przed samą sobą, obawa przed negatywnym wynikiem walczyła w niej o lepsze z obawą przed wynikiem pozytywnym. W pewnym sensie czuła się wobec Ashleya jak Brutus wobec Cezara.

Przesiadka z samolotu do zamówionej przez Carol limuzyny przebiegła gładko. Ale trzy kwadranse później utknęli w morzu pojazdów na FDR Drive, gdzie od czasu ich przelotu zdążył się utworzyć korek.

Zirytowany zwłoką Ashley odrzucił na bok papiery, które przeglądał, i wyłączył lampkę. Wnętrze sedana pogrążyło się w ciemnościach.

– Spóźnimy się – warknął bez śladu akcentu.

– Przepraszam – odparła Carol, jak gdyby była to jej wina.

Jakimś cudem, po pięciu minutach bezruchu i sporej liczbie niecenzuralnych pomruków Ashleya, sznur samochodów znów zaczął się posuwać.

– Dzięki ci, Panie, za drobne łaski – wykrzyknął Ashley.

Dzięki zjechaniu z głównej arterii w Dziewięćdziesiątą Szóstą Ulicę i sprytnemu lawirowaniu bocznymi uliczkami ku śródmieściu kierowca wysadził senatora i jego asystentkę pod rezydencją arcybiskupa na rogu Madison i Pięćdziesiątej Ulicy na cztery minuty przed umówionym terminem spotkania. Polecono mu, by krążył po okolicy, gdyż przed upływem godziny odwiezie ich z powrotem na lotnisko.

Carol nie była tu nigdy wcześniej. Przyjrzała się niepozornemu, dwupiętrowemu, krytemu łupkiem budynkowi z szarego kamienia, kulącemu się w cieniu drapaczy chmur. Wznosił się wprost z chodnika, bez pasa trawy, który mógłby złagodzić jego surowość. Jego fasadę szpeciło kilka prozaicznych klimatyzatorów okiennych oraz masywne żelazne kraty na parterze, nadające mu wygląd raczej małego więzienia niż rezydencji. Mignięcie belgijskiej koronki za jednym z okien było jedynym sympatycznym akcentem.

Ashley wspiał się po kamiennych stopniach i pociągnął za wypolerowaną mosiężną rączkę dzwonka. Nie czekali długo. Solidne drzwi otworzył im wysoki, chudy jak patyk

ksiądz o wydatnym, rzymskim nosie i krótko obciętych rudych włosach. Ubrany był w czarny garnitur z koloratką.

– Dzień dobry, panie senatorze.

– Dzień dobry, ojcie Maloney – przywitał się Ashley, wchodząc do środka. – Mam nadzieję, że przybyliśmy o odpowiedniej porze.

– Jak najbardziej – odparł ojciec Maloney. – Jego Eminencja prosił, bym zaprowadził pana i pańską asystentkę do jego prywatnego gabinetu. Dołączy tam do państwa za chwilę.

Gabinet okazał się spartańsko umeblowanym pokojem na parterze. Jediną dekoracją było oprawione w ramki oficjalne zdjęcie papieża Jana Pawła II oraz mała figurka Matki Boskiej, wyrzeźbiona ze śnieżnobiałego kararyjskiego marmuru. Na drewnianej podłodze nie było dywanu i obcasy Carol zastukały głośno o lakierowane deski. Ojciec Maloney w milczeniu wycofał się i zamknął za sobą drzwi.

– Dość ascetyczne – zauważyła Carol. Całe umeblowanie pokoju stanowiła nieduża, wiekowa, skórzana kanapa, skórzany fotel w tym samym stylu, klęcznik oraz małe biurko z prostym, drewnianym krzesłem.

– Kardynał chciałby, żeby jego goście sądzili, że nie zważa na sprawy tego świata – powiedział Ashley, opadając na popękany skórzany fotel. – Ale ja wiem, że jest inaczej.

Carol usiadła sztywno na skraju kanapy, podkurczając nogi. Ashley tymczasem rozparł się wygodnie, jak gdyby odwiedzał krewnego. Założył nogę na nogę, odsłaniając czarną skarpetkę i skrawek ziemistobladej łydki.

Chwilę później drzwi otworzyły się ponownie i do pokoju wkroczył Jego Eminencja kardynał James O'Rourke w towarzystwie ojca Maloneya, który zamknął za nimi drzwi. Kardynał był w pełnej gali. Na czarnych spodniach i białej koszuli ze stójką nosił czarną sutannę, ozdobioną lamówkami i guzikami w kolorze kardynalskiej czerwieni, na sutannie zaś otwartą, szkarłatną pelerynkę. W pasie przepasany był szeroką czerwoną szarfą. Na głowie miał piuskę w kolorze kardynalskiej czerwieni. Na jego szyi wisiał wysadzany drogimi kamieniami, srebrny krzyż.

Carol i Ashley wstali. Carol była pod wrażeniem wspaniałego stroju kardynała, podkreślonego jeszcze przez surowy wystrój pokoju. Ale z wysokości swego metra siedemdziesiąt uświadomiła sobie, że potężny prałat nie dorównuje jej wzrostem, a w porównaniu z Ashleyem, który nie był w żadnym razie wysoki, wydaje się zdecydowanie niski i pulchny. Mimo wszystkich oznak dostojności jego łagodnie uśmiechnięta twarz przywodziła na myśl dobrodusznego księdza o gładkiej, wypielęgowanej cerze, świecących, rumianych policzkach i przyjemnie zaokrąglonych rysach. Jednak jego bystre oczy mówiły coś zupełnie innego, i to bardziej zgodnego z tym, co Carol wiedziała o potężnym prałacie. Skrzyła się w nich głęboka i przebiegła inteligencja.

– Panie senatorze – odezwał się kardynał głosem idealnie odpowiadającym wrażeniu, jakie wywierał swym dobrodusznym wyglądem. Wyciągnął wiotką dłoń.

– Wasza Eminencjo – odparł Ashley z najbardziej kordialnym akcentem południowca, na jaki było go stać. Raczej ścisnął podaną dłoń, niż ją potrząsnął, wyraźnie unikając całowania pierścienia prałata. – Tak się cieszę. Znając doskonale natłok waszych obowiązków, jestem naprawdę wdzięczny, że znaleźliście czas na spotkanie ze mną, zwykłym prowincjuszem, w dodatku tak bezzwłocznie.

– Och, dajmy spokój, panie senatorze – prychnął kardynał. – To dla mnie wielka radość, jak zawsze, widzieć pana. Proszę usiąść.

Ashley ponownie opadł na fotel i przyjął poprzednią postawę.

Carol znów poczerwieniała. Ignorowanie było równie żenujące jak lekceważenie. Spodziewała się, że zostanie przedstawiona kardynałowi, tym bardziej że jego oczy przemknęły po jej twarzy z lekkim, pytającym uniesieniem brwi. Usiadła z powrotem. Kardynał przysunął sobie prymitywne krzesło od biurka. Ojciec Maloney w milczeniu stał przy drzwiach.

– Przez wzgląd na nasze napięte rozkłady dnia – zaczął Ashley – myślę, że przejdę wprost do rzeczy.

Czując się dziwnie niewidzialna, Carol przyglądała się obu siedzącym obok niej mężczyznom. Pomimo różnic w wyglądzie natychmiast dostrzegła podobieństwa ich charakterów, sięgające poza wspólną im pracowitość i wymagającą naturę. Obaj znaleźli korzyści w zacieraniu granic między Kościołem a państwem; obaj byli mistrzami pochlebstwa i pielęgnowania osobistych kontaktów z tymi, którzy mogli im się przydać; obaj skrywali bezwzględne, wyrachowane i twarde osobowości (pod pozorami pokornego księdza w przypadku kardynała i serdecznego, prostodusznego chłopaka z prowincji w przypadku senatora); obaj też strzegli zazdrośnie swej władzy i byli zafascynowani możliwościami, jakie ona daje.

– Zawsze najlepiej jest mówić wprost – przyznał kardynał. Usiadł prosto, splatając pulchne dłonie na piusce, którą zdjął ze swej niemal zupełnie łysej głowy.

Carol wyobraziła sobie dwóch okrążających się czujnie szermierzy.

– Boli mnie niezmiernie, że Kościół katolicki znalazł się w takich opałach – ciągnął Ashley. – Niedawny skandal seksualny dał mu się bardzo we znaki, zwłaszcza przy rozłamie w jego własnych szeregach i niedomagającym, leciwym przywódcy w Rzymie. Spędziłem niejedną bezsenną noc, zastanawiając się, jak mógłbym być użyteczny.

Carol przewróciła w duchu oczami. Znała aż za dobrze prawdziwe uczucia senatora wobec Kościoła. Jako kongregacjonalista i fundamentalista nie żywił zbyt wielkiego szacunku dla hierarchicznych religii, a jego zdaniem Kościół katolicki był najbardziej hierarchiczny ze wszystkich.

– Doceniam pańskie współczucie – odparł kardynał. – Sam odczuwałem podobny ból wobec Kongresu Stanów Zjednoczonych po tragedii z jedenastego września. Ja także rozmyślałem nad tym, jak mógłbym okazać swą pomoc.



– Moralne przewodnictwo Waszej Eminencji jest nieustanną pomocą – oświadczył Ashley.

– Chciałbym uczynić więcej – odparł kardynał.

– Jeśli chodzi o Kościół, martwi mnie, że stosunkowo nieliczni księża z zahamowanym rozwojem psychoseksualnym są w stanie narazić całą tę filantropijną organizację na poważne straty finansowe. Chciałbym zaproponować, że w zamian za drobną przysługę wysunę projekt ustawy ograniczającej odpowiedzialność za czyny niedozwolone dla uznanych organizacji charytatywnych, których Kościół katolicki jest świetlistym przykładem.

Na kilka minut w pokoju zapanowała cisza. Carol dopiero teraz usłyszała tykanie małego zegara na biurku jak również stłumione hałasy z ulicy. Przyglądała się twarzy kardynała. Jej wyraz nie uległ zmianie.

– Taka ustawa bardzo by pomogła w naszym obecnym kryzysie – powiedział w końcu kardynał.

– Choć każdy przypadek wykorzystywania seksualnego jest dla jego ofiary bolesnym przeżyciem, nie możemy dopuścić, by odbijało się to na wszystkich duszach szukających w Kościele zaspokojenia swych zdrowotnych, edukacyjnych i duchowych potrzeb. Jak mawiała moja mama, nie należy wylewać dziecka wraz z kąpielą.

– Jaka jest szansa przyjęcia takiej ustawy?

– Przy moim pełnym poparciu, jakiego z pewnością udzielię, oceniałbym, że dosyć spora. Co do prezydenta, sądzę, że zatwierdzi ją z radością. To człowiek głęboko wierzący, mocno przekonany o potrzebie istnienia religijnych organizacji charytatywnych.

– Jestem pewien, że Ojciec Święty byłby panu za to wdzięczny.

– Jestem sługą narodu – odparł Ashley. – Ludzi wszystkich ras i wszystkich wyznań.

– Wspomniał pan o drobnej przysłudze – zauważył kardynał. – Czy mógłbym wiedzieć, co ma pan na myśli?

– Och, drobiazg – powiedział Ashley. – Coś dla uczczenia pamięci mojej matki. Moja mama była katoliczką. Czy wspomniałem już kiedyś o tym?

– Chyba nie – odparł kardynał.

Carol znów ujrzała oczyma wyobraźni dwóch szermierzy parujących i odwzajemniających ciosy.

– Prawdziwą katoliczką – ciągnął Ashley. – Pochodziła z okolic Dublina i była naprawdę niezwykle pobożną kobietą.

– Z pańskiej składni wnoszę, że przeniosła się już do Stwórcy.

– Niestety tak – przyznał Ashley. Zamilkł na chwilę, jak gdyby wzruszenie odebrało mu mowę. – Dawno temu, kiedy byłem jeszcze małym chłopcem.

Carol знаła tę historię. Pewnego wieczoru, po szczególnie długim posiedzeniu senatu, poszli z senatorem do baru na Kapitolu. Po kilku bourbonach senator stał się wyjątkowo rozmowny i opowiedział jej smutną historię swej matki. Umarła, kiedy Ashley miał dziewięć

lat, wskutek zakażenia po pokątnej aborcji, na którą zdecydowała się, aby nie urodzić dziesiątego dziecka. Ironią losu było to, że obawiała się, iż umrze podczas porodu, z powodu komplikacji, z jakimi wydawała na świat dziewiątego potomka. Ojciec Ashleya, człowiek fanatycznie religijny, był wściekły i oświadczył rodzinie oraz swym parafianom, że nieszczęsnica została potępiona na całą wieczność.

– Życzy pan sobie, żebyśmy odprawił mszę za jej duszę? – zapytał kardynał.

– To byłoby bardzo szlachetne – odparł Ashley – ale nie to akurat miałem na myśli. Do dziś dnia pamiętam, jak siedziałem na jej kolanach i słuchałem wszystkich wspaniałych rzeczy, jakie opowiadała mi o Kościele katolickim. A szczególnie utkwiło mi w pamięci to, co mówiła o cudownym Całunie Turyńskim, który był bardzo drogi jej sercu.

Po raz pierwszy wyraz twarzy kardynała się zmienił. Zmiana była subtelna, ale Carol bez dwóch zdań rozpoznała zaskoczenie.

– Całun jest uważany za najświętszą relikwię – oświadczył kardynał.

– Tak właśnie przypuszczam – powiedział Ashley.

– Sam Ojciec Święty nieoficjalnie przyznał, że wierzy, że jest to całun, w którym złożono do grobu Jezusa Chrystusa.

– Miło mi słyszeć, że wiara mojej matki znalazła takie potwierdzenie – odparł Ashley. – W pełnym uznaniu dla ogromnej roli, jaką moja matka odegrała w moim życiu, przez wszystkie te lata śledziłem nieco losy całunu. Tak się składa, że wiem, że pobrano z niego pewną liczbę próbek, z których część wykorzystano do badań, część zaś nie. Przypadkiem wiem też, że po ogłoszeniu wyników datowania metodą węglową Kościół zażądał zwrotu nie wykorzystanych próbek. Pragnąłbym mieć maleńki – dla podkreślenia swych słów Ashley złożył razem kciuk i palec wskazujący – maleńki skraweczek nasiąkniętych krwią włókien, pochodzący z jednej z tych odebranych próbek.

Kardynał odchylił się na oparcie krzesła. Rzucił krótkie spojrzenie ojcu Maloneyowi.

– To bardzo niezwykła prośba – powiedział. – Jednak Kościół wypowiedział się zupełnie jasno w tej sprawie. Nie ma mowy o jakichkolwiek naukowych badaniach całunu, z wyjątkiem tych, które mają na celu jego konserwację.

– Nie mam najmniejszego zamiaru poddawać całunu badaniom – oświadczył zdecydowanie Ashley.

– Więc po co jest panu potrzebny ten maleńki, maleńki skrawek?

– Dla mojej mamy – odparł po prostu Ashley. – Chciałbym przy najbliższej wizycie w domu umieścić go w urnie z jej prochami, aby jej szczątki mogły połączyć się z Ojcem niebieskim. Jej urna stoi obok urny mojego taty na kominku w naszym starym domu.

Carol o mało nie wybuchnęła pogardliwym śmiechem, słysząc, jak łatwo i przekonująco senator potrafi kłamać. Tego samego wieczoru, kiedy opowiedział jej historię swej nieszczęsnej matki, wyznał też, że jego ojciec nie pozwolił pochować jej na przykościelnym cmentarzu, więc złożono ją na miejskim cmentarzu dla ubogich.

– Jestem przekonany – dodał Ashley – że gdyby mogła mieć jedno, jedyne życzenie, byłoby nim właśnie to, by jej nieśmiertelna dusza łatwiej znalazła drogę do wiecznego raj.

Kardynał spojrział na ojca Maloneya.

– Nie wiem nic o tych odebranych próbkach. A ksiądz?

– Też nie, Wasza Eminencjo – odparł zagadnięty. – Ale mogę się dowiedzieć. Arcybiskup Manfredi, dobrze znany Waszej Eminencji, został przeniesiony do Turynu. I jest tam także monsinior Garibaldi, mój dobry znajomy.

Kardynał spojrział znów na Ashleya.

– Zadowolony pan zupełnie maleńki skrawek?

– O nic więcej nie proszę – powiedział Ashley. – Choć powinienem dodać, że chciałbym otrzymać go jak najszybciej, gdyż planuję wyprawę do domu w bardzo niedalekiej przyszłości.

– Jeśli ta maleńka próbka okazałaby się dostępna, jak miałibyśmy ją panu dostarczyć?

– Wysłałbym niezwłocznie do Turynu swojego agenta – odparł Ashley. – To nie jest rzecz, jaką zgodziłbym się powierzyć poczcie czy jakimkolwiek komercyjnemu kurierowi.

– Zobaczymy, co da się zrobić – oświadczył kardynał, wstając. – I zakładam, że wystąpi pan z projektem wspomnianej ustawy w jak najbliższym czasie.

Ashley również wstał z fotela.

– W poniedziałek rano, Wasza Eminencjo, pod warunkiem że do tego czasu otrzymam od Waszej Eminencji wiadomość w swojej sprawie.

Schody stanowiły dla kardynała wyraźny problem. Wchodził po nich powoli, raz po raz przystając, by złapać oddech. Główną niedogodnością oficjalnego stroju było to, że czuł się skrzepowany licznymi warstwami odzieży i często robiło mu się gorąco, zwłaszcza gdy wspinał się po schodach do swych prywatnych pomieszczeń. Ojciec Maloney szedł tuż za nim i kiedy kardynał przystanął, on zatrzymał się również.

Trzymając się jedną ręką poręczy, kardynał oparł drugą dłoń na uniesionym kolanie. Sapnął, wydymając blade policzki, i przeciągnął dłonią po czole. W rezydencji była wprawdzie winda, ale dla pokuty odmawiał sobie korzystania z niej.

– Czy mam coś przynieść, Wasza Eminencjo? – zapytał ojciec Maloney. – Wejdę i zniosę to na dół, żeby oszczędzić Waszej Eminencji wspinaczki po tych stromych schodach. To było wyczerpujące popołudnie.

– Dziękuję, Michael – odparł kardynał. – Ale muszę się odświeżyć, jeśli mam przetrwać kolację z burmistrzem i naszym wizytującym kardynałem.

– Kiedy mam skontaktować się z Turynem? – zapytał ojciec Maloney, korzystając z okazji.

– Dziś po północy – powiedział kardynał, ciężko dysząc. – We Włoszech będzie wtedy szósta rano i powinien ksiądz złapać ich przed mszą.

– To zaskakująca prośba, jeśli wolno mi tak powiedzieć, Wasza Eminencjo.

– Istotnie! Zaskakująca i osobiwa! Jeżeli informacja senatora na temat próbek jest prawdziwa – a zdziwiłbym się, gdyby tak nie było, bo dobrze znam tego człowieka – nie powinno być specjalnych problemów ze spełnieniem jego prośby, gdyż nie trzeba by dotykać samego całunu. Ale niech ksiądz podkreśli podczas rozmowy, że sprawa jest absolutnie poufna. Wszystko ma się odbyć w zupełnej tajemnicy i bez jakiegokolwiek dokumentacji. Czy wyrażam się jasno?

– Jak najbardziej – odparł Michael. – Czy Wasza Eminencja podaje w wątpliwość cel, w jakim senator chce zdobyć tę próbkę?

– To moje jedyne zmartwienie – przyznał kardynał. Po raz ostatni głęboko wciągnął powietrze i zaczął znów wolno wspinać się po schodach. – Senator jest mistrzem pertraktacji. Jestem pewien, że nie prosiłby o próbkę dla przeprowadzenia jakichś nieautoryzowanych badań, ale być może wymienia przysługę za przysługę z kimś, komu o to właśnie chodzi. Ojciec Święty zarządził *ex cathedra*, że całun nie może być poddawany jakimkolwiek dalszym upokorzeniom w imię nauki, i całkowicie się z tym zgadzam. Ale niezależnie od tego wierzę, że słuszną rzeczą jest wymienić skrawek uświęconej tkaniny za szansę zapewnienia Kościołowi ekonomicznego bezpieczeństwa. Czy ksiądz się z tym zgadza?

– Zdecydowanie.

Dotarli na szczyt schodów i kardynał raz jeszcze przystanął, żeby złapać oddech.

– Czy Wasza Eminencja jest pewien, że senator zrobi to, co obiecał w sprawie ustawy?

– Absolutnie – oświadczył bez wahania kardynał. – Senator zawsze wypełnia swoją część umowy. Na przykład walnie przyczynił się do wprowadzenia programu kuponów szkolnych, który uratuje nasze szkoły parafialne. W zamian ja dopilnowałem, by uzyskać głosy katolików w ostatnich wyborach. To była, jak się to mówi, czysta sytuacja, w której każda strona odniosła korzyści. Ale obecna transakcja nie jest wcale tak czysta. Dlatego też, jeśli dojdzie do skutku, dla dodatkowego zabezpieczenia chcę, żeby pojechał ksiądz do Turynu, by przekonać się, kto odbierze próbkę, a następnie podążył jej śladem, by sprawdzić, komu zostanie dostarczona. W ten sposób będziemy mogli zapobiec wszelkim możliwym niepożądanym skutkom.

– Wasza Eminencjo! Nie mógłbym sobie wymarzyć przyjemniejszego zadania.

– Ojczy Maloney! – upomniał go ostro kardynał. – To poważne polecenie, a nie rzecz pomyślana dla rozrywki księdza. Oczekuję absolutnej dyskrecji i zaangażowania.

– Oczywiście, Wasza Eminencjo! Nie śmiałybym sugerować nic innego.

## **Rozdział ósmy**

### **19.25, piątek, 22 lutego 2002**

– O rany! – jęknęła Stephanie, zerknąwszy na zegarek. Było już niemal wpół do ósmej! Zawsze zdumiewało ją, jak szybko ucieka czas, gdy jest czymś zaabsorbowana, a była zaabsorbowana przez całe popołudnie. Najpierw nie mogła oderwać się w księgarni od książek na temat Całunu Turyńskiego, a przez ostatnią godzinę z zapartym tchem chłoneła informacje, do jakich dotarła za pośrednictwem komputera.

Tuż przed szóstą wróciła do opustoszałego biura. Domyśliwszy się, że Daniel poszedł do domu, usiadła przy swym prowizorycznym biurku w laboratorium i z pomocą Internetu i paru archiwów redakcyjnych zaczęła zgłębiać, co przed niespełna rokiem przydarzyło się Klinice Wingate’a. Była to pasjonująca, choć niepokojąca lektura.

Stephanie wsunęła laptopa do torby, złapała reklamówkę z książkami i nałożyła płaszcz. Przy drzwiach laboratorium zgasila światło, co zmusiło ją do przejścia po omacku przez pogrążoną już w mroku recepcję. Wyszedłszy z budynku, skręciła w stronę Kendall Square. Szła z pochyloną głową dla ochrony przed przenikliwym wiatrem. Jak zwykle w Nowej Anglii, pogoda w ciągu paru ostatnich godzin zmieniła się znacząco. Wiatr dmuchał teraz nie z zachodu, ale z północy, a temperatura spadła gwałtownie od względnie ciepłych kilkunastu stopni powyżej zera do pięciu stopni mrozu. Wraz z północnym wiatrem przybyły tumany śniegu, które oprószyły miasto jak gdyby warstwą cukru pudru.

Na Kendall Square Stephanie wsiadła do metra, które zawiozło ją na Harvard Square, dobrze jej znany jeszcze z czasów studenckich. Jak zwykle, i pomimo pogody, plac roił się od studentów i hałastu, jaką przyciąga takie środowisko. Nawet kilku grajków ulicznych, nie zważając na zimno i wiatr, zsiniałymi palcami grało serenady przechodniom. Stephanie, podążając w stronę Eliot Square, ze współczucia wrzuciła im w odwrócone kapelusze po dolarowym banknocie.

Stephanie zostawiła za sobą światła i zgiełk kafejek i ruszyła Brattle Street. Przecięła jeden z budynków Radcliff College, a następnie słynny Longfellow House. Ale otoczenie nie

robiło na niej wrażenia. Jej myśli bez reszty zaprzętało to, czego dowiedziała się w ciągu minionych trzech godzin, i nie mogła się doczekać, kiedy podzieli się tym z Danielem. Ciekawiło ją też, jaki był wynik jego rozmów z Kliniką Wingate'a.

Było już po ósmej, kiedy zaczęła się wspinać po schodkach do budynku, w którym mieściło się mieszkanie Daniela. Zajmował on najwyższe piętro przerobionej dwupiętrowej późnowiktoriańskiej kamienicy, wyposażonej we wszelkie ozdóbki, włącznie z wymyślnym zwieńczeniem dachu. Kupił to mieszkanie w 1985 roku, gdy przyjął pracę na Uniwersytecie Haryarda. Był to dla niego ważny rok. Rozstał się wtedy nie tylko z posadą w zakładach farmaceutycznych Mercka, ale także ze swoją poślubioną pięć lat wcześniej żoną. Jak wyjaśnił Stephanie, w obu wypadkach czuł się stłamszony. Jego żona była pielęgniarką, którą poznał, kiedy odbywał staż lekarski i jednocześnie robił doktorat, co było wyczynem, który Stephanie porównywała z udziałem w kilku biegach maratońskich pod rząd. Jak twierdził Daniel, jego ekszona była marudą i małżeństwo z nią sprawiało, że czuł się jak Syzyf, bez końca wtaczający pod górę ciężki głaz. Twierdził też, że była przesadnie miła i tego samego oczekiwała od niego. Stephanie nie wiedziała, jak ma rozumieć oba te wyjaśnienia, ale nie drażyła tej kwestii. Cieszyła się, że rozwiedziona para nie miała dzieci, których ekszona najwyraźniej bardzo pragnęła.

– Jestem w domu! – zawołała Stephanie, zatraskując tyłkiem drzwi. Położyła ostrożnie torbę z laptopem i reklamówkę z książkami na maleńkim stoliku w przedpokoju, zdjęła płaszcz i otworzyła szafę, by go powiesić. – Jest tu kto? – krzyknęła, choć jej głos, skierowany do wnętrza szary, niemal nie wydostał się na zewnątrz. Uporawszy się z płaszczem, odwróciła się. Zamierzała powtórzyć pytanie, gdy przeraziła ją sylwetka Daniela w drzwiach pokoju. Stał zaledwie parę kroków od niej. Z jej ust, zamiast słów, wydobył się jedynie pisk.

– Gdzie, u licha, byłeś? – zapytał Daniel. – Wiesz, która jest godzina?

– Koło ósmej – wykrztusiła. Przycisnęła dłoń do piersi. – Nie podkradaj się do mnie w taki sposób!

– Dlaczego nie zadzwoniłeś? Chciałem już wzywać policję.

– Och, przestań! Wiesz, jak to jest, kiedy wejdę do księgarni. Byłam w dwóch i ugrzęzłam po uszy. W obu rozwaliałam się między regałami, z nosem w książkach, próbując zdecydować, co kupić. A po powrocie do biura postanowiłam skorzystać z naszego szerokopasmowego łącza.

– Dlaczego miałaś wyłączoną komórkę? Mnóstwo razy próbowałem się z tobą skontaktować.

– Bo byłam w księgarni, a kiedy wróciłam do biura, nie przyszło mi do głowy, żeby ją włączyć. Hej! Jeżeli martwiłeś się o mnie, to przepraszam, okej? Ale teraz jestem już w domu, cała i zdrowa. Co zrobiłeś na kolację?

– Ale śmieszne – burknął Daniel.

– Wyluzuj się! – zawołała Stephanie, zartobliwie ciągnąc go za rękaw. – Naprawdę doceniam twoją troskę, ale jestem głodna jak wilk, i ty chyba tak samo. Może poszlibyśmy na kolację do miasta? Zadzwoń do Rialto, a ja tymczasem wskoczę pod prysznic. Jest piątek wieczór, ale kiedy tam dotrzemy, nie powinno być problemu ze stolikiem.

– W porządku – odparł niechętnie Daniel, jak gdyby zgadzał się na jakieś wielkie przedsięwzięcie.

Gdy weszli do restauracji, było już dwadzieścia po dziewiątej i zgodnie z przewidywaniami Stephanie znaleźli wolny stolik. Ponieważ oboje byli wygłodniali, natychmiast przestudiowali menu i złożyli zamówienie. Na ich prośbę kelner niezwłocznie przyniósł im wino, wodę mineralną i chleb, by mogli zaspokoić pragnienie i nasycić pierwszy głód.

– No dobrze – oświadczyła Stephanie, prostując się na krześle. – Kto chce mówić pierwszy?

– Mogę ja – odparł Daniel. – Bo nie mam zbyt wiele do opowiadania, ale to, co mam, jest zachęcające. Zadzwoń do Kliniki Wingate’a, która moim zdaniem wydaje się dobrze wyposażona na nasze potrzeby, i pozwolili nam skorzystać z obiektu. Prawdę mówiąc, uzgodniłem już nawet cenę: czterdzieści tysięcy.

– O rany! – mruknęła Stephanie.

– Tak, wiem, to trochę dużo, ale wołałem się nie targować. Na początku, kiedy powiedziałem im, że nie będą mogli posłużyć się naszą współpracą do celów promocyjnych, byłem już pewien, że wszystko przepadło. Na szczęście zmienili zdanie.

– Cóż, to nie nasze pieniądze i z pewnością mamy ich dosyć. Co z oocytami?

– To najlepsza część. Powiedzieli mi, że mogą dostarczyć je nam bez żadnego problemu.

– Kiedy?

– Twierdzą, że kiedy tylko zechcemy.

– Boże drogi – zauważyła Stephanie. – To aż się prosi o parę pytań.

– Nie zaglądamy darowanemu koniowi w zęby.

– A co z neurochirurgiem?

– Tu też nie będzie problemu. Na wyspie jest kilku neurochirurgów, którzy rozpaczliwie poszukują pracy. Miejscowy szpital ma nawet sprzęt stereotaktyczny.

– To zachęcające.

– Też tak uważam.

– Ja mam wiadomości i dobre, i złe. Co chcesz usłyszeć najpierw?

– Jak zła jest zła?

– Wszystko jest względne. Nie jest tak zła, by pokrzyżować nam plany, ale wystarczająco zła, żebyśmy mieli się na baczności.

– Wysłuchajmy najpierw złej, żeby mieć ją już za sobą.

– Szefowie Kliniki Wingate’a są gorsi, niż mi się zdawało. Przy okazji, z kim

rozmawiałeś, kiedy skontaktowałeś się z kliniką?

– Z dwoma szefami: z samym Spencerem Wingate’em i z jego majordomusem, Paulem Saundersem. I muszę ci powiedzieć, że to para błaznów. Wyobraź sobie: publikują własne, rzekomo naukowe czasopismo, a jedynymi autorami i redaktorami są oni sami!

– Chcesz powiedzieć, że nie ma redakcyjnej komisji rewizyjnej?

– Takie odniosłem wrażenie.

– To śmieszne, dopóki ktoś nie zaprenumeruje tego czasopisma i nie będzie traktował wszystkiego, co w nim wyczyta, jako świętą prawdę.

– Otóż to.

– Cóż, oni są kimś o wiele gorszym niż tylko parą błaznów – oświadczyła Stephanie. – I można im zarzucić dużo więcej niż tylko wykonywanie nieetycznych eksperymentów z klonowaniem. Zajrzałam do archiwów redakcyjnych, szczególnie „The Boston Globe”, żeby przeczytać, co zdarzyło się w maju zeszłego roku, kiedy to klinika nagle przeniosła się na Bahamy. Pamiętasz, jak wspomniałam wczoraj wieczorem w Waszyngtonie, że byli zamieszani w zaginięcie dwóch studentek z Harvardu? Otóż według dwóch wyjątkowo wiarygodnych informaterek, które, tak się złożyło, doktoryzowały się wtedy na Harvardzie, to było coś znacznie poważniejszego od zwykłego związku faktów. Dziewczyny zatrudniły się w klinice, żeby się dowiedzieć, co się stało z komórkami jajowymi, które oddały. W trakcie węszenia odkryły o wiele więcej, niż się spodziewały. Na przesłuchaniu przed wielką ławą przysięgłych oświadczyły, że widziały jajniki zaginionych kobiet w tak zwanej sali narządów.

– Dobry Boże! – wykrzyknął Daniel. – Dlaczego przy takich zeznaniach nie postawiono w stan oskarżenia szefów kliniki?

– Brak dowodów i wysoko opłacony zespół obrońców! Najwyraźniej szefowie mieli zawczasu opracowany plan ewakuacji, który obejmował jednoczesne zniszczenie kliniki i obiektu oraz wszystkiego, co się w nim znajdowało, zwłaszcza pomieszczeń badawczych. Budynek stanął w płomieniach, a szefowie odlecieli helikopterem. Więc akt oskarżenia nie został doręczony. Ostatnią ironią losu jest to, że jako nie postawieni w stan oskarżenia mogli odebrać pieniądze z ubezpieczenia za pożar.

– Więc jakie masz odczucia w związku z tą całą historią?

– Po prostu myślę, że ci ludzie zdecydowanie nie zasługują na zaufanie i powinniśmy ograniczyć nasze kontakty z nimi do minimum. A po tym, co przeczytałam, chciałabym wiedzieć, skąd pochodzą komórki jajowe, które mają nam dostarczyć, żeby mieć pewność, że nie wspieramy jakiegóż niemoralnej działalności.

– Moim zdaniem to nie jest dobry pomysł. Uzgodniliśmy już, że kierowanie się zasadami etycznymi jest luksusem, na jaki nie możemy sobie pozwolić, jeśli mamy ocalić CURE i HTRS. Wypytywanie ich w tej kwestii może przysporzyć nam kłopotów, a ja nie chcę ryzykować, że rozmyślą się co do udostępnienia nam obiektu. Jak już mówiłem, nie pałali zbyt dużym entuzjazmem, odkąd wybiłem im z głowy wykorzystanie powiązań z nami do celów



promocyjnych.

Stephanie, bawiąc się serwetką, rozmyślała nad słowami Daniela. Nie miała ochoty wchodzić w jakiegokolwiek konszachty z Kliniką Wingate'a, ale prawdą było, że nie mieli większego wyboru przy tych ograniczeniach czasowych. Prawdą też było, że i tak naruszyli już zasady etyki, zgadzając się na leczenie Butlera.

– No więc jak? – zapytał Daniel. – Możesz z tym żyć?

– Chyba tak – odparła Stephanie bez entuzjazmu. – Przeprowadzimy zabieg i zmyjemy się.

– Taki właśnie jest plan – przyznał Daniel. – Teraz przejdźmy dalej! Jak brzmi twoja dobra wiadomość?

– Dobra wiadomość dotyczy Całunu Turyńskiego.

– Słucham.

– Po południu, zanim poszłam do księgarni, wspomniałam ci, że historia całunu jest ciekawsza, niż sobie wyobrażałam. To było za mało powiedziane.

– Jak to?

– Uważam teraz, że Butler być może wcale nie jest taki szalony, bo całkiem możliwe, że całun jest autentycznym. To niezwykła odmiana, wiesz przecież, jaka jestem sceptyczna.

Daniel skinął głową.

– Niemal tak sceptyczna jak ja.

Po tej uwadze Stephanie przyjrzała się partnerowi w nadziei, że odnajdzie jakąś oznakę humoru, w rodzaju cierpkiego uśmiechu, jednak niczego nie dostrzegła. Zirykowało ją, że Daniel zawsze musi mieć ostatnie słowo, bez względu na to, o co chodzi. Upiła łyk wina, by z powrotem skierować myśli na omawiany temat.

– Tak czy inaczej – ciągnęła – zaczęłam czytać o tym w księgarni i nie potrafiłem się oderwać. Nie mogę się doczekać, kiedy wrócę do książki, którą kupiłam. Autorem jest Ian Wilson, naukowiec z Oksfordu. Mam nadzieję, że jutro dostanę następne tytuły, które zamówiłam przez Internet.

Przerwała, bo nadszedł kelner. Oboje z Danielem z niecierpliwością patrzyli, jak rozstawia przed nimi talerze. Daniel zaczekał, aż kelner odejdzie, po czym odezwał się:

– W porządku, rozbudziłaś moją ciekawość. Posłuchajmy, co wywołało to zdumiewające objawienie.

– Rozpoczęłam lekturę z krzepiącą wiedzą, że trzy niezależne laboratoria ustaliły metodą węglową, że całun pochodzi z trzynastego wieku, kiedy to pojawiły się pierwsze wzmianki o nim. Znam precyzję tej metody, więc nie spodziewałam się, że moje przekonanie o tym, że całun jest fałszerstwem, zostanie zakwestionowane. Ale zostało, i to niemal natychmiast. Powód był prosty. Jeśli całun został wykonany w epoce, na którą wskazuje datowanie węglowe, fałszerz musiałby być geniuszem bijącym na głowę Leonarda da Vinci.

– Musisz mi to wyjaśnić – powiedział Daniel pomiędzy kęsami.

Stephanie przerwała opowieść, by również zabrać się do jedzenia.

– Zacznijmy od paru subtelnych powodów, dla których fałszerz musiałby przerastać swoją epokę, a potem przejdźmy do bardziej frapujących. Przede wszystkim musiałby stosować skróty perspektywiczne, których ówczesni artyści jeszcze nie znali. Człowiek przedstawiony na całunie ma ugięte nogi i pochyloną do przodu głowę, prawdopodobnie w stężeniu pośmiertnym.

– Uważam, że nie jest to specjalnie frapujący powód – stwierdził Daniel.

– A co powiesz na to: fałszerz musiałby znać prawdziwą technikę krzyżowania, stosowaną przez starożytnych Rzymian. Nie oddawały jej żadne trzynastowieczne wyobrażenia ukrzyżowanego Chrystusa, których były dosłownie miliony. W rzeczywistości skazaniec był przybijany do belki krzyża za nadgarstki, nie za dłonie, które nie mogłyby utrzymać jego ciężaru. Poza tym cierniowa korona nie była obręczą, ale czymś w rodzaju piuski.

Daniel kilkakrotnie pokiwał głową w zamyśleniu.

– I jeszcze to: plamy krwi przesłaniają zarys postaci na całunie, co oznacza, że ten spryciarz zaczął od plam krwi, a dopiero potem wykonał wizerunek, czyli postępował dokładnie odwrotnie, niż zrobiłby to jakikolwiek artysta. Wizerunek, a przynajmniej zarys, zostałyby naniesiony w pierwszej kolejności, a takie szczegóły jak krew dodano by później, by mieć pewność, że znajdują się we właściwych miejscach.

– To ciekawe, ale muszę potraktować to tak samo, jak skróty perspektywiczne.

– W takim razie przejdźmy dalej – ciągnęła Stephanie. – W roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym, w wyniku pięciodniowych badań prowadzonych przez zespoły naukowców ze Stanów Zjednoczonych, Włoch i Szwajcarii, stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że obraz na całunie nie został namalowany. Nie wykryto żadnych śladów pociągnięć pędzla, gradacja gęstości jest płynna, a obraz jedynie powierzchniowy, nie wnika w głąb włókien, co oznacza, że nie stosowano tu żadnego płynu. Naukowcy doszli do wniosku, że obraz mógł powstać tylko dzięki swego rodzaju powierzchniowemu utlenieniu włókien płótna, jak gdyby zostały one wystawione w obecności tlenu na nagły błysk silnego światła albo inne silne promieniowanie elektromagnetyczne. Oczywiście jest to mało precyzyjne i czysto spekulatywne.

– No dobrze – stwierdził Daniel. – Muszę przyznać, że wchodzisz w zdecydowanie frapujący obszar.

– To jeszcze nie wszystko – powiedziała Stephanie. – Wśród amerykańskich badaczy całunu z tamtego roku byli też ludzie z NASA, którzy poddali go analizie za pomocą najbardziej zaawansowanych ówczesnych zdobyczy techniki, w tym sprzętu znanego jako analizator obrazu VP-8. Było to analogowe urządzenie, stworzone w celu przetwarzania zarejestrowanych specjalną metodą cyfrowych obrazów powierzchni Księżyca i Marsa na obraz trójwymiarowy. Ku ogólnemu zaskoczeniu okazało się, że obraz na całunie zawiera

właśnie takiego typu informację, co oznacza, że jego gęstość jest w każdym punkcie wprost proporcjonalna do odległości, w jakiej całun znajdował się od ciała ukrzyżowanego człowieka. W sumie fałszerz musiałby być nie lada fachowcem, jeżeli przewidział to wszystko już w trzynastym wieku.

– Niesamowite – przyznał Daniel, kręcąc w zdumieniu głową.

– Pozwól, że dodam coś jeszcze – kontynuowała Stephanie. – Biolodzy specjalizujący się w badaniu pyłków ustalili, że na całunie znajdują się wyłącznie pyłki roślin pochodzących z terenów Izraela i Turcji, co oznacza, że rzekomy fałszerz musiałby być nie tylko sprytny, ale i przedsiębiorczy.

– Jak to możliwe, że datowanie metodą węglową dało tak błędne wyniki?

– To dobre pytanie – przyznała Stephanie, biorąc do ust kolejny kęs. Przeżuła go szybko.  
– Nikt nie wie na pewno. Sugerowano, że starożytne płótno ma zdolność podtrzymywania ciągłego rozwoju bakterii, które pozostawiają po sobie przezroczystą, przypominającą werniks biologiczną warstwę, mogącą zniekształcić rezultaty. Jak się zdaje, podobny problem napotkano podczas datowania metodą węglową bandaży z niektórych egipskich mumii, których starożytne pochodzenie dobrze potwierdzają inne środki. Inna hipoteza, wysunięta przez pewnego rosyjskiego naukowca, mówi, że wyniki mógł wypaczyć pożar, który w szesnastym wieku osmalił całun, choć trudno mi jest zrozumieć, jak mógłby je wypaczyć o ponad tysiąc lat.

– A co z aspektem historycznym? – zapytał Daniel. – Jeśli całun jest autentycznym, to dlaczego źródła wspominają o nim dopiero od trzynastego wieku, kiedy pojawił się we Francji?

– To kolejne dobre pytanie – stwierdziła Stephanie. – Kiedy zaczęłam przeglądać materiały na temat całunu, bardziej zainteresowały mnie aspekty naukowe i na razie zdążyłam zaledwie liźnąć historyczne, Ian Wilson w pomysłowy sposób skojarzył całun z inną znaną i głęboko czczoną bizantyjską relikwią, zwaną Mandylionem z Edessy, którą przez przeszło trzysta lat przechowywano w Konstantynopolu. Co ciekawe, to płótno zniknęło w roku tysiąc dwieście czwartym, kiedy miasto splądrowali krzyżowcy.

– Czy są jakieś dowody na to, że całun i Mandylion z Edessy są jednym i tym samym obiektem?

– Tu właśnie przerwałam lekturę – odparła Stephanie. – Ale wydaje się prawdopodobne, że taki dowód istnieje. Wilson powołuje się na francuskiego świadka, który oglądał bizantyjską relikwię przed jej zniknięciem i opisuje ją w swych wspomnieniach jako całun pogrzebowy z mistycznym, pełnym, podwójnym wizerunkiem Chrystusa, co zdecydowanie przywodzi na myśl Całun Turyński. Jeśli te dwie relikwie są jednym obiektem, to jego historia sięga co najmniej do dziewiątego wieku.

– W pełni rozumiem, dlaczego to wszystko wzbudziło twoje zainteresowanie – przyznał Daniel. – To fascynujące. A wracając do nauki, jeśli wizerunek na całunie nie został

namalowany, jakie są bieżące teorie co do jego powstania?

– Ta sprawa jest chyba najbardziej intrygująca. Właściwie nie ma żadnych teorii.

– Czy całun był poddawany badaniom naukowym po roku siedemdziesiątym dziewiątym?

– Wiele razy – odparła Stephanie.

– I nie ma żadnych teorii?

– Żadnych, których nie obaliłyby dalsze badania. Oczywiście wciąż pozostaje mglista hipoteza jakiegoś błysku lub nieznanego promieniowania... – Stephanie zawiesiła głos, jak gdyby nie kończąc myśli.

– Zaczekaj chwilę! – zawołał Daniel. – Nie zamierzasz chyba wyskoczyć z jakąś bzdurą o boskim albo nadprzyrodzonym pochodzeniu?

Stephanie rozłożyła ręce, wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

– Teraz mam wrażenie, że kpisz sobie ze mnie – zauważył Daniel, chichocząc.

– Daję ci szansę wysunięcia teorii.

– Mnie? – zdumiał się Daniel. Stephanie skinęła głową.

– Nie mogę zaproponować żadnej hipotezy bez rzeczywistego dostępu do wszystkich danych. Przypuszczam, że uczeni, którzy przeprowadzali badania, wykorzystali na przykład mikroskopię elektronową, spektroskopię, analizę fluorescencyjną czy odpowiednie analizy chemiczne.

– Wszystko, co wymieniałeś, i więcej – odparła Stephanie. Odchyliła się na oparcie krzesła, uśmiechając się prowokująco. – I mimo to nie ma żadnej powszechnie przyjętej teorii co do mechanizmu powstania obrazu. Jest to zagadka, bez dwóch zdań. Ale śmiało! Wysł wyobraźnię! Nie potrafisz wymyślić nic z danych, jakie ci przekazałam?

– Ty czytałaś to wszystko – stwierdził Daniel. – Moim zdaniem to ty powinnaś wysunąć sugestię.

– Mam ją – przyznała Stephanie.

– Nie wiem, czy odważę się zapytać jaką.

– Osobiście skłaniam się ku boskości. Oto moje rozumowanie: Jeśli całun jest płótnem, w którym pochowano Jezusa Chrystusa, i jeśli Chrystus zmartwychwstał, co oznacza, że przeszedł, prawdopodobnie w ułamku sekundy, od formy materialnej do niematerialnej, wówczas całun musiał zostać wystawiony na energię dematerializacji. To właśnie był ów błysk energii, który wytworzył obraz.

– Czym, u diabła, jest energia dematerializacji? – zapytał zirytowany Daniel.

– Sama nie wiem – przyznała Stephanie z uśmiechem. – Ale należy przypuszczać, że w chwili dematerializacji musiałaby zostać wyzwolona energia. Spójrz na energię wyzwalaną w gwałtownym rozpadzie nuklearnym. Tak powstaje bomba atomowa.

– Sądzę, że nie muszę ci przypominać, że przedstawiasz bardzo nienaukowe rozumowanie. W oparciu o obraz z całunu postulujesz zjawisko dematerializacji, żeby za

chwilę wykorzystać dematerializację dla wyjaśnienia powstania obrazu na całunie.

– Może to nienaukowe, ale moim zdaniem ma sens – odparła Stephanie ze śmiechem. – Ma też sens dla Iana Wilsona, który nazwał obraz z całunu zdjęciem zmartwychwstania.

– Cóż, jeśli nawet mnie nie przekonałaś, to przynajmniej zachęciłaś mnie do przejrzenia tej twojej książki.

– Najpierw sama ją skończę! – oznajmiła żartobliwie Stephanie.

– Jak te informacje na temat całunu wpłynęły na twoją reakcję co do wykorzystania pochodzącej z niego krwi do leczenia Butlera?

– Zrobiłam zwrot o sto osiemdziesiąt stopni – przyznała Stephanie. – Teraz jestem jak najbardziej za. Ostatecznie dlaczego nie mielibyśmy zaprząć może nawet i boskiej mocy do naszego przedsięwzięcia? I jak sam mówiłeś w Waszyngtonie, posłużenie się krwią z całunu doda sprawie nieco wyzwania i dreszczyku emocji, a przy tym zapewni najlepsze placebo.

Daniel uniósł dłoń i przybił ze Stephanie piątkę ponad stołem.

– Co z deserem? – zapytał.

– Ja dziękuję. Ale jeśli masz na niego ochotę, zamówię sobie kawę bezkofeinową.

Daniel pokręcił głową.

– Nie chcę deseru. Wracajmy do domu. Chcę sprawdzić, czy przyszły jakieś e-maile od inwestorów. – Skinął na kelnera, by przygotował rachunek.

– A ja chcę zobaczyć, czy są jakieś wieści od Butlera. Jeszcze jednej rzeczy dowiedziałam się o całunie, a mianowicie, że zdecydowanie będziemy potrzebowali pomocy senatora, żeby zdobyć próbkę. Na własną rękę nigdy nam się to nie uda. Kościół zamknął go na cztery spusty w wypełnionej argonem, supernowoczesnej skrzyni. Poza tym kategorycznie oświadczył, że nie będzie dalszych badań. Po niepowodzeniu datowania metodą węglową stali się oczywiście ostrożni.

– Czy przeprowadzano jakieś analizy krwi?

– Tak jest – przyznała Stephanie. – Ustalono, że należy do grupy AB, która w starożytności była na Bliskim Wschodzie spotykana o wiele częściej niż dziś.

– A badania DNA?

– Również – odparła Stephanie. – Wyizolowano kilka konkretnych odcinków genów, w tym kodujące betaglobulinę z chromosomu jedenaście, a nawet amelogeninę Y z chromosomu Y.

– Tego mi było trzeba – stwierdził Daniel. – Jeśli tylko zdołamy zdobyć próbkę, wydzielenie potrzebnych nam odcinków za pomocą sond HTRS będzie dziecinną igraszką.

– Lepiej by było zająć się tym jak najszybciej – przestrzegła Stephanie. – W przeciwnym razie nie zdążymy przygotować komórek przed wakacjami Butlera.

– W pełni zdaję sobie z tego sprawę – przyznał Daniel. Odebrał kartę kredytową od kelnera i podpisał rachunek. – Jeśli rzeczywiście mamy użyć krwi z całunu, powinniśmy jechać do Turynu w ciągu najbliższych paru dni. Więc Butler niech lepiej ruszy z kopyta!

Kiedy już będziemy mieli próbkę, możemy polecieć bezpośrednio do Nassau z Londynu, samolotem British Airways. Sprawdziłem to dziś wieczorem.

– Nie będziemy wykonywać manipulacji na komórkach w naszym laboratorium?

– Niestety nie. Oocyty są tam, a ja nie chcę ryzykować przewożenia ich, a poza tym chcę mieć je świeże. Mam nadzieję, że laboratorium Wingate'a jest tak dobrze wyposażone, jak twierdzą, bo wszystkie prace wykonamy tam.

– To oznacza, że wyjeżdżamy za kilka dni i nie będzie nas przez miesiąc albo dłużej.

– Właśnie. Czy to jakiś problem?

– Nie, chyba nie – odparła Stephanie. – To nie najgorsza pora, żeby spędzić miesiąc w Nassau. Peter może dopilnować spraw w laboratorium. Ale jutro albo w niedzielę będę musiała pójść do domu, żeby zobaczyć się z mamą. Wiesz, że nie czuje się najlepiej.

– Lepiej nie odkładaj tego na ostatnią chwilę – poradził Daniel. – Jak tylko dostaniemy od Butlera wiadomość o próbce kałunu, ruszamy w drogę.

## **Rozdział dziewiąty**

### **14.45, sobota, 23 lutego 2002**

Kiedy Daniel odłożył słuchawkę po kolejnej frustrującej rozmowie z inwestorami z San Francisco, zaczął się domyślać, jak czuje się człowiek chory na psychozę maniakalno-depresyjną. Tuż przed rozmową, nakreśliwszy sobie w żółtym bloku harmonogram na następny miesiąc, był w stanie euforii. Odkąd Stephanie nabrała entuzjazmu dla planu leczenia Butlera, włącznie z wykorzystaniem krwi z całunu, sprawy zaczęły wreszcie toczyć się gładko. Rano wspólnymi siłami spisali obszernie oświadczenie dla Butlera i pocztą elektroniczną przesłali je senatorowi. Zgodnie z ich wskazówkami miało zostać podpisane, poświadczane przez Carol Manning i odesłane faksem.

Gdy Stephanie na powrót zniknęła w laboratorium rzucić okiem na hodowlę fibroblastów Butlera, Daniel przekonał sam siebie, iż wszystko idzie tak dobrze, że warto będzie zadzwonić do inwestorów, żeby skłonić ich do zmiany decyzji co do uruchomienia drugiej tury płatności. Ale rozmowa nie przebiegła pomyślnie. Człowiek numer jeden powiedział Danielowi, żeby nie dzwonił, dopóki nie będzie mógł przedstawić dowodu na piśmie, że HTRS nie zostanie zakazana. Bankier wyjaśnił, że w świetle ostatnich wydarzeń ustna wiadomość, zwłaszcza w postaci mglistych ogólników, nie wystarczy. Dodał też, że o ile nie otrzyma takiego dokumentu w najbliższej przyszłości, pieniądze przeznaczone dla CURE trafią do innej obiecującej firmy biotechnologicznej, której własność intelektualna nie jest zagrożona ze względów politycznych.

Daniel osunął się na krzesło i zatrzymał ryzykownie na samym skraju siedziska, z głową opartą o tylną poręcz. Myśl o powrocie na stabilną, choć kiepsko płatną uczelnianą posadę, z jej ślimaczą przewidywalnością, zdawała mu się coraz bardziej pociągająca. Zaczynał mieć już dość gwałtownych wzlotów i upadków związanych z dążeniem do statusu zamożnej osobistości, na jaki zasługiwał. Irytujące było, że gwiazdom filmowym wystarczyło nauczyć się na pamięć paru linijek tekstu, a słynni sportowcy musieli jedynie wykazać się bezmyślną zręcznością w obchodzeniu się z kijem lub piłką, by pławić się w luksusach i powszechnym

zainteresowaniu. Wobec swoich kwalifikacji i genialnego odkrycia, jakiego dokonał, Daniel uważał za absurd, że musi borykać się z takimi przeszkodami i związanym z tym niepokojem.

Stephanie wytknęła głowę zza rogu.

– Wiesz co? – zawołała radośnie. – Hodowla fibroblastów Butlera rozwija się fantastycznie. Dzięki wzbogaconej w dwutlenek węgla atmosferze zaczyna już formować się pojedyncza warstwa komórek. Komórki będą gotowe szybciej, niż się spodziewałam.

– To wspaniale – odparł Daniel przygnębionym, monotonnym głosem.

– Co się znów stało? – zdziwiła się Stephanie. Weszła do pokoju i usiadła. – Wyglądasz, jakbyś miał za chwilę zjechać na podłogę. Skąd ta smutna mina?

– Nie pytaj! To wciąż ta sama stara historia z pieniędzmi, a raczej z ich brakiem.

– Domyślam się, że znów dzwoniłeś do inwestorów.

– Cóż za jasnowidztwo! – zauważył z przekąsem Daniel.

– Dobry Boże! Po co się zadreczasz?

– Więc teraz twierdzisz, że sam jestem sobie winien.

– Tak, jeśli wciąż do nich dzwonisz. Z tego, co mówiłeś wczoraj, jasno wynikało, co myślą o tej sprawie.

– Ale plan Butlera posuwa się naprzód. Sytuacja się rozwija.

Stephanie zamknęła na chwilę oczy i głęboko odetchnęła.

– Daniel – zaczęła, zastanawiając się, jak najlepiej ująć w słowa to, co chciała powiedzieć, żeby go nie rozdrażnić. – Nie możesz oczekiwać od innych, że będą widzieć świat tak samo jak ty. Jesteś bardzo inteligentny, być może zbyt inteligentny. Inni ludzie nie patrzą na świat tak jak ty. To znaczy, nie są w stanie myśleć tak jak ty.

– Traktujesz mnie jak głupka? – Daniel zmierzył wzrokiem swą kochankę, współpracowniczkę i partnerkę. Ostatnio, z powodu stresujących wydarzeń, była bardziej partnerką niż kochanką, a interesy nie wyglądały dobrze.

– Ależ skąd! – odparła z naciskiem. Nim zdążyła powiedzieć coś więcej, zadzwonił telefon. Jego ostry dźwięk w pograżonym w ciszy biurze przeraził ich oboje.

Daniel sięgnął po słuchawkę, nie podniósł jej jednak. Zerknął na Stephanie.

– Spodziewasz się telefonu?

Pokręciła głową.

– Kto mógłby dzwonić do biura w sobotę?

– Może to do Petera – podsunęła Stephanie. – Jest w laboratorium.

Daniel podniósł słuchawkę i wyrecytował zamiast akronimu pełną nazwę firmy:

– Cellular Replacement Enterprises.

– Tu doktor Spencer Wingate z Kliniki Wingate'a. Dzwonię z Nassau i chciałbym rozmawiać z doktorem Danielem Lowellem.

Daniel na migi polecił Stephanie, by przeszła do recepcji i podniosła słuchawkę w aparacie Vicky. Następnie przedstawił się Spencerowi.



– Nie spodziewałem się, że połączę się z tobą bezpośrednio – zauważył Spencer.

– Nasza recepcjonistka nie pracuje w soboty.

– Ojej! – wykrzyknął Spencer. Roześmiał się. – Zapomniałem, że teraz jest weekend. Dopiero niedawno otworzyliśmy naszą nową klinikę, więc wszyscy pracujemy na okrągło, by wygładzić kandy. Bardzo przepraszam, jeżeli dzwonię nie w porę.

– Ależ nie, bynajmniej – zapewnił go Daniel. Usłyszał cichy trzask, gdy Stephanie włączyła się na linię. – Czy pojawił się jakiś problem w związku z naszą wczorajszą rozmową?

– Wręcz przeciwnie – odparł Spencer. – Obawiałem się, że może to ty zmieniłeś zamiary. Obiecałeś, że zadzwonisz wczoraj wieczorem albo najpóźniej dzisiaj.

– Masz rację, rzeczywiście obiecałem – przyznał Daniel. – Przepraszam. Czekam właśnie na wiadomość w sprawie całunu, żeby móc rozpocząć działania. Wybacz, że nie skontaktowałem się z wami.

– Nic nie szkodzi. Chociaż nie miałem od ciebie wiadomości, pomyślałem, że zadzwonię, żeby powiedzieć ci, że rozmawiałem już z neurochirurgiem, doktorem Rashidem Nawazem, który prowadzi praktykę w Nassau. To Pakistańczyk, wykształcony w Londynie, dość utalentowany, jak mnie zapewniano. Ma nawet doświadczenie z implantacją komórek płodowych i jest chętny do pomocy. Zgodził się też załatwić nam wypożyczenie aparatury stereotaktycznej z Princess Margaret Hospital.

– Wspomniałeś mu o wymogu dyskrecji?

– Oczywiście, i nie przeszkadza mu to.

– Znakomicie – odparł Daniel. – Rozmawialiście o jego honorarium?

– Tak. Wygląda na to, że jego usługi będą nieco droższe, niż oceniałem z początku, być może ze względu na warunek dyskrecji. Prosi o tysiąc dolarów.

Daniel przez chwilę się zastanawiał, czy nie należałoby negocjować. Tysiąc dolarów było kwotą znacznie wyższą niż pierwotnie zakładane dwieście lub trzysta dolarów. Ale nie były to jego pieniądze, więc ostatecznie kazał Spencerowi dobić targu.

– Czy możesz już nam powiedzieć, kiedy mamy się ciebie spodziewać? – zapytał Spencer.

– Na razie nie – odparł Daniel. – Dam wam znać, gdy tylko będzie to możliwe.

– Dobrze – zgodził się Spencer. – A skoro już rozmawiamy, jest parę szczegółów, które chciałbym omówić.

– Proszę bardzo.

– Po pierwsze, chcielibyśmy prosić o wypłacenie nam z góry połowy uzgodnionej kwoty – oświadczył Spencer. – Mogę przesłać faksem numer naszego konta.

– Chcecie te pieniądze już teraz?

– Wystarczy, jeśli otrzymamy je, kiedy tylko ustalisz datę swojego przyjazdu. Dzięki temu będziemy mogli zacząć umawiać się z poszczególnymi pracownikami. Czy będzie z tym

problem?

– Raczej nie – odparł Daniel.

– Dobrze – powiedział Spencer. – Po drugie, chcielibyśmy zorganizować szkolenie z HTRS dla naszych pracowników, przede wszystkim dla doktora Saundersa, jak również przedyskutować warunki ewentualnej przyszłej umowy licencyjnej, wraz z opłatami za niezbędne sondy i enzymy.

Daniel zawahał się. Intuicja mówiła mu, że ponosi konsekwencje tego, iż poprzedniego dnia zbyt szybko przystał na zaproponowaną kwotę. Odchrząknął.

– Nie mam nic przeciwko temu, żeby doktor Saunders przyglądał się naszej pracy, ale co do licencji, obawiam się, że nie jestem upoważniony do decydowania w tej kwestii. CURE jest korporacją kierowaną przez zarząd, który musiałby wyrazić zgodę na taką umowę, przy uwzględnieniu interesów akcjonariuszy. Ale jako aktualny dyrektor generalny mogę obiecać, że zajmiemy się tą sprawą w przyszłości, a wasza pomoc w obecnej sytuacji zostanie wzięta pod uwagę.

– Być może prosiłem o zbyt wiele – przyznał uprzejmie Spencer. – Ale jak się to mówi, nigdy nie zaszkodzi spróbować.

Daniel przewrócił oczami, ubolewając nad poniżeniem, jakie musi znosić.

– I jeszcze jedno – dodał Spencer. – Chcielibyśmy znać nazwisko pacjenta, żeby dokonać wpisu i założyć mu kartę. Chcemy przygotować się na jego lub jej przybycie.

– Nie będzie żadnej karty – odparł kategorycznie Daniel. – Wczoraj powiedziałem wyraźnie, że kuracja ma się odbyć w absolutnej tajemnicy.

– Ale musimy w jakiś sposób zidentyfikować pacjenta, dla badań laboratoryjnych i tak dalej – wyjaśnił Spencer.

– Nazwijcie go pacjentem X albo Johnem Smithem – poradził Daniel. – To nie ma żadnego znaczenia. Przewiduję, że jego pobyt w waszej klinice nie będzie dłuższy niż dwadzieścia cztery godziny. Przez cały ten czas będziemy z nim i sami wykonamy wszystkie badania laboratoryjne.

– A jeśli władze Bahamów zainteresują się jego obecnością?

– Czy to jest prawdopodobne?

– Nie, raczej nie. Ale gdyby do tego doszło, nie wiem, co mielibyśmy odpowiedzieć.

– Wierzę, że przy waszym doświadczeniu w kontaktach z władzami podczas budowy kliniki okażecie się pomysłowi. Między innymi za to właśnie płacimy wam czterdzieści tysięcy dolarów. Upewnijcie się, że nie będą zadawać pytań.

– To będzie wymagało paru łapówek. Może gdybyście zapłacili o pięć tysięcy więcej, moglibyśmy zagwarantować, że nie będzie żadnych problemów z władzami.

Daniel nie odpowiedział natychmiast, starając się opanować gniew. Nie znosił, gdy nim manipulowano, szczególnie jeśli robił to błazen kalibru Wingate'a.

– W porządku – odezwał się w końcu z jawnym rozdrażnieniem. – Prześlemy

dwadzieścia dwa i pół tysiąca. Chcę jednak, żebyś osobiście dał mi słowo, że od tego momentu cała operacja przebiegnie gładko i że nie będzie już żadnych dalszych żądań.

– Masz moje słowo, jako założyciela Kliniki Wingate’a, że dołożymy wszelkich starań, by twoja współpraca z nami spełniła twoje oczekiwania i była w pełni satysfakcjonująca.

– Odezwiemy się w najbliższym czasie.

– A więc do usłyszenia!

Ryk silników odrzutowych wstrząsnął ścianami gabinetu Spencera, gdy podchodzący do lądowania międzykontynentalny boeing 767 przeleciał niespełna pięćset stóp nad kliniką. Dzięki solidnej izolacji budynku wibracja była raczej wyczuwalna niż słyszalna, lecz na tyle potężna, by rozkołysać wiszącą na ścianie kolekcję oprawionych w ramki dyplomów. Spencer przyzwyczał się już do tych regularnych wstrząsów i nie zwracał na nie uwagi, tylko od czasu do czasu machinalnie wyrównywał dyplomy.

– Jak mi poszło? – zawołał przez otwarte drzwi.

Paul Saunders, który przez aparat we własnym, mieszczącym się tuż obok gabinetu przysłuchiwał się jego rozmowie z Danielem, ukazał się w drzwiach.

– Cóż, spójrzmy na dobre strony. Nie poznałeś nazwiska pacjenta, ale udało ci się wyeliminować mniej więcej połowę słynnych i bogatych osobistości tego świata. Wiemy już teraz, że to mężczyzna.

– Bardzo śmieszne – burknął Spencer. – Nie spodziewaliśmy się, że poda nam jego nazwisko na tacy. Ale skłoniłem go, żeby podwyższył ofertę do czterdziestu pięciu tysięcy i zgodził się na twoje towarzystwo przy manipulacjach na komórkach. To już coś.

– Ale nie naciskałeś go co do preferencyjnych warunków licencji. To mogłoby zaoszczędzić nam w przyszłości kupę forsy, kiedy ruszymy z naszą terapią opartą na komórkach macierzystych.

– No cóż, miał argument. Kieruje korporacją.

– Może to i korporacja, ale mimo wszystko jest to prywatna firma i mógłbym się założyć, że on sam jest głównym akcjonariuszem.

– Cóż, trzeba było pójść na kompromis. W każdym razie nie odstraszyłem go. Pamiętaj, że o to właśnie się martwiliśmy: że jeśli będziemy naciskać zbyt mocno, on zwróci się do kogo innego.

– Po namyśle uznałem, że nie musimy się tym przejmować, o ile prawdą jest to, co mówił o napiętych ramach czasowych. Jesteśmy prawdopodobnie jedynym miejscem, które może zapewnić mu od ręki pierwszorzędne laboratorium, pomieszczenia szpitalne i ludzkie oocyty, bez zbędnych pytań. Ale to nieważne. Prawdziwe kokosy przyjdą, kiedy odkryjemy nazwisko pacjenta. Jestem o tym przekonany. A im szybciej to nastąpi, tym lepiej.

– Całkowicie się z tym zgadzam i w tym właśnie celu sprawdziłem, czy Lowell jest dziś w swoim biurze, co było prawdziwym powodem tej rozmowy.

– Prawda! I za to należą ci się brawa. Gdy tylko odłożyłeś słuchawkę, zadzwoniłem do Kurta Hermanna, żeby go zawiadomić. Powiedział, że natychmiast przekaże tę informację swojemu ziomkowi, który czeka w Bostonie na sygnał, by włamać się do mieszkania Lowella.

– Mam nadzieję, że ten ziomek, jak go nazwałeś, potrafi działać subtelnie. Jeśli Lowell wystraszy się, albo, nie daj Boże, coś mu się stanie, wszystko może wziąć w łeb.

– Wyraźnie przekazałem Kurtowi twoje obawy co do ostrych metod.

– I co powiedział?

– Wiesz, że Kurt nie mówi zbyt wiele. Ale on wszystko rozumie.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz, bo naprawdę przydałoby się nam trochę grosza. Przy wszystkich wydatkach, jakie ponieśliśmy, by zbudować i wyposażać ten obiekt, źródło prawie już wyschło, a poza naszymi pracami nad komórkami macierzystymi w najbliższym czasie nie zapowiada się zbyt wielki popyt na nasze usługi.

– Spencer Wingate sprawia wrażenie kanalii, tak jak się obawiałam – stwierdziła Stephanie. Wróciła do gabinetu Daniela, gdy rozmowa dobiegła końca. – Mówi o łapówkach, jak gdyby to była najzwyklejsza rzecz pod słońcem.

– Może na Bahamach tak jest – odparł Daniel.

– Mam nadzieję, że jest niski, gruby i ma brodawkę na nosie.

Daniel rzucił jej zakłopotane spojrzenie.

– Może jest nałogowym palaczem i ma nieświeży oddech.

– O czym ty, u diabła, mówisz?

– Jeśli sam Wingate jest tak odrażający, jak to, co mówi, być może nie stracę do końca wiary w środowisko medyczne. Wiem, że to irracjonalne, ale nie chcę, żeby w najmniejszym stopniu odpowiadał mojemu wyobrażeniu doktora. Przeraza mnie myśl, że ten człowiek jest praktykującym lekarzem. I to samo dotyczy też jego współpracowników.

– Och, daj spokój, Stephanie! Nie bądź taka naiwna. Lekarze, jak każda inna grupa zawodowa, nie są aniołami. Są wśród nich i dobrzy, i źli, a większość plasuje się gdzieś pomiędzy tymi skrajnościami.

– Sądziłam, że jednym z wyróżników tego zawodu jest dyscyplina wewnętrzna. Tak czy inaczej, naprawdę chodzi tylko o to, że wolałabym, żeby intuicja nie podpowiadała mi, że współpraca z tymi ludźmi to fatalny pomysł.

– Po raz ostatni powtarzam – oświadczył rozdrażniony Daniel – że nie współpracujemy z tymi błaznami. Broń Boże! Wykorzystujemy tylko ich klinikę, to wszystko. Koniec historii.

– Miejmy nadzieję, że to rzeczywiście jest takie proste – odparła Stephanie.

Daniel odwzajemnił jej spojrzenie. Byli ze sobą już na tyle długo, że zdawał sobie sprawę, iż nie nabrała się na jego prostą ocenę sytuacji, i irytowało go, że nie okazuje więcej wsparcia. Problem tkwił w tym, że jej obawy kazały mu myśleć o jego własnych niepokojach,

które usilnie starał się ignorować. Chciał wierzyć, że cały epizod przebiegnie gładko i wkrótce dobiegnie końca, ale negatywne nastawienie Stephanie wciąż podkopywało jego nadzieje.

W recepcji włączył się faks.

– Zobaczą, co to jest – powiedziała Stephanie. Wstała i wyszła z pokoju.

Daniel patrzył, jak odchodzi. Poczul ulgę, kiedy oderwała od niego wzrok. Ludzie potrafili działać mu na nerwy. Od czasu do czasu zdarzało się to nawet Stephanie. Zadał sobie pytanie, czy nie byłoby mu lepiej samemu.

– To oświadczenie od Butlera – zawołała Stephanie. – Podpisane i poświadczane, wraz z notatką, że oryginał idzie pocztą.

– Świetnie! – odkrzyknął Daniel. Przynajmniej współpraca z Butlerem wyglądała dobrze.

– W liście przewodnim senator pyta, czy sprawdziliśmy dziś po południu nowe e-maile. – Stephanie z pytającą miną ukazała się w drzwiach. – Ja nie sprawdziłam. A ty?

Daniel pokręcił głową i pochylił się, by połączyć się z Internetem. Na nowym, specjalnym koncie e-mailowym, założonym dla komunikacji z Butlerem, znajdowała się wiadomość od senatora. Stephanie okrążyła biurko Daniela i zajrzała mu przez ramię, kiedy ją otwierał.

Moi drodzy doktorzy, mam nadzieję, że jesteście pochłonięci przygotowaniami do mojej niedalekiej już kuracji. Ja także nie próżnowałem i z przyjemnością zawiadamiam was, że stróże Całunu Turyńskiego okazali się, dzięki wstawiennictwu wpływowego kolegi, niezwykle życzliwie nastawieni. Jak najszybciej musicie pojechać do Turynu. Po przyjeździe skontaktujecie się z monsiniosem Mansonim z kancelarii Archidiecezji Turyńskiej. Poinformujcie go, że jesteście moimi przedstawicielami. Wówczas, jak rozumiem, monsinior umówi się z wami na spotkanie w stosownym miejscu, by przekazać wam świętą próbkę. Miejcie proszę na uwadze, że musi się to odbyć z zachowaniem najwyższej dyskrecji i tajemnicy, by nie narazić na szwank mojego szanownego kolegi. Tymczasem pozostaję waszym serdecznym przyjacielem.

A.B.

Daniel skasował wiadomość, bo ustalił wcześniej ze Stephanie, że będą usuwać wszelkie e-maile senatora. Wspólnie zdecydowali, że musi pozostać możliwie najmniej śladów po tej historii. Gdy skończył, uniósł wzrok ku Stephanie.

– Nie można zaprzeczyć, że senator robi, co do niego należy.

Stephanie skinęła głową.

– Jestem pod wrażeniem. Zaczynam też być podekscytowana. Ta sprawa zdecydowanie ma w sobie coś z międzynarodowej intrygi.

– Kiedy możesz być gotowa do wyjazdu? Samolot Alitalii do Rzymu, z lokalnym

połączeniem do Turynu, wylatuje codziennie wieczorem. Pamiętaj, że musisz się spakować na miesiąc.

– Spakowanie się to żaden problem – odparła Stephanie. – Problemem jest moja mama i hodowla komórek Butlera. Jak już mówiłam, muszę spędzić trochę czasu z matką. Chcę też doprowadzić hodowlę komórek Butlera do stanu, w którym będzie mógł ją przejąć Peter.

– Jak długo to potrwa?

– Niedługo. Dobrze wyglądała dziś rano, więc prawdopodobnie wystarczy jedna noc. Chcę po prostu mieć pewność, że tworzy się prawdziwa warstwa jednokomórkowa. Potem Peter może ją utrzymywać, pasażować i zamrozić. Następnie, zgodnie z moim planem, prześle do Nassau pocztą kurierską część hodowli w pojemniku z ciekłym azotem, kiedy będziemy na to gotowi. Resztę komórek zachowamy tutaj, na wypadek gdybyśmy potrzebowali ich w przyszłości.

– Nie bądźmy pesymistyczni – powiedział Daniel. – A co z twoją matką?

– Mogę wpaść do niej jutro na parę godzin. W niedzielę zawsze jest w domu. Gotuje obiad.

– W takim razie jest szansa, że będziesz gotowa do wyjazdu jutro wieczorem?

– Jasne, jeżeli spakuję się jeszcze dzisiaj.

– W takim razie wracajmy do domu, i to migiem. Stamtąd zadzwonię, gdzie trzeba.

Stephanie wróciła na chwilę do laboratorium, by zabrać laptopa i płaszcz. Upewniwszy się, że Peter będzie następnego ranka w pracy, by mogli omówić sprawy hodowli Butlera, wróciła do recepcji. Daniel niecierpliwie przytrzymał dla niej otwarte drzwi na korytarz.

– Rany, ale ci się spieszy! – zauważyła. Zwykle to ona musiała na niego czekać. Ilekroć gdzieś szli, zawsze znajdował coś jeszcze do zrobienia.

– Jest już prawie czwarta, a nie chcę, żebyś miała wymówkę, że nie jesteś gotowa do jutrzejszego wyjazdu. Pamiętam, ile czasu potrzebowałaś, żeby spakować się na dwudniową wyprawę do Waszyngtonu, a teraz jedziemy na miesiąc. Jestem pewien, że zajmie ci to więcej, niż myślisz.

Stephanie uśmiechnęła się. Była to prawda, gdyż musiała między innymi odprasować parę rzeczy. Uświadomiła sobie też, że powinna wpaść do drogerii po parę drobiazgów na drogę. Zaskoczyło ją jednak, jak szybko Daniel jechał samochodem. Gdy pędzili przez Memorial Drive, zaryzykowała rzut oka na prędkościomierz. Sunęli niemal pięćdziesiątką na drodze z ograniczeniem do trzydziestu mil na godzinę.

– Hej, zwolnij! – wykrztusiła. – Zasuwasz jak jeden z tych taksówkarzy, na których tak narzekasz.

– Przepraszam – odparł Daniel. Odrobinę zmniejszył prędkość.

– Obiecuję, że będę gotowa na czas, więc nie ma potrzeby ryzykować życie. – Stephanie zerknęła na Daniela, by sprawdzić, czy spostrzegł, że próbuje być dowcipna, ale jego zacięty wyraz twarzy się nie zmienił.

– Chciałbym załatwić tę nieszczęsną sprawę możliwie jak najszybciej, skoro czuję już, że naprawdę ruszyliśmy z miejsca – oświadczył, nie odrywając oczu od drogi.

– Przyszło mi coś do głowy – powiedziała Stephanie. – Ustawię sprzęt tak, żeby wszystkie e-maile Butlera trafiały także na mój telefon komórkowy. Dzięki temu będziemy zawsze wiedzieli, kiedy przychodzi wiadomość, i będziemy mogli odczytać ją prawie natychmiast.

– Dobry pomysł – zgodził się Daniel.

Zatrzymali się przy krawężniku przed domem. Daniel wyłączył silnik i wyskoczył z samochodu. Nim Stephanie zdążyła zabrać laptopa z tylnego siedzenia, był już w połowie drogi do bramy. Wzruszyła ramionami. Gdy skupiał się na jednej myśli, zachowywał się jak typowy roztargniony profesor. Potrafił kompletnie ją ignorować, jak w tej chwili. Ale nie brała tego do siebie. Znała go zbyt dobrze.

Daniel wchodził po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz. Postanowił, że najpierw zadzwoni do linii lotniczych, by dokonać rezerwacji, a potem skontaktuje się ponownie z Kliniką Wingate'a. Pomyślał, że nie od rzeczy byłoby uwzględnić w planach spędzenie jednej nocy w Turynie. Potem przypomniał sobie, że podczas rozmowy z Nassau powinien zapytać Spencera o numer konta, by sprawę pieniędzy także mieć już z głowy.

Na podeście drugiego piętra przystanął, szukając właściwego klucza. Nagle spostrzegł, że drzwi mieszkania są lekko uchylone. Przez krótką chwilę gorączkowo się zastanawiał, kto rano wychodził ostatni: on czy Stephanie. Potem przypomniał sobie, że to był on, bo musiał wrócić po portfel.

Dokładnie pamiętał, że zamknął drzwi na wszystkie zamki, z zasuwą włącznie.

Przez klatkę schodową popłynął dźwięk otwierających się i zamykających drzwi wejściowych, a następnie odgłos kroków Stephanie na skrzypiących, wiekowych schodach. Poza tym w budynku panowała zupełna cisza. Mieszkańcy parteru byli na wakacjach na Karaibach, a lokator z pierwszego piętra nigdy nie przebywał w domu za dnia. Był to matematyk, który przesiadywał w ośrodku komputerowym MIT i wracał do domu tylko na noc.

Daniel ostrożnie popchnął drzwi, aby stopniowo uzyskać coraz to szerszy widok na przedpokój. Wkrótce mógł sięgnąć wzrokiem aż do salonu. Słońce stało już nisko nad odległym, południowo-zachodnim horyzontem, mieszkanie pogrążone więc było w głębokim cieniu. Nagle dostrzegł snop światła latarki, przemykający po ścianie salonu. Jednocześnie dobiegł go szczeł zasuwanej szuflady w szafce na dokumenty.

– Kto tu jest, u diabła? – krzyknął na całe gardło. Był wściekły, że jakiś nieproszony gość dostał się do jego mieszkania, ale nie był lekkomyślny. Choć intruz najwyraźniej wszedł drzwiami, Daniel nie wątpił, że przeprowadził rekonesans w mieszkaniu i wiedział, że w gabinecie znajduje się wyjście na drabinkę przeciwpożarową. Gdy wyciągał telefon komórkowy, by zadzwonić pod numer 911, był święcie przekonany, że włamywacz ucieknie

tamtą drogą.

Ku jego przerażeniu intruz natychmiast wyłonił się przed nim i oślepił go latarką. Daniel usiłował przesłonić strumień światła dłonią. Nie udało mu się to do końca, wystarczyło jednak, by spostrzec, że nieznajomy pędzi prosto na niego z niezwykłą prędkością. Nim Daniel zdążył zareagować, okryta rękawiczką dłoń brutalnie odepchnęła go na bok, na tyle mocno, że dosłownie odbił się od ściany. Od zderzenia zadzwoniło mu w uszach. Odzyskując równowagę, dostrzegł w przelocie potężnego mężczyznę w czarnym trykocie i czarnej kominiarce, zbiegającego cicho po schodach. Rozległ się krzyk Stephanie, a potem drzwi na dole otworzyły się gwałtownie i zatrasnęły z hukiem.

Daniel rzucił się do barierki i spojrzął w dół. Stephanie stała piętro niżej, oparta plecami o zamknięte drzwi matematyka, oburącz przyciskając laptopa do piersi. Jej twarz była blada jak kreda.

– Wszystko w porządku? – zawołał.

– Kto to był, u diabła? – zapytała.

– Jakiś cholerny włamywacz – odparł Daniel. Odwrócił się, by przyjrzeć się drzwiom. Stephanie pokonała resztę schodów i zajrzała mu przez ramię. – Dobrze chociaż, że nie rozwalił drzwi. – Musiał mieć klucz.

– Jesteś pewien, że były zamknięte?

– Jak najbardziej! Dokładnie pamiętam, że zamykałem nawet na zasuwę.

– Kto jeszcze ma klucz?

– Nikt – odparł Daniel. – Są tylko dwa. Tylko tyle kazałem zrobić, kiedy kupiłem to mieszkanie i wymieniłem zamki.

– Musiał otworzyć wytrychem.

– Jeśli tak, to znaczy, że był zawodowcem. Ale dlaczego zawodowiec miałby włamywać się do mojego mieszkania? Nie mam nic cennego.

– Och, nie! – krzyknęła nagle Stephanie. – Zostawiłam na toalecie całą biżuterię, łącznie z brylantowym zegarkiem po babci. – Przepchnęła się obok Daniela i popędziła do sypialni.

Daniel ruszył za nią przez przedpokój.

– To przypomniało mi, że byłem na tyle głupi, że zostawiłem na biurku wszystkie pieniądze, które wzięłem wczoraj wieczorem z bankomatu.

Zajrzał do gabinetu. Ku jego zaskoczeniu pieniądze z bankomatu leżały dokładnie tam, gdzie je położył, na środku bibułowej podkładki. Sięgnął po nie, a wtedy spostrzegł, że wszystko inne na biurku zostało poruszone. Jak sam przyznawał, nie był najporządniejszą osobą pod słońcem, był jednak doskonale zorganizowany. Na jego biurku mogły piętrzyć się sterty korespondencji, rachunków i czasopism naukowych, ale zawsze znał dokładną lokalizację, a nawet kolejność dokumentów w każdym stosie.

Jego wzrok powędrował ku pionowej, czteroszufladowej szafce na dokumenty. Poruszono nawet ułożone w stertę na wierzchu i czekające na posegregowanie przedruki



artykułów z czasopism. Ich położenie uległo nieznacznej, ale wyraźnej zmianie.

Stephanie ukazała się w drzwiach. Westchnęła z ulgą.

– Chyba wróciliśmy do domu w samą porę. Najwyraźniej nie zdążył wejść do sypialni.

Wszystkie moje rzeczy były tam, gdzie je położyłam wczoraj wieczorem.

Daniel uniósł plik banknotów.

– Nie zabrał nawet pieniędzy, a był tutaj na pewno.

Stephanie roześmiała się głucho.

– Co to za włamywacz?

– Wcale nie uważam tego za zabawne – stwierdził Daniel. Zaczął otwierać po kolei wszystkie szuflady tak biurka, jak i szafki, przyglądając się ich zawartości.

– Ja też wcale nie chcę powiedzieć, że uważam to za zabawne – odparła Stephanie. – Po prostu próbuję żartować, by ukryć prawdziwe uczucia.

Daniel uniósł wzrok.

– O czym ty mówisz?

Stephanie pokręciła głową i ciężko wypuściła powietrze. Udało jej się powstrzymać łzy. Drżała.

– Jestem roztrzęsiona. Ten niespodziewany incydent naprawdę mnie wytrącił z równowagi. To okropne, że ktoś tu wtargnął, naruszając naszą prywatność. Teraz rozumiem, że nasze życie zawsze wisi na włosku, nawet gdy nie zdajemy sobie z tego sprawy.

– Mnie też wytrąciło to z równowagi – przyznał Daniel. – Ale nie ze względów filozoficznych. Jestem zdenerwowany, bo czegoś tu nie rozumiem. Wydaje mi się oczywiste, że ten intruz nie był zwykłym włamywaczem. Szukał czegoś konkretnego, a ja nie mam pojęcia, co to mogło być. To niepokojące.

– Nie sądzisz, że po prostu wróciliśmy do domu, zanim on zdążył cokolwiek zabrać?

– Był tu przez jakiś czas, z pewnością na tyle długo, by zabrać kosztowności, gdyby to po nie właśnie przyszedł. Zdążył przetrząsnąć biurko, a może nawet szafkę na dokumenty.

– Skąd możesz wiedzieć?

– Dzięki mojej osobistej pedanterii. Ten człowiek był zawodowcem i szukał czegoś konkretnego.

– Chcesz powiedzieć, że przyszedł wykraść jakieś tajemnice zawodowe, na przykład dokumentację HTRS?

– Być może, ale wątpię w to. To wszystko jest objęte odpowiednimi patentami. Poza tym wtedy włamałby się do biura, nie tutaj.

– Więc o co mogło mu chodzić?

Daniel wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

– Wezwałś policję?

– Chciałem to zrobić, ale wtedy akurat stąd wybiegł. I teraz nie jestem pewien, czy to

dobry pomysł.

– Dlaczego? – zapytała Stephanie z zaskoczeniem.

– Co to da? Ten człowiek na pewno jest już daleko stąd. Wygląda na to, że nic nam nie zginęło, więc nie wchodzi w grę żadne odszkodowanie z ubezpieczalni, i wcale nie jestem pewien, czy chcę, żeby nas wypytywano, co robiliśmy ostatnio, gdyby do tego doszło. A poza tym jutro wieczorem wyjeżdżamy i nie chcę, żeby cokolwiek stanęło temu na przeszkodzie.

– Zaczekaj chwilę! – zawołała Stephanie. – A jeśli to zdarzenie ma coś wspólnego z Butlerem?

Daniel spojrział na nią ponad blatem biurka.

– Dlaczego miałyby to mieć związek z Butlerem? – zapytał.

Stephanie odwzajemniła jego spojrzenie. W kuchni włączyła się sprężarka lodówki, przełamując wczesnowieczorną ciszę.

– Nie wiem – powiedziała w końcu. – Pomyślałam po prostu o jego kontaktach z FBI i o tym, że w jakiś tam sposób kazał im cię sprawdzać. Może jeszcze nie skończyli.

Daniel pokiwał głową, rozważając jej słowa. Uświadomił sobie, że mimo całej dziwaczności tego pomysłu nie da się go tak od razu zbyć. W końcu potajemne wieczorne spotkanie z Butlerem przed dwoma dniami było nie mniej osobliwe.

– Spróbujmy na razie o tym zapomnieć – zaproponował. – Mamy mnóstwo rzeczy do załatwienia przed wyjazdem, więc nie traćmy czasu!

– W porządku – odparła Stephanie, biorąc się w garść. – Może pakowanie trochę mnie uspokoi. Ale myślę, że najpierw powinniśmy zadzwonić do Petera, na wypadek gdyby ten osobnik zamierzał włamać się także do biura.

– Dobry pomysł – przyznał Daniel. – Ale nie powiemy mu o Butlerze. To znaczy, nic mu nie powiedziałaś, prawda?

– Nie. Nie mówiłam mu ani słowa.

– To dobrze! – odparł Daniel i podniósł słuchawkę.

## **Rozdział dziesiąty**

### **11.45, niedziela, 24 lutego 2002**

Choć Stephanie była przyzwyczajona do zmiennej pogody Nowej Anglii, mimo wszystko zdumiała się, jak ciepła i pogodna okazała się niedziela. Zimowe słońce świeciło wprawdzie blado, ale nie czuło się chłodu, a powietrze wypełniał śpiew ptaków, jak gdyby wiosna była naprawdę blisko. W niczym nie przypominało to piątkowego wieczoru, gdy wśród porywów wiatru wracała do domu przez pokryty warstewką śniegu Harvard Square.

Zostawiła samochód Daniela na krytym parkingu w ośrodku rządowym i pieszo skierowała się na wschód do North Endu, jednej z najbardziej uroczych dzielnic Bostonu. Był to labirynt wąskich uliczek, wzdłuż których wznosiły się dwu – lub trzypiętrowe ceglane domy szeregowo. W dziewiętnastym wieku okolicę tę upodobali sobie południowowłoscy imigranci i przekształcili ją w namiastkę Małych Włoch, z typowymi widokami i zapachami. Na ulicach zawsze spotkać tu można było ludzi pogrążonych w ożywionej rozmowie, a w powietrzu unosiła się woń gotującego się sosu bolońskiego. Kiedy nie było lekcji, wszędzie roiło się od dzieci.

Stephanie rozpoznawała wszystko, idąc Hanover Street, handlową ulicą, przecinającą tę dzielnicę na pół. Ogólnie rzecz biorąc, tutejsza społeczność tworzyła przyjazne, życzliwe i opiekuńcze środowisko, w którym Stephanie spędziła miłe dzieciństwo. Jedynym problemem były sprawy rodzinne, z których niedawno zwierzyła się Danielowi. Rozmowa ta na nowo rozbudziła w niej dawno stłumione uczucia i myśli, podobnie jak zrobiła to wieść o postawieniu Anthony'ego w stan oskarżenia.

Stephanie przystanęła przed otwartymi drzwiami Cafe Cosenza. Był to jeden z lokali należących do jej rodziny, oferujący włoskie wypieki i lody, jak również tradycyjne espresso i cappuccino. Z jego wnętrza płynął gwar rozmów zmieszanych ze śmiechem i przeplatanych sykiem i brzękiem ekspresu do kawy, wraz z wonią świeżo palonych ziaren. Stephanie spędziła w tej sali, o ścianach pokrytych kiczowatym malowidłem przedstawiającym Wezuwiusza i Zatokę Neapolitańską, wiele miłych godzin, w towarzystwie przyjaciół racząc

się cannoli i lodami, ale teraz miała wrażenie, że od tamtego czasu minęły całe wieki.

Stojąc na zewnątrz i zaglądając do środka, uświadomiła sobie, jak bardzo oddaliła się od swego dzieciństwa i rodziny, może z wyjątkiem matki, do której często telefonowała. Oprócz młodszego brata Carla, który zdecydował się na kapłaństwo, powołanie, którego nie potrafiła pojąć, była jedyną osobą w rodzinie, która poszła na studia, i na dodatek zrobiła doktorat. A większość jej koleżanek z podstawówki i szkoły średniej, nawet tych, które nie przerwały nauki, mieszkała teraz albo na North Endzie, albo na przedmieściach Bostonu, gdzie miały domy, mężów, samochody i dzieci. W przeciwieństwie do nich Stephanie żyła bez ślubu z mężczyzną starszym od niej o szesnaście lat, wspólnie z którym walczyła o utrzymanie niedawno założonej firmy biotechnologicznej i w tajemnicy poddawała członka senatu Stanów Zjednoczonych niezatwierdzonej, eksperymentalnej, lecz, jak wierzyła, obiecującej terapii.

Idąc dalej ulicą, Stephanie rozmyślała nad dystansem, jaki dzielił ją od jej dawnego życia. Uznała za godne uwagi, że się tym nie przejmie. Z perspektywy czasu wydawało się to naturalną reakcją na zakłopotanie, w jakie wprawiały ją interesy jej ojca i rola jej rodziny w lokalnej społeczności. Przyłapała się na tym, że zastanawia się, czy jej życie potoczyłoby się zupełnie inaczej, gdyby jej ojciec był bardziej przystępny. Jako małe dziecko próbowała przedrzeć się przez barierę jego egocentrycznego męskiego szowinizmu i zaabsorbowania tym, co akurat robił, ale nigdy nie odnosiło to skutku. Daremność tych wysiłków ostatecznie nauczyła ją niezależności, która doprowadziła ją tu, gdzie znajdowała się dziś.

Przystanąła na chwilę, gdy przyszła jej do głowy dziwna myśl. Jej ojciec i Daniel, mimo wszystkich dzielących ich różnic, pod pewnymi względami byli do siebie podobni. Obaj byli jednakowo egocentryczni, obaj bywali niekiedy nieznośnie arogancy i obaj zażarcie walczyli o pierwszeństwo w swoich dziedzinach. Na dodatek Daniel był tak samo szowinistyczny – tyle tylko, że dotyczyło to raczej inteligencji niż płci. Stephanie roześmiała się w duchu. Zadała sobie pytanie, dlaczego nigdy dotąd nie zwróciła na to uwagi, tym bardziej że Daniel po skupieniu się na pracy także bywał nieprzystępny, zwłaszcza ostatnio, z nadejściem kłopotów finansowych, które dotknęły CURE. Choć psychologia zdecydowanie nie była jej mocną stroną, zaczęła się zastanawiać, czy podobieństwa między ojcem a Danielem nie wiązały się z jej początkowym pociąganiem do Daniela.

Ruszając dalej, Stephanie obiecała sobie, że powróci do tej sprawy, gdy tylko będzie miała więcej czasu. Teraz była pochłonięta przygotowaniem do wieczornego wyjazdu do Turynu. Wstała o bladym świcie, by dokończyć pakowanie. Potem większą część poranka spędziła w laboratorium, gdzie dokładnie wyjaśniła Peterowi, jak ma postępować z hodowlą fibroblastów Butlera. Na szczęście komórki rozwijały się jak należy. Zaczerpnąwszy pomysł z rozmowy Daniela ze Spencerem Wingate'em, opisała hodowlę nazwiskiem Johna Smitha. Jeśli Peter miał jakiegokolwiek pytania co do powodów ich wyjazdu do Nassau i przesłania tam części zamrożonych komórek Johna Smitha, nie zdradził się z nimi.

Stephanie skręciła w lewo w Prince Street i przyspieszyła kroku. Wkroczyła w jeszcze bardziej znajomą okolicę, zwłaszcza po przejściu obok starej szkoły. Dom, w którym spędziła dzieciństwo i w którym nadal mieszkali jej rodzice, znajdował się parę kroków dalej, po prawej stronie ulicy.

North End był bezpieczną dzielnicą, a to dzięki nieoficjalnej „straży sąsiedzkiej”. Zawsze kręciło się tu co najmniej kilkanaście osób, które nałogowo interesowały się cudzymi sprawami. Ujemną stroną dla dziecka było to, że żaden występki nie mógł ujść na sucho, ale w tej chwili Stephanie rozkoszowała się poczuciem bezpieczeństwa. Choć Daniel najwyraźniej doszedł do siebie po wczorajszym włamaniu i uznał epizod za nieistotny dla ogólnego planu, Stephanie nie otrząsnęła się jeszcze z szoku, a w każdym razie nie do końca, i powrót do dobrze znanego otoczenia dodał jej otuchy. Nie wiedzieć czemu incydent ten wzmógł jej niepokój co do sprawy Butlera.

Zatrzymawszy się przed swoim dawnym domem, Stephanie obrzuciła wzrokiem imitację szarego kamienia, pokrywającą ceglane ściany do wysokości pierwszego piętra, czerwony aluminiowy daszek z białym, wycinanym w ząbki brzegiem nad frontowymi drzwiami, oraz stojącą w niszy, jaskrawo pomalowaną, gipsową świętą figurkę. Uśmiechnęła się na myśl o tym, ile czasu potrzebowała, by uświadomić sobie, jak tandetne są te ozdoby. Nim to nastąpiło, nawet ich nie zauważała.

Choć miała klucz, zapukała i czekała przy drzwiach. Dzwoniła z biura, by uprzedzić, że wpadnie, więc jej wizyta nie była niespodzianką. Chwilę później drzwi otworzyła jej matka, Thea, i otoczyła ją ramionami. Dziadek Thei był Grekiem i żeńskie imiona przechodziły w jej rodzinie z pokolenia na pokolenie, od czego Stephanie nie była wyjątkiem.

– Pewnie jesteś głodna – powiedziała Thea, odsuwając się, by przyjrzeć się córce. Jedzenie zawsze było dla niej sprawą zasadniczą.

– Chętnie zjadłabym kanapkę – odparła Stephanie, wiedząc, że odmowa nie wchodzi w grę. Ruszyła za drobną figurką matki do kuchni, pełnej woni gotujących się potraw. – Coś ładnie pachnie.

– Robię osso buco, ulubione danie twojego ojca. Może zostaniesz na obiad? Będzie około drugiej.

– Nie mogę, mamó.

– Przywitaj się z ojcem.

Stephanie posłusznie wetknęła głowę do pokoju obok kuchni. Jego wystrój nie zmienił się ani odrobinę, odkąd sięgała pamięcią. Jak zwykle przed niedzielnym obiadem, ojciec siedział schowany za niedzielną gazetą, którą trzymał w potężnych dłoniach. Na poręczy fotela spoczywała przepelniona popielniczka.

– Cześć, tato! – zawołała wesoło Stephanie.

Anthony D’Agostino senior opuścił górny skraj gazety. Umiarkowanie kaprawymi oczyma spojrzął na Stephanie sponad oprawek okularów do czytania. Aureola dymu

papierosowego otaczała go niczym gęsty smog. Choć w młodości z zapalem uprawiał sport, teraz był tęgi i nieruchawy. W ciągu ostatnich dziesięciu lat poważnie przybrał na wadze, mimo ostrzeżeń lekarzy, a nawet mimo przebytego przed trzema laty ataku serca. Podczas gdy matka Stephanie chudła, on tył w chorobliwie szybkim tempie.

– Nie życzę sobie, żebyś denerwowała matkę, słyszysz? Czują się dobrze przez ostatnie parę dni.

– Postaram się – odparła Stephanie.

Gazeta uniosła się na powrót. „To tyle, jeśli chodzi o rozmowę” – pomyślała Stephanie, wzruszając ramionami i przewracając oczami. Wycofała się z powrotem do kuchni. Thea wyciągnęła ser, chleb, szynkę parmeńską i owoce, i układała to wszystko na stole. Stephanie przyglądała się jej krzątaniu. Matka znów schudła od ich ostatniego spotkania, co nie było dobrym znakiem. Kości jej dłoni i twarzy sterczały przez skórę, niemal pozbawione ciała. Przed dwoma laty u Thei rozpoznano raka piersi. Po operacji i chemioterapii czuła się dobrze, lecz trzy miesiące temu znów nastąpiło pogorszenie. W jednym z jej płuc wykryto guz. Rokowania nie były dobre.

Stephanie usiadła i zrobiła sobie kanapkę. Matka usiadła naprzeciw niej z kubkiem herbaty.

– Czemu nie możesz zostać na obiad? – zapytała. – Przyjdzie twój starszy brat.

– Z żoną i dziećmi czy bez?

– Bez – odparła Thea. – Ma z ojcem jakieś sprawy.

– Skąd ja to znam?

– Czemu nie zostaniesz? Prawie cię nie widzimy.

– Chciałabym, ale nie mogę. Wyjeżdżam dziś wieczorem na jakiś miesiąc. To dlatego chciałam przyjść właśnie dzisiaj. Mam jeszcze sporo rzeczy do zrobienia przed wyjazdem.

– Jedziesz z tym człowiekiem?

– On ma na imię Daniel. Tak, jedziemy razem.

– Nie powinnaś z nim mieszkać. To nie jest dobre. Poza tym on jest za stary. Powinnaś wyjść za jakiegoś miłego, młodego człowieka. Nie jesteś już taka młoda.

– Mamo, rozmawialiśmy już o tym.

– Słuchaj swojej matki – zagrzmiął z pokoju Anthony senior. – Ona wie, co mówi.

Stephanie ugryzła się w język.

– Dokąd jedziesz?

– Przede wszystkim do Nassau na Bahamach. Wcześniej jedziemy gdzieś jeszcze, ale tylko na jeden dzień, albo niewiele dłużej.

– To wakacje?

– Nie – odparła Stephanie. Wyjaśniła matce, że wyjazd ma związek z jej pracą. Nie podała szczegółów, a matka o nie nie wypytywała, tym bardziej że Stephanie czym prędzej skierowała rozmowę na swych siostrzeńców i bratanków. Wnuki były ulubionym tematem

Thei. Godzinę później, gdy Stephanie zbierała się już do wyjścia, drzwi otworzyły się i do domu wkroczył Anthony junior.

– Oczom nie wierzę! – wykrzyknął z udawanym zaskoczeniem, spostrzegłszy Stephanie. Mówił z silnym, pielęgnowanym akcentem pracownika fizycznego. – Czcigodna pani doktor z Harvardu postanowiła złożyć wizytę nam, biednym robotom.

Stephanie uniosła wzrok i uśmiechnęła się do starszego brata. Ugryzła się w język, podobnie jak wcześniej przy ojcu. Dawno już nauczyła się nie chwytać przynęty. Tony zawsze szydził z jej wykształcenia, tak samo jak ojciec, choć niezupełnie z tych samych powodów. U Tony’ego, jak podejrzewała, przyczyną była raczej zazdrość, gdyż on sam ledwie zdołał przebrnąć przez szkołę średnią. Jego problem nie polegał na braku inteligencji, lecz na braku motywacji w młodości. Teraz, jako człowiek dorosły, udawał, że nie dba o to, iż nie poszedł na studia, ale Stephanie wiedziała, że jest inaczej.

– Mama mówiła, że twój chłopak wyrasta na niezłego hokeistę – powiedziała, by odejść od drażliwego tematu wykształcenia. Tony miał dwunastoletniego syna i dziesięcioletnią córkę.

– Tak, wdał się w ojca – odparł Tony. Był obdarzony taką samą karnacją i wzrostem jak Stephanie, lecz sylwetkę miał bardziej krępa, z grubą szyją i wielkimi dłońmi, jak u ojca. I zdaniem Stephanie, przypominał ojca również niepocholebny męskim szowinizmem, przez co współczuła szwagierce i martwiła się o bratanicę.

Tony pocałował matkę w obydwie policzki i przeszedł do sąsiedniego pokoju.

Stephanie usłyszała szelest odkładanej gazety, klaśnięcie, w którym domyśliła się uścisku dłoni, oraz wymianę zdań „Jak się masz? Świetnie! Co u ciebie? Świetnie”. Gdy rozmowa zeszała na sport i zaczęły padać nazwy rozmaitych bostońskich drużyn, Stephanie przestała słuchać.

– Muszę już iść, mamó – powiedziała.

– Może jednak zostaniesz? Mogę podać obiad już za sekundkę.

– Nie mogę, mamó.

– Tacie i Tony’emu będzie przykro, że poszłaś!

– Tak, pewnie! – mruknęła Stephanie.

– Kochają cię na swój sposób.

– Nie wątpię – odparła Stephanie z uśmiechem. Ironią było, że w to wierzyła. Wyciągnęła rękę i ujęła nadgarstek Thei. Sprawiał wrażenie kruchego, jak gdyby kości mogły pęknąć, gdyby ścisnęła zbyt mocno. Odsunęła krzesło i wstała. Thea zrobiła to samo. Objęły się.

– Zadzwoń z Bahamów, jak tylko się tam ulokuję, i podam ci adres i numer hotelu – obiecała Stephanie. Cmoknęła matkę w policzek, po czym znów wetknęła głowę do pokoju. Wypełniająca go mgiełka dymu papierosowego zgęstniała, odkąd palili tam obaj mężczyźni. – Do widzenia. Muszę lecieć.

Tony uniósł wzrok.

– Co jest? Już uciekasz?

– Ona wyjeżdża na miesiąc – wyjaśniła Thea, stając za plecami Stephanie. – Musi się przygotować.

– Nie! – zaprotestował Tony. – Nie możesz odejść! Zaczekaj chwilę! Muszę z tobą porozmawiać. Miałem zamiar do ciebie dzwonić, ale skoro tu jesteś, lepiej to zrobić w cztery oczy.

– W takim razie chodź tutaj migiem – odparła Stephanie. – Naprawdę mi się spieszy.

– Zaczekasz, dopóki nie skończymy – oświadczył Anthony senior. – Tony i ja omawiamy interesy.

– W porządku, tato – powiedział Tony. Wstając, ścisnął ojca za kolano. – To, co mam do powiedzenia Steph, nie zajmie dużo czasu.

Anthony mruknął i sięgnął po odłożoną na bok gazetę.

Tony wrócił do kuchni. Usiadł okrakiem na jednym z krzeseł i gestem wskazał siostrze inne. Stephanie zawahała się przez chwilę. Tony stawał się coraz bardziej apodyktyczny, w miarę jak przejmował coraz więcej ról swego ojca, i działało jej to na nerwy. Aby nie robić z tego problemu, usiadła, ale w ramach rewanżu oznajmiła bratu, by się pospieszył. Kazała mu też odłożyć papierosa, co uczynił z niechęcią.

– Chciałem do ciebie zadzwonić – zaczął Tony – bo Mikey Gualario, mój księgowy, powiedział mi, że CURE niedługo splajtuje. Oświadczyłem mu, że to niemożliwe, bo moja mała siostrzyczka dałaby mi znać. Ale on twierdzi, że przeczytał o tym w „Globe”. Co to za bomba?

– Mamy kłopoty finansowe – przyznała Stephanie. – To problem polityczny, który wstrzymuje naszą drugą turę płatności.

– Więc „Globe” nie wymyślił sobie tego wszystkiego?

– Nie czytałam tego artykułu, ale, jak mówię, jesteśmy teraz w dość trudnym położeniu.

Tony wykrzywił twarz, jak gdyby się nad czymś zastanawiał. Kilkakrotnie pokiwał głową.

– Cóż, nie jest to zbyt dobra wiadomość. Rozumiesz chyba, że mogę niepokoić się o dwieście tysięcy dolców, które wam pożyczyłem.

– Poprawka! To nie była pożyczka. To była inwestycja.

– Zaczekaj chwilę! Przyszedł do mnie i płakałaś, że potrzebujesz pieniędzy.

– Znów poprawka! Powiedziałam, że muszę zdobyć pieniądze, i na pewno nie płakałam.

– No dobrze, ale mówiłaś, że to pewniak.

– Mówiłam, że moim zdaniem to dobra inwestycja, bo opiera się na genialnej, w pełni opatentowanej, nowo opracowanej procedurze, która może zrewolucjonizować medycynę. Ale uprzedziłam, że nie jest pozbawiona ryzyka i dałam ci prospekt. Przeczytałeś go?

– Nie, nie przeczytałem. Nie rozumiem tych pierdoł. Ale jeśli interes był tak dobry, skąd się wziął ten problem?



– Nikt nie przewidział, że Kongres może zabronić tej procedury. Ale mogę cię zapewnić, że działamy w tej sprawie i moim zdaniem opanowaliśmy już sytuację. Cała rzecz spadła na nas jak grom z jasnego nieba, czego dowodzi to, że oboje z Danielem zainwestowaliśmy w tę firmę ostatniego centa, włącznie z zainwestowaniem mieszkania Daniela. Przykro mi, że w tej chwili inwestycja nie wygląda zbyt pewnie. Mogłabym dodać też, że żałuję, że przyjęliśmy twoje pieniądze.

– Ja również!

– Co będzie z tym twoim oskarżeniem?

Tony machnął ręką, jak gdyby odganiał muchę.

– Nic. To stek bzdur. Prokurator okręgowy po prostu szuka rozgłosu, by wygrać w wyborach na następną kadencję. Ale nie zmieniamy tematu. Powiedziałaś, że twoim zdaniem ten polityczny problem jest już pod kontrolą.

– Tak sądzimy.

– Czy to ma coś wspólnego z tym miesięcznym wyjazdem?

– Tak – przyznała Stephanie. – Ale nie mogę podać ci żadnych szczegółów.

– Och, doprawdy? – odparł sarkastycznie Tony. – Włożyłem w to dwieście tysięcy, a ty nie możesz podać mi szczegółów. Coś mi tu nie gra.

– Gdybym wyjawiała, czym się zajmujemy, naraziłoby to na szwank skuteczność naszych działań.

– „Wyjawiała”, „naraziłoby na szwank”, „skuteczność”! – powtórzył szyderczo Tony. – Daj spokój! Nie sądzisz chyba, że zadowolę się garścią szumnie brzmiących słów. Nie ma mowy! Więc dokąd jedziesz, do Waszyngtonu?

– Ona jedzie do Nassau – odezwała się nagle Thea od kuchenki. – I nie bądź niegrzeczny dla swojej siostry. Słyszysz?

Tony wyprostował się na krześle z rękoma zwieszonymi bezwładnie po bokach. Jego usta otworzyły się wolno w bezbrzeżnym zdumieniu.

– Do Nassau! – krzyknął. – To już zupełne wariactwo. Jeśli CURE upada z powodu politycznej bomby, nie sądzisz, że powinniście się zakreć i coś zrobić?

– Po to właśnie jedziemy do Nassau – odparła Stephanie.

– Ha! – zawołał Tony. – Moim zdaniem ten twój tak zwany chłopak zamierza zrobić jakiś szwindel.

– Nic dalszego od prawdy. Tony, naprawdę żałuję, że nie mogę powiedzieć ci więcej. Mam nadzieję, że za miesiąc sprawy wrócą do normy, a wtedy chętnie uznamy twoje pieniądze za pożyczkę i zwrócimy je z procentem.

– Spróbuję pamiętać, żeby nie oczekiwać zbyt wiele – prychnął Tony. – Mówisz, że nie możesz powiedzieć mi więcej, więc pozwól, że ja ci coś powiem. Te dwieście kawalków nie było w całości moje.

– Nie? – bąknęła Stephanie. Wyczuła, że przykra rozmowa za chwilę stanie się jeszcze

mniej przyjemna.

– Przedstawiłaś to jako tak świetny interes, że uznałem, że muszę się nim podzielić. Połowa forsy pochodzi od braci Castigliano.

– Nigdy mi tego nie mówiłeś!

– Mówię ci teraz.

– Co to za jedni, ci bracia Castigliano?

– Partnerzy w interesach. I powiem ci coś jeszcze. Oni nie będą zadowoleni, kiedy usłyszą, że ich pieniądze jadą na południe. Nie są do tego przyzwyczajeni. Jako twój brat chciałbym cię uprzedzić, że wyjazd na Bahamy to nie jest dobry pomysł.

– Ale musimy jechać.

– Tak mówisz, ale nie wyjaśniłaś dlaczego. Powtarzam więc: Lepiej by było, gdybyś została ze swoim kochaniem z Harvardu tutaj i pilnowała interesu, bo wygląda na to, że zamierzacie igrać sobie w słońcu za nasze pieniądze, kiedy my, frajerzy, odmrażamy sobie dupy w Bostonie.

– Tony – odparła Stephanie najspokojniejszym, najbardziej kojącym głosem, na jaki było ją stać. – Jedziemy do Nassau i zamierzamy uporać się z tym nieszczęsnym problemem.

Tony wyrzucił w górę ręce.

– Próbowałem! Bóg świadkiem, że próbowałem!

Dzięki układowi kierowniczemu ze wspomaganiami Tony potrzebował jedynie palca wskazującego prawej dłoni, by kręcić kierownicą swego czarnego cadillaca deville. Wieczór był tak ciepły, że otworzył okno i wystawił na zewnątrz lewą rękę z papierosem. Charakterystyczny chrzęst opon na żwirze zagłuszył dźwięki radia, gdy wjechał na parking przed hurtownią instalacji wodno-kanalizacyjnych braci Castigliano. Był to szary, wzniesiony z pustaków, parterowy budynek z płaskim dachem, zwrócony tyłem do przybrzeżnych równin błotnych.

Tony zatrzymał się obok trzech innych samochodów podobnych do jego własnego – wszystkie były cadillacami i wszystkie były czarne. Rzucił niedopałek papierosa w stertę rdzewiejących zlewów i zgasił silnik. Gdy wysiadł z pojazdu, opadł go odór słonych błot. Nie było to miłe. Wraz ze zbliżaniem się nocy, wiatr zmienił kierunek na wschodni.

Fasada budynku domagała się malowania. Oprócz wypisanej wielkimi literami nazwy firmy na ścianach widniało kilka graffiti. Drzwi nie były zamknięte na klucz i Tony wszedł bez pukania, zgodnie ze swoim zwyczajem. Na środku pomieszczenia stała lada, za którą ciągnęły się rzędy sięgających od podłogi do sufitu regałów, wypełnionych armaturą wodno-kanalizacyjną. Nie widać było żywej duszy. Radio na ladzie nastawione było na stację nadającą muzykę z lat pięćdziesiątych.

Tony ominął ladę i przeszedł między regałami na tył pomieszczenia, ku drugim drzwiom, które prowadziły do biura. Otworzył je. W przeciwieństwie do części sklepowej to wnętrze

urządzone było względnie luksusowo, ze skórzaną sofą, dwoma biurkami i podłogą przykrytą wytartym wschodnim dywanem. Małe okienka wychodziły na równiny błotne, obrzeżone sitowiem i upstrzone zużytymi oponami oraz innym śmieciem. W pokoju siedziało trzech mężczyzn: dwaj przy biurkach i jeden na sofie.

Rzucając lapidarne słowa powitania, Tony uściśnął dłonie najpierw mężczyznom przy biurkach, potem temu na sofie, i wreszcie sam usiadł. Mężczyznami przy biurkach byli bracia Castigliano, bliźniacy o imionach Sal i Louie. Tony znał ich od trzeciej klasy, ale wyłącznie z widzenia, nie jako kolegów. Za szkolnych czasów byli patykowatymi, pryszczatymi chłopakami, wyśmiewanymi bezlitośnie przez inne dzieci, a teraz, jako dorośli, w dalszym ciągu pozostali chudzielcami o zapadniętych policzkach i głęboko osadzonych oczach.

Mężczyzną siedzącym obok Tony'ego na sofie był Gaetano Baresse, który dorastał w Nowym Jorku. Sylwetką przypominał Tony'ego, był jednak wyższy i miał grubsze rysy. Zazwyczaj stał za ladą w hurtowni. W ramach ubocznych zajęć służył bliźniakom za pachołka. Większość ludzi sądziła, że jego obecność ma zrekompensować braciom Castigliano wszystkie drwiny, których doznali w dzieciństwie, Tony wiedział jednak, że prawda jest inna. Brutalny wkład Gaetana bywał koniecznością w innych, mniej lub bardziej legalnych interesach, jakie prowadzili. To dzięki tym właśnie interesom Tony i bliźniacy zawarli bliższą znajomość.

– Na początek – odezwał się Tony – chciałem podziękować wam wszystkim, że przyszliście, choć jest niedziela.

– Żaden problem – odparł siedzący na lewo od niego Sal. – Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że zaprosiliśmy Gaetana.

– Kiedy zadzwoniłeś i powiedziałeś, że jest problem, uznaliśmy, że może nam się przydać – dodał Louie.

– Nie ma sprawy – odparł Tony. – Żałuję tylko, że nie udało nam się urządzić tego spotkania nieco wcześniej. Zaraz wyjaśnię dlaczego.

– Zrobiliśmy, co się dało – powiedział Sal.

– Rozładowała mi się bateria w komórce – wyjaśnił Gaetano. – Byłem na bilardzie u szwagierki. Trudno było mnie ściągnąć.

Tony zapalił papierosa, po czym poczęstował pozostałych. Każdy wziął po jednym. Wkrótce wszyscy palili.

Zaciągnąwszy się głęboko kilka razy, Tony odłożył papierosa. Podczas rozmowy musiał mieć wolne ręce, by gestykulować. Tak przygotowany powtórzył braciom Castigliano słowo w słowo to, co zapamiętał ze swej wcześniejszej rozmowy ze Stephanie. Niczego nie pominął ani nie starał się niczego łagodzić. Oświadczył, że jego zdaniem i zdaniem jego księgowego, firmę Stephanie czeka plajta.

W miarę jak mówił, bliźniacy stawali się coraz bardziej wzburzeni. Sal, który bawił się spinaczem do papieru, wyginając go w przód i w tył, przełamał go na dwoje. Louie gniewnie

zdusił na wpół wypalonego papierosa.

– Nie wierzę w to! – wykrzyknął Sal, kiedy Tony skończył.

– Czy twoja siostra wyszła za tego neptka? – zapytał Louie.

– Nie, tylko mieszkają razem.

– No to wiedz, że nie zamierzamy siedzieć beczynn timer, kiedy ten sukinsyn wygrzewa się w słońcu – oświadczył Sal. – Nie ma mowy!

– Trzeba dać mu do zrozumienia, że nie podoba nam się to – dodał Louie. – Albo przywlecze dupę z powrotem i wyprostuje sprawy, albo... Rozumiesz, Gaetano?

– Tak, jasne. Kiedy?

Louie spojrział na Sala. Sal spojrział na Tony'ego.

– Dzisiaj jest już za późno – stwierdził Tony. – Dlatego właśnie żałuję, że nie spotkaliśmy się wcześniej. Oni wyjechali już dokądś, skąd wyruszą do Nassau. Ale moja siostra będzie dzwonić do mamy, kiedy ulokuje się na Bahamach.

– Dasz nam znać? – zapytał Sal.

– Tak, jasne. Ale umawiamy się, że zostawicie moją siostrę w spokoju.

– Do niej nic nie mamy – oświadczył Louie. – Przynajmniej tak mi się wydaje.

– Nie, nie macie – potwierdził Tony. – Wierście mi! Nie chcę, żeby były między nami jakieś waśnie.

– Mamy sprawę tylko do niego – powiedział Sal. Louie spojrział na Gaetana.

– Chyba wybierzesz się do Nassau.

Gaetano z lekkim traskiem wyłamał lewą dłonią palce prawej i odparł:

– To mi się podoba!

## Rozdział jedenasty

### **7.00, poniedziałek, 25 lutego 2002**

– Stephanie! – zawołał cicho Daniel, delikatnie potrząsając jej ramię. – Zaraz będą podawać śniadanie. Chcesz coś zjeść czy wolisz spać, dopóki nie wylądujemy?

Stephanie, ziewając, z wysiłkiem otworzyła oczy i potarła powieki. Potem musiała gwałtownie zamrużyć, nim mogła zobaczyć cokolwiek. Oczy piekły ją od suchego powietrza w kabinie samolotu.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała ochryplym głosem. Także zaschło jej w gardle. Usiadła prosto i przeciągnęła się, po czym nachyliła się do okna i wyjrzała na zewnątrz. Choć wzdłuż horyzontu ciągnął się już jaśniejszy pas, oznaka świtu, ziemia wciąż jeszcze była pograżona w ciemnościach. Stephanie widziała rozsiane w dole światła miast i miasteczek.

– Przypuszczam, że gdzieś nad Francją – odparł Daniel.

Choć postanowili sobie, że postarają się uniknąć gonitwy z czasem, poprzedniego wieczoru w gorączkowym pośpiechu opuścili mieszkanie, dostali się na lotnisko Logan i przeszli przez kontrolę. Zdążyli na lot z niespełna dziesięciominutowym zapasem czasu. Dzięki pieniądzom Butlera lecieli klasą magnifica i siedzieli w pierwszym rzędzie po lewej stronie boeinga 767.

Stephanie wyprostowała odchylone w tył oparcie fotela.

– Jak to możliwe, że jesteś taki rześki? Spałeś?

– Ani trochę – przyznał Daniel. – Zacząłem czytać twoje książki o Całunie Turyńskim, zwłaszcza tę Iana Wilsona. Rozumiem już, czemu cię to wciągnęło. To fascynujące sprawy.

– Pewnie jesteś wyczerpany.

– Nie – odparł Daniel. – Lektura jakoś mnie pobudziła. Teraz jeszcze bardziej palę się do leczenia Butlera i do wykorzystania fragmentów DNA z całunu. Pomyślałem nawet, że może, kiedy już skończymy z Butlerem, dobrze byłoby pójść za ciosem i wyleczyć za granicą, z tym samym źródłem DNA, jakąś inną sławę, kogoś, komu nie będzie przeszkadzał rozgłos. Kiedy wieść o skutecznej kuracji trafi do mediów, żaden polityk nie ośmieli się wtrącić, i

niewykluczone też, że Urząd Żywności i Leków będzie zmuszony zmienić procedurę zatwierdzania terapii.

– Wolnego! – przestrzegła Stephanie. – Nie wybiegajmy tak daleko w przyszłość. Na razie musimy skoncentrować się na Butlerze. Cokolwiek by nie mówić, wynik kuracji wcale nie jest pewny.

– Nie uważasz, że wyleczenie innej sławnej osoby to dobry pomysł?

– Musiałabym przemyśleć to, zanim dam inteligentną odpowiedź – odparła Stephanie, starając się być dyplomatyczna. – W tej chwili mój umysł jest trochę przyćmiony. Muszę skorzystać z toalety, a potem zjem śniadanie. Jestem głodna jak wilk. Kiedy mój mózg zacznie pracować pełną parą, chciałabym posłuchać, co wyczytałeś na temat całunu, a zwłaszcza czy masz jakąś hipotezę co do powstania obrazu.

Niecałą godzinę później wylądowali na lotnisku Fiumicino w Rzymie. Wraz z tłumem innych podróżnych, którzy przylecieli w tym samym czasie z różnych stron świata, przeszli przez kontrolę paszportową, po czym odszukali stanowisko, z którego odlatywał samolot do Turynu. W lotniskowej kawiarni Daniel pozwolił sobie na włoskie espresso, które przełknął jednym haustem jak miejscowi bywalcy. Na tym połączeniu nie było klasy magnifica i kiedy weszli na pokład samolotu, znaleźli się w ciasnej kabinie z tłumem biznesmenów. Stephanie miała miejsce na środkowym fotelu, a Daniel przy przejściu, w połowie długości maszyny.

– Przytulnie tu – zauważył Daniel. Przy wroście metr osiemdziesiąt pięć musiał siedzieć z kolanami podgiętymi w górę i przyciśniętymi do fotela w poprzednim rzędzie.

– Jak się teraz czujesz? Jesteś zmęczony?

– Nie, a już na pewno nie po tej dawce mocnej kawy.

– W takim razie porozmawiajmy o całunie! Naprawdę chcę poznać twoje zdanie. – Z powodu długiej kolejki do toalety w samolocie z Bostonu do Rzymu nie mieli czasu poruszyć tego tematu przed wylądowaniem.

– Cóż, zacznę od tego, że nie mam żadnej teorii co do mechanizmu powstania wizerunku. To na pewno intrygująca zagadka, z tym się zgadzam, i szczególnie mnie ujął poetycki opis Wilsona, zgodnie z którym obraz jest „negatywem fotograficznym czekającym niczym kapsuła czasu na chwilę wynalezienia fotografii”. Ale w to, że wizerunek jest dowodem zmartwychwstania, jak ty i on sugerujecie, nie wierzę. To błędne rozumowanie. Nie można postulować nieznanego i sprzecznego z intuicją procesu dematerializacji dla wyjaśnienia nieznanego zjawiska.

– A czarne dziury?

– O czym ty mówisz?

– Postuluje się istnienie czarnych dziur dla wyjaśnienia nieznanych zjawisk, a czarne dziury bez wątpienia są sprzeczne z intuicją, jeśli weźmiemy pod uwagę nasze bezpośrednie naukowe doświadczenie.

Zapadła cisza, zakłócana jedynie stłumionym rykiem silników odrzutowych, zmieszany

z szelestem porannych gazet i stukotem klawiatur laptopów.

– Masz rację – przyznał w końcu Daniel.

– Idźmy dalej! Co jeszcze cię zainteresowało?

– Sporo rzeczy. Mogę na przykład wspomnieć o wynikach analizy spektralnej, ukazujących ślady ziemi na obrazie stóp. Odkrycie to wydawało mi się dość trywialne, dopóki nie dowiedziałem się, że niektóre z drobin zostały w wyniku badań krystalooptycznych zidentyfikowane jako trawertyn o takiej samej charakterystyce widmowej jak próbki wapienia ze starożytnych grobów w Jerozolimie.

Stephanie roześmiała się.

– Zostawiam tobie pasjonowanie się takimi naukowymi szczegółikami. Nawet nie pamiętam tego drobiazgu.

– Wydaje się mało wiarygodne, by trzynastowieczny francuski fałszerz zadał sobie aż tyle trudu, żeby zdobyć i rozsypać taki pył na swoje rzekome dzieło.

– W pełni się z tym zgadzam.

– Poza tym przykuło moją uwagę to, że jeśli wyznaczymy wspólną część obszarów występowania trzech bliskowschodnich roślin, których pyłki dominują na całunie, zawężymy przypuszczalne miejsce pochodzenia całunu do dwudziestu mil pomiędzy Hebronem a Jerozolimą.

– Dziwne, prawda?

– Więcej niż dziwne – przyznał Daniel. – Z pewnością nie zostało rozstrzygnięte, ani też, mógłbym dodać, nigdy nie da się rozstrzygnąć, czy całun jest tkaniną pogrzebową Jezusa Chrystusa, czy też nie, ale moim zdaniem zabytek pochodzi z Jerozolimy i spowijał mężczyznę, który był chłostany na modłę starożytnych Rzymian, miał złamany nos i zadrapania od cierni na głowie, został ukrzyżowany i przebity lancą na wysokości piersi.

– A co sądzisz o aspekcie historycznym?

– Jest dobrze przedstawiony i fascynujący – stwierdził Daniel. – Po zapoznaniu się z nim gotów jestem przyznać, że Całun Turyński i Mandylion z Edessy są jednym i tym samym obiektem. Szczególnie trafiło mi do gustu posłużenie się śladami na całunie w celu wyjaśnienia, że można było go pokazywać w Konstantynopolu jako samą głowę Jezusa, jak zazwyczaj opisywano Mandylion z Edessy, albo całe ciało Jezusa, z przodu i z tyłu, jak opisał krzyżowiec Robert de Clari. To właśnie on widział to płótno tuż przed jego zniknięciem podczas złupienia Konstantynopola w roku tysiąc dwieście czwartym.

– Co oznacza, że wyniki datowania metodą węglową są błędne.

– Choć jako naukowcowi trudno jest mi to przyznać, wydaje się, że to prawda.

Ledwie stewardesy zdążyły roznieść sok pomarańczowy, znów zapalił się sygnalizator pasów bezpieczeństwa, a z głośników popłynął komunikat, iż piloci zaczynają podejście do lądowania na lotnisku Caselle w Turynie. Piętnaście minut później byli już na ziemi. Przy tak wypełnionym samolocie wydostanie się ze środka, przejście korytarzem i odszukanie

odpowiedniego taśmociągu bagażowego zajęło im niemal tyle czasu, co cały lot z Rzymu.

Gdy Daniel czekał, aż nadjadą ich walizki, Stephanie spostrzegła stoisko z telefonami komórkowymi i skierowała się tam. Przed opuszczeniem Bostonu dowiedziała się, że jej amerykańska komórka nie będzie funkcjonować w Europie, choć będzie działać w Nassau, i aby mieć pewność, że podczas pobytu w Turynie nie przegapi żadnych wiadomości od Butlera musiała podłączyć się do europejskiej sieci. Zamierzała jak najszybciej zmienić ustawienia tak, by e-maile Butlera kierowane były na oba numery.

Opuścili terminal z bagażami na wózku i stanęli w kolejce do taksówek. Podczas oczekiwania pierwszy raz mogli rzucić okiem na Piemont. Na zachodzie i północy widać było ośnieżone góry. Na południu, nad przemysłową częścią miasta, unosiła się fioletoworóżowa mgiełka. Było chłodno, a pogoda nie różniła się zbyt od tej w Bostonie, w czym nie było nic dziwnego, gdyż oba miasta leżały na mniej więcej tej samej szerokości geograficznej.

– Mam nadzieję, że nie będę żałować, że nie wynajęliśmy samochodu – mruknął Daniel, obserwując odjeżdżające w wielkim pędzie, wypełnione taksówki.

– W przewodniku było napisane, że nie da się zaparkować w mieście – przypomniała mu Stephanie. – Pocieszające jest to, że włoscy kierowcy są podobno dobrzy, nawet jeżeli jeżdżą jak wariaci.

Gdy byli już w drodze, Daniel złapał się kurczowo uchwyty, gdyż kierowca w pełni potwierdził słowa Stephanie. Taksówka była postmodernistycznym fiatem o pudełkowatej sylwetce, wyglądającym jak skrzyżowanie SUV-a z samochodem kompaktowym. Ku rozpaczy Daniela była wybitnie czuła na naciskanie pedału gazu.

Stephanie odwiedziła już kilka razy Włochy i miała pewne oczekiwania co do wyglądu miasta. Z początku była rozczarowana. Turyn nie miał średniowiecznego czy renesansowego uroku, jaki kojarzył jej się z takimi miejscami jak Florencja lub Siena. Wręcz przeciwnie, robił wrażenie dość nijakiego, współczesnego miasta, otoczonego rozległymi przedmieściami i, w tym momencie, zdławionego porannym szczytem. Ulice były zapełnione samochodami, a wszyscy włoscy kierowcy zdawali się być jednakowo agresywni, trąbili, ostro przyspieszali i równie gwałtownie wciskali hamulce. Jazda była wyczerpująca nerwowo, szczególnie dla Daniela. Stephanie próbowała nawiązać rozmowę, lecz Daniel był zbyt pochłonięty wypatrywaniem przez przednią szybę kolejnego niedoszęłego zderzenia.

Daniel zarezerwował jeden nocleg w hotelu Grand Belvedere, który jego przewodnik opisywał jako najlepszy w mieście. Znajdował się w samym centrum starówki i kiedy wjechali w tę dzielnicę, opinia Stephanie na temat Turynu zaczęła się zmieniać. Wciąż nie dostrzegła tu architektury, jakiej się spodziewała, ale miasto, z szerokimi bulwarami, otoczonymi arkadami placami i eleganckimi barokowymi gmachami, zaczęło odsłaniać swój własny urok. Nim taksówka zatrzymała się przed hotelem, rozczarowanie Stephanie przeobraziło się we względne uznanie.

Grand Belvedere okazał się kwintesencją dziewiętnastowiecznego luksusu. Hol zdobiła



największa liczba złożonych puttów i amorków, jaką Stephanie kiedykolwiek widziała w jednym miejscu. Wzdłuż ścian ciągnęły się żłobkowane pilastry, a niebotyczne marmurowe kolumny wspierały łuki bram. Portierzy w liberiach rzucili się, by wnieść ich bagaż, dość okazały, gdyż spakowali się na miesięczny pobyt w Nassau.

Ich pokój miał wysoki sufit, z którego zwisał potężny żyrandol z Murano, i nie był tak przeładowany ozdobami jak hol, a jednak nie mniej pretensjonalny. Na wszystkich czterech rogach masywnego gzymsu unosiły się złożone skrzydlate cherubiny. Wysokie okna, przesłonięte ciężkimi, wytłaczanymi, ciemnoczerwonymi zasłonami z setkami frędzli, wychodziły na Piazza Carlo Alberto, przy którym znajdował się hotel. Wszystkie meble, wraz z łóżkiem, wykonane były z bogato rzeźbionego ciemnego drewna. Podłogę pokrywał gruby wschodni dywan.

Po wręczeniu napiwku boyowi i wyfraczonemu recepcjonście, który odprowadził ich do ich pokoju, Daniel z zadowoloną miną rozejrzał się dookoła.

– Nieźle! Zupełnie nieźle – stwierdził. Zerknął do wyłożonej marmurem łazienki, po czym znów odwrócił się do Stephanie. – Nareszcie żyję tak, jak na to zasługuję.

– Aleś zarozumiała! – prychnęła Stephanie. Otworzyła walizkę, by wyjąć kosmetyczkę.

– Naprawdę! – roześmiał się Daniel. – Sam nie wiem, dlaczego tak długo znosiłem uczelniane ubóstwo.

– Bierzmy się do roboty, królu Midasie! Musimy poznać numer kancelarii archidiecezjalnej, żeby skontaktować się z monsiniosem Mansonim – Stephanie weszła do łazienki. Przede wszystkim chciała umyć zęby.

Daniel podszedł do biurka i zaczął wysuwać szuflady w poszukiwaniu lokalnej książki telefonicznej. Nie znalazłszy jej tam, zajrzał do szafek.

– Myślę, że powinniśmy zejść na dół i zlecić to w recepcji – zawołała Stephanie z łazienki. – Przy okazji możemy też poprosić ich, żeby zarezerwowali nam na dziś wieczór stolik w restauracji.

– Dobry pomysł – zgodził się Daniel.

Jak przewidywała Stephanie, recepcjonista okazał się chętny do pomocy. W mgnieniu oka wyciągnął książkę telefoniczną i połączył się z monsiniosem Mansonim, zanim Stephanie i Daniel zdążyli ustalić, które z nich będzie rozmawiać. Po chwili zamieszania słuchawkę przejął Daniel. Zgodnie ze wskazówkami zawartymi w e-mailu Butlera oświadczył, że jest przedstawicielem senatora i że przyjechał do Turynu, aby odebrać próbkę. Aby być dyskretnym, nie wdawał się w bliższe szczegóły.

– Czekalem na pański telefon – odparł monsinior Mansoni z wyraźnym włoskim akcentem. – Jestem gotów spotkać się z panem dziś rano, jeśli to panu odpowiada.

– Jeżeli o nas chodzi, im szybciej, tym lepiej – odparł Daniel.

– Nas? – zdziwił się monsinior.

– Jestem tu ze swoją partnerką – wyjaśnił Daniel. Uznał, że słowo to jest wystarczająco

wieloznaczne. Czuł się dziwnie skrupowany, rozmawiając z katolickim księdzem, który mógłby być oburzony ich stylem życia. Zerknął na Stephanie, by upewnić się, że nie ma nic przeciwko temu określeniu. Mimo jego stosowności nigdy dotąd go nie używał, by opisać ich związek. Stephanie uśmiechnęła się na widok jego konsternacji.

– Czy ona również przyjdzie na spotkanie?

– Jak najbardziej – oświadczył Daniel. – Gdzie możemy się spotkać?

– Myślę, że Caffè Torino na Piazza San Carlo byłaby dobrym miejscem. Czy zatrzymaliście się państwo w hotelu w obrębie miasta?

– Jak sądzę, w samym centrum.

– Znakomicie – ucieszył się monsinior. – Kawiarnia będzie niedaleko od waszego hotelu.

Recepcjonista może wskazać wam drogę.

– Świetnie – odparł Daniel. – Kiedy powinniśmy się zjawić?

– Czy możemy się umówić za godzinę?

– Zgoda – oświadczył Daniel. – Jak księdza rozpoznamy?

– Myślę, że nie będzie tam zbyt wielu księży, ale jeśli nawet, ja z pewnością będę tym najgrubszym. Obawiam się, że na swym obecnym, siedzącym stanowisku stanowczo zbyt dużo przybrałem na wadze.

Daniel zerknął na Stephanie. Nie uległo wątpliwości, że słyszała słowa księdza.

– Nas chyba też będzie łatwo zauważyć. Obawiam się, że w naszych ubraniach wyglądamy na typowych Amerykanów. Poza tym moja partnerka jest kruczowłosa pięknnością.

– W takim razie jestem pewien, że rozpoznamy się nawzajem. Spotkamy się około jedenastej piętnaście.

– Do zobaczenia – odparł Daniel, po czym oddał słuchawkę recepcjoniście.

– Kruczowłosa piękność? – szepnęła Stephanie, gdy wypytawszy o drogę do kawiarni, odchodzili od recepcji. Była zażenowana. – Nigdy nie określałeś mnie za pomocą takiego banału. To protekcyjnalne i seksistowskie.

– Przepraszam – odparł Daniel. – Byłem nieco skonsternowany, umawiając się na spotkanie z księdzem.

Luigi Mansoni otworzył jedną z szuflad swego biurka. Sięgnął do środka, wyjął płaskie srebrne pudełko i włożył je do kieszeni. Potem zgarnął fałdy sutanny, by jej nie przydeptać, wstał z krzesła i wypadł pędem ze swego gabinetu. Na końcu korytarza zapukał do drzwi monsiniora Valeria Garibaldiego. Był zdyszany, co było żenujące, gdyż nie przeszedł nawet trzydziestu metrów. Zerknął na zegarek i pomyślał, że powinien był umówić się z Danielem raczej za półtorej godziny. Donośny głos Valeria zaprosił go do środka.

Przeszedłszy na ojczysty język włoski, Luigi zrelacjonował przyjacielowi i przełożonemu zakończoną właśnie rozmowę telefoniczną.

– Wielkie nieba! – wykrzyknął Valerio Garibaldi. – Jestem pewien, że ojciec Maloney nie spodziewał się, że nastąpi to tak szybko. Miejmy nadzieję, że jest u siebie. – Sięgnął po słuchawkę. Poczul ulgę, gdy ojciec Maloney odebrał telefon. Wyjaśnił Amerykaninowi, co zaszło, i dodał, że wraz z monsiniolem Mansonim oczekuje go w gabinecie.

– To wszystko jest bardzo intrygujące – odezwał się do Luigiego, kiedy czekali.

– Istotnie – odparł Luigi. – Zastanawiam się, czy nie powinniśmy zawiadomić jednego z sekretarzy arcybiskupa, żeby w razie ewentualnych problemów na niego spadła wina za to, że Jego Ekscelencja nie został powiadomiony. W końcu to właśnie Jego Ekscelencja jest oficjalnym opiekunem całunu.

– Słuszna uwaga – przyznał Valerio. – Myślę, że skorzystam z twojej sugestii.

Pukanie oznajmiło przybycie ojca Maloneya. Valerio gestem zaprosił go, by usiadł. Choć zarówno Valerio, jak i Luigi, przewyższali Michaela rangą w kościelnej hierarchii, fakt, że Michael oficjalnie reprezentował kardynała O'Rourke, najpotężniejszego prałata katolickiego w Ameryce Północnej i osobistego przyjaciela arcybiskupa turyńskiego, kardynała Manfrediego, sprawiał, że traktowali go ze szczególnym szacunkiem.

Michael usiadł. W przeciwieństwie do obu Włochów ubrany był w zwykły czarny garnitur z koloratką. Również w przeciwieństwie do nich, obdarzonych znaczną tuszą, Michael był cienki jak patyk, a jego twarz z haczykowatym nosem miała rysy bardziej stereotypowo włoskie niż twarze jego gospodarzy. Odróżniała go od nich także ruda czupryna, gdyż obaj monsiniorzy byli siwi.

Luigi powtórzył raz jeszcze swą rozmowę z Danielem, podkreślając, że w grę wchodzi dwie osoby, z których jedna jest kobietą.

– To niespodzianka – zauważył Michael. – A ja nie lubię niespodzianek. Ale takie jest życie. Zakładam, że próbka jest gotowa.

– Jak najbardziej – potwierdził Luigi. Ze względu na Michaela mówił po angielsku, choć Amerykanin znał dość dobrze włoski, gdyż studiował teologię w Rzymie, gdzie nauka włoskiego była obowiązkowa.

Luigi sięgnął w zakamarki sutanny i wydobył płaskie, srebrne pudełko, przypominające papierośnicę z połowy dwudziestego wieku.

– Oto ona – oświadczył. – Profesor Ballasari osobiście dokonał wyboru, by mieć pewność, że będzie odpowiednia. Bez wątplenia pochodzi z plamy krwi.

– Mogę? – zapytał Michael, wyciągając rękę.

– Oczywiście – odparł Luigi. Podał mu pudełko.

Michael zamknął repusowaną kasetkę w dłoniach. Ogarnęło go wzruszenie. Od dawna przekonany był o autentyczności całunu i trzymanie w rękach pudełka, które zawierało nie przeistoczone wino, ale prawdziwą krew Zbawiciela, było wielkim przeżyciem.

Luigi odebrał kasetkę i na powrót schował ją w obszernych fałdach swej sutanny.

– Czy są jakieś szczególne zalecenia? – zapytał.

– Istotnie – odparł Michael. – Muszę dowiedzieć się jak najwięcej o tych ludziach, którym przekażesz próbkę: nazwiska, adresy, cokolwiek. Najlepiej poproś o ich paszporty i spisz numery. Dzięki tym danym i twoim kontaktom z władzami cywilnymi powinniśmy dobrze poznać ich tożsamość.

– Czego właściwie szukasz? – zapytał Valerio.

– Sam dobrze nie wiem – przyznał Michael. – Jego Eminencja kardynał James O'Rourke wymienia tę małą próbkę w zamian za poważną polityczną przysługę dla Kościoła. Jednocześnie chce mieć stuprocentową pewność, że zakaz Ojca Świętego dotyczący badań naukowych całunu nie zostanie pogwałcony.

Valerio pokiwał głową, jak gdyby wszystko rozumiał, co jednak nie było prawdą. Wymiana fragmentów relikwii za względy polityczne wydawała mu się czymś niepojętym, szczególnie gdy towarzyszyła temu przestroga, by zrezygnować z oficjalnej dokumentacji. Było to niepokojące. Zarazem wiedział, że strzępek zamknięty w srebrnej kasetce pochodzi z próbki całunu pobranej przed wielu laty i że sam całun nie został ostatnio naruszony. Główną troską Ojca Świętego było uchronienie całunu przed zniszczeniem.

Luigi podniósł się z krzesła.

– Jeśli mam zdążyć na to spotkanie na czas, powinienem już iść.

Michael również wstał.

– Pójdziemy razem, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Będę przyglądał się wymianie z daleka. Po przekazaniu próbki zamierzam śledzić tych ludzi. Chcę wiedzieć, gdzie się zatrzymali, na wypadek gdyby ich tożsamość oznaczała kłopoty.

Valerio wstał wraz z nimi. Na jego twarzy malowało się zakłopotanie.

– Co zrobisz, jeśli, jak to określiłeś, ich tożsamość będzie oznaczała kłopoty?

– Będę musiał improwizować – oświadczył Michael. – Co do tego, instrukcje kardynała były ogólnikowe.

– To miasto jest całkiem przyjemne – zauważył Daniel, gdy wraz ze Stephanie szedł na zachód ulicami, wzdłuż których ciągnęły się okazałe książęce rezydencje. – Z początku wydawało mi się dość nijakie, ale teraz jestem pod wrażeniem.

– Mam dokładnie te same odczucia – odparła Stephanie.

Po minięciu kilku przecznic dotarli do Piazza San Carlo i ich oczom ukazał się rozległy plac wielkości boiska do piłki nożnej, otoczony eleganckimi, kremowymi, barokowymi budynkami. Fasady zdobiło miłe dla oka bogactwo dekoracyjnych form. Na środku placu stał imponujący brązowy posąg konny. Caffè Torino mieściła się pośrodku zachodniej pierzei. Już od drzwi otoczył ich aromat świeżo zmielonej kawy. Kilka wielkich kryształowych żyrandoli, zwisających z pokrytego freskami sufitu, zalewało wnętrze ciepłym blaskiem.

Nie musieli długo szukać monsiora Mansoniego. Ksiądz wstał, gdy tylko weszli do sali, i gestem przywołał ich do swego stolika przy przeciwległej ścianie. Kiedy kluczyli w jego

stronę, Stephanie przyjrzała się innym gościom. Osobliwa uwaga monsiniora Mansoniego, że w kawiarni nie powinno być zbyt wielu księży, okazała się słuszna. Stephanie dostrzegła tylko jeszcze jednego. Siedział sam i, przez krótką chwilę, odniosła niepokojące wrażenie, że śledzi ją wzrokiem.

– Witajcie w Turynie – powiedział Luigi. Ścisnął im dłonie i wskazał krzesła. Jego oczy spoczęły na Stephanie wystarczająco długo, by poczuła się lekko zakłopotana, przypominając sobie niestosowny opis Daniela.

Monsinior pstryknął palcami, aby przywołać kelnera, który przyjął zamówienia od Stephanie i Daniela. Daniel zażyczył sobie kolejne espresso, a Stephanie zadowolona się wodą mineralną.

Daniel przyglądał się prałatowi. Jego opis własnej osoby jako grubasa nie był przesadzony. Obwisły podbródek praktycznie zasłaniał mu koloratkę. Jako lekarz Daniel zastanawiał się, jaki może być poziom cholesterolu u księdza.

– Myślę, że na początek powinniśmy się sobie przedstawić. Jestem Luigi Mansoni. Pochodzę z Werony, ale obecnie mieszkam tu, w Turynie.

Daniel i Stephanie po kolei wymienili swoje nazwiska i dodali, że mieszkają w Cambridge w stanie Massachusetts. Chwilę potem przyniesiono im kawę i wodę.

Daniel upił łyk i odstawił filiżankę na maleńki spodek.

– Proszę nie wziąć mi tego za złe, ale chciałbym przejść do rzeczy. Przypuszczam, że przyniósł ksiądz próbkę.

– Oczywiście – odparł Luigi.

– Musimy mieć pewność, że próbka pochodzi z fragmentu całunu, na którym znajdowała się plama krwi – ciągnął Daniel.

– Mogę was zapewnić, że tak jest. Została osobiście wybrana przez profesora, którego nasz arcybiskup, kardynał Manfredi, aktualny opiekun całunu, uczynił odpowiedzialnym za jego konserwację.

– A więc? – zapytał Daniel. – Możemy ją dostać?

– Za chwilę – odparł Luigi. Wydobył z fałd sutanny mały notesik i długopis. – Zgodnie z poleceniami, zanim przekażę próbkę, spiszę państwa dane osobowe. Przy wszystkich kontrowersjach i wrzawie, jaką media robią wokół całunu, Kościół musi wiedzieć, w czym posiadaniu znajduje się każda z próbek.

– Odbiorcą ma być senator Ashley Butler – oświadczył Daniel.

– Tyle wiem. Zanim to jednak nastąpi, musimy potwierdzić państwa tożsamość. Przykro mi, ale takie otrzymałem polecenia.

Daniel spojrzał na Stephanie. Kobieta wzruszyła ramionami.

– Jakiego potwierdzenia ksiądz potrzebuje?

– Wystarczyłyby paszporty i aktualne adresy.

– Nie mam nic przeciwko temu – odparła Stephanie. – A adres w paszporcie jest moim

aktualnym adresem.

– Myślę, że ja też mogę się na to zgodzić – dodał Daniel.

Amerykanie wyciągnęli dowody tożsamości i przesunęli po blacie stolika. Luigi otworzył po kolei książeczki i spisał dane, po czym odsunął je z powrotem. Schowawszy notes i długopis do kieszeni, wydobyl srebrne pudełko. Z widoczną czcią przesunął je w stronę Daniela.

– Mogę? – zapytał Daniel.

– Oczywiście – odparł Luigi.

Daniel wziął kasetkę do ręki. Z boku znajdowała się mała klamerka. Odsunął ją i ostrożnie uniósl pokrywkę. Stephanie nachyliła się, by zajrzeć mu przez ramię. W środku znajdował się mały, zamknięty, półprzezroczysty celofanowy woreczek, który zawierał maleńki, lecz wystarczający dla ich celów zbitek włókien nieokreślonej barwy.

– Wygląda dobrze – stwierdził Daniel. Zamknął pokrywkę i zatrzasnął klamerkę. Podał kasetkę Stephanie, która schowała ją do torebki razem z paszportami.

Piętnaście minut później oboje ponownie wynurzyli się na blade, południowe, zimowe słońce. Przeszli na ukos przez Piazza San Carlo, kierując się w stronę hotelu. Mimo zmęczenia po długim locie szli zwawym krokiem. Byli w stanie lekkiej euforii.

– Poszło jak z płatka – zauważył Daniel.

– Święte słowa – przyznała Stephanie.

– Nie będę wypominał ci twojego wcześniejszego pesymizmu – droczył się z nią Daniel.

– Ani mi to w głowie.

– Zaczekaj chwilę – upomniała go Stephanie. – Dostaliśmy bez trudu próbkę całunu, ale daleko stąd jeszcze do wyleczenia Butlera. Mój niepokój dotyczy całej sprawy.

– Moim zdaniem ten drobny sukces daje nam przedsmak tego, co nas czeka.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz.

– Jak myślisz, co powinniśmy zrobić z resztą dnia? – zapytał Daniel. – Samolot do Londynu mamy dopiero pięć po siódmej rano.

– Ja muszę się trochę zdrzemnąć – odparła Stephanie. – A ty na pewno też potrzebujesz snu. Może wrócilibyśmy do hotelu, przekasili coś, zdrzemnęli się na pół godziny, a potem poszli się przejść? Jest parę rzeczy, które chciałabym zobaczyć, skoro już tu jesteśmy, zwłaszcza kościół, gdzie jest przechowywany całun.

– Brzmi to niezłe – oświadczył życzliwie Daniel.

Michael Maloney podążał za Danielem i Stephanie najdalej, jak się ośmielał, by ich nie zgubić. Był zaskoczony, jak szybko się poruszali, i musiał gnać, by dotrzymać im kroku. Gdy wyszedł z kawiarni, miał szczęście, że zdołał ich dostrzec, bo byli już niemal po drugiej stronie placu.

Gdy tylko Amerykanie opuścili kawiarnię, Michael odbył krótką naradę z Luigim,

przekonując go, by przekazał ich dane osobowe władzom cywilnym i skontaktował się z nim przez telefon komórkowy, gdy tylko pojawią się jakieś wieści. Jak oznajmił, on sam zamierzał nie spuszczać Daniela i Stephanie z oka, a przynajmniej poznać ich miejsce pobytu, dopóki nie zadowolą go uzyskane informacje.

Gdy Amerykanie zniknęli za rogiem, Michael puścił się biegiem, dopóki znów nie znaleźli się w zasięgu jego wzroku. Bacznie uważał, żeby ich nie zgubić. Wziął sobie do serca upomnienie swego mentora i szefa, kardynała Jamesa O'Rourke, i traktował obecne zadanie z ogromną powagą. Usilnie dążył do awansu w kościelnej hierarchii i jak na razie wszystko układało się po jego myśli. Najpierw nadarzyła się okazja studiowania w Rzymie. Następnie będący wówczas jeszcze biskupem O'Rourke dostrzegł jego talenty, zaproponował mu przystąpienie do swojej świty i został wyniesiony do rangi arcybiskupa. Na tym etapie kariery Michael wiedział, że sukces zależy wyłącznie od zadowolenia jego potężnego zwierzchnika i intuicyjnie wyczuwał w zleceniu dotyczącym całunu swoją życiową szansę. Dzięki znaczeniu, jakie sprawa miała dla kardynała, była to wyjątkowa okazja do zademonstrowania bezgranicznej lojalności, oddania, a nawet, z braku konkretnych wytycznych, zdolności do improwizacji.

Na Piazza Carlo Alberto Michael domyślił się, że celem Daniela i Stephanie jest Grand Belvedere. Przyspieszył kroku niemal do biegu, by znaleźć się tuż za nimi, kiedy wchodzili do środka. Śledził ich aż do drzwi windy, po czym przyglądał się wskaźnikowi pięter. Gdy wskaźnik zatrzymał się na czwórcę, usatysfakcjonowany Michael wycofał się do poczekalni w holu. Usiadł na pluszowej kanapie, sięgnął po egzemplarz „Corriere della Sera” i zaczął go czytać, jednocześnie zerkając na ciąg wind. „Na razie nieźle” – pomyślał.

Nie czekał długo. Para pojawiła się ponownie i skierowała się do restauracji. W odpowiedzi Michael przesiadł się na inną kanapę, dającą mu lepszy widok na wejście do jadalni. Był pewien, że nikt nie zwraca na niego najmniejszej uwagi. Wiedział, że we Włoszech strój katolickiego księdza nie tylko otwiera człowiekowi wszystkie drzwi, ale i zapewnia anonimowość.

Pół godziny później, gdy Daniel i Stephanie wyłonili się z restauracji, Michael nie mógł powstrzymać uśmiechu. Poświęcenie połowy godziny na lunch było zdecydowanie w amerykańskim stylu. Wiedział, że wypełniający salę Włosi tkwili przy stolikach co najmniej przez dwie godziny. Amerykanie wrócili do windy i ponownie wjechali na czwarte piętro.

Tym razem Michael musiał czekać znacznie dłużej. Skończywszy czytać gazetę, rozejrzał się dookoła za inną lekturą. Nie znalazł nic, a nie chciał się oddalać, by kupić coś w kiosku, więc zaczął się zastanawiać, co zrobi, jeśli informacje, które miał nadzieję otrzymać od Luigiego, okażą się niekorzystne. Nie był nawet pewien, w jaki sposób miałyby być niekorzystne. Spodziewał się, że usłyszy, iż przynajmniej jedno z tych dwojga pracuje na jakimś stanowisku dla senatora Butlera, lub być może dla organizacji, która ma jakieś powiązania z senatorem. Pamiętał dokładnie słowa senatora, że wyśle po próbkę agenta.

Należało ustalić, jakiego konkretnie „agenta” miał on na myśli.

Michael przeciągnął się i zerknął na zegarek. Dochodziła trzecia po południu i zaczynało mu już burczeć w brzuchu. Nie jadł nic, jeśli nie liczyć kawałka ciastka w Caffè Torino. Podczas gdy wyobraźnia dręczyła go obrazami jego ulubionych makaronów i pierożków, w kieszeni nagle zabręczał mu telefon komórkowy. Wcześniej celowo wyciszył dzwonek. Przerażony, że przepuści rozmowę, wydobył telefon i odebrał połączenie. Był to Luigi.

– Właśnie przyszedł raport od moich znajomych z urzędu imigracyjnego – oświadczył. – Nie sądzę, żeby spodobało ci się to, czego się dowiedziałem.

– Och! – mruknął w odpowiedzi Michael. Starał się zachować spokój. Niestety, w tej właśnie chwili Amerykanie wynurzyli się z windy, w płaszczach i z przewodnikami w rękach, gotowi najwyraźniej pójść na spacer. Zaniepokojony, że wezmą taksówkę, co wprowadziłoby dodatkowe komplikacje, Michael zaczął wkładać płaszcz, jednocześnie przyciskając telefon do ucha. – Nie rozłączaj się, Luigi! – przerwał monsiniorowi. – Muszę coś szybko zrobić. – Wolny rękaw wciągniętego tylko na jedno ramię płaszcza wkręcił mu się w drzwi obrotowe. Michael musiał cofnąć się, by się uwolnić.

– *Prego!* – powiedział odźwierny, podbiegając na pomoc.

– *Mi scusi* – odparł Michael. Wypłatawszy się, wypadł na dwór i ku swej uldze spostrzegł, że para mija postój taksówek i kieruje się w stronę północno-zachodniego narożnika placu. Zwolnił do szybkiego marszu.

– Przepraszam, Luigi – powiedział do telefonu. – Akurat kiedy zadzwoniłeś, tych dwoje postanowiło wyjść z hotelu. Co mówiłeś?

– Mówiłem, że oboje są naukowcami – odparł Luigi.

Michael poczuł, że serce zaczyna mu szybciej bić.

– To nie jest dobra wiadomość!

– Też tak uważam. Jak się wydaje, od razu zidentyfikowano ich nazwiska, kiedy włoskie władze skontaktowały się ze swymi amerykańskimi kolegami z prośbą o informacje. Oboje są doktorami w dziedzinie biologii molekularnej, przy czym Daniel Lowell specjalizuje się bardziej w chemii, a Stephanie D’Agostino w biologii. Są dość znani w środowisku naukowym, on bardziej niż ona. Ponieważ oboje mają ten sam adres zamieszkania, najwyraźniej żyją w wolnym związku.

– Dobry Boże! – jęknął Michael.

– Na pewno nie sprawiają wrażenia zwykłych kurierów.

– To najgorsze, co można sobie wyobrazić.

– Zgadza się. Przy tych kwalifikacjach, na pewno planują jakieś badania. Co zamierzasz zrobić?

– Nie wiem jeszcze – przyznał Michael. – Muszę pomyśleć.

– Daj mi znać, jeśli mogę w czymś pomóc!

– Będę w kontakcie – odparł Michael, po czym rozłączył się.



Choć dopiero co powiedział Luigiemu, że nie wie, co ma zamiar zrobić, nie było to do końca prawdą. Postanowił już, że odzyska próbkę całunu; nie wiedział tylko jak. Wiedział jedynie, że chce to zrobić sam, by podczas zdawania relacji kardynałowi O'Rourke mógł przypisać sobie całą zasługę za uratowanie krwi Zbawiciela przed dalszymi upokorzeniami w imię nauki.

Amerykanie dotarli do rozległego Piazza Castello, ale nie zwolnili kroku. Michael w pierwszej chwili sądził, że chcą zwiedzić Palazzo Reale, dawną rezydencję dynastii sabaudzkiej, gdy jednak Amerykanie ją okrążyli i skierowali się ku Piazza Giovanni, zmienił zdanie.

– Oczywiście! – wykrzyknął na głos. Wiedział, że na tym właśnie placu stoi Duomo di San Giovanni, katedra, w której przechowywano całun od pożaru jego kaplicy w roku 1997. Śledził Amerykanów jeszcze przez chwilę, by upewnić się co do swych domysłów. Gdy tylko spostrzegł, że wchodzi na schody przed katedrą, odwrócił się i ruszył tam, skąd przyszedł. Założywszy, że jego podopieczni będą przez jakiś czas przebywać poza hotelem, uznał, że powinien skorzystać z okazji. Jeśli Michael miał odzyskać próbkę całunu, to mogła to być najlepsza, jeżeli nie jedyna pora, skoro już rano mieli wyjechać z Turynu.

Choć był już lekko zdyszany, zmusił się do przyspieszenia kroku. Chciał jak najszybciej znaleźć się znów w Grand Belvedere. Mimo swego oczywistego braku doświadczenia w intrygach ogólnie, a we włamaniach w szczególności, musiał się dowiedzieć, w którym pokoju mieszkają Daniel i Stephanie, dostać się do środka i odszukać srebrną kasetkę, a wszystko to w ciągu zaledwie paru godzin.

– Czy to jest prawdziwy całun? – zapytał szeptem Daniel. W katedrze oprócz nich było jeszcze parę osób, które jednak albo klęczały w ławkach, albo zapalały świece przed figurami świętych. Nabożną ciszę przerywał jedynie rozlegający się od czasu do czasu stuk obcasów na marmurowej posadzce, gdy ludzie poruszali się po wnętrzu.

– Nie, to nie jest całun – odparła cicho Stephanie. – To naturalnej wielkości zdjęcie. – W rękach trzymała otwarty na odpowiedniej stronie przewodnik. Oboje z Danielem stali przed przeszkloną gablota, obejmującą całą dolną część północnego ramienia transeptu. Ponad gablota znajdowała się przesłonięta kurtyną loża, z której dawni sabaudzcy książęta i księżne obserwowali odprawianie mszy.

Fotografia była ustawiona poziomo. Głowy przedniego i tylnego odbicia ukrzyżowanego człowieka niemal stykały się ze sobą pośrodku, co tłumaczono tym, że mężczyznę ułożono na wznak na jednym końcu całunu, po czym płótno złożono wpół, aby go nakryć. Odbicie przedniej części ciała znajdowało się po lewej stronie. Fotografia spoczywała na czymś, co wyglądało jak okryty sięgającym do podłogi, plisowanym niebieskim materiałem stół, mierzący cztery metry długości i metr dwadzieścia szerokości.

– Zdjęcie jest umieszczone na nowej skrzyni ochronnej, która zawiera całun – wyjaśniła

Stephanie. – Jest wyposażona w system hydrauliczny, więc kiedy całun ma zostać wystawiony, pokrywa obraca się w górę i relikwię można oglądać przez szybę kuloodporną.

– Pamiętam, że czytałem o tym – odparł Daniel. – To musi być imponująca konstrukcja. Po raz pierwszy w swojej długiej historii całun spoczywa całkowicie poziomo, w kontrolowanej atmosferze.

– To naprawdę zdumiewające, że obraz zachował się do tej pory, wobec tego, co przeszedł.

– Kiedy patrzę na to zdjęcie, wydaje mi się, że wizerunek jest jeszcze mniej wyraźny, niż sobie wyobrażałem. Prawdę mówiąc, jeśli tak właśnie wygląda sam całun, nie robi zbyt wielkiego wrażenia. O wiele lepiej prezentował się w tej książce, którą zdobyłaś.

– A jeszcze lepiej na negatywie – dodała Stephanie.

– W każdym razie wizerunek nie wyblakł. Po prostu tło pożółkło, więc kontrast się zmniejszył.

– Mam nadzieję, że ta nowa skrzynia ochronna powstrzyma ten proces – stwierdziła Stephanie. – Cóż, to tyle, jeśli chodzi o miejsce przechowywania całunu. – Odwróciła się i rozejrzała po wnętrzu katedry. – Myślałam, że pokrećmy się tutaj, ale jak na włoski renesans, ten kościół jest dość nijaki.

– Jestem tego samego zdania – przyznał Daniel. – Chodźmy dalej. Może zajrzelibyśmy do pałacu królewskiego? Wnętrze jest podobno typowo rokokowe.

Stephanie spojrzała na niego podejrzliwie.

– Od kiedy to jesteś takim ekspertem od architektury i wystroju wnętrz?

Daniel roześmiał się.

– Po prostu wyczytałem to w przewodniku, zanim wyszliśmy.

– Cóż, miałabym wielką ochotę obejrzeć pałac, tyle tylko, że mam pewien problem.

– Jaki problem?

Stephanie spuściła wzrok na stopy.

– Zapomniałam włożyć jakieś wygodniejsze buty zamiast tych, w których poszłam na lunch. Obawiam się, że nie dam rady włóczyć się w nich przez całe popołudnie. Przepraszam, ale nie miałbyś nic przeciwko temu, żebyśmy wrócili na chwilę do hotelu?

– Jeśli o mnie chodzi, to teraz, gdy mamy już próbkę całunu, po prostu zabijamy czas. Jest mi wszystko jedno, co robimy.

– Dzięki – odparła Stephanie z ulgą. Daniel zwykle nie tolerował takich pomyłek. – Naprawdę jest mi przykro. Powinnam była o tym pomyśleć. A przy okazji włożę jeszcze jeden sweter. Na dworze jest zimniej, niż myślałam.

Poza udziałem w paru nieszkodliwych figlach w czasie studiów ojciec Michael Maloney nigdy dotąd świadomie nie złamał prawa, a fakt, że za chwilę miał to właśnie zrobić, wprowadził go w większy niepokój, niż się spodziewał. Nie tylko drżał i pocił się, ale i dreczył

go ból brzucha na tyle silny, że żałował, że nie ma przy sobie leków na żołądek. Do tego wszystkiego dochodziła troska o czas. W żadnym razie nie chciał zostać przyłapany przez Amerykanów na gorącym uczynku. Choć był pewien, że zwiedzanie miasta zajmie im co najmniej dwie godziny, na wszelki wypadek postanowił ograniczyć się do jednej. Sama myśl o tym, że mogliby go zaskoczyć, sprawiała, że miękły mu kolana.

Kiedy zbliżał się do Grand Belvedere, nie miał pojęcia, w jaki sposób osiągnie swój cel, przynajmniej dopóki na Piazza Carlo Alberto nie natknął się na kwiaciarnię. Wszedł do środka i zapytał, czy mogliby dostarczyć natychmiast do hotelu jedną z gotowych wiązanek. Uzyskawszy pozytywną odpowiedź, wybrał bukiet, zaadresował kopertę na nazwiska Amerykanów i napisał w karnecie: „Witamy w Grand Belvedere. Dyrekcja”.

Pięć minut później, siedząc w holu na tej samej sofie, którą zajmował poprzednio, zobaczył swój bukiet wnoszony przez obrotowe drzwi. Uniósł gazetę, by zasłonić twarz, i obserwował ukradkiem, jak ta sama kobieta, z którą rozmawiał w kwiaciarni, podchodzi z kwiatami do stanowiska boyów hotelowych. Jeden z boyów pokwitował odbiór i kwiaciarka odeszła.

Niestety, przez następne dziesięć minut nic się nie działo. Kwiaty pozostały na kontuarze, a boye wdali się w ożywioną dyskusję.

– No dalej! – mruknął Michael przez zaciśnięte zęby. Najchętniej podszedłby do boyów i przywołał ich do porządku, ale nie ośmielił się. Nie chciał zwracać na siebie najmniejszej uwagi. Zamierzał wykorzystać wszelkie przywileje, jakie dawał mu strój księdza, by sprawiać wrażenie człowieka nieszkodliwego, a nawet stać się względnie niewidzialnym.

Wreszcie jeden z boyów zerknął na kopertę przy bukiecie, po czym przeszedł za kontuar. Po odbłasku światła na jego twarzy Michael domyślił się, że mężczyzna patrzy w monitor komputera. Chwilę później wyszedł zza kontuaru, podniósł kwiaty i skierował się do windy. Michael odłożył gazetę i stanął tuż za nim.

Gdy drzwi windy zamknęły się za pasażerami, boy pozdrowił Michaela skinieniem głowy. Michael odpowiedział uśmiechem. Na czwartym piętrze boy wysiadł i Michael zrobił to samo. Utrzymując niewielki dystans między sobą a boyem, pospieszył za nim. Gdy boy zatrzymał się przed pokojem 408 i zapukał do drzwi, Michael wyminął go. Boy skinął mu głową i uśmiechnął się. Michael zrewanżował się tym samym.

Minąwszy zakręt korytarza, Michael zatrzymał się. Ostrożnie obejrzał się za siebie. Zobaczył, jak boy puka raz jeszcze, po czym wyciąga pęk kluczy na łańcuszku, otwiera drzwi i znika w głębi pokoju. Po chwili pojawił się ponownie bez kwiatów, cicho pogwizdując. Zamknął drzwi i odszedł w stronę windy.

Kiedy zniknął, Michael wrócił pod drzwi pokoju 408. Nie spodziewał się, by pozostały otwarte, i miał rację. Rozejrzał się po korytarzu i spostrzegł wózek sprzątaczkii. Biorąc głęboki oddech i wydymając policzki dla dodania sobie odwagi, Michael ruszył w stronę wózka, który stał obok otwartych na oścież drzwi. Zapukał w nie niepewnie.

– *Scusi!* – zawołał. W głębi słyszał grający telewizor. Po wejściu do pokoju zobaczył dwie niemłode kobiety w brązowych mundurkach, które ścieliły łóżko. – *Scusi!* – powtórzył znacznie głośniej.

Kobiety najwyraźniej wpadły w popłoch. Obie pobladły. Jedna z nich doszła do siebie na tyle, by podbiec i wyłączyć telewizor.

Przywołując całą swą znajomość włoskiego, Michael poprosił kobiety o pomoc. Wyjaśnił, że zostawił klucz w pokoju 408, a musi pilnie zadzwonić, i zapytał, czy byłyby tak uprzejme i otworzyły mu drzwi, żeby oszczędzić mu schodzenia do recepcji.

Kobiety wymieniły zakłopotane spojrzenia. Dopiero po chwili Michael domyślił się, że obie bardzo słabo mówią po włosku. Powoli i wyraźnie wyjaśnił raz jeszcze swe rzekome kłopotliwe położenie. Tym razem jedna z kobiet zrozumiała, o co mu chodzi, i ku jego uldze uniosła w górę pęk kluczy. Michael pokiwał głową.

Kobieta przepchnęła się obok niego i popędziła korytarzem, jak gdyby chciała mu wynagrodzić trudności z porozumieniem się. Michael musiał biec, by za nią nadążyć. Kobieta otworzyła pokój i przytrzymała mu drzwi. Wchodząc do środka, podziękował jej. Drzwi zamknęły się.

Michael wypuścił powietrze. Aż dotąd nie zdawał sobie sprawy, że wstrzymuje oddech. Oparł się plecami o drzwi i rozejrzał po pokoju. Zasłony były rozsunięte i całe wnętrze zalewało jasne światło. Bagaży było więcej, niż oczekiwał, choć wszystkim z wyjątkiem dwóch walizek pozostało zamknięte na zamki lub zatrzaski, jak gdyby wciąż tam nikt nie zajrzał. Niestety, srebrnej kasetki nie było nigdzie widać: ani na toaletce, ani na biurku, ani na nocnych stolikach.

Michael poczuł, że serce zaczyna walić mu jak młotem. Poza tym pocił się jak mysz.

– Nie nadaję się do tego – szepnął. W tej chwili chciał tylko znaleźć srebrne pudełko i wyjść. Musiał użyć całej siły woli, by ruszyć na korytarz.

Oderwał się od drzwi i skierował się najpierw do biurka. Na podkładce, pomiędzy dwiema torbami od laptopów, leżał klucz do pokoju 408. Po chwili wahania Michael zabrał go i schował do kieszeni. Pospieszenie przeszukał torby z laptopami. Srebrnej kasetki tam nie było. Przejrzał jedną po drugiej szuflady biurka. Nie trwało to długo. Jeśli nie liczyć papeterii hotelowej, były puste. Następnie zajął się toaletką. Tam także nie znalazł nic, z wyjątkiem formularzy dla pralni i plastikowych worków na brudną bieliznę. Małe szuflady stolików nocnych również były puste. Zajrzał do łazienki, ale i tam nie natknął się na srebrne pudełko. Zajrzał do wbudowanej szafy, spostrzegł sejf i odetchnął z ulgą. Drzwiczki były uchylone, a w środku niczego nie było. Sprawdził kieszenie wiszącej na wieszaku marynarki. Nic.

Odwrócił się znów w stronę pokoju i podszedł do otwartych waliz. Leżały na stojaku na bagaż w nogach łóżka. Unosząc pokrywę najpierw jednej, potem drugiej, przesunął ręką wzdłuż obwodu. Natrafił na najróżniejsze przedmioty, ale nie na srebrne pudełko. Ostrożnie podniósł ubrania, by przeszukać dokładniej. Nagle usłyszał głosy na korytarzu i ku swemu

przerażeniu rozpoznał w nich amerykańską odmianę angielszczyzny. Wstał, zdętwiały ze zgrozy. Chwilę potem usłyszał najbardziej przerażający dźwięk, jaki mógł sobie wyobrazić: szcęk wkładanego do zamka u drzwi klucza!

## **Rozdział dwunasty**

### **15.45, poniedziałek, 25 lutego 2002**

– Co u licha?! – zawołała Stephanie. Zatrzymała się w drzwiach pokoju. Daniel zerknął ponad jej ramieniem.

– O co chodzi? – zapytał.

– Na toaletce są kwiaty – odparła Stephanie. – Kto, na Boga, mógłby przysłać nam kwiaty?

– Butler?

– On nie wie, że jesteśmy w Turynie, chyba że wysłałeś mu e-maila.

– Nic mu nie wysyłałem – oświadczył Daniel, jak gdyby taka możliwość nie wchodziła zupełnie w rachubę. – Ale przy takich powiązaniach z wywiadem być może o tym wie. Po tym, jak kazał mnie sprawdzić, spodziewałbym się po nim wszystkiego. Albo może monsinior Mansoni dał mu znać, że przekazał nam próbkę.

Stephanie podeszła do toaletki i otworzyła kopertę.

– Och, rany boskie. To tylko dyrekcja hotelu.

– To miło z ich strony – stwierdził obojętnie Daniel. Wszedł do łazienki, by skorzystać z toalety.

Stephanie podeszła do swej walizki, która spoczywała na stojaku na bagaż. Buty turystyczne wciśnięte były z samego brzegu, po lewej stronie. Unosząc nie zamkniętą na zatrzask pokrywę, Stephanie zawahała się. Płócienna bluzka, którą starannie zapakowała w Bostonie, była w lekkim nieładzie, z odgiętą połą. Stephanie palcem rozprostowała fałdę. Jak się obawiała, zagniecenie pozostało, nawet gdy próbowała wygładzić je dłonią. Mamrocząc pod nosem jedno ze swych prywatnych przekleństw, zaczęła wyciągać buty turystyczne, gdy nagle jej wzrok padł na halkę, która także była lekko zmierzwiona, a którą zapakowała z równą troską.

Wyprostowała się, nie odrywając wzroku od otwartej walizki.

– Daniel! Chodź tutaj!

Przy odgłosie spuszczonej wody w drzwiach łazienki pojawiła się twarz Daniela. W dłoniach trzymał ręcznik.

– Co się dzieje? – zapytał z uniesionymi brwiami. Z tonu jej głosu poznał, że jest trochę zaniepokojona.

– Ktoś był w naszym pokoju!

– Wiedzieliśmy to, odkąd zobaczyliśmy kwiaty.

– Podejź tutaj!

Przerzuciwszy sobie ręcznik przez ramię, Daniel zbliżył się do stojaka. Podążając wzrokiem za wyciągniętym palcem Stephanie, spojrzał na jej otwartą walizkę.

– Ktoś grzebał w moich rzeczach – oświadczyła Stephanie.

– Skąd możesz wiedzieć?

Stephanie wyjaśniła.

– To dość subtelne zmiany – zauważył Daniel. Poklepał ją protekcjonalnie po plecach. – Sama grzebałaś w tej walizce przed naszym wyjściem do miasta. Jesteś pewna, że nie masz lekkiego ataku paranoi po włamaniu w Cambridge?

– Ktoś grzebał w moich rzeczach! – powtórzyła z naciskiem Stephanie. Odepchnęła jego dłoń. Była zmęczona i niewyspana, więc nagle rozdrażniła ją lekceważąca postawa Daniela. – Zajrzyj do swojej walizki!

Przewracając oczami, Daniel podniósł pokrywę walizy spoczywającej na sąsiednim stojaku.

– No dobrze, zaglądam – oświadczył.

– Wszystko w porządku?

Daniel wzruszył ramionami. Nigdy nie pakował się zbyt starannie, a do tego przetrząsnął swoje rzeczy już wcześniej, szukając czystej bielizny. Nagle zamarł. Powoli uniósł wzrok ku Stephanie.

– O Boże! Coś mi zginęło!

– Co? – Stephanie zajrzała do środka, ściskając go za ramię.

– Ktoś zabrał moją fiolkę z plutonem!

Stephanie trzepnęła go po ramieniu. W odpowiedzi osłonił się w teatralny sposób przed dalszymi ciosami, które jednak nie nastąpiły.

– Mówię poważnie – upomniała go ostro. Wróciła do własnej walizki, wyciągnęła szczotkę do włosów i pomachała nią. – I jeszcze coś! Kiedy wychodziliśmy na spacer, ta szczotka leżała dokładnie na wierzchu moich ubrań, nie z boku przy ścianie. Pamiętam, bo miałam zamiar zabrać ją z powrotem do łazienki. Mówię ci: ktoś grzebał w moich rzeczach!

– Dobrze już, dobrze! – uspokajał ją Daniel. – Nie przejmuj się!

Stephanie sięgnęła do bocznej kieszeni walizki i wyciągnęła zapinaną na zamek błyskawiczny, aksamitną kosmetyczkę. Otworzyła ją i zajrzała do środka.

– Przynajmniej moja biżuteria jest w porządku, włącznie z tą odrobiną gotówki, jaką tu

trzymam. Dobrze, że nie zabrałam nic naprawdę wartościowego.

– Może sprzątaczką przesunęła walizki? – rzucił Daniel.

– Daj spokój! – odparła Stephanie, jak gdyby powiedział coś niedorzecznego. Wodziła oczyma po pokoju, dopóki jej wzrok nie padł na blat biurka. – Nie ma mojego klucza od pokoju! Zostawiłam go na biurku.

– Jesteś pewna?

– Nie pamiętasz, jak przed wyjściem rozmawialiśmy o tym, czy potrzebne nam są dwa klucze?

– Coś niecoś.

Stephanie przeszła do łazienki. Daniel zlustrował pokój. Nie był pewien, czy warto przejmować się paranoicznymi podejrzeniami Stephanie, gdyż zdawał sobie sprawę, że jego partnerka wciąż jest wytracona z równowagi z powodu intruza w Cambridge. Wiedział, że personel hotelowy, jak sprzątaczkę, pokojówkę i boye, stale kręci się po pokojach. Być może jedno z nich wsadziło ręce do jej walizki. Dla pewnych ludzi mogła to być ogromna pokusa.

– Ktoś grzebał też w mojej kosmetyczce – zawołała Stephanie z łazienki.

Daniel podszedł do drzwi i stanął w progu.

– Zginęło coś?

– Nie, nic! – odparła z irytacją.

– Hej, nie wściekaj się na mnie!

Stephanie wyprostowała się, zamknęła oczy i odetchnęła głęboko. Skinęła parę razy głową.

– Masz rację. Przepraszam. Nie wściekam się na ciebie, po prostu nie rozumiem, jak możesz się tym nie przejmować.

– Gdyby coś nam zginęło, byłoby inaczej.

Stephanie zamknęła klapę kosmetyczki. Podeszła do Daniela i objęła go ramionami. Odwzajemnił jej uścisk.

– Denerwuje mnie, kiedy ludzie grzebią w moich rzeczach, zwłaszcza po tym, co stało się w przeddzień naszego wyjazdu.

– To w pełni zrozumiałe – przyznał Daniel.

– Dziwne, że nic nie zginęło, na przykład pieniądze. To upodabnia ten incydent do włamania w Cambridge, chociaż fakt, że coś takiego zdarzyło się tutaj, jest jeszcze mniej zrozumiałe. Tam mogliśmy przynajmniej przypuszczać, że chodzi o szpiegostwo przemysłowe, choćby nawet brzmiało to absurdalnie. Czego ktokolwiek mógł szukać tutaj, jeśli nie kosztowności i pieniędzy?

– Jediną rzeczą, jaka przychodzi mi na myśl, jest próbka całunu.

Stephanie odsunęła się od Daniela, by spojrzeć mu w twarz.

– Dlaczego ktokolwiek miałby tego szukać?

– Nie mam zielonego pojęcia. To po prostu jedyna godna uwagi rzecz, jaką mamy.



– Ale prawdopodobnie jedyną osobą, która wie, że mamy tę próbkę, jest człowiek, który nam ją dał. – Stephanie zmarszczyła brwi, jak gdyby znów się zaniepokoiła.

– Uspokój się! Nie sądzę, żeby ktokolwiek szukał próbki całunu. Po prostu głośno myślałem. Ale skoro już o tym mowa, gdzie ona jest?

– Wciąż u mnie w torebce – odparła Stephanie.

– Daj ją! Obejrzymy ją jeszcze raz! – Daniel uznał, że najlepiej będzie odciągnąć rozmowę od tematu rzekomego intruza.

Wrócili na środek pokoju. Stephanie podniosła torebkę z łóżka, gdzie rzuciła ją po powrocie ze spaceru. Wyjęła srebrną kasetkę i otworzyła ją. Daniel ostrożnie wyciągnął celofanowy woreczek i unióśł go ku wpadającemu przez okna rozproszonemu światłu. Oświetlony od tyłu, zbitek włókien rysował się wyraźnie, choć jego koloru nadal nie dawało się określić.

– O rany! – odezwał się Daniel, kręcąc głową. – To naprawdę niesamowite, że istnieje choćby znikoma możliwość, że w tym woreczku znajduje się krew najślawniejszej chyba osoby, jaka kiedykolwiek chodziła po ziemi, nawet bez uwzględniania kwestii boskości.

Stephanie odłożyła srebrną kasetkę na biurko i wzięła od niego woreczek. Podchodząc do okna, podobnie jak Daniel uniosła go pod światło. Osłoniła wolną ręką oczy przed padającymi z ukosa promieniami słońca i przyjrzała się zawartości woreczka w bladym, lecz bezpośrednim białym blasku. Teraz doskonale widać było nawet rdzawoczerwoną barwę włókien.

– Wygląda jak krew – przyznała. – Wiesz, chyba w tajemniczy sposób odezwało się we mnie moje katolickie wychowanie, bo mam silne przeczucie, że to naprawdę jest krew Jezusa Chrystusa.

Choć ojciec Michael Maloney nie widział Stephanie D'Agostino, był tak blisko, że słyszał jej oddech. Przeraził się, że łomot tętniącej mu w skroniach krwi albo choćby odgłos spływających mu po twarzy i rozpryskujących się o podłogę kropli potu zdradzą jego obecność. Stała zaledwie o parę cali od niego.

Kiedy usłyszał dźwięk wkładanego w zamek u drzwi klucza, w skrajnej desperacji rzucił się za zasłony. Był to odruch. Z perspektywy czasu schowanie się za zasłoną było hańbą samo w sobie, jak gdyby Michael był jakimś pospolitym złodziejem. Powinien był zachować spokój, pogodzić się z losem i przejąć pełną odpowiedzialność za swoje czyny. Wiedział, że najlepszą formą obrony jest atak, a w obecnej sytuacji, by usprawiedliwić swój postępek, powinien był przywołać na pomoc swe oburzenie odkryciem prawdziwej tożsamości tych ludzi i przyszłymi nieautoryzowanymi badaniami całunu, które najwyraźniej zamierzali przeprowadzić.

Niestety, instynkt samozachowawczy okazał się silniejszy od rozsądku, tak że gdy Michael doszedł do siebie, już się ukrywał, a skoro się ukrywał, za późno było odgrywać

sceny oburzenia. Teraz mógł tylko mieć nadzieję i modlić się, by go nie odkryto.

Z początku, gdy drzwi się otworzyły i usłyszał okrzyk Stephanie, sądził, że wszystko już przepadło. Zdawało mu się, że kobieta go zauważyła albo co najmniej spostrzegła poruszenie zasłon. Odczuł niewysłowioną ulgę, gdy zrozumiał, że jej uwagę przyciągnął bukiet kwiatów.

Potem musiał słuchać, jak wychodzi na jaw jego nieudolność w przeszukiwaniu walizki Stephanie oraz fakt kradzieży klucza. To właśnie wtedy jego puls, który zdążył już uspokoić się nieco po pierwszym szoku, znów zaczął przyspieszać. Obawiał się, że kobieta zacznie przeszukiwać pokój, co oznaczałoby, że zostanie od razu odkryty. Wstyd i konsekwencje czegoś takiego były zbyt straszliwe, by o nich myśleć. To, co zaczęło się jako krok ku przyszej karierze, teraz groziło zupełnie przeciwnym finałem.

– Nie ma znaczenia, co my sami sądzimy na temat całunu – powiedział Daniel. – Ważne jest tylko to, co myśli o nim Butler.

– Chyba nie do końca się z tobą zgadzam – odparła Stephanie. – Ale to jest dyskusja na inny dzień.

Michael zdrętwiał, gdy Stephanie otarła się o zasłony. Na szczęście wykonano je z grubego, wytłaczanego materiału i kobieta najwyraźniej nie zauważyła, że poprzez tkaninę dotknęła także jego ramienia. Kolejna dawka adrenaliny napłynęła mu do żył, przez co znów złał się potem. Miał wrażenie, że rozpryskujące się raz po raz o podłogę krople potu robią tyle hałasu, co kamyki spadające na bęben. Nigdy nie przypuszczał, że może się tak obficie pocić, tym bardziej że nie było mu wcale gorąco.

– Co mam zrobić z tą próbką? – zapytała Stephanie, odchodząc od okna.

– Daj mi ją – odparł Daniel gdzieś z głębi pokoju.

Michael odważył się zaczerpnąć głęboki oddech i odprężył się nieco. Przywarł płasko do ściany, aby zmniejszyć do minimum wybrzuszenie, jakie jego ciało robiło w zasłonach. Usłyszał następne dźwięki, których nie potrafił zidentyfikować, a następnie, jak się domyślał, trzask zamykanej srebrnej kasetki.

– Wiesz, moglibyśmy zamienić pokój – powiedział Daniel. – Albo nawet przenieść się do innego hotelu, jeśli chcesz.

– Co twoim zdaniem powinniśmy zrobić?

– Myślę, że lepiej będzie zostać tutaj. W każdym hotelu jest kilka kluczy do każdego pokoju. Na noc, przed snem, po prostu zamkniemy drzwi na zasuwkę.

Michael usłyszał głośny chrobot przekręcanego zamka.

– To półtora obrotu – oświadczył Daniel. – Co ty na to? Nie chcę, żebyś czuła się niespokojna. Nie ma potrzeby.

Michael usłyszał, jak trzęsą się drzwi na korytarz.

– Zamek jest chyba w porządku – przyznała Stephanie. – Wydaje się solidny.

– Kiedy zamkniemy zasuwkę, nikt nie będzie mógł wejść tymi drzwiami bez naszej wiedzy. Musiałby użyć tarana.

– Dobrze – zgodziła się Stephanie. – Zostańmy tutaj. To tylko jedna noc, w dodatku krótka, skoro pięć po siódmej mamy samolot do Londynu. Co za nieludzka pora. A przy okazji, dlaczego właściwie lecimy przez Paryż?

– Nie dało się inaczej. Samoloty British Airways najwyraźniej nie latają do Turynu. Mogłem wybrać albo Air France do Paryża, albo Lufthansę do Frankfurtu. Uznałem, że lepiej nie nadkładać drogi.

– To śmieszne, że nie ma stąd bezpośredniego połączenia z Londynem. Przecież Turyn jest jednym z głównych ośrodków przemysłowych Włoch.

– Co mogę powiedzieć? – odparł Daniel ze wzruszeniem ramion. – Ale póki co, może włożyłabyś wygodne buty i co tam jeszcze chcesz, żebyśmy mogli zwiedzać dalej.

„Och, proszę, idźcie stąd!” – błagał bezgłośnie Michael.

– Odechciało mi się – powiedziała ku jego rozgoryczeniu Stephanie. – Co powiesz na to, żebyśmy zostali w pokoju do kolacji? Jest już po czwartej i niedługo zrobi się ciemno. Wobec tego, jak mało spałeś tej nocy, musisz być wyczerpany.

– Jestem zmęczony – przyznał Daniel.

– Rozbierzmy się i chodźmy do łóżka. Zrobię ci masaż pleców, a potem zobaczymy, co się stanie, zależnie od tego, jak bardzo jesteś zmęczony. Co ty na to?

Daniel roześmiał się.

– To najlepszy pomysł, jaki słyszałem w życiu. Szczerze mówiąc, nie zależało mi zbytnio na zwiedzaniu. Robiłem to bardziej ze względu na ciebie.

– Więc nie musisz się już poświęcać, kochanie!

Michael zarumienił się, gdy dobiegł go szelest zdejmowanych ubrań, chichoty i czułe szepty. Bał się, że któreś z nich znów zbliży się do zasłon, ale nie doszło do tego. Usłyszał odgłosy, jakie wydało łóżko pod ciężarem sadowiących się na nim ciał. Słyszał charakterystyczny dźwięk wyciskanej z butelki emulsji, a nawet kłaśnięcia dłoni o śliską skórę. Daniel mruzczał z zadowoleniem w miarę postępów masażu.

– W porządku – odezwał się w końcu. – Teraz twoja kolej. – Łóżko stęknęło, gdy ciała zmieniły położenie.

Czas włókł się bardzo wolno. Michael zaczął odczuwać ból mięśni, szczególnie w nogach. Obawiając się, że może dostać kurczu, co na pewno by go zdradziło, przestąpił z nogi na nogę, po czym wstrzymał oddech, na wypadek gdyby jego ruch został dostrzeżony. Na szczęście tak się nie stało, ale ból powrócił już po paru minutach. Jeszcze gorsza od fizycznych katuszy była męka przysłuchiwania się odgłosom pieszczot, które wkrótce przeszły w rytmiczne i oczywiste dźwięki towarzyszące prawdziwemu uprawianiu seksu. Okoliczności zmusiły Michaela, by stał się słuchowym odpowiednikiem voyeura, i choć starał się bezgłośnie recytować z pamięci urywki z brewiarza, przyłapał się na tym, że wbrew ślubom czystości zaczyna się podniecać.

Po kilku jękach rozkoszy w pokoju na parę minut zapanowała cisza. Przerwały ją szepty,

w których Michael nie mógł rozróżnić słów, a następnie śmiech i chichoty. Na koniec, ku jego uldze, para przeszła do łazienki. Mógł to stwierdzić dzięki ich stłumionym głosom, dobiegającym go poprzez szum prysznic.

Korzystając z okazji, Michael pokręcił głową, poruszył zeszywniałymi barkami, uniósł ręce, a nawet zrobił w miejscu parę kroków. Niecałą minutę później znów zastygł w bezruchu, bo nie wiedział, kiedy para zdecyduje się wrócić do pokoju. Nie czekał długo. Już wkrótce usłyszał, że jedno z nich grzebie przy walizkach.

Nieszczęśliwie dla niego, Stephanie i Daniel potrzebowali jeszcze trzech kwadransów, by ubrać się, włożyć płaszcze i znaleźć drugi klucz od pokoju, nim wreszcie udali się na kolację. Z początku cisza zdawała się ogłuszać. Michael wyęczał słuch, aby wyłowić jakikolwiek dźwięk, który wskazywałby, że wracają po jakiś zapomniany przedmiot. Upłynęło pięć minut. Wreszcie Michael ostrożnie ujął skraj zasłony i powoli ją odsunął, stopniowo zyskując widok na coraz większą część pogrążonego teraz w mroku pokoju. Pozostawione w łazience światło wlewało się do wnętrza, kładąc się podłużną plamą obok łóżka.

Michael przyjrzał się drzwiom na korytarz i spróbował ocenić, jak szybko byłby w stanie dobiec do nich, wyjść i zamknąć je za sobą. Nie trwałoby to długo, ale niepokoiło go, że będzie całkowicie bezbronny, dopóki nie oddali się nieco od pokoju 408. Gdyby został teraz przyłapany, miałby znacznie więcej problemów niż w wypadku ewentualnego przyłapania przy pierwszym powrocie Stephanie i Daniela.

Zbierając się na odwagę, by opuścić względnie bezpieczną kryjówkę, omiótł spojrzeniem pokój. Jego wzrok przyciągnął błysk lśniącego przedmiotu na toaletce obok bukietu kwiatów. Zamrugał, nie wierząc własnym oczom.

– Chwała Bogu! – szepnął. Była to srebrna kasetka.

Nie mogąc nadziwić się tak szczęśliwemu obrotowi spraw, Michael wziął głęboki oddech i wynurzył się zza zasłon. Przez kolejną sekundę stał bez ruchu i nasłuchiwał, nim wreszcie rzucił się ku toaletce, pochwycił srebrną kasetkę, włożył ją do kieszeni i wypadł na zewnątrz. Odetchnął z ulgą. Korytarz był pusty. Pospiesznie oddalił się od drzwi, nie oglądając się za siebie i drżąc z lęku, że ktoś mógłby go zaczepić. Dopiero przy windach odważył się rzucić okiem w głąb korytarza. Nie było w nim żywej duszy.

Kilka minut później Michael przeszedł przez obrotowe drzwi hotelu i wyszedł na dwór. Nigdy wcześniej chłód zimowego wieczoru aż do tego stopnia nie ulżył jego zaczerwienionej twarzy. Czym prędzej oddalił się od hotelu, z każdym krokiem nabierając większego animuszu. Szedł z prawą ręką wetkniętą w kieszeń marynarki i zaciśniętą na srebrnej kasetce, świadectwie jego bohaterstwa, i rozkoszował się stanem radosnego podniecenia, niezbyt odmiennego od euforii, jaką czuł niekiedy, uzyskawszy rozgrzeszenie po szczególnie trudnych wizytach w konfesjonale. Zdawało się, że wszystkie trudy i udreki, jakie przeszedł, by odzyskać próbkę krwi Zbawiciela, przydały głębi temu przeżyciu.

Na postoju przed hotelem wsiadł do taksówki i podał kierowcy adres kancelarii

archidiecezjalnej. Rozparł się wygodnie, starając się odprężyć. Spojrzał na zegarek. Była niemal szósta trzydzieści. Tkwił za zasłoną przez ponad dwie godziny! Ale był to koszmar ze szczęśliwym zakończeniem, czego dowodził chłodny dotyk srebrnej kasetki w jego kieszeni.

Zamknął oczy i pogrążył się w myślach. Zastanawiał się, kiedy najlepiej byłoby zadzwonić do kardynała O'Rourke, by poinformować go o niefortunnym obrocie spraw w związku z tożsamością tak zwanych kurierów, a następnie o ostatecznym rozwiązaniu problemu. Teraz, gdy był już bezpieczny, przyłapał się na tym, że uśmiecha się na wspomnienie swych przeżyć. Ukrywanie się za zasłoną w pokoju hotelowym, podczas gdy ta para uprawiała seks, było tak groteskowe, że aż niewiarygodne. W pewnym sensie miał ochotę opowiedzieć o tym kardynałowi, wiedział jednak, że nie może. Jediną osobą, której się do tego przyzna, będzie jego spowiednik, a nawet to zapowiadało się nielekkko.

Michael znał rozkład dnia kardynała, więc stwierdził, że najlepiej będzie poczekać z rozmową do wpół do jedenastej wieczorem czasu włoskiego. To właśnie w porze przedobiadowej najłatwiej było skontaktować się z kardynałem. Michael najbardziej się cieszył na napomknienie raczej niż powiedzenie kardynałowi wprost, że to właśnie on, dzięki własnej pomysłowości, zapobiegł sytuacji, która mogła okazać się kłopotliwa dla Kościoła generalnie, a dla kardynała w szczególności.

Nim taksówka zatrzymała się przed kancelarią, Michael zdążył już niemal w pełni dojść do siebie. Choć serce nadal biło mu gwałtownie, nie pocił się już, a jego oddech był całkiem regularny. Jedyne problemy polegały na tym, że po tych przeżyciach miał mokrą od potu koszulę i bieliznę, przez co drżał z zimna.

Na początek poszedł zobaczyć się z Valeriem Garibaldim, z którym zaprzyjaźnił się jeszcze podczas studiów w North American College w Rzymie, ale poinformowano go, że jego przyjaciel wyszedł w jakiejś służbowej sprawie. Michael skierował się zatem do gabinetu Luigiego Mansoniego. Zapukał w otwarte drzwi, a monsinior gestem zaprosił go, by wszedł i usiadł. Rozmawiał właśnie przez telefon. Szybko zakończył rozmowę i przeniósł uwagę na Michaela. Po angielsku zapytał, jak mu poszło. Jego nieruchome spojrzenie zdradzało silne zainteresowanie.

– Nie najgorzej, jeśli wziąć pod uwagę wszystko – odparł wymijająco Michael.

– To znaczy?

– Wszystko, przez co musiałem przejść. – Triumfalnym gestem sięgnął do kieszeni i wyciągnął repuzowaną srebrną kasetkę. Ostrożnie położył ją na biurku i popchnął w stronę monsiniora. Z uśmiechem samozadowolenia na szczupłej twarzy odchylił się na oparcie krzesła.

Luigi uniósł brwi. Wyciągnął rękę, ostrożnie ujął kasetkę i zamknął ją w dłoniach.

– Jestem zaskoczony, że zgodzili się ją oddać – powiedział. – Wyglądali na bardzo zapalonych.

– Twoja ocena jest bardziej trafna, niż myślisz – odparł Michael. – Ale oni jeszcze nie

wiedzą, że zwrócili próbkę Kościołowi. I prawdę mówiąc, nawet z nimi nie rozmawiałem.

Na pulchnej twarzy Luigiego pojawił się lekki uśmiech.

– Coś mi się zdaje, że chyba nie powinienem pytać, jak udało ci się ją zdobyć.

– Nie powinienieś – przyznał Michael.

– Cóż, zrobimy więc tak. Co do mnie, po prostu zwrócę próbkę profesorowi Ballasariemu, i to wszystko. – Luigi zwolnił zatrask i uniósł pokrywkę kasetki. Drgnął, z zaskoczeniem wpatrując się w jej puste wnętrze. Przez chwilę spoglądał to na Michaela, to na kasetkę. – Nic nie rozumiem. Próbki tu nie ma! – powiedział wreszcie.

– Nie! Niemożliwe! – Michael wyprężył się jak struna.

– Obawiam się, że to prawda – odparł Luigi. Uniósł pustą kasetkę i obrócił ją w jego stronę, by sam mógł się o tym przekonać.

– Och, nie! – jęknął Michael. Złapał się rękoma za głowę i osunął na krzesło, opierając łokcie na kolanach. – Nie wierzę w to!

– Musieli ją wyjąć.

– Na to wygląda – przyznał Michael, kiedy wypuścił powietrze. W jego głosie pobrzmiwało przygnębienie.

– Jesteś przybity.

– I to nie masz pojęcia, jak bardzo.

– Na pewno jeszcze nie wszystko stracone. Być może teraz powinienes zwrócić się do Amerykanów wprost i zażądać od nich zwrotu próbki.

Michael energicznie potarł twarz i znowu wypuścił powietrze. Spojrzał na Luigiego.

– Sądę, że to nie wchodzi w grę, nie po tym, co zrobiłem, żeby zdobyć pustą kasetkę. A nawet gdybym tak postąpił, twoja ocena tych ludzi jest najprawdopodobniej trafna. Odmówiliby. Odnoszę wrażenie, że mają określone plany co do próbki i bezwzględnie się ich trzymają.

– Wiesz, kiedy wyjeżdżają?

– Jutro rano, pięć po siódmej, samolotem Air France. Lecą do Londynu przez Paryż.

– Cóż, jest jeszcze jedna możliwość – stwierdził Luigi, składając razem czubki palców. – Znam niezawodny sposób odzyskania próbki. Tak się składa, że jestem spokrewniony ze strony matki z dzentelmanem o nazwisku Carlo Ricciardi. To mój cioteczny brat. Przypadkiem jest też soprintendente archeologico del Piemonte, czyli regionalnym dyrektorem, NPPA, co oznacza Nucleo Protezione Patrimonio Artistico e Archeologico.

– Nigdy nie słyszałem o takiej instytucji.

– Nic w tym dziwnego, bo ich działania są zwykle prowadzone w tajemnicy, ale jest to specjalny oddział karabinierów, odpowiedzialny za bezpieczeństwo olbrzymiej liczby włoskich zabytków i dzieł sztuki, do których z pewnością można zaliczyć Całun Turyński, nawet jeśli w świetle prawa jego właścicielem jest Stolica Apostolska. Gdybym zadzwonił do Carla, on nie miałby żadnego problemu z odzyskaniem próbki.

– Co byś mu powiedział? W końcu sam dałeś Amerykanom próbkę. Nie jest tak, że ją ukradli. W gruncie rzeczy, skoro dałeś im ją w publicznym miejscu, jakiś przedsiębiorczy włoski adwokat mógłby pewnie nawet znaleźć świadka.

– Nie sugerowałbym, że próbka została skradziona. Powiedziałbym po prostu, że została uzyskana na drodze oszustwa, co z całą pewnością jest prawdą. Ale co ważniejsze, zaznaczyłbym, że nie zostało wydane zezwolenie na wywóz próbki z Włoch. Podkreśliłbym nawet, że wydano kategoryczny zakaz jej wywozu, a jednak uzyskałem informację, że Amerykanie zamierzają to zrobić jutro rano.

– I ta archeologiczna policja będzie miała prawo ją skonfiskować.

– Oczywiście! To bardzo potężna i niezależna agencja. Na przykład kilkanaście lat temu wasz ówczesny prezydent Reagan zwrócił się do ówczesnego prezydenta Włoch z prośbą o wypożyczenie wydobytych z morza u wybrzeży Reggio di Calabria brązów, które miałyby uświetnić igrzyska olimpijskie w Los Angeles. Prezydent Włoch wyraził zgodę, ale regionalny soprintendente archeologico odmówił i posągi zostały we Włoszech.

– No dobrze, jestem pod wrażeniem – przyznał Michael. – Czy ta agencja ma własne umundurowane organy ścigania?

– Ma własnych nieumundurowanych ispettori, czyli inspektorów, ale w razie potrzeby korzysta z pomocy albo karabinierów, albo funkcjonariuszy Guardia di Finanza. Na lotnisku przypuszczalnie będzie to Guardia di Finanza, chociaż jeśli akcja będzie prowadzona na specjalne zlecenie Carla, karabinierzy najprawdopodobniej również wezmą w niej udział.

– Jeśli do niego zadzwonisz, co stanie się z Amerykanami?

– Jutro rano, kiedy zgłoszą się do odprawy, zostaną zatrzymani, uwięzieni i w końcu postawieni przed sądem. We Włoszech tego typu przestępstwa są traktowane bardzo surowo. Wyrok nie zapadnie natychmiast. Takie sprawy posuwają się powoli. Ale próbkę zwrócą nam od razu, więc problem zostanie rozwiązany.

– Zadzwoni! – odparł krótko Michael. Był rozczarowany, ale nie wszystko było stracone. Oczywiście nie będzie mógł przypisać tylko sobie całej chwały za ocalenie próbki całunu. Z drugiej strony mógł mimo wszystko dopilnować, by kardynał się dowiedział, że jego wkład był niezastąpiony.

Daniel wydał policzki i beknął z zadowoleniem. Położył dłoń na ustach w udawanej próbie ukrycia psotnego uśmiechu.

Stephanie rzuciła mu jedno ze swych najbardziej pogardliwych spojrzeń. Nigdy jej nie bawiły jego okazjonalne szczeniackie popisy.

Daniel roześmiał się.

– Hej, odpręż się. Jesteśmy po wspaniałej kolacji z butelką znakomitego barolo. Nie psujmy sobie nastroju!

– Odprężę się, kiedy zobaczę nasz pokój – odparła Stephanie. – Myślę, że mam prawo

być spięta po tym, jak ktoś grzebał w moich rzeczach.

Daniel przekręcił klucz w zamku i pchnięciem otworzył drzwi. Stephanie stanęła na progu i omiotła wzrokiem wewnątrz. Daniel zaczął przeciskać się obok niej, by wejść do środka, lecz zagroziła mu drogę ramieniem.

– Muszę iść do łazienki – poskarżył się.

– Mieliśmy gości!

– Doprawdy? Skąd możesz wiedzieć?

Stephanie wskazała toaletkę.

– Srebrna kasetka zniknęła.

– Rzeczywiście – przyznał Daniel. – Chyba od początku miałaś rację.

– Oczywiście, że miałam rację – odparła Stephanie. Podeszła do toaletki i położyła dłoń tam, gdzie przedtem leżała kasetka, jak gdyby nie wierzyła, że zniknęła. – Ale ty też się nie myliłeś. Musiało im chodzić o próbkę całunu.

– Cóż, należy ci się najwyższa pochwała za pomysł, żeby wyjąć próbkę i zostawić kasetkę na wierzchu.

– Dzięki – odparła Stephanie. – Ale najpierw upewnijmy się, czy nie zabrali jej po prostu dlatego, że uznali ją za coś wartościowego. – Podeszła do swej walizki i ponownie zajrzała do saszetki z biżuterią. Nie brakowało niczego, z pieniędzmi włącznie.

Daniel zrobił to samo. Wszystko, biżuteria, pieniądze i czeki podróżne, było na miejscu. Wyprostował się.

– Co chcesz zrobić? – zapytał.

– Wyjechać z Włoch. Nigdy w życiu nie sądziłam, że mogę być w takim nastroju. – Nie zdjawszy nawet płaszcza, Stephanie opadła na łóżko i wbiła wzrok w wielobarwny szklany żyrandol.

– Mówię o dzisiejszej nocy.

– Chodzi ci o to, czy zmieniamy hotel albo pokój?

– Właśnie.

– Zostańmy tutaj i zamknijmy drzwi na zasuwkę.

– Miałem nadzieję, że tak powiesz – stwierdził Daniel, zdejmując spodnie. Trzymając je za nogawki, wyrównał je, by zachować kanty. – Nie mogę się doczekać, kiedy wskoczę do łóżka – dodał, przyglądając się rozciągniętej na wznak Stephanie. Podeszedł do szafy i powiesił spodnie. Trzymając się framugi, zsunął z nóg buty.

– Przeprowadzka byłaby straszliwie męcząca, a ja jestem wykończona – wyjaśniła Stephanie. Z wielkim wysiłkiem podniosła się na nogi i zrzuciła płaszcz. – Poza tym nie jestem pewna, czy ten nasz prześladowca nie mógłby odnaleźć nas wszędzie, gdziekolwiek byśmy poszli. Po prostu nie opuszczajmy pokoju aż do wyjazdu. – Przecisnęła się obok Daniela, by powiesić płaszcz.

– Jestem za – stwierdził Daniel, rozpinając koszulę. – Rano moglibyśmy nawet odpuścić



sobie śniadanie w hotelu. Zamiast tego możemy przekąsić coś w jednym z tych barów na lotnisku. Wydaje się, że wszystkie mają spory wybór ciast. Recepcjonista powiedział, że powinniśmy być tam około szóstej, co oznacza, że musimy wstać cholernie wcześniej, nawet jeżeli nie mamy zamiaru jeść przed wyjściem.

– Świetny pomysł – odparła Stephanie. – Nie uwierzyłbyś, jak bardzo chciałbym już dostać się na lotnisko, przejść przez odprawę i wsiąść do tego samolotu.

## **Rozdział trzynasty**

### **4.45, wtorek, 26 lutego 2002**

Pomimo solidnej zasuwki na drzwiach Stephanie spała niespokojnie. Każdy hałas dobiegający z wnętrza hotelu lub z ulicy wywoływał u niej lekki atak paniki, a takich hałasów było sporo. Raz, tuż po północy, na odgłos otwieranych kluczem drzwi sąsiedniego pokoju usiadła na łóżku, gotowa do walki, przekonana, że ktoś się do nich włamuje. Zerwała się tak gwałtownie, że ściągnęła nakrycie z Daniela, który gniewnym ruchem naciągnął je na siebie z powrotem.

Po drugiej nad ranem Stephanie wreszcie zasnęła. Ale sen nie przyniósł jej ukojenia i poczuła ulgę, gdy na pozór zaledwie kwadrans później Daniel potrząsnął ją za ramię.

– Która godzina? – zapytała półprzytomnie, unosząc się na łokciu.

– Piąta. Wstawaj, słoneczko! Za pół godziny powinniśmy być w taksówce.

„Wstawaj, słoneczko” było zwrotem, jakim matka budziła ją, gdy Stephanie była nastolatką, a ponieważ Stephanie była rekordowym śpiochem i nie lubiła wstawać z łóżka, zdanie to nieodmiennie ją drażniło. Daniel wiedział o tym i celowo używał tych słów, by ją sprowokować, co oczywiście było skutecznym sposobem na obudzenie jej.

– Nie śpię – powiedziała z irytacją, gdy znowu ją potrząsnął. Spojrzała gniewnie na swego dręczyciela, ale on uśmiechnął się tylko i potargał dłonią jej włosy. Ten gest również działał Stephanie na nerwy, nawet kiedy miała włosy w nieładzie, tak jak teraz. Uważała go za poniżający i oznajmiła to Danielowi przy paru okazjach. W takich chwilach czuła się traktowana jak dziecko albo, co gorsza, jak maskotka.

Stephanie patrzyła, jak Daniel odchodzi do łazienki. Przewróciła się na plecy i skrzywiła się, osłepiona światłem. Nad jej głową jarzył się żyrandol z wielobarwnego szkła. Na zewnątrz wciąż było ciemno, choć oko wykol. Zaczepnęła tchu. Marzyła jedynie o tym, aby zasnąć z powrotem. Po chwili jednak zaczęło się jej przejaśniać w głowie i przypomniała sobie, jak bardzo pragnie wsiąść do samolotu ze strzępkiem całunu i opuścić Włochy.

– Wstałaś już? – zawołał Daniel z łazienki.

– Wstałam! – odrzyknęła. Bez skrępowań wcisnęła mu kit w rewanżu za tę całą bezlitosną pobudkę. Przeciągnęła się, ziewnęła i usiadła. Otrząsnąwszy się z przelotnego uczucia mdłości, podniosła się na nogi.

Prysznic działał cuda. Daniel, choć starał się udawać, że jest inaczej, początkowo wcale nie był zbyt rzeński i kiedy włączył się budzik, miał niemal tyle samo kłopotów ze wstaniem z łóżka co Stephanie. Ale po wyjściu spod natrysku oboje byli w doskonałym nastroju, ożywieni myślą o bliskim już locie. Ubieranie się i pakowanie poszło im bardzo sprawnie. Kwadrans po piątej Daniel zadzwonił do recepcji, by zamówić taksówkę i poprosić o pomoc w zniesieniu bagaży.

– Trudno uwierzyć, że dziś wieczorem będziemy już w Nassau – zauważył, domykając walizkę. Ich plan podróży przewidywał lot samolotem Air France do Londynu przez Paryż, przesiadkę na British Airways i bezpośredni przelot na wyspę New Providence na Bahamach.

– Dla mnie najbardziej niesamowite jest to, że w jeden dzień przeniesiemy się z zimy w pełnię lata. Wieki minęły, odkąd ostatni raz miałam na sobie szorty i letnią koszulkę. Czekam na to z niecierpliwością.

Boy hotelowy załadował ich bagaż na wózek i zwiózł go do holu, aby umieścić go w taksówce. Gdy Stephanie suszyła włosy, Daniel stanął w drzwiach łazienki.

– Myślę, że powinniśmy powiedzieć kierownikowi o naszym intruzie – odezwała się Stephanie, przekrzykując szum hotelowej suszarki.

– Co to da?

– Niewiele, jak sądzę, ale pewnie chcieliby o tym wiedzieć.

Daniel spojrzał na zegarek.

– Wcale nie jestem tego taki pewien. Nie mamy czasu. Jest prawie wpół do szóstej. Musimy już jechać.

– Może zszedłbyś do recepcji i wymeldował nas – podsunęła Stephanie. – Będę na dole za dwie minuty.

– Nassau, przybywamy! – zawołał Daniel na odchodnym.

Natarczywy dzwonek telefonu wyrwał ojca Michaela Maloneya ze snu. Jeszcze nie w pełni rozbudzony, podniósł słuchawkę do ucha. Dzwonił ojciec Peter Fleck, inny z osobistych sekretarzy kardynała O'Rourke.

– Nie śpisz? – zapytał Peter. – Przepraszam, że dzwonię o takiej porze.

– Która godzina? – zapytał Michael. Odnalazł przycisk lampki nocnej, po czym spojrzał na zegarek, aby odczytać czas.

– Tu w Nowym Jorku jest za dwadzieścia pięć dwunasta w nocy. A która jest we Włoszech?

– Piąta trzydzieści pięć rano.

– Przepraszam, ale kiedy dzwoniłeś po południu, powiedziałeś mi, że koniecznie musisz

jak najszybciej rozmawiać z kardynałem, a Jego Eminencja właśnie wrócił do rezydencji. Połączę cię z nim.

Michael dla otrzeźwienia potarł twarz i poklepał się po policzkach. Chwilę później w słuchawce rozległ się łagodny głos kardynała Jamesa O'Rourke. On także przeprosił za to, że dzwoni o tak niestosownej porze, i wyjaśnił, że utknął na nie kończącym się przyjęciu u gubernatora, które zaczęło się późnym popołudniem.

– Niestety, nie mam dla Waszej Eminencji dobrych wieści – zaczął nie bez obaw Michael. Nie dał się zwieść pokornej uprzejmości zwierzchnika. Dobrze wiedział, co się kryje pod jego pozorną życzliwością i jak potrafi być bezwzględny, szczególnie wobec podwładnego, który okazał się na tyle nierozsądny lub pechowy, by narazić się na jego gniew. Zarazem jednak dla tych, którzy potrafili go zadowolić, bywał niezwykle hojny.

– Czy mam przez to rozumieć, że w Turynie pojawił się jakiś problem? – zapytał kardynał.

– Niestety tak – przyznał Michael. – Ludzie, których senator Butler przysłał po odbiór próbki całunu, to specjaliści od biologii molekularnej.

– Rozumiem – odparł kardynał.

– Ich nazwiska to Daniel Lowell i Stephanie D'Agostino.

– Rozumiem – powtórzył kardynał.

– Z instrukcji Waszej Eminencji – ciągnął Michael – wywnioskowałem, że odkrycie to zasmuci Waszą Eminencję, gdyż każe przypuszczać, że próbka zostanie użyta do nieautoryzowanych badań. Na szczęście jednak dzięki szybkiemu działaniu we współpracy z monsiniolem Mansonim udało mi się zorganizować niezwłoczny zwrot próbki.

– Ach, tak – powiedział kardynał. Na chwilę zapadła niezręczna cisza. Jeśli chodzi o Michaela, nie była to odpowiedź, jakiej oczekiwał. Aż do tej pory liczył na zdecydowanie pozytywną reakcję kardynała.

– Oczywiście celem jest uchronienie całunu przed dalszymi upokorzeniami w imię nauki – dodał szybko. Po plecach przebiegł mu dreszcz. Intuicja mówiła mu, że rozmowa wkrótce przybierze nieoczekiwany obrót.

– Czy państwo Lowell i D'Agostino dobrowolnie zgodzili się oddać próbkę?

– Niezupełnie – przyznał Michael. – Próbka zostanie skonfiskowana przez włoskie władze, kiedy dziś rano zgłoszą się do odprawy na lot do Paryża.

– A co się stanie z nimi samymi?

– Sądzę, że zostaną zatrzymani.

– Czy to prawda, że, zgodnie z sugestiami senatora Butlera, uzyskanie próbki nie wymagało naruszania całunu?

– Tak jest. Próbka była drobnym fragmentem skrawka, który wycięto z całunu wiele lat temu.

– Czy została przekazana tym ludziom w ścisłej tajemnicy, bez oficjalnej dokumentacji?

– Na ile mi wiadomo, tak – rzekł Michael. – Przekazałem, że takie jest życzenie Waszej Eminencji. – Zaczął się pocić, z pewnością nie tak obficie, jak poprzedniego dnia, gdy ukrywał się za zasłoną w pokoju hotelowym, ale z podobnego powodu: ze strachu. Czuł, jak w żołądku zaciska mu się węzeł i jak tężeją mu mięśnie. W pytaniach kardynała pobrzmiwał ledwo wyczuwalny ostry ton, którego większość ludzi by nie zauważyła, ale który Michael wychwycił i rozpoznał natychmiast. Wiedział, że Jego Eminencja tłumi narastający gniew.

– Ojciec Maloney! Proszę przyjąć do wiadomości, że senator już wystąpił z projektem obiecanej ustawy, ograniczającej odpowiedzialność organizacji charytatywnych za czyny niedozwolone, która, jak ocenia, ma przy jego poparciu większe szansę przejścia, niż sądził w piątek, kiedy wysunął ten pomysł. Nie muszę księdzu tłumaczyć, jakie znaczenie miałyby ta ustawa dla Kościoła. Co do próbki całunu, to nawet gdyby istotnie przeprowadzono jakieś szalone badania, przy braku jakiegokolwiek oficjalnej dokumentacji, ich wyniki musiałyby pozostać niepotwierdzone i można by je po prostu odrzucić.

– Przepraszam – wyrwało się Michaelowi. – Myślałem, że Wasza Eminencja będzie życzył sobie zwrotu próbki.

– Ojciec Maloney, instrukcje, jakie ksiądz otrzymał, były jasne. Nie został ksiądz wysłany do Turynu, żeby myśleć. Pojechał tam ksiądz po to, by sprawdzić, kto odbierze próbkę, i w razie potrzeby śledzić ją, by się przekonać, komu zostanie ostatecznie dostarczona. Nie kazałem księdzu organizować zwrotu próbki i stawiać w ten sposób pod znakiem zapytania niezwykle ważnego procesu legislacyjnego.

– Nie wiem, co powiedzieć – wykrztusił Michael.

– Proszę nie mówić nic. Zamiast tego szczerze księdzu radzę, żeby powstrzymał ksiądz to, co ksiądz uruchomił, o ile tylko nie jest już za późno; chyba że, oczywiście, celem księdza na najbliższą przyszłość jest otrzymanie maleńkiej parafii gdzieś w Catskill Mountains. Nie życzę sobie, żeby skonfiskowano próbkę całunu ani żeby aresztowano amerykańskich naukowców, co jest bardziej trafnym określeniem tego, co ich czeka, niż eufemizm, którego użył ksiądz. A co najważniejsze, nie życzę sobie usłyszeć od senatora Butlera, że wycofał swój projekt ustawy, co zapewne zrobi, jeśli istotnie dojdzie do tego, o czym ksiądz wspominał. Czy wyrażam się jasno?

– Najzupełniej – wyjąkał Michael. W następnej chwili usłyszał sygnał centrali. Kardynał rozłączył się bez uprzedzenia.

Odkładając słuchawkę, Michael z trudem przełknął ślinę. Skierowanie do małej parafii na prowincji było kościelnym odpowiednikiem zesłania na Syberię.

Szybko znów porwał słuchawkę z widełek. Samolot amerykańskich naukowców odlatywał dopiero o siódmej. To oznaczało, że można było jeszcze zapobiec katastrofie. Najpierw zadzwonił do Grand Belvedere, ale tam dowiedział się, że Amerykanie już opuścili hotel. Potem spróbował skontaktować się z monsiniorem Mansonim, lecz powiedziano mu, że prałat przed pół godziną opuścił rezydencję i udał się w służbowej sprawie na lotnisko.

Zelektryzowany tymi nowinami, Michael chwycił przewieszzone przez krzesło obok łóżka ubranie, pospiesznie je wciągnął, po czym bez ogolenia się, umycia czy nawet skorzystania z toalety wybiegł ze swego pokoju. Nie czekał na windę i zbiegł po schodach. Parę minut później zdyszany szamotał się z kluczykami wynajętego fiata. Po chwili siedział już w środku. Gdy silnik zapalił, wycofał samochód i na pełnym gazie wyjechał z parkingu.

Zaryzykowany rzut oka na zegarek, ocenił, że znajdzie się na lotnisku trochę po szóstej. Główny problem polegał na tym, że Michael nie miał pojęcia, co robi, gdy już tam dotrze.

– Dasz mu hojny napiwek? – zapytała zaczepnie Stephanie, gdy taksówka wjechała na rampę przed halą odlotów lotniska w Turynie. Uprzedzenie Daniela do taksówek zaczynało działać jej na nerwy, choć trzeba przyznać, że kierowca zupełnie ignorował ustawiczne prośby Daniela, by zwolnił. Ilekroć Daniel się odzywał, taksówkarz wzruszał tylko ramionami i odpowiadał: – *No English!* – Z drugiej strony nie jechał wcale szybciej niż inne samochody na autostradzie.

– Będzie miał szczęście, jeśli w ogóle zapłacę za kurs! – warknął Daniel.

Taksówka zatrzymała się w morzu innych wysadzających pasażerów taksówek i samochodów. W przeciwieństwie do centrum miasta, na lotnisku panował już ożywiony ruch. Stephanie i Daniel wysiedli. Kierowca zrobił to samo. Wspólnymi siłami wyładowali z małego samochodu cały bagaż i ułożyli go na chodniku. Daniel niechętnie zapłacił taksówkarzowi, a ten pojechał dalej.

– Jak sobie z tym poradzimy? – zapytała Stephanie. Toreb i waliz było więcej, niż ich dwoje byłoby w stanie unieść. Rozejrzała się dookoła.

– Nie chciałbym zostawiać niczego bez opieki – stwierdził Daniel.

– Zgadza się. Proponuję, żeby jedno z nas poszło po wózek, kiedy drugie będzie pilnować bagaży.

– Dobry pomysł. Co wolisz?

– Ponieważ ty masz bilety i paszporty, może wyciągnąłbyś je i przygotował, a ja w tym czasie pójde szukać wózka.

Stephanie zaczęła przeciskać się przez tłum, wypatrując wózków, ale wszystkie były zajęte. W terminalu miała już więcej szczęścia, zwłaszcza gdy minęła stanowiska odpraw i przeszła do strefy chronionej. Podróżni przechodzący przez kontrolę do bramek musieli zostawić wózki w głównej hali. Stephanie wzięła jeden z nich i wróciła przed terminal. Daniel siedział na największej z waliz i niecierpliwie przytupywał nogą.

– Trochę długo to trwało – burknął.

– Przepraszam, ale robiłam, co mogłam. Straszny tu ruch. Wygląda na to, że jest więcej samolotów, które odlatają mniej więcej w tym samym czasie.

Wspólnymi siłami załadowali na wózek wszystko z wyjątkiem laptopów, tworząc dość

chwieżną stertę. Torby z laptopami przewiesili sobie przez ramię. Podczas gdy Daniel pchał, Stephanie szła obok wózka i pilnowała, by sterta waliz się nie rozsypała.

– Zauważyłam, że kręci się tu sporo policjantów – odezwała się, gdy weszli do terminalu.

– Więcej, niż kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć. Inna rzecz, że włoscy karabinierzy rzucają się w oczy w tych swoich szykownych mundurach.

Pięć metrów od drzwi przystanęli. Tłumy ludzi kłębiły się wokół nich jak rzeka. Zatrzymawszy się w tym miejscu, stworzyli lekki zator.

– Dokąd idziemy? – zapytał Daniel. Kilka osób potrąciło go. – Nie widzę nigdzie tablicy Air France.

– Loty są wypisane na wyświetlaczach obok stanowisk odpraw – zauważyła Stephanie. – Zaczekaj tu! Znajdę nasz lot.

Odszukanie właściwego stanowiska zabrało jej tylko kilka minut. Gdy wróciła po Daniela, stwierdziła, że usunął się na bok, by wydostać się z napływającego przez drzwi strumienia ludzi. Pokazała, dokąd mają iść, i ruszyli w tamtą stronę.

– Rozumiem już, o co ci chodziło z tymi policjantami – odezwał się Daniel. – Kiedy cię nie było, przeszło obok mnie może z sześciu. Zauważyłem, że mają karabiny maszynowe.

– Kilku stoi nawet przy naszym stanowisku – stwierdziła Stephanie.

Dotarli do dość długiej kolejki pasażerów zgłaszających się do odprawy na lot do Paryża i stanęli na końcu. Upłynęło pięć minut, a kolejka niemal nie przesunęła się do przodu.

– Co oni tam robią, do licha? – mruknął Daniel. Uniósł się na palcach, aby zobaczyć, co wstrzymuje sprawę. – Nie mam pojęcia, czemu to tak długo trwa. Zastanawiam się, czy to nie policja spowalnia odprawę.

– Jeśli tylko nie utknijemy przy stanowisku kontroli, moim zdaniem wszystko będzie w porządku. – Stephanie zerknęła na zegarek. Było dwadzieścia po szóstej.

– Ponieważ tu jest odprawiany tylko ten lot, wszyscy jedziemy na tym samym wózku – zauważył Daniel, w dalszym ciągu obserwując czoło kolejki.

– Nie pomyślałam o tym, ale masz rację.

– O rany! – wykrzyknął Daniel.

– Co znowu? – Ton jego głosu sprawił, że Stephanie uświadomiła sobie, jak bardzo jest spięta. Próbowała podążyć wzrokiem za jego spojrzeniem, ale stojący przed nimi ludzie zasłaniali jej widok.

– Monsinior Mansoni, ten ksiądz, który przekazał nam próbkę całunu, stoi przy stanowisku razem z policjantami.

– Jesteś pewien? – zapytała Stephanie. Wyglądało to na zbyt wielki zbieg okoliczności. Jeszcze raz spróbowała coś wypatrzeć, ale bezskutecznie.

Daniel wzruszył ramionami. Ponownie zerknął w stronę stanowiska, po czym odwrócił się do Stephanie.

– Wygląda jak on, a nie podejrzewam, by zbyt wielu księży dorównywało mu tuszą.

– Myślisz, że to ma coś wspólnego z nami?

– Nie wydaje mi się, chociaż połączenie jego obecności tutaj z faktem, że ktoś próbował wykraść próbkę całunu z naszego pokoju w hotelu, sprawia, że czuję się nieswojo.

– Nie podoba mi się to – stwierdziła Stephanie. – Zupełnie mi się to nie podoba.

Kolejka przesunęła się naprzód. Daniel zawahał się, nie wiedząc, co robić, dopóki stojący tuż za nim jegomość nie szturchnął go niecierpliwie. Daniel popchnął załadowany wózek, ale celowo schował się za nim. Od stanowiska odpraw dzieliły ich teraz cztery grupki pasażerów. Stephanie przesunęła się o parę kroków w bok i ukradkiem zerknęła do przodu. Cofnęła się natychmiast i ukryła się obok Daniela za wózkiem.

– To na pewno monsior Mansoni – powiedziała. Oboje spojrzeli po sobie.

– Cholera, co robimy? – rzucił Daniel.

– Nie wiem. To policja mnie niepokoi, nie ksiądz.

– No jasne – burknął gniewnie Daniel.

– Gdzie jest próbka całunu?

– Mówiłem ci już. W mojej torbie z laptopem.

– Hej, nie wrzeszcz na mnie.

Kolejka znów ruszyła z miejsca. Pasażer z tyłu następował im na pięty, więc Daniel musiał popchnąć naprzód wózek. Zmniejszający się dystans między nimi a stanowiskiem odpraw nasilił ich niepokój.

– Może po prostu ponosi nas wyobraźnia – podsunęła z nadzieją w głosie Stephanie.

– To zbyt wielki zbieg okoliczności, by uznać go za zwykłą paranoję – odparł Daniel. – Gdyby był tutaj tylko ksiądz albo tylko policja, można by tak przyjąć, ale i ksiądz, i policja przy tym konkretnym stanowisku to zupełnie inna sprawa. Problem w tym, że musimy podjąć jakąś decyzję. To znaczy, jeśli nie zrobimy nic, to też będzie swego rodzaju decyzja, bo za parę minut znajdziemy się na przodzie kolejki i stanie się to, co ma się stać.

– Co możemy w tej chwili zrobić? Tkwimy tu otoczeni tłumem ludzi i obarczeni toną bagażu. W najgorszym razie oddamy im próbkę, jeśli o to właśnie im chodzi.

– Gdyby zamierzali po prostu skonfiskować próbkę, nie byłoby tu aż tylu policjantów.

– Przepraszam – rozległ się za ich plecami zdyszany, rozhisteryzowany głos, niewątpliwie posługujący się amerykańską odmianą angielszczyzny.

Stephanie i Daniel, oboje bardzo zdenerwowani, równocześnie obrócili głowy i ujrzeli wyraźnie przerażonego księdza o błędnych, szeroko otwartych oczach. Jego pierś wznosiła się i opadała, prawdopodobnie po biegu, na czole zaś perliły się krople potu. Żałosny wygląd podkreślała jeszcze nie ogolona twarz i zmierzwiona szopa rudych włosów, ostro kontrastujące z jego stosunkowo schludnym kapłańskim strojem. Irytacja malująca się na twarzach najbliższych stojących podróżnych świadczyła, że ksiądz dotarł do Stephanie i Daniela, przepychając się siłą między kolejkami.

– Panie Lowell i pani D’Agostino! – wysapał ojciec Michael Maloney. – Muszę



koniecznie z państwem porozmawiać.

– *Scusi!* – rzekł z rozdrażnieniem stojący za Danielem mężczyzna. Gestem ponaglił go, by ruszył się z miejsca. Kolejka przed chwilą przesunęła się naprzód, czego Daniel, przyglądając się Michaelowi, nie zauważył.

Daniel skinieniem ręki przepuścił natręta przed siebie, a ten skwapliwie z tego skorzystał.

Michael zerknął ukradkiem ponad wózkiem z bagażami Daniela i Stephanie. Spostrzegł monsiora i policję, pochylił głowę i wcisnął się obok Daniela.

– Mamy tylko kilka sekund – szepnął nerwowo. – Nie możecie zgłosić się do odprawy na lot do Paryża!

– Skąd ksiądz zna nasze nazwiska? – zapytał Daniel.

– Nie ma czasu, żeby to wyjaśnić.

– Kim ksiądz jest? – zapytała Stephanie. Miała wrażenie, że już go widziała, ale nie miała pojęcia gdzie.

– Nie ma znaczenia, kim jestem. Ważne jest to, że za chwilę policja was aresztuje i skonfiskuje próbkę całunu.

– Pamiętam księdza – oświadczyła Stephanie. – Był ksiądz wczoraj w kawiarni, kiedy przekazano nam próbkę.

– Proszę! – jęknął błagalnie Michael. – Musicie się stąd wydostać. Mam samochód. Wywiozę was z Włoch.

– Samochodem? – zapytał Daniel, jak gdyby był to zupełnie niedorzeczny pomysł.

– To jedyny sposób. Samoloty, pociągi, cały transport publiczny będzie kontrolowany, ale zwłaszcza samoloty i zwłaszcza ten lot do Paryża. Mówię poważnie. Czeka was areszt i więzienie. Wierście mi!

Daniel i Stephanie spojrzeli po sobie. Oboje myśleli to samo. Nagłe zjawienie się tego roztrzęsionego księdza i jego ostrzeżenia spadły jak grom z jasnego nieba, dodając niezwyklej wiarygodności temu, co jeszcze parę sekund wcześniej było jedynie budzącym grozę domysłem. Nie zamierzali zgłaszać się do odprawy.

Daniel zaczął odwracać wózek z bagażem. Michael chwycił go za ramię.

– Nie ma czasu na cały bagaż.

– O czym ksiądz mówi? – zapytał Daniel.

Michael wyciągnął szyję, by zerknąć ukradkiem na odległe o zaledwie pięć metrów stanowisko odpraw, natychmiast jednak cofnął głowę, wciągając ją w ramiona niczym żółw.

– A niech to! Zauważyli mnie! Teraz od katastrofy dzielą nas tylko sekundy. Jeśli nie macie ochoty trafić do więzienia, musimy uciekać. Nie możecie zabrać wszystkich waliz. Musicie zdecydować, co dla was ważniejsze: wasze bagaże czy wolność.

– To wszystkie moje letnie ubrania – jęknęła Stephanie. Była przerażona tym pomysłem.

– *Signore!* – odezwał się z wyraźną irytacją stojący za Danielem mężczyzna, gestem ponaglając go, by przesunął się do przodu. – *Va! Va via!* – Parę dalszych osób zawtórowało

mu. Kolejka znów posunęła się naprzód, a blokując jej koniec, Daniel i Stephanie wzbudzali małą sensację.

– Gdzie jest próbka? – zapytał Michael. – I wasze paszporty?

– W mojej torbie podręcznej – odparł Daniel.

– Świetnie! – rzucił Michael. – Zatrzymajcie swoje torby, ale zostawcie całą resztę! Później dopilnuję, żeby konsulat Stanów Zjednoczonych zajął się waszym dobytkiem i przesłał go tam, gdzie jedziecie po opuszczeniu Londynu. Chodźcie! – Wskazując w głąb hali, pociągnął Daniela za rękę.

Daniel wyjrzał zza sterty waliz na wózku akurat w samą porę, by ujrzeć, jak monsior Mansoni chwyta jednego z umundurowanych policjantów za ramię i wskazuje w ich stronę. Zaniepokojony do ostatecznych granic, spojrzawszy na Stephanie.

– Myślę, że powinniśmy go posłuchać.

– Świetnie! Zostawimy walizki – westchnęła z rezygnacją Stephanie, rozkładając ręce.

– Chodźcie za mną! – warknął Michael. Jak najszybciej odprowadził ich od wózka z bagażem. Tłum podróżnych, ściśniętych ciasno w kolejkach, rozdzielał się niechętnie i powoli. Powtarzając raz po raz „*scusi*”, Michael zmuszony był odpychać ludzi na boki i przewracać ustawiony na podłodze bagaż. Daniel i Stephanie szli tuż za nim, jak gdyby Michael torował im szlak w ludzkiej gęstwinie. Był to strasznie mozolny marsz i Stephanie przypomniał się koszmarny sen, który miała, nim Daniel obudził ją półtorej godziny wcześniej.

Dobiegające z tyłu okrzyki „*alt!*” przynagliły ich do wzmożenia wysiłków. Gdy wydostali się już poza tłum otaczający stanowiska odpraw, ucieczka stała się znacznie łatwiejsza, ale Michael przestrzegł ich przed biegiem.

– Co innego, gdybyście pędzili do środka – wyjaśnił. – Biegając na zewnątrz, zwróćcie na siebie zbyt wiele uwagi. Po prostu idźcie szybkim krokiem!

Nagle tuż przed nimi pojawiło się dwóch policjantów o młodzieńczym wyglądem, spieszących ku nim z karabinami maszynowymi w rękach.

– Och, nie! – jęknął Daniel. Zwolnił.

– Idź! – syknął Michael przez zaciśnięte zęby. Za plecami słyszeli teraz tumult i niezrozumiałe okrzyki.

Zmierzając po kolizyjnym kursie, obie grupy w szybkim tempie zbliżały się do siebie. Zarówno Daniel, jak i Stephanie byli pewni, że policjanci biegną, by ich aresztować, i dopiero w ostatniej chwili uświadomili sobie, że tak nie jest. Odetchnęli z ulgą, gdy policjanci przemknęli obojętnie obok nich, prawdopodobnie pędząc w stronę strefy odpraw. Inni podróżni zaczęli przystawać i spoglądać na policjantów z różnymi odcieniami przerażenia na twarzach. Po jedenastym wrześniu wszelkie zamieszania na lotniskach na całym świecie, bez względu na ich przyczynę, wprawiały ludzi w panikę.

– Mój samochód stoi przy hali przylotów na dolnym poziomie – wyjaśnił Michael,

prowadząc ich ku schodom. – Nie dało się zostawić go choćby na chwilę pod halą odlotów.

Zeszli po schodach najszybciej, jak mogli. Dolny poziom terminalu wyglądał na wymarły, gdyż pierwsze samoloty miały przybyć o późniejszej godzinie. W zasięgu wzroku dostrzegli jedynie garstkę pracowników lotniska, przygotowujących się na szturm pasażerów i bagażu, przedstawicieli wynajmu samochodów, którzy otwierali swoje budki.

– Teraz tym bardziej nie wolno nam się spieszyć – mruknął Michael pod nosem. Kilka osób zerknęło w ich stronę, lecz po krótkiej chwili znów powróciło do swych zajęć. Michael poprowadził Daniela i Stephanie do głównego wyjścia. Drzwi otworzyły się automatycznie. Cała trójka wyszła szybkim krokiem, lecz nagle Michael przystanął. Wyciągniętymi ramionami zablokował im drogę.

– To nie wygląda dobrze – jęknął. – Niestety, tam właśnie jest mój samochód.

Jakieś piętnaście metrów od nich, przy krawężniku, zaparkowana była jasnobrązowa furgonetka marki Fiat z włączonymi światłami awaryjnymi. Tuż za nią stał niebiesko-biały samochód policyjny z migającym niebieskim sygnałem. Z przodu rysowały się kontury głów dwóch policjantów.

– Co robimy? – zapytał nerwowo Daniel. – Może wynajmiemy inny?

– Nie sądzę, żeby wypożyczalnie samochodów były już otwarte – odparł Michael. – To zajęłoby zbyt dużo czasu.

– A co z taksówką? – podsunęła Stephanie. – Musimy przede wszystkim wydostać się z lotniska. Potem moglibyśmy wynająć samochód w mieście.

– To jest myśl – przyznał Michael. Spojrzał na pusty postój taksówek. – Problem w tym, że tu na dole taksówki pojawiają się dopiero wtedy, gdy przybędzie pierwszy samolot, a nie wiem, jak długo trzeba będzie na to czekać. Żeby złapać taksówkę, musielibyśmy wrócić na górę, a to raczej nie jest zbyt dobry pomysł. Myślę, że musimy zaryzykować z tym samochodem. To Vigili Urbani, czyli miejska policja drogowa. Wątpię, żeby szukali akurat nas, w każdym razie jeszcze nie teraz. Zapewne czekają na pomoc drogową.

– Co im ksiądz powie?

– Sam nie wiem – odparł Michael. – Nie ma czasu, żeby silić się na kreatywność. Spróbuję po prostu wykorzystać swój status duchownego. – Zaczerpnął tchu, by dodać sobie otuchy. – Chodźcie! Kiedy dotrzemy do samochodu, po prostu wejdźcie do środka. Ja zajmę się rozmową.

– Nie podoba mi się to – stwierdziła Stephanie.

– Mnie też – przyznał Michael, popędzając ich. – Ale to chyba nasza jedyna szansa. Za parę minut każdy ochroniarz na lotnisku będzie nas szukał po wszystkich zakamarkach. Monsinior Mansoni mnie zauważył.

– Zna go ksiądz? – zapytała Stephanie.

– Przelotnie – odparł Michael.

Nie rozmawiali więcej. Cała grupa szybkim i zdecydowanym krokiem skierowała się w

stronę fiata ulysse. Michael okrążył wóz policyjny, by przejść na stronę kierowcy. Gdy tylko dotarł do furgonetki, otworzył drzwi i usiadł za kierownicą, jak gdyby w ogóle nie zauważył policjantów. Stephanie i Daniel pospiesznie wsunęli się na tylne siedzenie.

– *Padre!* – zawołał jeden z policjantów. Wysunął się z samochodu, gdy tylko spostrzegł, że Michael wsiada do fiata. Jego kolega pozostał w wozie.

Gdy policjant się odezwał, Michael nie zdążył jeszcze zamknąć drzwi samochodu. Wygramolił się ze środka i wyprostował.

Daniel i Stephanie obserwowali całą scenę z wnętrza wozu. Policjant podszedł do Michaela. Był to drobny mężczyzna w błękitno-granatowym mundurze z białym pasem i białą kaburą. Zaczął coś szybko mówić, wyrzucając z siebie krótkie, urywane słowa, na co Michael odpowiadał w taki sam sposób. Rozmowie towarzyszyła żywa gestykulacja, w której kulminacyjnym punkcie policjant wskazał przed siebie, po czym wykonał kilka zamasztych ruchów ręką. W tym momencie Michael wsiadł z powrotem do samochodu i włączył silnik. Chwilę później fiat wynurzył się spod rampy przed halą odlotów i skierował się ku wyjazdowi z lotniska.

– Co się stało? – zapytała nerwowo Stephanie. Wyjrzała przez tylne okno, by upewnić się, że nikt ich nie ściga.

– Na szczęście był lekko wystraszony, że ma do czynienia z księdzem.

– Co ksiądz powiedział? – zapytał Daniel.

– Po prostu przeprosiłem i wyjaśniłem, że chodzi o nagły wypadek. Potem zapytałem, gdzie jest najbliższy szpital, co najwyraźniej kupił. Od tamtej chwili po prostu tłumaczył mi, jak mam jechać.

– Mówi ksiądz biegle po włosku? – zapytała Stephanie.

– Nie najgorzej. Chodziłem do seminarium w Rzymie.

Przy pierwszej okazji Michael zjechał z głównej arterii na wąską, boczną drogę. Wkrótce znaleźli się w wiejskiej scenerii.

– Dokąd jedziemy? – zapytał Daniel. Z wyraźnym niepokojem obserwował krajobraz za oknem.

– Będziemy trzymać się z dala od autostrad – wyjaśnił Michael. – Tak będzie bezpieczniej. Prawdę mówiąc, nie wiem, na ile poważnie będą was szukać. Ale po prostu nie chcę ryzykować przejeżdżania przez punkty pobierania opłat.

Gdy tylko pojawiła się okazja, Michael zjechał na pobocze i zatrzymał samochód. Zostawiając silnik na chodzie, wysiadł z samochodu i zniknął na parę minut w ciemnych zaroślach. Słońce nie wzeszło jeszcze, ale było już jasno.

– Co się dzieje? – zapytała Stephanie.

– Nie mam zielonego pojęcia – odparł Daniel. – Ale gdybym musiał zgadywać, powiedziałbym, że poszedł się załatwić.

Michael wynurzył się z krzaków i wsiadł z powrotem do samochodu.

– Przepraszam – powiedział bez dalszych wyjaśnień. Nachylił się i wyciągnął ze schowka kilka map.

– Będę potrzebował pilota – oświadczył. – Czy któreś z was potrafi czytać mapę?

Daniel i Stephanie spojrzeli po sobie.

– Myślę, że ona jest w tym lepsza niż ja – przyznał Daniel.

Michael rozłożył jedną z map. Spojrzał przez ramię na Stephanie.

– Może usiadłaby pani na przednim siedzeniu? Naprawdę będę potrzebował pomocy, dopóki nie miniemy Cuneo.

Stephanie wzruszyła ramionami, po czym przesiadła się do przodu.

– Jesteśmy tutaj – oświadczył Michael, włączając lampkę i wskazując na mapie punkt na północny wschód od Turynu. – A jedziemy tutaj. – Przesunął palec ku dolnemu skrajowi mapy i zatrzymał go na wybrzeżu Morza Śródziemnego.

– Do Nicei? – zdziwiła się Stephanie.

– Tak. To najbliższy duży port lotniczy poza granicami Włoch, jeżeli ruszymy na południe, co zalecam, bo możemy wówczas korzystać z drugorzędnych dróg. Moglibyśmy pojechać na północ, do Genewy, ale tam czekałyby nas same autostrady i duże przejście graniczne. Myślę, że kierunek południowy jest bezpieczniejszy, a zatem lepszy. Zgadza się z tym?

Daniel i Stephanie wzruszyli ramionami.

– Chyba tak – odparł Daniel.

– W porządku – stwierdził Michael. – Oto nasza trasa. – Jeszcze raz powiodł palcem po mapie. – Przejedziemy przez Turyn, kierując się na Cuneo. Stamtąd pojedziemy w stronę Colle di Tenda. Kiedy przekroczymy granicę, która jest nie strzeżona, zostaniemy we Francji, mimo że główna droga zawraca znów do Włoch. W Menton, na wybrzeżu, możemy wjechać na płatną autostradę, która zaprowadzi nas błyskawicznie do Nicei. Ten odcinek będzie najszybszy. Jeśli chodzi o czas, przewiduję, że cała podróż zajmie nam pięć, może sześć godzin, ale to tylko domysły. Czy ten plan jest do przyjęcia?

Daniel i Stephanie ponownie spojrzeli po sobie i wzruszyli ramionami. Oboje byli tak oszołomieni ostatnimi wydarzeniami, że nie bardzo wiedzieli, co odpowiedzieć. Trudno było im zebrać myśli, a tym bardziej ubrać je w słowa.

Michael powiodł wzrokiem po ich twarzach.

– Przyjmuję milczenie za zgodę. Rozumiem waszą konsternację. To był, oględnie mówiąc, zaskakujący poranek. Więc najpierw przejedźmy przez Turyn. Na szczęście mamy szansę zdążyć przed szczytem. – Rozłożył drugą mapę, która okazała się planem Turynu i okolic. Pokazał Stephanie, gdzie są i dokąd chcą jechać. Skinęła głową.

– To nie powinno być trudne – stwierdził Michael. – Włosi są dobrzy w oznakowywaniu dróg. Najpierw pojedziemy według drogowskazów na Centro Citta, a potem na trasę S20 w kierunku południowym. W porządku?

Stephanie ponownie skinęła głową.

– Zatem do dzieła! – oświadczył Michael. Usadowił się z powrotem za kierownicą i wrzucił bieg.

Z początku ruch nie był zbyt duży, lecz w miarę jak zbliżali się do miasta, wóz przybywało, a im więcej było wozów, tym więcej czasu zabierała jazda, a im więcej czasu zabierała jazda, tym bardziej zatłoczone były drogi, jak w samospełniającym się proroctwie. Gdy wjeżdżali do centrum, wzeszło słońce, a bezchmurne, błękitne niebo zapowiadało pogodny dzień. Jechali w milczeniu, jeśli nie liczyć sporadycznych uwag Stephanie, która uważnie śledziła ich trasę na mapie i wskazywała drogę. Daniel nie odzywał się słowem. Był zadowolony, że Michael okazał się rozważnym i ostrożnym kierowcą.

Była niemal dziewiąta, gdy wydostali się z miasta i skierowali się na południe trasą S20, zostawiając za sobą zatłoczone w porannym szczycie ulice Turynu. Do tego czasu Stephanie i Daniel zdążyli już odprężyć się nieco i zebrać myśli, które koncentrowały się głównie na osobie ich kierowcy i na porzuconym bagażu.

Stephanie starannie złożyła obie mapy i zostawiła je na desce rozdzielczej. Dalsza trasa była oczywista. Przyjrzała się zapadniętym policzkom i jastrzębiemu profilowi Michaela, zarostowi na jego twarzy i szopie rozczochranych rudych włosów.

– Być może teraz nadeszła pora, by zapytać, kim ksiądz jest – powiedziała.

– W głębi duszy jestem tylko pokornym sługą bożym – odparł Michael. Uśmiechnął się słabo. Wiedział, że pytania są nieuniknione, a nie był pewien, jak wiele chce wyjawić.

– Myślę, że zasługujemy na więcej informacji – stwierdziła Stephanie.

– Nazywam się Michael Maloney. Aktualnie pełnię funkcję sekretarza arcybiskupa Nowego Jorku, ale tak się akurat składa, że jestem we Włoszech w sprawach Kościoła.

– Skąd ksiądz zna nasze nazwiska? – zapytał Daniel z tylnego siedzenia.

– Nie wątpię, że oboje państwo jesteście ogromnie zaciekawieni – powiedział Michael. – I to nie bez powodów. Ale szczerze mówiąc, wolałbym nie zagłębiać się w szczegóły mojego udziału w tej sprawie. Tak będzie najlepiej dla wszystkich zainteresowanych. Czy mógłbym prosić, żebyście zaakceptowali fakt, że zdołałem ocalić was przed aresztowaniem, bez wypytywania mnie? Proszę o to jak o przysługę. Jeśli chcecie, przypiszcie po prostu moją pomoc boskiej interwencji, w której odegrałem jedynie rolę sługi naszego Pana.

Stephanie rzuciła Danielowi krótkie spojrzenie przez ramię, po czym znów odwróciła się do Michaela.

– To ciekawe, że użył ksiądz określenia „boska interwencja”. To zbieg okoliczności, bo słyszeliśmy dokładnie to samo wyrażenie w związku z tym, co sprowadziło nas do Włoch, a mianowicie z próbką Całunu Turyńskiego.

– Ach, tak? – bąknął Michael. Gorączkowo szukał sposobu, by skierować rozmowę na mniej delikatny temat, ale nic nie przychodziło mu na myśl.

– Dlaczego mieliśmy zostać aresztowani? – zapytał Daniel. – To chyba nie ma nic

wspólnego z księdzem.

– Bo wyszło na jaw, że jesteście specjalistami w zakresie nauk biomedycznych. To było nieoczekiwane i kłopotliwe odkrycie. W tej chwili Kościół nie życzy sobie żadnych badań naukowych dotyczących autentyczności całunu, a wasze wykształcenie rodzi uzasadnioną obawę, że tym właśnie zamierzacie się zająć. Początkowo Kościół chciał po prostu zwrotu próbki, ale gdy okazało się to niewykonalne, postanowił ją skonfiskować.

– To wyjaśnia parę spraw – zauważyła Stephanie – ale nie powód, dla którego zdecydował się ksiądz nam pomóc. Jest ksiądz pewien, że nie zamierzamy przebadać próbki?

– Wolałbym nie roztrząsać tej kwestii. Proszę!

– Skąd wiedział ksiądz, że lecimy do Londynu, skoro staliśmy w kolejce do odprawy na lot do Paryża? – Daniel nachylił się do przodu, by lepiej słyszeć. Głos Michaela nie docierał do niego zbyt dobrze.

– Odpowiedź na to pytanie byłaby dla mnie zbyt krępująca. – Twarz Michaela poczerwieniała, gdy przypomniał sobie, jak ukrywał się za zasłoną w pokoju hotelowym. – Błagam was. Nie możecie po prostu przejść nad tym do ładu? Potraktujcie to, co zrobiłem, jako przysługę: zwykłą przyjacielską pomoc wyświadczoną parze rodaków w potrzebie.

Jechali w milczeniu przez parę mil. W końcu odezwała się Stephanie:

– Cóż, dziękujemy za to, co ksiądz dla nas zrobił. I jeśli nasze słowo ma jakiegokolwiek znaczenie, nie jesteśmy zupełnie zainteresowani badaniem autentyczności całunu.

– Przekażę to odpowiednim władzom kościelnym. Jestem pewien, że odetchną z ulgą.

– Co z naszym bagażem? – zapytała Stephanie. – Czy zdoła ksiądz nam go przekazać?

– Z radością zrobię w tej sprawie wszystko, co w mojej mocy, i wierzę, że mi się to uda, szczególnie teraz, gdy mam pewność, że nie zamierzacie badać całunu. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, każę przesłać wasze rzeczy na wasz adres w Massachusetts.

– Nie będzie nas w domu przez miesiąc – zaznaczył Daniel.

– Zostawię wam swoją wizytówkę – odparł Michael. – Gdy tylko będziecie mieli jakiś adres, możecie do mnie zadzwonić.

– Mamy już adres – powiedział Daniel.

– Chcę o coś zapytać – wtrąciła Stephanie. – Od tej chwili będziemy we Włoszech *personae non gratae*?

– Podobnie jak w kwestii bagażu, jestem pewien, że będę mógł, jak to mówią, oczyścić państwa konto. Nie będziecie państwo mieli żadnych problemów z odwiedzaniem Włoch w przyszłości, jeżeli to właśnie panią martwi.

Stephanie odwróciła się i spojrzała na Daniela.

– Myślę, że przeżyję bez znajomości brudnych szczegółów. A ty?

– Chyba też – przyznał Daniel. – Ale chciałbym wiedzieć, kim był ten człowiek, któremu udało się dostać do naszego pokoju w hotelu.

– Stanowczo nie chcę o tym rozmawiać – odparł szybko Michael – co bynajmniej nie

oznacza, że wiem coś konkretnego.

– W takim razie proszę powiedzieć mi tylko, czy ta osoba była przedstawicielem Kościoła, profesjonalnym najemnikiem czy członkiem personelu hotelowego?

– Przykro mi – rzekł Michael – ale nie mogę tego powiedzieć.

Odkąd Daniel i Stephanie pogodzili się z tym, że Michael nie udzieli im wyczerpujących wyjaśnień na temat swej pomocnej interwencji, i odkąd stało się dla nich jasne, że naprawdę wymknęli się włoskim władzom dzięki ucieczce do Francji, odprężyli się i zaczęli rozkoszować się podróżą. Gdy wznosili się w okryte śniegiem Alpy i przejeżdżali przez narciarską wioskę Limone Piemonte, widoki zapierały im dech w piersiach.

Po francuskiej stronie granicy zjechali w dół urwistego Gorge de Saorge drogą dosłownie wykutą w skalnych ścianach wąwozu. W miasteczku Sospel zatrzymali się na mały lunch. Kiedy dotarli na lotnisko w Nicei, było już po czternastej.

Michael zostawił im swoją wizytówkę i wziął adres ośrodka Ocean Club w Nassau, gdzie mieli zamieszkać. Uścisnął im dłonie, obiecał natychmiast po powrocie do Turynu zająć się kwestią bagażu, po czym odjechał.

Daniel i Stephanie śledzili fiata wzrokiem, póki nie zniknął im z oczu, po czym spojrzeli po sobie. Stephanie pokręciła głową w zdumieniu.

– Co za niesamowita przygoda!

Daniel skinął głową.

– To za mało powiedziane.

Z ust Stephanie wyrwał się krótki, drwiący śmiech.

– Nie chcę być okrutna, ale nic nie poradzę na to, że przypomina mi się, jak wczoraj rano piałeś, że tak łatwo było zdobyć próbkę całunu i że twoim zdaniem daje to przedsmak tego, co nas czeka, jeśli chodzi o leczenie Butlera. Chcesz to odwołać?

– Być może cieszyłem się trochę przedwcześnie – przyznał Daniel. – Ale mimo to wszystko ułożyło się dobrze. Oczywiście stracimy dzień lub dwa, ale poza tym od tej pory sprawy powinny pójść już gładko.

– Mogę tylko mieć taką nadzieję – odparła Stephanie. Powiesiła sobie torbę na ramieniu.

– Wejdźmy do środka i przyjrzymy się połączeniom do Londynu. To będzie pierwszy sprawdzian.

Wkroczyli do terminalu i spojrzeli na rozkład lotów, wyświetlony na gigantycznej tablicy. Niemal natychmiast ich wzrok padł na bezpośredni lot British Airways do Londynu o 15.50.

– Teraz rozumiesz, o co mi chodzi – oświadczył radośnie Daniel. – Trudno byłoby wymarzyć sobie coś lepszego.





ma sens. Bahamy przez całe wieki były brytyjską kolonią.

– No to dlaczego kierownica jest z lewej strony, jak w normalnych samochodach?

Stephanie zorientowała się, że Daniel nie zamierza dać się udobruchać. Zmieniła więc temat.

– Nie mogłam się nadziwić barwie oceanu, kiedy przelatywaliśmy nad Bahamami. To chyba dlatego, że jest płytki. Nigdy nie widziałam tak jasnego turkusu ani tak głębokiego szafiru.

Daniel mruknął tylko w odpowiedzi. Jego uwagę zaprzął kolejny zbliżający się samochód. Stephanie odwróciła się do okna. Mimo funkcjonującej w taksówce klimatyzacji opuściła szybę. Przybywszy z samego środka zimy, była zaskoczona łagodnym, tropikalnym powietrzem i bujną roślinnością, a zwłaszcza jaskrawo szkarłatnymi i intensywnie purpurowymi bugenwillami, które zdawały się piąć po każdym murze. Małe miasteczka i zabudowania, które mijali po drodze, wyglądałyby jak żywcem przeniesione z Nowej Anglii, gdyby nie ich żywe, tropikalne barwy, podkreślone jeszcze przez niezmondowane bahamskie słońce. Tutejsi ludzie, o skórze w odcieniach od bladej bieli do ciemnego, mahoniowego brązu, sprawiali wrażenie odprężonych. Nawet z daleka widać było uśmiechy na ich twarzach. Stephanie czuła, że jest to szczęśliwa kraina, i miała nadzieję, że to pomyślny zwiastun dla ich przedsięwzięcia.

Co do zakwaterowania, Stephanie nie miała pojęcia, czego ma się spodziewać, gdyż nie rozmawiali na ten temat. Daniel załatwił wszystkie sprawy przed wyjazdem do Włoch, gdy ona poszła rzucić okiem na hodowlę fibroblastów Butlera i odwiedzić rodzinę. Wiedziała, gdzie będą mieszkać od dwudziestego drugiego marca, czyli dokładnie za trzy tygodnie. Był to termin przyjazdu Ashleya Butlera i oboje z Danielem mieli wtedy przenieść się wraz z senatorem do ogromnego hotelu Atlantis, do zarezerwowanych apartamentów. Stephanie ledwo dostrzegalnie pokręciła głową na myśl o pracy, która czekała ich przed przybyciem senatora. Miała nadzieję, że pozostawiona w Cambridge hodowla tkankowa rozwija się dobrze. W przeciwnym razie nie mieliby najmniejszych szans, by zdążyć z przygotowaniami do implantacji w ciągu trzech tygodni, jakie im pozostały.

Po półgodzinie jazdy na lewo od drogi zaczęły pojawiać się pierwsze hotele w dzielnicy, która według kierowcy nosiła nazwę Cable Beach. W większości były to potężne wieżowce i jako takie nie robiły na Stephanie zbyt zachęcającego wrażenia. Chwilę później dotarli do centrum Nassau, które okazało się miastem znacznie bardziej ruchliwym, niż wyobrażała sobie Stephanie, o ulicach pełnych samochodów, ciężarówek, autobusów, skuterów, motorowerów i pieszych. Jednak mimo całego zgiełku i zamętu, imponująco eleganckich banków i barwnych, lecz oficjalnie wyglądających gmachów w kolonialnym stylu, panował tu ten sam pogodny nastrój, który Stephanie zauważyła wcześniej. Nawet ugrzęźnięcie w korku tutejsi ludzie nie tylko znosili ze spokojem, ale i najwyraźniej traktowali jako rozrywkę.

Taksówka zawiozła ich przez wysoki, łukowaty most na Paradise Island, która, jak

wyjaśnił kierowca, w czasach kolonialnych nazywała się Hog Island, jednakże Huntington Hartford, pierwszy inwestor na tych terenach, uznał tę nazwę za zbyt mało atrakcyjną. Zarówno Stephanie, jak i Daniel przyznali mu rację. U wylotu mostu taksówkarz wskazał im z prawej strony nowoczesne centrum handlowe, z lewej zaś gigantyczny kompleks Atlantis.

– Czy w tym centrum handlowym są sklepy z ubraniami? – zapytała Stephanie. Obejrzała się za siebie. Sklepy sprawiały wrażenie niezwykle ekskluzywnych.

– Tak, proszę pani. Ale są drogie. Jeśli szuka pani miejscowych strojów, polecam Bay Street w mieście.

Po krótkiej jeździe na wschód taksówka skręciła w lewo na długi, wijący się podjazd, obrzeżony wyjątkowo bujną, gęstą roślinnością. Przy wjeździe stała tablica z napisem: TEREN PRYWATNY, OCEAN CLUB, TYLKO DLA GOŚCI. Na Stephanie szczególne wrażenie zrobiło to, że sam hotel pozostawał niewidoczny, dopóki samochód nie pokonał ostatniego zakrętu.

– Wygląda bosko – zauważyła, gdy taksówka podjechała pod główną bramę, gdzie wyszli jej na spotkanie odźwierni w świeżo odprasowanych białych koszulach i bermudach.

– Podobno to jeden z najlepszych hoteli – oświadczył Daniel.

– Zgadza się – przyznał kierowca.

Kompleks hotelowy mile zaskoczył Stephanie. Składał się z niskich, piętrowych budynków, rozrzuconych wzdłuż uroczej, wygiętej w łuk plaży i niemal niewidocznych zza gęstwiny kwitnących drzew. Danielowi udało się zarezerwować apartament na parterze, tuż przy białej, piaszczystej plaży, od której dzielił go jedynie rozległy, wypielegnowany trawnik. Gdy już schowali do szaf nieliczną garderobę i rozstawili przybory toaletowe w wyłożonej marmurem łazience, Daniel odwrócił się do Stephanie.

– Jest piąta trzydzieści. Co robimy?

– Nic – odparła Stephanie. – Według czasu europejskiego jest prawie północ i jestem wykończona.

– Może powinniśmy zadzwonić do Kliniki Wingate’a i dać im znać, że jesteśmy już tutaj?

– Przypuszczam, że to by nie zaszkodziło, chociaż nie jestem pewna, co to da, skoro i tak pójdziemy tam jutro rano. Moim zdaniem byłoby pożytecznie, gdybyś przeszedł się do głównego budynku i wynajął samochód. Ja muszę przede wszystkim zadzwonić do Petera i dowiedzieć się, czy może już przesłać nam partię fibroblastów Butlera. Dopóki ich nie dostaniemy, niewiele możemy zdziałać. A po rozmowie z Peterem chcę zadzwonić do matki. Obiecałam jej, że skontaktuję się z nią i podam jej adres, gdy tylko ulokujemy się w Nassau.

– Ja będę potrzebował trochę więcej ubrań – stwierdził Daniel. – Co powiesz na to? Ja pójdę wynajmując samochód, ty zadzwonisz, gdzie masz zadzwonić, a potem wrócimy do tego centrum handlowego przy moście i zobaczymy, czy są tam jakieś przyzwoite sklepy z ubraniami.

– Może poprzestańmy po prostu na wynajęciu samochodu. Ja chciałabym wziąć prysznic,

przekąsić coś i wskoczyć do łóżka. Na zakupy będzie czas jutro.

– Chyba masz rację – przyznał Daniel. – Podeksycytowało mnie to, że dotarliśmy wreszcie do Nassau, i dzięki temu trzymam się na nogach, ale w gruncie rzeczy jestem wykończony, tak jak ty.

Gdy tylko Daniel wyszedł z pokoju, Stephanie usiadła przy biurku. Z zaskoczeniem i radością stwierdziła, że jej telefon komórkowy odbiera stosunkowo silny sygnał. Jak zapowiedziała Danielowi, zadzwoniła najpierw do Petera i zgodnie z oczekiwaniami zastała go w laboratorium.

– Hodowla Johna Smitha ma się świetnie – oświadczył Peter w odpowiedzi na jej pytanie. – Komórki są gotowe do wysyłki już od paru dni. Myślałem, że zadzwonisz we wtorek.

– Nieoczekiwanie zatrzymał nas drobny problem – odparła wymijająco Stephanie. Uśmiechnęła się kwaśno. Sformułowanie to było bardzo oględne, skoro tak naprawdę musieli porzucić cały bagaż i uciec z Włoch samochodem, by uniknąć aresztowania.

– Czy mam już ci je wysłać?

– Koniecznie – odparła Stephanie. – Zapakuj je razem ze standardowymi odczynnikami do HTRS i z zestawem sond dla genów dopaminergicznych oraz czynniki wzrostu, które przygotowałam. I przyszło mi właśnie do głowy coś jeszcze. Dołącz konstrukt ekdysonowy z promotorem hydroksylazy tyrozyny, którego używaliśmy w naszych ostatnich doświadczeniach na myszach.

– O rany! – jęknął Peter. – Co wy tam kombinujecie, na Boga?

– Lepiej o to nie pytaj – powiedziała Stephanie. – Czy mógłbyś wysłać to wszystko jeszcze dziś wieczorem?

– Myślę, że tak. W najgorszym razie będę musiał pojechać na lotnisko, ale to żaden problem. Na jaki adres mam wysłać tę przesyłkę?

Stephanie namyślała się przez chwilę. W pierwszej chwili chciała podać mu adres hotelu, potem jednak przyszło jej do głowy, że rozsądnie będzie skrócić podróż przesyłki, a także jak najszybciej umieścić hodowlę w zamrażarce z ciekłym azotem, którą spodziewała się znaleźć w wyposażeniu Kliniki Wingate'a. Poprosiła Petera, by pozostał na linii i zadzwoniła z hotelowego telefonu do recepcji, by zdobyć dokładny adres. Było to Windsor Field Road 1200. Przekazała go Peterowi wraz z numerem telefonu kliniki.

– Wyślę to dziś wieczorem FedEksem – obiecał Peter. – Kiedy wracacie?

– Myślę, że za miesiąc, może trochę wcześniej.

– Powodzenia, cokolwiek tam, u diabła, robicie!

– Dzięki. Będziemy go potrzebować.

Stephanie wbiła wzrok w lekko falujący, różowo-srebrzysty ocean. Nad horyzontem ciągnął się pas kłębiastych chmur. Zachodzące po lewej stronie słońce barwiło ich wierzchołki smugą intensywnego fiołkowego różu. Przez rozsunięte szklane drzwi wpadał, muskając twarz Stephanie, łagodny wietrzyk, który niósł ze sobą woń egzotycznych kwiatów.

Po gorączkowych dniach podróży i intryg, sceneria ta wydała jej się olśniewająca i kojąca. Spokój otoczenia sprawił, że zaczęła się odprężyć, do czego przyczyniły się też wieści o pomyślnym rozwoju hodowli fibroblastów Butlera. Dręczący niepokój, że komórki mogły obumrzeć, nie opuszczał jej od chwili wyjazdu. Teraz przyszło jej do głowy, że optymizm Daniela co do projektu Butlera nie jest może tak całkiem pozbawiony podstaw, mimo że intuicja podpowiadała jej coś innego i mimo chwil grozy, jakie przeżyli w Turynie.

Gdy słońce zaszło, noc zapadła szybko. Wzdłuż plaży zapłonęły pochodnie, migocząc na wietrze. Stephanie ponownie sięgnęła po telefon komórkowy i wybrała numer rodziców. Chciała, żeby jej matka знаła nazwę hotelu, numer pokoju i numer telefonu, na wypadek gdyby stan jej zdrowia się pogorszył. Czekając, aż ktoś podniesie słuchawkę, Stephanie przyłapała się na tym, że ma nadzieję, iż nie będzie to ojciec. Zawsze czuła się bardzo niezręcznie, kiedy próbowała nawiązać z nim rozmowę. Poczowała ulgę, gdy usłyszała cichy głos matki.

Chociaż Tony nie miał żadnego powodu, by sądzić, że jego uparta siostra nie wprowadzi w czyn swej groźby i nie będzie byczyć się na Bahamach, podczas gdy jej firma plajtuje, żywił nadzieję, że po tym, co jej powiedział, dziewczyna opamięta się, odwoła wycieczkę i zrobi co się da, by odkręcić sprawy. Tak się jednak nie stało, co potwierdził właśnie telefon jego matki. Suka i jej pieprzony facet leniuchowali w Nassau, w jakimś ekskluzywnym ośrodku nad brzegiem oceanu, w apartamencie, a jakże, z widokiem na plażę. Zdenerwowało go to.

Pokręcił głową nad jej tupetem. Odkąd dostała się na Harvard, grała mu na nosie za każdym razem, kiedy się odwrócił, co tolerował, bo była jego młodszą siostrą. Ale tym razem posunęła się za daleko, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę tego uczonego durnia, z którym kręciła. Jak by na to nie patrzeć, sto kawałków to była kupa pieniędzy, a do tego dochodziła przecież jeszcze część, którą dali bracia Castigliano. Cała sytuacja śmierdziała, to było zupełnie jasne, ale mimo wszystko Stephanie była jego młodszą siostrą, więc sprawa nie była tak klarowna, jak powinna być.

Wielki cadillac zachrzącił na żwirze i zatrzymał się przed hurtownią instalacji wodno-kanalizacyjnych braci Castigliano. Tony wyłączył światła i zgasił silnik. Nie od razu jednak wysiadł z samochodu. Przez chwilę czekał, aż uspokoją mu się nerwy. Mógł po prostu zadzwonić i przekazać wiadomość Salowi albo Louiemu przez telefon. Ale ponieważ chodziło o jego siostrę, musiał wiedzieć, jakie mają zamiary. Wiedział, że są tak samo wkurzeni jak on, a przy tym nie muszą liczyć się z faktem, że sprawa dotyczy członka rodziny. Nie obchodziło go, co zrobią jej facetowi. Do diabła, sam chętnie dobrałby mu się do skóry. Ale jego siostra to co innego. Gdyby trzeba było dać jej wycisk, chciał zająć się tym osobiście.

Otworzył drzwiczki i natychmiast opadł go wstrętny odór słonych błot. Nie potrafił

zrozumieć, jak ktokolwiek może mieszkać w miejscu, gdzie cuchnie zgniłymi jajami, ilekroć wiatr zmienia kierunek. Noc była bezksiężycowa i Tony ostrożnie stawiał kroki. Nie chciał przewrócić się o wyrzucony zlew albo inne śmiecie.

Ponieważ było już po godzinach, hurtownia była zamknięta, o czym informowała tabliczka w oknie. Ale drzwi nie zamknięto na klucz. Gaetano siedział przy kasie, podliczając wpływy dnia. Za uchem, zaskakująco małym przy jego wielkiej głowie, miał zatknięty ogryzek żółtego, drewnianego ołówka.

– Sal i Louie? – zapytał Tony.

Gaetano, nie przerywając pracy, skinął głową w stronę zalepca. Tony zastał bliźniaków przy biurkach. Wymieniwszy z nimi zamaszyste uściski dłoni i zwykłe oschłe pozdrowienia, usiadł na sofie. Bliźniacy przyglądali mu się wyczekująco. Jedynym źródłem światła w pokoju były małe, osłonięte abażurami lampki na biurkach, których blask podkreślał trupie rysy bliźniaków. Z perspektywy Tony'ego ich oczodoły zdawały się po prostu czarnymi dziurami.

– No cóż, pojechali do Nassau – zaczął Tony. – Miałem nadzieję, że będę mógł tu przyjść i powiedzieć wam coś innego, ale tak się nie stało. Właśnie zameldowali się w szpanerskim hotelu o nazwie Ocean Club. Są w pokoju 108. Mam nawet numer telefonu.

Pochylił się i położył mały świstek papieru na biurku Louiego, które stało bliżej sofy niż biurko Sala.

Drzwi otworzyły się i do środka wsunęła się głowa Gaetana.

– Potrzebujecie mnie?

– Tak – odparł Louie. Sięgnął po świstek z numerem telefonu i omiół go wzrokiem.

Gaetano wszedł do pokoju i zamknął drzwi.

– Jakież zmiany w perspektywach firmy? – zapytał Sal.

– Żadnych, o jakich bym wiedział – odparł Tony. – Gdyby były, mój księgowy dałby mi znać.

– Wygląda na to, że ten neptek bimba sobie z nas – stwierdził Louie. Prychnął wymuszonym śmiechem. – Nassau! Wciąż w to nie wierzę. Jakby sam nas prosił, żebyśmy mu dowalili.

– To właśnie macie zamiar zrobić? – zapytał Tony.

Louie spojrzał na Sala i oznajmił:

– Chcemy, żeby wziął dupę w troki i wrócił ratować firmę i naszą inwestycję. Mam rację, bracie?

– Jak cholera – przyznał Sal. – Musimy mu wyjaśnić, z kim ma do czynienia, i podkreślić, że chcemy odzyskać forszę, choćby nie wiem co. Musi przywlec dupę z powrotem, a poza tym musi dobrze wiedzieć, co go czeka, jeśli będzie sobie z nas kpił albo liczył na to, że wykręci się bankructwem albo jakimś innym prawniczym kantem. Trzeba mu złożyć skórę, i to dobrze!

– A co z moją siostrą? – zapytał Tony. – Ona nie jest bez winy w tej aferze, ale jeśli jej też trzeba złożyć skórę, chcę to zrobić osobiście.

– To żaden problem – odparł Louie. Rzucił świstek z numerem telefonu na biurko. – Jak powiedziałem w niedzielę, do niej nic nie mamy.

– Jesteś gotów do podróży do Nassau, Gaetano? – zapytał Sal.

– Mogę lecieć skoro świt – oświadczył Gaetano. – Ale co mam robić, kiedy już dostarczę wiadomość? Mam tam zostać, czy jak? To znaczy, co będzie, jeśli on nie zrozumie wiadomości?

– Lepiej postaraj się, żeby ją zrozumiał – odparł Sal. – Niech ci się nie zdaje, że to jakieś płatne wakacje. Poza tym jesteś nam potrzebny tutaj. Przekaż mu wiadomość i zasuważ z powrotem do Bostonu.

– Gaetano ma rację – zauważył Tony. – Co zrobicie, jeśli ten dupek zignoruje wiadomość?

Sal spojrział na brata. Obaj skinęli równocześnie głowami, jak gdyby porozumieli się bez słów. Sal znów przeniósł wzrok na Tony'ego.

– Czy gdyby tego palanta nie było, twoja siostra mogłaby pokierować firmą?

Tony wzruszył ramionami.

– Skąd mam wiedzieć?

– To twoja siostra – zauważył Sal. – Czy ona nie ma przypadkiem doktoratu?

– Zrobiła doktorat na Harvardzie – przyznał Tony. – Wielka mi rzecz! Dzięki temu stała się tylko strasznie zaradczą. A o ile wiem, to znaczy jedynie, że zna się na zarodkach, genach i innych pierdołach, a nie na kierowaniu firmą.

– Cóż, ten palant też ma doktorat – stwierdził Louie. – Więc wydaje mi się, że firma nie ucierpiałaby zbyt, gdyby to twoja siostra prowadziła sprawy. A gdyby tak było, miałbyś o wiele większy wpływ na to, co się tam dzieje.

– Więc co proponujecie? – zapytał Tony.

– Rany, czy ja nie mówię po ludzku? – wykrzyknął Louie.

– Oczywiście, że mówisz po ludzku – przyznał Sal.

– Spójrz – ciągnął Louie. – Jeśli szef firmy nie pojmie wiadomości, którą, jak myślę, wyraźnie przekaże mu Gaetano, to go stukniemy. I tyle, koniec z profesorem. Co jak co, ale to już powinno jasno dać twojej siostrze do zrozumienia, że lepiej zrobi, jeśli weźmie się do roboty.

– Masz rację – przyznał Tony.

– Zgadzasz się, Gaetano? – zapytał Sal.

– Tak, jasne – odparł zagadnięty. – Ale nie rozumiem: chcecie czy nie chcecie, żebym został tam, dopóki się nie przekonamy, jak zareagował na cięgi?

– Powtarzam po raz ostatni – powiedział groźnie Sal. – Masz dostarczyć wiadomość i wracać. Jeśli załatwisz się z tym sprawnie, a rozkład lotów będzie cacy, może uda ci się

obrócić w jeden dzień. W przeciwnym razie przenocujesz. Ale masz wracać jak najszybciej, bo czeka tu na ciebie kupa roboty. Jeśli trzeba go będzie kropnąć, pojedziesz drugi raz. Kapewu?

Gaetano skinął głową, był jednak rozczarowany. Kędy w niedzielę po raz pierwszy wspomniano o tym zadaniu, miał nadzieję, że przy tej okazji spędzi tydzień w słońcu.

– Właśnie przyszło mi coś do głowy – powiedział Tony. – Ponieważ nie możemy wykluczyć, że Gaetano będzie musiał pojechać tam po raz drugi, myślę, że nie powinien odwalać swojej roboty w ich hotelu. Jeśli profesor okaże się uparty, nie chcemy, żeby dał nogę, do czego mogłoby dojść, gdyby uznał, że hotel nie jest bezpieczny. Na samych Bahamach są dosłownie setki wysp.

– Masz rację – przyznał Sal. – Nie chcemy, żeby zniknął, kiedy nasza forsa jest zagrożona.

– Więc może powinienem tam zostać i mieć go na oku? – podsunął z nadzieją Gaetano.

– Jak mam ci to powiedzieć, kretynie? – warknął Sal, piorunując go wzrokiem. – Po raz ostatni powtarzam, że nie jedziesz na południe na wakacje. Masz zrobić swoje i wracać. Ten problem z profesorem nie jest naszym jedynym problemem.

– Dobrze już, dobrze! – odparł Gaetano, unosząc ręce, jakby się poddawał. – Nie będę zaczepiał tego faceta w hotelu. Zajrzę tam tylko po to, żeby go namierzyć, ale do tego potrzebowałbym paru fotek.

– Pomyślałem o tym – oznajmił Tony. Sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął kilka zdjęć. – Zostały zrobione gruchającym gołąbkom w ostatnie Boże Narodzenie. – Podał je Gaetanowi, który nadal stał przy drzwiach.

Gaetano zerknął na fotografie.

– Są w porządku? – zapytał Louie.

– Nie najgorsze – odparł Gaetano. Spojrzał na Tony'ego. – Muszę przyznać, że ta twoja siostra jest niezłą laską.

– Lepiej o tym zapomnij – poradził Tony. – To nie wchodzi w grę.

– Szkoda – stwierdził Gaetano z lubieżnym uśmiechem.

– Jeszcze jedno – dodał Tony. – Przy tej całej szopce z bezpieczeństwem na lotniskach nie wydaje mi się, by było wskazane pakować spluwę do walizki. Jeśli Gaetano będzie jej potrzebować, lepiej byłoby załatwić to tak, żeby dostał ją już na wyspie przez pośredników z Miami. Macie kontakty w Miami, prawda?

– Pewnie – przyznał Sal. – To kolejny dobry pomysł. Coś jeszcze?

– Myślę, że to już wszystko – odparł Tony. Zdusił papierosa i wstał.



## **Rozdział piętnasty**

### **9.15, piątek, 1 marca 2002**

Był to długi, uroczy i ożywczy poranek. Ich rozstrojone na skutek krótkiej wyprawy do Europy wewnętrzne zegary sprawiły, że Stephanie i Daniel obudzili się, nim jeszcze słońce rozjaśniło wschodni horyzont. Nie mogli znowu zasnąć, wzięli prysznic i po nastaniu bezchmurnego, tropikalnego świtu urządzili sobie długi spacer po terenach hotelowych i wzdłuż opustoszałej Cabbage Beach. Wróciwszy do hotelu, zjawili się na śniadaniu jako pierwsi i przy kawie omówili plan działań. Ponieważ od przewidzianego przylotu Butlera dzieliły ich tylko trzy tygodnie, wiedzieli, że czeka ich poważny wyścig z czasem, i bardzo chcieli zabrać się do pracy, choć zdawali sobie sprawę, że niewiele są w stanie zdziałać, dopóki nie dotrze przesyłka od Petera. O ósmej zadzwonili do Kliniki Wingate'a i oznajmili recepcjonistce, że są w Nassau i zjawią się w klinice około dziewiątej piętnaście. Recepcjonistka odparła, że przekaze to szefom.

– Ta zachodnia część wyspy wygląda inaczej niż wschodnia – zauważył Daniel, gdy jechali na zachód ulicą Windsor Field Road. – Jest o wiele bardziej płaska.

– Jest też słabiej zagospodarowana i bardziej sucha – dodała Stephanie.

Mijali rozległe połacie niskich lasów sosnowych, przetykanych tu i ówdzie karłowatymi palmami. Po niebie o barwie intensywnego błękitu snuło się kilka strzępiastych, białych chmur.

Daniel upierał się, że sam będzie prowadził, co nie przeszkadzało Stephanie, dopóki nie napomniał, że ona mogłaby mieć więcej kłopotów z przestawieniem się na ruch lewostronny. W pierwszej chwili chciała się oburzyć na to, jak uznała, nieuzasadnione, szowinistyczne twierdzenie, ale ostatecznie dała sobie spokój. Sprawa nie była warta sprzeczeki. Bez słowa zajęła fotel pasażera i zadowolona się wyciągnięciem mapy. Podobnie jak podczas ucieczki z Włoch, miała być pilotem.

Daniel jechał wolno, co odpowiadało Stephanie ze względu na odruch zjeżdżania na prawo na skrzyżowaniach i rondach. Sunęli wzdłuż północnego wybrzeża wyspy, jeszcze raz

zwracając uwagę na wieżowce ośrodków wypoczynkowych, które stały rzędem wzdłuż Cable Beach niczym żołnierze podczas parady. Minąwszy ciąg jaskiń, wyżłobionych w wapiennych skałach przez prehistoryczne morza, skierowali się w głąb wyspy. Skręcili w prawo na najbliższym skrzyżowaniu z Windsor Field Road i dostrzegli w oddali fragment lotniska.

Jadąc wciąż na zachód, bez problemów znaleźli zjazd do Kliniki Wingate'a. Znajdował się po lewej stronie drogi i oznaczony był potężną tablicą.

Gdy się zbliżali, Stephanie pochyliła się do przodu, by zyskać lepszy widok przez przednią szybę.

– Ja nie mogę! Widzisz ten znak?

– Trudno byłoby go przegapić. Ma rozmiary billboardu.

Daniel skierował samochód na świeżo wybrukowany, wysadzany drzewami podjazd.

– Muszą mieć olbrzymi teren – zauważyła Stephanie. Odchyliła się na oparcie fotela. – Nie widzę budynku.

Po kilku zakrętach wśród gęstwiny wiecznie zielonych drzew wijącą się dróżkę niespodziewanie zagrodziła brama. Z obu jej stron ciągnęło się solidne, zwieńczone drutem kolczastym ogrodzenie z siatki, które znikало w sosnowym lesie. Na prawo od bramy stała mała budka, z której wyszedł umundurowany strażnik z pistoletem w kaburze, w wojskowej czapce z daszkiem i lotniczych okularach słonecznych. W dłoni trzymał notatnik. Gdy Daniel zatrzymał samochód, Stephanie opuściła szybę.

Strażnik nachylił się, by spojrzeć na Daniela ponad kolanami Stephanie.

– Czym mogę panu służyć? – zapytał rzeczowym, pozbawionym emocji tonem.

– Nazywamy się D'Agostino i Lowell – odparła Stephanie. – Jesteśmy umówieni na spotkanie z doktorem Wingate'em.

Strażnik zerknął do notatnika, zasalutował im i wrócił do wartowni. Chwilę później brama rozsunała się tak gładko jak drzwi w plastikowym domku. Daniel ruszył naprzód.

Minęło kolejne kilka minut, nim klinika ukazała się wreszcie w zasięgu wzroku. Przycupnięta pośród gustownie rozplanowanych kęp krzewów i kwitnących drzew, okazała się postmodernistycznym kompleksem złożonym z trzech odrębnych, piętrowych budynków, ustawionych w podkowę i połączonych arkadowymi przejściami. Wszystkie budynki oblicowano białym wapieniem, a ich kryte białą, betonową dachówką dachy zwieńczono wymyślnymi akroteriami w kształcie muszli, przywodzącymi na myśl starożytną grecką świątynię. Wzdłuż ścian, pomiędzy oknami o dzielonych szybach, rozmieszczone były kratki, po których zaczynały piąć się ku niebu młode, żywo ubarwione bugenwille.

– Rany boskie! – wykrzyknęła Stephanie. – Czegoś takiego się nie spodziewałam. To jest piękne. Wygląda raczej jak centrum odnowy biologicznej niż jak klinika niepłodności.

Podjazd prowadził do parkingu przed centralnym budynkiem, którego wejście zdobił kolumnowy ganek. Kolumny były przysadziste, z mocno zaznaczoną entazą i prostymi, doryckimi kapitelami.

– Mam nadzieję, że zostawili sobie trochę pieniędzy na wyposażenie laboratorium – mruknął Daniel. Zaparkował wynajętego mercury marquisa pomiędzy kilkoma nowymi bmw z opuszczanymi dachami. Nieco dalej stały dwie limuzyny, których ubrani w liberie kierowcy gawędzili z papierosami w dłoni oparci o przednie błotniki pojazdów.

Daniel i Stephanie wysiedli z samochodu i omietli wzrokiem kompleks. Biel budynków jarzyła się oślepiająco w ostrym bahamskim słońcu.

– Słyszałem, że nieplodność to dochodowy interes – zauważył Daniel – ale nie sądziłem, że aż tak dochodowy.

– Ja też nie – przyznała Stephanie. – Ale zastanawiam się, do jakiego stopnia zawdzięczają to forsie z ubezpieczenia od pożaru, zainkasowanej po ucieczce z Massachusetts. – Pokręciła głową. – Niezależnie od tego, skąd pochodzą te pieniądze, przy obecnych kosztach opieki zdrowotnej bogactwo i medycyna kłócą się ze sobą. Zdecydowanie coś tu nie gra i moim zdaniem nie powinniśmy zadawać się z tymi ludźmi.

– Nie dajmy się ponieść uprzedzeniom i przekonaniu o własnej słuszności – ostrzegł Daniel. – Nie przyjechaliśmy tu ze społeczną misją. Przyjechaliśmy, żeby wyleczyć Butlera, i tyle.

Wielkie, patynowane drzwi centralnego budynku otworzyły się i ukazał się w nich wysoki, mocno opalony, siwowłosy mężczyzna, ubrany w długi, biały fartuch lekarski. Pomachał do nich i odezwał się wysokim, melodyjnym głosem:

– Witajcie!

– W każdym razie serdecznie nas powitano – zauważył Daniel. – Chodźmy! I zachowaj swoje opinie dla siebie.

Daniel i Stephanie spotkali się przed samochodem i skierowali się w stronę ganku.

– Mam nadzieję, że to nie jest Spencer Wingate – szepnęła Stephanie.

– Dlaczego? – odszepnął Daniel.

– Bo jest na tyle przystojny, że mógłby grać lekarza w operze mydlanej.

– Ach, prawda! Chciałaś, żeby był niski, gruby i miał brodawkę na nosie.

– Otóż to.

– Cóż, wciąż możemy jeszcze liczyć na to, że jest nałogowym palaczem i ma nieświeży oddech.

– Och, zaniknij się!

Daniel i Stephanie wkroczyli po trzech schodkach na ganek. Gdy się zbliżyli, Spencer wyciągnął rękę, stopą przytrzymując otwarte drzwi. Przedstawił się wśród uśmiechów i uścisków dłoni, po czym wielkopańskim gestem zaprosił ich do środka.

W harmonii z wyglądem zewnętrznym wewnątrz budynku miało prosty, klasyczny wystrój, z gładkimi pilastrami, ząbkowanymi gzymsami i doryckimi kolumnami. Podłogę z polerowanego wapienia ożywiały wschodnie dywany. Ściany pomalowano na jasny lawendowy kolor, na pierwszy rzut oka sprawiający wrażenie bladej szarości. Nawet meble z

lakierowanego drewna, obite ciemnozieloną skórą, miały w sobie coś klasycznego. Klimatyzowane powietrze przenikała ledwo uchwytna woń świeżej farby, oznaka niedawno ukończonej budowy. Dla Daniela i Stephanie suchy chłód był miłą odmianą po panującym na zewnątrz wilgotnym tropikalnym żarze, nieustannie przybierającym na sile, odkąd wzeszło słońce.

– To nasza główna poczekalnia – powiedział Spencer, wskazując obszerne pomieszczenie. Na osobnych kanapach siedziały dwie niemłode, dobrze ubrane pary. Na moment uniosły wzrok znad nerwowo wertowanych czasopism. Poza nimi jedyną obecną tu osobą była recepcjonistka o jaskraworóżowych paznokciach, która zajmowała miejsce za półokrągłym biurkiem tuż przy wejściu.

– W tym budynku przyjmujemy nowych pacjentów – wyjaśnił Spencer. – Mieszczą się tu też biura. Jesteśmy bardzo dumni z kliniki i chcielibyśmy pokazać wam cały kompleks, choć podejrzewamy, że jesteście zainteresowani przede wszystkim naszym laboratorium.

– I salą operacyjną – dodał Daniel.

– Tak, oczywiście, i salą operacyjną. Ale najpierw chodźcie do mojego gabinetu na kawę i poznajcie resztę zespołu.

Mimo że mieli do pokonania tylko jedno piętro, Spencer poprowadził ich do obszernej windy. Podczas krótkiej jazdy zapytał niczym troskliwy gospodarz, jak minęła im podróż. Stephanie zapewniła go, że lot był przyjemny. Wysiedli na pierwszym piętrze i minęli sekretarkę, która oderwała wzrok od komputera, by powitać ich pogodnym uśmiechem.

Obszerny gabinet Spencera mieścił się w północno-wschodnim narożniku budynku. Na wschodzie widać było lotnisko, na północy zaś niebieską linię oceanu.

– Poczęstujcie się – powiedział Spencer, wskazując serwis do kawy rozstawiony na niskim marmurowym stoliku przed sofą w kształcie litery L. – Ja sprowadzę kierowników działów.

Na chwilę Daniel i Stephanie zostali sami.

– To wygląda jak gabinet dyrektora firmy z listy „Fortune” – zauważyła Stephanie. – Muszę powiedzieć, że uważam cały ten luksus za nieprzyzwoity.

– Wstrzymajmy się z oceną, dopóki nie zobaczymy laboratorium.

– Myślisz, że te dwie pary, które siedziały tam na dole, to pacjenci?

– Nie mam zielonego pojęcia ani nic mnie to nie obchodzi.

– Wydawali się dość starzy jak na leczenie niepłodności.

– To nie nasze zmartwienie.

– Myślisz, że Klinika Wingate’a zajmuje się zapładnianiem starszych kobiet, tak jak ten szarlatan we Włoszech?

Daniel rzucił jej rozdrażnione, zirytowane spojrzenie, ale w tej właśnie chwili do gabinetu ponownie wszedł Spencer w towarzystwie mężczyzny i kobiety, także ubranych w białe, mocno nakrochmalone, długie lekarskie fartuchy. Zaczął od przedstawienia im Paula

Saundersa, którego niska, krępa sylwetka o grubej szyi przywiodła Stephanie na myśl kolumny wspierające ganek przed wejściem do budynku. Poza tym Paul miał okrągłą twarz o pełnych rysach i obrzmiałej, ziemistej, bladej cerze, co w sumie stanowiło ostry kontrast wobec wysokiej, szczupłej sylwetki, wyrazistych kanciastych rysów i opalenizny Spencera. Szopa niesfornych, ciemnych włosów z rzucającym się w oczy białym pasmem nad czołem dopełniała dziwaczного wyglądu Paula i podkreślała jego bladość.

Paul ścisnął energicznie dłoń Daniela i uśmiechnął się szeroko, odsłaniając kwadratowe, szeroko rozstawione, pożółkłe zęby.

– Witamy w Klinice Wingate’a – powiedział. – To dla nas zaszczyt gościć was tutaj. Nie mam słów, by wyrazić, jak bardzo cieszę się na naszą współpracę.

Stephanie uśmiechnęła się słabo, gdy podszedł do niej i potrząsnął jej ręką. Jej uwagę przykuły oczy tego mężczyzny. Z powodu szerokiej nasady nosa wydawały się osadzone bliżej siebie niż zwykle. Poza tym nigdy jeszcze nie widziała osoby o różnobarwnych tęczęwkach.

– Paul jest naszym szefem badań – oświadczył Spencer, poklepując współpracownika po plecach. – Nie może się doczekać, żeby zabrać was do swego laboratorium, i aż się pali do pomocy... i do nauczenia się paru rzeczy, mógłbym dodać. – Następnie objął ramiona kobiety, która niemal dorównywała mu wzrostem. – A to jest Sheila Donaldson, kierowniczka przychodni. To ona zajmie się sprawą udostępnienia wam jednej z naszych dwóch sal operacyjnych, jak również naszych pomieszczeń hospitalizacyjnych, z których, jak sądzę, będziecie korzystać.

– Nie wiedziałem, że możecie hospitalizować pacjentów – zauważył Daniel.

– Jesteśmy samowystarczalną placówką, świadczącą pełny zakres usług – odparł dumnie Spencer. – Choć przy ewentualnej długofalowej opiece, której nie przewidujemy, będziemy kierować pacjentów do szpitala w mieście. Nasze możliwości hospitalizacji są ograniczone i nastawione raczej na sporadyczny jednodniowy pobyt, co powinno w pełni odpowiadać waszym potrzebom.

Stephanie oderwała wzrok od Paula Saundersa, by spojrzeć na Sheilę Donaldson. Kobieta miała wąską twarz, obramowaną prostymi, kasztanowymi włosami. W porównaniu ze swymi rozentuzjasmowanymi kolegami wydawała się zamknięta w sobie, niemal nieśmiała. Gdy ścisnęły sobie dłonie, Stephanie odniosła wrażenie, że lekarka unika jej wzroku.

– Nie chcecie kawy? – zapytał Spencer.

Zarówno Stephanie, jak i Daniel pokręcili głowami.

– Myślę, że oboje wypiliśmy już dzisiaj swój przydział – wyjaśnił Daniel. – Wciąż jeszcze funkcjonujemy według europejskiego czasu i jesteśmy na nogach od białego rana.

– Byliście w Europie? – zapytał z ożywieniem Paul. – Czy to miało coś wspólnego z Całunem Turyńskim?

– Istotnie – przyznał Daniel.

– Ufam, że to była udana wyprawa – powiedział Paul z konspiracyjnym mrugnięciem.

– Ciężka, ale udana – odparł Daniel. – Byliśmy... – Urwał, jak gdyby zastanawiając się, co chce powiedzieć.

Stephanie wstrzymała oddech. Miała nadzieję, że Daniel nie opowie o ich przeżyciach w Turynie. Bardzo chciała zachować dystans wobec tych ludzi. Podzielenie się z nimi ich niedawnymi przejściami byłoby zbyt osobiste i przekroczyłoby granicę, której nie chciała przekraczać.

– Zdołaliśmy zdobyć próbkę z plamy krwi na całunie – podjął Daniel. – Mam ją w tej chwili przy sobie. Jeśli można, chciałbym umieścić ją w buforowanym roztworze soli fizjologicznej, by ustabilizować fragmenty DNA, i wolałbym to zrobić możliwie jak najszybciej.

– Dobrze – odparł Paul. – Chodźmy wprost do laboratorium.

– Nie ma powodów, dla których nie mielibyśmy zacząć wycieczki właśnie tam – zgodził się Spencer.

Z poczuciem ulgi, że odpowiedni dystans został zachowany, Stephanie wypuściła powietrze i odprężyła się nieco, gdy cała grupa wychodziła z gabinetu Spencera.

Przy windzie Sheila wyjaśniła, że oczekuje pacjentów i musi dopilnować pewnych spraw, a potem opuściła towarzystwo i ruszyła w dół po schodach.

Do laboratorium, które znajdowało się na lewo od centralnego budynku, dochodziło się jednym z wdzięcznie wygiętych, krytych przejść.

– Zaprojektowaliśmy klinikę w postaci osobnych budynków, żeby zmusić się do wychodzenia na dwór, nawet jeżeli pracujemy non stop – wyjaśnił Paul. – To dobre dla ducha.

– Ja wychodzę trochę częściej niż Paul – dodał Spencer ze śmiechem. – Co widać zresztą po mojej opaleniznie. Nie jestem aż takim pracoholikiem jak on.

– Laboratorium zajmuje cały ten budynek? – zapytał Daniel, przechodząc przez przytrzymywane przez Spencera drzwi.

– Nie do końca – odparł Paul. Ruszył naprzód w stronę stojaka na gazety, gdzie pochylił się, by podnieść ze stosu czasopismo w błyszczącej okładce. Grupa weszła do pomieszczenia, wyglądającego jak połączenie poczekalni i biblioteki. Wzdłuż ścian ciągnęły się regały z książkami. – To nasza czytelnia czasopism, a tutaj mam dla was egzemplarz najnowszego numeru „Przeglądu Technologii Reprodukcyjnej Dwudziestego Pierwszego Wieku”. – Z dumą wręczył publikację Danielowi. – Jest tu kilka artykułów, które być może was zainteresują.

– To bardzo uprzejme z twojej strony – wykrztusił Daniel. Rzucił okiem na wydrukowany na okładce przegląd zawartości i podał czasopismo Stephanie.

– Oprócz laboratorium mamy tu też kwatery mieszkalne – wyjaśnił Paul. – Wśród nich jest także parę pokoi dla gości, które nie są może luksusowe, ale zupełnie przyjemne.

Gdybyście chcieli być blisko swojej pracy, zapraszamy do skorzystania z nich. W budynku po drugiej stronie ogrodu mamy nawet stołówkę, która serwuje trzy posiłki dziennie, więc nie musielibyście wychodzić na zewnątrz, chyba że sami byście chcieli. Widzicie, wielu naszych pracowników mieszka na terenie kliniki i ich kwatery znajdują się również w tym budynku.

– Dziękujemy za propozycję – odparła szybko Stephanie. – To bardzo miłe z waszej strony, ale mamy bardzo wygodne zakwaterowanie w mieście.

– Gdzie się zatrzymaliście, jeśli można wiedzieć? – zapytał Paul.

– W Ocean Club – odparła Stephanie.

– Bardzo dobry wybór – przyznał Paul. – Cóż, propozycja pozostaje aktualna, na wypadek gdybyście postanowili zmienić zdanie.

– Nie sądzę, żeby do tego doszło – stwierdziła Stephanie.

– Wróćmy do naszej wycieczki – zaproponował Spencer.

– Oczywiście – zgodził się Paul. Gestem skierował grupę ku dwuskrzydłowym drzwiom, prowadzącym w głąb budynku. – Oprócz laboratorium i kwater mieszkalnych w tym budynku znajduje się też nieco sprzętu diagnostycznego, na przykład skaner do pozytonowej tomografii emisyjnej, PET. Kazaliśmy zainstalować go tutaj, bo uznaliśmy, że będziemy wykorzystywać go w większym stopniu do badań niż do pracy klinicznej.

– Nie przypuszczałem, że macie skaner PET – odezwał się Daniel. Z uniesionymi brwiami zerknął na Stephanie, by okazać swe pozytywne zaskoczenie jako przeciwwagę dla jej wyraźnej niechęci. Wiedział, że skaner PET, który wykorzystuje promienie gamma do badania funkcji fizjologicznych, mógłby okazać się przydatny, gdyby po zabiegu pojawiły się jakieś problemy z Butlerem.

– Postanowiliśmy uczynić z Kliniki Wingate’a w pełni wyposażoną placówkę badawczą i kliniczną – oświadczył z dumą Paul. – Skoro zainstalowaliśmy tomograf komputerowy i skaner do jądrowego rezonansu magnetycznego, pomyśleliśmy, że możemy równie dobrze dodać do tego i PET.

– Jestem pod wrażeniem – przyznał Daniel.

– Wyobrażam sobie – odparł Paul. – A jako odkrywcę HTRS zainteresuje cię pewnie, że zamierzamy stać się liderami nie tylko w dziedzinie niepłodności, ale i w terapii komórkami macierzystymi.

– To interesujące połączenie – stwierdził wymijająco Daniel, bo nie był pewien, co ma sądzić o tej nieoczekiwanej nowinie. Jak tyle innych rzeczy w tej klinice, wieść, że ci ludzie myślą o prowadzeniu terapii komórkami macierzystymi, zaskoczyła go kompletnie.

– Uznaliśmy to za naturalne rozszerzenie naszych prac – wyjaśnił Paul – przy naszych możliwościach uzyskania ludzkich oocytów i rozległych doświadczeniach z transferem jądrowym. Ironią losu jest to, że sądziliśmy, że będzie to działalność uboczna, a tymczasem odkąd otworzyliśmy podwoje, zajmujemy się w większym stopniu terapią komórkami macierzystymi niż leczeniem niepłodności.

– To prawda – wtrącił Spencer. – W istocie ci pacjenci, których widzieliście w głównej poczekalni, przyszedli tu na terapię komórkami macierzystymi. Najwyraźniej wieści o naszych usługach rozchodzą się szybko. Nie musieliśmy się wcale reklamować.

Na twarzach Daniela i Stephanie odmalowało się zakłopotanie i zaskoczenie.

– Jakie choroby leczycie? – zapytał Daniel.

Paul roześmiał się.

– Praktycznie wszystkie! Wielu ludzi rozumie, jaką szansę stwarzają komórki macierzyste w walce z mnóstwem dolegliwości, od nieuleczalnego raka i chorób zwyrodnieniowych do problemów podeszłego wieku. A skoro nie mogą poddać się terapii komórkami macierzystymi w Stanach, przyjeżdżają do nas.

– Przecież to absurd! – wykrzyknęła Stephanie. Była przerażona. – Nie ma żadnych zatwierdzonych procedur leczenia cokolwiek za pomocą komórek macierzystych.

– Pierwsi przyznajemy, że przecieramy nowy szlak – odparł Spencer. – To działalność eksperymentalna, podobnie jak to, co wy sami zamierzacie zrobić ze swym pacjentem.

– W gruncie rzeczy wykorzystujemy publiczne zapotrzebowanie, by zdobyć fundusze na sfinansowanie niezbędnych badań – wyjaśnił Paul. – Do diabła, to jedyne rozsądne wyjście, skoro rząd Stanów Zjednoczonych tak asekurancko podchodzi do finansowania tych prac i tak bardzo utrudnia życie naukowcom na kontynencie.

– Jakiego rodzaju komórek używacie? – zapytał Daniel.

– Multipotencjalnych komórek macierzystych – odparł Paul.

– Nie różnicujecie komórek? – zdziwił się Daniel. Nie wierzył własnym uszom, gdyż nieodróżniane komórki macierzyste nie mogą niczego wyleczyć.

– Nie, wcale – przyznał Paul. – Oczywiście będziemy próbować tego w przyszłości, ale na razie wykonujemy po prostu transfer jądrowy, namnażamy komórki macierzyste i wstrzykujemy je. Pozwalamy, by organizm pacjenta wykorzystał je tak, jak uzna za stosowne. Mieliśmy parę interesujących rezultatów, nie w każdym przypadku co prawda, ale taka już jest natura badań.

– Jak możecie nazywać to, co robicie, badaniami? – wybuchnęła Stephanie. – I wybacz pan, ale nie zgodzę się z panem – nie ma żadnego porównania między tym, co my planujemy, a waszą działalnością.

Daniel chwycił Stephanie za ramię i odciągnął ją od Paula.

– Doktor D’Agostino chodzi po prostu o to, że my będziemy prowadzić terapię z użyciem zróżnicowanych komórek.

Stephanie szarpnęła się, aby wyrwać rękę z uścisku Daniela.

– Chodzi mi o diablo więcej niż tylko to – rzuciła w odpowiedzi. – Te zabiegi z komórkami macierzystymi, o których mówicie, to szarlataneria w najczystszej postaci!

Daniel ścisnął mocniej jej ramię.

– Przepraszamy na chwilę – powiedział do Paula i Spencera, których twarze



spochmurniały. Siłą odciągnął Stephanie na bok i odezwał się do niej gniewnym szeptem: – Co ty, do cholery, wyprawiasz? Chcesz zawalić całe przedsięwzięcie i doprowadzić do tego, żeby nas stąd wyrzucili?

– Jak to, co ja wyprawiam? – odparła równie ostro. – Jak możesz nie być oburzony? Jakby wszystkiego było mało, ci ludzie okazują się szarlatanami, którzy oferują cudowne kuracje.

– Zamknij się! – warknął Daniel. Potrząsnął nią. – Czy wciąż muszę ci przypominać, że jesteśmy tu w jednym, i tylko w jednym celu: by leczyć Butlera! Nie możesz się powstrzymać, na Boga? W grę wchodzi przyszłość CURE i HTRS. Ci ludzie z całą pewnością nie są święci. Wiedzieliśmy to od samego początku. Dlatego właśnie są tu, na Bahamach, a nie w Massachusetts. Więc nie psujmy wszystkiego świętym oburzeniem!

Przez chwilę oboje mierzyli się pałającym wzrokiem. Wreszcie Stephanie poddała się i zwiesiła głowę.

– Puść mnie. To boli – powiedziała.

– Przepraszam – odparł Daniel. Wypuścił jej rękę, którą Stephanie natychmiast zaczęła rozcierać. Nabrał powietrza do płuc, starając się opanować gniew. Obejrzał się na Spencera i Paula, którzy obserwowali ich z lekkim zdziwieniem. Odwrócił się znów do Stephanie i powiedział: – Czy możemy skupić się na zadaniu? Czy możemy pogodzić się z faktem, że ci ludzie są pozbawionymi zasad, skorumpowanymi durniami i nie zaprzętać sobie tym więcej głowy?

– Wobec tego, co planujemy, być może powinniśmy powiedzieć sobie: „Jeśli chcesz krytykować innych, zacznij od siebie”. Chyba dlatego właśnie to wszystko tak bardzo mnie martwi.

– I może masz rację – przyznał Daniel. – Ale pamiętaj, że my zostaliśmy zmuszeni do naruszania zasad etyki. Skoro to ustaliliśmy, czy mogę liczyć, że zachowasz swoje opinie na temat Kliniki Wingate’a i jej działalności dla siebie, przynajmniej dopóki nie znajdziemy się sami?

– Postaram się.

– Świetnie – stwierdził Daniel. Zacerpnął kolejny głęboki oddech dla dodania sobie otuchy, po czym odszedł do gospodarzy obiektu. Stephanie ruszyła kilka kroków za nim. – Chyba jeszcze nie doszliśmy do siebie po podróży – wyjaśnił Daniel Spencerowi i Paulowi. – Oboje jesteśmy trochę roztrzęsieni. Poza tym doktor D’Agostino ma skłonność do przesady, kiedy dowodzi swych racji. Jej zdaniem różnicowanie pozwoliłoby skuteczniej wykorzystać możliwości tkwiące w komórkach macierzystych.

– Nasze metody przynoszą znakomite efekty – oświadczył Paul. – Być może zechciałaby pani się z nimi zapoznać przed dokonaniem generalnego osądu.

– Byłoby to bardzo pouczające – wykrztusiła Stephanie.

– Chodźmy dalej – zaproponował Spencer. – Chcielibyśmy pokazać wam całą klinikę

przed lunchem, a jest sporo do oglądania.

W oszołomieniu Daniel i Stephanie przeszli przez dwuskrzydłowe drzwi do rozległego laboratorium. Tu znów czekała ich niespodzianka. Same rozmiary tego pomieszczenia, w połączeniu z zestawem wypełniającego go sprzętu, od sekwenatorów DNA po przyziemne inkubatory do hodowli tkankowych, przekraczały ich najśmielsze wyobrażenia i oczekiwania. Brakowało tu jedynie personelu. W głębi sali widać było samotną laborantkę, która pracowała przy mikroskopie stereoskopowym.

– Cierpimy w tej chwili na niedobór pracowników – wyjaśnił Spencer, jak gdyby odczytując myśli swych gości. – Ale to wkrótce się zmieni, gdy pacjenci zaczną walić drzwiami i oknami.

– Sprowadzę kierowniczkę laboratorium – powiedział Paul, po czym zniknął na chwilę w przyległym gabinecie.

– Przewidujemy, że za około sześć miesięcy będziemy już mieć pełną obsadę – oświadczył Spencer.

– Ilu laborantów zamierzacie zatrudniać? – zapytała Stephanie.

– Około trzydziestu – odparł Spencer. – Tyle w każdym razie wynika z naszych obecnych prognoz. Ale jeśli popyt na terapię komórkami macierzystymi będzie nadal wzrastał w dotychczasowym tempie, będziemy musieli podwyższyć tę liczbę.

Paul pojawił się znowu, prowadząc za rękę drobną, chudą jak szkielet kobietę o wyraźnie odznaczających się przez skórę kościach, szczególnie policzkowych. Miała bure, przetykane siwizną włosy i wąski jak nóż nos, który sterczał niczym wykrzyknik nad małymi ustami o cienkich wargach. Ubrana była w narzucony na spodniem krótki fartuch laboratoryjny z podwiniętymi rękawami. Paul podprowadził kobietę do grupy i przedstawił ją. Nazywała się Megan Finnigan, jak obwieszczała też plakietka z nazwiskiem przypięta do kieszeni jej fartucha.

– Jesteśmy gotowi na wasze przyjęcie – powiedziała Megan, gdy prezentacja dobiegła końca. Mówiła cicho, z bostońskim akcentem. Wskazała na pobliski stół laboratoryjny. – Przygotowaliśmy dla was to stanowisko z całym wyposażeniem, jakie naszym zdaniem może być wam potrzebne. Jeśli będziecie potrzebować czegoś jeszcze, wystarczy, że poprosicie. Drzwi do mojego gabinetu są zawsze otwarte.

– Doktor Lowell potrzebuje małej buteleczki buforowanego roztworu soli fizjologicznej – wtrącił Paul. – Ma próbkę tkaniny ze śladami krwi, której DNA chce zakonserwować.

– To żaden problem – odparła Megan. Krzyknęła do samotnej laborantki, by przyniosła roztwór. Kobieta w głębi sali odsunęła się od mikroskopu, żeby wykonać polecenie.

– Kiedy chcielibyście rozpocząć pracę? – zapytała Megan, podczas gdy Daniel i Stephanie rozglądali się po przydzielonym im obszarze laboratorium.

– Jak najszybciej – odparł Daniel. – Co z ludzkimi oocytami? Czy będą osiągalne, kiedy będziemy ich potrzebować?

– Oczywiście – oświadczył Paul. – Musicie tylko uprzedzić nas jakieś dwanaście godzin wcześniej.

– Zdumiewające – zauważył Daniel. – Jak to możliwe?

Paul uśmiechnął się.

– To tajemnica służbowa. Może kiedy popracujemy razem, będziemy mogli dzielić się takimi sekretami. Ja jestem równie zainteresowany waszym HTRS.

– Czy mam rozumieć, że chcecie zacząć już dzisiaj? – zapytała Megan.

– Niestety, jeszcze nie możemy – odparł Daniel. – Jeśli nie liczyć umieszczenia próbki tkaniny w roztworze soli, musimy czekać z rozpoczęciem prac na przesyłkę kurierską ze Stanów. – Odwrócił się do Spencera. – Nie przypuszczam, żeby coś przyszło dla nas dziś rano.

– Kiedy została wysłana? – zapytał Spencer.

– Wczoraj wieczorem z Bostonu – odparła Stephanie.

– Ile ważyła? – zapytał Spencer. – Od tego zależy, jak szybko tu dotrze. Ostatecznie przesyłka z Bostonu to przesyłka zagraniczna. Jeśli to była koperta albo mała paczuszka, może być na miejscu na drugi dzień po wysłaniu i trafić tu do nas po południu.

– To nie była koperta – wyjaśniła Stephanie. – To coś na tyle dużego, by pomieścić izolowany pojemnik z zamrożoną hodowlą komórkową i zestaw odczytników.

– W takim razie nie można się jej spodziewać wcześniej niż jutro – oświadczył Spencer. – Będzie musiała przejść przez odprawę celną, co zajmie co najmniej jeden dodatkowy dzień.

– Musimy koniecznie umieścić hodowlę w lodówce, zanim się rozmrozi – zauważyła Stephanie.

– Mogę zadzwonić do urzędu celnego i to przyspieszyć – powiedział Spencer. – Przez cały rok budowy mieliśmy z nimi do czynienia niemal codziennie.

Laborantka przybyła z zakorkowaną butelką buforowego roztworu soli. Była dwudziestokilkuletnią Afroamerykanką o jasnej karnacji i krótko obciętych włosach. Grzbiet jej nosa upstrzony był piegami, a małżowiny uszne zdobiła imponująca kolekcja kolczyków.

– To Maureen Jefferson – powiedział Paul tytułem prezentacji. – Nazywamy ją Mare. Nie chcę jej peszyć, ale jest znakomita, jeśli chodzi o mikropipety i transfer jądrowy. Więc gdybyście potrzebowali jakiegokolwiek pomocy, możecie zwrócić się do niej. Mam rację, Mare?

Mare uśmiechnęła się skromnie, podając pojemnik z solanką Danielowi.

– To bardzo uprzejme z waszej strony – odparła Stephanie – ale myślę, że z manipulacjami komórkowymi, poradzimy sobie sami.

Cała grupa przyglądała się, jak Daniel wyjmując z kieszeni zamknięty celofanowy woreczek, nożyczkami, które podała mu Megan, odcina jeden koniec torebki, otwiera ją, ściskając jej boki, po czym ostrożnie wyrzuca z niej do roztworu mały, bladoczerwony skrawek wiekowego płótna. Strzępek opadł na powierzchnię cieczy. Daniel zamknął butelkę

gumowym korkiem i docisnął go mocno. Tłustym ołówkiem, także podanym mu przez Megan, napisał na ścianie butelki inicjały CT.

– Czy jest tu jakieś bezpieczne miejsce, gdzie można by to przechować, kiedy składniki krwi będą rozpuszczać się w roztworze? – zapytał.

– Całe laboratorium jest bezpieczne – oświadczył Paul. – Nie ma powodu do obaw. Zatrudniamy własnych, profesjonalnych ochroniarzy.

– Uważaj tę klinikę za miejscowy Fort Knox – dodał Spencer.

– Mogę to zamknąć w swoim gabinecie – podsunęła Megan. – Albo nawet włożyć do małego sejfu, który tam mam.

– Byłbym za to wdzięczny – odparł Daniel. – To rzecz na wagę złota.

– Nie bój się – uspokoił go Paul. – Próbka będzie bezpieczna. Wierz mi! Czy mógłbym potrzymać ją przez chwilę?

– Proszę bardzo – odparł Daniel, podając mu butelkę. Paul uniósł ją ku jednej z wiszących pod sufitem lamp.

– Wyobrażacie sobie? – zapytał, patrząc spod przymrużonych powiek na strzępek czerwonej tkaniny, pływający na powierzchni płynu. – Mamy tu DNA Chrystusa! Na samą myśl o tym dostaję dreszczy.

– Nie przesadzajmy – upomniał go Spencer.

– Jak udało się wam to zdobyć? – zapytał Paul, ignorując uwagę szefa.

– Dzięki pomocy pewnych wysoko postawionych dostojników kościelnych – odparł wymijająco Daniel.

– A jak ją sobie załatwiliście? – drażył Paul, nie odrywając wzroku od wypełnionej płynem butelki. Obracał ją wolno.

– Prawdę mówiąc, to nie my ją załatwiliśmy – wyjaśnił Daniel. – Zrobił to nasz pacjent.

– Ach tak – mruknął Paul. Opuścił butelkę i spojrzał na Spencera. – Czy wasz pacjent jest związany z Kościołem katolickim?

– Nie, o ile nam wiadomo – odparł Daniel.

– W każdym razie musi tam mieć potężne wpływy – podsunął Spencer.

– Być może – zgodził się Daniel. – Nic o tym nie wiemy.

– Teraz, po wizycie we Włoszech – zmienił temat Spencer – jakie jest wasze zdanie na temat autentyczności Całunu Turyńskiego?

– Jak już mówiłem przez telefon – oświadczył Daniel z ledwie skrywaną irytacją – nie zamierzamy wdawać się w spory na temat całunu. Po prostu na usilną prośbę naszego pacjenta wykorzystujemy go jako źródło DNA potrzebnego do HTRS. – Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzył, było toczenie intelektualnej dyskusji z tymi palantami.

– Cóż, nie mogę się doczekać spotkania z tym waszym pacjentem – stwierdził Paul. – On i ja mamy coś wspólnego – obaj wierzymy, że Całun Turyński jest autentycznym. – Podał butelkę Megan. – Bądźmy podwójnie ostrożni! Mam przeczucie, że ten strzępek tkaniny

przejdzie do historii.

Megan wzięła od niego butelkę i chwyciła ją oburącz. Odwróciła się do Daniela.

– Jakie są pana plany co do tego preparatu? – zapytała. – Nie oczekuje pan, że płótno się rozpuści, prawda?

– Oczywiście, że nie – odparł Daniel. – Chcę tylko, żeby próbka była zanurzona w roztworze, tak by limfocytowy DNA mógł do niego przeniknąć. Za mniej więcej dwadzieścia cztery godziny przepuszczę partię materiału przez reakcję łańcuchową polimerazy. Elektroforeza powinna dać nam pojęcie, z czym mamy do czynienia. Jeśli okaże się, że dysponujemy wystarczającą ilością fragmentów DNA, czego jestem raczej pewien, namnożymy je i zobaczymy, czy nasze sondy wyłowią to, czego potrzebujemy do HTRS. Oczywiście może trzeba będzie powtórzyć ten proces kilkakrotnie i sekwencjonować wszelkie luki. Tak czy inaczej, próbka pozostanie w solance, dopóki nie uzyskamy tego, czego chcemy.

– Świetnie – odparła Megan. – Tak jak mówiłam, włożę butelkę do sejf. Jutro proszę po prostu dać mi znać, kiedy będzie pan jej potrzebować.

– Doskonale – powiedział Daniel.

– Jeśli to już wszystko, może przeszlibyśmy do budynku przychodni? – podsunął Spencer. Spojrzał na zegarek. – Chcemy, żebyście zobaczyli nasze sale operacyjne, jak również pomieszczenia do hospitalizacji pacjentów. Możecie tam porozmawiać z personelem, a potem pokażemy wam naszą stołówkę. Zaplanowaliśmy nawet z tej okazji uroczysty lunch, na który zaprosiliśmy też neurochirurga, doktora Rashida Nawaza. Pomyśleliśmy, że będziecie chcieli go poznać.

– To prawda – przyznał Daniel.

Zdawało się to trwać całe wieki, ale wreszcie Gaetano znalazł się na czele kolejki do wypożyczalni samochodów na międzynarodowym lotnisku w Nassau. Nie mógł się nadziwić, dlaczego wszystkim tym ludziom wynajęcie głupiego samochodu zajmuje aż tyle czasu, skoro wszystko sprowadzało się jedynie do podpisania cholernego formularza. Zerknął na zegarek. Było wpół do pierwszej po południu. Przyleciał zaledwie dwadzieścia minut wcześniej, choć opuścił Boston o szóstej rano, zanim jeszcze zrobiło się widno. Problemem był brak bezpośrednich połączeń – musiał przesiąść się na inny samolot w Orlando.

Nerwowo przestąpił z nogi na nogę. Sal i Lou zupełnie jasno dali mu do zrozumienia, że chcą, by załatwił swą misję w jeden dzień i zasuwał z powrotem do Bostonu. Wyraźnie przestrzegli, że nie będą tolerować żadnych kulawych wymówek, choć jednocześnie przyznali, że kluczem do sukcesu jest sprawne namierzenie doktora Daniela Lowella, co wcale nie było błahostką, skoro łaskawie przyznali, że istnieje parę niewiadomych. Gaetano obiecał, że zrobi wszystko, co w jego mocy, ale nie było w ogóle szansy na wykonanie zadania, jeżeli nie dostanie się do hotelu Ocean Club, i to piorunem.

Plan był prosty. Gaetano miał pójść do hotelu, zlokalizować cel, który, według Lou i Sala, na pewno przy takiej pogodzie będzie się wylegiwał na plaży, wywabić go pod jakimkolwiek pretekstem z hotelu i zrobić to, co miał do zrobienia, czyli przekazać mu wiadomość od szefów i dać mu wycisk, by to do niego dotarło. Potem Gaetano miał wracać w te pędy na lotnisko i wsiąść do pierwszego samolotu do Miami, by zdążyć na ostatni lot do Bostonu. Gdyby z jakiegoś niewiadomego powodu nie dało się tego zrobić, wówczas miał wykonać swoją misję wieczorem, pod warunkiem że profesor opuści hotel, po czym spędzić noc w jakiejś wszawej noclegowni i wrócić następnego dnia. W tym wypadku jedyny problem polegał na tym, że nie było gwarancji, że cel opuści hotel, co wymagałoby przesunięcia wszystkiego na następny dzień. Gdyby do tego doszło, Lou i Sal byliby na niego wściekli, bez względu na to, co mógłby powiedzieć na swoją obronę, więc czuł się jak między młotem a kowadłem. Problem sprowadzał się do tego, że Gaetano był potrzebny w Bostonie. Jak przypomnieli mu jego szefowie, czekało go dużo pracy, bo gospodarka wywinęła kozła i ludzie skarżyli się, że nie mają pieniędzy na spłatę pożyczek i długów z hazardu.

Gaetano otarł z szerokiego czoła pot, który wystąpił mu u nasady ciemnych, krótko obciętych włosów. Ubrany był w starannie odprasowane, jasnobrązowe spodnie, kwiecistą koszulę z krótkim rękawem i niebieską sportową marynarkę. Chodziło o to, by wyglądał szykownie i nie odróżniał się od reszty towarzystwa, kiedy będzie się kręcić po Ocean Club. W tej chwili miał marynarkę przewieszoną przez ramię, a jego spodnie były mokre i wygniecione pod kolanami. Przy swej krępej, zwalistej sylwetce źle znosił wilgotny, tropikalny żar.

Piętnaście minut później szedł już po rozgrzanym jak patelnia parkingu, szukając białego jeepa cherokee. Jeśli przedtem było mu gorąco, teraz dosłownie się gotował, o czym świadczyły trójkątne plamy potu pod pachami koszuli. W prawej ręce niósł małą torbę podróżną, a w lewej ścisnął dokumenty wynajętego samochodu i mapę, którą dostał od pracownika. Pomysł jazdy lewą stroną, stosownie do instrukcji przedstawiciela wypożyczalni, w pierwszej chwili go zastopował, ostatecznie jednak Gaetano uznał, że poradzi sobie, jeśli tylko będzie o tym pamiętał. Zdawało mu się szczytem śmiechności, że Bahamczycy jeżdżą po niewłaściwej stronie drogi.

Odnalazł samochód. Natychmiast wsiadł do środka i uruchomił silnik. W pierwszej kolejności włączył klimatyzację na pełne obroty i skierował wszystkie wywietrzniki w swoją stronę. Przystudiowawszy mapę i rozłożywszy ją na siedzeniu obok siebie, wyjechał z parkingu.

Dyskutowano trochę na temat dostarczenia mu spluwy, ale porzucono ten zamiar. Po pierwsze, zabrałoby to zbyt dużo czasu, po drugie zaś, co ważniejsze, nie potrzebował jej, by załatwić się z zafajdanym profesorem. Jeszcze raz spojrzął na mapę. Trasa była dość prosta, gdyż większość dróg prowadziła do centrum Nassau. Stamtąd miał przejechać przez most na Paradise Island, gdzie, jak sądził, bez trudu znajdzie Ocean Club.

Uśmiechnął się do swego losu. Kto mógłby przypuszczać kilka lat wcześniej, że Gaetano będzie teraz jechał samochodem przez Bahamy, odpicowany jak goguś, w boskim nastroju i gotowy do akcji? Dreszcz podniecenia sprawił, że włosy na karku na chwilę stanęły mu dęba. Gaetano lubił przemoc w każdej postaci. Był to swego rodzaju nałóg, który w przeszłości przysparzał mu kłopotów, już od podstawówki, ale przede wszystkim w szkole średniej. Przepadał za brutalnymi filmami akcji i ostrymi grami komputerowymi, ale najbardziej uwielbiał rzeczywistą przemoc. Dzięki swym rozmiarom, które osiągnął już w młodym wieku, i dzięki sprawności fizycznej wychodził górą z większości bójek.

Prawdziwy problem zdarzył się w roku 2000. Wraz ze swym starszym bratem pracował, tak jak teraz, jako spec od brudnej roboty, ale wtedy wykonywał rozkazy jednej z głównych rodzin mafijnych w Queens. Pojawiło się zlecenie, do którego przydzielono ich obu, Gaetana i jego brata Vita. Mieli dać nauczkę gliniarzowi, który brał łapówki, lecz nie wywiązywał się ze swych zobowiązań. Sprawa wyglądała na prostą, wyszło jednak inaczej. Gliniarz wyciągnął ukrytą spluwę i nim Gaetano go rozbroił, zdołał poważnie zranić Vita.

Fatalnym trafem Gaetano wpadł w szaf. Gdy oprzytomniał, okazało się, że zabił nie tylko policjanta, ale także jego żonę i nastoletniego syna, którzy jak idioci rzucili się na pomoc, kobieta z drugą spluwą, a dzieciak z kijem baseballowym. Wszyscy byli wściekli. Coś takiego nie powinno się było wydarzyć i wywołało gwałtowną reakcję ze strony nowojorskich organów ochrony porządku publicznego, jak gdyby ten gliniarz był jakimś bohaterem. Z początku Gaetano myślał, że stanie się kozłem ofiarnym: albo mafia sama go załatwi, albo wyda w ręce policji. Potem jednak zupełnie niespodziewanie nadarzyła się okazja, by wyjechać do Bostonu, gdzie miał pracować dla braci Castigliano, spokrewnionych w jakiś odległy sposób z rodziną, dla której pracowali Baressowie.

Początkowo Gaetano był bardzo niezadowolony z tej zmiany. Nienawidził Bostonu, który uważał za zapyziałe miasteczko w porównaniu z Nowym Jorkiem, i nienawidził pracy za biurkiem w hurtowni z armaturą sanitarną, którą uważał za poniżającą. Ale powoli przyzwyczał się do tego.

– O kurwa! – wykrzyknął, gdy po raz pierwszy odsłonił się przed nim widok na bahamski ocean. Nigdy w życiu nie widział tak intensywnego turkusu i błękitu. Gdy natężenie ruchu na drodze wzrosło, Gaetano odpowiednio zwolnił i rozkoszował się scenerią. Dostosowanie się do ruchu lewostronnego przyszło mu łatwiej, niż się spodziewał, co pozwoliło mu swobodnie wędrować wzrokiem dookoła, a widoki były tego warte. Zaczął już nabierać optymizmu co do popołudnia, jednak po dotarciu do samego Nassau ugrzązł w morzu pojazdów i przez pewien czas tkwił za autobusem w zatorze.

Spojrzał na zegarek. Było już po pierwszej. Pokręcił głową. Jego optymizm przygasł gwałtownie. Gaetano zdawał sobie sprawę, iż szanse na to, że zdąży wykonać zadanie i wrócić na lotnisko przed czwartą trzydzieści, co było konieczne, jeśli miał złapać samolot z Miami do Bostonu, maleją z każdą upływającą minutą.

– Pierdolę to! – wybuchnął nagle. Postanowił, że nie pozwoli, by pośpiech zepsuł mu dzień. Wziął głęboki oddech i wyjrzał przez okno. Uśmiechnął się nawet do pięknej czarnej kobiety, a ta odwzajemniła uśmiech, dzięki czemu uznał perspektywę spędzenia tu nocy za dość pociągającą. Opuścił szybę, ale kobieta zdążyła już zniknąć. Chwilę później autobus przed nim zaczął posuwać się do przodu.

Jakiś czas potem Gaetano dotarł wreszcie do mostu. Pokonał eleganckie prześło łączące New Providence z Paradise Island i wkrótce znalazł się na parkingu ośrodka Ocean Club, który, jak ocenił po wyglądzie pojazdów, przeznaczony był raczej dla pracowników niż dla gości.

Zostawiwszy torbę i marynarkę na tylnym siedzeniu samochodu, Gaetano ruszył na zachód biegnącą wśród drzew i kwiatów ścieżką, po czym skręcił na północ między dwa z hotelowych budynków i dotarł na trawnik oddzielający hotel od plaży. Następnie ruszył na wschód, z powrotem w stronę centralnych budynków, które mieściły obiekty publiczne i restauracje. Był pod wrażeniem wszystkiego, co widział. Stwierdził, że jest to zachwycające miejsce.

Wysoko na stromej skarpie na skraju plaży wznosiła się kryta strzechą restauracja na świeżym powietrzu, z której rozciągał się uroczy widok na całą plażę. O pierwszej trzydziści knajpka była jeszcze wypełniona po brzegi. Gromadka ludzi czekała cierpliwie w ogonku na wolny stolik lub stołek przy barze. Gaetano przystanął i wyciągnął zdjęcia profesora i siostry Tony’ego, by jeszcze raz rzucić okiem na ich twarze. Jego wzrok zatrzymał się dłużej na dziewczynie. Żałował, że to nie ona jest celem. Uśmiechnął się na myśl o rozmaitych sposobach przekazania jej brutalnej wiadomości.

Odświeżywszy sobie w pamięci obraz ludzi, których szukał, Gaetano ruszył wolnym krokiem dookoła restauracji. Stoliki ustawiono na obwodzie, wokół centralnie umieszczonego baru. Wszystkie były zajęte, podobnie jak wszystkie miejsca przy barze, w większości przez skąpo odzianych ludzi przeróżnego wzrostu, wieku i tuszy.

Gaetano zakończył obchód, nie dostrzegłszy nikogo, kto przypominałby tego faceta albo tę dziewczynę. Opuścił restaurację i podążył schodami prowadzącymi na podest z kilkoma odkrytymi prysznicami. Stamtąd, po pokonaniu kolejnego ciągu stopni, zszedł na plażę. Po prawej stronie, u podnóża schodów, znajdowała się hotelowa wypożyczalnia sprzętu plażowego, oferująca gościom ręczniki, parasole i leżaki. Gaetano zdjął buty i skarpetki, podwinął nogawki spodni, po czym niespiesznym krokiem skierował się ku brzegowi, gdzie delikatne fale chlupotały o piasek. Zanurzwszy palce nóg w wodzie, pożałował, że nie ma na sobie kąpielówek. Woda była kryształowo czysta, płytka i rozkosznie ciepła.

Gaetano ruszył po mokrym, ubitym piasku na wschód, rozglądając się uważnie po twarzach plażowiczów. Nie było ich zbyt wielu, gdyż większość gości jadła właśnie lunch. Gdy plaża zaczęła pustoszeć, odwrócił się i ruszył na zachód. Gdy i w tym kierunku przestał napotykać ludzi, uznał, że profesora i siostry Tony’ego nie ma na plaży. „To tyle, jeśli chodzi



o ten pomysł? – stwierdził markotnie.

Wrócił po buty, pożyczył sobie ręcznik i wszedł na podest, gdzie obmył sobie stopy. Już w butach wspinał się po schodach i ruszył chodnikiem przecinającym bujny trawnik przed głównym budynkiem hotelu. Gdy wszedł do środka, znalazł się w pomieszczeniu przywodzącym na myśl salon w wielkiej, komfortowej willi. Jedynie wciśnięty w kąt niewielki bar z sześcioma stołkami przypominał, że jest to mimo wszystko hotel. Z braku klientów barman zajęty był czyszczeniem szklanek.

Z wewnętrznego telefonu, który znalazł na kontuarze zarzuconym hotelowym papierem listowym, Gaetano zadzwonił do centrali. Zapytał, jak dodzwonić się do pokoju jednego z gości, a telefonistka odparła, że z przyjemnością go połączy. Wyjaśnił, że chodzi mu o pokój 108.

Czekając na połączenie, poczęstował się owocami ze stojącej na kontuarze salaterki. Po dziesięciu sygnałach ponownie usłyszał głos telefonistki, która zapytała, czy chce zostawić wiadomość. Powiedział, że próbuje zadzwonić później i odłożył słuchawkę.

W tej chwili zaczął się zastanawiać, czy w hotelu jest basen. Nie widział go tam, gdzie się go spodziewał, to znaczy na środku trawnika, ale ponieważ tereny hotelowe wyglądały na dość rozległe, uznał, że wszystko jest możliwe. W związku z tym przeszedł przez podobny do salonu hol i skierował się do recepcji. Tam udzielono mu informacji.

Jak się okazało, basen znajdował się we wschodniej części kompleksu, z dala od oceanu, u stóp francuskiego ogrodu, który piał się tarasami ku średniowiecznemu krużgankowi klasztornemu na górze. Gaetano był oszołomiony widokiem, ale rozczarowany tym, że ma tego samego pecha, co na plaży. Profesora i siostry Tony'ego nie było ani przy basenie, ani w snack barze obok. Nie było ich także w pobliskim klubie fitness ani na żadnym z licznych kortów tenisowych.

– Niech to szlag! – mruknął. Nie ulegało wątpliwości, że cel przebywa aktualnie poza hotelem. Spojrzał na zegarek. Było już po drugiej. Pokręcił głową. Nie zastanawiał się już, czy będzie musiał spędzić tu noc, ale raczej ile będzie tych nocy, jeśli wszystko nadal będzie się posuwać w tak ślimaczym tempie.

Wrócił do recepcji i znalazł wygodną kanapę, przy której stała kolejna salaterka z owocami oraz sterta luksusowych czasopism i która usytuowana była tak, że zapewniała wyraźny widok przez sklepione przejście na główną bramę hotelu. Pogodzony z losem Gaetano usiadł i przygotował się na dłuższe czekanie.

## **Rozdział szesnasty**

### **14.07, piątek, 1 marca 2002**

Po pożegnaniu się z gośćmi Spencer odszedł na górę do swego wystawnego gabinetu, a Paul ruszył po schodach do piwnicy centralnego budynku. Często zastanawiał się, co Spencer robi całymi dniami w tym ogromnym pokoju, który był cztery razy większy od jego własnego gabinetu i urządzony z dziesięć razy większym przepychem. Jednak nie uskarżał się na tę sytuację. Było to jedyne żądanie Spencera podczas budowy nowej kliniki. Poza upieraniem się przy kuriozalnie wielkiej przestrzeni prywatnej Spencer dał Paulowi względnie wolną rękę – co najważniejsze, odnośnie do laboratorium i jego wyposażenia. Zresztą Paul miał drugi gabinet, aczkolwiek maleńki, przy laboratorium, z którego korzystał o wiele częściej niż z tego w budynku administracyjnym.

Pogwizdywał, kiedy otwierał drzwi przeciwpożarowe na poziomie piwnicy. Miał powody do zadowolenia. Nie dość, że spodziewał się poważnego umocnienia swej pozycji na polu badań nad komórkami macierzystymi dzięki współpracy z potencjalnym laureatem nagrody Nobla, ale i przede wszystkim widział szansę na znaczący i potrzebny przyruch funduszy dla kliniki. Niczym mityczny feniks znów powstał z popiołów, a tym razem były to rzeczywiste popioły. Przed niespełna rokiem wraz z pozostałymi szefami kliniki zmuszony był uciekać z Massachusetts przed barbarzyńcami w postaci funkcjonariuszy policji federalnej, którzy stali u wrót ich siedziby. Na szczęście Paul przewidział problemy spowodowane awangardową działalnością w dziedzinie badań, choć sądził, że przysporzy je Urząd Żywności i Leków, nie bezpośrednio departament sprawiedliwości, i opracował szczegółowe plany przeniesienia kliniki w bezpieczne miejsce za granicę. Przez niemal rok odprowadzał fundusze za plecami Spencera, co było łatwe, gdyż Spencer praktycznie wycofał się z interesów i przeniósł się na Florydę. Paul wykorzystał te pieniądze, by kupić ziemię na Bahamach, zaprojektować nową klinikę i rozpocząć budowę. Nieoczekiwany najazd strażników prawa w ślad za parą nieznośnych informaterek oznaczał tylko, że odjazd ekipy musiał się odbyć w przyspieszonym tempie i jeszcze przed ukończeniem nowego budynku. Oznaczał też, że

należało uruchomić zaplanowaną zawczasu procedurę awaryjną i spalić ich starą siedzibę, by usunąć wszelkie dowody.

Ironią losu było dla Paula to, że owo niedawne powstanie z popiołów okazało się jego drugim cudownym ocaleniem. Jeszcze siedem lat wcześniej jego przyszłość rysowała się ponuro. Zaledwie dwa lata od ukończenia stażu na oddziale ginekologiczno-położniczym stracił swe przywileje lekarskie i spodziewał się utraty prawa wykonywania zawodu w stanie Illinois. Chodziło o pewien głupi, nieistotny przekręt z rozliczaniem funduszy z ubezpieczenia zdrowotnego, który podpatrzył u pewnych kolegów, po czym udoskonalił. Afera ta zmusiła go do ucieczki ze stanu. Czysty traf zaprowadził go do Massachusetts, gdzie podjął dodatkowe studia w zakresie niepłodności, by zapobiec odkryciu przez tamtejszą komisję lekarską jego problemów w Illinois. Szczęśliwa passa trwała, gdy jednym z jego instruktorów stał się Spencer Wingate, który rozmyślał właśnie o przejściu w stan spoczynku. Reszta jest już znana.

– Gdyby tylko moi przyjaciele mogli mnie teraz zobaczyć! – mruknął radośnie Paul, idąc głównym korytarzem piwnicy. Takie rozmyślenia były jego ulubioną rozrywką. Oczywiście używał słowa „przyjaciele” abstrakcyjnie, gdyż nie miał ich wielu, skoro był samotnikiem przez większą część życia, przede wszystkim dlatego, że w okresie kształtowania się osobowości stanowił obiekt docinków i żartów. Zawsze był pracowity, a jednak, jeśli nie liczyć uzyskania dyplomu lekarza, nigdy nie dane mu było sprostać wymaganiom stawianym przez społeczeństwo. Ale teraz, kiedy dysponował znakomicie wyposażonym laboratorium i nie musiał kłopotać się nadzorem Urzędu Żywności i Leków, wiedział, że ma okazję, by stać się w dziedzinie biomedycyny człowiekiem roku, może dekady... może nawet stulecia, jeśli uwzględnimy stojącą przed Kliniką Wingate’a szansę na uzyskanie praktycznego monopolu w zakresie klonowania zarówno reprodukcyjnego, jak i terapeutycznego. Oczywiście myśl, że ma zostać słynnym uczonym, była dla Paula w tym wszystkim największym paradoksem. Nigdy nie planował takiej kariery, nie był do tego odpowiednio przygotowany, co więcej, na uczelni medycznej miał wątpliwy zaszczyt być najgorszym studentem na roku. Roześmiał się cicho, bo wiedział, że w rzeczywistości zawdzięcza obecną pozycję nie tylko szczęściu, ale także utrzymującemu się zainteresowaniu amerykańskich polityków kwestią aborcji, co w efekcie odciągało ich uwagę od poczynąń klinik niepłodności, jak również hamowało postępy badań nad komórkami macierzystymi. Gdyby było inaczej, naukowcy w Stanach już dawno osiągnęliby to, co on osiągnął.

Zastukał do drzwi Kurta Hermanna. Kurt był szefem ochrony kliniki i jednym z pierwszych nabytków Paula. Wkrótce po przybyciu do Kliniki Wingate’a Paul uświadomił sobie, że leczenie niepłodności jest potencjalną żyłą złota, szczególnie jeśli było się gotowym przekraczać granice etyki i w pełni wykorzystywać brak nadzoru w tej dziedzinie. Ze względu na to uznał, że bezpieczeństwo będzie kwestią o pierwszorzędym znaczeniu. Szukał zatem do tej pracy właściwego człowieka, kogoś bez większych skrupułów, na wypadek gdyby

konieczne stały się drakońskie metody, kogoś bardzo szowinistycznego w nieseksistowskim sensie tego słowa, kogoś szczycącego się poważnym doświadczeniem. Wszystko to znalazł w osobie Kurta Hermanna. Fakt, że człowiek ten został w niezbyt chlubnych okolicznościach zwolniony z oddziałów specjalnych sił lądowych Stanów Zjednoczonych w związku z serią zabójstw, których ofiarami były prostytutki na wyspie Okinawa, nie martwił Paula w najmniejszym stopniu. W gruncie rzeczy należało to uważać za plus.

Paul usłyszał „Proszę!” i otworzył drzwi. Kurt sam zaprojektował swój umieszczony w podziemiach budynku kompleks biurowy. Główne pomieszczenie było wyposażonym w dwa biurka i dwoje krzeseł gabinetem połączonym z małą siłownią z kilkoma urządzeniami treningowymi. Była tam także mata do ćwiczeń taekwondo. Obok znajdowała się sala wideo ze ścianą wypełnioną monitorami, które ukazywały obrazy z rozrzuconych po całym kompleksie kamer nadzorujących. Na końcu krótkiego wewnętrznego korytarza mieściła się sypialnia i łazienka. Kurt miał jeszcze jedno, większe mieszkanie w budynku laboratorium, ale zdarzało się, że nie opuszczał służbowych pomieszczeń przez kilka dni z rzędu. Naprzeciwko sypialni znajdowała się cela, wyposażona w umywalkę, muszlę klozetową i żelazną pryczę. Ostry, metaliczny szczęk ciężarków skierował uwagę Paula ku treningowej części pokoju. Kurt Hermann podniósł się z ławki do wyciskania na leżąco. Jak zwykle, ubrany był w obcisły czarny T-shirt, czarne spodnie i czarne buty terenowe. Strój ten ostro kontrastował z jego krótko ostrzyżonymi, szaroblond włosami. Paul zapytał go kiedyś mimochodem, dlaczego tak uparcie ubiera się na czarno przy palącej mocy bahamskiego słońca. Kurt jedynie lekko wzruszył ramionami i uniósł brwi. Zazwyczaj był człowiekiem niezwykle oszczędnym w słowach.

– Musimy porozmawiać – odezwał się Paul.

Kurt nie odpowiedział. Ściągnął zapinane na rzepy ochraniacze nadgarstków, przeciągnął rękami po czole i usiadł za biurkiem. Gdy oparł przedramiona na blacie, potężne mięśnie piersiowe i trójgłowe naciągnęły materiał jego koszulki. Przybrawszy tę pozycję, zastygł w bezruchu. Paul pomyślał, że wygląda jak sprężony do skoku kot.

Przysunął sobie jedno z dodatkowych krzeseł, postawił je przed biurkiem i też usiadł.

– Doktor i jego dziewczyna są już na wyspie – oświadczył.

– Wiem – odparł rzeczowym tonem Kurt. Odwrócił ku niemu stojący na biurku monitor. Obraz na ekranie przedstawiał Daniela i Stephanie, zamrożonych w marszu ku głównemu wejściu budynku administracyjnego. Wyraźnie widoczne były ich twarze, ze zmrużonymi w porannym słońcu oczyma.

– Dobrze ujęcie – zauważył Paul. – Muszę przyznać, że znakomicie oddaje powab tej kobiety.

Kurt odwrócił monitor z powrotem w swoją stronę, ale nie odpowiedział.

– Czy od czasu naszej ostatniej rozmowy dotarły jakieś dane na temat tożsamości pacjenta? – zapytał Paul.

Kurt pokręcił głową.

– Więc powtórna wizyta w ich mieszkaniu w Cambridge i poszukiwania w ich biurze nic nie ujawniły?

Kurt pokręcił głową i rzucił:

– Nic!

– Nie lubię się powtarzać – zaczął Paul – ale musimy możliwie szybko się dowiedzieć, kim jest ten człowiek. Im dłużej to trwa, tym mniejsze mamy szanse na uzyskanie wysokiej zapłaty. A naprawdę potrzebujemy tych pieniędzy.

– Teraz, kiedy są w Nassau, sprawa będzie łatwiejsza.

– Jaki masz plan?

– Kiedy zaczynają pracę w klinice?

– Jutro, jeśli dostaną przesyłkę kurierską, na którą czekają.

– Muszę zdobyć na parę minut dostęp do ich laptopów i telefonów komórkowych – odparł Kurt. – Do tego może być potrzebna pomoc ludzi z laboratorium.

– Ach, tak? – zdziwił się Paul. Rzadko zdarzało się, by Kurt prosił kogokolwiek o pomoc.

– Jasne! Uprzedzę panią Finnigan. Co ona ma zrobić?

– Kiedy zaczną tu pracować, muszę wiedzieć, gdzie trzymają swoje komputery, a może też i telefony, kiedy wychodzą do stołówki.

– Cóż, to powinno być łatwe – stwierdził Paul. – Megan na pewno przydzieli im jakąś zamykaną szafkę na rzeczy osobiste. Dlaczego chcesz dostać ich telefony komórkowe? To znaczy, rozumiem, że interesują cię laptopy, ale czemu telefony?

– Żeby sprawdzić ich spis telefonów – wyjaśnił Kurt. – Choć nie spodziewam się odkryć tam czegokolwiek, skoro do tej pory byli ostrożni. Ani nie spodziewam się niczego po komputerach. To byłoby zbyt proste. Te profesorki z pewnością nie są głupcami. Tak naprawdę chcę zainstalować pluskwy w ich telefonach, żeby prowadzić podsłuch. Dzięki temu dostaniemy to, czego chcemy. Kłopot polega na tym, że z powodu ograniczeń mocy podsłuch musi być prowadzony z bliska, w promieniu mniej więcej stu stóp. Kiedy założę pluskwy, Bruno albo ja będziemy musieli pozostawać w tym zasięgu.

– To będzie mordęga! – wykrzyknął Paul. – Pamiętasz, mam nadzieję, że dyskrecja jest tu bardzo ważna. Nie chcemy, żeby doszło na tym tle do jakiejś scysji. W przeciwnym razie doktor Wingate dostanie apopleksji.

Kurt zaprezentował jedno ze swych typowych, enigmatycznych wzruszeń ramionami.

– Dowiedzieliśmy się, że zatrzymali się w Ocean Club na Paradise Island.

Kurt ledwie zauważalnie skinął głową.

– Dowiedzieliśmy się dziś czegoś jeszcze, co może okazać się cenne – dodał Paul. – Niewykłuczone, że ten tajemniczy pacjent jest kimś wysoko postawionym w Kościele katolickim, co byłoby wielce sprzyjającą okolicznością ze względu na stanowisko Kościoła w sprawie komórek macierzystych. Dochowanie tajemnicy mogłoby być warte grube pieniądze.

Kurt nie zareagował w najmniejszym stopniu.

– Cóż, to by było na tyle – stwierdził Paul. Klepnął się po udach i wstał z krzesła. – Jeszcze raz powtarzam, musimy poznać nazwisko.

– Zdobędę je – odparł Kurt. – Proszę mi zaufać!

– Co się dzieje? – zapytał Daniel z nutą gniewu w głosie. – Urządzasz mi sesję milczenia czy co? Odkąd dwadzieścia parę minut temu wyszliśmy z kliniki, nie odezwałaś się ani słowem.

– Sam też nie mówiłeś zbyt wiele – odparła Stephanie. Patrzyła ponuro przez przednią szybę i nie zadała sobie trudu, by odwrócić głowę w jego stronę.

– Powiedziałem, że jest piękny dzień, kiedy wsiadaliśmy do samochodu.

– O rany! – prychnęła Stephanie z wyraźną drwiną. Cóż za inspirujący początek rozmowy w świetle tego, co nas spotkało dziś rano.

Daniel rzucił jej szybkie, rozdrażnione spojrzenie, nim znów skierował uwagę na drogę. Jechali wzdłuż północnego wybrzeża wyspy, kierując się w stronę hotelu.

– Uważam, że jesteś niesprawiedliwa. Przy naszych gospodarzach drzesz się jak opętana, czego sobie już więcej nie życzę, a teraz, kiedy jesteśmy sami, siedzisz cicho jak myszka. Zachowujesz się tak, jakbym zrobił coś złego.

– No dobrze. Nie mogę zrozumieć, dlaczego nie jesteś oburzony tym, co się dzieje w Klinice Wingate’a.

– Masz na myśli ich rzekomą terapię komórkami macierzystymi?

– Nawet nazywanie tego terapią jest grubym nieporozumieniem. To oszustwo i szarlataneria w najczystszej postaci. Nie dość, że ograbiają zdesperowanych ludzi z pieniędzy i odciągają ich od właściwych lekarzy, to jeszcze na domiar złego psują opinię komórkom macierzystym, bo nie mogą wyleczyć niczego, chyba że traktują to jako wymyślne placebo.

– Jestem oburzony – przyznał Daniel. – Każdy byłby, ale w równym stopniu jestem oburzony na polityków, którzy umożliwiają to wszystko, a jednocześnie zmuszają nas do zadawania się z tymi ludźmi.

– A co powiesz na tę rzekomą tajemnicę służbową Kliniki Wingate’a, która pozwala im dostarczać ludzkie komórki jajowe na żądanie w ciągu zaledwie dwunastu godzin?

– Muszę przyznać, że od strony etycznej jest to równie niepokojące.

– Niepokojące! – powtórzyła pogardliwie Stephanie. – To o wiele więcej niż niepokojące. Zauważyłeś może, że w czasopiśmie, które nam dali, jest artykuł o oocytach? – Rozwinęła pismo, które zaciskała w ręce, i pokazała palcem. – Tytuł artykułu numer trzy brzmi: Nasze rozległe doświadczenie w hodowli in vitro ludzkich oocytów płodowych. Na co to wskazuje?

– Myślisz, że oni uzyskują te oocyty z nierozwiniętych płodów?

– Przy tym wszystkim, co wiemy, nie jest to wcale szalone przypuszczenie. I zauważyłeś te ciężarne kelnerki w stołówce, z których żadna, mogłabym dodać, nie miała jakiegokolwiek

ze zwykłych oznak stanu małżeńskiego? A co z tymi przechwałkami Paula na temat ich doświadczenia z transferem jądrowym? Mogłabym przysiąc, że ci ludzie wykonują klonowanie reprodukcyjne. To już szczyt wszystkiego!

Kręcąc głową, Stephanie głośno sapnęła. Zamiast spojrzeć na Daniela, odwróciła się w stronę bocznego okna. Splotła ciasno ramiona.

– Samo przebywanie tam i rozmawianie z tymi ludźmi, a co dopiero praca z nimi, sprawia, że czuję się jak współniczka.

Przez kilka minut jechali w milczeniu. Gdy dotarli na peryferie Nassau i musieli zwolnić z powodu ruchu, odezwał się Daniel:

– Wszystko, co mówisz, jest prawdą. Ale prawdą jest też, że doskonale wiedzieliśmy, jacy są ci ludzie, zanim jeszcze tutaj przyjechaliśmy. To ty sprawdzałaś ich w Internecie i powiedziałaś, że zdecydowanie nie zasługują na zaufanie i że powinniśmy ograniczyć nasze kontakty z nimi do minimum. Pamiętasz to?

– Oczywiście, że tak – warknęła Stephanie. – To było w restauracji Rialto w Cambridge, niecały tydzień temu. – Westchnęła. – O rany! W ciągu tych sześciu dni tyle się zdarzyło, że mam wrażenie, jakby minął rok.

– Ale rozumiesz, o co mi chodzi – naciskał Daniel.

– Chyba tak, ale powiedziałam też, że chcę mieć pewność, że pracując w ich klinice, nie będziemy wspierać jakiejś niemoralnej działalności.

– Zapewne powtarzam się już do śmieszności, ale przybyliśmy tu tylko i wyłącznie po to, by leczyć Butlera. Zgodziliśmy się na to i zrobimy swoje. Nie wykonujemy społecznej misji i nie chcemy zdemaskować Kliniki Wingate’a, ani teraz, ani po kuracji Butlera, bo jeśli Urząd Żywności i Leków odkryje, co zrobiliśmy, mogą być kłopoty.

Stephanie odwróciła się i spojrzała na niego.

– Kiedy zgodziłam się wziąć udział w tym przedsięwzięciu, sądziłam, że jedyny kompromis, na jaki będziemy musieli pójść, będzie dotyczył etyki eksperymentalnej. Niestety, wygląda na to, że znaleźliśmy się na równi pochyłej. Martwię się, dokąd nas to zaprowadzi, jeśli chodzi o sumienie.

– Zawsze możesz wrócić do domu – odparł Daniel. – Jesteś lepsza w manipulacjach na komórkach, ale przypuszczam, że jakoś dałbym sobie radę.

– Mówisz poważnie?

– Tak. Przenoszenie jąder idzie ci o wiele sprawniej niż mnie.

– Nie, pytałam o to, czy nie miałbyś nic przeciwko temu, żebym wyjechała.

– Jeśli kompromisy etyczne, do jakich jesteśmy zmuszeni, mają uczynić cię osobą nieszczęśliwą, ponurą i niemłą w obejściu, to nie, nie miałbym nic przeciwko temu, żebyś wyjechała.

– Nie brakowałoby ci mnie?

– Co to za pytanie? Powiedziałem już przecież, że o wiele bardziej wołałbym, żebyś

została. W porównaniu z tobą jestem zupełną niezdara, kiedy pracuję z oocytami i blastocystami pod mikroskopem.

– Chodziło mi o to, czy nie tęskniłbyś za mną.

– Oczywiście! To jest zrozumiałe samo przez się.

– To nigdy nie jest zrozumiałe samo przez się, zwłaszcza że nigdy tego nie powiedziałaś. Ale nie rozumiem mnie źle. Doceniam, że mówisz to teraz, i doceniam, że jesteś gotów pozwolić mi odejść. To wiele dla mnie znaczy. – Stephanie westchnęła. – Ale chociaż nie mogę pogodzić się z myślą o współpracy z tymi durniami, nie sądzę, żebym była w stanie zostawić cię tu zdanego na własne siły. Niemniej to przemyślę. Czuję się lepiej, kiedy wiem, że jest taka możliwość, a podobne uczucia są cenne. Ostatecznie już od pierwszego dnia intuicja i rozsądek przestrzegały mnie przed tą aferą, a dzisiejsze przeżycia tylko pogłębiły to wrażenie.

– Jestem świadomy twoich obaw – rzekł Daniel. – A przez to tym bardziej doceniam twoje poparcie. Ale dajmy już spokój! Wiemy, że to łobuzy i dzisiejszy ranek jedynie potwierdził naszą opinię. Zmieńmy temat! Co sądzisz o tym neurochirurгу z Pakistanu?

– Cóż mogę powiedzieć? Podobał mi się jego angielski akcent, ale jest trochę niskim mężczyzną. Z drugiej strony, jest uroczy.

– Próbuję być poważny – skarcił ją Daniel. W jego głosie znów zabrzmiało rozdrażnienie.

– A ja próbuję być dowcipna. No bo jak można ocenić specjalistę po rozmowie przy lunchu? Otrzymał solidne wykształcenie w uznanych ośrodkach akademickich w Londynie, ale kto wie, czy jest dobrym chirurgiem? W każdym razie ma ujmującą powierzchowność. – Stephanie wzruszyła ramionami. – A jakie jest twoje zdanie?

– Uważam, że jest fantastyczny i że mamy szczęście, że będzie z nami pracował. Fakt, że w czasie stażu zajmował się implantacjami komórek płodowych przy chorobie Parkinsona, jest niezwykle zaletą. Dokładnie tę samą procedurę będzie wykonywał dla nas. Implantowanie naszych sklonowanych neuronów dopaminergicznych stanie się zwykłą powtórką, z tym wyjątkiem, że to zadziała. Wyczułem u niego prawdziwą frustrację, że rezultaty badań nad komórkami płodowymi, w których brał udział, okazały się tak kiepskie.

– Jest pełen zapału – zgodziła się Stephanie. – Muszę mu to oddać, choć nie jestem do końca przekonana, czy nie wynika to stąd, że on potrzebuje tej pracy. Ale byłam zaskoczona, kiedy stwierdził, że zabieg zajmie mu tylko godzinę.

– Ja nie – odparł Daniel. – Jedyłą czasochłonną czynnością jest mocowanie ramy stereotaktycznej. Wiercenie otworu i samo wstrzyknięcie będą już szybkie.

– Chyba powinniśmy się cieszyć, że udało się go tak łatwo znaleźć.

Daniel skinął głową.

– Znam jeszcze jeden powód, dla którego byłaś dziś tak wytrącona z równowagi – odezwał się nagle po krótkiej chwili milczenia.

– Tak? – zapytała Stephanie, czując, że jej nerwy znów się napinają, choć zdążyła już się



niecو odprężyć. Za nic w świecie nie chciała usłyszeć kolejnej uszczypliwej uwagi.

– Twoja wiara w środowisko medyczne runęła zapewne na łeb, na szyję.

– O czym ty mówisz?

– Spencer Wingate stanowczo nie jest niskim, grubym i okrytym brodawkami typem, jakiego miałaś nadzieję zobaczyć, choć, jak już wspomniałem, może jeszcze okazać się nałogowym palaczem i mieć nieświeży oddech.

Stephanie wymierzyła mu kilka żartobliwych ciosów w ramię.

– To do ciebie podobne, żeby po wszystkim, co ostatnio mówiłam, akurat to właśnie zapamiętać.

W równie żartobliwy sposób Daniel udał przerażonego i przycisnął się do drzwi, by usunąć się poza zasięg jej rąk. Stali właśnie na światłach tuż przed mostem na Paradise Island.

– Ale Paul Saunders to inna historia – zauważył, prostując się. – Więc może twoja wiara w lekarzy nie została jednak kompletnie zdruzgotana, bo jego wygląd z pewnością kompensuje zabójczy urok Spencera.

– Paul nie jest aż tak brzydki – odparła Stephanie. – Z pewnością ma interesujące włosy, z tym niesamowitym białym kosmykiem nad czołem.

– Wiem, że nie potrafisz krytykować innych – stwierdził Daniel. – Nie do końca to rozumiem, zwłaszcza w tym przypadku, przy twojej opinii o tych ludziach, ale zgodzisz się chyba, że ten facet to niezły maszkaron?

– Ludzie rodzą się ze swoimi twarzami i ciałami. Nie wybierają ich. Powiedziałabym, że Paul Saunders jest jedyny w swoim rodzaju. Nigdy jeszcze nie widziałam człowieka z tęczęwkami w dwóch różnych kolorach.

– On ma pewną wadę genetyczną – wyjaśnił Daniel. – Jest dosyć rzadka, jeśli dobrze pamiętam, ale nie przypominam sobie jej nazwy. To jedna z tych mało znanych chorób, jakie od czasu do czasu spotyka się podczas praktyki internistycznej.

– Choroba dziedziczna! – wykrzyknęła Stephanie. – Cóż, dlatego właśnie nie lubię krytykować ludzi za ich wygląd. Czy ten zespół ma jakieś poważne konsekwencje zdrowotne?

– Nie pamiętam – przyznał Daniel.

Światła zmieniły się i wjechali na most. Roztaczał się stamtąd wspaniały widok na port w Nassau i żadne z nich nie odezwało się, dopóki nie znaleźli się po drugiej stronie.

– Słuchaj! – zawołał nagle Daniel. Zjechał na pas do skrzyżowania w prawo i zatrzymał się. – Może podjechalibyśmy do tego centrum handlowego, żeby kupić sobie trochę ubrań? Potrzebujemy przynajmniej strojów kąpielowych, żebyśmy mogli pójść na plażę. Kiedy przesyłka z Bostonu dotrze na miejsce, nie będzie już zbyt wielu okazji, by skorzystać z uroków Nassau.

– Najpierw wróćmy do hotelu. Pora zadzwonić do ojca Maloneya. W tej chwili powinien być już z powrotem w Nowym Jorku i być może ma jakieś wieści na temat naszego bagażu.

To, jakie ubrania kupimy, będzie zależało od tego, czy mamy szansę odzyskać walizki, czy nie.

– Słuszna uwaga! – przyznał Daniel. Przerzucił kierunkowskaz, obejrzał się przez ramię i zjechał z powrotem na pas prowadzący na wschód.

Parę minut później minął parking hotelowy i podjechał przed front hotelu. Portierzy w liberiach podeszli z obu stron i jednocześnie otworzyli drzwi.

– Nie stanąłeś na parkingu? – zdziwiła się Stephanie.

– Zostawmy samochód tu, pod opieką portierów – odparł Daniel. – Spróbujemy zadzwonić do ojca Maloneya, ale bez względu na to, czy złapiemy go, czy nie, ja chcę jechać do sklepu po stroje kąpielowe.

– W porządku – zgodziła się Stephanie, wysiadając z samochodu. Po stresach poranka małe zakupy oraz relaks na plaży wydawały się kuszącą propozycją.

Gaetano poczuł się tak, jak gdyby dostał dawkę amfy. Jego puls przyspieszył, a włosy na karku stały mu dęba. Wreszcie, po wielu fałszywych alarmach, dwoje ludzi wchodzących właśnie przez główne drzwi hotelu wyglądało jak para, której szukał. Szybko wyciągnął zdjęcie, które trzymał w kieszeni swej kwiecistej koszuli. Mając tych dwoje wciąż w zasięgu wzroku, porównał ich twarze z fotografią.

– Bingo – mruknął pod nosem.

Schował zdjęcie i zerknął na zegarek. Była za kwadrans trzecia. Wzruszył ramionami. Gdyby profesor okazał się na tyle uprzejmy, by pójść na długi spacer albo, jeszcze lepiej, wrócić do miasta, gdzie tych dwoje niewątpliwie bawiło do tej pory, Gaetano mógłby jeszcze zdążyć na wieczorny lot do Bostonu.

Para zniknęła mu z oczu po prawej stronie, najwyraźniej kierując się ku drugiemu wyjściu z budynku, obok recepcji. Powoli, by nie zwracać na siebie uwagi, Gaetano odłożył przeglądane czasopismo, sięgnął po marynarkę, którą przewiesił przez oparcie sofy, uśmiechnął się do barmana, który był na tyle miły, że wdał się z nim w pogawędkę, zapobiegając podejrzeniom ze strony ochrony hotelowej, i podążył za parą. Zanim wyszedł na zewnątrz, byli już poza zasięgiem wzroku.

Gaetano ruszył krętą ścieżką, wijącą się wśród kwitnących drzew i wysokich krzewów. Nie przejmował się tym, że nie widzi profesora i dziewczyny, gdyż zakładał, że idą do swego pokoju, i dokładnie wiedział, gdzie on się znajduje. Żałował, że polecono mu nie zaczepiać profesora w hotelu. Tak byłoby o wiele prościej niż czekać, aż facet opuści teren.

Dostrzegł ich akurat wtedy, gdy wchodzili do budynku. Minął go i od strony oceanu znalazł strategicznie usytuowany hamak, rozpięty między dwiema palmami. Przerzuciwszy marynarkę przez jedną z linek, ułożył się ostrożnie. Z tego wygodnego punktu obserwacyjnego dostrzegłby ich, gdyby poszli na plażę, na basen lub ku którejkolwiek z innych hotelowych atrakcji. Nie mógł zrobić nic więcej, jedynie czekać, obserwować i mieć

nadzieję, że planują opuścić hotel.

W miarę jak mijały minuty, Gaetano czuł, że tętno wraca mu do normy, choć nadal ekscytował się myślą o czekającej go akcji. Leżał sobie wygodnie jak w raju, z głową opartą na przymocowanej do hamaka małej, płóciennej poduszce, i lekko się kołysał. Przez pierzaste liście palm przenikało jedynie parę promyków słońca, co było darem niebios. Gdyby leżał w pełnym słońcu, usmażyłby się.

Jakaś kobieta w skąpym bikini i prześwitującej narzutce przeszła tuż obok i uśmiechnęła się do niego. Gaetano pomachał do niej, przez co nieomal spadł na ziemię. O ile sobie przypominał, nigdy dotąd nie leżał w hamaku, a ponieważ ten był dość mocno naciągnięty między drzewami, nie był tak stabilny, jak Gaetano sobie wyobrażał. Czuł się pewniej, kiedy trzymał się rękoma krawędzi.

Akurat gdy miał zaryzykować rzut oka na zegarek, ponownie zobaczył parę. Nie zmierzali na plażę, ale szli ścieżką w stronę głównego budynku. Co ważniejsze, ubrani byli tak samo jak przedtem. Gaetano nie chciał robić sobie nadziei, ale w takim stroju z pewnością nie wybierali się na basen, więc być może zamierzali jednak wyjechać z hotelu.

Próbując szybko wyskoczyć z hamaka, Gaetano obrócił go kompletnie na drugą stronę, co sprawiło, że sromotnie zwałił się twarzą w dół na ziemię. Pozbierał się na nogi i zawstydził się jeszcze bardziej, gdy stwierdził, że świadkiem jego upadku była matka z gromadką dzieci.

Otrzeptał żdźbła trawy, które przyczepiły mu się do spodni i podniósł z ziemi okulary słoneczne. Rozdrażniły go uśmieški na twarzach dzieci, które najwyraźniej bawiły się jego kosztem, i przemknęło mu przez myśl, że warto byłoby nauczyć je szacunku. Na szczęście rodzinka ruszyła dalej, choć jeden z bachorów obejrzał się przez ramię z kpiącym uśmiechem wciąż przyklejonym do twarzy. Gaetano pokazał mu środkowy palec, po czym złapał marynarkę i ruszył za parą.

Tym razem puścił się biegiem, gdyż w tej chwili nie wolno było stracić ich z oczu. Dogonił ich, nim dotarli do centralnego budynku, a wtedy zwolnił kroku. Dyszał ciężko. Gdy wchodzili do holu, szedł już tuż za nimi. Był wystarczająco blisko, by słyszeć ich rozmowę. Był też wystarczająco blisko, by stwierdzić, że Stephanie jest jeszcze bardziej atrakcyjna, niż wskazywała to fotografia.

– Może polecisz im podprowadzić samochód? – mówiła Stephanie. – Ja wyjdę za sekundę. Zapytam w recepcji, czy musimy rezerwować stół, jeśli chcemy zjeść dziś wieczorem kolację na dziedzińcu.

– Dobrze – zgodził się Daniel.

Tłumiąc uśmiech, by ukryć swe zadowolenie, Gaetano zawrócił i opuścił hol tymi samymi drzwiami, którymi dopiero co wszedł. Szybkim krokiem dotarł na parking i wskoczył do swego jeepa. Uruchomił silnik i zajechał przed hotel, gdzie ustawił się tak, by mieć widok na rondo i główną bramę. Przed samym wejściem do hotelu stał niebieski mercury marquis z silnikiem na jałowym biegu. Stephanie wyłoniła się z budynku i wsiadła na miejsce obok

kierowcy.

– Gol! – wykrzyknął radośnie Gaetano. Spojrzał na zegarek. Był kwadrans po trzeciej. Nareszcie wszystko zdawało się układać jak należy.

Mercury marquis ruszył z miejsca i przejechał tuż przed jego nosem. Gaetano ruszył za nim, z początku trzymając się blisko, by zanotować w pamięci numer rejestracyjny. Potem został w tyle.

– Co sądzisz o mojej rozmowie z ojcem Maloneyem? – zapytała Stephanie.

– Wciąż nie wiem, co o nim myśleć, tak samo jak w dniu, kiedy opuściliśmy Turyn.

– Ja też – przyznała Stephanie. – Miałam nadzieję, że teraz zechce powiedzieć coś więcej niż we Włoszech na temat boskiej interwencji i swojej roli pokornego sługi Pana Boga. Ale co tam, przynajmniej udało mu się załatwić transport naszego bagażu. W świetle tego, że jesteśmy uciekinierami, i tego, co wiem o zaginionych bagażach, to rzeczywiście dowodzi boskiej interwencji.

– Może i tak, ale skoro nie mamy najmniejszego pojęcia, kiedy ten bagaż do nas dotrze, na razie niewielka z tego pociecha.

– Cóż, ja zamierzam optymistycznie przyjąć, że stanie się to wkrótce, więc moje zakupy ograniczą się do kostiumu kąpielowego i paru podstawowych rzeczy.

Daniel skręcił na parking przed centrum handlowym i jechał wzdłuż sklepowych witryn, dopóki nie zatrzymał się pod sklepem z odzieżą damską, sąsiadującym bezpośrednio ze sklepem męskim. Wystawy obu były urządzone ze smakiem. Ubrania wyglądały na europejskie.

– Jakże to dogodne – zauważył Daniel, parkując samochód. Spojrzał na zegarek. – Spotkajmy się za pół godziny przy samochodzie.

– Zgoda – odparła Stephanie i wysiadła z pojazdu.

Z sercem znów walącym mu tak szybko jak wtedy, gdy po raz pierwszy spostrzegł parę, Gaetano zaparkował samochód w miejscu, które umożliwiało łatwy wyjazd na ulicę, a stamtąd, przez most, do Nassau. W jego branży zapewnienie sobie szybkiej ucieczki było sprawą najwyższej wagi. Wyłączył silnik i obejrzał się przez ramię. Obserwował, jak para się rozdziela i profesor odchodzi w stronę sklepu z odzieżą męską, podczas gdy siostra Tony'ego kieruje się do sąsiedniego sklepu dla pań.

Gaetano nie wierzył we własne szczęście. Dotychczas nie przestawało dręczyć go pytanie, jak ma poradzić sobie z dziewczyną, kiedy będzie załatwiał sprawy z profesorem, gdyż ustalono, że nie wolno jej tknąć. Teraz mógł się nią nie przejmować, jeśli tylko profesor stworzy odpowiednią okazję, dopóki będzie sam. Gaetano nie wiedział, jak długo to potrwa, więc natychmiast wyskoczył z samochodu. Gdy przyspieszał kroku, gorączka oczekiwania sięgnęła szczytu. Niezbędne podchody do celu były dla niego niczym gra wstępna w

nakręcającej się spirali podniecenia, a wieńczący te działania akt przemocy doprowadzał go niemal do orgazmu. W gruncie rzeczy całe przeżycie przypominało mu seks, tyle że było lepsze.

Daniel poczuł ulgę, że pozostawiono go samemu sobie, nawet na te marne trzydzieści minut. Zrządzenie Stephanie na temat jej sumienia zaczynało już działać mu na nerwy. Odkrycie, że Spencer Wingate i spółka prowadzą wątpliwą działalność, trudno było uznać za niespodziankę, szczególnie po tym, czego jego partnerka dowiedziała się podczas poszukiwań w Internecie. Miał nadzieję, że jej obecne, męczące przekonanie o własnej nieomyślności nie doprowadzi do tego, że straci z oczu ogólny cel i zacznie mu przeszkadzać. Mógł poradzić sobie bez niej, ale mówił prawdę, gdy przyznał, że ona lepiej niż on przeprowadza manipulacje na komórkach.

Daniel nie lubił robić zakupów i kiedy wchodził do sklepu, zamierzał się z tym szybko uwinąć, by wrócić do samochodu i po prostu posiedzieć w spokoju. Chciał kupić jedynie kilka par slipów, kąpielówki i trochę odpowiednich ubrań do pracy, takich jak spodnie khaki i koszule z krótkim rękawem. W Londynie Stephanie namówiła go na kupno spodni, dwóch białych koszul i tweedowej marynarki, więc pod tym względem był zaopatrzone.

Pomimo skromnego pod względem wielkości frontu wewnątrz sklepu okazało się zaskakująco obszerne, gdyż było rozbudowane w głąb. Tuż przy wejściu mieścił się spory dział strojów do golfa i, nieco mniejszy, do tenisa, a odzież codzienna znajdowała się bardziej w głębi. Panował tu miły chłód. Powietrze pachniało wodą kolońską zmieszaną z wonią nowych tkanin. Z licznych głośników na ścianach sączyła się muzyka klasyczna. Wnętrze urządzone w stylu klubowym, z obfitością ciemnoczerwonego mahoni, rycinami koni i ciemnozieloną wykładziną na podłodze. W sklepie było kilku innych klientów, wszyscy w dziale golfowym. Każdy z nich obsługiwany był przez innego sprzedawcę.

Nikt nie podszedł, by zająć się Danielem, co bardzo mu odpowiadało. Natrętni sprzedawcy w sklepach odzieżowych zawsze odstręczali go protekcyjnym sposobem bycia, jak gdyby byli arbitrami dobrego smaku. Jeśli chodziło o ubrania, Daniel był konserwatystą. Zasadniczo ubierał się wciąż tak jak za czasów studenckich. Nie nagabywany przeszedł samotnie przez dział sportowy i skierował się w głąb sklepu.

Ponieważ wiedział, że to będzie łatwe, zaczął od poszukiwania kąpielówek. Znalazł odpowiedni dział, a potem swój rozmiar. Przerzuciwszy kilka spośród dziesiątek modeli na wieszaku, wyciągnął solidne, granatowe bokserki. Uznał, że będą w sam raz. Tuż obok kąpielówek był dział z bielizną. Daniel miał klasyczną sylwetkę i znalazł swój rozmiar bez trudu.

Wykorzystawszy zaledwie kilka ze swych trzydziestu minut wytchnienia, przeszedł do działu koszul. Ominął większość z nich, z kwiatowymi wzorami w żywych, tropikalnych barwach, i skupił się na klasycznych fasonach z kołnierzykiem z przypinanymi rogami i

krótkimi rękawami. Odszukał swój rozmiar i wybrał dwie niebieskie. Z kąpielówkami, bielizną i koszulami w ręce przeszedł do działu spodni. Znalezienie gładkich spodni khaki okazało się równie trudne, ale udało mu się to, choć nie był pewien rozmiaru. Niechętnie wziął kilka par o różnych długościach i ruszył na poszukiwanie przymierzalni. Natknął się na nią na samym końcu sklepu, za opustoszałym działem garniturów i marynarek sportowych.

Przepchnął się przez wahadłowe drzwi i wszedł do środka. Wzdłuż tylnej ściany wyłożonego mahoniową boazerią wnętrza stały cztery kabinki. Obie krótsze ściany przymierzalni zdobiły potrójne lustra. Każda z kabinek miała pływające drzwi, które stały otworem. Pierwsza z prawej strony była dwa razy większa niż pozostałe trzy i Daniel skierował się właśnie do niej.

W środku ujrzał tapicerowane krzesło, kilka haczyków na ubrania i sięgające od sufitu do podłogi lustro. Zamknął i zablokował drzwi, położył wybrane już rzeczy na krześle i powiesił spodnie na haczykach. Zrzucił buty, rozpiął pasek i ściągnął spodnie. Sięgnął po pierwszą parę z haczyka i miał właśnie ją nałożyć, gdy nagle rozległ się donośny huk. Drzwi kabinki otworzyły się gwałtownie po brutalnym kopnięciu i uderzyły o ścianę z taką siłą, że klamka wbiła się w gipsowe przepierzenie. Serce skoczyło Danielowi do gardła, a z jego ust wyrwał się cichy jęk.

Przylapany dosłownie ze spuszczonej portkami, spojrzał tylko z zaskoczeniem na potężnie zbudowanego intruza, który mimo roztrzaskanej futryny zamknął drzwi. Mężczyzna zbliżył się do zaskoczonego Daniela, a ten uniósł wzrok ku parze ciemnych, zimnych jak metal oczu, osadzonych w ogromnej głowie, okrytej czarnymi, ostrzyżonymi na jeża włosami. Nim zdążył zareagować, intruz wyrwał mu z ręki spodnie i cisnął w kąt.

Akurat gdy Daniel odzyskał przytomność umysłu na tyle, by zacząć protestować, nie wiadomo skąd pojawiła się pięść i wyrznęła go z boku w twarz, miażdżąc mu naczynia włoskowate w nosie i dolnej powiece prawego oka. Daniel runął do tyłu i uderzył w lustro, a potem opadł bezwładnie do pozycji siedzącej z nogami podwiniętymi pod siebie. Jak przez mgłę widział sylwetkę napastnika. Na poły tylko świadomy i zupełnie bezwładny został poderwany w górę i pchnięty na krzesło. Niczym szmaciana lalka padł na stertę ubrań, które zamierzał kupić. Czuł, że z nosa kapie mu krew, i ledwie widział na prawe oko.

– Słuchaj, dupku – warknął Gaetano. Przysunął głowę tuż do twarzy Daniela. – Powiem to krótko. Moi szefowie, bracia Castigliano, w imieniu wszystkich udziałowców twojej pieprzonej firmy, chcą, żebyś zapierdalał do domu i zrobił porządek w interesach. Słyszysz?

Daniel próbował odpowiedzieć, ale jego struny głosowe nie zareagowały. W milczeniu skinął głową.

– To nie jest skomplikowana wiadomość – ciągnął Gaetano. – Ich zdaniem to nieładnie z twojej strony figlować sobie na słońcu, kiedy los stu tysięcy doków, które zainwestowali, wisi na włosku.

– Próbujemy... – wykrztusił Daniel, ale jego głos brzmiał jak cienki pisk.

– Tak, pewnie, że próbujecie – prychnął drwiąco Gaetano. – Ty i ta twoja laska. Ale moi szefowie są innego zdania i woleliby, żebyście próbowali sobie w Bostonie. I obojętnie, czy firma plajtuje, czy nie, będą chcieli widzieć swoją forszę z powrotem, choćbyście zatrudnili nie wiem jak cwanych prawników. Kapujesz?

– Tak, ale...

– Żadnych ale – przerwał mu Gaetano. – Mówię zupełnie wyraźnie. Masz mi powiedzieć, czy kapujesz! Tak czy nie?

– Tak – wychrypiął Daniel.

– Świetnie – odparł Gaetano. – Ale tak dla pewności, dam ci coś jeszcze do przemyślenia.

Bez ostrzeżenia uderzył go ponownie. Tym razem skierował cios w lewą stronę głowy i choć dla odmiany użył otwartej dłoni, jego siła była na tyle wielka, by Daniel zwałił się z krzesła na podłogę jak kukła.

Policzek piekł Daniela jak diabli, a w uchu przeraźliwie mu dzwoniło. Poczł, że Gaetano szturcha go stopą, po czym chwyta garść jego włosów i brutalnym ruchem unosi jego głowę z dywanu. Otworzył oczy. Przez zmrużone powieki spojrzł na górującą nad nim, podświetloną od tyłu sylwetkę napastnika.

– Czy mogę być pewny, że dotarło to do ciebie? – zapytał Gaetano. – Bo chcę, żebyś wiedział, że mogłem naprawdę zrobić ci krzywdę. Mam nadzieję, że to rozumiesz. Ale w tej chwili nie chcemy załatwić cię tak, żebyś nie mógł postawić swojej firmy na nogi. Oczywiście to może się zmienić, jeśli będę musiał znów przylecieć tu z cholernego Bostonu. Jasne?

– Jasne – wychrypiął Daniel.

Gaetano puścił jego włosy i Daniel grzmotnął głową o dywan. Zamknął oczy.

– To na razie wszystko – powiedział Gaetano. – Mam nadzieję, że nie będę musiał składać ci wizyty po raz drugi.

Chwilę później Daniel usłyszał, jak drzwi kabinki otwierają się ze skrzypieniem, po czym zamykają ponownie. Zapadła cisza.

## **Rozdział siedemnasty**

### **15.20, piątek, 1 marca 2002**

Przeleżawszy kilka minut bez ruchu, Daniel otworzył oczy. Był sam w kabince, ale za drzwiami słyszał stłumione głosy. Wyglądało na to, że sprzedawca kierował klienta do jednej z pozostałych kabin. Daniel dźwignął się do pozycji siedzącej i spojrzał na siebie w lustrze. Lewa strona jego twarzy była czerwona jak burak, a z nosa do kącika ust sączył się strumyczek krwi i spływał dalej aż na skraj podbródka. Prawe oko zaczynało zamykać się od opuchlizny i miało lekko niebieskawy odcień.

Ostrożnie pomacał czubkiem palca nos i prawą kość policzkową. Wszystko było obolałe, ale nie wyczuł ani punktowego bólu ani podejrzanych ostrych krawędzi, które mogłyby sugerować złamanie. Podniósł się na nogi i po przelotnych zawrotach głowy poczuł się stosunkowo nieźle, jeśli nie liczyć tępego bólu pod czaszką, dygocących nóg i ogólnej nerwowości, jak gdyby dopiero co wypił pięć filiżanek kawy. Wyciągnął przed siebie rękę. Drżała jak wszyscy diabli. To wydarzenie go przeraziło. Nigdy w życiu nie poczuł się tak bezbronny.

Mimo kłopotów z zachowaniem równowagi zdołał wciągnąć spodnie. Grzbietem dłoni otarł krew z twarzy. Jednocześnie uświadomił sobie, że ma rozcięte wnętrze policzka. Ostrożnie zbadał to miejsce językiem. Na szczęście rozcięcie nie było na tyle duże, by wymagało założenia szwów. Wygładził palcami rzednące włosy na czubku głowy, po czym otworzył drzwi i wyszedł z kabinki.

– Dzień dobry – odezwał się z silnym angielskim akcentem wymuskany czarnoskóry sprzedawca. Ubrany był w garnitur w prążki, ozdobiony barwną, jedwabną chusteczką, która zdawała się wybuchać z kieszonki na piersi. Stał z założonymi rękoma, oparty o ścianę, i czekał, aż jego klient wynurzy się z przebieralni. Unosząc brwi, rzucił Danielowi lekko zdziwione spojrzenie, ale nie powiedział nic więcej.

Daniel nie był pewien, jak może zabrzmieć jego głos, więc odpowiedział jedynie skinieniem głowy, zdobywając się jednocześnie na niepewny uśmiech. Ruszył naprzód na



chwiejnych nogach, doskonale zdając sobie sprawę, że cały drży. Martwił się, że może wyglądać na pijanego. Ale w miarę jak szedł, każdy krok stawał się coraz łatwiejszy. Poczul ulgę, gdy sprzedawca go nie zaczepił. Nie miał ochoty na żadne rozmowy. Chciał tylko wydostać się ze sklepu.

Gdy dotarł do wyjścia, był już pewien, że idzie normalnie. Otworzył drzwi i wystawił głowę na żar słonecznego popołudnia. Szybki rzut oka na parking przekonał go, że jego muskularny napastnik dawno już zniknął. Daniel zerknął przez okno do sklepu z odzieżą damską i dostrzegł Stephanie, krążącą beztrudno między wieszakami. Uspokojony, że nic się jej nie stało, skierował się prosto do samochodu.

Po wejściu do wozu opuścił szyby, by wiatr ochłodził wnętrze, które zdążyło rozgrzać się niczym piec podczas jego krótkiego pobytu w sklepie. Westchnął. Dobrze było znaleźć się znów w znajomym wynajętym samochodzie. Odchylił w swoją stronę wsteczne lusterko i przyjrzał się sobie uważnie. Szczególnie niepokoił go stan prawego oka, które było teraz praktycznie zamknięte. Stwierdził jednak, że rogówka jest czysta i nie ma śladów krwi w komorze przedniej gałki ocznej, choć dostrzegł nieco drobnych wybroczyn na twardówce. Spędził w czasie stażu wiele godzin na sali nagłych przypadków, więc wiedział co nieco o urazach twarzy – zwłaszcza o tak zwanym złamaniu rozprężającym oczodołu. Aby upewnić się, że nie ma do czynienia z tym przypadkiem, sprawdził, czy nie widzi podwójnie, zwłaszcza gdy kieruje wzrok w górę lub w dół. Na szczęście wszystko było w porządku. Przewrócił więc lusterko w poprzednie położenie i oparł się wygodnie w oczekiwaniu na Stephanie.

Mniej więcej kwadrans później Stephanie wynurzyła się ze sklepu z kilkoma torbami z zakupami w dłoniach. Osłaniając oczy przed słońcem, spojrzała w stronę Daniela. Ten wystawił rękę przez otwarte okno i pomachał do niej. Stephanie również pomachała i podbiegła do samochodu. Przyglądał się jej, gdy się zbliżała. Miał już trochę czasu, by pomyśleć o napaści i jej prawdopodobnym źródle, więc jego przerażenie przerodziło się w gniew, a znaczna część tego gniewu skierowana była ku Stephanie i jej porąbanej rodzinie. Wprawdzie nie roztrzaskano mu kolan, ale sama metoda działania podejrzenie kojarzyła mu się z mafią, co natychmiast przywiodło mu na myśl oskarżonego o wymuszanie okupu brata Stephanie. Nie miał pojęcia, kim byli bracia Castigliano, ale zamierzał to odkryć.

Stephanie podeszła do tylnych drzwi od strony pasażera, otworzyła je i rzuciła pakunki na tylne siedzenie.

– Jak się udały zakupy? – zapytała radośnie. – Ja muszę stwierdzić, że poszło mi lepiej, niż się spodziewałam. – Zatrzasnęła tylne drzwi i podeszła do przodu, wciąż paplając o swych zakupach. Wsiadła, zamknęła drzwi, sięgnęła po pasy bezpieczeństwa i wtedy dopiero spojrzała na Daniela. Umilkła w pół zdania. – Mój Boże! Co się stało z twoim okiem? – jęknęła.

– Miło, że to zauważyłaś – prychnął pogardliwie Daniel. – Jak widać, zostałem pobity.

Ale zanim wdamy się w niesmaczne szczegóły, mam pytanie. Kim są bracia Castigliano?

Stephanie spojrzała na niego i oprócz opuchniętego oka dostrzegła także czerwone obrzmienie na jego policzku i zaschniętą krew na skraju nozdrzy. W odruchu współczucia chciała wyciągnąć rękę i dotknąć go, ale się powstrzymała. Zauważyła gniew odbity w zdrowym oku i usłyszała go w tonie jego głosu. Poza tym nazwisko Castigliano i znaczenie, jakie ze sobą niosło, na chwilę ją sparaliżowało. Spuściła wzrok na swe spoczywające bezwładnie na kolanach dłonie.

– Czy to jeszcze jeden istotny drobiazg, o którym nie miałaś ochoty ze mną rozmawiać? – ciągnął Daniel z tym samym sarkazmem. – To znaczy, oprócz twojego brata oskarżonego o wymuszanie okupu po tym, jak został inwestorem. Pytam po raz drugi, kim, u diabła, są bracia Castigliano?

Umysł Stephanie pracował jak szalony. To prawda, że nie powiedziała mu, iż jej brat ściągnął połowę zainwestowanych pieniędzy z innego źródła. Nic tego nie usprawiedliwiało, tym bardziej że sama była zaniepokojona tą nowiną, a przez to drugie i blisko związane z poprzednim uchybienie poczuła się jak złodziej przyłapany dwa razy na tym samym przestępstwie.

– Miałem nadzieję, że przynajmniej porozmawiamy – powiedział Daniel, gdy Stephanie nie odpowiadała.

– Porozmawiamy – odezwała się nagle. Spojrzała na mego. Nigdy w życiu nie czuła się tak winna. Daniel został pobity i musiała przyznać, że spora część odpowiedzialności za to spoczywa na jej barkach. – Ale najpierw powiedz mi, czy dobrze się czujesz.

– Na tyle, na ile można się spodziewać w tych okolicznościach. – Daniel uruchomił silnik i wycofał samochód ze stanowiska.

– Może powinniśmy pojechać do szpitala albo do lekarza? – zapytała Stephanie.

– Nie! Nie ma potrzeby. Przeżyję.

– A co z policją?

– Tym bardziej nie! Zgłoszenie się na policję, która być może naprawdę przeprowadziłaby rzetelne dochodzenie, mogłoby zniweczyć nasze plany leczenia Butlera. – Daniel ruszył w stronę wyjazdu z parkingu.

– Być może to kolejny omen w tej całej sprawie. Jesteś pewien, że nie chcesz zrezygnować z tych faustowskich poszukiwań?

Daniel rzucił Stephanie gniewne, pogardliwe spojrzenie.

– Nie mogę uwierzyć, że w ogóle sugerujesz coś takiego. W żadnym razie! Nie zamierzam paść plackiem i zrezygnować ze wszystkiego, co stworzyliśmy, tylko dlatego, że paru łachmytów kazało swojemu neandertalskiemu pacholce przekazać mi wiadomość.

– Rozmawiał z tobą?

– Pomiędzy uderzeniami.

– Co to była dokładnie za wiadomość?

– Jak wyraził się ten mięśniak, mam zapierdalać do Bostonu i zrobić porządek w interesach. – Daniel wyjechał na ulicę i dodał gazu. – Niektórzy z naszych udziałowców dowiedzieli się, że jesteśmy w Nassau, i doszli do wniosku, że spędzamy tu wakacje.

– Wracamy do hotelu?

– Straciłem zapał do zakupów i chcę położyć sobie trochę lodu na to moje oko.

– Jesteś pewien, że nie powinniśmy pójść do lekarza? Twoje oko wygląda dość paskudnie.

– Będziesz pewnie zaskoczona, jeśli ci przypomnę, że sam jestem lekarzem.

– Mówię o prawdziwym, praktykującym lekarzu.

– Bardzo zabawne, ale wybacz, że nie pękam ze śmiechu!

Krótką odległość, jaka dzieliła ich od hotelu, przebyli w milczeniu. Daniel zatrzymał samochód na parkingu. Wysiedli. Stephanie zebrała z tyłu pakunki. Nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

– Bracia Castigliano to znajomi mojego brata Tony’ego – przyznała w końcu, gdy szli w stronę swojego pawilonu.

– Dlaczego nie jestem zaskoczony?

– Poza tym nic więcej o nich nie wiem, ani nigdy ich nie spotkałam.

Otworzyli drzwi apartamentu. Stephanie rzuciła torby z zakupami w ką. Dręczona poczuciem winy nie wiedziała, jak poradzić sobie ze słusznym gniewem Daniela.

– Może wejdiesz i usiądziesz – odezwała się z troską. – Ja przyniosę lód.

Daniel wyciągnął się na kanapie w salonie, ale natychmiast powrócił do pozycji siedzącej. Kiedy leżał, pękała mu głowa. Stephanie weszła z ręcznikiem, w który owinęła garść kostek lodu, wyjętych z kubelka stojącego na blacie nad barkiem. Podała ten prowizoryczny kompres Danielowi, który ostrożnie przyłożył go do spuchniętego oka.

– Może chcesz ibuprofen? – zapytała.

Daniel skinął głową. Stephanie przyniosła kilka tabletek oraz szklanek wody.

Gdy Daniel łykał lekarstwo, Stephanie usiadła na kanapie i podwinęła nogi pod siebie. Następnie zrelacjonowała mu rozmowę, którą odbyła z Tonym w dniu odlotu do Turynu. Na koniec ze smutkiem przeprosiła, że nie wspomniała o tym Danielowi. Wyjaśniła, że wobec wszystkich wydarzeń, które miały miejsce w tym czasie, ta sprawa zdawała się mieć niewielkie znaczenie.

– Miałam zamiar powiedzieć ci o tym po powrocie z Nassau, kiedy wpłynęłaby już druga tura płatności, bo chciałam potraktować te dwieście tysięcy od brata jako pożyczkę i zwrócić je z procentem. Nie chcę, żeby on albo ktokolwiek z jego kompanów miał w przyszłości cokolwiek wspólnego z CURE.

– Cóż, przynajmniej zgadzamy się co do czegoś.

– Przyjmiesz moje przeprosiny?

– Chyba tak – odparł Daniel bez większego entuzjazmu. – A więc twój brat przestrzegł

cię przed przyjazdem tutaj?

– Tak – przyznała Stephanie – bo nie powiedziałam mu, dlaczego wyjeżdżamy. Ale to było tylko ogólne ostrzeżenie i z pewnością pozbawione pogrózek. Muszę stwierdzić, że wciąż trudno mi uwierzyć, że on mógłby być zamieszany w napaść na ciebie.

– Och, doprawdy? – prychnął cierpko Daniel. – Lepiej zacznij w to wierzyć, bo on na pewno maczał w tym palce! To znaczy, skąd ci bracia Castigliano wiedzieliby, że jesteśmy w Nassau, jeśli to nie on im powiedział? To nie może być zbieg okoliczności, że ten zbir pojawił się tu w dzień po naszym przylocie. Najwyraźniej kiedy wczoraj wieczorem zadzwoniłaś do swojej mamy, ona zadzwoniła do twojego brata, a on zadzwonił do swoich kumpli. I sądzę, że nie muszę ci przypominać, jak się wściekłaś, kiedy wspomniałem o niebezpiecznych konsekwencjach zadawania się z ludźmi podejrzanymi o wymuszanie okupu?

Stephanie zarumieniła się na to wspomnienie. Była to prawda – istotnie wpadła wtedy w gniew. Z nagłą determinacją sięgnęła po telefon komórkowy, otworzyła klapkę i zaczęła wybierać numer. Daniel chwycił ją za ramię.

– Do kogo dzwonisz?

– Do brata – odparła z pasją. Z telefonem przy uchu oparła się plecami o kanapę. Zawzięcie zacisnęła usta.

Daniel nachylił się ku niej i wyjął komórkę z jej ręki. Mimo gniewnego błysku w oku i wyraźnej determinacji nie stawiała najmniejszego oporu. Zamknął klapkę i odrzucił telefon na stół.

– W tej chwili przede wszystkim nie powinniśmy dzwonić do twojego brata. – Usiadł sztywno, przyciskając kompres do oka.

– Ale ja chcę z nim pogadać. Jeśli rzeczywiście maczał w tym palce, nie zamierzam puścić mu tego płazem. Czuję się zdradzona przez własną rodzinę.

– Jesteś zła?

– Oczywiście, że jestem zła – odparła Stephanie.

– Ja też – warknął Daniel. – Ale to ja zostałem pobity, nie ty.

Spuściła oczy.

– Racja. Masz o wiele większe prawo być wściekły niż ja.

– Muszę zadać ci pewne pytanie – oświadczył Daniel. Poprawił sobie kompres. – Mniej więcej godzinę temu powiedziałaś, że przemyślisz sprawę ewentualnego powrotu do domu dla uspokojenia sumienia w kwestii pracy z ludźmi pokroju Paula Saundersa i Spencera Wingate’a. Po tym incydencie muszę wiedzieć już teraz, czy masz zamiar wracać, czy nie.

Stephanie spojrzała na niego. Pokręciła głową i wybuchnęła krótkim, niepewnym śmiechem.

– Po tym, co się stało, czuję się tak winna, że nie ma mowy, żebym mogła wyjechać.

– Cóż, miło mi to słyszeć – stwierdził Daniel. – Może ze wszystkiego jest jakaś korzyść, nawet ze zmasakrowanej facjaty.

– Naprawdę jest mi przykro, że zostałeś pobity – powiedziała Stephanie. – Mówię szczerze. Bardziej niż sądzisz.

– Dobrze już, dobrze – odparł Daniel. Uspokajającym gestem uściśnił jej kolano. – Skoro już wiem, że zostajesz, oto co moim zdaniem powinniśmy zrobić. Myślę, że najlepiej będzie udawać, że ten drobny incydent z poturbowaniem mnie nie miał w ogóle miejsca, co oznacza, że nie będzie żadnych gniewnych telefonów do twojego brata ani, skoro już o tym mowa, nawet do twojej matki. W przyszłości podczas rozmów z matką będziesz podkreślać, że ty i ja nie byczymy się tutaj, ale ciężko pracujemy nad ratowaniem CURE. Powiedz jej, że zabierze nam to trzy tygodnie, a potem wrócimy do domu.

– A co z tym chuliganem, który cię napadł? Nie musimy się obawiać, że on wróci?

– Jest takie niebezpieczeństwo, ale wydaje mi się, że musimy zaryzykować. On nie mieszka na Bahamach i mam podstawy, by sądzić, że jest już w drodze do domu. Powiedział, że jeśli będzie musiał znów tu przylecieć z cholernego Bostonu, cytuję, naprawdę robi mi krzywdę, co każe mi sądzić, że jego zwykłą bazą jest Nowa Anglia. Jednocześnie oznajmił, że nie chce załatwić mnie tak, żebym nie mógł postawić firmy z powrotem na nogi, co oznacza, że jego szefowie są żywotnie zainteresowani moim dobrym zdrowiem, niezależnie od tego, jak się czuję w tej chwili. Ale co najważniejsze, mam nadzieję, że twoje rozmowy z matką, których treść niewątpliwie dotrze do twojego brata, przekonają Castiglianów, że warto poczekać trzy tygodnie.

– Czy powinniśmy zmienić hotel, skoro powiedziałam matce, że mieszkamy tutaj?

– Myślałem o tym, kiedy czekałem na ciebie w samochodzie. Zastanawiałem się nawet, czy nie skorzystać z oferty Paula i nie zamieszkać w Klinice Wingate’a.

– O Boże! To byłoby jak wpaść z deszczu pod rynnę.

– Ja też nie miałbym na to ochoty. Wystarczy, że będziemy musieli znosić tych szarlatanów w ciągu dnia. Tak więc sądzę, że po prostu zostaniemy tutaj, chyba że miałoby cię to doprowadzać do szaleństwa. Nie chcę powtórki z naszej ostatniej nocy w Turynie. Osobiście uważam, że powinniśmy zostać, ale nie opuszczać hotelu, z wyjątkiem wyjazdów do Kliniki Wingate’a, w której i tak od jutra będziemy spędzać większość czasu. Zgoda?

Stephanie kilkakrotnie pokiwała głową, rozważając wszystko, co powiedział.

– Zgadzasz się czy nie? – zapytał Daniel. – Nic nie mówisz.

W przyływie frustracji Stephanie gwałtownie wyrzuciła w górę rękę.

– Rany, sama nie wiem, co myśleć. Ta napaść na ciebie po prostu zwiększa moje obawy co do tej całej sprawy z Butlerem. Od pierwszego dnia jesteśmy zmuszani do snucia domysłów na temat ludzi, o których niewiele wiemy.

– Zaczekaj chwilę! – warknął Daniel. Jego twarz, już i tak czerwona, zarumieniła się jeszcze bardziej, a głos, który z początku brzmiał nisko, zaczął coraz bardziej się wznosić. – Nie zaczynajmy na nowo dyskusji o tym, czy mamy leczyć czy nie leczyć Butlera. To już postanowione. Obecnie rozmawiamy o logistyce naszych przyszłych działań. Koniec, kropka!

– Dobrze już, dobrze! – odparła Stephanie. Położyła mu dłoń na ramieniu. – Uspokój się! Świetnie! Zostaniemy tutaj i będziemy mieć nadzieję, że wszystko ułoży się jak najlepiej.

Daniel wziął parę głębokich oddechów.

– Myślę też, że koniecznie powinniśmy trzymać się razem – dodał.

– O czym ty mówisz?

– Nie sędzę, żeby to był przypadek, że ten rzeźnik zaatakował mnie akurat wtedy, gdy zostałem sam. Twój brat najwyraźniej nie chce, żeby stała ci się krzywda. W przeciwnym razie oboje zostalibyśmy pobici, albo przynajmniej ja oberwałbym bardziej, ale ty musiałabyś być tego świadkiem. Myślę, że ten człowiek czekał, aż będę sam. Ergo, sędzę, że trzymanie się razem przez cały czas, kiedy będziemy przebywać poza naszym pokojem, zapewni nam względne bezpieczeństwo.

– Może masz rację – mruknęła Stephanie. Czowała zamęt w głowie. Z jednej strony ulżyło jej, że wzmianka o trzymaniu się razem nie miała być uszczypliwą aluzją do ich związku, z drugiej strony jednak wciąż trudno było jej przyznać przed samą sobą, że jej brat mógł mieć cokolwiek wspólnego z pobiciem Daniela.

– Możesz przynieść mi jeszcze trochę lodu? – zapytał Daniel. – Ten już prawie się roztopił.

– Oczywiście – odparła Stephanie. Poczwała ulgę, że może się czymś zająć. Zabrała przemoczony ręcznik i wymieniła go na świeży z łazienki. Potem jeszcze raz sięgnęła do kubelka z lodem w barku. Gdy podawała Danielowi świeży kompres, nagle odezwał się telefon na stoliku. Przez parę chwil jego uparte brzęczenie zalewało cichy poza tym pokój. Ani Daniel, ani Stephanie nie poruszyli się. Oboje wpatrywali się w aparat.

– Kto to może być, do diabła? – zapytał Daniel po czwartym dzwonku. Położył sobie kompres na oku.

– Niewiele osób wie, że tu jesteśmy – zauważyła Stephanie. – Mam odebrać?

– Chyba tak – odparł Daniel. – Jeżeli to twoja matka albo brat, pamiętaj, co powiedziałem wcześniej.

– A jeśli to ten gość, który cię pobił?

– To mało prawdopodobne. Odbierz, ale zachowuj się swobodnie! Jeśli to ten zbir, po prostu się rozłącz. Nie próbuj wciągać go w żadną rozmowę.

Stephanie podeszła do telefonu i nie odrywając wzroku od Daniela, podniosła słuchawkę. W miarę normalnym głosem powiedziała „halo”. Daniel przyglądał się, jak jej brwi unoszą się lekko, gdy słucha odpowiedzi. Po paru chwilach zapytał bezgłośnie:

– Kto to jest?

Stephanie uniosła dłoń, dając mu znak, by poczekał.

– Wspaniale! I dziękuję – powiedziała wreszcie. Potem znów słuchała, w roztargnieniu nawijając kabel na palec. W końcu odparła: – To bardzo miło z pana strony, ale dziś wieczorem to nie jest możliwe. Prawdę mówiąc, nie będzie możliwe w żaden wieczór. – Po

tych słowach oschle się pożegnała i odłożyła słuchawkę. Znów odwróciła wzrok ku Danielowi, ale przez chwilę się nie odzywała.

– I co? Kto to był? – zapytał Daniel, gdy ciekawość wzięła nad nim górę.

– Spencer Wingate. – Stephanie w zdumieniu pokręciła głową.

– Czego chciał?

– Chciał nas poinformować, że zlokalizował naszą przesyłkę kurierską i załatwił, żeby dostarczono ją nam jutro z samego rana.

– Cześć i chwała mu za to. Zatem możemy zabrać się do tworzenia komórek terapeutycznych dla Butlera. Ale to była dość długa rozmowa, jak na tak krótką wiadomość. Czego jeszcze chciał?

Stephanie zaśmiała się cierpko.

– Pytał, czy nie wpadłabym do jego willi w Lyford Cay na kolację. Co dziwne, dał jasno do zrozumienia, że zaprasza tylko mnie, nie nas oboje. Wierzyć mi się nie chce. Wyglądało to tak, jakby próbował mnie uwieść.

– Cóż, spójrzmy na to od pozytywnej strony: przynajmniej ma dobry gust.

– Wcale mnie to nie bawi – odparowała Stephanie.

– Widzę to – rzekł Daniel. – Ale pamiętajmy o naszych celach.

## **Rozdział osiemnasty**

### **11.30, poniedziałek, 11 marca 2002**

Od czasu do czasu Daniel musiał oddać innym sprawiedliwość. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że Stephanie lepiej niż on radzi sobie z manipulacjami na komórkach, a to, co oglądał właśnie przez okular dwugłowicowego mikroskopu stereoskopowego, dobitnie podkreślało ten fakt. Oboje ustawili przyrząd na rogu stołu laboratoryjnego w Klinice Wingate'a, by umożliwić mu śledzenie jej pracy. Stephanie przystępowała właśnie do transferu jądrowego, zwanego także klonowaniem terapeutycznym, wydobywając jądro dojrzałej komórki jajowej, której DNA zostało oznakowane barwnikiem fluorescencyjnym. Oocyt był już unieruchomiony poprzez ssanie na tępej końcówce pipety mocującej.

– W twoim wykonaniu wydaje się to takie łatwe – zauważył Daniel.

– Bo jest łatwe – odparła Stephanie i z pomocą mikromanipulatora wprowadziła w pole widzenia drugą pipetę. W przeciwieństwie do pipety mocującej, wydrążona końcówka tego instrumentu była ostra jak najcieńsza igła, a sama pipeta miała zaledwie jedną dwudziestopięciomilionową metra średnicy.

– Może łatwe dla ciebie, ale nie dla mnie.

– Cała sztuka polega na tym, żeby się nie spieszyć. Trzeba to robić powoli i jednostajnie, bez szarpaniny.

Zgodnie z jej słowami druga pipeta sunęła płynnie, lecz zdecydowanie w stronę unieruchomionego oocytu, aż oparła się o zewnętrzną warstwę komórki, nie przebijając jej.

– Tę właśnie część zawsze schrzaniam – przyznał Daniel. – W połowie przypadków przebijam się przez komórkę na wylot.

– Może dlatego, że jesteś zbyt niecierpliwy, a przez to trochę niezręczny – podsunęła Stephanie. – Kiedy pipeta jest odpowiednio ustawiona względem komórki, wystarczy tylko lekko klepnąć palcem w mikromanipulator.

– Nie obracasz mikromanipulatora przy przekłuwaniu błony?

– Nigdy.



Palcem wskazującym Stephanie przeprowadziła wspomniany manewr i w obiektywie mikroskopu widać było, jak pipeta wnika gładko w cytoplazmę nieszczęsnej komórki.

– Cóż, człowiek uczy się przez całe życie – stwierdził Daniel. – To dowodzi, że w tej dziedzinie jestem kompletnym amatorem.

Stephanie odsunęła się od binokularu, by na niego zerknąć. Taka samokrytyka była zupełnie nie w jego stylu.

– Nie bądź dla siebie tak surowy. To przyziemna praca, do której zawsze miałeś wykwalifikowanych laborantów. Ja nauczyłam się tego, kiedy byłam kujonem na studiach.

– Pewnie tak – mruknął Daniel, nie unosząc wzroku.

Stephanie wzruszyła ramionami i znów spojrzała w okular mikroskopu.

– Teraz używam mikromanipulatora, by podejść do fluoryzującego DNA – powiedziała. Koniuszek pipety zbliżył się do swego celu i gdy Stephanie zastosowała leciutkie ssanie, DNA zniknęło w świetle pipety, jakby była to rura miniaturowego odkurzacza.

– W tym też nie jestem dobry – przyznał Daniel. – Chyba wsysam zbyt dużo cytoplazmy.

– Ważne jest, żeby wciągnąć tylko DNA – odparła Stephanie.

– Ilekroć obserwuję tę technikę, nie mogę wyjść z podziwu, że to działa – stwierdził Daniel. – Zawsze wyobrażałem sobie mikroskopową strukturę wewnętrzną żywej komórki jako coś w rodzaju maleńkiej szklarni. Jak to możliwe, że możemy wyrwać z niej jądro z korzeniami, praktycznie wrzucić do środka inne jądro z dorosłej, zróżnicowanej komórki, i sprawić, że połączą się w całość? To się nie mieści w głowie.

– Rezultatem jest nie tylko połączenie się w całość, ale i odmłodzenie dorosłego jądra, które wprowadzamy.

– Więc tym bardziej – przytaknął Daniel. – Mówię ci, transfer jądrowy jest naprawdę niepojęty.

– W pełni się z tobą zgadzam – odparła Stephanie. – W moim odczuciu to, że ten proces jest tak nieprawdopodobny, dowodzi działania sił boskich, co podkopuje mój agnostycyzm jeszcze bardziej niż wszystko, czego dowiedzieliśmy się o Całunie Turyńskim. – Wprowadziła w pole widzenia mikroskopu trzecią pipetę. W jej wnętrzu znajdowała się pojedyncza komórka z hodowli fibroblastów Ashleya Butlera: komórka, której odziedziczone po przodkach jądro Daniel skrupulatnie przetworzył, najpierw za pomocą HTRS, aby wymienić geny odpowiedzialne za chorobę Parkinsona u senatora, a następnie, zgodnie z sugestią Stephanie, dodać gen specjalnego powierzchniowego antygeny. Owo jądro DNA fibroblastu miało zastąpić DNA, które Stephanie usunęła z oocytu.

Przyglądając się zręcznym manipulacjom Stephanie, Daniel nie mógł wyjść z podziwu, jak wiele oboje zdołali dokonać w ciągu półtora tygodnia, jakie minęło od spotkania ze zbirem z Bostonu. Na szczęście jego fizyczne obrażenia zagoiły się i w większości były już tylko wspomnieniem, jeśli nie liczyć utrzymującej się jeszcze wrażliwości wzdłuż prawej kości policzkowej i żółtozielonej resztki ustępującego sińca pod okiem. Niestety, uraz

psychiczny okazał się trwalszy. W umyśle Daniela pozostał obraz pochylającej się nad nim potężnej głowy zwalistego napastnika, jego małych uszu i grubych, topornych rysów. Najbardziej przerażający był krzywy uśmiech tego człowieka i okrutne, świdrujące oczy. Nawet po jedenastu dniach wciąż nawiedzały Daniela koszmarne sny, w których widział tę straszną twarz, i na nowo dopadało go poczucie kompletnej bezbronności.

Za dnia radził sobie znacznie lepiej niż podczas snu. Zgodnie z tym, co oboje ze Stephanie ustalili tuż po tym zajściu, trzymali się razem jak bliźnięta syjamskie i z wyjątkiem wyjazdów do Kliniki Wingate'a nie opuszczali terenów hotelowych. Jak się okazało, przestrzeganie tych ograniczeń nie nastęczało im specjalnych trudności, gdyż i tak dzień w dzień przesiadywali od świtu do nocy w laboratorium. Megan Finnigan uprzejmie przydzieliła im oprócz osobnego stołu laboratoryjnego także mały pokój, w którym mogli rozłożyć papiery i wykresy, co było błogosławieństwem dla wydajności ich pracy. Nawet Paul Saunders nie zawiódł i zgodnie z obietnicą dostarczył im dziesięć świeżych ludzkich oocytów dwanaście godzin po tym, jak o nie poprosili.

Z początku Daniel i Stephanie rozdzielili prace między siebie. Ona zajmowała się przyslaną przez Petera hodowlą fibroblastów. Dostała ją rozmrożoną, ale rozwijającą się, jedynie z drobnymi ubytkami. W tym samym czasie Daniel zaatakował buforowany roztwór, w którym moczył się strzępek całunu. Po jednorazowym przepuszczeniu go przez termocykler, by powielić obecny w płynie materiał genetyczny, Daniel uznał, że DNA należy do ssaka naczelnego, prawdopodobnie człowieka, choć, zgodnie z oczekiwaniami, jest mocno pofragmentowany.

Po oczyszczeniu za pomocą mikroskopijnych szklanych paciorków Daniel jeszcze kilkakrotnie przepuścił przez reakcję łańcuchową polimerazy wyizolowane fragmenty DNA z całunu, nim wreszcie zrobił użytek ze swych sond genetycznych. Już pierwsza próba przyniosła sukces, lecz szukane geny okazały się pocięte na części, co postawiło go przed koniecznością sekwencjonowania luk. Po kilku szesnastogodzinnych dniach pracy udało mu się połączyć z pomocą ligaz nukleotydowych odpowiednie fragmenty i uzyskać kompletne geny. W tym momencie gotów był na przyjęcie fibroblastów Butlera, które Stephanie szczęśliwie zdążyła już przygotować.

Następnym krokiem była HTRS, która nie przysporzyła większych trudności. Jako twórca tej procedury Daniel doskonale znał wszelkie jej niuanse i pułapki, ale pod jego pewną dłonią enzymy i wektory wirusowe sprawnie spełniły swoje zadanie i wkrótce spora partia fibroblastów była już gotowa. Jedyne problem stanowił Paul Saunders, który uparł się, by śledzić każdy ruch Daniela, i często wchodził mu w paradę. Paul bez żenady przyznawał, że zamierza włączyć tę technikę do repertuaru oferowanych przez Klinikę Wingate'a kuracji z użyciem komórek macierzystych, z myślą o ściąganiu od pacjentów znacznie wyższych opłat. Daniel wytrwale usiłował go ignorować i nieraz gryzł się w język, by powstrzymać się przed wyproszeniem konowała z jego własnego laboratorium, ale było to trudne.

Po uporaniu się z HTRS Daniel uznał, że przyszła pora na transfer jądrowy, ale Stephanie zaskoczyła go propozycją, by wcześniej dokonać transfekcji zmodyfikowanej przez HTRS komórki konstruktem ekdysonowym, czyli grupą genów zdolnych do wytworzenia w docelowych komórkach terapeutycznych unikatowego, nie występującego u ludzi antygenu powierzchniowego. Jak wyjaśniła, gdyby kiedykolwiek pojawiła się potrzeba uwidocznienia implantowanych komórek terapeutycznych w mózgu Butlera, da się to wykonać z łatwością, gdyż komórki terapeutyczne będą miały antygen nieobecny w żadnej z pozostałych miliardów komórek Ashleya. Daniel był pod wrażeniem tego pomysłu i zgodził się na dodatkowy krok, zwłaszcza gdy Stephanie powiedziała mu, iż była na tyle przewidująca, że poprosiła Petera o przysłanie z ich laboratorium w Cambridge konstruktów i odpowiednich wektorów wirusowych razem z hodowlą fibroblastów Butlera. Daniel i Stephanie zastosowali już tę sztuczkę, kiedy wyleczyli myszy dotknięte chorobą Parkinsona, i uznali to za cenne uzupełnienie procedury.

– Do tego kroku zawsze używam mikromanipulatora – odezwała się Stephanie, wyrывая Daniela z zamyślenia. Pipeta zawierająca zmodyfikowany fibroblast Butlera przebiła otoczkę oocyta, nie naruszając znajdującej się pod nią błony komórkowej.

– Z tą częścią też mam kłopoty – przyznał Daniel. Przyglądał się, jak Stephanie wstrzykuje stosunkowo niewielki fibroblast w przestrzeń między błoną komórkową jaja i jego stosunkowo grubą zewnętrzną otoczką. Potem pipeta zniknęła z widoku.

– Żeby to się udało, należy podejść do otoczki oocyta po stycznej – wyjaśniła Stephanie.

– W przeciwnym razie możesz niechętno przebić się do wnętrza komórki.

– To brzmi rozsądnie.

– Cóż, muszę powiedzieć, że nieźle to wygląda – stwierdziła Stephanie, przyjrząwszy się swemu dziełu. Odpowiednio ziarnista, pozbawiona jądra komórka jajowa oraz maleńki w porównaniu z nią fibroblast spoczywały zamknięte w intymnym uścisku wewnątrz otoczki oocyta. – Pora na fuzję, a potem na aktywację.

Odsunęła się od binokularu i wyciągnęła szalkę Petriego spod obiektywu mikroskopu. Zsunąwszy się ze stołka, podeszła do aparatu do elektrofuzji, gdzie zestawione komórki miały zostać poddane krótkiemu wstrząsowi elektrycznemu, który połączy je w całość.

Daniel przyglądał się jej. Obok uporczywych koszmarów nocnych, nawiedzających go po pobiciu przez pachołka braci Castigliano, zmagał się też z innymi psychicznymi następstwami tego przeżycia. Mimo tego, co dla uspokojenia powiedział Stephanie tuż po incydencie, przez pierwsze kilka dni żył w ciągłym niepokoju, że ten człowiek znowu się pojawi. Jego lęku nie uśmierzyła nawet reakcja administracji hotelu, kiedy poinformował ją o tym, co się stało. Kierownik, co było godne uznania, z własnej inicjatywy ustawił na tydzień ochroniarza w ich pawilonie. Każdego wieczoru, po kolacji w hotelowej restauracji Na Dziedzińcu, onieśmielająco potężny osobnik odprowadzał Daniela i Stephanie do ich pokoju, po czym stał na straży w korytarzu aż do rana, kiedy wyjeżdżali do Kliniki Wingate’a.

W miarę jak lęk Daniela przygasał, jego gniew wywołany tym wydarzeniem przybierał na

sile, a znaczna część tego gniewu zwrócona była ku Stephanie. Chociaż przeprosiła Daniela i początkowo szczerze mu współczuła, złościły go jej ciągłe wątpliwości co do roli jej rodziny w tym incydencie. Nie wyraziła ich wprost, ale wyczuł je z jej zawołowanych uwag. Mimo woli zadawał sobie pytanie, czy Stephanie, przy tak porąbanej rodzinie i braku rozeznania co do możliwości tych ludzi, nie będzie mu na dłuższą metę zbyt wielkim ciężarem.

Jej poczucie własnej nieomyślności też stanowiło problem. Choć obiecała, że nie będzie zdradzać się ze swymi opiniami wobec ludzi z Kliniki Wingate'a, nieustannie rzucała niestosowne uwagi co do ich rzekomej terapii komórkami macierzystymi, a nawet posunęła się do natrętnego wypytywania o zatrudnione w klinice młode, ciężarne Bahamki, co było wyjątkowo drażliwą kwestią dla Paula Saundersa. Jak gdyby tego było mało, z zenującym lekceważeniem odnosiła się do Spencera Wingate'a. Daniel zdawał sobie sprawę, że ten człowiek w coraz bardziej bezczelny sposób się do niej przystawia, na co mogła mieć wpływ bierność Daniela w obliczu jego zaczepek, istniały jednak grzeczniejsze sposoby odprawiania go niż te, które wybierała. Drażniło Daniela niepomierne, że Stephanie zdaje się po prostu nie rozumieć, iż jej zachowanie naraża na szwank całe przedsięwzięcie. Gdyby ich wyrzucono, wszystko poszłoby na marne.

Westchnął, przyglądając się Stephanie przy pracy. Choć był w rozterce co do przyszłości ich związku, nie ulegało wątpliwości, że na razie jej potrzebował. Od przybycia Butlera na wyspę dzieliło ich już tylko jedenaście dni, a w tym czasie musieli wyhodować z jego fibroblastów wytwarzające dopaminę neurony, niezbędne do kuracji. Mieli już za sobą HTRS i transfer jądrowy, ale czekało ich jeszcze wiele pracy. Umiejętności Stephanie w zakresie manipulacji na komórkach były bezwzględnie potrzebne i po prostu nie było czasu, żeby ją zastąpić.

Stephanie czuła wzrok Daniela na swych plecach. Zdawała sobie sprawę, że poczucie winy i wątpliwości co do roli jej rodziny w napaści na niego uczyniły ją nadwrażliwą, ale Daniel ostatnio zachowywał się dziwnie. Wiedziała, że pobicie nie należy do przyjemnych doświadczeń, mimo wszystko jednak spodziewała się, że szybciej dojdzie do siebie. Tymczasem on nadal dystansował się od niej na wiele subtelnych sposobów i chociaż wciąż spali w tym samym łóżku, nie było między nimi żadnej zażyłości. Takie zachowanie na nowo rozbudziło w niej dawną troskę, że Daniel nie może czy nie chce udzielić jej emocjonalnego wsparcia, jakiego potrzebowała, szczególnie w okresach stresu, bez względu na jego przyczynę i bez względu na to, po czyjej stronie leży wina.

Zastosowała się do jego poleceń co do joty, więc na pewno nie z tej przyczyny tak się zachowywał. Choć korciło ją, by zadzwonić i rozmówić się z bratem, nie zrobiła tego. A w stosunkowo częstych rozmowach, jakie przeprowadzała ze swą matką, starała się podkreślać, że oboje z Danielem pojechali do Nassau do pracy i że harują bardzo ciężko, co było najzupełniej zgodne z prawdą. Na potwierdzenie tego wspomniała, że ani razu jeszcze nie

kapali się w morzu, co także było prawdą. Ponadto przy wielu okazjach oświadczała, że wkrótce skończą i około dwudziestego piątego marca wrócą do domu i do bynajmniej nie zagrożonej finansowo firmy. Starannie unikała w tych rozmowach wszelkich wzmianek o bracie, lecz poprzedniego dnia uległa w końcu pokusie.

– Czy Tony pytał o mnie? – zapytała tak swobodnym tonem, na jaki mogła się zdobyć.

– Oczywiście, kochanie – odparła Thea. – Twój brat martwi się o ciebie i wciąż o ciebie wypytuje.

– O co dokładnie pyta?

– Nie pamiętam dokładnych słów. Tęskni za tobą. Po prostu chce wiedzieć, kiedy wracasz do domu.

– I co mu odpowiadasz?

– Powtarzam mu tylko to, co słyszę od ciebie. Dlaczego o to pytasz? Czy powinnam mówić coś innego?

– Oczywiście, że nie – odparła Stephanie. – Zapewnij go, że będziemy w domu za niecałe dwa tygodnie i że nie mogę się doczekać, kiedy go zobaczę. I powiedz mu, że nasza praca idzie wyjątkowo dobrze.

Pod wieloma względami Stephanie była zadowolona, że oboje z Danielem są tak zapracowani. Dzięki temu miała mniej okazji, by zadrećcać się stanem swego ducha lub roztrząsać kwestię moralnej słuszności leczenia Butlera. Jej wątpliwości co do tej sprawy znów przybrały na sile, częściowo z powodu napaści na Daniela, a częściowo wskutek konieczności przymknięcia oczu na podejrzone poczynania szefów Kliniki Wingate’a. Paul Saunders był zdecydowanie najgorszy. Uważała go za bezwzględniego, pozbawionego nawet podstawowych zasad moralnych durnia. Zestawienie wyników prowadzonego przez Klinikę Wingate’a programu badań nad komórkami macierzystymi, którym się chełpił, stanowiło kiepski żart. Był to po prostu zbiór opisów indywidualnych przypadków i subiektywnie ujętych rezultatów leczenia. Nie było tam za grosz naukowego podejścia, a najbardziej niepokoił w tym wszystkim fakt, że Paul najwyraźniej ani nie uświadamiał sobie tego, ani się tym nie przejmował.

Spencer Wingate to była zupełnie inna historia, ale on budził raczej irytację niż zgrozę jak szalony pseudonaukowiec Paul. A jednak Stephanie za nic nie chciała znaleźć się z nim sam na sam w jego domu, do czego uporczywie zmierzał. Problem polegał na tym, że za jego lubieżnością stało rozdmuchane ego, które nie przyjmowało do wiadomości, że jego propozycje mogą zostać odrzucone. Z początku Stephanie próbowała w miarę uprzejmie dawać mu do zrozumienia, że nie jest zainteresowana, w końcu jednak zmuszona była odmawiać zupełnie otwarcie, zwłaszcza że Daniel zachowywał się tak, jak gdyby nic go to nie obchodziło. Kilka ze szczególnie bezczelnych zaproszeń Spencera padło w obecności Daniela i nie wywołało najmniejszej reakcji z jego strony.

Jak gdyby osobowości i zachowanie tych szarlatanów nie wystarczały, by postawić pod

znakiem zapytania słuszność decyzji o pracy w klinice, dręczyła ją też kwestia pochodzenia ludzkich oocytów. Stephanie dyskretnie próbowała zasięgnąć języka, ale została odprawiona z kwitkiem przez wszystkich z wyjątkiem Mare, młodej laborantki. Nawet Mare nie była wprawdzie zbyt rozmowna, ale zdradziła przynajmniej, że gamety pochodzą z mieszczącego się w piwnicy działu hodowli, kierowanego przez Cindy Drexler. Gdy Stephanie poprosiła o wyjaśnienie, czym jest ów dział hodowli, Mare nabrała wody w usta i poradziła jej, by zapytała Megan Finnigan, szefową laboratorium. Niestety, Megan powtórzyła to samo co Paul – że pochodzenie oocytów jest tajemnicą służbową. Kiedy Stephanie zwróciła się do Cindy Drexler, dowiedziała się, że wszelkie pytania na temat jajeczek należy kierować do doktora Saundersa.

Stephanie zmieniła taktykę i spróbowała nawiązać rozmowę z młodymi kobietami, które pracowały w stołówce. Były przyjazne i otwarte, dopóki nie pytała ich o stan cywilny, w wyniku czego momentalnie stawały się nieśmiałe i małomówne. Kiedy następnie próbowała skierować rozmowę na temat ich ciąży, zamykały się w sobie i odpowiadały półsłówkami, co jeszcze bardziej pobudziło jej ciekawość. Jeśli o nią chodziło, nie trzeba było być geniuszem, by odgadnąć, co się tu dzieje, i mimo nakazu Daniela, by trzymała się z dala od tych spraw, zamierzała to sobie udowodnić. Jej plan był taki, że uzbrojona w zdobyte informacje anonimowo powiadomi władze Bahamów, kiedy ona sama, Daniel i Butler dawno już będą z powrotem w Stanach.

W tym celu jednak musiała się dostać do działu hodowli. Jak dotąd, przy ogromie prac, jakie wykonywała z Danielem, nie miała po temu okazji, jednak w ciągu następnych paru godzin to się zmieni. Komórka jajowa, którą poddawała właśnie fuzji z jednym ze zmodyfikowanych przez HTRS fibroblastów Butlera, zastąpiła jedno z dziesięciu pierwotnie dostarczonych przez Paula Saundersa jajeczek, które nie podzieliło się po transferze jądrowym. Zgodnie ze swą gwarancją, Paul dostarczył jedenaste jajeczko. Pozostałych dziewięć dzieliło się jak należy po otrzymaniu nowych jąder. Niektóre liczyły już pięć dni i zaczynały formować blastocysty.

Zamiarem Stephanie i Daniela było wyprowadzenie dziesięciu odrębnych linii pierwotnych komórek zarodkowych, z których każda zawierałaby komórkowe klony Ashleya Butlera. Cała dziesiątka zostanie poddana różnicowaniu w wytwarzające dopaminę komórki nerwowe. Dziesięciokrotna redundancja miała służyć jako zabezpieczenie, gdyż tylko jedną z linii wykorzysta się ostatecznie do leczenia senatora.

Być może jeszcze tego popołudnia, albo, co bardziej prawdopodobne, następnego ranka, Stephanie miała przystąpić do pozyskiwania multipotencjalnych komórek macierzystych z formujących się blastocyst, do tego czasu jednak nie będzie miała nic do roboty. Należało tylko uwolnić się od obecności Daniela bez opuszczenia bezpiecznych murów Kliniki Wingate'a, co ze względu na jego emocjonalny dystans nie było specjalnym problemem, choć poza kliniką nie oddalał się od niej na krok.

– Jak poszła fuzja? – zawołał Daniel ze swojego miejsca.

– Dobrze – odparła Stephanie, przyglądając się konstruktowi przez mikroskop. Oocyt miał teraz nowe jądro z pełnym zestawem chromosomów. Dzięki zagadkowemu, dotychczas nie wyjaśnionemu procesowi, komórka jajowa zacznie teraz w tajemniczy sposób skłaniać jądro do porzucenia obowiązków regulatora funkcji komórki skóry i do powrotu do stanu pierwotnego. Za kilka godzin konstrukt będzie zachowywał się jak świeżo zapłodnione jajo. By zainicjować przemianę, Stephanie ostrożnie przeniosła sztucznie przekształcony oocyt do pierwszej z szeregu pożywek aktywujących.

– Czy jesteś równie głodna jak ja? – zawołał Daniel.

– Tak sędzę – oznajmiła Stephanie. Zerknęła na zegarek. Nie było w tym nic dziwnego. Dochodziło południe. Od szóstej rano nie miała nic w ustach, a i wtedy było to tylko kontynentalne śniadanie, złożone z grzanki i kawy. – Włożę to jajeczko do inkubatora i idziemy do stołówki. Musi jeszcze tylko spędzić cztery minuty w tej pożywce.

– Świetnie – odparł Daniel. Zsunął się ze stołka i zniknął w ich pokoju, by zostawić fartuch.

Przygotowując następną pożywkę aktywującą dla zrekonstruowanego jajeczka, Stephanie zastanawiała się, jakiej wymówki ma użyć, by wrócić w pojedynkę do laboratorium w czasie lunchu. Byłaby to znakomita pora na małe przeszpiegi, gdyż niemal wszyscy jedli lunch między dwunastą a pierwszą, włącznie z pracownicą działu hodowli, Cindy Drexler. Godzina lunchu była główną porą spotkań towarzyskich dla personelu kliniki. Najpierw Stephanie pomyślała, że uzasadni powrót procesem aktywacji jedenastego jajeczka, ale szybko odrzuciła ten plan. Daniel zacząłby coś podejrzewać. Wiedział, że kiedy jajeczko znajduje się w drugiej pożywce aktywującej, musi leżeć w spokoju w inkubatorze przez sześć godzin.

Stephanie potrzebowała lepszej wymówki i zdawało się już, że wszystko spełźnie na niczym, dopóki nie pomyślała o swym telefonie komórkowym. Zawsze, a zwłaszcza od czasu napadu na Daniela, pilnowała, by mieć go stale przy sobie, i Daniel o tym wiedział. Dbała o to z kilku powodów, w dużej mierze dlatego, że powiedziała matce, by dzwoniła do niej raczej na komórkę niż do hotelu. Ale ponieważ dopiero co rozmawiała z matką i mogła być spokojna co do stanu jej zdrowia, nie przejmowała się, że w ciągu następnej półgodziny przegapi jakąś rozmowę. Obejrzała się w stronę ich maleńkiego pokoiku, by upewnić się, że Daniel nie patrzy, i wyciągnęła z kieszeni małą motorolę, wyłączyła ją i położyła na półce z odczytnikami nad stołem.

Usatysfakcjonowana na powrót skupiła się na procesie aktywacji. Za trzydzieści sekund miała przenieść jajeczko z pierwszej pożywki do następnej.

– I jak? – zapytał Daniel, kiedy pojawił się ponownie już bez fartucha. – Jesteś gotowa?

– Daj mi jeszcze dwie minuty. Za chwilę przeniosę jajeczko i włożę je do inkubatora, a potem możemy ruszać w drogę.

– Super – odparł Daniel. Podeszedł do inkubatora i zerknął do środka na naczynka, z

których część spoczywała tam od pięciu dni. – Niektóre będą chyba gotowe do pobrania komórek macierzystych już dziś po południu.

– Pomyślałam dokładnie to samo – przyznała Stephanie. Ostrożnie zaniósła zrekonstruowane jajeczko do inkubatora i umieściła je obok pozostałych.

Kurt Hermann niezwykłym dla siebie, nagłym, niekontrolowanym ruchem opuścił stopy na podłogę. Jeszcze przed chwilą trzymał je na blacie przed monitorami w sali wideo. Wyprostował się na krześle tak gwałtownie, że przesunęło się kawałek w tył. Odzyskawszy spokój wypracowany w ciągu wieloletniego treningu sztuk walki, niespiesznie przysunął się z powrotem do ekranu, który obserwował przez ostatnią godzinę. Nie wierzył własnym oczom. Wszystko zdarzyło się bardzo szybko, ale odniósł wrażenie, że w tej właśnie chwili Stephanie D'Agostino wyjęła z kieszeni telefon komórkowy, który od półtora tygodnia próbował dostać w swoje ręce, i celowo położyła go za kilkoma butelkami z odczynnikami na półce nad stołem laboratoryjnym. Wyglądało to tak, jak gdyby chciała go schować.

Przyciskiem joysticka, podłączonego do minikamery, z której obraz śledził, Kurt zrobił najazd. Za pomocą joysticka, wycelował kamerę w to, co, jak miał nadzieję, było telefonem. Istotnie! Jego czarna, profilowana, plastikowa końcówka wystawała lekko spoza butelki z kwasem solnym.

Zbity z tropu tym nieoczekiwanym, lecz obiecującym obrotem zdarzeń Kurt znów zrobił odjazd, okazało się jednak, że Stephanie zniknęła z pola widzenia kamery. Za pomocą joysticka Kurt omiół kamerą pomieszczenie i wkrótce odnalazł zarówno ją, jak i Daniela, przed jednym z inkubatorów. Wzmocniwszy siłę głosu, nasłuchiwał uważnie, by przekonać się, czy wspomni coś o telefonie, ale oboje rozmawiali tylko o lunchu i chwilę później opuścili laboratorium.

Kurt uniósł wzrok ku ekranowi znajdującemu się tuż nad tym, który obserwował. Zobaczył parę wychodzącą z budynku numer jeden i kierującą się poprzez podwórze w stronę budynku numer trzy.

Podczas budowy kliniki Paul Saunders dał swemu szefowi ochrony wolną rękę co do zabezpieczeń, aby na przyszłość uniknąć takiej katastrofy jak ta, do której doszło w Massachusetts, kiedy to para informaterek włamała się do ich bazy danych. Ponieważ dziewczyny te zdołały bezprawnie dostać się do pomieszczenia z serwerem, a potem wymknąć się niepostrzeżenie, Kurt dopilnował, by cały nowy kompleks objęto nadzorem audio i wideo. Zarówno kamery, jak i mikrofony były najnowszymi osiągnięciami techniki, w pełni skomputeryzowanymi i praktycznie niewidocznymi. Bez wiedzy Paula Kurt umieścił je w toaletach, pokojach gościnnych i w większości kwater mieszkalnych personelu, gdzie były ukryte w najrozmaitszych urządzeniach elektrycznych. Wszystko można było oglądać na monitorach w sali wideo w jego kompleksie biurowym i wieczorami bawiło go obserwowanie niektórych scen, nawet jeśli niekoniecznie kierowała nim troska o bezpieczeństwo.



Oczywiście mógłby dowodzić, że jest przeciwnie, gdyż instytucja taka jak Klinika Wingate'a powinna wiedzieć, kto z kim śpi.

Kurt obserwował Daniela i Stephanie, dopóki nie weszli do budynku numer trzy, lecz jego oczy spoczywały głównie na kobiecie. Przez ostatnie półtora tygodnia wpadł w nałóg śledzenia jej, pomimo mieszanych uczuć, jakie w nim wzbudzała. Jej wrodzona zmysłowość zarówno go pociągała, jak i odstręczała. Jak w przypadku wszystkich kobiet, potrafił docenić jej urodę, dostrzegał też jednak jej naturę kusicielki. Nieraz przyglądał się, jak rozmawia przez telefon w laboratorium, lecz choć często słyszał jej słowa, nie był w stanie dosłyszeć jej rozmówcy. W rezultacie nie mógł, jak obiecał, podać Paulowi Saundersowi nazwiska pacjenta, a nie lubił nie dotrzymywać obietnic.

Stosunek Kurta do kobiet zdeterminowała na wieki najważniejsza zdrajczyni jego życia, matka. Oboje łączyły silne więzi, którym sprzyjały długie nieobecności ojca, chłodnego i surowego człowieka, żądającego doskonałości zarówno od żony, jak i od syna, lecz zauważającego jedynie ich niedociągnięcia. Ojciec Kurta, podobnie jak później on sam, służył w oddziałach specjalnych sił lądowych i był wyszkolonym tajnym zabójcą. Ale gdy Kurt miał trzynaście lat, jego ojciec zginął podczas operacji w Kambodży w ostatnich tygodniach wojny w Wietnamie. Jego matka zareagowała na to niczym wypuszczony z klatki ptak. Nie zważając na miotające synem sprzeczne uczucia żalu i ulgi, rzuciła się w wir miłostek, których przebiegu zmuszony był słuchać przez cienkie przepierzenie ich kwatery w bazie wojskowej. Parę miesięcy później zebrała plon swych szaleńczych randek i wyszła za mąż za nadętego agenta ubezpieczeniowego, dla którego Kurt czuł jedynie pogardę. Kurt był przekonany, że wszystkie kobiety, zwłaszcza te atrakcyjne, przypominają zmitologizowaną matkę z jego młodości, i pragną go uwieść, pozbawić sił, a potem porzucić.

Gdy tylko Daniel i Stephanie zniknęli we wnętrzu budynku numer trzy, Kurt przesunął automatycznie wzrok na monitor dwanaście i czekał, aż oboje pojawią się w stołówce. Gdy przyłączyli się do kolejki przy bufecie, wstał i przeszedł do swego biura. Tam podniósł przerzuconą przez oparcie krzesła lekką marynarkę z czarnego jedwabiu i narzucił ją na swój czarny T-shirt. Marynarka służyła do ukrycia pistoletu, który Kurt zawsze nosił w kaburze na plecach. Zakasał rękawy ponad łokcie. Sięgnął po leżące na skraju biurka pudełko zawierające małą pluskwę, którą bardzo chciał zainstalować w telefonie Stephanie, oraz urządzenie kontrolne. Złapał też swój zestaw narzędzi jubilerskich, w którego skład wchodziła delikatna lutownica i obuoczna lupa zegarmistrzowska.

Poruszając się miękko jak kot, ze sprzętem i narzędziami w dłoni wyszedł z piwnicy budynku numer dwa i skierował się ku budynkowi numer jeden. Parę chwil później stał już przy przydzielonym Danielowi i Stephanie stole laboratoryjnym. Rozejrzał się szybko na wszystkie strony, by upewnić się, że jest sam w laboratorium, wyciągnął telefon, założył lupę i zabrał się do pracy.

W ciągu niespełna pięciu minut Kurt założył i przetestował pluskwę. Nakładał właśnie z

powrotem plastikową obudowę telefonu, kiedy usłyszał, jak w oddali otwierają się z hukiem drzwi laboratorium. Spodziewając się zobaczyć kogoś z pracowników lub być może Paula Saundersa, pochylił się i spojrzął pod półką z odczynnikami w kierunku oddalonego o dwadzieścia pięć metrów wejścia. Ku jego najwyższemu zaskoczeniu była to Stephanie, która szła w jego stronę szybkim, zdecydowanym krokiem.

Zdjęty paniką przez krótką chwilę nie wiedział, co robić. Ale jego wykształcenie wzięło górę i szybko odzyskał zimną krew. Spokojnie zatrzasnął obudowę telefonu, po czym wsunął go z powrotem na poprzednie miejsce za butelką z kwasem solnym. Potem zajął się swymi narzędziami jubilerskimi, urządzeniem kontrolnym i lupą. Najciszej jak tylko się dało, zsunął je do szuflady i zamknął ją biodrem. W tej chwili Stephanie D'Agostino była już tylko sześć metrów od niego i szybko się zbliżała. Kurt wycofał się tak, by stół laboratoryjny i znajdująca się nad nim półka zasłaniały go przed jej wzrokiem. Nie była to najlepsza kryjówka i Stephanie zapewne go dostrzeże, nie miał jednak innego wyjścia.

Prawdę mówiąc, Tony był strasznie wkurzony tym, że musi zrezygnować z sympatycznego lunchu, który był dla niego jedną z najważniejszych atrakcji dnia, po to by złożyć kolejną wizytę w zafajdanej hurtowni szurniętych braci Castigliano. Bijąca od słonych bagien woń zgniłych jaj też nie poprawiła mu humoru, choć przy pięciostopniowym mrozie i tak była mniej dokuczliwa niż podczas jego ostatniej wizyty przed półtora tygodniem. W każdym razie wolał odwiedzać to szambo w środku dnia niż nocą, gdyż nie musiał się martwić, że potknie się o jakieś rozrzucone przed sklepem graty. Pocieszała go jedynie myśl, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa będzie to już ostatnia wizyta, w każdym razie jeśli chodzi o problemy z CURE.

Wszedł głównym wejściem i skierował się w stronę zaplecza. Gaetano, obsługujący dwójkę klientów przy ladzie, uniósł wzrok i pozdrowił go skinieniem głowy. Tony go zignorował. Gdyby Gaetano wykonał robotę jak należy, Tony nie szedłby w tej chwili między zakurzonymi regałami z armaturą sanitarną, prześladowany przez odór zgniłych jaj. Zamiast tego siedziałby przy swoim ulubionym stoliku w swej restauracji Blue Grotto na Hanover Street, sącząc chianti rocznik 97 i zastanawiając się nad wyborem makaronu. Zawsze się wściekał, kiedy podwładni zawalali sprawy, gdyż nieodmiennie komplikowało mu to życie. Im stawał się starszy, tym wyraźniej dostrzegał słuszność starego powiedzenia: „Jeśli chcesz, żeby coś zostało zrobione dobrze, zrób to sam”.

Otworzył drzwi biura na zapleczu, wszedł do środka i zatrzasnął je z hukiem. Lou i Sal siedzieli przy biurkach i jedli pizzę. Tony wzdrygnął się z obrzydzenia. Nie znosił zapachu anchois, szczególnie w połączeniu z unoszącą się wszędzie wonią zgniłych jaj.

– Macie problem – oświadczył, zaciskając usta w cierpkim wyrazie odrazy i kiwając głową niczym jedna z owych figurek psów, jakie niektórzy ludzie stawiają za tylną szybą samochodów. Jednak na dowód, że nie zamierza urazić bliźniaków, podszedł do każdego z

nich, by wymienić krótki, zamaszysty uścisk dłoni. Wtedy dopiero wycofał się ku kanapie i usiadł z impetem. Rozpiął płaszcz, ale nie zdejmował go. Nie zamierzał spędzić tu więcej niż parę minut. Nie miał do powiedzenia niczego skomplikowanego.

– Co się dzieje? – zapytał Lou z ustami wypchanymi pizzą.

– Gaetano spieprzył robotę. Cokolwiek, u diabła, zrobił tam w Nassau, nie odniosło najmniejszego skutku. Zero efektu!

– Żartujesz.

– Czy wyglądam na żartownisia? – Tony zmarszczył czoło i szeroko rozłożył ręce.

– Chcesz powiedzieć, że profesor i twoja siostra nie wrócili?

– Mało tego – prychnął pogardliwie Tony. – Nie tylko nie wrócili, ale wyczyny Gaetana, jakiegokolwiek by one były, nie zasłużyły zdaniem mojej siostry nawet na to, żeby choć słowem wspomnieć o nich matce, a rozmawiają ze sobą prawie codziennie.

– Chwilunia! – przerwał mu Sal. – Mówisz, że twoja siostra nie powiedziała, że mieli mały problem albo coś takiego, na przykład że jej facet został pobity? Zupełnie nic?

– Nic a nic! Kompletnie nic! Słyszę jedynie, że w raju wszystko idzie klawo.

– To nijak się ma do tego, co powiedział Gaetano – zauważył Lou – co jest niewiarygodne, bo on zazwyczaj ma dość ciężką rękę.

– No więc tym razem na pewno nie miał ciężkiej ręki – stwierdził Tony. – Para gołąbków nadal wygrzewa się na słońku i twierdzi, według mojej matki, że zostanie tam na te trzy tygodnie, miesiąc czy ile tam początkowo planowali. Tymczasem mój księgowy mówi, że nic się nie zmieniło, jeśli chodzi o sytuację ich firmy. Upiera się, że za miesiąc będą splukani, więc możemy się pożegnać z naszymi dwustoma kawałkami.

Sal i Lou spojrzeli po sobie z niedowierzaniem, konsternacją i rosnącym rozdrażnieniem.

– Co Gaetano zrobił? – zapytał Tony. – Dał profesorowi klapsa i powiedział mu, że jest niegrzeczny? Czy może nawet nie poleciał do Nassau, ale oświadczył, że tam był? – Skrzyżował ręce, założył nogę na nogę i odchylił się na oparcie kanapy.

– Coś tu jest nie tak! – oświadczył Lou. – To wszystko nie trzyma się kupy. – Odłożył pizzę, przesunął językiem po zębach, by oczyścić je z resztek jedzenia, przełknął i pochylił się naprzód, by wcisnąć przycisk sterujący z blatu biurka. Przez drzwi łączące biuro ze sklepem dał się słyszeć stłumiony brzęczyk.

– Gaetano poleciał do Nassau! – oświadczył Sal. – Wiemy to na pewno.

Tony pokiwał głową, krzywiąc się z niedowierzaniem. Wiedział, że uderza w czuły punkt, gdyż bliźniacy lubili wierzyć, że mają wszystko na oku. Zamierzał doprowadzić ich do pasji i osiągnął swój cel. Nim Gaetano wetknął głowę przez drzwi, bliźniacy byli już gotowi ją urwać.

– Wchodź tu, do cholery, i zamknij drzwi – warknął Sal.

– Mam klientów przy ladzie – zaprotestował Gaetano. Wskazał przez ramię.

– Mam to gdzieś, nawet gdybyś miał tam prezydenta Stanów Zjednoczonych, pacanie! –

ryknął Sal. – Właż tu, do wszystkich diabłów! – Dla wzmocnienia efektu wysunął środkową szufladę swego biurka, chwycił rewolwer kaliber trzydzieści osiem i cisnął go na środek blatu.

Gaetano zmarszczył szerokie czoło i zrobił, co mu kazano. Widział tę spluwę już niejedną raz i nie przejmował się, gdyż wyciąganie jej było jednym z dziwactw Sala. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że Sal jest z jakiegoś powodu wkurzony, a Lou nie wygląda na szczęśliwszego. Zerknął w stronę sof, ale na widok usadowionego na środku Tony'ego zdecydował się pozostać na stojąco.

– O co chodzi? – zapytał.

– Chcemy wiedzieć dokładnie, co, u diabła, zrobiłeś w Nassau! – warknął Sal.

– Powiedziałem wam – odparł Gaetano. – Zrobiłem dokładnie to, o co mnie prosiliście. Udało mi się nawet załatwić z tym w jeden dzień, co, szczerze mówiąc, było niezłą harową.

– Cóż, może trzeba było poświęcić na to więcej czasu – prychnął wzgardliwie Sal. – Najwyraźniej profesor nie wziął sobie do serca naszej wiadomości.

– Co dokładnie powiedziałeś temu dupkowi? – zapytał Lou z równym jadem.

– Żeby zapierdalał do domu i zajął się firmą – odparł Gaetano. – Do diabła, to nie było skomplikowane. Nie ma mowy, żebym mógł coś przekręcić.

– Trzepnąłeś go? – zapytał Sal.

– Jasne, i to porządnie. Walnąłem go dobrze na sam początek, aż sflaczał tak, że musiałem podnosić go z podłogi. Możliwe, że złamałem mu nos, ale nie jestem pewien. Za to wiem, że podbiłem mu oko. Na koniec, po naszej pogawędce, przypieprzyłem mu tak, że zleciał z krzesła.

– A co z ostrzeżeniem? – zapytał Sal. – Powiedziałeś mu, że wrócisz, jeśli nie przywlecze dupy do Bostonu i nie postawi swojej firmy na nogi?

– Pewnie! Uprzedziłem go, że jeśli będę musiał wrócić, załatwię go na cacy, i dotarło to do niego na mur beton.

Sal i Lou spojrzeli na Tony'ego. Obaj jednocześnie wzruszyli ramionami.

– Gaetano nie kłamie w takich sprawach – stwierdził Sal. Lou przytaknął skinieniem głowy.

– Cóż, w takim razie to jeszcze jeden dowód na to, że profesor bimba sobie z nas – zauważył Tony. – Najwyraźniej nie potraktował Gaetana poważnie i wszystko wskazuje na to, że ma w dupie nasze dwieście kawałków.

Na parę minut w pokoju zapanowała cisza. Czterej mężczyźni przyglądali się sobie nawzajem. Było oczywiste, że wszyscy myślą o tym samym. Tony czekał, aż ktoś inny wypowie to głośno, i w końcu Sal wyświadczył mu tę przysługę.

– Jest tak, jakby sam się o to prosił. To znaczy, zdecydowaliśmy już, że jeśli się nie poprawi, stukniemy go i pozwolimy siostrze Tony'ego przejąć ster.

– Gaetano – oświadczył Lou. – Wygląda na to, że wracasz na Bahamy.

– Kiedy? – zapytał Gaetano. – Nie zapominaj, że jutro w nocy mam skopać tego leniwego okulistę z Newton.

– Nie zapomniałem – odparł Lou. Spojrzał na zegarek. – Jest dopiero dwunasta trzydzieści. Polecisz dzisiaj przez Miami, załatwisz profesora i jutro będziesz z powrotem.

Gaetano przewrócił oczyma.

– O co chodzi? – zapytał drwiąco Lou. – Masz coś innego do roboty?

– Czasami nie jest tak łatwo kogoś stuknąć – zauważył Gaetano. – Do diabła, najpierw będę musiał znaleźć tego gościa.

Lou spojrział na Tony'ego.

– Wiesz, gdzie twoja siostra i jej facet teraz mieszkają?

– Tak, są w tym samym hotelu – odparł Tony z lekceważącym parsknięciem. – Oto jak poważnie potraktowali mizerną wiadomość Gaetana.

– Mówię ci – upierał się Gaetano. – Nie była mizerna. Rąbnąłem gościa dobrych parę razy.

– Skąd wiesz, że są w tym samym hotelu? – zapytał Lou.

– Od matki – wyjaśnił Tony. – Przeważnie dzwoni do mojej siostry na komórkę, ale powiedziała mi, że raz, kiedy nie mogła się dodzwonić, spróbowała też do hotelu. Gruchające gołębki nie tylko nie zmieniły hotelu, ale wciąż mieszkają w tym samym pokoju.

– No więc masz – powiedział Lou do Gaetana.

– Mogę go stuknąć w hotelu? – zapytał Gaetano. – Tak byłoby o niebo łatwiej.

Lou spojrział na Sala. Sal spojrział na Tony'ego.

– Czemu nie? – odparł Tony ze wzruszeniem ramion. – To znaczy, pod warunkiem że mojej siostrze nic się nie stanie i że załatwisz się z tym po cichu, bez scen.

– To się rozumie samo przez się – stwierdził Gaetano. Zaczynał zapalać się do tego pomysłu. Wyprawa na jedną noc do Nassau oznaczała męczącą podróż i trudno byłoby uznać ją za wakacje w słońcu, ale mimo wszystko mogła też mieć swój urok. – A co ze spluwą? Musi być z tłumikiem.

– Jestem pewien, że nasi kolumbijscy przyjaciele z Miami mogą to załatwić – stwierdził Lou. – Wobec tego, ile towaru przepychamy dla nich w Nowej Anglii, są naszymi dłużnikami.

– Jak ją dostanę? – zapytał Gaetano.

– Przypuszczam, że ktoś się z tobą skontaktuje, kiedy wylądujesz w Nassau – odparł Lou.

– Zajmę się tym. Kiedy tylko będziesz znał numer lotu, którym masz lecieć na wyspę, daj mi znać.

– A jeśli będzie jakiś problem i nie dostanę spluwy? – zapytał Gaetano. – Jeśli mam wrócić tu jutro przed wieczorem, wszystko musi pójść gładko.

– Jeśli przylecisz i nikt nie wyjdzie ci na spotkanie, zadzwoń do mnie – powiedział Lou.

– W porządku – zgodził się Gaetano. – Chyba zacznę się zbierać.

## **Rozdział dziewiętnasty**

### **12.11, poniedziałek, 11 marca 2002**

Napis głosił: NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY POD GROŻBĄ KARY. Stephanie przystanęła na chwilę i wbiła wzrok w oprawioną, przeszkloną tabliczkę, która wisiała na drzwiach obok windy towarowej. To z tych właśnie drzwi wyłaniała się zwykle Cindy Drexler, kiedy przynosiła oocyty dla Stephanie i Daniela. Stephanie widziała tę tabliczkę z daleka, pod kątem, nigdy jednak nie podeszła, by ją przeczytać. Teraz, gdy to zrobiła, dało jej to do myślenia. Zastanawiała się, co dokładnie oznacza groźba kary wobec skłonności szefostwa kliniki do przesady w kwestii bezpieczeństwa. Ale skoro Stephanie dotarła aż tutaj, nie zamierzała rezygnować i zawracać z powodu ogólnej, drukowanej przestrogi. Popchnęła drzwi, które się otworzyły. Za nimi dostrzegła prowadzące w dół schody. Przez głowę przemknęła jej uspokajająca myśl, że gdyby naprawdę tak bardzo obawiali się intruzów w dziale hodowli, zamknęliby drzwi na klucz.

Po raz ostatni rzuciła okiem przez ramię, by upewnić się, że oprócz niej w laboratorium nie ma nikogo, i przeszła przez próg. Drzwi zamknęły się za nią. Natychmiast wyczuła dużą różnicę w stosunku do suchego chłodu klimatyzowanego laboratorium. Na klatce schodowej powietrze było znacznie cieplejsze i wilgotniejsze. Szybkim krokiem ruszyła w dół po schodach, w czym pomagały jej buty na płaskich podeszwach.

Spieszyła się jak mogła, gdyż postanowiła nie zostawiać Daniela samego na więcej niż piętnaście, góra dwadzieścia minut. Spojrzała na zegarek. Pięć minut pochłonęło już samo przejście ze stołówki do miejsca, gdzie znajdowała się teraz. Zboczyła z trasy jedynie na chwilę, by zabrać telefon komórkowy. Nie chciała zapomnieć i wrócić na stołówkę bez niego, gdyż to właśnie on posłużył jej jako pretekst, żeby wyjść z lunchu. Daniel spojrzał na nią dziwnym wzrokiem, kiedy zerwała się i oznajmiła, że zostawiła go w laboratorium, ledwie tylko usiedli za stołem. Wiedziała, że byłby wściekły, gdyby znał jej plany.

U podnóża schodów przystanęła gwałtownie. Znalazła się w krótkim, blado oświetlonym korytarzu z dostępem do windy towarowej wzdłuż jednej ze ścian i lśniącymi, stalowymi,

zupełnie gładkimi drzwiami na końcu. Na drzwiach nie było żadnej klamki ani nawet zamka. Stephanie podeszła bliżej i popchnęła je dłonią. Były ciepłe w dotyku, ale nie dało się ich poruszyć. Przyłożyła do nich ucho. Zdawało jej się, że słyszy dobiegający spoza nich cichy warkot.

Odsunęła się od drzwi i powiodła wzrokiem po ich gładkim obwodzie. Przylegały do metalowej ościeżnicy z idealną precyzją. Przyklękawszy, stwierdziła, że przy podłodze wygląda to tak samo. Staranność, z jaką je wykonano, wzmogła jej i tak już silną ciekawość. Podniosła się na nogi i bokiem pięści uderzyła cicho o drzwi. Próbowwała ocenić ich grubość, która zapewne była znaczna, gdyż przy uderzeniu nawet nie drgnęły.

– Cóż, to tyle, jeśli chodzi o moje małe śledztwo – mruknęła pod nosem. Rozczarowana pokręciła głową, raz jeszcze obiegając wzrokiem krawędź drzwi. Zaskoczyło ją, że nie widzi żadnego dzwonka ani interkomu, czy jakiegokolwiek innego urządzenia, które mogłoby służyć do otwierania drzwi lub porozumiewania się z osobami w środku.

Z westchnieniem irytacji, któremu towarzyszyła zdeglustowana mina, odwróciła się z powrotem ku schodom. Zrozumiała, że będzie musiała wymyślić inną strategię, jeśli zamierza kontynuować swe potajemne przeszpiegi. Nie zdążyła jednak zrobić nawet dwóch kroków, gdy nagle jej wzrok padł na coś, czego nadaremno szukała. Naprzeciw windy towarowej wystawał ze ściany maleńki, długi na osiem i szeroki na dwa centymetry czytnik kart magnetycznych, który w bladym świetle zupełnie nie rzucał się w oczy. Stephanie nie zauważyła go wcześniej, gdyż jej uwagę przyciągnęły bez reszty same lśniące drzwi. Poza tym czytnik był w tym samym neutralnym kolorze co ściana i znajdował się prawie dwa metry od drzwi.

Megan Finnigan dopilnowała, by zarówno Stephanie, jak i Daniel otrzymali identyfikatory Kliniki Wingate'a. Były to laminowane plakietki z brzydkim, legitymacyjnym, polaroidowym zdjęciem z przodu i magnetycznym paskiem z tyłu. Megan wyjaśniła, że identyfikatory będą miały większe znaczenie, gdy w klinice wzrośnie liczba personelu, kiedy to przeprogramuje się je pod kątem indywidualnych potrzeb poszczególnych osób. Tymczasem, jak powiedziała, będą im potrzebne, by dostać się do magazynu laboratorium po podstawowe materiały.

Z cieniem nadziei, że na tym początkowym etapie istnienia kliniki identyfikator może zapewnić jej dostęp do działu hodowli, Stephanie przesunęła go przez czytnik. Ku jej radości stalowe drzwi natychmiast odsunęły się na bok przy akompaniamencie stłumionego świstu sprężonego powietrza. Jednocześnie Stephanie spostrzegła, że otoczyła ją dziwna, pochodząca z leżącego za nimi pomieszczenia poświata, która była zapewne mieszaniną blasku żarówek i ultrafioletu. Towarzyszył temu powiew wilgotnego, ciepłego powietrza, a cichy warkot, który wcześniej, gdy nasłuchiwała z uchem przy drzwiach, wydawał się niemal złudzeniem, teraz był już wyraźnie słyszalny.

Ucieszona tą niespodziewaną, lecz miłą odmianą losu Stephanie pospiesznie przeszła

przez próg i stwierdziła, że znajduje się w jakby gigantycznym inkubatorze. Przy panującej tu temperaturze bliskiej trzydziestu siedmiu stopni Celsjusza i wilgotności sięgającej niemal stu procent czuła, jak całe jej ciało oblewa się potem. Choć ubrana była w bluzkę bez rękawów, na wierzch miała narzucony krótki, biały fartuch laboratoryjny. Teraz już rozumiała, dlaczego Cindy nosiła specjalny, lekki, bawełniany kombinezon.

Półki, podobne do regałów na książki, ale zawierające naczynka do hodowli tkankowych, tworzyły regularne rzędy niczym w bibliotece. Każda miała około trzech metrów długości. Wykonane z aluminium, regulowane, sięgały od kafelkowanej podłogi do dość niskiego, również pokrytego kafelkami sufitu. Wszystkie naczynka w zasięgu wzroku Stephanie były puste. Przed nią otwierało się długie przejście między regałami, które stanowiło znakomite studium perspektywy. Było tak długie, że jego koniec nikał w bladej, wilgotnej mgle. Rozmiary tego pomieszczenia wskazywały na to, że Klinika Wingate'a przygotowuje się na masową produkcję.

Rozglądając się na boki, Stephanie ruszyła żwawo przed siebie. Po trzydziestu krokach przystanęła przy regale zawierającym rozwijające się hodowle tkankowe, o czym świadczyły poziomy płynu widoczne przez przejrzyste ścianki szklanych naczyń. Podniosła jedno z nich. Na pokrywce zapisano mazakiem: HODOWLA OOGONIÓW, czemu towarzyszyła niedawna data i kod alfanumeryczny.

Stephanie odstawiła naczynie i powiodła wzrokiem po półkach. Na pozostałych naczyniach widniały inne daty i inne kody. Odkrycie, że Klinika Wingate'a najwyraźniej z powodzeniem hoduje pierwotne komórki jajowe, było zarówno interesujące, jak i z rozmaitych względów niepokojące, ale nie o to jej chodziło. Stephanie chciała poznać pochodzenie oogoniów i oocytów, które tu hodowano i doprowadzano do dojrzałości. Domyślała się go wprawdzie, ale potrzebny jej był niezbity dowód, który mogłaby przedstawić bahamskim władzom po zakończeniu kuracji Butlera i po powrocie do kraju. Zerknęła na zegarek. Minęło już osiem minut, czyli mniej więcej połowa przewidzianego czasu.

Z rosnącym niepokojem ruszyła dalej, szybciej niż poprzednio. Zaglądała w boczne korytarze i pobieżnie omiatała wzrokiem mijane półki. Problem polegał na tym, że nie wiedziała, czego szuka, a pomieszczenie było ogromne. Na domiar złego zaczęła odczuwać lekkie objawy duszności. Uświadomiła sobie, że ze względu na hodowle tkankowe atmosfera w sali ma prawdopodobnie podwyższony poziom dwutlenku węgla.

Po kolejnych dwudziestu krokach przystanęła ponownie. Regał, który miała przed sobą, wypełniały nietypowe, najwyraźniej wykonane na indywidualne zamówienie naczynia do hodowli tkankowych. Nigdy dotąd nie widziała czegoś podobnego. Były nie tylko większe i głębsze niż zwykle, ale miały także wbudowane wewnętrzne matryce, na których mogły się rozwijać hodowane komórki. Ponadto każde z nich spoczywało na wyposażonej w silnik podstawie, która utrzymywała je w ciągłym ruchu obrotowym, zapewne po to, by umożliwić



cyrkulację pożywki. Nie tracąc czasu, Stephanie sięgnęła po jedno z naczyń. Na jego pokrywce napisano: ROZDROBNIONY PŁODOWY JAJNIK, DWUDZIESTY PIERWSZY TYDZIEŃ CIAŻY; OOCYTY ZATRZYMANE w DIPLOTENOWEJ FAZIE PROFAZY, po czym znów następowała data i kod. Stephanie przejrzała inne naczynia na regale. Podobnie jak hodowle oogoniów, każde z nich miało inną datę i inny kod.

Kolejne regały okazały się jeszcze bardziej interesujące. Zapełniające je naczynia były większe i jeszcze głębsze, ale stało ich mniej na każdej z półek. Większość z nich była pusta. Pozostałe zawierały płynną pożywkę, rozprowadzaną przez zespół rurek do centralnych urządzeń przypominających miniaturowe dializatory, które wspólnie wydawały cichy, wypełniający pomieszczenie warkot. Stephanie pochyliła się i zajrzała do jednego z naczyń. W wypełniającym je płynie zanurzony był mały, jajowaty, poszarpany skrawek tkanki, rozmiarami i kształtem przypominający jadalnego małża. Na sterzące z drobnego organu naczynia krwionośne założone były kaniule z cieniutkich plastikowych rurek, które prowadziły do innego, jeszcze mniejszego urządzenia. Małeńki organ był odżywiany wewnętrznie, jak również zanurzony w nieustannie cyrkulującej pożywce.

Stephanie wsunęła głowę między półki, by spojrzeć na wieczko naczynia bez poruszania go. Czerwonym mazakiem napisano na nim: PŁODOWY JAJNIK, DWUDZIESTY TYDZIEŃ CIAŻY, dodając datę i kod. Mimo znaczenia tej informacji nie mogła nie być pod wrażeniem. Wyglądało na to, że Saunders i jego zespół utrzymywali przy życiu kompletne płodowe jajniki co najmniej przez kilka dni.

Wyprostowała się. Choć trudno to było uznać za niezbity dowód, odkrycie w dziale hodowli z pewnością potwierdziło jej podejrzenia, że Saunders i spółka płacą młodym Bahamkom za zapładnianie ich, a następnie poddawanie aborcji po około dwudziestu tygodniach w celu pozyskania jajników z płodów. Dzięki wykształceniu w zakresie embriologii wiedziała coś, o czym większość laików nie miała pojęcia, a mianowicie że małeńki jajnik liczącego sobie dwadzieścia jeden tygodni płodu zawiera około siedmiu milionów gamet zdolnych do przekształcenia się w dojrzałe oocyty. Większość z tych komórek ginie w niewytłumaczalny sposób przed narodzinami i w okresie dzieciństwa, tak że gdy młoda kobieta wchodzi w okres rozrodczy, liczebność jej gamet jest zredukowana do około trzystu tysięcy. Jeśli celem jest uzyskanie ludzkich oocytów, płodowy jajnik jest żyłą złotą. Niestety, Paul Saunders najwyraźniej też o tym wiedział.

Przynajmniej częściowo potwierdziły się jej obawy i Stephanie z przerażeniem pokręciła głową na myśl o całkowitym braku zasad moralnych, kryjącym się za przeprowadzeniem aborcji w celu zdobycia gamet. Jej zdaniem było to jeszcze gorsze niż klonowanie reprodukcyjne, które, jak przypuszczała, także wchodziło w skład planów Paula Saundersa. Uświadomiła sobie, że to właśnie ekscentryczne instytucje w rodzaju Kliniki Wingate'a, które zajmują się tak amoralną działalnością, rzucają cień na biotechnologię i stwarzane przez nią obietnice. Przyszło jej także na myśl, że zdolność Daniela do przymykania oczu na tego

rodzaju fakty mówi o nim coś, o czym on sam wolałaby nie wiedzieć, a to, w połączeniu z dystansem, z jakim obecnie się do niej odnosił, kazało jej głębiej niż kiedykolwiek do tej pory zastanawiać się nad przyszłością ich związku. Pod wpływem impulsu postanowiła, że kiedy wróci do Cambridge, przynajmniej przeprowadzi się i zamieszka osobno.

Ale póki co miała jeszcze wiele do zrobienia. Ponownie zerknęła na zegarek. Minęło jedenaście minut. Zaczynał kończyć jej się czas, gdyż mogła poświęcić na obecną wizytę jeszcze tylko cztery minuty, nie więcej. Musiała znaleźć coś naprawdę kompromitującego, by Saunders nie mógł utrzymywać, że wykonywał aborcje ze względów terapeutycznych. Choć teoretycznie mogła wrócić do działu hodowli innego dnia, intuicja mówiła jej, że byłoby to trudne, zwłaszcza jeśli chodzi o znalezienie kolejnej wiarygodnej wymówki, by oddalić się od Daniela. Wprawdzie dystansował się emocjonalnie, ale na pewno pozostawał bliski pod względem fizycznym.

Cztery minuty to nie było zbyt dużo. W przyływie desperacji Stephanie postanowiła pokonać pędem resztę drogi do końca pomieszczenia, przeciąć je w poprzek i wrócić do wyjścia innym z licznych przejść między rzędami regałów. Ale ledwo ruszyła, nagle się zatrzymała. Spojrzawszy w lewo, w głąb jednego z bocznych przejść, zobaczyła coś, co wyglądało na laboratorium lub biuro oddzielone od głównej sali przeszkloną ścianą. Dzieliło ją od niego około sześciu metrów. Jasny blask świetlówek wypływał z wnętrza, zalewając najbliższy obszar. Stephanie skrzyła i popędziła w tamtą stronę.

Stwierdziła, że jej początkowe wrażenie było słuszne. Było to najprawdopodobniej biuro/laboratorium Cindy, dogodnie usytuowane w połowie długości wielkiego pomieszczenia i przytulone do fundamentów budynku. Pokój miał kształt wąskiego prostokąta nie więcej niż trzymetrowej szerokości, lecz mierzącego osiem, może dziesięć metrów długości. Wzdłuż tylnej ściany ciągnął się laminowany blat z szufladami pod spodem. Pośrodku pozostawiono wnękę na kolana, aby stworzyć biurko. W lewy koniec blatu wpuszczony był zlew z typowym laboratoryjnym kranem. Powyżej ciągnęły się szafki. Jasne, fluorescencyjne światło pochodziło z niewidocznych, zamontowanych pod szafkami lamp, które zalewały blat niebieskobiałym blaskiem.

Sam blat był zastawiony naczyniami do hodowli komórkowych, wirówkami i innymi laboratoryjnymi utensyliami, ale nic z tego nie interesowało Stephanie. Jej uwagę od razu przyciągnęło coś, co wyglądało jak wielki, otwarty rejestr, leżący na części blatu służącej jako biurko. Częściowo zasłaniało go wysokie oparcie biurowego krzesła.

Czas mijał nieubłaganie, więc Stephanie przebiegła wzrokiem po przeszklonej ścianie w poszukiwaniu drzwi. Ku jej zaskoczeniu były tuż przed nią i jeśli nie liczyć wpuszczonej klamki, nie różniły się od pozostałych szyb. Zawiasy znajdowały się od wewnątrz.

Dziurka od klucza sugerowała, że drzwi mogą być zamknięte, ale Stephanie miała gorącą nadzieję, że tak nie jest. Pociągnęła za klamkę i nacisnęła ją. Ku jej uldze klamka ustąpiła, a drzwi lekko otworzyły się do środka. Wchodząc do długiego, wąskiego pokoju, poczuła

wpływający tam w ślad za nią powiew powietrza z sali hodowli, co wskazywało na to, że w dużym pomieszczeniu utrzymywane jest lekko podwyższone ciśnienie, prawdopodobnie dla ochrony przed unoszącymi się w powietrzu drobnoustrojami. W biurze panowała normalna temperatura i wilgotność. Puściwszy drzwi i zostawiwszy je uchylone, Stephanie podeszła do księgi i stanęła jak wryta. Wyczuła, że znalazła to, czego szukała.

Odsunęła krzesło na bok i pochyliła się, by dokładniej przestudiować odręczne wpisy. Był to istotnie rejestr, ale nie rachunkowy. Zamiast tego zawierał listę wszystkich kobiet, które zostały zapłodnione i poddane aborcji, ze wskazaniem daty jednego i drugiego zabiegu oraz szeregiem innych danych. Stephanie przerzuciła parę stron do tyłu i stwierdziła, że program rozpoczął się na długo przed otwarciem kliniki. Paul Saunders planował zaopatrzenie w komórki jajowe z dużym wyprzedzeniem.

Wybrała kilka indywidualnych przypadków i przesuwając palcem wzdłuż rubryk, dowiedziała się, że kobiety zaszły w ciążę w wyniku zapłodnienia in vitro. Miało to sens, gdyż pożądanymi tylko żeńskimi płodami, a tylko zapłodnienie in vitro gwarantowało ten wynik. Zauważyła, że we wszystkich tych przypadkach dostarczycielem spermy z chromosomem X był Paul Saunders, co stanowiło kolejny dowód głębokiej, pozbawionej skrupułów megalomanii tego człowieka.

Stephanie była zafascynowana. Wszystko było sumiennie zarejestrowane kulfoniastym pismem. Mogła nawet stwierdzić, jaki typ hodowli założono w każdym przypadku i jaki był aktualny stan każdej z nich. Podczas gdy jedne płody dostarczały kompletnych jajników, jajniki innych rozdrabniano w celu założenia hodowli, a jeszcze inne płody służyły tylko jako źródło indywidualnych linii komórek zarodkowych.

Stephanie ponownie otworzyła rejestr na pierwotnej stronie i zaczęła liczyć, ile kobiet było w tej chwili w ciąży. Nie mogła wyjść ze zdumienia, że Saunders i spółka mieli czelność nie tylko prowadzić tego typu działalność, ale także notować czarno na białym wszystkie odrażające szczegóły. Po takim odkryciu musiałyby już tylko poinformować władze Bahamów o istnieniu rejestru i pozostawić im zadanie skonfiskowania go.

Nagle zamarła. Dreszcz zgrozy przebiegł jej po plecach. Nie skończyła jeszcze liczyć ciężarnych kobiet, gdy serce skoczyło jej do gardła. Bez najdrobniejszego szmeru, czy jakiegokolwiek innego ostrzeżenia, między jej włosy wsunął się pierścień zimnej stali i oparł się o jej spocony kark. W jednej chwili odgadła, że jest to lufa pistoletu!

– Nie ruszaj się i połóż dłoń na blacie – warknął bezcielesny głos.

Stephanie poczuła, że miękną jej kolana. Przez chwilę nie mogła wykonać żadnego ruchu. Wszystkie obawy i lęki towarzyszące myszkowaniu i podsycane przez presję czasu połączyły się w wir czystego przerażenia. Zastygła pochyłona nad rejestrem, z jedną ręką na biurku i drugą zawieszoną w powietrzu – wcześniej wodziła palcem po rubrykach, by pomóc sobie w liczeniu.

– Połóż dłoń na blacie! – powtórzył Kurt z nieskrywanym gniewem. Głos mu drżał.

Musiał się powstrzymać, by nie skatować kolbą tej bezwstydnej, prowokującej kobiety, która odważyła się wejść do sali hodowli.

Lufa pistoletu wcisnęła się w kark Stephanie, nieomal zadając jej ból. Zbierając wszystkie siły, Stephanie wykonała polecenie i położyła prawą dłoń na blacie. Być może to właśnie uchroniło ją przed upadkiem. Trzęsła się ze strachu tak, że wydawało się jej, iż ma nogi z galarety.

Na szczęście lufa pistoletu się cofnęła. Stephanie odetchnęła z ulgą. Niejasno zdawała sobie sprawę z dłoni przeszukujących kieszenie jej fartucha. Czowała, że mężczyzna wyciąga i wkłada z powrotem jej telefon komórkowy oraz garstkę ołówków i papierów. Zaczęła dochodzić już nieco do siebie, kiedy poczuła, że dłonie wsuwają się pod fartuch i obejmują jej piersi.

– Co pan, do diabła, robi? – wykrztusiła.

– Zamknij się! – warknął Kurt. Jego dłonie powędrowały w dół i poklepały jej boki. Potem przesunęły się jeszcze niżej, na biodra, gdzie na chwilę się zatrzymały.

Stephanie wstrzymała oddech. Czowała się zażenowana i upokorzona. Nim się zorientowała, dłonie spoczęły na jej pośladkach.

– To oburzające! – wybuchnęła. Gniew zaczął brać w niej górę nad przerażeniem. Zaczęła się prostować, aby stanąć twarzą w twarz ze swym dręczycielem.

– Zamknij się! – wrzasnął znów Kurt. Dłoń pchnęła jej plecy, na tyle mocno, by powalić ją z rozłożonymi na boki rękoma na otwartą księgę. Pistolet znów napał na jej kark, tym razem boleśnie. – Nie miej najmniejszych wątpliwości, że mógłbym cię zastrzelić na miejscu.

– Jestem doktor D’Agostino – wydusiła Stephanie, mimo miazdzącego ciężaru na plecach. – Pracuję tutaj.

– Wiem, kim jesteś – warknął Kurt. – I wiem, że nie pracujesz w dziale hodowli. Tu nie wolno wchodzić.

Stephanie czuła na plecach jego gorący oddech. Napierał na nią, przyciskając ją do biurka. Nie mogła oddychać.

– Jeśli znów się poruszysz, zastrzelę cię.

– Dobrze – stęknęła. Ku jej uldze miazdzący ciężar ustąpił. Wzięła głęboki oddech, po czym poczuła, że jego dłoń wpycha się między jej nogi, obmacując ją dalej. Zacisnęła z gniewu zęby. Chwilę później dwie dłonie poklepały z góry na dół jedną nogę, potem drugą, przy okazji jeszcze raz sięgając do jej krocza. Wreszcie mężczyzna ponownie oparł się na niej całym ciężarem, choć nie tak mocno jak poprzednio. Jednocześnie poczuła na karku jego gorący oddech, gdy lubieżnie otarł się o nią i wyszeptał jej do ucha:

– Takie kobiety jak ty zasługują na to, co je spotyka.

Stephanie walczyła z pokusą, by stawić opór lub choćby zacząć krzyczeć. Człowiek, który ją przygniatał, był najwyraźniej niepoczytalny, a intuicja podpowiadała jej, by na razie pozostała bierna. Ostatecznie znajdowała się w klinice, nie w jakimś odosobnionym miejscu.

Cindy Drexler i być może inni powinni tu niebawem wrócić.

– Widzisz, suko – ciągnął Kurt – musiałem sprawdzić, czy nie masz przy sobie kamery albo broni. Nieproszeni goście często mają podobne rzeczy, a licho wie, gdzie mogłaś to schować.

Stephanie nie odzywała się ani nie poruszała. Czuła, że mężczyzna prostuje się znowu.

– Przenieś ręce za plecy!

Stephanie wypełniła polecenie. Nim zdążyła się zorientować, co się dzieje, została zakuta w kajdanki. Stało się to tak szybko, że nie zdawała sobie z tego sprawy, dopóki nie usłyszała drugiego metalicznego szczęknięcia. Zła sytuacja stawała się jeszcze gorsza. Nigdy dotąd nie była w kajdankach i metal boleśnie wrzynał się jej w nadgarstki. Czuła się teraz jeszcze bardziej bezbronna niż wcześniej.

Chwilę później napastnik chwycił ją za kark, poderwał w górę i obrócił. Nareszcie mogła mu się przyjrzeć. Jego wąskie usta wygięły się w okrutny, szyderczy uśmiech, jak gdyby chciał dać jej do zrozumienia, że ledwie panuje nad sobą.

Stephanie natychmiast go rozpoznała. Choć nigdy dotąd nie słyszała jego głosu, widywała tego mężczyznę na terenie kliniki i w stołówce. Znała nawet jego nazwisko i wiedziała, że jest szefem ochrony. To w jego biurze zrobiono zdjęcia jej i Danielowi oraz wydano im identyfikatory. Siedział wtedy za swoim biurkiem, ale nie odezwał się słowem. Stephanie świadomie unikała jego świdrującego spojrzenia.

Kurt usunął się na bok i wskazał otwarte drzwi. Pistolet zniknął. Stephanie z ochotą opuściła biuro, ale gdy skierowała się tam, skąd przyszła, Kurt chwycił ją za ramię.

– Nie tędy – warknął. Kiedy odwróciła się, by spojrzeć na niego, pokazał palcem przeciwną stronę.

– Chcę wrócić do laboratorium – oświadczyła Stephanie. Starła się nadać głosowi władcze brzmienie, ale w tych warunkach było to trudne.

– Guzik mnie obchodzi, co chcesz. Jazda! – Kurt pchnął ją mocno. Nie mogąc użyć rąk dla zachowania równowagi, Stephanie niemal upadła. Uderzyła ramieniem o regał z hodowlami tkankowymi, ale na szczęście zdołała się utrzymać na nogach. Kurt pchnął ją jeszcze raz. Potykając się, ruszyła we wskazanym kierunku.

– Nie wiem, dlaczego robi pan z tego taki wielki problem – odezwała się, kiedy do pewnego stopnia odzyskała panowanie nad sobą. – Chciałam się tylko rozejrzeć. Ciekawiło mnie, skąd pochodzą oocyty, które dostarczył nam doktor Saunders. – Zastanawiała się gorączkowo, czy powinna wypełnić rozkaz Kurta, czy po prostu upaść i nie poruszyć się więcej. Skoro nie wracali do laboratorium, wołała zostać w dziale hodowli, gdzie miałyby pocieszającą świadomość, że wróci tu Cindy Drexler. Niepokoiliła się tym, że nie wie, dokąd zmierzają, ale nie zatrzymywała się, bo Kurt groził, że ją zastrzeli. Choć groźba ta zdawała się szalona i wariacka, Stephanie potraktowała ją poważnie.

– Bezprawne wkroczenie do sali hodowli to jest wielki problem – odparł pogardliwie

Kurt, jak gdyby odgadując jej myśli.

Na końcu pomieszczenia skręcili pod kątem prostym i dotarli do drzwi podobnych do tych, którymi Stephanie dostała się do środka, lecz znajdujących się na przeciwległym końcu sali. Kurt wcisnął przycisk na framudze i grube, ciężkie drzwi otworzyły się ze świstem. Kurt brutalnie pchnął Stephanie na drugą stronę. Nie była przyzwyczajona do poruszania się ze skrepowanymi za plecami rękoma, więc mogła jedynie maszerować naprzód, by uchronić się przed upadkiem. Wyszła na długi, wąski, wyginający się łukiem w lewo korytarz o pokrytych tynkiem ścianach. Skąpe oświetlenie zapewniały z rzadka rozmieszczone świetlówki, zamontowane na ścianie po zewnętrznej stronie łuku. Było tu gorąco i duszno.

Stephanie przystanąła. Próbowała odwrócić się, ale Kurt pchnął ją tak mocno, że upadła. Nie mogła podeprzeć się rękoma, więc uderzyła barkiem o ziemię, obcierając sobie policzek na cementowej podłodze. Chwilę później Kurt chwycił fałdy jej kitla i bluzki na środku pleców i podniósł ją jak szmacianą lalkę. Gdy stała już na nogach, popchnął ją do dalszego marszu. Stephanie ustąpiła. Zdała sobie sprawę, że wszelki opór prowadzi do nieszczęścia.

– Żądam rozmowy z doktorem Wingate'em i doktorem Saundersem – oświadczyła, ponownie siląc się na władczy ton. Z narastającą trwogą zastanawiała się, dokąd prowadzi ją ten człowiek. Wilgotne ciepło korytarza wskazywało na to, że znajdują się pod ziemią.

– Wszystko w swoim czasie – odparł Kurt z lubieżnym śmiechem, od którego ciarki przeszły jej po plecach.

Nie trwało długo, nim Stephanie odgadła, że zmierzają w tym samym kierunku, w którym wiedzie arkadowe przejście, łączące laboratorium z budynkiem administracyjnym. Po prostu tym razem droga biegła pod ziemią. Po paru minutach dotarli do normalnych, izolowanych drzwi pożarowych. Gdy Kurt je otworzył, spostrzegła, że miała rację. Znajdowali się w piwnicy budynku biurowego. Stephanie pamiętała ją z czasu, gdy wraz z Danielem otrzymała identyfikator. Z niejaką ulgą domyśliła się, że zmierzają do biura ochrony, co też wkrótce się potwierdziło.

– Idź prosto! – rozkazał Kurt, gdy weszli do biura. Sam pozostał w tyle, poza zasięgiem jej wzroku.

Stephanie minęła uchylone drzwi, za którymi dostrzegła w przelocie ścianę monitorów. Kurt popędził ją dalej. Na końcu korytarzyka zatrzymała się.

– Jak widzisz, na lewo jest cela, a na prawo sypialnia – oświadczył drwiąco Kurt. – Wybór należy do ciebie.

Stephanie nie odpowiedziała. Bez słowa weszła do otwartej celi. Kurt zamknął okratowane drzwi. Zatrzasnęły się ze szcękaniem, który odbił się echem od betonowych ścian.

– A kajdanki? – zapytała Stephanie.

– Lepiej, żeby zostały na swoim miejscu – odparł Kurt. Na jego twarz znów wypłynął okrutny, wąski uśmiech. – Ze względów bezpieczeństwa. Szefom nie podoba się, kiedy więźniowie robią sobie krzywdę. – Ponownie parsknął śmiechem. Nie ulegało wątpliwości, że

świetnie się bawi. Zaczął odwracać się w stronę korytarza, ale się zawahał. Znowu spojrzął na Stephanie. – Masz tam kibel, więc możesz spokojnie z niego korzystać. Nie krępuj się mną.

Stephanie zerknęła na toaletę. Nie dość, że była zupełnie odsłonięta, to nie miała nawet deski. Odwróciła się znów do Kurta i spiorunowała go wzrokiem.

– Chcę natychmiast rozmawiać z doktorem Wingate’em i doktorem Saundersem.

– Obawiam się, że nie możesz sobie pozwolić na wydawanie rozkazów – zauważył Kurt z drwiną w głosie. Rzucił jej przeciągłe spojrzenie, po czym odwrócił się i zniknął w głębi korytarza.

Stephanie wypuściła powietrze. Po odejściu Kurta odprężyła się nieco. Większa część korytarza była poza zasięgiem jej wzroku. Nie mogła spojrzeć na zegarek i zastanawiała się, która jest godzina. Daniel wkrótce zaniepokoi się jej nieobecnością i zacznie jej szukać. Być może nawet już zaczął. Nagle jednak ogarnął ją nowy lęk: co będzie, jeśli tak się oburzy na jej postępek, że pozwoli jej pozostać w zamknięciu?

Kurt Hermann usiadł przy biurku i wyciągnął przed siebie ręce. Drżał z niezaspokojonego pożądanego. Stephanie D’Agostino bardzo go podnieciła. Niestety, przyjemność trzymania rąk na jej jędrnych, a jednak miękkich krągłościach trwała o wiele za krótko i marzył o powtórce. Zachowywała się tak, jakby jej się to nie podobało, ale nie dał się nabrać. Kobiety takie już były: najpierw prowokowały, a chwilę później udawały, że są niezadowolone ze skutków. To wszystko było tylko grą, komedią, żartem.

Przez kilka minut poszukiwał wymówki, by odłożyć na później telefon do Saundersa. Najchętniej w ogóle by do niego nie dzwonił. Doktor D’Agostino mogłaby po prostu zniknąć. Do diabła, zasłużyła sobie na to. Ale wiedział, że to się nie uda. Saunders domyśliłby się prawdy, bo zdawał sobie sprawę, że Kurt obserwuje każdą osobę, która wchodzi do kliniki lub wychodzi z niej. Gdyby doktor zniknęła, Saunders nie miałby wątpliwości, że Kurt jest za to odpowiedzialny, a w każdym razie wie, co się z nią stało.

Przywoławszy wypracowaną na treningach sztuk walki dyscyplinę, Kurt uspokoił się. Po paru minutach jego mięśnie zaczęły się rozluźniać, a drzenie ustało. Nawet jego tętno zwolniło do mniej niż pięćdziesięciu uderzeń na minutę. Wiedział to, ponieważ często je sprawdzał. Gdy w pełni odzyskał panowanie nad sobą, wstał i przeszedł do sali wideo.

Zegar na ścianie wskazywał dwunastą czterdzieści jeden. To znaczyło, że Spencer Wingate i Paul Saunders powinni być w stołówce. Usiadł i spojrzął na rzędy monitorów. Jego wzrok powędrował ku numerowi dwanaście. Za pomocą klawiatury podłączył joystick do tej kamery i zaczął omiatać salę. Nim znalazł swoich szefów, wypatrzył Daniela Lowella. Zrobił najazd. Facet wsuwał lunch z nosem utkwionym w jakimś czasopiśmie naukowym, kompletnie nie zważając na otoczenie. Naprzeciw niego stała nietknięta tacka Stephanie. Kurt uśmiechnął się drwiąco. Trzymał dziewczynę tego gościa w swojej celi, obmacawszy ją wcześniej, a facet nie miał o tym zielonego pojęcia. Co za nadęty cymbał!

Zrobił odjazd kamerą i dalej szukał Spencera i Paula. Znalazł ich przy ulubionym stoliku, jak zwykle w otoczeniu gromadki pracownic. Oni także byli cymbałami, gdyż Kurt na ogół wiedział, z kim się różni, choć bardziej dotyczyło to Paula niż Spencera, który mieszkał poza terenem kliniki. W oczach Kurta większość mężczyzn na świecie była cymbałami, włącznie z większością jego dowódców z wojska. Takie właśnie brzemień musiał dźwigać.

Sięgnął po telefon i zadzwonił do kierowniczkę stołówki. Kiedy kobieta się zgłosiła, kazał jej zawiadomić Spencera i Paula, że nastąpił nagły wypadek i że muszą natychmiast stawić się w jego biurze. Poleciał jej, by powtórzyła: „To problem najwyższej wagi”. Parę sekund po odłożeniu słuchawki kobieta pojawiła się na monitorze. Była roztrzęsiona. Poklepała po ramieniu najpierw Spencera, potem Paula, i szeptem przekazała im wiadomość. Obaj poderwali się i z zaniepokojonymi minami pognali do wyjścia. Spencer wyprzedzał lekko Paula, gdyż to jemu szefowa stołówki przekazała wiadomość w pierwszej kolejności.

Kilkoma uderzeniami klawiszy Kurt przywołał na znajdujący się na linii jego wzroku monitor obraz celi więziennej i skupił się na nim. Stephanie chodziła tam i z powrotem niczym kot w klatce. Wyglądało to tak, jak gdyby specjalnie drażniła go swoim ciałem.

Nie mógł na to dłużej patrzeć i zerwał się z krzesła. Wrócił do biurka i ponownie przywołał na pomoc swój trening, by ochłonać. Nim Spencer Wingate i Paul Saunders wpadli bez tchu do jego biura, zdążył już odzyskać zwykły stoicki spokój. Nie drgnął nawet, tylko skierował ku nim wzrok, gdy pospiechali do biurka.

– Co się dzieje? – zapytał Spencer. Jako tytułarny szef kliniki miał pierwszeństwo przed Paulem. Jego twarz była lekko zaczerwieniona, podobnie jak twarz Paula. Obaj biegli przez całą drogę z budynku numer trzy, a nie przywykli do podobnego wysiłku. Byli spanikowani, bo wiadomość, którą otrzymali, brzmiała tak samo jak ta, którą przekazał im Kurt, gdy funkcjonariusze policji federalnej zrobili najazd na klinikę w jej poprzednim wcieleniu.

Kurt bawił się ich niepokojem, rekompensując tym sobie niewielką wdzięczność, jaką okazywali mu za wszystkie trudy związane z zapewnieniem bezpieczeństwa ich nowej siedzibie. Uciszył ich gestem, po czym skinął na nich, by przeszli wraz z nim do sali wideo. Gdy byli już w środku, zamknął drzwi i wskazał im jedyne dwa obecne tu krzesła. Sam pozostał w pozycji stojącej. Przyglądał się im, rozkoszując się ich nerwową, niepodzielną uwagą.

– Co to za wypadek, do diabła? – zapytał ostro Spencer, straciwszy cierpliwość. – Mówże, człowieku!

– Mieliśmy włamanie w dziale hodowli – odparł Kurt. – Oczywisty akt szpiegostwa, który naraził na szwank program pozyskiwania gamet.

– Nie! – wybuchnął Paul. Wypreżył się na krześle. Prace nad pozyskiwaniem komórek jajowych zajmowały ważne miejsce w jego planach co do przyszłości kliniki i jej reputacji.

Kurt skinął głową, ciesząc się z przeciągania tej chwili.

– Kto to zrobił? – zapytał Paul. – Czy to była wewnętrzna robota?



- Tak i nie – odparł dwuznacznie Kurt.
- No, dalej! – ponaglił go Spencer. – Nie bawimy się tu w zgadywanki.
- Sprawca został schwytany i zatrzymany podczas przeglądania rejestru oocytów.
- Dobry Boże! – jęknął Paul. – Ten człowiek rzeczywiście zajrzał do rejestru?

Kurt wskazał na środkowy monitor tuż ponad blatem. Stephanie siedziała teraz na żelaznej pryczy. Nieświadomie patrzyła niemal prosto w kamerę. Nie ulegało wątpliwości, że jest zrozpaczona.

Na kilka minut w sali wideo zapadła cisza. Wszyscy trzej wpatrywali się w Stephanie.

- Dlaczego ona się nie rusza? – zapytał Spencer. – Czy coś się jej stało?
- Nic jej nie jest – zapewnił go Kurt.
- Dlaczego ma krew na policzku?
- Upadła w drodze do celi.
- Co jej zrobiłeś? – zapytał Spencer.
- Nie chciała współpracować. Potrzebowała odrobiny zachęty.
- Dobry Boże! – wykrzyknął Spencer. W sumie sytuacja była mniej groźna, niż się obawiał, ale tak czy owak niedobra. – Dlaczego trzyma ręce za plecami? – zainteresował się.
- Ma kajdanki – wyjaśnił Kurt.
- Kajdanki? – zdumiał się Spencer. – Czy to nie jest lekka przesada? Chociaż biorąc pod uwagę twoją przeszłość, powinniśmy być wdzięczni, że nie zastrzeżyłeś jej na miejscu.
- Spencer – odezwał się Paul. – Powinniśmy być wdzięczni Kurtowi za jego czujność, a nie ganić go.
- Zakuwanie zatrzymanego w kajdanki to standardowa procedura podczas aresztowania – odparł krótko Kurt.
- Tak, ale ona jest w celi, na Boga – zauważył Spencer. – Mogłeś je zdjąć.
- Zapomnij na chwilę o kajdankach – zaproponował Paul. – Zastanówmy się lepiej nad konsekwencjami jej postępków. Nie podoba mi się, że była w dziale hodowli, a jeszcze mniej, że zaglądała do rejestru. Niezbyt pochlebnie wyrażała się o naszej działalności, a zwłaszcza o naszej terapii komórkami macierzystymi.
- Jest trochę zrozumięła – przyznał Spencer.
- Nie chcę, żeby zniweczyła nasz program pozyskiwania gamet. Co prawda tu, na Bahamach, i tak nie może wiele zdziałać – stwierdził Paul. – To nie Stany. Ale mimo wszystko może narozrabiać i zepsuć nam opinię, co mogłoby utrudnić nam wynajmowanie macic i ostatecznie odbić się na naszych wynikach finansowych. Musimy się upewnić, że do tego nie dojdzie.
- Może to właśnie dlatego przyjechała tutaj z Lowellem – zauważył Spencer. – Być może te cyrki z terapią, nad którą pracują, to tylko wymyślny podstęp. Oni mogą być szpiegami przemysłowymi, którzy zamierzają nas ubiec.
- Nie, to nie podstęp – oświadczył Paul.

– Skąd ta pewność? – zapytał Spencer, odrywając wzrok od obrazu Stephanie na monitorze i zwracając się w jego stronę. – Jesteś dość łatwowierny, jeśli chodzi o kontakty z prawdziwymi naukowcami.

– Przepraszam bardzo! – warknął Paul.

– Och, nie bądź tak wrażliwy – prychnął Spencer. – Wiesz, o co mi chodzi. Ci ludzie rzeczywiście mają stopnie doktorskie.

– Co mogłoby tłumaczyć ich niewielką kreatywność – zauważył Paul. – Nie trzeba mieć doktoratu, by dokonać przewrotu w nauce. Ale niezależnie od tego, mogę cię zapewnić, że ci ludzie nie blefują. Widziałem na własne oczy, że ta HTRS jest godna podziwu.

– Mimo wszystko mogą cię zwodzić. Takie jest moje zdanie. Oni są wykwalifikowanymi badaczami, a ty nie.

Paul na chwilę odwrócił wzrok, by nie wpaść we wściekłość. Spencer był ostatnią osobą, która miała prawo osądzać, kto jest, a kto nie jest badaczem. Nie miał zielonego pojęcia o badaniach. Był zwykłym biznesmenem w stroju lekarza – i to wcale nie najlepszym biznesmenem.

Zaczerpnąwszy oddech dla uspokojenia, Paul spojrział znów na swego oficjalnego szefa.

– Wiem, że oni wykonują prawdziwe, rzeczywiste, celowe manipulacje na komórkach, bo zabrałem kilka komórek, do których wstawili odcinki DNA Chrystusa. Są niesamowite i niezwykle żywotne. Użyłem ich sam, żeby przekonać się, czy będą działać, i zadziałały.

– Zaczekaj chwilę – przerwał mu Spencer. – Nie chcesz chyba mi wmówić, że dowiodłeś, że te komórki zawierają DNA Chrystusa.

– Oczywiście, że nie. – Paul z trudem zachował spokój.

Dyskusowanie o biologii molekularnej ze Spencerem przypominało niekiedy rozmowę z pięcioletkiem. – Nie ma żadnego testu na „chrystusowość”. Próbuję tylko powiedzieć, że ci ludzie przywieźli ze sobą hodowlę fibroblastów osoby cierpiącej na chorobę Parkinsona, którą zamierzają wyleczyć. Wymienili w tych komórkach wadliwe geny na geny, które zdołali skompletować z DNA uzyskanego z próbki Całunu Turyńskiego. Już dokonali tego wszystkiego, a teraz zabierają się do tworzenia właściwych komórek terapeutycznych. To prawda. Nie mam nawet najmniejszych wątpliwości, że to właśnie robią. Jestem pewny na sto procent. Wierz mi!

– Dobrze już, dobrze – odparł Spencer. – Ponieważ siedzisz z nimi w laboratorium, to muszę chyba wierzyć ci na słowo, że oni naprawdę pracują tu nad kuracją. Ale w takim razie znowu wyłania się kwestia tożsamości pacjenta, co do której także mam twoje słowo. Obiecałeś, że dowiesz się, kim on jest. Od planowanego terminu zabiegu dzieli nas niewiele więcej niż tydzień, a tymczasem ciągle nic nie wiemy.

– Cóż, to inny problem.

– Tak, ale pokrewny. Jeśli nie poznamy nazwiska w najbliższym czasie, nie możemy liczyć na żadne finansowe korzyści z tej sprawy, to pewne. W czym tkwi problem? Nie

żądać chyba zbyt wiele.

Paul spojrział na Kurta.

– Powiedz mu!

Kurt odchrząknął.

– Zadanie okazało się trudniejsze, niż przewidywałem. Jeszcze przed przybyciem naszych gości do Nassau kazaliśmy przeszukać ich mieszkanie i firmę. Podczas ich pobytu tutaj zdobyliśmy dostęp do ich laptopów i kazaliśmy naszemu komputerowcowi sprawdzić ich twarde dyski. I nic. Na pocieszenie mogę dodać, że dziś właśnie założyłem pluskwę w telefonie komórkowym doktor D'Agostino. Próbowałem zrobić to od pierwszego dnia, ale była niechętna do współpracy. Nie rozstawiała się z telefonem ani na chwilę.

– Założyłeś pluskwę, kiedy siedziała w areszcie? – zapytał Spencer. – Nie obawiasz się, że nabierze podejrzeń?

– Nie – odparł Kurt. – Zainstalowałem pluskwę przed jej aresztowaniem. Dzisiaj po raz pierwszy zostawiła telefon w laboratorium, kiedy wychodziła na lunch. Kończyłem właśnie, a ona niespodziewanie wróciła, by włamać się do działu hodowli. Poszedłem tam za nią.

– W takim razie dlaczego nie zatrzymałeś jej, zanim weszła do środka? – zapytał Spencer.

– Chciałem przyłapać ją na gorącym uczynku – wyjaśnił Kurt, wyginając kąciki ust w obleśnym uśmiechu.

– Myślę, że sam nie miałbym nic przeciwko przyłapaniu jej na gorącym uczynku – stwierdził Spencer z takim samym uśmiechem.

– Dzięki pluskwie w telefonie przyszłość rysuje się różowo – zauważył Paul. – Kurt od początku uważał, że właśnie kontrola nad rozmowami telefonicznymi pozwoli nam odkryć tożsamość pacjenta.

– Czy to prawda? – zapytał Spencer.

– Tak – odparł krótko Kurt. – Ale jest też inna możliwość. Skoro mamy ją w areszcie, możemy zażądać, żeby ujawniła nam nazwisko pacjenta w zamian za uwolnienie.

Szefowie Kliniki Wingate'a spojrzeli po sobie, rozważając sugestię Kurta. Spencer zareagował pierwszy. Pokręcił głową i powiedział:

– Nie podoba mi się ten pomysł.

– Dlaczego? – zapytał Paul.

– Głównie dlatego, że nie sądzę, żeby zdradzili nam to nazwisko, a w ten sposób dowiedzą się, jak bardzo nam na nim zależy – wyjaśnił Spencer. – Najwyraźniej zachowanie tożsamości pacjenta w tajemnicy jest dla nich sprawą wielkiej wagi, w przeciwnym razie już byśmy ją znali. W tym momencie, przy takim zaawansowaniu prac, o jakim mówiłeś, mogliby pewnie spakować manatki i wykonać sam zabieg gdzie indziej. Nie chcę ryzykować, że stracimy te dwadzieścia dwa i pół tysiąca, które mają nam jeszcze zapłacić. Nie jest to ogromna suma, ale zawsze coś. Poza tym wiedzieliby, że blefujemy. Nie możemy trzymać jej w areszcie, jeśli nie wpakujemy tam także jęgo, czego nie możemy zrobić, a on narobi

wielkiego krzyku, gdy tylko się dowie, gdzie ona jest i jak była traktowana.

– To słuszne argumenty – przyznał Paul. – Zgadzam się z tobą i wołałbym, żeby warunkiem jej zwolnienia była po prostu obietnica dyskrecji, co jest rozsądne w tych okolicznościach. Ona może mieć własne opinie, ale powinna zachować je dla siebie. Wydaje mi się, że doktor Lowell poprze nas w tej kwestii. Odniosłem wrażenie, że zawsze starał się tonować jej arogancję.

Spencer spojrział na Kurta.

– Więc jesteś optymistą, jeśli chodzi o odkrycie tożsamości pacjenta dzięki pluskwie w telefonie?

Kurt skinął głową.

– Myślę, że powinniśmy przy tym pozostać – stwierdził Spencer. – I będziemy forsować kwestię dyskrecji.

– Zgoda – powiedział Paul. – A skoro mówimy o doktorze Lowellu, to gdzie on jest?

– W stołówce – odparł Kurt. Spojrział na monitor dwanaście. – A przynajmniej był tam parę minut temu.

– To chyba nie przypadek, że doktor D’Agostino była sama, gdy weszła do działu hodowli – zauważył Paul.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Spencer.

– Założę się, że doktor Lowell nie ma pojęcia, co ona robiła.

– Może masz rację – przyznał Spencer.

– Doktor Lowell jest w drodze do laboratorium – oświadczył Kurt i wskazał odpowiedni monitor, a wszystkie oczy zwróciły się w tamtą stronę. Daniel szedł szybkim, zdecydowanym krokiem z budynku numer trzy do budynku numer jeden, z dłonią zaciśniętą na kolekcji długopisów i ołówków w kieszonce na piersi. Dotarł do budynku numer jeden i zniknął za drzwiami.

– Gdzie jest monitor laboratorium? – zapytał Paul.

Kurt wskazał go palcem. Przyglądali się, jak Daniel wyłania się z lewej strony ekranu. Spencer orzekł, że wygląda, jakby szukał Stephanie. Kurt śledził go z pomocą joysticka. Po omienceniu wzrokiem stołu laboratoryjnego, Daniel zajrzał do przydzielonego im pokoiku. Wetknął nawet głowę do damskiej toalety. Następnie ruszył prosto do biura Megan Finnigan.

– Myślę, że zszedłby do działu hodowli, gdyby wiedział, że tam właśnie poszła – powiedział Paul.

– Trafna uwaga – przyznał Spencer. – Przypuszczam, że masz rację.

Paul sięgnął po telefon na blacie i wybrał numer wewnętrzny Megan.

– Powiem szefowej laboratorium, gdzie doktor Lowell może znaleźć swoją współpracowniczkę.

– Czy kim ona tam, u diabła, dla niego jest – dodał pogardliwie Spencer. – Wciąż nie mogę tego rozgryźć. Przy okazji, Kurt, jak jej się udało wejść do działu hodowli?

– Użyła swojego identyfikatora – odparł Kurt. – Dostęp nie został jeszcze ograniczony, chociaż było to na liście pilnych spraw, którą przedstawiłem administracji miesiąc temu.

– To moja wina – przyznał Paul, odłożywszy słuchawkę po zwięzłej rozmowie z Megan Finnigan. – Wyszło mi to z głowy w całym zamęcie przy rozkręcaniu kliniki. Poza tym nigdy nie przewidywaliśmy, że z naszego laboratorium będą korzystać osoby z zewnątrz, i nie pomyślałem o tym, kiedy przyjechali tutaj Lowell i D’Agostino.

Spencer wstał z krzesła.

– Chodźmy i pogawędźmy sobie z uroczą doktor D’Agostino, zanim doktor Lowell zejdzie tu do nas. To może ułatwić negocjacje. Kurt, na razie trzymaj się z dala.

Spencer i Paul wyszli na korytarz i ruszyli w stronę celi.

– To zwariowana sytuacja – szepnął Spencer. – Ale zdecydowanie lepsza, niż się obawiałem, kiedy biegliśmy tutaj.

## **Rozdział dwudziesty**

### **19.56, poniedziałek, 11 marca 2002**

Gdy przychodziło co do czego, Gaetano był realistą. Choć nie mógł się doczekać, kiedy znów znajdzie się w Nassau, by dokończyć to, co zaczął podczas pierwszej wizyty, był zdenerwowany. Niepokoił się głównie o to, czy dostanie spluwę, a musiała to być przyzwoita spluwa, ponieważ bez dobrej spluwy nic się nie udaje. Nie było mowy, żeby mógł zatłuc faceta na śmierć albo utopić go w wannie, albo go udusić, jak czasem widuje się w filmach. Wyprawienie człowieka na tamten świat nie było tak łatwe, jak to przedstawiano. Wymagało dobrego planu. Metoda musiała być skuteczna i szybka, no i miejsce w miarę odludne, by można było zmyć się natychmiast, a najlepsze tempo zapewniała spluwa. Dobra, cicha spluwa.

Problem Gaetana polegał na tym, że był on teraz uzależniony od ludzi, których nie znał i którzy nie znali jego. Ktoś miał się z nim spotkać, gdy wyląduje na wyspie, ale nie było żadnej gwarancji, że tak się stanie. Ponieważ wyprawa została sklecona w takim pośpiechu, nie istniał żaden plan awaryjny, nie było też osób kontaktowych, do których mógłby zadzwonić, z wyjątkiem Lou w Bostonie, a ten mógł być nieuchwytny po godzinach. Nawet jeśli ów tajemniczy człowiek pojawi się na lotnisku, zawsze istniała możliwość, że on i Gaetano nie znajdą się w nieuchronnym zamieszaniu, skoro żaden z nich nie wiedział, jak wygląda drugi. Jak gdyby tego było mało, Gaetano następnego dnia powinien być z powrotem w Bostonie, więc nie mógł narzekać na nadmiar czasu.

Drugim powodem jego zdenerwowania było to, że nie lubił małych samolotów. Duże były w porządku, ponieważ mógł sobie wmówić, że nie znajduje się wysoko na niebie. Jednak małe to zupełnie coś innego, a ten, którym leciał w tej chwili, był najmniejszym, z jakim miał kiedykolwiek do czynienia. Co gorsza, samolot wibrował jak elektryczna szczoteczka do zębów i podskakiwał jak kula bilardowa. Jeśli nie liczyć oparcia fotela przed swym nosem, Gaetano nie miał czego się trzymać. W kabinie nie było zbyt wiele miejsca. Przy swym potężnym cielsku dosłownie opierał się o okno.

Gaetano złapał lot do Miami, gdzie przesiadł się na samolot, w którym siedział obecnie. Zachodziło słońce, kiedy startowali z lotniska, a teraz za oknem było ciemno choć oko wykol. Próbował nie myśleć o tym, co znajduje się pod podskakującą maszyną, jednak za każdym razem gdy warkot silników tracił na mocy, wyobraźnia mimo woli podsuwała mu obraz rozległego, czarnego oceanu, powiększając jego niepokój. Gaetano miał sekret: nie umiał pływać i często dręczyły go koszmarne sny, w których zdawało mu się, że tonie.

Przyjrzał się pozostałym pasażerom. Nie było żadnych rozmów, jak gdyby wszyscy byli równie przerażeni jak on. Większość patrzyła tępo przed siebie. Kilku czytało, a wąskie wiązki światła padające z nad ich głów tworzyły odosobnione jasne plamy w panującym w kabinie mroku. Stewardesa siedziała naprzeciw swych podopiecznych w odpowiedzi na ostrzeżenie pilotów o turbulencjach. Jej znudzona mina dodawała nieco otuchy, choć częściowo niweczył ten efekt znacznie solidniejszy pas bezpieczeństwa z przekątnym pasem ramieniowym, jak gdyby spodziewała się najgorszego.

Nastąpił szczególnie silny wstrząs, który wprawił kadłub samolotu w drżenie, i Gaetano podskoczył. Zdawało mu się, że uderzyli w jakiś unoszący się w powietrzu obiekt. Przez minutę nie oddychał nawet, ale nic się nie stało. Przełknął ślinę, by zwilżyć wyschnięte nagle gardło. Pogodzony ze swym losem zamknął oczy i oparł się o zagłówek. Ledwie to zrobił, przez interkom rozległ się głos pilota, który poinformował, że wkrótce będą lądować.

Tknięty nową otuchą Gaetano przycisnął nos do szyby i spojrzał w dół. Zamiast czarnej pustki zobaczył teraz przed sobą migoczące światła. Odetchnął z ulgą. Wyglądało na to, że jednak mu się uda.

Samolot wylądował z wytęsknionym, wyraźnym głuchym stuknięciem. Chwilę później skowyt silników wzmógł się, czemu towarzyszyło uczucie gwałtownego hamowania. Gaetano zapał się o oparcie fotela przed sobą. Był tak zadowolony, że samolot jest już na ziemi, że uśmiechnął się do sąsiada z prawej. Mężczyzna odpowiedział uśmiechem. Na powrót odwróciwszy się do okna, Gaetano mógł teraz skupić się na swej trosce o spluwę.

Przy stosunkowo niewielkiej liczbie pasażerów wysiadka przebiegła szybko. Gaetano jako jeden z pierwszych stanął na płycie lotniska. Wciągnął w płuca ciepłe, tropikalne powietrze, jednocześnie rozkoszując się poczuciem, że znów ma pod nogami stały grunt. Gdy wszyscy opuścili kabinę, wraz z resztą pasażerów został zaprowadzony na terminal.

Ściskając swą podręczną torbę, Gaetano przystanął tuż przy wejściu. Nie był pewien, co ma robić. Sądził, że jego potężna sylwetka wyróżnia go z tłumu, ale nikt do niego nie podszedł. Miał na sobie ten sam szykowny strój co podczas poprzedniej wizyty, składający się z wzorzystej hawajskiej koszuli z krótkim rękawem, jasnobrązowych spodni i niebieskiej marynarki. Napór wchodzących zmusił go do dalszego marszu. Rzeka ludzi poniosła go w stronę kontroli paszportowej. Gdy przyszła na niego kolej, podał swój dokument. Urzędnik miał właśnie go podstemplować, gdy jego wzrok padł na adnotacje z poprzedniego przyjazdu. Nie tylko nosiły niedawną datę, ale i wskazywały na to, że pobyt trwał tylko jeden dzień.

Spojrzał pytająco na Gaetana.

– Poprzednio przyjechałem się rozejrzeć – wyjaśnił Gaetano. – Spodobało mi się tu, więc teraz wróciłem na dłużej.

Urzędnik nie odpowiedział. Podstemplował paszport, popchnął go w stronę Gaetana i sięgnął po dokumenty następnej osoby.

Gaetano minął tłumy przy taśmociągach bagażowych i skierował się do odprawy celnej. Na widok jego amerykańskiego paszportu i niewielkiej torby celnicy pomachali mu, by się nie zatrzymywał. Przeszedł przez otwarte dwuskrzydłowe drzwi. Za lekką, metalową, ruchomą barierką stał czujny tłum ludzi. Wszyscy gorliwie wypatrywali krewnych i przyjaciół. Nikt nie okazał zainteresowania Gaetanem.

Gaetano ruszył niepewnie przed siebie. Skierował się w bok, by minąć barierkę, po czym wmieszał się w hałaśliwy tłum. Po paru krokach zatrzymał się i rozejrzał po terminalu, licząc na to, że napotka czyjś wzrok. Nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Podrapał się po głowie, zastanawiając się, co dalej robić. Z braku lepszego pomysłu ruszył do stanowisk wynajmu samochodów i stanął w kolejce.

Piętnaście minut później trzymał w rękach kluczyki do kolejnego jeepa cherokee, tym razem, dla odmiany, zielonego. Wrócił do hali przylotów i miał właśnie zadzwonić do Lou, gdy ktoś poklepał go w ramię.

Gaetano obrócił się odruchowo, gotowy do walki, i stwierdził, że patrzy w ciemne oczy najbardziej czarnego i łysego mężczyzny, jakiego w życiu widział. Jego szyja obwieszona była wystarczającą kolekcją złotych łańcuchów, by uczynić z pochylania się niezłą gimnastykę, a jego gładka czaszka odbijała tyle światła, że Gaetano musiał przymrużyć oczy. W odpowiedzi na jego gwałtowną reakcję mężczyzna cofnął się o krok i uniósł dłonie jak gdyby dla odparcia ciosu. W jednej ręce trzymał pomietą brązową papierową torbę.

– Spoko, koleś! – odezwał się. Mówił tym samym barwnym, bahamskim akcentem, jaki Gaetano zapamiętał ze swej pierwszej wizyty. – Nic ci nie zrobię.

Gaetano, zawstydzony swoją agresywnością, próbował przeproszać.

– Nie ma sprawy, facet. – Nieznajomy mówił z wyraźnym zaśpiewem. – Ty jesteś Gaetano Baresse z Bostonu?

– Do usług! – odparł Gaetano z uśmiechem ulgi. Przez chwilę miał ochotę uściskać nieznajomego, jak gdyby był utraconym krewnym. – Masz coś dla mnie?

– Jeżeli jesteś Gaetano Baresse, to tak. Nazywam się Robert. Pokażę ci, co mam. – Z tymi słowami mężczyzna rozwinął papierową torbę i sięgnął do środka z zamiarem wydobycia zawartości.

– Hej, nie wymachuj tym tutaj! – szepnął nerwowo Gaetano. Był przerażony. – Oszalałeś? – Gorączkowo rozejrzał się po terminalu. W pobliżu kręciło się kilku uzbrojonych, lecz znudzonych policjantów. Na szczęście nie zwrócili na nich najmniejszej uwagi.

– Chcesz to zobaczyć, co nie? – zapytał mężczyzna.



– Tak, ale nie tu, na widoku. Przyjechałeś samochodem?

– Jasne.

– Chodźmy.

Mężczyzna wzruszył ramionami i wyprowadził go z terminalu. Parę minut później wsiedli do pastelowego, zabytkowego cadillaca z fantazyjnie powyginanym tyłem. Mężczyzna włączył górną lampkę i podał torbę Gaetano. Gaetano spodziewał się jakiegoś marnego gnata, ale to, co wyciągnął, przeszło jego najśmielsze oczekiwania. Był to dziewięćmilimetrowy SW99, wyposażony w celownik LaserMax i tłumik Bowers CAC9.

– W porządku? – zapytał Robert. – Zadowolony?

– Jest super – odparł Gaetano. Podziwiał nieskazitelną, czarną, melonitową powłokę, która wskazywała na to, że splota jest nowiuteńka. Była to imponująca broń. Choć miała tylko czterocalową lufę, dzięki tłumikowi sprawiała wrażenie dziesięćcalowej.

Upewniwszy się, że w pobliżu nie ma nikogo, Gaetano wycelował przez przednią szybę w zaparkowany nieopodal samochód i uaktywnił laser. Z odległości piętnastu metrów zobaczył jarzący się na tylnym zderzaku samochodu czerwony punkt. Był zachwycony bronią, dopóki nie zorientował się, że w kolbie brakuje magazynka.

– Gdzie jest magazynek? – zapytał. Bez magazynka i amunicji splota była bezużyteczna.

Robert uśmiechnął się w półmroku. Na tle jego gładkiej, hebanowej skóry zęby naprawdę wyglądały na perłowobiałe. Poklepał lewą kieszeń spodni.

– Jest tu, koleś, załadowany i gotowy do użytku. Mam nawet zapasowy na dokładkę.

– Świetnie – stwierdził Gaetano. Ulżyło mu. Wyciągnął rękę.

– Nie tak szybko – powstrzymał go Robert. – Myślę, że należy mi się coś za to. To znaczy, musiałem przywlec się tutaj, zamiast siedzieć sobie w domu przy piwku. Kapujesz?

Przez chwilę Gaetano bez słowa wpatrywał się w oczy mężczyzny, które w ciemnościach dziwnie przypominały mu dwie dziury po kulach w brudnym białym kocu. Wiedział, że to swoisty szantaż i prawdopodobnie własna inicjatywa Roberta. W pierwszym odruchu chciał chwycić gościa i trzasnąć jego głową o kierownicę, by zrozumiał, z kim ma do czynienia, ale rozsądek przeważył. Facet mógł mieć drugą splotę, co skomplikowałoby sprawę i z pewnością nie było odpowiednim rozpoczęciem obecnej misji. Co ważniejsze, Gaetano nie miał pojęcia, jakie są powiązania tego gościa z Kolumbijczykami z Miami, z którymi Lou załatwiał to wszystko. Ostatnią rzeczą, jakiej życzyłby sobie podczas akcji w Nassau, była banda zbirów polujących na jego własny tyłek, a zwłaszcza banda Kolumbijczyków.

Odchrząknął. Miał ze sobą sporo forsy, gdyż podczas takiego wypadu do wszystkiego była potrzebna gotówka.

– Sądzę, Robert, że zasługujesz na mały dowód uznania. Co byś chciał?

– Słowa byłąby niezła – odparł Robert.

Bez dalszych słów Gaetano pochylił się, by wsadzić wolną rękę do prawej kieszeni spodni. Nie odrywał przy tym wzroku od Roberta. Odwinął banknot z rulonu, rozprostował

go i podał mu. Robert wyciągnął magazynki. Gaetano wsunął jeden z nich do kolby. Magazynek zaskoczył ze szczękiem. Odrzuciwszy przelotną myśl, by wypróbować broń na Robercie, Gaetano wysiadł z samochodu. Schował drugi magazynek do bocznej kieszeni marynarki.

– Hej, facet! – zawołał Robert. – Podrzucić cię do miasta?

Gaetano nachylił się z powrotem do wnętrza pojazdu.

– Dzięki, ale mam własną brykę. – Wyprostował się i wsunął broń do lewej kieszeni spodni. W jej dolnej części znajdował się otwór na tłumik. Sztuczki z dziurą w kieszeni nauczył się od swego mentora, kiedy rozpoczął pracę dla rodziny w Nowym Jorku. Jedyną wadą było to, że musiał się nauczyć, by nigdy nie wkładać do tej kieszeni innych rzeczy, na przykład pieniędzy lub kluczy. Idąc w stronę parkingu wypożyczalni samochodów, czuł, jak chłodna stal tłumika przesuwana się po jego nagim udzie. Było to dla niego jak pieszczota.

Dwadzieścia minut później wjechał wynajętym wozem na parking hotelu Ocean Club. Jazda dała mu czas na uspokojenie się po drobnym szantażu Roberta. Przy otwartych wszystkich oknach chrzęst opon na żwirze wydawał się wyjątkowo głośny. Aby nacieszyć się letnim powietrzem, Gaetano postanowił wcześniej nie włączać klimatyzacji. Zrobił pełną pętlę dookoła parkingu. Szukał miejsca, które nie tylko byłoby blisko hotelu, ale i które zapewniałoby łatwy wyjazd na ulicę. Po załatwieniu profesora chciał się jak najprędzej zmyć.

Włączył górną lampkę i przyjrzał się sobie we wstecznym lusterku. Chciał być pewny, że może się pokazać w eleganckim hotelu. Wygładził krzaczaste brwi i poprawił klapy marynarki. Gdy uznał, że wygląda najlepiej jak może, wysiadł z samochodu. Wsunął kluczyki do prawej kieszeni spodni i dla pewności poklepał je przez materiał. Najgorsze byłoby to, gdyby nie mógł ich znaleźć, kiedy będzie opuszczał to miejsce. Tak przygotowany ruszył w drogę.

Powtarzając trasę znaną mu już z poprzedniej wizyty w hotelu, Gaetano skierował się do budynku mieszczącego apartament 108. Była ósma trzydzieści wieczorem, więc spodziewał się, że profesor i jego laska będą na kolacji, ale mimo wszystko chciał zacząć od sprawdzenia pokoju. Niespiesznym krokiem mijał kilku elegancko ubranych gości idących w przeciwnym kierunku.

W odpowiednim miejscu przeszedł między dwoma budynkami, by dostać się na trawnik od strony oceanu, po czym szedł dalej, aż dotarł niemal do gęstwiny zarośli pokrywających stromą, sięgającą plaży skarpe. Tam skręcił, by przejść wolnym krokiem wzdłuż właściwego pawilonu. Znajdował się na tyle blisko brzegu, że słyszał delikatny chłopot fal na piasku. Pogoda była przepiękna, z obłokami pędzącymi pod sklepieniem gwiazd, częściowo przyćmionych blaskiem niepełnej tarczy księżyca. Lekka bryza od oceanu szeleściła pióropuszcami palm. Gaetano bez trudu zrozumiał, dlaczego turyści lubili Ocean Club.

Gdy dotarł do apartamentu 108 i ujrzał jego wnętrze, dreszcz podniecenia sprawił, że włosy zjeżyły mu się na karku i ciarki przebiegły po grzbiecie. W pokoju płonęły wszystkie

światła, zasłony były szeroko rozsunięte, a profesor i jego dziewczyna siedzieli widoczni jak na dłoni! Nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Nie spodziewał się, że jego misja osiągnie punkt kulminacyjny tak łatwo i tak szybko, i przez chwilę tylko się gapił, podczas gdy jego puls przyspieszał w oczekiwaniu na rychłą akcję. Po chwili jednak jego podniecenie osłabło, gdy zastanowił się nad tym, co widzi. Profesor i siostra Tony'ego zachowywali się jakoś dziwnie, bo ganiali po pokoju jak para kurczaków, a potem trzepali koc w powietrzu. W głębi widać było otwarte na oścież drzwi na korytarz i włączony telewizor.

Zaintrygowany tym widowiskiem Gaetano ruszył przez pogrążony w mroku trawnik w stronę pawilonu. Jego dłoń instynktownie wsunęła się do lewej kieszeni i ścisnęła spluwę. Nagle przystanął, z rozczerwaniem uświadomiwszy sobie, co się dzieje. Ludzie, na których patrzył, nie byli jego łupem, ale robiącymi porządki pokojówkami.

– Cholera! – jęknął. Westchnął i z przygnębieniem pokręcił głową.

Przez kilka minut stał w ciemnościach i przekonywał sam siebie, że tak jest lepiej. Gdyby mógł po prostu podejść do pawilonu, kropnąć profesora szybkim strzałem, a potem zwiać, nie byłoby to zbyt satysfakcjonujące. Wszystko poszłoby zbyt łatwo i zbyt szybko. O wiele lepsze były długie podchody, łączące się z odrobiną niebezpieczeństwa, wymagające od niego doświadczenia i wprawy. To właśnie dawało mu prawdziwe zadowolenie.

Wypuścił spluwę, poruszył nogą, by tłumik ułożył się odpowiednio w nogawce, i poprawił na sobie marynarkę. Potem odwrócił się i ruszył w stronę publicznych obszarów hotelu. Jeśli profesor i dziewczyna nie wyszli na kolację do miasta, tam właśnie ich znajdzie.

Pierwsza restauracja położona była znacznie bliżej plaży niż pawilony mieszczące pokoje hotelowe, Gaetano musiał więc przejść wzdłuż skraju zarośli, tym razem mając plażę po lewej stronie. Sięgające podłogi okna wychodziły bezpośrednio na ocean i Gaetano był wystarczająco blisko, by słyszeć rozmowy. Przyspieszył kroku, żeby jak najszybciej znaleźć się poza zasięgiem wzroku jedzących. Obawiał się, że profesor mógłby go rozpoznać. Tu właśnie kryło się prawdziwe niebezpieczeństwo, bo gdyby profesor go zobaczył, zaalarmowałby ochronę, a może i policję.

Minąwszy ciąg okien, Gaetano wszedł do restauracji głównym wejściem, przez cały czas rozglądając się za profesorem. Minął stanowisko hostessy, gdzie kilka par czekało na przydzielenie stolika, zatrzymał się na progu sali jadalnej, po czym szybko i metodycznie omiótł wzrokiem wnętrze. Gdy upewnił się, że profesora tu nie ma, wyszedł tak szybko, jak przybył.

Nieco dalej znajdowała się mniej elegancka restauracja z barem na środku, którą Gaetano odwiedził podczas pierwszej wizyty. Stała na samym skraju plaży, kryta strzechą niczym olbrzymia chata tiki. Tłoczyli się w niej liczni goście, zwłaszcza przy barze. I znów, z zachowaniem najwyższej ostrożności, Gaetano okrążył wnętrze, przechodząc między centralnym barem a ustawionymi na obwodzie stolikami. Profesora nie było.

Gaetano pogodził się z myślą, że jego cel prawdopodobnie je kolację poza hotelem, i

ruszył ścieżką biegnącą przez trawnik w stronę głównego budynku. Zamierzał znów zająć tę samą kanapę, która zapewniała widok na wejście do hotelu. Miał nadzieję, że salaterki z owocami wciąż tam będą. Po przejściu przez dwie restauracje i wdychaniu smakowitych aromatów zaczynało mu już burczeć w brzuchu.

W głównym holu było kilka osób. Niestety, jego sofę zajęła już jakaś para, pogrążona w rozmowie z dwiema innymi parami, które siedziały naprzeciw na krzesłach. Gaetano ruszył ku małemu barowi i stojącej na kontuarze miseczce z orzeszkami. Zbiegiem okoliczności za barem stał ten sam mężczyzna, z którym gawędził podczas poprzedniej wizyty. Stąd też widać było wejście do hotelu, wprawdzie nie tak dobrze jak z kanapy, ale wystarczająco.

– Hej! – zawołał barman i wyciągnął rękę. – Kopę lat!

Gaetano był trochę zaniepokojony, że mężczyzna go rozpoznał przy tej liczbie ludzi, którą musiał widywać każdego dnia. Uśmiechnął się słabo, uścisnął podaną dłoń i wziął sobie garść orzeszków. Barman pochodził z Nowego Jorku, który był tematem ich rozmowy sprzed półtora tygodnia.

– Podać ci coś? – zapytał barman.

Gaetano zauważył jednego z muskularnych ochroniarzy hotelu w łukowatym przejściu do recepcji. Podparty pod boki osilek pobieżnie omiół wzrokiem salę. Ubrany był w pozbawiony wyrazu, ciemny garnitur. Nie ulegało wątpliwości, że jest ochroniarzem, bo w lewym uchu miał słuchawkę, której przewód zniknął pod marynarką.

– Chętnie lyknąłbym coli – odparł Gaetano. Starał się sprawiać wrażenie odprężonego i zajętego, by nie można było poznać, że jest tu intruzem. Przysiadł na jednym ze stołków barowych, trzymając lewą nogę wyprostowaną, by nie poruszyć ukrytej spluwy z tłumikiem.

– Najlepiej z lodem i cytryną.

– Nie ma sprawy, stary – powiedział barman. Zabrał się do dzieła, otwierając colę i napełniając szklankę lodem. Zwinął skórkę cytryny, przesunął ją wokół brzegu szklanki i postawił napój przed Gaetano. – Twoi przyjaciele nadal mieszkają w hotelu?

Gaetano skinął głową.

– Miałem spotkać się z nimi tutaj dziś wieczorem, ale nie ma ich w pokoju ani w żadnej z restauracji.

– Sprawdzałeś Na Dziedzińcu?

– Gdzie? – zapytał Gaetano. Kątem oka spostrzegł, że ochroniarz znika z powrotem w recepcji.

– To nasza najlepsza restauracja – wyjaśnił barman. – Jest czynna tylko w porze kolacji.

– Gdzie to jest?

– Wyjdź po prostu do recepcji i skręć w lewo. Przejdziesz przez drzwi i jesteś na miejscu. Restauracja jest na prawdziwym dziedzińcu najstarszej części hotelu.

– Zajrzę tam – powiedział Gaetano. Dokończył colę i skrzywił się na musujące bąbelki. Położył na barze dziesięć dolarów i poklepał je. – Dzięki, stary!

– Nie ma za co – odparł barman i schował banknot do kieszeni.

Gaetano wszedł po dwóch schodkach do recepcji i poszukał wzrokiem ochroniarza. Jak się okazało, rozmawiał on właśnie z portierem. Kierując się wskazówkami barmana, Gaetano skręcił w lewo, przeszedł przez drzwi oddzielające klimatyzowaną przestrzeń od nieklimatyzowanej i znalazł się na dziedzińcu. Była to długa, prostokątna przestrzeń wypełniona palmami, egzotycznymi kwiatami, a nawet umieszczoną na środku fontanną, między którymi rozstawiono stoliki i krzesła. Dziedziniec otaczał piętrowy budynek hotelowy. Na wysokości pierwszego piętra obiegał go balkon z balustradą z kutego żelaza. W tle słychać było muzykę, graną na żywo przez zespół siedzący w górze, poza zasięgiem wzroku Gaetana.

– Czym mogę służyć? – zapytała ciemnowłosa kobieta zza podium hostessy. Ubrana była w wąską, drukowaną w tropikalne wzory, długą do kostek suknię na wążiutkich ramiączkach. Gaetano był ciekaw, czy kobieta mogłaby zrobić krok w tej sukni, nie podciągając jej do pasa.

– Tylko się rozglądam – odparł. Uśmiechnął się. – Ładnie tutaj. – Choć na dziedziniec wpadało nieco bladego światła z otwartych pomieszczeń hotelu, główne oświetlenie zapewniały ustawione na stolikach wysokie świece oraz księżyc w górze.

– Musi pan zarezerwować stolik, jeśli chce pan dołączyć do nas któregoś wieczoru – powiedziała hostessa. – Dziś wszystkie są już zajęte.

– Będę o tym pamiętał. Czy mogę się tylko trochę rozejrzeć?

– Proszę bardzo – odparła hostessa, gestem zapraszając go, by wszedł dalej.

Gaetano spostrzegł schody prowadzące na piętro i wszedł po nich, aby mieć lepszy widok. Gdy znalazł się na balkonie, zobaczył muzyków. Ulokowali się w małym kąciaku wypoczynkowym tuż nad stanowiskiem hostessy. By zrobić sobie miejsce, odsunęli na bok meble.

Przesuwając dłonią po poręczy, Gaetano ruszył otwartą galerią na prawo. Miał stąd doskonały widok na stoliki, przynajmniej te, których nie zasłaniały rośliny. Świece dogodnie oświetlały twarze biesiadników. Był pewien, że kiedy zrobi pełny obchód, zobaczy wszystkich klientów, nie zwróciwszy na siebie uwagi.

Nagle przystanął jak wryty i włosy znów stanęły mu dęba. Nie więcej niż piętnaście metrów od niego, przy stoliku ukrytym za kwitnącym krzewem oleandra, siedział profesor, najwyraźniej pogrążony w ożywionej rozmowie. Mówił coś, kiwając głową, a nawet dźgając palcem w powietrze, jak gdyby dla podkreślenia swej opinii. Gaetano nie widział twarzy Stephanie, gdyż zwrócona była tyłem do niego. Pospiesznie cofnął się, by oleander znów znalazł się między nim a profesorem. Teraz zaczynała się zabawa. Gdyby miał karabin z teleskopem, mógłby puknąć profesora z miejsca, w którym stał, ale nie dysponował karabinem, a poza tym taki strzał nie byłby zbyt satysfakcjonujący. Wiedział aż nadto dobrze, że z krótką bronią, nawet z laserowym celownikiem, trzeba było maksymalnie zbliżyć się do celu, by mieć pewność, że strzał okaże się zabójczy. Zdawał sobie zatem sprawę, że musi

czekać na właściwy moment.

Rozejrzał się dookoła. Teraz, gdy znalazł już parkę, zastanawiał się, gdzie mógłby zaczekać, aż skończą swą romantyczną kolację. Gdy wyjdą z restauracji, niewątpliwie ruszą w stronę pokoju jedną z licznych ciemnych, odludnych ścieżek, które byłyby doskonałym miejscem na robotę. W najgorszym razie pójda na spacer po plaży, co również najzupełniej mu odpowiadało. Coraz bardziej podniecony, uśmiechnął się z satysfakcją. Nareszcie wszystko zaczynało układać się jak należy.

Przed nim były praktycznie tylko schody. Prowadziły do centrum odnowy biologicznej, przynajmniej tak głosiła tablica, którą Gaetano mógł przeczytać ze swojego miejsca. Obejrzał się w stronę kącika wypoczynkowego, gdzie grali muzycy, i uznał, że tam właśnie można będzie poczekać. Choć prawdopodobnie nie będzie stamtąd widział profesora ani siostry Tony'ego z powodu zasłaniającego ich stolik krzewu oleandra, zobaczy ich, kiedy wstaną, by wyjść, a to właśnie było ważne. Poza tym będzie wyglądał, jak gdyby siedział tam, słuchając gry zespołu, jeśli napatoczy się któryś z ochroniarzy.

Daniel przetarł oczy, by dodać sobie cierpliwości. Zamrugnął parę razy, nim znów spojrzął na Stephanie, której twarz odzwierciedlała gniewne rozdrażnienie, stanowiące dokładną kopię jego własnych uczuć.

– Mówię tylko, że ten ochroniarz, jakkolwiek on się tam nazywa, powiedział, że przeszukał cię, kiedy przyłapał cię na szpiegowaniu w dziale hodowli, w czym nie ma nic specjalnie dziwnego.

– On się nazywa Kurt Hermann! – wybuchnęła Stephanie. – I naprawdę mnie obmacywał. Byłam poniżona i przerażona i nie jestem pewna, co było gorsze.

– W porządku, więc przeszukał cię i przy okazji obmacał. Nie wiem, gdzie jedno się kończy, a drugie zaczyna. Ale przede wszystkim nie powinnaś była w ogóle wchodzić do działu hodowli. Zupełnie jakbyś się o to prosiła!

Stephanie powoli otworzyła usta. Oburzyła się, że Daniel mógł coś takiego powiedzieć. Była to najbardziej gruboskórna uwaga, jaką kiedykolwiek od niego słyszała, a zdarzyło mu się rzucić parę dość gruboskórnych uwag podczas ich wspólnego życia. Gwałtownym ruchem odsunęła w tył krzesło z kutego żelaza, które zazgrzytało głośno o betonową podłogę, i wstała. Daniel zareagował niemal równie szybko, pochylając się naprzód i łapiąc ją za rękę.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał ostro.

– Sama nie wiem – warknęła Stephanie. – Po prostu chcę wyjść.

Przez parę chwil mierzyli się wzrokiem ponad stolikiem. Daniel nie zwalniał uścisku, ale i ona nie próbowała się wyrwać. Uświadomili sobie, że ludzie siedzący przy pobliskich stolikach umilkli. Rozejrzeli się dookoła i stwierdzili, że wszyscy wbijają w nich wzrok. Nawet kilku kelnerów przystanąło w pół kroku, by się im przyjrzeć.

Mimo swego wzburzenia Stephanie usiadła z powrotem. Daniel nadal trzymał ją za rękę,

choć jego uścisk wyraźnie zelżał.

– Nie chciałem tego powiedzieć – przyznał. – Jestem zły i zdenerwowany i wymknęło mi się to niechcący. Wiem, że nie prosiłaś, żeby cię molestowano.

Oczy Stephanie płonęły.

– Mówisz tak, jak ci ludzie, którzy sądzą, że ofiary gwałtu celowo narażają się na ryzyko swoim strojem albo zachowaniem.

– W żadnym razie – zapewnił ją Daniel. – To było przejęzyczenie. Jestem po prostu wściekły, że poszłaś do tego działu hodowli i wywołałaś taką aferę. Obiecałaś, że nie będziesz robić zamętu.

– Nie obiecałam – odparowała Stephanie. Jej głos stracił nieco ostrości. – Powiedziałam, że się postaram. Ale sumienie nie daje mi spokoju. Poszłam do działu hodowli, żeby poszukać potwierdzenia swoich obaw, i znalazłam je. Niezależnie od spraw, o których już wiedzieliśmy, nie ulega wątpliwości, że oni zapładniają kobiety, a potem poddają je aborcji, by uzyskać płodowe jajniki.

– Skąd masz tę pewność?

– Widziałam niezbity dowód.

– W porządku, czy możemy porozmawiać o tym, nie wrzeszcząc na siebie nawzajem? – Daniel przebiegł wzrokiem po pobliskich stolikach. Ludzie wrócili do własnych rozmów, a kelnerzy znów podjęli swoje obowiązki.

– Nie, dopóki nie przestaniesz mówić takich rzeczy jak przed sekundą.

– Postaram się.

Stephanie spojrzała na Daniela, aby dociec, czy jego odpowiedź była przejawem biernej agresji, czy stroił sobie żarty, powtarzając jej słowa. Jej zdaniem mogło chodzić tylko o jedno albo o drugie, co w połączeniu z całą resztą nie było dobrym znakiem.

– No, mów! – ponaglił ją Daniel. – Co to był za niezbity dowód?

Stephanie nadal wpatrywała się w niego. Teraz zastanawiała się, czy naprawdę się zmienił w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, czy też zawsze był tak obojętny na wszystko poza swą pracą. Odwróciła na chwilę wzrok, by uciszyć emocje i jako tako odzyskać panowanie nad sobą. Nie rozwiązałyby to niczego, gdyby wstała i wyszła albo gdyby siedzieli i sprzeczali się. Odwróciła się z powrotem do Daniela, wzięła głęboki oddech i opowiedziała mu o wszystkim, co widziała, a zwłaszcza o rejestrze, który przedstawiał to wszystko czarno na białym. Kiedy umilkła, przez chwilę patrzyli na siebie ponad nie dokończoną kolacją. Wreszcie Daniel przełamał milczenie.

– Cóż, miałaś rację. Czy to, że wyszło na twoje, daje ci chociaż jakąś satysfakcję?

– Nie za bardzo! – odparła Stephanie. Roześmiała się cierpko. – Pytanie brzmi: Czy możemy działać dalej, wiedząc to, co wiemy?

Daniel spuścił wzrok na stół i w roztargnieniu bawił się sztuczkami.

– Tak jak ja to widzę, przyjęliśmy te oocyty, zanim dowiedzieliśmy się o ich

pochodzeniu.

– Ha! – prychnęła Stephanie. – Oto dogodna wymówka i pierwszorzędny przykład giętkiej moralności.

Daniel spojrział jej prosto w oczy.

– Jesteśmy tak blisko – powiedział, z powagą wymawiając każde słowo. – Jutro zaczniemy różnicowanie komórek. Nie zamierzam wycofać się teraz z powodu tego, co dzieje się w Klinice Wingate’a. Jest mi przykro, że cię sponiewierano, maltretowano i molestowano. Jest mi też przykro, że mnie pobito. To nie igraszki, ale wiedzieliśmy, że leczenie Butlera nie będzie łatwe. Od początku doskonale zdawaliśmy sobie sprawę, że szefowie Kliniki Wingate’a są pozbawionymi zasad, skorumpowanymi idiotami, a jednak zdecydowaliśmy się działać. Pytanie brzmi: Czy nadal jesteś ze mną, czy nie?

– Pozwól, że zapytam cię o coś – powiedziała Stephanie, nachylając się bliżej i zniżając głos. – Kiedy Butler zostanie już wyleczony i wrócimy do domu, a CURE zostanie uratowane i wszystko będzie cacy, czy możemy w jakiś sposób anonimowo ostrzec władze Bahamów o tym, co dzieje się w Klinice Wingate’a?

– Byłby z tym problem – odparł Daniel. – Żeby wydobyć cię jak najszybciej z celi Kurta Hermanna, co uważałem za sprawę o pierwszorzędnym znaczeniu dla wszystkich zainteresowanych, podpisałem zobowiązanie do dyskrecji, które uniemożliwia zrobienie tego, co właśnie zasugerowałaś. Ci ludzie są może szaleni, ale z pewnością nie głupi. Zobowiązanie wyjaśnia też, co my sami robimy w Klinice Wingate’a, co oznacza, że jeśli ich sekret zostanie ujawniony, oni ujawnią nasz, a to może zniweczyć wszystko, co próbowaliśmy osiągnąć, kiedy podjęliśmy kurację Butlera.

Stephanie w roztargnieniu kręciła kieliszkiem z winem, z którego nie upiła nawet łyka.

– A co powiesz na to? – odezwała się nagle. – Może kiedy Butler zostanie już wyleczony, nie będzie aż tak nalegać na dyskrecję.

– Przypuszczam, że można na to liczyć – przyznał Daniel.

– Czy możemy w takim razie umówić się chociaż, że powrócimy do tej kwestii w przyszłości?

– Tak przypuszczam – powtórzył Daniel. – To znaczy, kto wie? Mogą zdarzyć się rzeczy, których nie przewidywaliśmy.

– To znakomity opis dotychczasowego przebiegu sprawy.

– Ale śmieszne!

– Cóż, nic nie poszło dokładnie tak, jak planowaliśmy.

– To nie jest do końca prawda. Dzięki tobie prace nad komórkami postępowały dokładnie według planu. Do przyjazdu Butlera powinniśmy mieć gotowych dziesięć linii komórkowych, z których każda mogłaby go uleczyć. Muszę tylko wiedzieć, czy jesteś ze mną, żebyśmy mogli dokończyć dzieła i wynieść się z Nassau.

– Mam jeszcze jedną prośbę – oświadczyła Stephanie.



– Tak?

– Chcę, żebyś jasno dał do zrozumienia Spencerowi Wingate'owi, że nie podobają ci się jego zapędy w stosunku do mnie. A skoro już o tym mowa, dlaczego byłeś tak bierny? To poniżające. Nigdy nie wspomniałeś o tym podczas naszych rozmów.

– Po prostu staram się nie robić zamętu.

– To jest robienie zamętu?! Nie rozumiem! Gdyby Sheila Donaldson robiła analogiczne propozycje pod twoim adresem, ja na pewno stanęłabym po twojej stronie.

– Spencer Wingate jest egocentrycznym pyszałkiem, któremu się wydaje, że jest darem z niebios dla rodu niewieściego. Byłem pewien, że potrafisz poradzić sobie z nim bez przykrych scen.

– To już są przykre sceny. On staje się coraz bardziej i po chamsku natarczywy, zaczyna nawet pchać się z łapami, choć po dzisiejszej wpadce może da spokój. Tak czy inaczej, chcę otrzymać trochę wsparcia od ciebie w tej sprawie. Zgoda?

– Dobrze! Zgoda! – odparł Daniel. – Czy to już wszystko? Możemy ruszyć dalej i skończyć tę całą sprawę z Butlerem?

Stephanie skinęła głową.

– Chyba tak – stwierdziła bez zbytniego entuzjazmu.

Daniel kilkakrotnie przeciągnął palcami po włosach, wydał policzki, po czym wypuścił powietrze jak spuszczone balonik. Uśmiechnął się słabo.

– Jeszcze raz przepraszam za to, co powiedziałem przed chwilą. Po prostu ponosi mnie, odkąd usłyszałem, że zostałeś zamknięta w tej celi. Byłem pewien, że przez twoje węszenie wyrzucą nas z Kliniki Wingate'a, i to teraz, kiedy sukces jest już w zasięgu wzroku.

Stephanie w milczeniu zastanawiała się, czy Daniel zdaje sobie sprawę, jak bardzo jest egocentryczny.

– Mam nadzieję, że nie chcesz mi znów powiedzieć, że nie powinnam była wchodzić do działu hodowli.

– Nie, bynajmniej – zapewnił Daniel. – Rozumiem, że zrobiłaś to, co uważałaś za stosowne. Cieszę się tylko, że koniec końców nasze przedsięwzięcie nie wzięło w łeb. Ale ten incydent sprawił, że uświadomiłem sobie coś innego. Byliśmy tak zajęci i zaabsorbowani, że jeśli nie liczyć posiłków, nie mieliśmy nawet jednej chwili dla siebie. – Odchylił głowę w tył i spojrzał poprzez strzępiaste liście palm na rozgwieżdżone niebo. – To znaczy, jesteśmy na Bahamach w samym środku zimy i w żaden sposób z tego nie skorzystaliśmy.

– Sugerujesz coś konkretnego? – zapytała Stephanie. Czasami Daniel ją zaskakiwał.

– Tak – odparł. Zdjął serwetkę z kolan i rzucił ją na talerz. – Odnoszę wrażenie, że ani ty, ani ja nie jesteśmy specjalnie głodni, a oboje jesteśmy zestresowani. Może pospacerowalibyśmy sobie przy księżycu po ogrodzie francuskim i odwiedzili ten średniowieczny krużganek, który widzieliśmy z daleka pierwszego ranka po przyjeździe? Oboje chcieliśmy go zobaczyć, a teraz nadeszła bardzo stosowna chwila. W średniowieczu

krużganki klasztorne były schronieniem przed zamętem prawdziwego świata.

Stephanie zmięła serwetkę i odłożyła ją na stół. Mimo obecnego oburzenia postawą Daniela i mimo wynikających stąd dalszych wątpliwości co do przyszłości ich związku, chcąc nie chcąc, musiała uśmiechnąć się na jego pomysłowość i przenikliwą inteligencję, cechy, które zauroczyły ją w nim na samym początku. Wstała.

– To chyba najlepsza propozycja, jaką zrobiłeś od sześciu miesięcy.

„To wygląda obiecująco!” – powiedział sobie w duchu Gaetano, kiedy ujrzał głowę Stephanie, a chwilę później Daniela, ponad oleandrem, który przesłaniał mu widok na ich stolik. Widział Stephanie już wcześniej, przez moment, ale najwyraźniej usiadła z powrotem. Skulił się na krześle, na wypadek gdyby Daniel uniósł wzrok ku zespołowi na balkonie. Gaetano był święcie przekonany, że para skieruje się w jego stronę i minie znajdujące się bezpośrednio pod nim stanowisko hostessy, zmierzając do swego apartamentu. Ale wykiwali go. Ruszyli w przeciwnym kierunku, nie oglądając się za siebie.

– Psiakrew! – mruknął. Za każdym razem gdy zdawało mu się już, że sprawy są pod kontrolą, zdarzało się coś nieoczekiwanego. Zerknął na lidera zespołu, z którym podczas oczekiwania nawiązał kontakt wzrokowy. Muzyk okazywał mu demonstracyjną wdzięczność za zainteresowanie. Gaetano uśmiechnął się i pomachał mu, kiedy wstawał z krzesła.

Z początku szedł normalnym krokiem wzdłuż balkonu, aby nie sprawiać wrażenia, że się spieszy. Ale gdy tylko znalazł się wystarczająco daleko od muzyków, zwiększył tempo marszu, jednocześnie przytrzymując dłonią spluwę w kieszeni spodni, by nie obijała mu się o nogę. W dole, na dziedzińcu, profesor i dziewczyna zniknęli już w centrum odnowy biologicznej, które zajmowało parter wschodniego skrzydła budynku.

Gaetano dotarł na drugi koniec balkonu i zwolnił z poślizgiem u szczytu schodów. Zbiegł w dół, wciąż ściskając spluwę poprzez materiał spodni. Gdy dotarł do centrum odnowy biologicznej, przystanął, pospiesznie doprowadził się do ładu, upewnił się, że nie obserwuje go nikt z obecnych w restauracji, po czym otworzył wolno drzwi. Nie miał pojęcia, czego ma się spodziewać. Gdyby ujrzał, że profesor i dziewczyna zapisują się na jakiś zabieg, wycofałby się po prostu i przemyślał dalszy tok postępowania. Ale centrum odnowy biologicznej było zamknięte na noc, czego dowodziła tabliczka na pustej ladzie recepcji, oświetlonej samotną świeczką wotywną. Nagle Gaetano przypomniał sobie, że przechodził już tędy podczas swej pierwszej wizyty, gdy szukał hotelowego basenu. Domyślił się, że właśnie on jest celem profesora i dziewczyny, przebiegł przez pustą salę i wypadł przeciwnymi drzwiami.

Znalazł się teraz w części terenów hotelowych zajętej przez osobne bungalowy. Plamy bladego światła znaczyły wejście do każdego domku, ale poza tym pod koronami palm panował mrok. Gaetano szedł zwawym krokiem, pamiętając trasę. Był zadowolony. Przepuszczał, że basen i pobliski snack bar będą również zamknięte i opustoszałe, dzięki

czemu będzie mógł swobodnie wybrać odpowiednie miejsce na zrobienie tego, co miał do zrobienia.

Pokonawszy ostry zakręt na ścieżce, dostrzegł w przelocie profesora i siostrę Tony'ego, nim znów zniknęli mu z oczu, schodząc po krótkich schodach za barokową wapienną balustradą. Gaetano ponownie przyspieszył kroku. Dotarł do balustrady i wyjrzał przez nią na teren basenu. Jak się spodziewał, pływalnia została już zamknięta na noc, a budynki dookoła spowijał mrok. Sam basen, oświetlony podwodnymi lampami, wyglądał jak olbrzymi, płaski szmaragd.

– Nie wierzę w to! – szepnął do siebie Gaetano. – Lepiej być nie mogło! – Ogarnęło go podniecenie. Daniel i Stephanie okrążyli basen i kierowali się teraz w głąb rozległego, mrocznego i opustoszałego ogrodu francuskiego. W ciemnościach Gaetano nie był w stanie dostrzec nic prócz paru odosobnionych cieni posągów i żywopłotów. Ale widział zupełnie wyraźnie średniowieczny krużganek, który lśnił w odległym świetle księżyca niczym korona wieńcząca ciąg wznoszących się, pogrążonych w mroku tarasów ogrodu.

Dłoń Gaetana wsunęła się do lewej kieszeni spodni i zacisnęła się na rękojeści automatu. Zadrzał, czując chłód stali, i oczyma wyobraźni widział już czerwoną plamkę lasera na czole profesora na chwilę przed naciśnięciem spustu.

## **Rozdział dwudziesty pierwszy**

### **21.37, poniedziałek, 11 marca 2002**

– Skądś znam tę rzeźbę – powiedział Daniel. – Nie wiesz, czy ona jest sławna?

Daniel i Stephanie stali na wypielegnowanym skrawku trawy, spoglądając na półleżącą nagą postać z białego marmuru, która zdawała się lśnić w wilgotnym, mglistym półmroku wzorowanego na Wersalu ogrodu Ocean Club. Srebrzystobłękitne światło omywało regularny pejzaż, kontrastując ostro z głęboko fioletowymi cieniami.

– Myślę, że to kopia Canovy – odparła Stephanie. – Więc tak, jest dosyć sławna. Jeśli się nie mylę, oryginał znajduje się w Museo Borghese w Rzymie.

Daniel rzucił jej pełne podziwu spojrzenie, którego nie zauważyła. Wodziła dłonią po udzie kobiety.

– Zdumiewające, jak bardzo marmur przypomina skórę w blasku księżyca – rzuciła.

– Skąd, na Boga, wiedziałas, że to jest kopia Canovy, cokolwiek to, u diabła, oznacza?

– Antonio Canova to słynny osiemnastowieczny włoski rzeźbiarz.

– Jestem pod wrażeniem – stwierdził zaskoczony Daniel, wciąż z tym samym podziwem.

– Skąd znasz takie tajemne fakty? Czy może nabierasz mnie, bo przeczytałaś o ogrodzie w prospekcie hotelowym?

– Nie czytałam prospektu, ale widziałam, że ty to robiłeś. Może sam powinieneś zabawić się w przewodnika.

– Nie ma szans! Przeczytałem uważnie tylko fragment o krużganku na wzgórzu. Poważnie, skąd wiesz o Canovie?

– Na studiach wybrałam jako przedmiot dodatkowy historię – wyjaśniła Stephanie. – Obejmowało to przeglądowy kurs historii sztuki, z którego pamiętam więcej niż z większości innych zajęć.

– Zdumiewasz mnie czasami – przyznał Daniel. Za jej przykładem wyciągnął rękę i dotknął marmurowej poduszki, na której opierała się kobieta. – To niesamowite, jak ci ludzie potrafili nadać marmurowi miękkość. Spójrz, jak jej ciało ugina materiał.

– Daniel! – szepnęła nagle Stephanie.

Daniel wyprostował się i usiłował odczytać w ciemności wyraz jej twarzy. Spoglądała w stronę basenu. Podążył oczyma za jej wzrokiem, ale nie dostrzegł nic niezwykłego w mrocznym pejzażu, skąpanym w blasku księżyca.

– O co chodzi? Widziałaś coś?

– Tak – odparła Stephanie. – Widziałam kątem oka jakiś ruch. Chyba ktoś jest za balustradą.

– No to co? Przecież to piękne miejsce, nic dziwnego, że kręcą się tu ludzie. Nie możemy oczekiwać, że będziemy mieć ten ogromny ogród tylko dla siebie.

– Racja – przyznała Stephanie. – Ale zdawało mi się, że ten ktoś, kogo widziałam, schował się, gdy tylko odwróciłam głowę. Wyglądało to tak, jak gdyby nie chciał, byśmy go zauważyli.

– Co sugerujesz? – zapytał Daniel z pogardliwym prychnięciem. – Ktoś nas szpieguje?

– Tak, coś w tym rodzaju.

– Och, przestań, Stephanie! Nie mówiłem poważnie.

– Ale ja mówię poważnie. Naprawdę zdaje mi się, że kogoś widziałam. – Wspięła się na palce i wyteżyła wzrok w ciemnościach. – A tam jest ktoś jeszcze! – wykrzyknęła nerwowo.

– Gdzie? Nie widzę nikogo.

– Przy basenie. Ktoś właśnie wycofał się ze światła w cieniu baru.

Daniel chwycił ją za ramiona i obrócił, aby spojrzeć jej w oczy. Opierała się z początku.

– Hej! – rzucił Daniel. – Daj spokój! Przyszliśmy tu, żeby się zrelaksować. Oboje mieliśmy koszmarny dzień, a szczególnie ty.

– Może powinniśmy zawrócić i pospacerować po plaży, gdzie zawsze są ludzie. Ten ogród wydaje się zbyt duży, zbyt ciemny i zbyt odludny jak na moje obecne upodobania.

– Idziemy na górę do krużganka – oświadczył stanowczo Daniel, wskazując szczyt wzgórza. – Oboje byliśmy nim zaintrygowani, a poza tym, jak już mówiłem, to dla nas bardzo stosowna chwila na wizytę. Musimy chociaż na chwilę uciec od zamętu, w jakim teraz żyjemy. A noc jest najlepszą porą na zwiedzanie ruin. Więc weź się w garść i chodźmy!

– A jeśli naprawdę widziałam kogoś chowającego się za balustradą? – Stephanie znów zaczęła wyciągać szyję, aby dostrzec coś przez pędy bugenwilli.

– Chcesz, żebym pobiegł tam i sprawdził? Jeśli tak, z przyjemnością to zrobię, żeby cię uspokoić. Twoja paranoja jest uzasadniona, ale mimo wszystko to paranoja. Jesteśmy w kompleksie hotelowym, na Boga. Cały ten teren jest strzeżony, pamiętasz?

– Chyba tak – przyznała niechętnie Stephanie. Przez myśl przemknął jej obraz Kurta Hermanna, łypiącego na nią pożądliwym wzrokiem. Miała mnóstwo powodów, by się denerwować.

– Więc co, chcesz, żebym tam podbiegł?

– Nie, zostań.

– No to weź się w garść! Chodźmy do tego krużganka. – Daniel wziął ją za rękę i pociągnął z powrotem ku centralnej promenadzie, która licznymi tarasami i z rzadka rozmieszczonymi ciągami schodów wspinała się na szczyt wzgórza, gdzie wznosił się krużganek. W przeciwieństwie do pogrążonego w mroku ogrodu oświetlony był umieszczonymi na poziomie ziemi reflektorami, które podkreślały rysunek jego gotyckich arkad i sprawiały, że z daleka wyglądał jak klejnot.

Wchodząc na poszczególne poziomy i okrążając stojące na środku fontanny lub rzeźby, dostrzegali dalsze posągi ukryte w ocienionych altanach na obu końcach tarasu. Niektóre z nich były marmurowe, inne z kamienia lub brązu. Choć kusilo ich, by je obejrzeć, woleli nie zbaczać już z drogi.

– Nie miałam pojęcia, że tu jest tyle dzieł sztuki – zauważyła Stephanie.

– To była prywatna posiadłość, zanim urządzono tu hotel – wyjaśnił Daniel. – Tak przynajmniej wyczytałem w prospekcie.

– Co tam napisali o krużganku?

– Pamiętam tylko tyle, że jest francuski i że został zbudowany w dwunastym wieku.

Stephanie zagwizdała ze zdumienia.

– Bardzo niewiele tego typu budowli w ogóle opuściło Francję. Prawdę mówiąc, wiem tylko o jednej, i to o wiele młodszej.

Pokonali ostatni ciąg schodów, a gdy dotarli na szczyt, spostrzegli, że ich szlak przecina asfaltowa droga publiczna, oddzielająca krużganek od ogrodu. Z dołu w żaden sposób nie dało się jej dostrzec, chyba że przejeżdżałby nią jakiś pojazd, a czegoś takiego dotąd nie widzieli.

– Ot, niespodzianka – rzekł Daniel i rozejrzał się na obie strony. Droga biegła wzdłuż osi wyspy ze wschodu na zachód.

– Myślę, że taka jest cena postępu – stwierdziła Stephanie. – Założę się, że to dojazd na pole golfowe.

Przeszli przez jezdnię, której asfaltowa nawierzchnia nadal promieniowała żarem dnia, i po pokonaniu paru dalszych stopni dotarli na zdominowany przez krużganek szczyt wzgórza. Sędziwa budowla była po prostu kwadratowym, pozbawionym dachu, podwójnym rzędem gotyckich arkad. Wewnętrzny rząd zdobiły skromne maswerki w postaci pojedynczego zawijasa wewnątrz każdego łuku.

Daniel i Stephanie podeszli do budowli. Musieli uważnie stawiać kroki, gdyż w przeciwieństwie do leżącego niżej ogrodu teren wokół krużganka był nierówny i zaśmiecony gruzem oraz okruchami muszli.

– Odnoszę wrażenie, że to jedna z tych rzeczy, które wyglądają lepiej z daleka niż z bliska – zauważyła Stephanie.

– Między innymi dlatego ruiny lepiej jest oglądać w nocy.

Dotarli do budynku i ostrożnie weszli w korytarz biegnący między dwoma rzędami

kolumn. Ich oczy, przyzwyczajone do ciemności, zmrużyły się w dochodzącym z zewnątrz oślepiającym blasku reflektorów.

– Ta część była niegdyś nakryta dachem – powiedziała Stephanie.

Daniel uniósł wzrok i skinął głową.

Omijając ścielący się pod nogami gruz, podeszli do wewnętrznej balustrady. Oparli się o wiekową poręcz z wapienia i spojrzeli na centralny dziedziniec. Był to kwadrat o boku około piętnastu metrów, pokryty płaskimi stertami odłamków kamienia i muszli. Wypełniały go skomplikowane układy cieni rzucanych przez podświetlane od zewnątrz łuki.

– To smutne – odezwała się Stephanie. Pokręciła głową. – Kiedy było tu centrum funkcjonującego klasztoru, na tym dziedzińcu musiała być studnia, może nawet fontanna, i ogród.

Daniel wodził wzrokiem po zamkniętym arkadami placyku.

– Dla mnie smutne jest to, że po przetrwaniu prawie tysiąca lat we Francji budowla zniszczyła tu w szybkim tempie, wystawiona na tropikalne słońce i morskie powietrze – oznajmił. – Odsunęli się od balustrady i spojrzeli po sobie. – To dość przygnębiające – dodał. – Chodźmy przejść się po plaży, tak jak chciałaś!

– Świetny pomysł – odparła Stephanie. – Ale najpierw dajmy tej budowli szansę i okażmy jej odrobinę szacunku. Obejdźmy ją przynajmniej raz dookoła.

Trzymając się za ręce, pomagali sobie nawzajem omijać przeszkody na ziemi. W oślepiającym blasku zewnętrznych reflektorów trudno było dostrzec drobny gruz. Po stronie przeciwnej do hotelu przystanęli na chwilę, by podziwiać widok na port w Nassau. Tu także przeszkadzały im reflektory, więc wkrótce ruszyli dalej.

Gaetano był zachwycony. Nie byłby w stanie zaplanować tego lepiej. Profesor i siostra Tony’ego stali w kwadracie światła, które skrywało go przed ich wzrokiem, gdy zbliżał się do nich na odległość strzału. Mógł to zrobić jeszcze w ciemnościach ogrodu, ale trafnie odgadł cel ich wspinaczki i wiedział, że tu właśnie będzie znakomite miejsce.

Zdecydował, że siostra Tony’ego powinna mieć pełną świadomość, kto zadał cios, by nie zdawało jej się, że profesor padł ofiarą przypadkowego aktu przemocy. Gaetano uznał to za ważne, bo właśnie ona miała przejąć firmę. Pomyślał, że powinna wiedzieć bez cienia wątpliwości, co sądzą bracia Castigliano na temat swej pożyczki i sposobu, w jaki zarządzana jest firma.

W tej chwili para znajdowała się po przeciwnej stronie dziedzińca, wolnym krokiem okrążając budowlę. Gaetano przycałił się na skraju plamy światła w zachodnim skrzydle krużganka. Postanowił, że zaczeka, dopóki nie zbliżą się na pięć metrów od niego, a potem wyskoczy z cienia, by zagrozić im drogę.

Serce zaczęło walić mu jak młotem, gdy śledził wzrokiem, jak Daniel i Stephanie mijają ostatni narożnik i kierują się w jego stronę. Z narastającym podnieceniem wyciągnął splot z

prowizorycznej kabury i upewnił się, że kula jest w komorze. Uniósł ją przy głowie i przygotował się na to, co uwielbiał najbardziej: akcję!

– Nie sędzę, żeby warto było znów podejmować ten temat – oświadczyła Stephanie. – Nie teraz, a może w ogóle już nigdy.

– Przeprosiłem za to, co powiedziałem w restauracji. Teraz mówię tylko, że wolałbym raczej być obmacany niż pobity. Nie twierdzę, że obmacywanie nie jest przykre. Po prostu jest łatwiejsze do zniesienia niż pobicie i doznanie fizycznych obrażeń.

– Co to ma być, licytacja? – prychnęła drwiąco Stephanie. – Nie odpowiadaj! Nie chcę już więcej o tym rozmawiać.

Daniel zamierzał jeszcze coś powiedzieć, gdy nagle wydał stłumiony okrzyk, stanął jak wryty i ścisnął kurczowo jej dłoń. Stephanie patrzyła pod nogi, aby ominąć wielki kamień, kiedy niespodziewana reakcja Daniela kazała jej unieść wzrok. Gdy to zrobiła, przerażenie odebrało jej głos.

Zwalista postać zagroziła im drogę, ściskając w wyciągniętej ręce wycelowany w nich pistolet. Daniel wcześniej niż Stephanie spostrzegł czerwoną kropkę tuż pod lufą broni.

Oboje stali, sparaliżowani strachem, gdy mężczyzna ruszył ku nim wolnym krokiem. Na jego szerokiej twarzy o płaskich rysach, którą Daniel rozpoznał ze zgrozą, malował się szyderyczy grymas. Gaetano zbliżył się na dwa metry do oniemiałej, zastygłej w bezruchu pary. Teraz nie było już cienia wątpliwości, że broń jest wymierzona prosto w czoło Daniela.

– Zmusiłeś mnie do powrotu, dupku – warknął Gaetano. – Kiepska decyzja! Bracia Castigliano są bardzo rozczarowani, że nie wróciłeś do Bostonu, by zatroszczyć się o los ich pożyczki. Zdawało mi się, że dotarła do ciebie moja wiadomość, ale najwyraźniej tak się nie stało i przez ciebie wyszedłem na oferwę. Więc do widzenia.

Wilgotną ciszę nocy rozdarł huk wystrzału. Ramię Gaetana opadło w bok. Daniel zatoczył się do tyłu, pociągając za sobą Stephanie, która wrzasnęła, gdy ciało Gaetana runęło ciężko twarzą w dół, z rozrzuconymi na boki rękoma. Nastąpiło kilka drgawek, po czym wszystko znieruchomiało. Z wielkiej rany wylotowej na tyle czaszki sączyła się krew i tkanka mózgowa.



## **Rozdział dwudziesty drugi**

### **21.48, poniedziałek, 11 marca 2002**

Przez kilka chwil Daniel i Stephanie stali bez ruchu i wpatrywali się w leżące plackiem ciało u ich stóp. Wreszcie oderwali od niego wzrok i spojrzeli po sobie. Otepiali ze zgrozy, nie oddychali nawet, licząc na próżno, że to drugie wyjaśni zdarzenie, którego właśnie byli świadkami. Ich twarze, z otwartymi ustami, odzwierciedlały mieszaninę strachu, zgrozy i konsternacji, wkrótce jednak strach wziął górę. Bez słowa, nie wiedząc nawet, kto kogo prowadzi, rzucili się do ucieczki. Przeszli w pośpiechu przez niski murek po lewej stronie i pospieżyli w stronę hotelu.

Z początku do pewnego stopnia kontrolowali swoje poczynania dzięki oświetleniu, jakie zapewniały skierowane na krużganek reflektory. Lecz gdy tylko wydostali się poza ich zasięg, wpadli w kłopoty. Ze wzrokiem przyzwyczajonym do światła byli jak ślepcy pędzący przez nierówny, wypełniony przeszkodami teren. Daniel jako pierwszy potknął się o mały krzak i upadł. Stephanie pomogła mu podnieść się na nogi, chwilę później jednak upadła sama. Oboje doznali lekkich zadrapań, których nawet nie poczuli.

Siłą woli zmusili się do zwolnienia kroku, by uniknąć dalszych upadków, mimo że przerażone mózgi ponaglały ich do biegu. Po paru minutach dotarli do schodków prowadzących do drogi. Do tej pory ich oczy zaczęły rozróżniać szczegóły w świetle księżyca. Widzieli już teren, mogli więc zwiększyć tempo marszu.

– Którędy teraz? – zapytała zdyszczym szeptem Stephanie, gdy stanęli na asfalcie.

– Trzymajmy się trasy, którą znamy – odparł szybko Daniel.

Złapali się za ręce, przebiegli przez drogę i zeszli po pierwszym z licznych ciągów ogrodowych schodów o kamiennych, ręcznie układanych stopniach, tak szybko jak tylko pozwalały im na to ich wsuwane wizytowe buty. Nierówność stopni również utrudniała ucieczkę, choć na przedzielających je trawnikach pędzili pełną parą. Im bardziej oddalali się od krużganek, tym gęstszy stawał się mrok, ale ich oczy przywykały stopniowo do ciemności, a księżyc świecił na tyle jasno, by uchronić ich przed zderzeniem się z którąś z rzeźb.

Po trzecim ciągu schodów zwolnili wyczerpani do truchtu. Daniel był bardziej zdyszany niż Stephanie i gdy dostali się wreszcie w krąg światła pochodzącego z basenu, co dało im poczucie względnego bezpieczeństwa, musiał przystanąć. Pochylił się naprzód, oparł dłonie na kolanach i hałaśliwie sapał. Przez chwilę nie mógł nawet mówić.

Stephanie, również ciężko dysząc, z wahaniem obejrzała się za siebie. Rozbudzona wstrząsającym przeżyciem wyobraźnia podsuwała jej obraz ścigających ich wszelkiej maści demonów, lecz skąpany w blasku księżyca ogród był równie idylliczny i pusty jak poprzednio. Nieco uspokojona Stephanie odwróciła się znów do Daniela.

– Dobrze się czujesz? – wysapała.

Daniel skinął głową. Wciąż nie był w stanie wydobyć z siebie głosu.

– Wracajmy do hotelu – dodała.

Ponownie skinął głową. Wyprostował się, rzucił okiem na drogę, którą przyszli, i ujął jej wyciągniętą dłoń.

Pozwalając sobie na zwolnienie tempa, spacerowym krokiem okrążyli basen i zaczęli się wspinać po wapiennych schodach prowadzących do barokowej balustrady.

– Czy to był ten sam mężczyzna, który napadł na ciebie w sklepie? – zapytała Stephanie. Nadal ciężko dyszała.

– Tak! – wydusił z siebie Daniel.

Minęli bungalowy i weszli do pogrążonej w półmroku, opustoszałej recepcji centrum odnowy biologicznej, która służyła także jako łącznik pomiędzy hotelem a pływalnią. Po wstrząsającej masakrze, jakiej byli świadkami w zrujnowanym krużganku, i po zgrozie, jaką w nich wzbudziła, prosty, azjatycki wystrój, czystość i całkowity spokój tego miejsca sprawiały wrażenie czegoś nie z tego świata, jakby halucynacji. Gdy dotarli do restauracji Na Dziedzińcu, z jej tłumem gości w eleganckich strojach, wykonywaną na żywo muzyką i ubranymi w smokingi kelnerami, poczuli się jeszcze bardziej obco. Nie odzywając się do nikogo ani do siebie nawzajem, przeszli do hotelowej części budynku.

W wysoko sklepionej recepcji Stephanie zatrzymała Daniela. Po prawej stronie mieli salon, w którym liczni goście prowadzili ciche rozmowy, przerywane stłumionym śmiechem. Na lewo znajdował się otwarty przedsionek, prowadzący do głównego wejścia hotelu. Odźwierni w liberiach stali w gotowości. Na wprost widniały stanowiska recepcji, z których tylko jedno było zajęte. Wiatraki obracały się leniwie pod sufitem.

– Z kim powinniśmy porozmawiać? – zapytała Stephanie.

– Nie wiem. Daj mi pomyśleć!

– Może z kierownikiem nocnej zmiany?

Zanim Daniel zdążył odpowiedzieć, zbliżył się jeden z odźwiernych.

– Przepraszam – zwrócił się do Stephanie. – Czy wszystko w porządku?

– Chyba tak – odparła Stephanie.

– Wie pani, że ma pani krew na lewej nodze?

Stephanie zerknęła w dół i dopiero teraz uświadomiła sobie, w jak oplakanym jest stanie. Kiedy upadła w ciemnościach, wybrudziła i rozdarła sukienkę. Jej pończochy wyglądały jeszcze gorzej, zwłaszcza pod lewym kolaniem, gdzie widniała potężna dziura. Oczka biegly aż do kostki, wraz ze spływającym z kolana strumyczkiem krwi. Potem Stephanie spostrzegła, że także na prawej dłoni ma zdartą skórę, z przyklepionymi dookoła drobnymi okruchami muszli.

Daniel również ucierpiał. Jego spodnie były rozdarte i zakrwawione pod prawym kolaniem, a marynarka, upstrzona odłamkami muszli, niemal straciła prawą kieszeń.

– To nic – zapewniła Stephanie odźwiernego. – Nawet nie zauważyłam tego zadrapania. Przewróciliśmy się przy basenie.

– Mamy na zewnątrz wózek akumulatorowy – powiedział odźwierny. – Podwieźć państwa do pokoju?

– Myślę, że sobie poradzimy – odparł Daniel. – Ale dziękujemy za troskę. – Ujął Stephanie za ramię i pociągnął ją w stronę drzwi wychodzących na ścieżkę do ich pokoju.

Stephanie początkowo pozwoliła się prowadzić, ale tuż przed drzwiami oswobodziła rękę.

– Zaczekaj chwilę! Przecież mieliśmy z kimś porozmawiać!

– Ciszej! Chodź! Wracajmy do pokoju i doprowadźmy się do porządku. Tam możemy porozmawiać.

Zbita z tropu jego zachowaniem Stephanie pozwoliła wyprowadzić się na ścieżkę, ale po kilku krokach zatrzymała się. Ponownie wyrwała ramię z uścisku Daniela i pokręciła głową.

– Nie rozumiem. Widzieliśmy, jak postrzelono człowieka. On jest ciężko ranny. Trzeba wezwać karetkę i policję.

– Mów ciszej! – skarcił ją Daniel. Rozejrzał się dookoła. Na szczęście w zasięgu słuchu nie było nikogo. – Ten zbir nie żyje. Widziałas jego rozwaloną czaszkę. Ludzie nie zdrowieją po takim urazie.

– Tym bardziej trzeba wezwać policję. Na miłość boską, byliśmy świadkami morderstwa, które popełniono tuż przed naszym nosem.

– To prawda, ale prawdą jest też, że nie widzieliśmy, kto to zrobił, ani nie mamy zielonego pojęcia, kto mógł to zrobić. Rozległ się strzał i gość upadł. Nie widzieliśmy nic więcej poza tym, że ofiara upadła: żadnych ludzi i żadnych samochodów! Możemy potwierdzić jedynie fakt, że facet został zastrzelony, a to policja spostrzeże z pewnością bez naszej pomocy.

– Mimo wszystko byliśmy świadkami morderstwa.

– Ale nie mogliśmy dodać nic więcej. W tym cała rzecz. Zastanów się nad tym!

– Zaczekaj! – powiedziała Stephanie, usiłując zebrać skłębione myśli. – Może i masz rację, ale o ile wiem, przestępstwem jest nie zgłosić, że było się świadkiem przestępstwa, a nie ulega wątpliwości, że widzieliśmy przestępstwo.

– Wcale nie jestem pewien, czy to jest przestępstwem na Bahamach. Ale nawet jeśli tak jest, myślę, że musimy zaryzykować i popełnić je, bo w tej chwili nie chcę, żebyśmy mieli na karku policję. Poza tym nie mam nawet odrobiny współczucia dla ofiary, a przypuszczam, że i ty także. Na Boga, ten facet nie tylko mnie pobił, ale i chciał mnie zabić, a ciebie być może też. Obawiam się, że jeśli pójdziemy na policję i zostaniemy wplątani w śledztwo w sprawie morderstwa, którego i tak nie będziemy w stanie w żaden sposób wspomóc, stworzymy zagrożenie dla kuracji Butlera, a jesteśmy już tak blisko sukcesu. Krótko mówiąc, ryzykowalibyśmy wszystko w zamian za nic. Do tego się to sprowadza.

Stephanie pokiwała kilkakrotnie głową. Nerwowo przeciągnęła dłonią po włosach.

– Chyba rozumiem, o co ci chodzi – przyznała z niechęcią. – Ale pozwól, że zadam ci jedno pytanie. Kiedy zostałeś pobity, stwierdziłeś, że mój brat maczał w tym palce. Myślisz, że miał coś wspólnego i z tym napadem?

– Twój brat musiał być zamieszany w poprzedni incydent. Ale tym razem mam wątpliwości, bo ten zbir nie przejmował się twoją obecnością, jak przy poprzedniej okazji. Z drugiej strony kto to może wiedzieć na pewno?

Stephanie odwróciła wzrok. Była wzburzona i zdezorientowana. Znowu nie wiedziała, co ma robić, dręczona głębokim poczuciem winy. Ostatecznie czuła się odpowiedzialna za wciągnięcie do interesów swojego brata, który z kolei wciągnął braci Castigliano, niewątpliwych gangsterów, jak się teraz okazało.

– Dalej! – ponaglił ją Daniel. – Chodźmy do pokoju i umyjmy się. Możemy o tym jeszcze porozmawiać, jeżeli chcesz, ale musisz wiedzieć, że podjąłem już decyzję.

Stephanie pozwoliła poprowadzić się ścieżką do ich apartamentu. Szła jak otepiała. Choć bynajmniej nie uważała się za świętą, nigdy dotąd świadomie nie złamała prawa. Dziwnie było myśleć o sobie jako o swego rodzaju złoźyńcy, winnym zatajenia ciężkiego przestępstwa. Równie dziwna była myśl, że jej brat miał powiązania z ludźmi zdolnymi do morderstwa, tym bardziej że taki związek nadawał nowe znaczenie postawionemu mu zarzutowi wymuszania okupu. Do wzburzenia Stephanie dołożyły się fizjologiczne skutki ujrzenia aktu przemocy. Czuła, że cała drży, a jej żołądek przewraca koziółki. Nigdy dotąd nie widziała martwego człowieka, a już na pewno nie zabitego na jej oczach w tak drastyczny sposób.

Wzdrygnęła się, ogarnięta falą mdłości. Potworny obraz na całe życie wrył się w jej pamięć. Wolałaby być wszędzie, tylko nie tutaj. Odkąd tylko Daniel zaproponował potajemne leczenie Butlera, była zdania, że jest to zły pomysł, ale nawet w najczarniejszych wizjach nie przypuszczała, że sprawy mogą przybrać aż tak fatalny obrót. A jednak tkwiła w tym wszystkim niczym w ruchomych piaskach i zapadała się coraz głębiej, niezdolna się wydostać.

Daniel z każdą chwilą coraz bardziej upewniał się co do swej decyzji. Z początku miał pewne wątpliwości, ale rozwiały się one, gdy przypomniał sobie złowróżbne proroctwo

profesora Heinricha Wortheima. Już na starcie postanowił, że nie odniesie porażki, a żeby uniknąć porażki, musiał wyleczyć Butlera, co oznaczało, że nie mógł pozwolić sobie na kontakt z policją. Ponieważ on i Stephanie byłiby jedynymi osobami mogącymi dostarczyć jakichkolwiek informacji o morderstwie, jeśli nie wręcz podejrzanymi, nawet najbardziej pobieżne dochodzenie nieuchronnie zahaczyłoby o przyczyny ich pobytu w Nassau. Wówczas Butler musiałby zostać powiadomiony o sytuacji, gdyż jego związek z nimi najprawdopodobniej wyszedłby na jaw w toku śledztwa, co rozpętałoby burzę w mediach. Przy takich perspektywach Daniel wątpił, czy Butler w ogóle by tu przyjechał.

Gdy dotarli do apartamentu, Daniel otworzył drzwi. Stephanie weszła pierwsza i zapaliła światła. Po wizycie sprzątaczek pokój był wzorem spokoju. Zasłony były zasunięte, z radia przy łóżku sączyła się muzyka klasyczna, a na poduszkach świeżo zasłanych łóżek leżały cukierki. Daniel zamknął drzwi na wszystkie zamki.

Stephanie podciągnęła sukienkę, by obejrzeć kolano. Z ulgą stwierdziła, że skaleczenie nie jest tak poważne, jak wskazywała na to ilość krwi, która teraz spływała jej aż do buta.

Daniel, spuścił spodnie i przyjrzał się własnym obrażeniom. Podobnie jak Stephanie, miał pod kolanem otarcie średnicy piłeczki golfowej. U obojga w ranach tkwiło nieco odłamków muszli, które, jak wiedzieli, wymagały usunięcia, by nie wdała się infekcja.

– Jestem strasznie roztrzęsiony – przyznał Daniel. Zdjął spodnie i wyciągnął przed siebie rękę. Drżała niczym w napadzie dreszczy. – To pewnie przyływ adrenaliny. Napuśćmy wody do wanny, a póki co otwórzmy butelkę wina. Trzeba namoczyć te zadrapania, a połączenie wina i kąpieli powinno nas oboje uspokoić.

– Dobrze – zgodziła się Stephanie. Kąpiel mogłaby pomóc jej zebrać myśli. – Ja napełnię wannę. Ty zajmij się winem! – Nasypała soli kąpielowej do wanny i odkręciła na cały regulator kurek z gorącą wodą. Łazienka szybko wypełniła się parą. Już po paru minutach aromat i kojący szum wody podziałały na nią uspokajająco. Gdy ubrana w hotelowy szlafrok wynurzyła się z łazienki, by powiedzieć Danielowi, że kąpiel jest gotowa, czuła się już zdecydowanie lepiej. Daniel siedział na kanapie z otwartą książką telefoniczną na kolanach. Na stoliku stały dwa kieliszki z czerwonym winem. Stephanie podniosła jeden z nich i upiła łyk.

– Wpadłem na jeszcze jeden pomysł – powiedział Daniel. – Wygląda na to, że twoje rozmowy z matką nie zrobiły na tych Castigliano takiego wrażenia, na jakie liczyłem.

– Nie wiadomo, czy mój brat powiedział im to, co chcieliśmy.

– Nieważne. – Daniel machnął dłonią. – I tak przysłali tu tego zbira, żeby załatwił mnie, a może i ciebie. To nieszczęśliwi ludzie, łagodnie mówiąc. Nie wiemy, ile czasu minie, nim zorientują się, że ich pacholek już nie wróci. Nie wiemy też, jak zareagują, kiedy się tego dowiedzą. Na pewno pomyślą, że to my go zabiliśmy.

– Co sugerujesz?

– Skorzystamy z pieniędzy Butlera i wynajmiemy całodobowego uzbrojonego

ochroniarza. Jeśli o mnie chodzi, uważam, że to uzasadniony wydatek, poza tym to tylko półtora, góra dwa tygodnie.

Stephanie westchnęła z rezygnacją.

– Znalazłeś jakieś propozycje w książce telefonicznej?

– Tak, dość sporo. Co o tym myślisz?

– Nie wiem, co myśleć – przyznała Stephanie.

– Ja myślę, że potrzebujemy profesjonalnej ochrony.

– W porządku, skoro tak uważasz – zgodziła się Stephanie. – Ale być może lepiej by było, gdybyśmy sami od tej pory stali się ostrożniejsi. Koniec ze spacerami w ciemnościach. Co nam strzeliło do głowy?

– Z perspektywy czasu to była głupota, zważywszy, że mnie pobito i ostrzeżono.

– Co z kąpielą? Chcesz iść pierwszy do wanny? Wszystko jest gotowe.

– Nie, ty idź pierwsza. Ja zadzwonię do paru agencji. Im szybciej będziemy kogoś mieli, tym będę spokojniejszy.

Dziesięć minut później Daniel wszedł do łazienki i usiadł na skraju wanny. Nadal popijał wino. Stephanie leżała zanurzona po szyję w pianie, a jej kieliszek był pusty.

– Lepiej się już czujesz? – zapytał.

– Zdecydowanie. Jak poszły rozmowy?

– Dobrze. Za pół godziny ktoś ma przyjść na wstępną rozmowę. Firma nazywa się First Security. Poleca ją nasz hotel.

– Zastanawiałam się, kto mógł zastrzelić tego typu. Nie powiedzieliśmy tego głośno, ale ten człowiek ocalił nam życie. – Stephanie wstała, owinęła się w ręcznik i wyszła z wanny. – To musiał być cholernie dobry strzelec. I jak to się stało, że był tam akurat wtedy, gdy go potrzebowaliśmy? Pojawił się jak ojciec Maloney na lotnisku w Turynie, tyle że w dziesięć razy bardziej krytycznej chwili.

– Masz jakieś pomysły?

– Tylko jeden, ale mało wiarygodny.

– Słucham. – Daniel sprawdził wodę i zaczął dolewać gorącej.

– Butler. Może kazał FBI mieć nas na oku dla naszego bezpieczeństwa.

Daniel parsknął śmiechem, wchodząc do wanny.

– To byłaby ironia losu.

– Masz jakiś lepszy pomysł?

– Żadnego – przyznał Daniel. – Chyba że miało to coś wspólnego z twoim bratem. Może wysłał tu kogoś, żeby nad tobą czuwał.

Teraz z kolei Stephanie roześmiała się mimo woli.

– To jeszcze mniej wiarygodne niż mój pomysł!

Jako nocny stróż Kliniki Wingate'a Bruno Debianco był przyzwyczajony do telefonów od

swego szefa, Kurta Hermanna. Ten człowiek żył tylko swoją pracą, a ponieważ mieszkał na terenie kliniki, był zawsze na miejscu i zadreślał Brunona najróżniejszymi prośbami i poleceniami. Niektóre z nich były nieoczekiwane i bzdurne, ale dzisiejsza pobiła wszelkie rekordy. Nieco po dziesiątej Kurt zadzwonił z komórki i oświadczył, że Bruno ma pojechać jedną z czarnych furgonetek kliniki na Paradise Island. Miejscem przeznaczenia miał być krużganek Huntingtona Hartforda. Bruno miał zatrzymać się tylko wtedy, gdy droga będzie pusta, i wyłączyć reflektory, nim zacznie zwalniać. Następnie miał przejść pieszo do krużganka, unikając jednak wchodzenia w światło. Tam Kurt wyjdzie mu na spotkanie.

Bruno zaczekał, aż światła zmieniają się na zielone, po czym dodał gazu i wjechał na most prowadzący na Paradise Island. Nigdy dotąd nie musiał opuszczać w tajnej misji terenu kliniki, a szczególnie intrygowało go polecenie, by zabrał worek na zwłoki. Próbował odgadnąć, co mogło się stać, ale przyszedł mu na myśl jedynie problem podobny do tego, w jaki Kurt wpakował się na Okinawie. Bruno służył z Kurtem w oddziałach specjalnych i wiedział, że darzy on dziwki miłością połączoną z nienawiścią. Była to obsesja, która na japońskiej wyspie przerodziła się nagle w prywatną wojnę. Bruno nigdy nie zrozumiał tego do końca i miał nadzieję, że nie dojdzie teraz do powtórki tego problemu. Obaj z Kurtem żyli w zgodzie ze Spencerem Wingate'em i Paulem Saundersem i nie chciał, żeby to się popsulo. Jeśli Kurt znów podjął dawną krucjatę, mogło być kiepsko.

Na głównej drodze, przecinającej Paradise Island ze wschodu na zachód, panował umiarkowany ruch, który jednak się zmniejszył, kiedy Bruno minął centrum handlowe. Gdy zostawił za sobą pierwsze hotele, zrobiło się jeszcze luźniej, a od zjazdu do Ocean Club droga opustoszała zupełnie. Zgodnie z otrzymanym poleceniem w pobliżu Bruno wyłączył światła. Blask księżyca i biały pas na środku drogi pozwalały mu bez problemów prowadzić w ciemnościach.

Gdy minął ostatnią kępę drzew, z prawej strony wyłonił się podświetlony krużganek. Bruno zjechał na pobocze po drugiej stronie jezdni i zatrzymał samochód. Wyłączył silnik i wysiadł. Na lewo od siebie widział leżący u stóp wzgórza podświetlony basen Ocean Club.

Okrążył furgonetkę i otworzył tylne drzwi. Wyciągnął złożony worek na zwłoki, włożył go pod pachę i wszedł na wiodące do krużganka schody. Na skraju światła przystanął. Krużganek wyglądał na opustoszały. Bruno omiótł wzrokiem najbliższy teren, próbując przeniknąć zalegający pod drzewami mrok. Miał właśnie zawołać Kurta po imieniu, gdy ten wyłonił się z cieni po prawej stronie. Podobnie jak Bruno, ubrany był na czarno i niemal niewidoczny. Skinał na Brunona, by poszedł za nim.

– Szybko! – rzucił.

Przy świetle księżyca Bruno nie miał większych problemów z poruszaniem się, ale kiedy weszli między drzewa, było już inaczej. Po kilku krokach przystanął.

– Kurde, nic nie widzę.

– Nie musisz – odparł spokojnie Kurt. – Jesteśmy na miejscu. Przyniosłeś worek?

– Tak.

– Otwórz go i pomóż mi załadować!

Bruno wypełnił polecenie. Stopniowo jego oczy przyzwyczyły się do ciemności i był w stanie wyłowić wzrokiem sylwetkę Kurta. Mógł też dostrzec niewyraźny zarys ciała na ziemi. Wyciągnął koniec worka w stronę Kurta, który wziął go i podszedł do stóp trupa. Wspólnymi siłami rozprostowali worek, położyli go na ziemi i odchyłili brzegi.

– Na trzy – powiedział Kurt. – Ale uważaj na głowę. Jest trochę ufajdana.

Bruno wsunął ręce pod pachy trupa i w odpowiednim momencie dźwignął tułów, podczas gdy Kurt uniósł nogi.

– Rany boskie! – stęknął Brano. – Kim jest ten facet, byłem obrońcą Chicago Bears?

Kurt nie odpowiedział. Włożyli zwłoki do worka i Kurt zaciągnął suwak.

– Nie mów mi, że musimy zawlec tego dwutonowego gościa do furgonetki – jęknął Brano. Na samą myśl o tym ogarnęło go zniechęcenie.

– Nie zostawimy go tutaj. Leć na dół i otwórz tylne drzwi furgonetki. Kiedy już zejdziemy, chcę jak najszybciej załadować go do środka.

Kilka minut później wepchnęli do furgonetki górną część zamkniętego w worku ciała Gaetana. By uporać się z resztą, Brano musiał sam wejść do środka i ciągnąć, podczas gdy Kurt pchał. Kiedy skończyli, obaj byli zdyszani.

– Na razie nieźle – stwierdził Kurt, zamykając drzwi. – Zabierajmy się stąd, zanim szczęście odwróci się od nas i ktoś się tu napatoczy.

Brano zajął miejsce za kierownicą. Kurt rzucił swój czarny plecak na tylne siedzenie, po czym usiadł na przednim fotelu pasażera. Brano uruchomił silnik.

– Dokąd? – zapytał.

– Na parking Ocean Club – odparł Kurt. – Facet miał w kieszeni kluczyki od wynajętego jeepa. Chcę go znaleźć.

Brano szybko zawrócił, po czym włączył światła. Jechali w milczeniu. Brano umierał z ciekawości, kim, u diabła, jest ten sztywny w bagażniku furgonetki, miał jednak dość rozsądku, by o to nie pytać. Kurt miał zwyczaj przekazywać mu tylko niezbędne informacje i wkurzał się, kiedy podwładny zadawał pytania. Odkąd Brano go znał, Kurt był człowiekiem oszczędnym w słowach. Wciąż chodził spięty i podminowany, jak gdyby stale był z jakiegoś powodu wściekły.

Jazda na parking zajęła im tylko parę minut, a gdy już tam dotarli, odnalezienie samochodu zabrało jedynie chwilę. Był to jedyny jeep na parkingu i stał blisko wyjazdu, nie przesłonięty innymi pojazdami. Kurt wysiadł, by sprawdzić, czy kluczyki otworzą drzwi. Otworzyły. Dokumenty samochodu spoczywały w schowku, a torba podróżna Gaetana leżała na tylnym siedzeniu.

– Chcę, żebyś pojechał za mną na lotnisko – powiedział Kurt, kiedy podszedł do okna Brunona. – Rozumie się samo przez się, że masz jechać ostrożnie. Nie chciałbyś chyba, żeby



cię zatrzymali i odkryli zwłoki.

– To byłoby kłopotliwe – przyznał Bruno. – Tym bardziej że za cholereę nic nie wiem.

Zdawało mu się, że dostrzegł wściekły błysk w oczach Kurta, nim ten odszedł, by wsiąść do jeepa. Wzruszył ramionami i uruchomił silnik.

Kurt przekręcił kluczyk w stacyjce. Nie znosił niespodzianek, a ten dzień był ich pełny. Jako ekspert od zadań specjalnych szczylił się starannym planowaniem wszelkich posunięć, jakie było niezbędne w każdej misji wojskowej. Zgodnie z tym od ponad tygodnia obserwował dwójkę naukowców i sądził, że rozumie ich sposób myślenia i sytuację. A teraz kobieta włamała się do działu hodowli. To było zupełnie nieoczekiwane i spadło na niego jak grom z jasnego nieba. Jeszcze gorsza rzecz zdarzyła się wieczorem.

Gdy przejechali przez miasto i wydostali się na główną drogę, Kurt wyciągnął telefon komórkowy i wywołał zapisany w pamięci numer Paula Saundersa. Choć nominalnym szefem kliniki był Spencer Wingate, Kurt wolał kontaktować się z Paulem. To Paul zatrudnił go jeszcze w Massachusetts. Poza tym Paul, jak Kurt, był zawsze na miejscu, w przeciwieństwie do Spencera, który wciąż gdzieś się kręcił w poszukiwaniu wolnych kobiet.

Paul jak zwykle zgłosił się już po paru dzwoneczkach.

– Dzwonię z komórki – ostrzegł go Kurt na samym wstępie.

– O? – zdziwił się Paul. – Nie mów mi, że znów jest jakiś problem.

– Niestety tak.

– Czy ma związek z naszymi gośćmi?

– Zdecydowanie.

– Czy to ma coś wspólnego z tym, co stało się dzisiaj?

– To coś gorszego.

– Niedobrze. Możesz mi wyjaśnić, o co chodzi?

– Myślę, że lepiej byłoby się spotkać.

– Kiedy i gdzie?

– Za trzy kwadransy w moim biurze. Powiedzmy o dwudziestej trzeciej zero zero. – Siłą przyzwyczajenia Kurt wciąż podawał czas na sposób wojskowy.

– Powinniśmy zaprosić Spencera?

– Jak chcesz.

– Więc na razie.

Kurt rozłączył się i schował telefon do futerału przy pasku. Zerknął we wsteczne lusterko. Bruno jechał za nim w przyzwoitej odległości. Sytuacja zdawała się być znów pod kontrolą.

Lotnisko było niemal opustoszałe, jeśli nie liczyć sprzątaczek. Co najważniejsze, wszystkie agencje wynajmu samochodów były już zamknięte. Kurt odprowadził jeepa na parking właściwej wypożyczalni. Zamknął samochód i wrzucił kluczyki oraz dokumenty do nocnej skrzynki depozytowej. Chwilę później wsiadł z powrotem do czekającej z parującym silnikiem furgonetki Brunona.

– Co teraz? – zapytał Bruno.

– Zawieszysz mnie z powrotem do Ocean Club, gdzie zostawiłem samochód. Potem obaj pojedziemy na przystań Lyford Cay. Popływasz sobie firmowym jachtem przy świetle księżyca.

– Aha! Zaczynam kapować. Pewnie niedługo będziemy rozglądać się za nową kotwicą. Mam rację?

– Po prostu jedź – uciął krótko Kurt.

Kurt dotrzymał słowa i niemal dokładnie z wybicciem jedenastej otworzył drzwi swego biura. Spencer i Paul już tam byli, przyzwyczajeni do jego charakterystycznej punktualności. Kurt rzucił plecak na biurko. Torba z donośnym stukiem uderzyła o metalowy blat.

Spencer i Paul siedzieli na dwóch krzesłach ustawionych przed funkcjonalnym biurkiem Kurta. Ich oczy śledziły szefa ochrony, odkąd pojawił się w drzwiach. Czekali na jakieś jego słowo, on jednak nie spieszył się. Zdjął i powiesił na krzesło czarną, jedwabną marynarkę, po czym wyciągnął z kabury na plecach pistolet i ostrożnie położył go na biurku.

Wyraźnie rozdrażniony Spencer sapnął głośno i przewrócił oczami.

– Kurt, muszę ci przypomnieć, że pracujesz dla nas, a nie vice versa. Co się dzieje, do diabła? I lepiej, żebyś miał dobre wieści, skoro ściągnąłeś nas tu w środku nocy. Miałem akurat coś przyjemniejszego do roboty.

Kurt ściągnął z rąk elastyczne rękawiczki i położył je obok pistoletu. Dopiero wtedy usiadł. Podniósł monitor swego komputera i odstawił go na bok, by nie zasłaniał mu gości.

– Dziś w nocy, podczas pełnienia obowiązków służbowych, musiałem zabić człowieka.

Spencer i Paul otworzyli usta. Wpatrywali się z konsternacją w szefa ochrony, który spokojnie odwzajemniał ich spojrzenie. Przez krótką chwilę siedzieli bez ruchu w milczeniu. Paul pierwszy odzyskał głos. Przemówił z wahaniem, jak gdyby bał się usłyszeć odpowiedź:

– Możesz nam powiedzieć, kim był ten człowiek?

Kurt jedną ręką rozpiął sprzączkę plecaka, drugą zaś sięgnął do środka, by wyciągnąć portfel. Popchnął go przez biurko w stronę swych szefów, po czym wyprostował się na krześle.

– Nazywał się Gaetano Baresse.

Paul podniósł portfel, ale nim zdążył go otworzyć, Spencer trzasnął dłonią w blat metalowego biurka z taką siłą, że zadudniło jak kocioł. Paul podskoczył i upuścił portfel. Kurt ani drgnął, choć naprężyły się wszystkie jego wyćwiczone mięśnie.

Po uderzeniu w biurko Spencer zerwał się na równe nogi i zaczął krążyć po pokoju z głową w dłoniach.

– Nie wierzę w to – jęknął. – Ani się obejrzymy, a powtórzy się to, co było w Massachusetts, tyle że tym razem nie amerykańska policja, ale bahamskie władze będą się dobijać do naszych drzwi!

– Nie sędzę – stwierdził krótko Kurt.

– Doprawdy? – zapytał z przekąsem Spencer. Przestał chodzić. – Skąd ta pewność?

– Nie ma ciała – odparł Kurt.

– Jak to możliwe? – zapytał Paul i pochylił się, by podnieść portfel.

– W tej właśnie chwili Bruno wyrzuca zwłoki i rzeczy tego człowieka do morza. Odstawiłem samochód, który on wynajął, na lotnisko, jak gdyby opuścił wyspę. Facet po prostu zniknie. Kropka! Koniec historii.

– To brzmi pocieszająco – stwierdził Paul, po czym otworzył portfel i dokładnie obejrzał prawo jazdy Gaetana.

– Pocieszająco, kurwa! – wrzasnął Spencer. – Obiecałeś mi, że ten... – wskazał na Kurta, szukając odpowiedniego określenia – ...ten zidiociały komandos nikogo nie zabije i oto masz, ledwo otworzyliśmy klinikę, a on już kogoś sprzątnął. To początek katastrofy. Nie możemy sobie pozwolić na nową przeprowadzkę.

– Spencer! – rzucił ostro Paul. – Siadaj!

– Usiądę, kiedy mi się zechce! Jestem szefem tej pieprzonej kliniki.

– Jak sobie chcesz – odparł Paul, wpatrując się w Spencera – ale wysłuchajmy szczegółów, zanim stracimy głowę i zaczniemy przywoływać apokaliptyczne wizje. – Spojrzał na Kurta. – Jesteś nam winien wyjaśnienie. Co wspólnego miało zabicie tego Gaetana Baresse z Somendile w stanie Massachusetts z twoimi obowiązkami służbowymi? – Położył portfel i prawo jazdy na biurku.

– Jak już mówiłem, umieściłem pluskwę w telefonie doktor D’Agostino. By prowadzić podsłuch, musiałem trzymać się blisko nich. Po kolacji oboje poszli na spacer do ogrodu na terenie hotelu. Gdy szedłem za nimi w pewnej odległości, zauważyłem, że ten Gaetano Baresse robi to samo, ale jest o wiele bliżej. Zacząłem więc śledzić całą grupę. Wkrótce stało się oczywiste, że Gaetano Baresse jest płatnym zabójcą i zamierza zabić doktorów. Musiałem podjąć natychmiastową decyzję. Uznałem, że wolelibyście, by doktorzy pozostali przy życiu.

Paul z uniesionymi brwiami znów zerknął na Spencera, by sprawdzić jego reakcję na to, co właśnie usłyszał. Spencer nachylił się i podniósł prawo jazdy. Przez sekundę wpatrywał się w zdjęcie, po czym z powrotem odrzucił dokument na biurko. Gwałtownym ruchem przyciągnął sobie krzesło i usiadł w pewnym oddaleniu od Paula i Kurta.

– Skąd wiesz, że ten Baresse rzeczywiście był płatnym zabójcą? – zapytał spokojniejszym głosem.

Kurt otworzył lewą dłonią plecak. Zanurzył prawą rękę do środka i wyciągnął pistolet Gaetana. Popchnął go przez biurko, jak wcześniej portfel.

– To nie jest byle co, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę laser i tłumik.

Paul ostrożnie podniósł broń, obejrzał ją i wyciągnął w stronę Spencera. Gdy Spencer gestem dał znać, że nie ma ochoty brać jej do ręki, Paul położył ją z powrotem na biurku.

– Z moimi kontaktami na kontynencie być może uda mi się dowiedzieć czegoś więcej o

tym człowieku – ciągnął Kurt. – Ale na razie nie ulega dla mnie wątpliwości, że to profesjonalista, a broń, którą musiał otrzymać dziś po przybyciu na wyspę, oznacza, że miał powiązania.

– Mów po ludzku! – warknął Spencer.

– Chodzi o zorganizowaną przestępczość – wyjaśnił Kurt. – Był niewątpliwie powiązany z jakąś organizacją, prawdopodobnie z gangiem narkotykowym.

– Sugeruje pan, że nasi goście zajmują się narkotykami? – zapytał Spencer z niedowierzaniem.

– Nie – odparł krótko Kurt. Spojrzał na swych szefów, dając im szansę, by wyciągnęli wnioski, tak jak zrobił to on sam, kiedy czekał, aż Bruno zjawi się przy krążanku.

– Zaraz! – wykrzyknął Spencer. – Dlaczego jakiś narkotykowy kacyk miałby wysyłać profesjonalnego zabójcę na Bahamy, żeby sprzątnąć parę naukowców, jeśli ci naukowcy nie zajmują się narkotykami?

Kurt wciąż milczał. Spojrzał na Paula.

Nagle Paul pokiwał głową.

– Chyba rozumiem, o co chodzi Kurtowi. Chcesz powiedzieć, że tajemniczy pacjent być może nie jest związany z Kościołem katolickim?

– Sądzę, że może być szefem konkurencyjnego gangu narkotykowego – odparł Kurt. – A w każdym razie jakąś szychą w mafii. Tak czy inaczej, jego rywale nie chcą, żeby wyzdrowiał.

– Cholera! – mruknął Paul. – Wiesz, to ma sens. Tak na pewno można wyjaśnić całą tę dyskrecję.

– Mnie się to wydaje naciągane – oświadczył sceptycznie Spencer. – Dlaczego dwoje światowej klasy naukowców miałyby leczyć narkotykowego bossa?

– Zorganizowana przestępczość ma wiele sposobów wywierania nacisku na ludzi – stwierdził Paul. – Kto wie? Może jakiś kartel narkotykowy prał pieniądze, inwestując w firmę Lowella. Myślę, że Kurt może mieć rację. To znaczy, chory boss narkotykowy z Ameryki Południowej albo chory szef mafii z północnego wschodu byłiby prawdopodobnie katolikami, co tłumaczyłoby historię z Całunem Turyńskim.

– Cóż, mogę powiedzieć ci jedno – odparł Spencer. – Przestało mi zależeć na odkryciu tożsamości pacjenta i to nie tylko z powodu tego zabójstwa. Nie ma mowy, żebyśmy mogli wywierać nacisk na jakiegoś bonza z mafii. Marnie by się to dla nas skończyło.

– A co z naszym udziałem w tej sprawie? – zapytał Paul. – Czy zgodzimy się na ich dalsze prace?

– Chcę dostać tę drugą ratę – oświadczył Spencer. – Potrzebujemy jej. Powinniśmy po prostu pozostać bierni, by nie narazić się nikomu.

Paul odwrócił się do Kurta.

– Czy doktor Lowell wiedział, że jest w niebezpieczeństwie?

– Jak najbardziej – odparł Kurt. – Gaetano stanął tuż przed nim ze spluwą wycelowaną w jego czoło. Zlikwidowałem go w ostatniej sekundzie.

– Dlaczego o to pytasz? – zapytał Spencer.

– Mam nadzieję, że Lowell zatroszczy się o swoje bezpieczeństwo – wyjaśnił Paul. – Ktokolwiek wysłał Gaetana, może wysłać kogoś innego, kiedy dowie się, że Gaetano zawiódł i już nie wróci.

– To nie nastąpi zbyt szybko – powiedział Kurt. – Właśnie z tego powodu zadałem sobie tyle trudu, by usunąć faceta. A co do doktora Lowella, mogę was zapewnić, że miał cholernego stracha. Doktor D'Agostino też.

## **Rozdział dwudziesty trzeci**

### **14.50, sobota, 23 marca 2002**

Gromadka ludzi wysypała się z windy Imperial Clubu ośrodka Atlantis na trzydziestym drugim piętrze zachodniego skrzydła Royal Towers i ruszyła wyłożonym dywanem korytarzem. Na czele szedł pan Grant Halpern, dyżurujący kierownik hotelu, za nim zaś pani Connie Corey, kierowniczka recepcji, i Harold Beardslee, kierownik Imperial Clubu. Ashley Butler i Carol Manning podążali za nimi, spowolnieni przez człapiący krok senatora, bardziej teraz dostrzegalny niż przed miesiącem. Pochód zamykali dwaj boye. Jeden z nich pchał wózek hotelowy załadowany kraciastymi walizkami Ashleya i Carol, drugi zaś niósł ich bagaż ręczny i pokrowce z ubraniami. Wyglądało to jak miniaturowe safari.

– I cóż, moja droga Carol – odezwał się Ashley, przeciągając słowa na swój zwykły sposób, lecz z nieobecną dawniej w głosie monotonią. – Jakie wrażenie zrobił na tobie ten skromny hotelik?

– „Skromny” to chyba ostatnie słowo, jakie przyszłoby mi na myśl – odparła Carol. Wiedziała, że Ashley po prostu zgrywa się przed personelem hotelu.

– Więc jakie słowa uznałabyś za bardziej stosowne?

– Nietypowy, ale imponujący – stwierdziła Carol. – Nie byłam przygotowana na tak teatralny przepych. Hol na dole jest naprawdę niezwykły, zwłaszcza dzięki tym fakturowanym kolumnom i złotą kopułą z kasetonami w kształcie muszli. Pojęcia nie mam, jaka może być jego wysokość.

– Około siedemdziesięciu stóp – wtrącił pan Halpern, obracając się przez ramię.

– Dziękuję, panie Halpern – zawołał przed siebie Ashley. – Jest pan taki uprzejmy i nad podziw dobrze poinformowany.

– Do pańskich usług, panie senatorze – odparł pan Halpern, nie zwalniając kroku.

– Cieszy mnie, że podoba ci się nasze lokum – powiedział Ashley, zniżając głos i pochylając się w stronę asystentki. – Jestem pewien, że pogoda podoba ci się nie mniej, w porównaniu z tym, co mamy o tej porze roku w Waszyngtonie. Mam nadzieję, że jesteś

zadowolona z przyjazdu tutaj. Prawdę mówiąc, mam wyrzuty sumienia, że nie przywiozłem cię tu ze sobą w zeszłym roku na rekonesans, kiedy organizowałem całe przedsięwzięcie.

Carol spojrzała na szefa z zaskoczeniem. Nigdy dotąd nie zdarzyło mu się przyznać do winy wobec niej w żadnej sprawie, a już na pewno nie z powodu wycieczki w tropiki. Był to jeszcze jeden drobny, lecz osobliwy przykład nieobliczalności, jaką przejawiał raz po raz w ciągu ostatniego roku.

– Nie musi pan czuć się winny, panie senatorze – powiedziała. – Jestem zachwycona, że jestem w Nassau. A pan? Cieszy się pan z przyjazdu?

– Zdecydowanie – odparł Ashley bez śladu akcentu.

– Nie boi się pan trochę?

– Ja, boję się? – powtórzył głośno Ashley, wracając do komediowego tonu. – Tato uczył mnie, że właściwym sposobem na stawianie czoła przeciwnościom losu jest odrabiać zadania domowe i robić wszystko, co można zrobić, a resztę złożyć w ręce dobrego Boga. I tak właśnie postąpiłem, ni mniej, ni więcej. Przyjechałem tutaj, żeby się zabawić!

Carol skinęła głową, ale nic nie powiedziała. Było jej przykro, że zadała to pytanie. Jeśli ktokolwiek czuł się winny, to właśnie ona, gdyż nadal do końca nie wiedziała, czego ma sobie życzyć po obecnej wyprawie. Ze względu na Ashleya próbowała przekonać samą siebie, że pragnie cudownego uzdrowienia, w głębi duszy była jednak świadoma, że liczy na wręcz przeciwny skutek.

Pan Halpern i pozostali pracownicy hotelu zatrzymali się przy wielkich, dwuskrzydłowych, mahoniowych drzwiach, ozdobionych syrenami w płytkim reliefie. Gdy szperał w kieszeni, szukając karty do otwarcia drzwi, Ashley i Carol dołączyli do grupy.

– Chwileczkę – odezwał się Ashley, wyciągając drżącą rękę, jak gdyby przemawiał w izbie senatu. – To nie jest pokój, w którym mieszkałem podczas poprzedniej wizyty w Atlantis. Wyraźnie prosiłem o to samo miejsce.

Pan Halpern stracił nieco rezon.

– Panie senatorze, być może nie dosłyszał pan tego, co mówiłem wcześniej. Kiedy pani Corey wprowadziła pana do mojego gabinetu, wspomniałem, że podnieśliśmy panu standard. To jeden z naszych apartamentów tematycznych. Nazywa się Posejdon.

Ashley spojrział na Carol.

– Pan Halpern rzeczywiście powiedział, że podnoszą nam standard – potwierdziła asystentka.

Przez chwilę Ashley wyglądał na zakłopotanego, w swych grubych szklach w solidnych oprawkach. Jak zawsze ubrany był w ciemny garnitur, zwykłą białą koszulę i klasyczny krawat. Wzdłuż nasady włosów lśniły mu krople potu. Jego nalana twarz w porównaniu z twarzami personelu hotelowego wydawała się wyjątkowo blada.

– Ten apartament jest większy, ma lepszy widok i jest znacznie bardziej elegancki niż ten, który zajmował pan w zeszłym roku – dodał pan Halpern. – To jeden z najlepszych, jakie

mamy. Może chciałby pan go obejrzyć?

Ashley wzruszył ramionami.

– Cóż, jestem tylko zwykłym prowincjuszem, nie przyzwyczajonym do tego, by robiono koło mnie ceregiele. Świetnie! Zobaczmy Posejdona.

Pani Corey wyszła przed pana Halperna, otworzyła drzwi kartą magnetyczną i usunęła się na bok. Pan Halpern gestem zaprosił Ashleya do środka.

– Pan pierwszy, senatorze – powiedział.

Ashley ruszył przez mały przedsionek do dużego pokoju o ścianach pokrytych malowidłem, przedstawiającym surrealistyczny podwodny widok zatopionego antycznego miasta, zapewne mitycznej Atlantydy. Umebłowanie składało się ze stołu na osiem osób, biurka, konsoli rozrywkowej, dwóch foteli klubowych i dwóch ogromnych kanap. Wszystkie widoczne drewniane elementy rzeźbione były w kształty morskich stworzeń, jak morświny, które stanowiły poręczę dwóch ustawionych vis-à-vis kanap. Także wzory i barwy tkanin oraz wzór na dywanach podejmowały głębinowy temat.

– No, no – mruknął Ashley, rozglądając się dookoła.

Pani Corey podeszła do konsoli rozrywkowej, żeby sprawdzić barek. Pan Beardslee poprawił poduszki na kanapach.

– Główna sypialnia jest po pana prawej stronie, panie senatorze – powiedział pan Halpern, wskazując otwarte drzwi. – A dla pani, pani Manning, zgodnie z życzeniem, jest miła sypialnia po lewej.

Boye natychmiast zaczęli wnosić bagaż do odpowiednich pokoi.

– A teraz gwóźdź programu – oświadczył pan Halpern. Ominął zwalistą, przygarbioną postać Ashleya, podszedł do rzędu przełączników na ścianie i wcisnął pierwszy z nich. Z elektrycznym warkotem zasłony pokrywające całą ścianę pokoju zaczęły rozsuwać się na boki, stopniowo odsłaniając zapierający dech w piersiach widok na szmaragdowo szafirowe morze za balustradą wyłożonego mozaiką balkonu.

– Ja nie mogę! – wykrzyknęła Carol, przyciskając dłoń do piersi. Oglądana z wysokości trzydziestu dwóch pięt, sceneria była porywająca.

Pan Halpern wcisnął kolejny przełącznik i tafle rozsuwanych szklanych drzwi schowały się jedna za drugą po bokach. Gdy warkot umilkł, balkon i pokój tworzyły jedną wielką otwartą przestrzeń. Pan Halpern z dumą wskazał balkon.

– Gdyby zechcieli państwo wyjść na zewnątrz, z przyjemnością pokażę państwu, gdzie znajdują się niektóre z naszych licznych atrakcji.

Ashley i Carol usłuchali propozycji. Ashley podszedł do samej czerwonawobrazowej, wysokiej do pasa, kamiennej balustrady. Oparł dłonie na szerokiej poręczy i spojrzał w dół. Carol, cierpiąca na lekki lęk wysokości, zbliżyła się z większym wahaniem. Zanim wyjrzała przez balustradę, ostrożnie dotknęła poręczy, jak gdyby bała się, że cienka ścianka może runąć w dół. Poniżej rozciągał się widok na rozległą plażę ośrodka Atlantis i park wodny,



zdominowany przez Rajską Lagunę.

Pan Halpern stanął obok Carol. Zaczął wskazywać charakterystyczne obiekty, w tym leżący niemal tuż u ich stóp, podobny do klejnotu Royal Baths Pool.

– Co to jest, tam na lewo? – zapytała Carol, pokazując palcem. Jej zdaniem wyglądało to jak przeniesiona skądś starożytna budowla.

– To nasza świątynia Majów – wyjaśnił pan Halpern. – Jeśli ma pani odwagę, może pani skorzystać ze znajdującej się tam niesamowitej zjeżdżalni, która rurą z pleksiglasu sprowadzi panią z wierzchołka na wysokości szóstego piętra prosto do pełnej rekinów Laguny Drapiezców.

– Carol, kochanie – rzucił Ashley. – Myślę, że to znakomita rozrywka dla kogoś, kto, tak jak ty, poważnie myśli o rzuceniu się w wir waszyngtońskiej polityki.

Carol zerknęła na swego szefa z obawą, że w jego uwadze kryje się coś więcej niż tylko żart, on jednak obojętnie wpatrywał się w ocean, jak gdyby jego myśli powędrowały już dalej.

– Panie Halpern – zawołała pani Corey z wnętrza pokoju. – Wydaje mi się, że wszystko jest w porządku, a karty magnetyczne senatora leżą na biurku. Powinnam już wracać do recepcji.

– Ja też już pójde – wtrącił pan Beardslee. – Panie senatorze, gdyby potrzebował pan czegokolwiek, proszę po prostu dać znać moim pracownikom.

– Chciałbym podziękować wam wszystkim za uprzejmość – odparł Ashley. – Wszyscy jesteście chlubą tego wspaniałego hotelu.

– Ja też będę uciekał, żebyście mogli państwo się rozgościć – oświadczył pan Halpern i skierował się do wyjścia.

Ashley lekko złapał go za ramię.

– Byłbym niezmiernie wdzięczny, gdyby został pan jeszcze chwileczkę – powiedział.

– Oczywiście – odparł pan Halpern.

Ashley pomachał odchodzącym, po czym znów zwrócił wzrok w stronę rozległego oceanu.

– Panie Halpern, mój pobyt w Nassau nie jest żadną tajemnicą ani nie mógłby nią być, skoro przybyłem publicznym środkiem transportu. Ale nie oznacza to, że nie patrzyłbym życzliwym okiem na szanowanie mojej prywatności. Wolałbym, żeby ten pokój był zarejestrowany wyłącznie na nazwisko pani Manning.

– Jak pan sobie życzy.

– Serdecznie dziękuję, panie Halpern. Liczę na pańską dyskrecję, by uniknąć rozgłosu. Chcę mieć świadomość, że mogę do woli korzystać z atrakcji waszego kasyna bez obawy, że narażę się co bardziej szlachetnym z moich wyborców.

– Ma pan moje słowo, że dołożymy w tej sprawie wszelkich starań. Ale podobnie jak w zeszłym roku, nie możemy gwarantować, że ktoś z pańskich licznych wielbicieli nie zaczepi pana w kasynie.

– Boję się raczej tego, że mógłbym przeczytać o swoim urlopie w gazetach lub że ktoś może po prostu zadzwonić do hotelu, by upewnić się, że tu jestem.

– Zapewniam pana, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by chronić pańską prywatność – odparł pan Halpern. – Teraz zostawię państwa, żebyście mogli rozpakować się i odprężyć. Szampan na koszt firmy powinien być już w drodze, wraz z naszymi życzeniami udanego pobytu.

– Jeszcze jedno pytanie – zatrzymał go Ashley. – W tym samym terminie został zarezerwowany pokój dla naszych przyjaciół. Czy były jakieś wieści od doktora Lowella i doktor D’Agostino?

– Istotnie! Już tu są. Zameldowali się niecałą godzinę temu. Mieszkają w pokoju trzy tysiące dwieście osiem. To jeden z naszych apartamentów Superior, w głębi korytarza.

– Jakie to dogodne! Odnoszę wrażenie, że znakomicie zatroszczyliście się o wszelkie nasze potrzeby.

– Staramy się, jak tylko możemy – oświadczył pan Halpern z lekkim ukłonem. Przeszedł do pokoju i ruszył ku drzwiom.

Ashley na powrót spojrzał na asystentkę, która powoli przywykła do wysokości i była urzeczona widokiem.

– Carol, kochanie! Może byłabyś tak uprzejma i sprawdziła, czy doktorzy są w swoim pokoju, a jeśli tak, czy nie zechcieliby do nas dołączyć.

Carol odwróciła się i zamrugła, jak gdyby budząc się z transu.

– Oczywiście – odparła pośpiesznie, na powrót wchodząc w swą rolę.

– Może lepiej będzie, jeśli wejdiesz tam sam – podsunęła Stephanie. Stała z Danielem przed rzeźbionymi w syreny drzwiami apartamentu Posejdon. Jego dłoń zawisała nad dzwonkiem.

Zirytowany Daniel wypuścił powietrze. Jego ręce opadły bezwładnie u boków.

– O co ci chodzi tym razem?

– Nie chcę widzieć Ashleya. Ta sprawa nie podobała mi się już od pierwszego dnia, a po tym wszystkim, co zaszło, teraz podoba mi się jeszcze mniej.

– Ale jesteśmy już tak bliscy końca. Komórki terapeutyczne są gotowe. Pozostała nam tylko implantacja, która nie jest niczym trudnym.

– To ty tak twierdzisz i miejmy nadzieję, że masz rację. Ale od początku nie podzielałam twojego optymizmu i nie wydaje mi się, by moje negatywne nastawienie mogło w tej chwili służyć jakimkolwiek konstruktywnemu celowi.

– Nie wierzyłaś, że zdążymy utworzyć komórki terapeutyczne w ciągu miesiąca, a zdążyliśmy.

– To prawda, ale tylko manipulacje na komórkach poszły gładko.

Daniel pokręcił głową i przewrócił oczami, by rozładować nagle napięcie. Był

rozdrażniony.

– Dlaczego zachowujesz się tak właśnie teraz? – zapytał retorycznie. Zacerpnął tchu i spojrzał na Stephanie. – Chcesz położyć na łopatki całe przedsięwzięcie?

Stephanie parsknęła krótkim, udawanym śmiechem. Rumieniec wystąpił na jej policzki.

– Wręcz przeciwnie! Po tylu trudach nie chcę wszystkiego popsuć. W tym rzecz! Dlatego właśnie sugeruję, żebyś wszedł sam.

– Carol Manning wyraźnie powiedziała, że Ashley chce widzieć nas oboje, i obiecałem jej, że przyjdziemy. Na miłość boską, jeśli nie wejdiesz, on może pomyśleć, że coś się stało. Proszę! Nie musisz nic mówić ani nic robić. Po prostu bądź miła i uśmiechaj się. Chyba nie proszę o zbyt wiele!

Stephanie przestąpiła z nogi na nogę. Spojrzała na podłogę, po czym obejrzała się na ochroniarza, który stał oparty o ścianę przed ich pokojem, gdzie kazali mu czekać. Jego obecność w brutalny sposób przypominała jej o wszystkich rzeczach, które poszły nie tak. Cały koszmar powrócił ze zdwojoną siłą, a intuicyjne obawy znów doprowadzały ją do szaleństwa. Z drugiej strony Daniel miał rację co do implantacji. W ich eksperymentach na myszach właściwa faza terapii, odkąd nauczyli się wykonywać ją prawidłowo, nie nastęrczała najmniejszych problemów.

– W porządku! – westchnęła z rezygnacją. – Załatwmy się z tym. Ale to ty będziesz mówił.

– Grzeczna dziewczynka! – odparł Daniel i wcisnął dzwonek.

Tym razem to Stephanie przewróciła oczami. W normalnych okolicznościach nie tolerowałaby takiego protekcyjnego, seksistowskiego określenia.

Carol Manning otworzyła drzwi. Uśmiechnęła się i z pozoru powitała ich serdecznie, jednak Stephanie wyczuła u niej ukrytą nerwowość i zmieszanie, jak gdyby asystentka Ashleya była jej bratnią duszą w obecnej sytuacji.

Ashley siedział na jednej z kanap z poręczami w kształcie morświnów, lecz w pierwszej chwili Daniel i Stephanie go nie rozpoznali. Nie miał już na sobie ciemnego garnituru, gładkiej białej koszuli i krawata. Zniknęły nawet jego charakterystyczne okulary w grubych oprawkach. Ubrany był w jaskrawozieloną, drukowaną w tropikalne wzory koszulę z krótkim rękawem, żółte spodnie, białe skórzane buty turystyczne i pasek z białej skóry. Ze swymi ziemisto-bładymi, owłosionymi rękoma, które wskazywały na to, że nigdy nie zaznały światła dnia, nie mówiąc już o słońcu, był karykaturą turysty. Modne okulary słoneczne o niebiesko zabarwionych szklach zachodziły na boki głowy jak u zawodowego rowerzysty. Niezwykła była także nieruchomość jego twarzy, której Daniel i Stephanie dawniej u niego nie widzieli.

– Witajcie, drodzy przyjaciele! – wykrzyknął Ashley ze swym znajomym akcentem, lecz nieznanym, mniej modulowanym głosem. – Wasz widok jest balsamem dla oczu, niczym nadciągająca w ostatniej chwili szarża kawalerii. Nie potrafię powiedzieć, jak cieszy mnie widok waszych miłych, inteligentnych twarzy. Wybaczcie, że nie wstaję, by przywitać was

należycie, tak jak dyktują mi emocje. Niestety, dobroczynne efekty moich leków ustępują już zdecydowanie szybciej niż podczas naszego ostatniego spotkania.

– Proszę siedzieć – odparł Daniel. – My także cieszymy się, że pana widzimy. – Podeszedł, by uścisnąć dłoń Ashleyowi, po czym usiadł naprzeciw niego na kanapie.

Po chwili wahania Stephanie zajęła miejsce obok Daniela i spróbowała się uśmiechnąć. Carol Manning usiadła osobno, obróciwszy krzesło przy biurku w stronę pokoju.

– Po tak ograniczonych kontaktach w ciągu ostatniego miesiąca moja ufność, że jednak zjawicie się tutaj, opierała się głównie na wierze – przyznał Ashley. – Jediną zachęcającą oznaką postępów był znaczny i nieustający odpływ funduszy, które oddałem do waszej dyspozycji.

– To był herkulesowy wysiłek, i to pod wieloma względami, ale nie warto już o tym mówić – odparł Daniel.

– Mam nadzieję, że chce pan przez to powiedzieć, że jesteście gotowi do dalszych działań.

– Jak najbardziej – przytaknął Daniel. – Ustaliliśmy już nawet termin implantacji na jutro o dziesiątej rano w Klinice Wingate’a. Mamy nadzieję, że nie jest to dla pana zbyt wcześnie.

– Nic nie może nastąpić zbyt wcześnie dla tego prowincjusza – odparł Ashley poważniejszym tonem, z lekkim tylko śladem zwykłego południowego akcentu. – Obawiam się, że niezbyt już długo mógłbym utrzymać swą postępującą chorobę w tajemnicy przed mediami.

– W takim razie w interesie nas wszystkich jest dokonać implantacji.

– Rozumiem więc, że udało się wam zakończyć żmudny proces tworzenia komórek terapeutycznych, który opisaliście mi przed miesiącem.

– Istotnie – przyznał Daniel. – W głównej mierze dzięki talentowi doktor D’Agostino. – Ścisnął kolano Stephanie.

Stephanie na chwilę zdobyła się na nieco szerszy uśmiech.

– Mówiąc dokładniej – ciągnął Daniel – w ciągu ostatniego tygodnia utworzyliśmy cztery odrębne linie neuronów dopaminergicznych, które są klonami pańskich komórek.

– Cztery? – zapytał Ashley bez śladu akcentu. Utkwił w Danielu nieruchome spojrzenie. – Dlaczego aż tyle?

– Po prostu dla asekuracji. Chcieliśmy być absolutnie pewni, że mamy przynajmniej jedną. Teraz możemy wybierać, gdyż wszystkie równie dobrze nadają się do przeprowadzenia pańskiej kuracji.

– Czy powinienem coś wiedzieć na temat jutrzejszego dnia, poza tym że muszę dowlec swoje smętne cielsko do Kliniki Wingate’a?

– Mamy jedynie zwykle przedoperacyjne zalecenia, jak to, żeby nie jadł pan nic po północy. Wolelibyśmy też, żeby, o ile to w ogóle możliwe, nie zażywał pan rano swych leków. W naszych badaniach na myszach efekty terapeutyczne były widoczne natychmiast po

implantacji i spodziewamy się, że u pana będzie podobnie. Leki przeciwko chorobie Parkinsona przesłoniłyby to.

– Dobrze – zgodził się Ashley. – Absolutnie nie chciałbym niczego komplikować. Oczywiście najbardziej odczuje to Carol, na którą spadnie cały ciężar ubrania mnie i załadowania do samochodu.

– Jestem pewna, że hotel będzie mógł nam pożyczyć jakiś wózek inwalidzki – wtrąciła Carol.

– Czy zakaz jedzenia po północy oznacza, że zabieg odbędzie się pod znieczuleniem? – zapytał Ashley, puściwszy jej uwagę mimo uszu.

– Powiedziano mi, że znieczulenie będzie miejscowe, uzupełnione silnym środkiem uspokajającym – wyjaśnił Daniel. – Będzie nam towarzyszył anestezjolog, przygotowany do podania głębszego znieczulenia, gdyby zaszła taka potrzeba. Powiniennem dodać, że zapewniliśmy sobie usługi miejscowego neurochirurga, który ma doświadczenie w wykonywaniu tego typu implantacji, choć oczywiście nie z użyciem klonowanych komórek. Nazywa się doktor Rashid Nawaz. Zna pana jako Johna Smitha, podobnie jak Klinika Wingate’a. Wszyscy zostali poinformowani o potrzebie dyskrecji i wyrazili na nią zgodę.

– Wygląda na to, że znakomicie zatroszczyliście się o wszelkie drobiazgi.

– Taki był nasz zamiar – odparł Daniel. – Radzimy, aby po zabiegu pozostał pan w klinice, żebyśmy mogli dokładnie pana monitorować.

– Och? – Ashley wydawał się zaskoczony. – Na jak długo?

– Przynajmniej na noc. Potem będzie to zależało od pańskiego stanu.

– Liczyłem na to, że wrócę do Atlantis – zaprotestował Ashley. – Dlatego właśnie załatwiłem wam zakwaterowanie tutaj. Możecie monitorować mnie, ile dusza zapragnie. Jesteście zaraz na końcu korytarza.

– Ale w hotelu nie mamy do dyspozycji sprzętu diagnostycznego.

– Na przykład?

– Tego, co ma normalny szpital, jak laboratorium czy rentgen.

– Rentgen? Po co wam rentgen? Spodziewacie się komplikacji?

– Absolutnie nie, ale ostrożność nigdy nie zawadzi. Proszę pamiętać, że jutrzejsze przedsięwzięcie jest, z braku lepszego słowa, eksperymentalne.

Daniel zerknął na Stephanie, by sprawdzić, czy chciałaby coś dodać, ona jednak tylko przewróciła szybko oczami.

Ostro wyczulony pod wpływem okoliczności na wszelkie niuanse, Ashley zauważył jej reakcję.

– Czy ma pani bardziej stosowne określenie, doktor D’Agostino? – zapytał ją.

Stephanie zastanawiała się przez chwilę.

– Nie. Myślę, że „eksperymentalne” dobrze oddaje istotę rzeczy – odparła, choć w rzeczywistości uważała, że trafniejsze byłoby słowo „szalone”.

– Mam nadzieję, że nie wyczuwam tu subtelnego negatywnego podtekstu – stwierdził Ashley, spoglądając to na Daniela, to na Stephanie. – Muszę mieć pewność, że wy, uczeni, zapatrujecie się na ten zabieg równie optymistycznie jak wówczas, gdy znajdowaliście się w mojej sali posiedzeń.

– Oczywiście, że tak jest – zapewnił go Daniel. – Wyniki, jakie uzyskiwaliśmy na zwierzęcych modelach, były zdumiewające. Z niecierpliwością czekamy na szansę, by przynieść ten dar niebios ludziom. Jesteśmy podekscytowani myślą, że już jutro wyleczymy pierwszego pacjenta.

– Cieszę się – odparł Ashley, lecz jego nieruchome, świdrujące spojrzenie spoczęło na Stephanie. – A pani, doktor D’Agostino? Jest pani podobnego zdania? Wydaje się pani dość milcząca.

W pokoju zapanowała krótka cisza, przerywana jedynie odległymi piskami dzieci dobiegającymi z zatłoczonych basenów i zjeżdżalni trzydzieści dwa piętra niżej.

– Tak – odezwała się wreszcie Stephanie. Wzięła oddech, by dać sobie czas na staranne dobranie słów. – Przepraszam, jeśli wydaję się milcząca. Jestem odrobinę zmęczona po wszystkim, przez co przeszliśmy, by utworzyć komórki terapeutyczne dla pana. A jeśli chodzi o odpowiedź na pańskie pytanie, jestem o tyle podobnego zdania, że mogę bez zastrzeżeń stwierdzić, że nie mogę się doczekać finału tego przedsięwzięcia.

– Z ulgą to słyszę – rzekł Ashley. – To znaczy, że jest pani zadowolona z tych czterech linii, które wyklonowała pani z moich komórek skóry?

– Tak – odparła Stephanie. – Nie ulega wątpliwości, że to neurony dopaminergiczne, które są... – urwała, jak gdyby szukając właściwego słowa – ...niezwykle żywotne.

– Żywotne? – powtórzył Ashley. – Hmm. Przypuszczam, że jest to korzystne, choć jako laik nie do końca rozumiem dlaczego. Ale proszę mi powiedzieć: czy wszystkie linie zawierają geny z Całunu Turyńskiego?

– Jak najbardziej! – zapewnił Daniel. – Choć wymagało od nas znacznego wysiłku, by uzyskać próbkę całunu, wyizolować DNA i zrekonstruować z fragmentów potrzebne geny. A jednak to się udało.

– Chcę być co do tego pewny – powiedział Ashley. – Wiem, że nie mogę w żaden sposób tego sprawdzić, ale chcę mieć pewność. To dla mnie ważne.

– Geny, których użyliśmy do HTRS, pochodzą z krwi na Całunie Turyńskim – oświadczył Daniel. – Mogę to panu przysiąc.

– Przyjmuję pańskie słowo prawdziwego dżentelmena – odparł Ashley, znów ze swym zwykłym akcentem. Z wielkim wysiłkiem dźwignął z kanapy i wyprostował swe zwaliste, sztywne cielsko. Wyciągnął dłoń do Daniela, który także wstał. Jeszcze raz uścisnęli sobie ręce.

– Do końca życia będę panu zobowiązany za pana wysiłki i naukową inwencję – powiedział Ashley.

– Jak ja za pańskie przywództwo i geniusz polityczny, który przejawia się w zalegalizowaniu HTRS – odparł Daniel.

Cierpki uśmiech powoli rozciągnął się na pozbawionej poza tym wyrazu twarzy Ashleya.

– Lubię ludzi z poczuciem humoru. – Wypuścił dłoń Daniela, po czym wyciągnął rękę do Stephanie, która wstała równocześnie z Danielem.

Stephanie przyglądała się przez chwilę podanej dłoni, jak gdyby zastanawiała się, czy ująć ją, czy nie. Ostatecznie zrobiła to i poczuła, że Ashley ściska jej dłoń z zaskakującą siłą. Po sztywnym, przedłużonym potrząśnięciu i dłuższej chwili wpatrywania się w nieruchome oczy senatora, usiłowała uwolnić rękę, ale bezskutecznie. Ashley trzymał ją mocno. Choć Stephanie mogła się domyślać, że ten incydent jest efektem choroby senatora, ogarnął ją nagły, irracjonalny strach, że już nigdy nie wyzwoli się z uścisku tego człowieka, co potraktowała jako metaforę jej zaangażowania się w całą tę zwariowaną sprawę.

– Jestem głęboko wdzięczny także za pani wysiłki, doktor D’Agostino – powiedział Ashley. – I jako dżentelmen muszę wyznać, że byłem oczarowany pani urodą od pierwszej chwili, gdy miałem przyjemność panią zobaczyć. – Dopiero teraz jego podobne do serdelków palce powoli rozluźniły potężny uścisk.

Stephanie przycisnęła dłoń, zaciśniętą teraz w pięść, do piersi, jak gdyby w obawie, że Ashley spróbuje znowu ją chwycić. Wiedziała, że zachowuje się nierozsądnie, ale nie mogła nic na to poradzić. Mimo wszystko zdobyła się na skinienie głowy i lekki uśmiech w podziękowaniu za komplement i wyrazy wdzięczności.

– No dobrze – oświadczył Ashley. – Teraz żądam, żebyście dobrze wypoczęli w nocy. Chcę, żebyście oboje byli w świetnej formie podczas jutrzejszego zabiegu, który, jak wnioskuję z waszych słów, nie będzie trwał zbyt długo. Czy mam rację?

– Przypuszczam, że zajmie godzinę, może trochę dłużej – odparł Daniel.

– Bogu dzięki! A więc godzina to wszystko, czego współczesna biotechnologia potrzebuje, by ocalić tego stojącego nad przepaścią nieszczęśnika od katastrofy zawodowej. Jestem pod wrażeniem. Chwalmy Pana na wysokościach!

– Większość czasu pochłonie założenie panu ramy stereotaktycznej – wyjaśnił Daniel. – Właściwa implantacja zajmie tylko parę minut.

– Znów to samo – jęknął Ashley. – Wciąż ten niezrozumiały lekarski żargon. Co to jest, na miłość boską, ta rama stereotaktyczna?

– To wyskalowana rama, zakładana na głowę jak korona. Dzięki niej doktor Nawaz będzie mógł wstrzyknąć komórki terapeutyczne dokładnie w to miejsce, gdzie stracił pan własne, wytwarzające dopaminę neurony.

– Nie wiem, czy dobrze zrobiłem, że o to zapytałem – stwierdził z wahaniem Ashley. – Czy mam rozumieć, że będziecie wstrzykiwać mi komórki terapeutyczne wprost do mózgu, a nie do żyły?

– Zgadza się – rzekł Daniel i zaczął wyjaśniać.

– Wystarczy! – przerwał mu Ashley. – Obawiam się, że w tej chwili im mniej wiem, tym lepiej. Jestem naprawdę wrażliwym pacjentem, szczególnie kiedy zabieg nie jest przeprowadzany pod narkozą. Ból zawsze był moim wrogiem numer jeden.

– Nie będzie najmniejszego bólu – zapewnił go Daniel. – Sam mózg nie ma żadnych doznań.

– Ale igła musi wejść mi w mózg? – zapytał Ashley z niedowierzaniem.

– Tępa igła, by uniknąć jakichkolwiek uszkodzeń.

– Jak, na Boga, można wbić komuś igłę do mózgu?

– W kości zostanie zrobiona mała dziurka. W pana przypadku dostęp będzie przedczołowy.

– Przedczołowy? To znowu lekarski bełkot.

– To znaczy tędy – wyjaśnił Daniel, wskazując własne czoło tuż nad brwiami. – Proszę pamiętać, nie będzie żadnego bólu. Podczas wykonywania otworu będzie pan czuł wibracje, jak od staroświeckiego wiertła dentystycznego, o ile nie będzie pan spał po środkach uspokajających, co jest bardzo prawdopodobne.

– Dlaczego nie będę mógł spać podczas całego zabiegu?

– Neurochirurg chce, żeby był pan przytomny podczas właściwej implantacji.

Ashley westchnął.

– Wystarczy już! – ostrzegł, unosząc drżącą dłoń. – Czułem się lepiej, kiedy żywiłem błędne przekonanie, że komórki terapeutyczne pójdą do żyły, jak przeszczep szpiku kostnego.

– To nie poskutkowałyby w przypadku neuronów.

– Szkoda, ale jakoś to zniosę. Póki co proszę powtórzyć mi moje przybrane nazwisko!

– John Smith – odparł Daniel.

– Oczywiście! Jak mogłem zapomnieć? A pani, doktor D’Agostino, będzie moją Pocahontas.

Stephanie zdobyła się na kolejny słaby uśmiech.

– Dobrze! – oświadczył Ashley, odzyskując entuzjazm. – Teraz ten stary prowincjusz zapomni o swych bolączkach i ruszy w stronę kasyna. Czekam ważne spotkanie z grupą jednorękich bandytów.

Parę minut później Daniel i Stephanie szli korytarzem do swego pokoju. Mijając ochroniarza, Stephanie skinęła mu głową, Daniel jednak tego nie zrobił. Był wyraźnie zirytowany, czego dowodził sposób, w jaki zatrzasnął drzwi, kiedy weszli. Ich apartament był o połowę mniejszy od apartamentu Ashleya. Roztaczał się z niego ten sam widok, ale bez balkonu.

– Niezwykle żywotne! Daj spokój! – warknął Daniel. Zatrzymał się tuż przy drzwiach i oparł dłonie na biodrach. – Nie mogłaś wymyślić lepszego określenia naszych komórek terapeutycznych niż „żywotne”? Co ty wyczyniasz? Próbujesz go na koniec odstraszyć? Na domiar wszystkiego zachowywałaś się tak, jak gdybyś nie chciała nawet ucisnąć mu ręki.



- Bo nie chciałam – przyznała Stephanie. Podeszła do ich jedynej kanapy i usiadła.
- A dlaczego nie, do cholery? Dobry Boże!
- Nie szanuję go i jak powtarzam do obrzydzenia, nie podoba mi się ta cała sprawa.
- Wyglądało to na jakąś bierną agresję, kiedy zastanawiałaś się nad odpowiedzią na najprostsze pytania.
- Słuchaj! Zrobiłam, co w mojej mocy. Nie chciałam kłamać. Pamiętaj, że nie chciałam nawet tam wchodzić. To ty nalegałeś.
- Daniel sapnął głośno. Spojrzał z wściekłością na Stephanie.
- Czasem bywasz irytująca.
- Przykro mi – odparła Stephanie. – Nie potrafię udawać. A skoro już o irytowaniu mowa, sam niewiele mi ustępujesz. Kiedy następnym razem będzie cię kusilo, żeby powiedzieć do mnie „grzeczna dziewczynka”, daj sobie na wstrzymanie.

## **Rozdział dwudziesty czwarty**

### **10.22, niedziela, 24 marca 2002**

Jeśli w miarę upływu czasu Ashley Butler zaczął mieć opory co do wizyt u lekarza, bo boleśnie przypominały mu one o jego śmiertelności, to pójście do szpitala było dla niego czymś jeszcze gorszym, a wyprawa do Kliniki Wingate'a nie należała do wyjątków. Choć w samochodzie żartował z Carol na temat swego pospolitego przybranego nazwiska, a po przybyciu na miejsce roztaczał swój urok południowca wobec przyjmujących go pielęgniarek i laborantek, był przerażony. Cienka powłoka jego pozornej niefrasobliwości została wystawiona na szczególnie ciężką próbę, gdy przedstawiono mu neurochirurga, doktora Rashida Nawaza. Choć Ashley usłyszał już wcześniej jego zdecydowanie egzotyczne nazwisko, lekarz w najmniejszym stopniu nie odpowiadał jego wyobrażeniom. Upředzenia zawsze odgrywały istotną rolę w jego zapatrywaniach senatora i teraz również dały o sobie znać. Jego zdaniem neurochirurg powinien być człowiekiem wysokim, poważnym i stanowczym, najlepiej o nordyckim rodowodzie. Zamiast tego zobaczył przed sobą niskiego, drobnego, ciemnoskórego osobnika o jeszcze ciemniejszych wargach i oczach. Nieco otuchy dodawał śpiewny angielski akcent lekarza, który odzwierciedlał jego oksfordzkie wykształcenie. Pocieszająca była także aura pewności siebie i zabarwionego współczuciem profesjonalizmu. Ten człowiek dostrzegał i rozumiał trudną sytuację Ashleya jako pacjenta stojącego przed niekonwencjonalną terapią i aby delikatnie ukoić jego obawy, powiedział mu, że czekający go zabieg wcale nie jest trudny.

Doktor Carl Newhouse, anestezjolog, bardziej przystawał do oczekiwań Ashleya. Jako rumiany Anglik z lekką nadwagą wyglądał jak inni biali lekarze, których Ashley spotykał w przeszłości. Ubrany był w chirurgiczny kitel, uzupełniony czapczką i maską, która, zawiązana na szyi, dyndała mu na piersi. Na szyi wisiał stetoskop, a z kieszonki na piersi wystawała kolekcja długopisów. Wokół paska od spodni owiniętą miał opaskę uciskową z brązowej gumowej rurki.

Z drobiazgową dokładnością doktor Newhouse wypytał Ashleya o przebyte choroby, ze

szczególnym uwzględnieniem alergii, reakcji na leki i wykonywanych znieczuleń. Ośłuchawszy i opukawszy jego klatkę piersiową w ramach pobieżnego badania, założył mu kroplówkę z taką wprawą, że Ashley ledwie to poczuł. Kiedy płynęła tak jak trzeba, doktor Newhouse poinformował Ashleya, że poda mu silny dożylny koktajl, po którym poczuje się on spokojny, zadowolony, może nawet wniebowzięty, i zdecydowanie senny.

– Im szybciej, tym lepiej – mruknął Ashley. Bardzo potrzebował spokoju. Dręczony obawami co do czekającego go zabiegu, miał trudności z zaśnięciem poprzedniej nocy. A poranek, niezależnie nawet od psychicznego napięcia, nie był łatwy. Idąc za radą Daniela, nie zażył leków na chorobę Parkinsona, a skutki okazały się poważniejsze, niż się spodziewał. Nie zdawał sobie dotąd sprawy, w jakim stopniu leki łagodziły objawy choroby. Nie był w stanie powstrzymać palców przed mimowolnym rytmicznym ruchem, jak gdyby próbował obracać przedmioty w dłoniach. Jeszcze gorsza była sztywność, którą porównywał do prób poruszania się przy całkowitym zanurzeniu w żelatynie. Carol musiała sprowadzić wózek inwalidzki, by zwieźć Ashleya na dół do limuzyny, a dwóch odźwiernych z trudem zdołało przenieść go z wózka do samochodu. Przybycie do Kliniki Wingate'a było równie trudne i równie poniżające. Jediną jasną stroną tej męki było to, że dzięki przebraniu turysty najwyraźniej nikt go nie rozpoznał.

Dożylny koktajl doktora Newhouse'a spełnił jego obietnice z nawiązką. W tej chwili Ashley był znacznie bardziej zadowolony i spokojny, niż gdyby opróżnił kilka wysokich szklanek swego ulubionego bourbona, i to niezależnie od tego, że siedział w kafelkowanej sali na uniesionym do pozycji siedzącej stole operacyjnym, z rękami rozłożonymi na boki i zamocowanymi na wspornikach. Nawet drzenie zelżało, lub jeśli nie zelżało, przynajmniej nie był go świadom. Ubrany był w kusą szpitalną narzutkę, spod której wystawały wyciągnięte do przodu, masywne, ziemistobiałe nogi. Jego nagie, suche, haluksowate stopy z zawijającymi się, żółtymi paznokciami sterczały ku sufitowi. Na jednej ręce umocowaną miał kroplówkę, na drugiej zaś mankiet do pomiaru ciśnienia krwi. Do jego klatki piersiowej podłączono odprowadzenia elektrokardiografu, a popiskiwanie urządzenia rozlegały się echem po sali.

Doktor Nawaz za pomocą centymetra, mazaka i maszynki do golenia przygotowywał głowę Ashleya do montażu ramy stereotaktycznej, która w tej chwili spoczywała obok kolekcji sterylnych instrumentów na okrytym prześcieradłem stoliku. Chociaż rama wyglądała jak narzędzie tortur, na zamroczonym lekami Ashleyu nie robiło to najmniejszego wrażenia. Nie robiła też na nim wrażenia obecność doktora Lowella i doktora D'Agostino, którzy pojawili się wraz ze Spencerem Wingate'em i Paulem Saundersem w oknie wychodzącym na korytarz bloku operacyjnego. Ubrani w kitle, zdawali się obserwować przygotowania, jak gdyby było to jakieś widowisko. Ashley miał ochotę im pomachać, ale nie mógł tego zrobić ze skrzepowanymi ramionami. Poza tym trudno było mu unieść powieki, a co dopiero ręce.

– Teraz ogolę i przygotuję małe obszary na bokach i tyle pana głowy – oświadczył doktor

Nawaz, podając centymetr i mazak Marjorie Hickam, asystentce anestezjologa. – To będą miejsca, gdzie, jak wyjaśniłem wcześniej, zamocujemy ramę do czaszki. Czy pan rozumie, panie Smith?

Minęła chwila, nim Ashley uzmysłowił sobie, że tak brzmi jego przybrane nazwisko i że doktor zwraca się do niego.

– Chyba tak – wymamrotał monotonnym głosem. – Być może mógłby pan przy okazji ogolić mi twarz. Bez moich leków nie wyszło mi to najlepiej dziś rano.

Doktor Nawaz parsknął śmiechem na ten nieoczekiwany żart, podobnie jak wszyscy obecni, wśród których była też instrumentariuszka, Constance Bartolo. Ubrana w kitel i rękawiczki, stała obok stolika z ramą i instrumentami, jak gdyby pełniła wartę.

Kilka chwil później doktor Nawaz cofnął się o krok i przyjrzał się swemu dziełu.

– Moim zdaniem wygląda to nieźle. Skoczę się przebrać, potem obłożymy pacjenta płachtami i możemy zaczynać.

Mimo potencjalnie przerażającej perspektywy wiercenia dziury w czaszce Ashley zapadł w spokojną, pozbawioną snów drzemkę. Wkrótce częściowo wyrwał go z tego stanu dotyk układanych na nim jałowych prześcieradeł, ale natychmiast zasnął z powrotem. Kilka minut później na dobre obudził go nagły, piekący ból po prawej stronie głowy. Z wielkim wysiłkiem rozchylił ciężkie powieki. Próbował nawet podnieść prawą rękę, szarpiąc krępujące ją więzy.

– Spokojnie! – powiedział doktor Newhouse. Stał z boku za Ashleyem. – Wszystko w porządku! – Dotknięciem powstrzymał jego ramię.

– Właśnie wstrzykuję znieczulenie miejscowe – wyjaśnił doktor Nawaz. – Może pan czuć pieczenie. Będę znieczulał cztery miejsca.

– Pieczenie! – zdumiał się otepiały Ashley. Było to typowo lekarskie bagatelizowanie doznań, gdyż on sam miał wrażenie, że rozgrzany do białości nóż odcina mu skalp od czaszki. A jednak pozostał dziwnie obojętny, jak gdyby ból dotyczył kogoś innego, a on jedynie wszystko obserwował. Pomagało też i to, że w każdym przypadku ból był przelotny, a po nim następował zupełny brak czucia w danym obszarze.

Tylko jak przez mgłę zdawał sobie sprawę z procesu nakładania ramy stereotaktycznej. Na przemian odzyskiwał i tracił przytomność w ciągu ponad półgodzinnych manipulacji i regulacji, których wymagało zakotwiczenie ramy sztyftami solidnie zamocowanymi do zewnętrznej powierzchni jego czaszki. Nie miał żadnej świadomości przeszłości, przyszłości ani upływu czasu.

– To powinno wystarczyć – stwierdził doktor Nawaz. Chwycił wyskalowane półkoliste ramiona, które biegły łukiem nad głową Ashleya, i delikatnie sprawdził stabilność ramy, próbując poruszyć ją we wszystkich kierunkach. Trzymała się solidnie, przytwierdzona czterema śrubami do czaszki senatora. Zadowolony z efektu doktor Nawaz cofnął się o krok, przycisnął sterylne, okryte rękawiczkami dłonie do osłoniętej kitlem piersi i odchrząknął.

– Pani Hickman, zechce pani zawiadomić rentgen, że jesteśmy gotowi?

Asystentka anestezjologa, która przygotowywała właśnie kolejną butelkę ze środkiem znieczulającym dla doktora Newhouse'a, nagle zamarła. Jej szarobłękitne oczy powędrowały najpierw ku koleżance, Constance, w poszukiwaniu odrobiny wsparcia, nim odważyła się napotkać wzrok doktora Nawaza. Przez chwilę Marjorie nie wiedziała, co powiedzieć. W latach nauki miała okazję zetknąć się z niecierpliwością neurochirurgów i nerwową atmosferą sal operacyjnych, spodziewała się więc najgorszego.

– Nie guzdrajmy się – oświadczył doktor Nawaz z napięciem w głosie. – Pora na rentgen.

– Ale nie mamy rentgena – odparła z wahaniem Marjorie. Spojrzała na doktora Newhouse'a, szukając poparcia, aby to nie na nią spadł pełen ciężar odpowiedzialności za obecny problem.

– Co to znaczy, że nie macie rentgena? – zapytał ostro Nawaz. – Do cholery, lepiej znajdźcie rentgen, albo kończymy i idziemy do domu! Nie ma mowy, żebym mógł zrobić implantację wewnątrzczaszkową bez rentgena.

– Marjorie chce powiedzieć, że te dwie sale operacyjne nie zostały zaprojektowane do wykonywania prześwietleń – wyjaśnił doktor Newhouse. – Są przeznaczone przede wszystkim do zabiegów związanych z leczeniem niepłodności, więc wyposażono je w najnowocześniejszy sprzęt do ultrasonografu. Czy to wystarczy?

– W żadnym razie! – warknął Nawaz. – USG do niczego się nie przyda. Potrzebny mi jest pełnowymiarowy rentgen, by uzyskać dokładne pomiary. Trójwymiarowa siatka współrzędnych ramy musi zostać zorientowana względem mózgu pacjenta. W przeciwnym razie wszystko przypominałoby strzelanie w ciemno. Muszę mieć cholerny rentgen! Chce mi pan powiedzieć, że nie macie nawet przenośnego urządzenia?

– Niestety, nie – odparł doktor Newhouse. Pomachał przez okno do Paula Saundersa, by przyszedł do sali.

Paul wetknął głowę przez drzwi, przytrzymując maseczkę przy twarzy.

– Jest jakiś problem?

– Lepiej niech pan przyjmie do wiadomości, że jest cholerny problem – wybuchnął doktor Nawaz. – Poniewczasie poinformowano mnie, że nie macie rentgena.

– Mamy rentgen – powiedział Paul. – Mamy nawet sprzęt do przeprowadzania rezonansu magnetycznego.

– No to dajcie go tutaj! – rzucił niecierpliwie Nawaz.

Paul wszedł do środka i spojrzał przez okno na pozostałych. Pomachał im, żeby weszli, co też zrobili, podobnie jak on trzymając maseczki przy twarzach.

– Pojawił się problem, o którym nikt nie pomyślał – wyjaśnił Paul. – Rashid potrzebuje rentgena, ale ta sala nie jest w niego wyposażona, a nie mamy przenośnego urządzenia.

– Och, na Boga! Po tylu trudach wszystko sprowadza się do tego? – zapytał retorycznie Daniel. Spojrzał na neurochirurga. – Dlaczego nie wspomniał pan, że potrzebny jest panu rentgen?

– Dlaczego nie powiedzieliście mi, że go nie ma? – odparował Nawaz. – Nigdy nie miałem wątpliwego zaszczytu pracować w nowoczesnej sali operacyjnej, która nie miałaby dostępu do rentgena.

– Zastanówmy się chwilę i niech zwycięży spokój i rozsądek! – zaproponował Paul. – Musi być jakieś rozwiązanie.

– Nie ma się nad czym zastanawiać – odburknął Nawaz. – Nie mogę zlokalizować punktu iniekcji bez rentgena. I tyle.

Poza miarowym popiskiwanym monitorem akcji serca w sali zapanowała napięta cisza. Wszyscy unikali nawzajem swego wzroku. Nikt się nie ruszał.

– Może zabralibyśmy pacjenta do pracowni rentgenowskiej – zaproponował nagle Spencer. – To nie jest daleko.

Inni także rozważali ten pomysł, ale odrzucili go. Teraz zastanowili się nad nim ponownie. Przeniesienie pacjenta z sali operacyjnej do pracowni rentgenowskiej w trakcie zabiegu trudno byłoby uznać za rutynowe działanie, jednak w obecnych okolicznościach wchodziło to w grę. Obiekt był zupełnie nowy i praktycznie pusty, więc skażenie nie stanowiło tak poważnego problemu jak w normalnych warunkach, tym bardziej że nie wykonano jeszcze kraniotomii.

– Muszę przyznać, że ma to sens – stwierdził z optymizmem Daniel. – Jest tu dosyć ludzi. Wszyscy możemy pomóc.

– Co ty na to, Rashid? – zapytał Paul.

Doktor Nawaz wzruszył ramionami.

– Myślę, że to jest do przyjęcia, o ile zostawimy pacjenta na stole operacyjnym. Teraz, kiedy jest w pozycji siedzącej, z ramą stereotaktyczną na głowie, byłoby nierozsądne przekładać go na wózek i z powrotem.

– Stół operacyjny jest na kółkach – przypomniał wszystkim doktor Newhouse.

– A więc do dzieła! – powiedział Paul. – Marjorie, uprzedź pracownię rentgenowską, że za chwilę przyjdziemy na prześwietlenie.

Doktor Newhouse potrzebował kilku minut, by odłączyć Ashleya od monitora akcji serca i odwiązać jego ręce od wsporników. Z ramionami sterczącymi na boki nie dałoby się przewieźć go przez drzwi. Gdy wszystko było gotowe i dłonie Ashleya spoczywały bezpiecznie na brzuchu, doktor Newhouse zwolnił stopą blokadę kółek. Z pomocą Marjorie i Paula, którzy ciągnęli, podczas gdy on sam pchał, wytoczył stół operacyjny na korytarz. Pozostali, z wyjątkiem instrumentariuszki, która została w sali operacyjnej, ruszyli gromadnie za nimi. Mimo całej szarpaniny Ashley nie przebudził się, kompletnie niepomny rozgrywającego się dramatu. Z głową zamkniętą w futurystycznie wyglądającej ramie stereotaktycznej sprawiał wrażenie pogrążonej w śnie postaci z filmu science fiction.

Gdy znaleźli się na korytarzu, wszyscy z wyjątkiem doktora Nawaza przyłączyli się do pchania, choć nie było to specjalnie potrzebne. Stół operacyjny toczył się gładko po

kompozytowej podłodze, cicho dudniąc z powodu swej znacznej wagi. Kiedy grupa dotarła do pracowni rentgenowskiej, wywiązała się dyskusja, czy przenieść Ashleya ze stołu operacyjnego na stół do prześwietleń. Po rozważeniu za i przeciw zdecydowano, że najlepiej będzie zostawić go na stole operacyjnym.

Doktor Nawaz nałożył ciężki fartuch ochronny, gdyż chciał osobiście ustawić i podtrzymać głowę Ashleya podczas robienia zdjęć. Wszyscy inni wycofali się z powrotem na korytarz. Ashley nie obudził się.

– Proszę wywołać zdjęcia, zanim odwieziemy go z powrotem – powiedział technicze doktor Nawaz, kiedy weszła, by zabrać naświetlone klisze. – Muszę mieć absolutną pewność, że są dobre.

– Będą gotowe za sekundkę – odparła dziarsko techniczka.

Doktor Newhouse wrócił do pracowni rentgenowskiej, by sprawdzić stan Ashleya. Paul i Spencer ruszyli za techniczką, by czekać na wyłonienie się klisz z wywoływacza. Daniel i Stephanie zostali na chwilę sami.

– To przypomina komedię pomyłek, tyle że wcale nie jest śmieszne – szepnęła Stephanie, kręcąc z oburzeniem głową.

– Jesteś niesprawiedliwa – odparł cicho Daniel. – Nie można nikogo winić za to nieporozumienie z rentgenem. Patrząc na to bezstronnie, zresztą było, minęło. Prześwietlenie zostało zrobione, więc zaczniemy implantację.

– Nie ma znaczenia, czy można kogoś winić, czy nie – prychnęła Stephanie. – Tak czy inaczej, to wpadka, i tak było ze wszystkim po kolei od tamtej pamiętnej deszczowej nocy w Waszyngtonie aż do dziś. Wciąż zadaję sobie pytanie, co jeszcze może pójść źle.

– Spróbujmy zdobyć się na nieco optymizmu – warknął Daniel. – Widać już koniec.

Paul i Spencer wynurzyli się z ciemni w towarzystwie techniczki, która trzymała się kilka kroków z tyłu. Paul niósł w dłoniach zdjęcia.

– Moim zdaniem wyglądają dobrze – zauważył, kiedy mijał Daniela i Stephanie, a potem wszedł do pracowni rentgenowskiej. Pozostali ruszyli za nim. Paul rzucił klisze na przegładarę, włączył światło i odszedł na bok. Obrazy przedstawiały czaszkę Ashleya zwieńczoną nieprzeziernym zarysem ramy stereotaktycznej.

Doktor Nawaz zbliżył się i z nosem przy kliszach uważnie obejrzał każdą z nich, orientując się głównie po niewyraźnych cieniach wypełnionych płynem jam mózgu Ashleya. Przez chwilę nikt się nie odzywał. Słyszał było jedynie głęboki oddech Ashleya, na krótko zagłuszony sykiem powietrza spuszczanego z mankietu do pomiaru ciśnienia.

– I co? – zapytał Paul.

Doktor Nawaz skinął z ociąganiem głową na znak aprobaty.

– Wyglądają nieźle. Powinny się nadać. – Wyciągnął pisak, kątomierz i precyzyjną metalową linijkę. Pieczołowicie zlokalizował konkretne miejsce na każdej z klisz i oznaczył je małym krzyżykiem. – To jest nasz cel: część zbita istoty czarnej po prawej stronie

śródmózgowia. Teraz muszę ustalić współrzędne x, y i z. – Zaczął kreślić linie na kliszach i mierzyć kąty.

– Chcesz zrobić to tutaj? – zapytał Paul.

– Tu jest dobra podświetlarka – odparł Nawaz, nie przerywając pracy.

– Powinniśmy odwieźć pacjenta na salę operacyjną – powiedział doktor Newhouse. – Będę spokojniejszy, kiedy znów podłączę go do monitora akcji serca.

– Dobry pomysł – przyznał Paul. Czym prędzej podszedł do nóg stołu operacyjnego, by pomóc w transporcie. Doktor Newhouse zwolnił blokadę kół.

Daniel i Stephanie, spoglądając Nawazowi przez ramię, obserwowali w skupieniu, jak kreśli współrzędne dla igły implantacyjnej, której prowadnica miała już wkrótce zostać solidnie przymocowana do ramy.

Paul na przedzie i doktor Newhouse z tyłu wyprowadzili stół operacyjny z pracowni rentgenowskiej. Doktor Newhouse trzymał jedną dłoń na ramieniu Ashleya, by móc stabilizować go podczas transportu. Prawdopodobnie nie było to konieczne, gdyż wcześniej przykleił taśmą klatkę piersiową pacjenta do uniesionej części stołu, ale chciał mieć pewność.

Gdy znaleźli się na korytarzu, Paul odwrócił się twarzą w kierunku ruchu i chwycił skraj stołu operacyjnego za plecami. Tak było łatwiej, niż kiedy szedł tyłem. Nadal ciągnął, ale jego rola polegała bardziej na sterowaniu, gdyż stół operacyjny, ze swymi czterema kółkami, często zbaczał z kursu. Marjorie szła obok, trzymając butelkę kroplówki, również gotowa podtrzymać Ashleya, gdyby zaszła taka potrzeba. Spencer zamykał pochód, wydając od czasu do czasu rozkazy, na które nikt nie zwracał uwagi.

– Nie podoba mi się jego kolor – stwierdził doktor Newhouse w jasno oświetlonym świetlówkami korytarzu. – Prędzej!

Wszyscy przyspieszyli kroku.

– Był błąd, odkąd tu przyszedł – zauważył Spencer. – Nie wydaje mi się, żeby coś się zmieniło.

– Chcę mieć go z powrotem na monitorze – powiedział Newhouse.

– Jesteśmy na miejscu! – oświadczył Paul. Pchnął drzwi sali operacyjnej i wszedł, nie odwracając się twarzą w stronę stołu. W pośpiechu nie zadbał o odpowiednie ustawienie stołu wobec drzwi, przez co stół wjechał pod kątem. W rezultacie jeden z przednich rogów wyrzwał w metalową futrynę z siłą na tyle wielką, że ciało Ashleya naparło na taśmę mocującą jego klatkę piersiową do stołu. Bezwładność ramy stereotaktycznej wywołała lekki odrzut, w wyniku czego głowa senatora przesunęła się po skosie do przodu. Doktor Newhouse i Constance zareagowali natychmiast, chwytając ramiona Ashleya, które także podskoczyły od uderzenia.

– Rany boskie! – wykrzyknął Newhouse.

– Przepraszam – powiedział ze skruszoną miną Paul. Ponieważ to głównie on był odpowiedzialny za sterowanie, ponosił największą winę za zderzenie.



– Czy rama uderzyła w futrynę? – zapytał doktor Newhouse, z powrotem ułożywszy dłoń Ashleya na podolku.

– Nie, ominęła ją – odparła Marjorie. Szła po stronie, po której nastąpiła kolizja, i mogłaby jej zapobiec, gdyby w porę zorientowała się w sytuacji. Wszystko nastąpiło po prostu zbyt szybko. Puściła ramię Ashleya, by odepchnąć przedni skraj stołu od futryny.

– Bogu dzięki – westchnął doktor Newhouse. – Przynajmniej nie skaziliśmy jej. W przeciwnym razie musielibyśmy zaczynać od początku.

Constance, która stała przy stoliku z instrumentami, rzuciła się z pomocą. Ponieważ nie zdjęła kitla i rękawiczek, gdy wszyscy inni poszli do pracowni rentgenowskiej, mogła chwycić ramię bez szkody dla jej sterylności, wyprostować ją wraz z głową Ashleya i podeprzeć.

– Skończyliście już? – wybełkotał półprzytomny Ashley. Uderzenie wyrwało go z wywołanej lekami drzemki. Próbował otworzyć oczy, jednak bez większego powodzenia. Jego powieki z trudem rozchyliły się w wąskie szparki. Poczł dziwny ciężar na głowie, więc poruszył się, by sięgnąć w górę i pomacać, co to takiego. Doktor Newhouse chwycił jego uniesioną rękę, a Marjorie powstrzymała drugą.

– Ustawcie stół na miejscu – rozkazał doktor Newhouse.

Paul przeciągnął stół na środek sali. Pomógł doktorowi Newhouse'owi zamontować wsporniki ramion. Chwilę później ręce Ashleya były już należycie unieruchomione. Ashley ułatwił lekarzom zadanie, natychmiast ponownie zapadając w sen. Doktor Newhouse podał odprowadzenia EKG Marjorie, która podłączyła je do urządzenia. Wkrótce napiętą ciszę sali zastąpiły regularne i uspokajające sygnały dźwiękowe monitora akcji serca. Doktor Newhouse zmierzył ciśnienie krwi, po czym wyjął z uszu końcówki stetoskopu.

– Wszystko jest w porządku – oświadczył.

– Powinienem być bardziej uważać – przyznał Paul.

– Nic się nie stało – odparł doktor Newhouse. – Rama wyszła bez szwanku. Uprzedzimy doktora Nawaza, żeby ją sprawdził. Czy jest stabilna, Constance?

– Siedzi mocno – stwierdziła instrumentariuszka, która w dalszym ciągu podtrzymywała ramię.

– Dobrze – powiedział doktor Newhouse. – Myślę, że możesz już puścić. Dzięki za pomoc.

Constance niepewnie rozluźniła uchwyt. Położenie ramy nie zmieniło się. Kobieta wróciła na swoje miejsce przy stoliku.

– Miałaś chyba rację co do koloru skóry pacjenta – zawołał doktor Newhouse do Spencera. – Z krążeniem wszystko jest w porządku, ale chyba założę pulsoksymetr. Marjorie, możesz mi go przynieść z sali znieczuleń?

– Nie ma problemu – odparła Marjorie i zniknęła za drzwiami przyległego pomieszczenia.

W wychodzącym na korytarz oknie pojawiła się nowa postać i pomachała do Paula. Choć człowiek ten ubrany był w kitel i maseczkę, Paul natychmiast rozpoznał w nim Kurta Hermanna. Jego tętno, uspokojone już po zderzeniu stołu operacyjnego z futryną, znów gwałtownie podskoczyło. Był zaniepokojony, gdyż Kurt Hermann rzadko pokazywał się poza budynkiem administracyjnym, gdzie mieściło się jego biuro, a już na pewno nie w bloku operacyjnym. Musiało stać się coś naprawdę złego, tym bardziej że powściągliwy na ogół Kurt machał jak szalony, wywołując go z sali.

Paul czym prędzej ruszył do drzwi i wyszedł na korytarz.

– Co się dzieje? – zapytał niespokojnie.

– Muszę porozmawiać z panem i doktorem Wingate'em na osobności.

– O czym?

– O tożsamości pacjenta. On nie jest związany z mafią.

– Och, naprawdę? – Paul odetchnął z ulgą. Ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewał, była dobra wiadomość. – Więc kim on jest?

– Może poprosiłby pan doktora Wingate'a.

– Jasne! Chwileczkę!

Paul wrócił do sali operacyjnej i nachylił się do ucha Spencera. Spencer uniósł brwi. Zerknął w stronę okna na Kurta, jak gdyby nie wierzył w to, co właśnie usłyszał. Skwapliwie wyszedł za Pauliem na korytarz. Kurt skinął na nich, by poszli za nim do magazynu bloku operacyjnego. Tam starannie zamknął drzwi, po czym odwrócił się do szefów. Niezbyt ich szanował, tym bardziej że nigdy nie był do końca pewny, który z nich tutaj rządzi.

– I co? – zapytał Spencer. Nie miał do Kurta takiej cierpliwości jak Paul. – Powiesz nam czy nie? Kim on jest?

– Najpierw krótkie wprowadzenie – oświadczył Kurt w swym zwięzłym, wojskowym stylu. – Dowiedziałem się od kierowcy limuzyny, że przywiózł pacjenta i jego towarzyszkę z ośrodka Atlantis. Dzięki kontaktom z pracownikami ośrodka, które otrzymałem od miejscowej policji, dowiedziałem się, że zatrzymali się w apartamencie Posejdon, zarejestrowanym na nazwisko Carol Manning z Waszyngtonu.

– Carroll Manning? – powtórzył Spencer. – Nigdy o nim nie słyszałem. Co to, u diabła, za jeden?

– Carol Manning to kobieta – wyjaśnił Kurt. – Kazałem przyjacielowi ze Stanów sprawdzić to nazwisko. To asystentka senatora Ashleya Butlera. Zasięgnąłem informacji w bahamskim urzędzie imigracyjnym. Senator Butler przybył wczoraj na wyspę. Jestem przekonany, że to właśnie on jest naszym pacjentem.

– Senator Butler! Oczywiście! – wykrzyknął Spencer, klepiąc się w czoło. – Wicie, kiedy zobaczyłem go dziś rano, wydał mi się znajomy, ale po prostu nie mogłem dopasować nazwiska do osoby, zwłaszcza w tym idiotycznym ubraniu turysty.

– Cholera! – zaklął Paul. Z wściekłością podparł się pod boki i zaczął krążyć po ciasnej

przestrzeni magazynu. – Tyle kłopotu, żeby dowiedzieć się, kim on jest, i okazuje się, że to pieprzony polityk. Oto nasza zapłata.

– Nie bądźmy zbyt pochopni – upomniał go Spencer.

– A czemu nie, do diabła? – odparł Paul. Zatrzymał się i spojrzał na Spencera. – Liczyliśmy na to, że tajemniczy pacjent będzie bogaty i sławny. To oznaczało kogoś w rodzaju słynnego aktora, gwiazdy rocka albo znanego sportowca, w najgorszym razie szefa potężnej firmy. Z pewnością nie polityka!

– Są politycy i politycy – zauważył Spencer. – Pamiętaj, ostatnio sporo mówi się o tym, że Butler ubiega się o nominację na prezydenta z ramienia demokratów.

– Ale politycy nie mają pieniędzy – zaproponował Paul. – W każdym razie własnych.

– Ale za to mają dostęp do ludzi, którzy mają ich w bród – odparł Spencer. – To właśnie się liczy, zwłaszcza jeśli chodzi o poważnych kandydatów do prezydentury. Kiedy szeregi demokratycznych kandydatów na prezydenta przerzedzą się, co niewątpliwie nastąpi, pojawi się mnóstwo pieniędzy. Jeśli Butler będzie kandydował i poradzi sobie dobrze na wczesnym etapie, może jednak doczekamy się naszych kokosów.

– Morze jest głębokie i szerokie – stwierdził cierpko Paul z grymasem powątpiewania na twarzy. – Ale mimo wszystko jestem zadowolony z tego, co już mamy. Kokosy czy nie, udało mi się dość dobrze zapoznać z HTRS, co przyniesie nam wielkie zyski, niezależnie od obiecanych czterdziestu pięciu tysięcy, co też nie jest marnym groszem. Więc cieszę się, zwłaszcza z oświadczenia, które podpisał doktor Lowell. Nie będzie mógł się wyprzeć tego, co tu robił, a ja będę dążył do publikacji tego przyprawionego Całunem Turyńskim artykułu w „New England Journal of Medicine”. Rozgłos będzie na dłuższą metę naszym najważniejszym zyskiem, a do tego polityk nadaje się równie dobrze jak każda inna znakomitość, czy nawet lepiej.

– Wróć do zwykłych obowiązków – oświadczył Kurt. Nie zamierzał stać tutaj i słuchać bredni tych dwóch bufonów. Podszedł do drzwi i otworzył je.

– Dzięki za zdobycie nazwiska – powiedział Paul.

– Tak, dzięki – dodał Spencer. – Spróbujemy zapomnieć, że zabrało ci to miesiąc i że musiałeś przy okazji zabić człowieka.

Kurt rzucił mu gniewne spojrzenie, po czym wyszedł. Drzwi zamknęły się samoczynnie.

– Ta ostatnia uwaga była nie fair – powiedział Paul.

– Wiem – odparł Spencer z lekceważącym machnięciem ręki. – Chciałem być dowcipny.

– Nie doceniasz znaczenia jego pracy dla nas.

– Chyba nie – przyznał Spencer.

– Docenisz, kiedy zaczniemy działać pełną parą. Bezpieczeństwo będzie wtedy sprawą wielkiej wagi. Wierz mi!

– Może i tak, ale na razie wróćmy do implantacji i miejmy nadzieję, że dalej pójdzie lepiej niż do tej pory. – Spencer otworzył drzwi i zrobił krok na zewnątrz.

– Zaczekaj chwilę – powiedział Paul, chwytając go za ramię. – Coś właśnie sobie przypomniałem. To właśnie senator Ashley Butler wystąpił z inicjatywą, by zakazać HTRS. Co za ironia, skoro teraz sam ma skorzystać z jej dobrodziejstw!

– Moim zdaniem więcej w tym hipokryzji niż ironii – stwierdził Spencer. – On i Lowell musieli zawrzeć jakiś potajemny układ.

– Tak właśnie musiało być, a to wróży dobrze dla naszych finansów, bo obu będzie zależało na tym, żeby zachować to w głębokiej tajemnicy.

– Myślę, że jesteśmy panami sytuacji – stwierdził Spencer, kiwając głową. – Teraz wracajmy do sali operacyjnej i dopilnujmy, by nie było już więcej problemów, tak żeby implantacja mogła rzeczywiście się odbyć. Całe szczęście, że byliśmy na miejscu przy tym zamieszaniu z rentgenem.

– Musimy postarać się o przenośny aparat rentgenowski.

– Wstrzymajmy się z tym, jeśli łaska, dopóki nie doczekamy się jakichś funduszy.

Tuż przed drzwiami sali operacyjnej Spencer przystanął. Odwrócił się do Paula.

– Myślę, że nie wolno nam na razie zdradzić, że znamy prawdziwą tożsamość senatora.

– Oczywiście – zgodził się Paul. – To się rozumie samo przez się.

## **Rozdział dwudziesty piąty**

### **11.45, niedziela, 24 marca 2002**

Tony D'Agostino miał wrażenie, że pogrążył się w złym śnie, z którego nie jest w stanie się przebudzić, gdy po raz kolejny podjeżdżał pod hurtownię instalacji wodno-kanalizacyjnych braci Castigliano. Na domiar złego był to zimny, deszczowy niedzielny ranek i Tony mógł robić tysiące przyjemniejszych rzeczy, na przykład siedzieć nad cappuccino i cannoli w przytulnej Cafe Cosenza na Hanover Street.

Otworzył drzwi samochodu, wysunął parasol i rozłożył go. Wtedy dopiero wysiadł z wozu. Ale wszystko na próżno, i tak zmókł. Wiatr smagał deszczem na wszystkie strony. Trudność sprawiało nawet samo utrzymanie parasola, by nie został wyrwany z ręki.

Tuż za drzwiami Tony tupaniem strząsał z butów krople wody, otarł czoło grzbietem dłoni i oparł parasol o ścianę. Mijając ladę, gdzie zwykle pracował Gaetano, zaklął pod nosem. Był pewien, że ten kloc znów schrząnił robotę, i miał nadzieję, że zastanie go tutaj, by móc powiedzieć mu kilka słów do słuchu.

Drzwi do biura na zapleczu jak zwykle nie były zamknięte na klucz i Tony, zapukawszy dla porządku, wszedł, nie czekając na odpowiedź. Obaj bracia Castigliano siedzieli przy biurkach, których zagracone blaty oświetlały jednakowe lampki o zielonych, szklanych abażurach. Przy grubej warstwie chmur przez wychodzące na bagna brudne okna o małych szybkach wpadało do środka bardzo niewiele światła.

Bracia równocześnie unieśli głowy. Sal przepisywał właśnie do staroświeckiej księgi rachunkowej dane ze sterty pomiętych świstków. Lou układał pasjansa. Niestety, Gaetana tu nie było.

Zgodnie ze zwykłym rytuałem Tony zamasyście uścisnął dłonie bliźniakom, po czym usiadł na sofie. Nie oparł się ani nawet nie rozpiął płaszcza. Przewidywał krótką wizytę. Odchrząknął. Nikt nie odezwał się słowem, co było nieco dziwne, tym bardziej że to on sam zamierzał zademonstrować rozdrażnienie.

– Moja matka rozmawiała wczoraj wieczorem z moją siostrą – zaczął Tony. – Muszę

wam powiedzieć, że jestem zdezorientowany.

– Och, doprawdy? – zapytał Lou z nutą szyderstwa w głosie. – Nie ty jeden!

Tony spoglądał to na jednego, to na drugiego z braci. Nagle stało się jasne, że obaj byli w równie podłym nastroju jak on sam. Świadczyło o tym zwłaszcza lekceważące zachowanie Lou, który natychmiast wrócił do pasjansa, zamazyście rzucając karty na blat biurka. Tony spojrział na Sala, a ten spiorunował go wzrokiem. Sal wydawał się bardziej ponury niż zwykle. Z zapadniętą twarzą, oświetloną od dołu niezdrowym, zielonym blaskiem, wyglądał jak trup.

– Może nam powiesz, dlaczego jesteś zdezorientowany? – podsunął wyniośle Sal.

– Tak, bardzo nas to ciekawi – dodał Lou, nie odrywając się od pasjansa. – Tym bardziej że to ty nas naciskałeś, żebyśmy wyłożyli sto kawałków na szwindel twojej siostry.

Lekko zaniepokojony tym nieoczekiwanie chłodnym przyjęciem Tony usiadł wygodniej na sofie. Oblała go nagle fala gorąca, więc rozpiął płaszcz.

– Nikogo nie naciskałem – powiedział z oburzeniem, lecz ledwie wymówił te słowa, poczuł się nagle bezbronny. Z niepokojem uświadomił sobie, jak nierozsądne było przychodzenie do leżącego na odludziu biura bliźniaków bez jakiegokolwiek ochrony czy wsparcia. Nie miał broni, ale nie było w tym nic dziwnego. Niemal nigdy jej nie nosił, o czym bliźniacy wiedzieli. Jednak oczywiście zatrudnił goryla, podobnie jak bracia Castigliano, i powinien był zabrać go z sobą.

– Wciąż nie wyjaśniłeś, dlaczego jesteś zdezorientowany – powiedział Sal, ignorując jego protest.

Tony znów odchrząknął. Coraz bardziej zaniepokojony, uznał, że lepiej będzie powściągnąć gniew.

– Jestem nieco zdezorientowany, bo nie wiem, co zrobił Gaetano podczas drugiej wyprawy do Nassau. Tydzień temu matka powiedziała mi, że nie mogła dodzwonić się do mojej siostry. Twierdziła, że kiedy w końcu jej się to udało, siostra zachowywała się dziwnie, jak gdyby stało się coś złego, o czym nie chciała powiedzieć, dopóki nie wróci do domu, co miało nastąpić już wkrótce. Oczywiście pomyślałem, że Gaetano wykonał zadanie i profesor przeszedł do historii. Cóż, wczoraj wieczorem matka znów zadzwoniła do mojej siostry, ponieważ ta jednak nie przyjechała. Tym razem, wedle słów mojej matki, była „znów sobą” i wyjaśniła, że jest z profesorem nadal w Nassau, ale wróci do domu już za kilka dni. Więc co to ma znaczyć?

Przez kilka pełnych napięcia chwil nikt się nie odzywał. Ciszę przerywał jedynie stuk uderzających raz po raz o blat kart Lou oraz wrzaski mew na bagnach.

Tony teatralnie rozejrzał się dookoła. Pomimo wczesnej pory większa część pokoju tonęła w cieniu.

– A skoro o Gaetano mowa, to gdzie on jest? – Czego jak czego, ale Tony na pewno nie życzył sobie niespodzianki ze strony goryla bliźniaków.

– Sami chcielibyśmy to wiedzieć – odparł Sal.

– Co, u diabła, masz na myśli?

– Gaetano do tej pory nie wrócił z Nassau – wyjaśnił Sal. – Jest na samowolce. Odkąd wyjechał po twojej ostatniej wizycie, nie dał znaku życia. Jego brat i szwagierka, z którymi jest blisko związany, też nic nie wiedzą. Nikt nie miał od niego żadnej wiadomości. Ani słówka.

Jeśli Tony do tej pory miał wrażenie, że jest zdezorientowany, teraz kompletnie osłupiał. Choć dopiero co narzekał na Gaetana, szanował go jako doświadczonego profesjonalistę i przy jego powiązaniach z mafią zakładał, że będzie absolutnie lojalny. Jego samowolne zniknięcie nie miało sensu.

– Nie trzeba mówić, że sami jesteśmy nieco skonsternowani – dodał Sal.

– Przeprowadziliście jakieś dochodzenie? – zapytał Tony.

– Dochodzenie? – prychnął Lou i wreszcie uniósł wzrok znad swego pasjansa. – Po co mielibyśmy robić coś tak głupiego? Do diabła, nie! Po prostu siedzimy tutaj dzień za dniem, obgryzając paznokcie i czekając na dzwonek telefonu.

– Zadzwoniliśmy do rodziny Spriano w Nowym Jorku – powiedział Sal, nie zwracając uwagi na uszczypliwy ton brata. – Może tego nie wiesz, ale to nasi dalecy krewni. Zajęli się tą sprawą. Na razie przysyłają nam kolejnego pomocnika, który powinien dotrzeć tu za dzień lub dwa. To właśnie oni wcześniej podesłali nam Gaetana.

Dreszcz strachu przebiegł Tony'emu po plecach. Wiedział, że organizacja Spriano jest jedną z najpotężniejszych i najbardziej bezwzględnych rodzin mafijnych na wschodnim wybrzeżu. Nie miał pojęcia, że bliźniacy mają z nimi powiązania, co oznaczało, że cała sprawa jest poważniejsza i bardziej niepokojąca.

– A co z tymi Kolumbijczykami z Miami, którzy mieli dostarczyć broń? – zapytał, by zmienić temat.

– Z nimi też się kontaktowaliśmy – odparł Sal. – Jak wiesz, oni nigdy nie są zbyt chętni do współpracy, ale powiedzieli, że to sprawdzą. Więc są tam czujki. Oczywiście interesuje nas, gdzie ten kretyn się zasztył i dlaczego.

– Zginęły jakieś pieniądze? – zapytał Tony.

– Nic, co mógł wziąć Gaetano – odparł enigmatycznie Sal.

– To dziwne – stwierdził Tony z braku lepszego pomysłu. Nie wiedział, co Sal miał na myśli, ale nie zamierzał o to pytać. – Współczuję wam z powodu tego problemu. – Poruszył się na sofie, jak gdyby miał zamiar wstać.

– To więcej niż dziwne – rzucił szyderczo Lou. – I współczucie nie wystarczy. Rozmawialiśmy o tym wszystkim przez ostatnich parę dni i myślę, że powinieneś wiedzieć, co o tym myślimy. Uznaliśmy, że koniec końców to ty jesteś odpowiedzialny za tę wpadkę z Gaetanem, bez względu na finał tej sprawy, a także za nasze sto kawałków, które chcemy otrzymać z powrotem z procentem. Odsetki będą liczone według naszej zwykłej stawki od

dnia, w którym przekazaliśmy pieniądze, i nie podlegają dyskusji. I jeszcze jedno: odtąd uważamy pożyczkę za przeterminowaną.

Tony raptownie wstał. Kiedy usłyszał uwagi Lou i słabo zawołaną groźbę, jego niepokój osiągnął punkt krytyczny.

– Dajcie mi znać, jeśli dowiecie się czegoś nowego – powiedział i skierował się ku drzwiom. – Ja też się porozglądam.

– Lepiej zacznij się rozglądać, skąd wziąć sto kawałków – odparł Sal – bo nie mamy zbyt wiele cierpliwości.

Tony wypadł ze sklepu, niepomny na deszcz. Pomimo chłodu był zlany potem. Dopiero gdy wskoczył do samochodu, przypomniał sobie o parasolu.

– Pieprzyć go! – powiedział na głos. Uruchomił silnik i z ramieniem na oparciu fotela spojrzął przez tylną szybę, dodając gazu. Samochód wzbijał grad kamyków i wypadł na ulicę. Chwilę później z prędkością pięćdziesięciu mil na godzinę pędził w stronę miasta.

Tony odprężył się nieco. Otarł dłonie, jedną po drugiej, o nogawki spodni. Bezpośrednie zagrożenie minęło, ale intuicja mówiła mu, że na horyzoncie wyłania się o wiele większa, długofalowa groźba, zwłaszcza jeśli w sprawę wdadzą się Spriano, choćby nawet najbardziej przelotnie. Wszystko to było zniechęcające, jeśli nie wręcz przerażające. Akurat teraz, gdy zaczął mobilizować siły, by uporać się z ciężącym na nim oskarżeniem, stanął przed perspektywą potencjalnej wojny gangów.

– John! Słyszysz mnie? – zawołał doktor Nawaz. Nachylił się i uniosł skraj sterylnych chust zasłaniających twarz Ashleya. Niemal całą ramę stereotaktyczną, zamontowaną na czaszce senatora, jak również jego samego, okrywały chusty i prześcieradła, które odsłaniały jedynie fragment prawej strony jego czoła. Tam doktor Nawaz wykonał małe nacięcie skóry, rozchylone teraz przez kleszczyki.

Po odsłonięciu nagiej kości doktor Nawaz z pomocą specjalnego elektrycznego wiertła zrobił mały otwór trepanacyjny o średnicy siedemnastu milimetrów, w którym ukazały się szarawobiałe opony mózgowie. Na osi otworu znajdowała się igła do implantacji, solidnie zamocowana na jednym z łuków ramy stereotaktycznej. Dzięki zdjęciom rentgenowskim ustalono odpowiednie kąty i w tej chwili igła została już wprowadzona przez opony mózgowie do zewnętrznej części samego mózgu. Pozostało jedynie wbić ją na dokładnie określoną głębokość, by dotrzeć do istoty czarnej.

– Doktorze Newhouse, czy mógłby pan z łaski swojej szturchnąć pacjenta? – poprosił doktor Nawaz ze swym melodyjnym, pakistańsko-angielskim akcentem. – Na tym etapie wolałbym, żeby był przytomny.

– Oczywiście – odparł doktor Newhouse, po czym wstał i odłożył na bok czasopismo, które właśnie czytał. Sięgnął pod płachty i potrząsnął ramieniem Ashleya.

Zamknięte powieki senatora uniosły się z wysiłkiem.



- Słyszysz mnie pan? – zapytał ponownie Nawaz. – Potrzebujemy pańskiej pomocy.
- Oczywiście, że pana słyszę – odparł Ashley ochryplym z rozespania głosem.
- Chcę, żeby dał mi pan znać o wszelkich doznaniach, jakie będzie pan miał w ciągu następnych kilku minut. Czy to możliwe?
- Co rozumie pan przez „doznania”?
- Na przykład obrazy, myśli, dźwięki, zapachy, wrażenie ruchu... wszystko, czego pan doświadczy.
- Jestem bardzo śpiący.
- Rozumiem to, ale niech pan spróbuje nie zasnąć przez te parę minut. Jak powiedziałem, potrzebujemy pańskiej pomocy.
- Spróbuję.
- O to tylko prosimy. – Doktor Nawaz opuścił płachtę, zasłaniając twarz Ashleya. Odwrócił się w stronę okna wychodzącego na korytarz i pokazał uniesiony kciuk widocznej za szybą grupie. Potem kilkakrotnie zgiął i rozprostował okryte gumowymi rękawiczkami palce i obrócił pokrętło mikromanipulatora na prowadnicy podtrzymującej igłę do implantacji. Powoli, milimetr po milimetrze, wprowadzał tępo zakończoną igłę w mózg Ashleya. Gdy igła była zagłębiona do połowy, znów podniósł skraj chusty. Z zadowoleniem stwierdził, że oczy Ashleya są wciąż otwarte, choć minimalnie.
- Wszystko w porządku? – zapytał senatora.
- Znakomicie – odparł Ashley z lekkim południowym akcentem. – Czuję się jak kot w worku.
- Zabieg idzie dobrze – zapewnił go Nawaz. – To już nie potrwa długo.
- Proszę się nie spieszyć. Najważniejsze, żeby wszystko zostało dobrze zrobione.
- To nigdy nie podlegało dyskusji – odparł Nawaz. Opuścił chustę i na nowo podejmując zagłębienie igły, uśmiechnął się pod maską. Był pod wrażeniem odwagi i dobrego humoru Ashleya. Parę minut później, z ostatnim obrotem mikromanipulatora, zatrzymał igłę na dokładnie wymierzonej głębokości. Jeszcze raz skontrolował stan Ashleya i poprosił Marjorie, by zawołała doktora Lowella. Sam tymczasem przygotował strzykawkę, z której miał wprowadzać komórki terapeutyczne.
- Wszystko idzie dobrze? – zapytał Daniel. Przy wejściu nałożył maseczkę. Z dłońmi splecionymi za plecami pochylił się, by spojrzeć w otwór trepanacyjny z zagłębioną w nim igłą
- Jak najbardziej – odparł doktor Nawaz. – Ale jest pewien problem, który, jak przyznaję, wypadł mi z głowy we wcześniejszym zamieszaniu. Na tym etapie powinno się wykonać kolejne prześwietlenie, by mieć absolutną pewność co do położenia końcówki igły. Jednak bez aparatury rentgenowskiej w sali operacyjnej jest to niemożliwe. Z rozwierconym otworem trepanacyjnym i wprowadzoną igłą przewożenie pacjenta byłoby zbyt niebezpieczne.

– Pyta pan o moją opinię co do kontynuacji zabiegu?

– Właśnie. Ostatecznie to pański pacjent. W tej dość wyjątkowej sytuacji jestem, jak mawiacie wy, Amerykanie, tylko wynajętym strzelcem.

– Jakie jest ryzyko, że igła mogła się znaleźć w niewłaściwym położeniu?

– Niewielkie. We wszystkich zabiegach z użyciem ram stereotaktycznych, jakie wykonywałem, jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się nie trafić w zamierzone miejsce. W tym przypadku wchodzi w grę jeszcze jeden korzystny czynnik. Ten zabieg ma na celu dodanie komórek, nie usunięcie fragmentów tkanki, co zazwyczaj robię za pomocą tej procedury i co sprawiłoby o wiele więcej problemów, gdyby igła nieco się przemieściła.

– Trudno byłoby się spierać ze stuprocentową celnością. Jestem pewien, że mój pacjent jest w dobrych rękach. Do dzieła!

– Służę uprzejmie! – odparł doktor Nawaz. Ujął strzykawkę, wypełnioną przygotowaną wcześniej porcją komórek terapeutycznych i dołączył ją w miejsce trójgrańca do igły implantacyjnej. – Doktorze Newhouse, jestem gotów do rozpoczęcia implantacji.

– Dziękuję – odparł doktor Newhouse. Lubił, gdy informowano go o kluczowych etapach zabiegu. Szybko skontrolował raz jeszcze czynności życiowe Ashleya. Gdy skończył i wyciągnął z uszu końcówki stetoskopu, dał doktorowi Nawazowi znak, by kontynuował.

Uniósłszy chustę i poprosiwszy doktora Newhouse'a, by raz jeszcze szturchnął Ashleya, aby go obudzić, doktor Nawaz powtórzył te same polecenia, jakie dał senatorowi przed wprowadzeniem igły. Dopiero wtedy rozpoczął implantację, wykorzystując kolejne ręczne, wspomagane mechanicznie urządzenie, by zapewnić powolny, miarowy ruch tłoka strzykawki.

Daniel z dreszczem podniecenia śledził przebieg implantacji. Gdy sklonowane neurony dopaminergiczne, wyposażone w geny pochodzące z krwi uzyskanej z Całunu Turyńskiego, powoli przedostawały się do mózgu Ashleya, mógł przysiąc, że na jego oczach dokonuje się przełom w medycynie. W tym jednym zabiegu ziszczały się obietnice tkwiące w komórkach macierzystych, klonowaniu terapeutycznym i HTRS, co po raz pierwszy w dziejach doprowadzi do wyleczenia jednej z najcięższych ludzkich chorób. Ogarnięty euforią odwrócił się i pokazał Stephanie znak zwycięstwa. Po chwili wahania Stephanie odpowiedziała tym samym gestem, lecz z mniejszym entuzjazmem. Daniel złożył to na karb jej skrzepowania towarzystwem Paula Saundersa i Spencera Wingate'a, z którymi zmuszona była prowadzić uprzejmą pogawędkę.

W połowie implantacji doktor Nawaz zrobił przerwę, podobnie jak podczas wprowadzania igły. Gdy podniósł skraj płachty, przekonał się, że Ashley znów zapadł w sen.

– Chce pan, żebym go obudził? – zapytał doktor Newhouse.

– Tak – odparł doktor Nawaz. – I może spróbowałby pan nie dać mu zasnąć przez następne parę minut.

Po kilku szturchnięciach oczy Ashleya otworzyły się z wysiłkiem. Doktor Newhouse

ściskał go za ramię.

– Wszystko w porządku, panie Smith? – zapytał.

– Cudownie – wymamrotał Ashley. – Czy to już koniec?

– Prawie! Jeszcze tylko chwilka! – odparł doktor Nawaz. Wypuścił chustę i spojrzał na doktora Newhouse'a. – Wszystko w porządku?

– Najzupełniej.

Doktor Nawaz znów zaczął wciskać tłok strzykawki w tym samym powolnym, kontrolowanym tempie. Gdy miał wykonać końcowy obrót pokrętki, który wprowadziłby do mózgu Ashleya ostatnią odrobinę komórek terapeutycznych, senator wymamrotał coś pod płachtami. Doktor Nawaz przerwał. Zerknął na doktora Newhouse'a i zapytał, czy zrozumiał, co powiedział Ashley.

– Ja też tego nie dosłyszałem – przyznał doktor Newhouse.

– Czy wszystko jest wciąż w porządku?

– Nic się nie zmieniło – odparł Newhouse. Włożył do uszu końcówki stetoskopu, by jeszcze raz sprawdzić ciśnienie krwi. W tym samym czasie doktor Nawaz uniósł skraj chusty i spojrzał na Ashleya. Jego twarz, widoczna jedynie do poziomu brwi z powodu ramy, dość dramatycznie zmieniła wyraz. Co dziwne, kąciki ust uniosły się do góry, a nos zmarszczył się jakby w grymasie obrzydzenia. Było to tym bardziej zaskakujące, że wcześniej Ashley miał wskutek choroby zupełnie obojętną twarz.

– Czy coś pana martwi? – zapytał doktor Nawaz.

– Co to za okropny smród? – zapytał Ashley. Nadal bełkotał jak pijany, zlewając słowa.

– Proszę nam powiedzieć! – rzekł doktor Nawaz z nagłą troską w głosie. – Jak to pachnie?

– Jak świńskie gówno, gdybym miał zgadywać. Co wy, u diabła, robicie?

Przecucie katastrofy przemknęło przez umysł doktora Nawaza jak słaby, nieprzyjemny prąd elektryczny i pozostawiło mdlące uczucie słabości, które znają jedynie doświadczeni chirurdzy. Doktor Nawaz zerknął na Daniela w poszukiwaniu otuchy, ale ten wzruszył tylko ramionami. Przy swym niewielkim doświadczeniu chirurgicznym był jedynie skonsternowany.

– Świńskie łajno? O co tu chodzi? – zapytał.

– Ponieważ tu nie ma świń, obawiam się, że on ma halucynacje węchowe – odparł doktor Nawaz, jakby był rozgniewany.

– Czy to jest problem?

– Ujmijmy to w ten sposób – rzucił Nawaz. – Martwi mnie to. Możemy wszyscy mieć nadzieję, że to nic nie znaczy, ale radziłbym przerwać implantację. Zgadza się pan? Podaliśmy już dobrze ponad dziewięćdziesiąt procent.

– Jeśli mamy problem, to się zgadzam – odparł Daniel. Nie przejmował się pozostałą w strzykawce resztką komórek terapeutycznych. Wielkość porcji ustalił po prostu na wycucie,

opierając się na eksperymentach na myszach. Martwiła go natomiast reakcja doktora Nawaza. Widział, że lekarz jest zdenerwowany, nie miał jednak pojęcia, dlaczego brzydki zapach miałby być tak niepokojący. Ale na pewno nie życzył sobie żadnych komplikacji, szczególnie teraz, gdy byli tak blisko sukcesu.

– Wycofuję igłę – oznajmił doktor Nawaz na użytek doktora Newhouse’a, choć nie stosowali znieczulenia wziewnego, które należałoby zmniejszyć. Z taką samą ostrożnością, z jaką przedtem wprowadzał igłę, powoli wyjął ją z mózgu. Gdy ukazała się jej końcówka, sprawdził, czy są jakieś ślady krwawienia. Na szczęście nie było.

– Igła wyjęta! – oświadczył i podał ją instrumentariuszce. Wziął głęboki oddech, po czym uniósł skraj chusty, by spojrzeć na Ashleya. Zdawał sobie sprawę, że Daniel zagląda mu przez ramię. Odraza na twarzy Ashleya ustąpiła miejsca irytacji. Jego usta były teraz zaciśnięte, z wargami zwartymi w cienką kreskę. Oczy miał szerzej otwarte, a nozdrza rozchylone.

– Dobrze się pan czuje, panie Smith? – zapytał doktor Nawaz.

– Chcę stąd iść w cholerę – warknął Ashley.

– Nadal czuje pan ten zapach?

– Jaki zapach?

– Przed chwilą skarżył się pan na przykry zapach.

– Nie wiem, o czym pan gada. Wiem tylko, że chcę stąd wyjść! – Nagle Ashley postanowił wstać i napał na taśmy mocujące jego tors do uniesionego stołu operacyjnego i krępujące nadgarstki. Jednocześnie podkurczył nogi i przyciągnął kolana do piersi.

– Przytrzymajcie go! – krzyknął doktor Nawaz. Nachylił się nad Ashleyem, aby unieruchomić jego nogi ciężarem swego ciała. W dalszym ciągu podtrzymywał w górze skraj chusty i widział, jak twarz Ashleya czerwienieje z wysiłku.

Daniel podbiegł do stóp stołu operacyjnego i sięgnął pod prześcieradła, by chwycić kostki Ashleya. Próbował przyciągnąć je ku sobie, zaskoczył go jednak silny opór senatora. Doktor Newhouse puścił ramię Ashleya, by złapać jego nadgarstek, który udało mu się uwolnić z krępującej taśmy. Marjorie rzuciła się na drugą stronę stołu, by chwycić drugie ramię Ashleya, które także wrywało się z więzów.

– Panie Smith, proszę się uspokoić! – krzyknął doktor Nawaz. – Wszystko jest w porządku!

– Puszczajcie mnie, pieprzeni troglodyci! – wrzasnął Ashley, niczym typowy agresywny pijak, który opiera się wszelkim próbom obezwładnienia.

Stephanie, Paul i Spencer wpadli do sali operacyjnej, w pośpiechu nakładając maski. Wszyscy pochwycili Ashleya, dzięki czemu Marjorie zdołała wzmocnić więzy na jego nadgarstkach, a Daniel mógł na powrót ułożyć płasko jego nogi. Doktor Newhouse miał wolne ręce, więc ponownie sprawdził ciśnienie Ashleya. Sygnały dźwiękowe monitora akcji serca wyraźnie przyspieszyły tempo. Marjorie na chwilę opuściła salę, by przynieść komplet skórzanych taśm do krępowania kostek.

– Wszystko jest w porządku – oznajmił jeszcze raz Ashleyowi doktor Nawaz, gdy tylko sytuacja została opanowana. Spojrzał na wyzywającą, wściekłą, czerwoną jak burak twarz mężczyzny. – Niech się pan uspokoi! Musimy tylko zaszyć nacięcie i na tym koniec. Potem może pan wstać. Rozumie pan?

– Jesteście bandą zboczeńców. Odpierdolcie się ode mnie!

Użycie przez Ashleya tak wulgarnych i obraźliwych słów w sali operacyjnej zaszokowało wszystkich w niemal równym stopniu jak jego niespodziewany atak. Przez krótką chwilę nikt nie poruszał się ani nie odezwał się słowem.

Doktor Nawaz jako pierwszy doszedł do siebie. Miał już pewność, że Ashley został unieruchomiony, więc uniósł się z jego kolan. Gdy to zrobił, wszyscy spostrzegli, że senator ma pełną erekcję, która unosi prześcieradła.

– Proszę, nie dotykajcie moich dłoni i stóp! – jęknął płaczliwie Ashley. W oczach stanęły mu łzy. – One krwawią.

Wszyscy natychmiast zwrócili wzrok ku rękom i nogom senatora, zwłaszcza Daniel, który nadal trzymał go za kostki, podczas gdy Marjorie mocowała taśmy.

– Nie ma ani śladu krwi – stwierdził Paul w imieniu całej grupy. – O czym on mówi?

– John, niech mnie pan słucha! – odezwał się Nawaz. Wciąż podtrzymywał w górze skraj chusty, odsłaniając twarz Ashleya od brwi w dół. – Pańskie dłonie i stopy nie krwawią. Nic panu nie jest. Musi pan odprężyć się jeszcze na parę minut, żebym mógł skończyć.

– Nie mam na imię John – powiedział cicho Ashley. Łzy zniknęły równie szybko, jak się pojawiły. Choć nadal mówił głosem pijaka, nagle wydawał się zupełnie spokojny.

– Jeśli nie John, to jak? – zapytał doktor Nawaz.

Daniel zerknął z niepokojem ku Stephanie, która puściła dłoń Ashleya i odsunęła się od stołu. Jakby nie miał dość trosk, Daniel przestraszył się teraz, że zamroczony Ashley lada chwila wyjawí swą prawdziwą tożsamość. Nie wiedział, jaki będzie to miało skutek dla ostatecznego wyniku całego przedsięwzięcia, ale nie spodziewał się niczego dobrego, nie przy wymaganej dotychczas dyskrecji.

– Mam na imię Jezus – szepnęła Ashley i nabożnie przymknęła oczy.

Niemal wszyscy w sali znów oniemieli, wymieniając speszzone spojrzenia. Jedyne doktor Nawaz pozostał niewzruszony. Zapytał doktora Newhouse'a, jaki środek uspokajający dał pacjentowi przed zabiegiem.

– Dożyłny diazepam i fentanyl – odparł Newhouse.

– Miałby pan coś przeciwko temu, żeby podać mu natychmiast jeszcze jedną dawkę?

– Bynajmniej. Chce pan, żebym to zrobił?

– Tak – powiedział Nawaz.

Doktor Newhouse wysunął szufladę wózka ze środkami znieczulającymi, wyjął świeżą strzykawkę i rozerwał opakowanie. Wprawnymi dłońmi naciągnął lek i wstrzyknął go w wprowadzenie kroplówki.

– Wybacz im, Ojczy – odezwał się Ashley z zamkniętymi oczyma – bo nie wiedzą, co czynią.

– Co się dzieje? – szepnął nerwowo Paul. – Czy ten facet myśli, że jest Chrystusem na krzyżu?

– Czy to jakaś dziwna reakcja na leki? – zapytał Spencer.

– Wątpię – odparł doktor Nawaz. – Ale niezależnie od przyczyny, to najoczywistszy napad padaczkowy!

– Napad? – powtórzył z niedowierzaniem Paul. – To nie przypomina żadnego napadu, jaki kiedykolwiek widziałem.

– To napad częściowy złożony – wyjaśnił doktor Nawaz. – Lepiej znany jako napad skroniowy.

– Co mogło go wywołać, jeżeli nie leki? – zapytał Paul. – Wprowadzenie igły do mózgu?

– Gdyby to była igła, myślę, że stałoby się to wcześniej – stwierdził Nawaz. – Ponieważ zdarzyło się pod koniec implantacji, musimy chyba przyjąć, że to ona była przyczyną. – Spojrzał na doktora Newhouse’a. – Proszę sprawdzić, czy on śpi.

Doktor Newhouse sięgnął pod płachty i lekko potrząsnął ramieniem Ashleya.

– Jakaś reakcja? – zapytał doktora Nawaza.

Ten pokręcił głową i opuścił chustę na twarz Ashleya. Westchnął pod maską i odwrócił się, by spojrzeć na Daniela, splatając swe wciąż okryte rękawiczkami dłonie na okrytej kitlem piersi.

Kiedy Daniel ujrzał ciemne, nieruchome oczy neurochirurga, poczuł, że miękną mu kolana. Doktor Nawaz był wyraźnie zakłopotany, co podkopywało spokój, jaki Daniel usilnie starał się zachować. Obawa przed komplikacjami, która czała się w głębi jego umysłu, odkąd Ashley zaczął skarżyć się na zapach, wróciła nagle z całą siłą niczym fala z przerwanej tamy.

– Myślę, że może pan puścić kostki pacjenta – powiedział doktor Nawaz.

Daniel rozluźnił uścisk, którego w roztargnieniu nie zwolnił nawet wtedy, kiedy Marjorie zamocowała już więzy na kostkach.

– Ten napad mnie zmartwił – stwierdził doktor Nawaz. – Nie tylko jestem przekonany, że nie wywołały go leki, ale i sądzę, że skoro wystąpił mimo podania leków, to doszło do szczególnie gwałtownego ogniskowego podrażnienia mózgu.

– Dlaczego nie mogłoby to mieć związku z lekami? – zapytał Daniel, bardziej szukając otuchy niż kierując się zdrowym rozsądkiem. – Może to był po prostu wywołany lekami sen? Przecież dożylny diazepam i fentanyl to potężna mieszanka. Połączenie takiej mikstury z silnie działającym na emocje Całunem Turyńskim z pewnością mogło spowodować niezwykle urojenia.

– Co ma do tego wszystkiego Całun Turyński? – zdziwił się doktor Nawaz.

– Ma pewien związek z komórkami terapeutycznymi. To długa historia, ale przed procesem klonowania niektóre geny pacjenta zostały zastąpione genami uzyskanymi z krwi

pochodzącej z Całunu Turyńskiego. Takie było życzenie pacjenta, który wierzy w autentyczność całunu. Stwierdził nawet, że liczy na boską interwencję.

– Przypuszczam, że takie przekonanie mogło odegrać pewną rolę w urojeniach pacjenta – przyznał Nawaz. – Ale nie da się zaprzeczyć, że był to napad, który nastąpił podczas implantacji.

– Skąd może pan mieć pewność? – zapytał Daniel.

– Z powodu chwili, w której do niego doszło, i z powodu halucynacji węchowych – wyjaśnił doktor Nawaz. – Zapach, o którym wspominał, był odczuciem zapowiadającym, aurą, a cechą charakterystyczną napadu skroniowego jest to, że poprzedza go aura. Innymi objawami są hiperreligijność, gwałtowne zmiany nastroju, silne pobudzenie seksualne i agresywne zachowanie, a wszystko to mieliśmy okazję zaobserwować u pacjenta w krótkim okresie jego przytomności. To klasyczny przypadek.

– Co powinniśmy zrobić? – zapytał Daniel, choć bał się usłyszeć odpowiedź.

– Modlić się, by było to jednorazowe zjawisko – odparł Nawaz. – Niestety, przy tak silnym podrażnieniu, jakie niewątpliwie miało miejsce, byłbym zaskoczony, gdyby nie przerodziło się to w pełnoobjawową padaczkę skroniową.

– Czy nie można temu zapobiec? – zapytała Stephanie.

– Szkoda, że nie mogę uzyskać obrazu komórek terapeutycznych – powiedział doktor Nawaz. – Chciałbym przekonać się, gdzie one trafiły. Może wtedy moglibyśmy coś zrobić.

– Co to znaczy: „przekonać się, gdzie one trafiły”? – zapytał ostro Daniel. – Powiedział mi pan, że jeszcze nigdy przy zabiegu z użyciem ramy stereotaktycznej nie miał pan problemu z trafieniem tam, gdzie trzeba.

– To prawda, ale nigdy też nie zdarzyło mi się, żeby pacjent dostał podczas tego zabiegu napadu padaczkowego – odparł Nawaz. – Coś poszło nie tak.

– Sugeruje pan, że komórki nie znalazły się w istocie czarnej? – zaprotestował Daniel. – Jeśli tak, nie chcę tego słyszeć.

– Niech pan słucha! – odparował Nawaz. – To pan zachęcił mnie, żebym kontynuował zabieg bez odpowiedniej aparatury rentgenowskiej.

– Nie sprzecajmy się – przerwała mu Stephanie. – Możemy zlokalizować komórki terapeutyczne.

Oczy wszystkich obecnych zwróciły się w jej stronę.

– Wprowadziliśmy do komórek terapeutycznych gen owadziego powierzchniowego receptora komórkowego – wyjaśniła Stephanie. – Robiliśmy to samo w naszych eksperymentach na myszach, specjalnie do celów obrazowania. Mamy przeciwciała monoklonalne, zawierające nieprzepuszczalny dla promieni rentgenowskich metal ciężki i zaprojektowane przez współpracującego z nami radiologa. Jest sterylne i gotowe do użytku. Trzeba je po prostu wstrzyknąć do płynu mózgowo-rdzeniowego w przestrzeni podpajeczynówkowej. U myszy działało to doskonale.

– Gdzie ono jest? – zapytał doktor Nawaz.

– W laboratorium, w budynku numer jeden – odparła Stephanie. – Leży na biurku w naszym pokoju.

– Marjorie – powiedział Paul. – Zadzwoń do Megan Finnigan w laboratorium! Niech znajdzie to przeciwciało i przyniesie je tu piorunem.



## **Rozdział dwudziesty szósty**

### **14.15, niedziela, 24 marca 2002**

Doktor Jeffrey Marcus był miejscowym radiologiem, należącym do personelu Doctors Hospital na Shirley Street w centrum Nassau. Spencer zawarł z nim umowę, że będzie w trybie doraźnym zaspokajał potrzeby Kliniki Wingate'a, dopóki nie trzeba będzie zatrudnić radiologa na pełny wymiar godzin. Gdy tylko zdecydowano, że u Ashleya należy przeprowadzić tomografię komputerową, Spencer kazał pielęgniarce zadzwonić do Jeffreya. Ponieważ było to niedzielne popołudnie, lekarz mógł przybyć natychmiast. Doktor Nawaz był zadowolony, gdyż znał Jeffreya jeszcze z Oksfordu i wiedział, że ma duże doświadczenie w neuroradiologii.

– To są poprzeczne przekroje mózgu, poczynawszy od grzbietowej krawędzi mostu – mówił Jeffrey, wodząc po monitorze komputera gumką na końcu staroświeckiego, żółtego ołówka. Jeffrey Marcus był emigrantem z Anglii, który podobnie jak doktor Carl Newhouse uciekł na Bahamy przed brytyjską pogodą. – Będziemy posuwać się dogłównie w przyrostach jednocentymetrowych i powinniśmy znaleźć się na poziomie istoty czarnej po jednej, najwyżej dwóch klatkach.

Jeffrey siedział przed komputerem. Na prawo od niego, nachylając się, by lepiej widzieć, stał doktor Nawaz. Daniel stał tuż po lewej stronie Jeffreya. Przy oknie wychodzącym na gabinet tomografii stali Paul, Spencer i Carl. Carl trzymał strzykawkę wypełnioną kolejną dawką środka uspokajającego, ale okazała się ona niepotrzebna. Ashley nie przebudził się od czasu otrzymania drugiej dawki i spał twardo, kiedy zaszywano mu zakryty metalową płytką otwór trepanacyjny, usuwano ramę stereotaktyczną i przenoszono go na stół do tomografii. W tej chwili leżał na wznak, z głową tkwiącą w otworze potężnej maszyny w kształcie pączka. Jego ręce spoczywały na piersi, z wiszącymi luźno taśmami do krępowania nadgarstków. Nadal miał podłączoną kroplówkę. Wyglądał jak modelowy przykład spokojnie śpiącego człowieka.

Stephanie stała w głębi pomieszczenia, z dala od innych, i z założonymi rękoma opierała

się udami o blat. Niedostrzegana przez pozostałych, powstrzymywała łzy. Miała nadzieję, że nikt jej nie zagadnie, gdyż obawiała się, że gdyby tak się stało, straciłaby panowanie nad sobą. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie wyjść z pokoju, uznała jednak, że przyciągnęłoby to zbyt wiele uwagi, więc została i cierpiała w milczeniu. Nawet nie patrząc na obraz z tomografii, miała przeczucie, że podczas implantacji nastąpiła poważna komplikacja, a to złamało jej odporność psychiczną, napiętą do granic przez wydarzenia ostatniego miesiąca. Gromiła samą siebie za to, że nie usłuchała intuicji na samym początku tej groteskowej, a teraz być może i tragicznej afery.

– W porządku, jest! – oświadczył Jeffrey, ponownie wskazując obraz na monitorze. – To jest śródmózgowie, a to jest istota czarna, i niestety, nie ma tu śladów rozjaśnienia, jakich należałoby się spodziewać po znakowanym metalem ciężkim przeciwciele monoklonalnym.

– Może przeciwciało nie przemknęło jeszcze z płynu mózgowo-rdzeniowego do mózgu – podsunął doktor Nawaz. – Albo może w komórkach terapeutycznych nie ma jednak unikatowego powierzchniowego antygeny. Jesteście pewni, że gen, który wprowadziliście, uległ ekspresji?

– Jestem tego pewien – odparł Daniel. – Doktor D’Agostino to sprawdziła.

– Może powinniśmy powtórzyć badanie za kilka godzin – powiedział doktor Nawaz.

– U naszych myszy efekt był widoczny po trzydziestu, najwyżej po czterdziestu pięciu minutach. – Daniel spojrzął na zegarek. – Ludzki mózg jest większy, ale użyliśmy więcej przeciwciała, i minęła już godzina. Powinniśmy je widzieć. Ono musi tam być.

– Zaczekajcie! – zawołał Jeffrey. – Widzę z boku jakieś rozproszone plamki. – Przesunął końcówkę gumki centymetr w prawo. Rozjaśnienia były ledwie widoczne, jak drobne płatki śniegu na tle matowego szkła.

– O mój Boże! – wykrzyknął Nawaz. – To jest w środkowej części płata skroniowego. Nic dziwnego, że miał napad.

– Spójrzmy na następne cięcie – powiedział Jeffrey i nowy obraz zaczął przesłaniać poprzedni od góry ku dołowi ekranu, jak gdyby się rozwijał.

– Teraz widać nawet wyraźniej – stwierdził Jeffrey. Postukał w ekran gumką. – Powiedziałbym, że to jest w obszarze hipokampu, ale żeby zlokalizować to dokładnie, musielibyśmy wprowadzić nieco powietrza do rogu skroniowego komory bocznej. Chcecie to zrobić?

– Nie! – warknął doktor Nawaz. Wyprostował się i objął głowę dłońmi. – Jak, do ciężkiej cholery, igła mogła tak bardzo zboczyć? Nie wierzę w to. Wróciłem nawet i spojrzałem na prześwietlenia, jeszcze raz zmierzyłem i sprawdziłem ustawienia na prowadnicy. Były najzupełniej poprawne. – Oderwał dłonie od głowy i rozpostarł je w powietrzu, jak gdyby błagając, by ktoś wyjaśnił mu, co zaszło.

– Może rama przesunęła się trochę, kiedy uderzyliśmy stołem o futrynę drzwi? – podpowiedział Carl Newhouse.

– Co pan mówi? – rzucił ostro Nawaz. – Powiedzieliście mi, że stół otarł się o futrynę. Co dokładnie rozumie pan przez „uderzyliśmy”?

– Kiedy stół operacyjny zderzył się z futryną? – zapytał Daniel. Dopiero teraz usłyszał cokolwiek na ten temat. – I o których drzwiach mowa?

– To doktor Saunders powiedział, że się otarł – odparł Carl, ignorując Daniela. – Nie ja.

Doktor Nawaz spojrział pytająco na Paula. Paul niechętnie skinął głową.

– Może istotnie było to raczej uderzenie niż otarcie, ale to nie ma znaczenia. Constance stwierdziła, że rama trzyma się mocno, kiedy ją chwyciła.

– Chwyciła ją? – ryknął doktor Nawaz. – Dlaczego chwyciła ramę?

Nastąpiła niezręczna chwila ciszy. Paul i Carl wymienili spojrzenia.

– Co to jest, spisek? – zapytał Nawaz. – Niech mi ktoś odpowie!

– Zderzenie spowodowało mały odrzut – wyjaśnił Carl. – Spieszyłem się, żeby podłączyć pacjenta z powrotem do monitora, więc pchaliśmy stół dość szybko. Niestety, wjechał krzywo w drzwi sali operacyjnej. Kiedy nastąpiła kolizja, Constance podeszła, by podtrzymać ramę. Była wciąż w kitlu i rękawiczkach. W tamtym momencie obawialiśmy się, by nie nastąpiło skażenie, bo pacjent się obudził, a ręce miał nie skrepowane. Ale nie doszło do skażenia.

– Dlaczego nie powiedzieliście mi tego wszystkiego od razu? – warknął doktor Nawaz.

– Przecież mówiliśmy – zaprotestował Paul.

– Powiedzieliście mi, że stół otarł się o framugę drzwi. To nie to samo, co uderzyć w nią tak mocno, by nastąpił odrzut.

– Cóż, odrzut to może przesada – poprawił się Carl. – Głowa pacjenta poleciała naprzód. Nie odskoczyła do tyłu, ani nic w tym rodzaju.

– Dobry Boże! – wymamrotał ze zniechęceniem doktor Nawaz. Opadł ciężko na krzesło przy biurku. Jedną ręką ściągnął chirurgiczną czapeczkę, a drugą złapał się za czoło, kręcąc z irytacją głową. Nie mógł uwierzyć, że dał się wrobić w tak burleskową historię. Nie ulegało dla niego wątpliwości, że rama stereotaktyczna musiała się lekko obrócić i przechylić do przodu albo w momencie kolizji, albo gdy chwyciła ją instrumentariuszka.

– Musimy coś zrobić! – oświadczył Daniel, kiedy doszedł do siebie po rewelacji o zderzeniu stołu operacyjnego z futryną i możliwych tragicznych konsekwencjach.

– A co pan proponuje? – zapytał drwiąco doktor Nawaz. – Przez pomyłkę wprowadziliśmy temu człowiekowi do płata skroniowego chmurę parszywych neuronów dopaminergicznych. Nie możemy tak po prostu wrócić tam i ich wyssać.

– Nie, ale możemy je zniszczyć, zanim się rozgałęzią – odparł Daniel. Iskierka nadziei zaczęła buchać w jego wyobraźni jak ogień. – Mamy monoklonalne przeciwciało dla unikatowego antygeny powierzchniowych tych komórek. Zamiast dołączyć je do metalu ciężkiego, jak zrobiliśmy dla uwidocznienia ich na obrazie rentgenowskim, powiązemy je ze środkiem cytotoksycznym. Kiedy wprowadzimy to połączenie do płynu mózgowo-rdzeniowego, bach! Błędnie umieszczone neurony zostaną unicestwione. Potem po prostu

zrobimy następną implantację z lewej strony mózgu i jesteśmy w domu.

Doktor Nawaz przyglądał swe lśniące, czarne włosy i zastanowił się chwilę nad pomysłem Daniela. Z jednej strony możliwość naprawienia katastrofy, za którą czuł się w dużej mierze odpowiedzialny, zdawała się kusząca, nawet jeśli metoda była niekonwencjonalna, z drugiej strony jednak intuicja podpowiadała mu, że nie powinien wciągnąć się w to jeszcze bardziej przez wykonanie kolejnego wysoce eksperymentalnego zabiegu.

– Czy macie tę kombinację z cytotoksycznym przeciwciałem pod ręką? – zapytał, tak na wszelki wypadek.

– Nie – przyznał Daniel. – Ale jestem pewien, że możemy kazać ją sporządzić w trybie pilnym tej samej firmie, która dostarczyła nam kombinację przeciwciała z metalem ciężkim, a potem przesłać ją ekspresem.

– Cóż, dajcie mi znać, czy i kiedy będziecie ją mieli – odparł doktor Nawaz i wstał. – Powiedziałem przed chwilą, że nie możemy wrócić i wyssać błędnie umieszczonych komórek terapeutycznych. Niestety, prawda jest taka, że jeśli nie zrobimy nic i pacjent skończy z ciężką padaczką skroniową, co najprawdopodobniej go czeka, prędzej czy później trzeba będzie przypuszczać, że zrobić coś w tym rodzaju. Ale wtedy będzie to poważna operacja neurochirurgiczna, wymagająca usunięcia znacznej ilości tkanki mózgowej, z towarzyszącym temu wysokim ryzykiem.

– To jeszcze jeden powód, by zrobić to, co zaproponowałem – stwierdził Daniel, stopniowo zapalając się do tego pomysłu.

Stephanie gwałtownie odepchnęła się od blatu i ruszyła ku drzwiom. Mimo rozdygotania i mimo obaw przed ściągnięciem na siebie uwagi nie mogła dłużej słuchać tej rozmowy. Miała wrażenie, że dyskusja dotyczy martwego przedmiotu, a nie bliźniej, dotkniętej jatrogennym urazem istoty ludzkiej. Szczególnie zbulwersowała ją postawa Daniela, gdyż jasne było, że mimo straszliwego wypadku nadal kombinuje niczym współczesny Machiavelli medycyny w ślepej pogoni za własną korzyścią, nie zważając na moralne konsekwencje.

– Stephanie! – zawołał za nią Daniel, kiedy ujrzał, że kieruje się do wyjścia. – Stephanie, zadzwoń może do Petera w Cambridge i powiedz mu...

Drzwi zamknęły się za nią, odcinając jego głos. Ruszyła biegiem przez korytarz. Pospieszyła do damskiej toalety, gdzie, jak miała nadzieję, będzie mogła się wypłakać w spokoju. Była wytrącona z równowagi wieloma sprawami, ale przede wszystkim świadomością, że nie mniej niż inni ponosi odpowiedzialność za to, co się stało.

## **Rozdział dwudziesty siódmy**

### **19.42, niedziela, 24 marca 2002**

– Nie zamierzam przysparzać wam, specjalistom, kłopotów – powiedział Ashley, przeciągając słowa ze swym zwykłym południowym akcentem. – I nie chciałbym, żebyście sądzili, że nie jestem wam wdzięczny za cały wasz trud. Przepraszam z całego serca, jeśli was to boli, ale nie ma mowy, żebym został tu na noc.

Ashley siedział na szpitalnym łóżku z oparciem uniesionym w górę tak wysoko, jak tylko się dało. Nie miał już na sobie szpitalnej narzutki, tylko swój idiotyczny strój turysty. Jedynym śladem niedawno przebytej operacji był podwójnej szerokości bandaż na jego czole.

Pokój, w którym się znajdował, był jednym z pomieszczeń hospitalizacyjnych Kliniki Wingate'a i przywodził na myśl raczej hotel niż szpital. Cały utrzymany był w żywych, tropikalnych barwach, zwłaszcza ściany w brzoskwiniowym odcieniu i zasłony w kolorach morskiej zieleni i jaskrawego różu. Daniel stał tuż przy łóżku po prawej stronie Ashleya i starał się go odwieść od opuszczenia kliniki. Stephanie stała w nogach łóżka. Carol Manning siedziała wygodnie w purpurowym fotelu klubowym pod oknem, zdjąwszy buty i podwinąwszy stopy pod siebie.

Po tomografii komputerowej przeniesiono Ashleya do tego pokoju i położono do łóżka, by odespał działanie leków. Doktorzy Nawaz i Newhouse upewnili się, że jego stan jest stabilny, i poszli do domu. Obaj podali Danielowi numery swych telefonów komórkowych, by zadzwonił do nich, gdyby pojawił się jakikolwiek problem, zwłaszcza kolejny napad. Doktor Newhouse zostawił także fiolkę z mieszkanką fentanylu i diazepamem, która okazała się tak skuteczna, z pouczeniem, że środek należy podawać domięśniowo lub dożylnie, a jednorazowa dawka powinna wynosić dwa centymetry sześciennie.

Formalnie rzecz biorąc, Ashley znajdował się pod opieką wymuskanego młodego człowieka o nazwisku Myron Hanna, który był pielęgniarzem w sali pooperacyjnej Kliniki Wingate'a jeszcze w Massachusetts. Ale Daniel i Stephanie, do których dołączyła też Carol Manning, pozostali przy łóżku przez cztery godziny, czekając, aż Ashley otworzy oczy. Paul

Saunders i Spencer Wingate towarzyszyli im przez pewien czas, lecz po godzinie poszli i zapewnili, że oni także będą do dyspozycji w razie potrzeby.

– Panie senatorze, zapomina pan, co panu powiedziałem – rzekł Daniel z całą cierpliwością, na jaką mógł się zdobyć. Czasami zdawało mu się, że rozmowa z senatorem przypomina rozmowę z trzyletnim dzieckiem.

– Nie, doskonale rozumiem, że pojawił się mały problem podczas zabiegu – odparł Ashley. Położył dłoń na splecionych przedramionach Daniela. – Ale teraz czuję się świetnie. Prawdę mówiąc, czuję się jak młodzieniaszek, którym przecież nie jestem, co jest zasługą waszych eskulapskich talentów. Powiedział mi pan przed implantacją, że mogę nie zauważyć większych zmian przez kilka dni, a nawet wtedy mogą być stopniowe, ale najwyraźniej tak nie jest. W porównaniu z tym, jak czułem się dziś rano, jestem już wyleczony. Drżenie niemal zniknęło i poruszam się ze znacznie większą łatwością.

– Cieszę się, że tak się pan czuje – stwierdził Daniel, kręcąc głową. – Ale przypuszczam, że jest to skutek raczej pańskiego optymistycznego nastawienia albo silnych środków uspokajających, które panu podano, niż czegokolwiek innego. Panie senatorze, jak powiedziałem, jesteśmy przekonani, że wymaga pan dalszego leczenia i bezpieczniej byłoby pozostać w klinice, gdzie sprzęt medyczny i leki są w zasięgu ręki. Proszę pamiętać, miał pan napad padaczkowy w trakcie zabiegu, a w trakcie napadu zachowywał się pan jak zupełnie inny człowiek.

– Jak mogłem zachowywać się jak ktoś inny? Mam dość problemów z byciem samym sobą. – Ashley wybuchnął śmiechem, lecz nikt mu nie zawtórował. Rozejrzał się po pozostałych. – Co jest z wami, ludzie? Wszyscy zachowujecie się, jakby to był pogrzeb, nie święto. Naprawdę nie możecie uwierzyć, że dobrze się czuję?

Daniel powiadomił Carol, że komórki terapeutyczne zostały przypadkowo umieszczone w obszarze nieco oddalonym od miejsca, gdzie powinny się znaleźć. Choć zbagatelizował wagę komplikacji, powiedział jej o epizodzie z napadem padaczkowym i o swej trosce, że może się to powtórzyć, przyznał też, że istnieje potrzeba dalszego leczenia. Ze względu na obecność więzów na nadgarstkach i kostkach Ashleya wyjawiał nawet wspólny niepokój personelu o to, co nastąpi, gdy senator odzyska przytomność. Na szczęście takie troski okazały się bezpodstawne, gdyż Ashley obudził się ze swą zwykłą, komediową osobowością, jak gdyby nic się nie stało. Natychmiast po przebudzeniu zaczął nalegać, by usunięto mu więzy, żeby mógł wstać z łóżka. Gdy tego dokonał, a lekkie zawroty głowy ustąpiły, poprosił o ubranie. Następnie oświadczył, że wraca do hotelu.

Czując, że przegrywa w tym sporze, Daniel spojrzął na Stephanie, potem na Carol, żadna z nich jednak nie zechciała przyjść mu z pomocą. Ponownie odwrócił się do Ashleya.

– Może ponegocjujemy – zaproponował. – Zostanie pan w klinice na dwadzieścia cztery godziny, a potem wrócimy do naszej rozmowy.

– Widzę, że nie ma pan zbyt wielkiej wprawy w negocjacjach – stwierdził ze śmiechem

Ashley. – Ale nie mam panu tego za złe. Sprawa wygląda tak, że nie możecie mnie tu trzymać wbrew mojej woli. Jak poinformowałem pana wczoraj, pragnę wrócić do hotelu. Proszę zabrać wszelkie leki, jakie uważa pan za niezbędne, poza tym zawsze możemy tutaj wrócić w razie potrzeby. Proszę pamiętać, że pan i uroczą doktor D’Agostino będziecie zaraz na końcu korytarza.

Daniel spojrział w sufit.

– Próbowałem – westchnął, wzruszając ramionami.

– Istotnie, próbował pan, doktorze – przyznał Ashley. – Carol, kochanie, ufam, że nasz kierowca limuzyny nadal czeka na nas na zewnątrz?

– O ile mi wiadomo – rzekła Carol. – Był tam godzinę temu, kiedy sprawdzałam, i powiedziałam mu, żeby został, dopóki nie przekażę mu jakiejś wiadomości.

– Znakomicie – odparł Ashley. Przerzucił nogi przez skraj łóżka ze swobodą, która zaskoczyła wszystkich, z nim samym włącznie. – Chwała Bogu! Nie sędzę, żeby dziś rano udało mi się coś takiego. – Wstał. – No cóż, chłopak z prowincji jest gotów do powrotu do uroków Atlantis i apartamentu Posejdon.

Pół godziny później na parkingu przed Kliniką Wingate’a wywiązała się dyskusja co do rozlokowania w samochodach. Ostatecznie zdecydowano, że Daniel pojedzie z Ashleyem i Carol limuzyną, Stephanie natomiast siądzie za kierownicą ich wynajętego samochodu. Carol zaofiarowała się, że pojedzie ze Stephanie, ta jednak zapewniła ją, że nie ma nic przeciwko obecnemu układowi i że w gruncie rzeczy nawet woli być sama. Daniel miał fiolkę środka uspokajającego, kilka strzykawek, garść nasączonych alkoholem wacików w pojedynczych sterylnych opakowaniach oraz opaskę uciskową, wszystko to w otrzymanej od Myrona małej, czarnej, zamykanej na suwak szaszetce. Uzbrojony w leki, uważał za swój obowiązek pozostać przy Ashleyu, na wypadek gdyby pojawił się problem, przynajmniej dopóki senator nie znajdzie się w swym apartamencie.

Daniel zajął miejsce w zwróconym tyłem do kierunku jazdy fotelu tuż za szklaną przegrodą oddzielającą kabinę kierowcy od części pasażerskiej. Ashley i Carol siedzieli z tyłu, z twarzami oświetlanymi raz po raz przez reflektory nadjeżdżających z przeciwka pojazdów. Ashley był uradowany, że ma zabieg za sobą, i z zapalem prowadził z Carol ożywioną rozmowę na temat zajęć czekających go po wakacjach Kongresu. W rzeczywistości dyskusja przypominała raczej monolog, gdyż cały udział Carol sprowadzał się do kiwania głową i potakiwania w rzadkich odstępach.

Słuchając potoku słów Ashleya, Daniel zaczął się odprężyć i powoli uwalniać od obaw, że senator lada chwila dostanie napadu, z czym wiązałyby się konieczność podania mu środka uspokajającego. Daniel wiedział, że gdyby napad choć w części przypominał to, co zdarzyło się na sali operacyjnej, droga dożylna praktycznie byłaby wykluczona i musiałby podać lek domięśniowo. Kłopot polegał na tym, że w takim wypadku trzeba by dłużej czekać, nim lek zacznie działać, a każda zwłoka mogła stwarzać problem, gdyby, jak uparcie ostrzegał doktor

Nawaz, Ashley przejawiał skłonność do agresji. Daniel zdawał sobie sprawę, że przy posturze i zaskakującej sile senatora mocowanie się z nim w ciasnej przestrzeni limuzyny byłoby koszmarem.

Im bardziej się odpręzał, tym mniej myślał o potencjalnym napadzie. Zdumiewał się energią, jaką Ashley przejawiał w swych gestach, a nawet w mimice i bardziej normalnej modulacji głosu. Różnica w stosunku do na wpół odrętwiałego osobnika, którego Daniel widział tego ranka, była ogromna. Intrygowało go to, gdyż komórki terapeutyczne nie znalazły się tam, gdzie powinny, co aż nazbyt wyraźnie ukazał obraz z tomografii komputerowej. Ale efekt, który obserwował, nie mógł zostać wywołany działaniem środka uspokajającego ani placebo, jak niefrasobliwie zasugerował wcześniej. Musiała być jakaś inna przyczyna.

Jak wszyscy uczeni, Daniel zdawał sobie sprawę, że postęp w nauce jest niekiedy owocem nie tylko ciężkiej pracy, ale także przypadku. Zaczął się zastanawiać, czy miejsce, w które niechcący trafiły komórki terapeutyczne, nie mogło mimo wszystko okazać się szczególnie odpowiednie dla wytwarzających dopaminę neuronów. Nie miało to sensu, gdyż Daniel wiedział, że obszar układu limbicznego, w którym znalazły się komórki, nie odpowiada za sterowanie ruchami, ale raczej za powonienie, zachowania autonomiczne, jak na przykład seks, oraz emocje. Jednak budowa i działanie ludzkiego mózgu kryły w sobie jeszcze wiele zagadek i na razie Daniel cieszył się, że widzi tak pozytywny rezultat swych poczynań.

Kiedy dotarli do ośrodka Atlantis, Ashley demonstracyjnie wysiadł z limuzyny bez pomocy odźwiernych. Choć gdy się wyprostował, znów doznał zawrotów głowy i musiał na chwilę przytrzymać się Carol, atak szybko minął i po chwili Ashley mógł ruszyć względnie normalnym krokiem do holu.

– Gdzie jest nasza uroczą doktor D’Agostino? – zapytał, gdy czekali na windę.

Daniel wzruszył ramionami.

– Albo przyjechała przed nami, albo będzie tu wkrótce. Nie martwię się o nią. To duża dziewczynka.

– Istotnie! – zgodził się Ashley. – I bystra jak diabli.

Na korytarzu trzydziestego drugiego piętra Ashley ruszył przodem, jak gdyby popisując się odzyskaną formą. Choć nadal nieco się garbił, poruszał się niemal normalnie, włącznie z balansowaniem ramion, które rano było niemal niezauważalne.

Gdy dotarli do drzwi z syrenami, Carol otworzyła je kartą i usunęła się w bok, przepuszczając Ashleya. Po wejściu senator włączył światła.

– Za każdym razem kiedy sprzątają pokój, zamykają wszystko, tak że pokój wygląda jak loch – mruknął z niezadowoleniem. Podszedł do grupy przełączników i jednym ruchem uruchomił zarówno zasłony, jak i rozsuwane szklane tafle.

W nocy widok z wnętrza apartamentu był znacznie mniej spektakularny niż za dnia, gdyż



przestwór oceanu był czarny jak smoła. Ale nie dotyczyło to balkonu, gdzie Ashley natychmiast się skierował. Oparł dłonie na chłodnej kamiennej balustradzie, pochylił się naprzód i powiódł wzrokiem po ścielącym się przed nim półkolem rozległym parku wodnym Atlantis. Ogromna liczba pomysłowo podświetlonych basenów, wodospadów, ścieżek i akwariów była ucztą dla oka po nerwowym dniu.

Carol zniknęła w swojej sypialni, a Daniel podszedł do balkonu i przystanął na progu. Przez chwilę przyglądał się Ashleyowi, który zamknął oczy i uniósł głowę, wystawiając twarz na chłodną, tropikalną bryzę znad oceanu. Wiatr szarpał lekko jego włosy i rękawy wzorzystej bahamskiej koszuli, poza tym jednak senator trwał bez ruchu. Daniel zastanawiał się, czy Ashley się modli lub w jakiś osobisty sposób komunikuje się z Bogiem, skoro teraz sądzi, że ma w mózgu geny Jezusa Chrystusa.

Daniel uśmiechnął się nieznacznie. Nagle nabrał optymizmu co do wyników kuracji, większego niż przez ten cały czas od napadu w sali operacyjnej i większego niż uważał za możliwy, odkąd zobaczył obraz z tomografii komputerowej. Zaczął myśleć, że doszło tu do jakiegoś cudu.

– Panie senatorze! – zawołał, kiedy minęło pięć minut, a Ashley ani drgnął. – Nie chcę panu przeszkadzać, ale chyba pójdę do swojego pokoju.

Ashley odwrócił się i zrobił taką minę, jakby był zaskoczony widokiem Daniela.

– O, doktor Lowell! – zawołał. – Jak miło pana widzieć! – Odepchnął się od balustrady i podszedł wprost do Daniela. Nim Daniel zorientował się, co się dzieje, został zamknięty w niedźwiedzim uścisku, z rękoma przyciśniętymi do boków.

Z zażenowaniem pozwolił się obejmować, choć sam nie wiedział, czy ma jakikolwiek wybór w tej kwestii. Był to najlepszy dowód na to, jak wielki i ciężki był Ashley w porównaniu ze szczupłym i dość kościstym Danielem. Uścisk przeciągał się poza granice rozsądku i Daniel miał już zamiar głośno wyrazić swe zniecierpliwienie, gdy Ashley wreszcie wypuścił go z objęć i cofnął się o krok, wciąż jednak trzymając dłoń na jego ramieniu.

– Mój drogi, drogi przyjacielu – zaczął. – Chcę ze szczerego serca podziękować panu za wszystko, co pan zrobił. Jest pan chlubą swej profesji.

– Dziękuję za słowa uznania – mruknął Daniel. Z zakłopotaniem poczuł, że się czerwieni. Uratowało go nadejście Carol.

– Wracam już do siebie – zawołał do niej.

– Proszę dobrze wypocząć! – rozkazał Ashley, jak gdyby był lekarzem. Poklepał Daniela po plecach z taką siłą, że nieszczęśnik musiał zrobić krok naprzód, by nie stracić równowagi. Następnie Ashley odwrócił się i ruszył ku swemu miejscu przy balustradzie, gdzie przybrał tę samą medytacyjną pozę co poprzednio.

Carol odprowadziła Daniela do drzwi.

– Czy powinnam coś wiedzieć lub zrobić? – zapytała.

– Nic poza tym, o czym już pani mówiłem – odparł Daniel. – Wygląda na to, że jego stan

jest dobry i z całą pewnością lepszy, niż się spodziewałem.

– Może pan być z siebie dumny.

– Cóż, chyba tak – wyjąkał Daniel. Nie był pewien, czy Carol ma na myśli obecny stan Ashleya, czy robi uszczypliwą aluzję do komplikacji w czasie zabiegu. Jej ton, podobnie jak szeroka, pozbawiona wyrazu twarz, był trudny do rozszyfrowania.

– Na co konkretnie powinnam zwrócić uwagę? – zapytała Carol.

– Na wszelkie zmiany w jego stanie zdrowia lub zachowaniu. Wiem, że nie ma pani przygotowania medycznego, więc będzie pani musiała po prostu zdać się na wycucie. Chciałem, żeby przenocował dziś w klinice, gdzie moglibyśmy kontrolować jego czynności życiowe, ale stało się inaczej. To uparty człowiek.

– To mało powiedziane – przyznała Carol. – Będę czuwać nad nim jak zawsze. Czy powinnam budzić go w ciągu nocy albo coś w tym rodzaju?

– Nie, nie sądzę, żeby to było konieczne, skoro on czuje się tak dobrze. Ale gdyby pojawił się jakikolwiek problem albo gdyby miała pani jakieś pytania, proszę zadzwonić do mnie bez względu na porę.

Carol otworzyła mu drzwi, po czym zamknęła je za nim bez słowa. Przez chwilę Daniel wpatrywał się w rzeźbione syreny. Wykształcony w naukach ścisłych, zdawał sobie sprawę, że psychologia zdecydowanie nie jest jego mocną stroną, a tacy ludzie jak Carol Manning to potwierdzali. Ta kobieta wprawiała go w zakłopotanie. W jednej chwili wydawała się idealną, oddaną asystentką, w następnej zaś sprawiała wrażenie, jak gdyby była wściekła na swą podrzędną rolę. Westchnął. Na szczęście to nie był jego problem, pod warunkiem że Carol będzie czuwać nad senatorem przez całą noc.

Po drodze do apartamentu, który dzielił ze Stephanie, Daniel znów zaczął rozmyślać nad zdumiewającą poprawą stanu Ashleya. Był zbity z tropu, i to z wielu powodów, ale odczuwał ogromne zadowolenie i nie mógł się doczekać, kiedy opowie o tym wszystkim Stephanie. Otworzył drzwi i z zaskoczeniem stwierdził, że nie ma jej ani w salonie, ani w sypialni. Potem usłyszał szum prysznicza.

Gdy wszedł do łazienki, otoczyła go gęsta mgła, jak gdyby Stephanie tkwiła tam od pół godziny. Opuścił klapę sedesu i usiadł. Z tego niższego poziomu mógł poprzez matowe i zaparowane drzwi kabiny prysznicowej dostrzec jej postać. Miał wrażenie, że Stephanie nie porusza się pod odkręconym na pełną moc strumieniem wody.

– Wszystko w porządku? – zawołał.

– Już mi lepiej – odparła Stephanie.

– Lepiej? – powtórzył cicho Daniel. Nie miał pojęcia, o co jej chodzi, choć przypomniało mu to, że była dość milcząca przez całe popołudnie. Przypomniało mu to także o jej dość nietaktownej reakcji na propozycję Carol, by towarzyszyć jej w drodze, choć przyznał, że on sam na jej miejscu zareagowałby podobnie. Różnica polegała na tym, że w przeciwieństwie do niego Stephanie zazwyczaj dbała o uczucia innych. Nie uważał się za gburę czy chama, ale

po prostu nie przejmował się niczym. Ludzie musieli zrozumieć, że miał na głowie dużo ważniejsze sprawy niż konwenanse.

Zastanawiał się, czy nie pójść do barku, by wziąć coś do picia. Pod wieloma względami był to jeden z najbardziej nerwowych dni w jego życiu. Ostatecznie postanowił zostać. Nie mógł się doczekać, by powiedzieć Stephanie o Ashleyu. Piwo mogło poczekać. Ale Stephanie nie poruszyła się.

– Hej tam! – ryknął w końcu Daniel. – Wychodzisz czy nie?

Stephanie rozsunęła drzwi i para buchnęła na zewnątrz.

– Przepraszam. Czekasz, żeby wejść?

Daniel szybkimi ruchami odgonił parę od twarzy. Łazienka przypominała teraz łaźnię turecką.

– Nie, czekam, żeby z tobą porozmawiać.

– Może lepiej nie czekaj. Nie wiem, czy jestem w nastroju do rozmów.

Daniel poczuł, że ogarnia go gniew. Nie taką odpowiedź spodziewał się usłyszeć. Po wydarzeniach tego dnia potrzebował odrobinę wsparcia i zasługiwał na nie, co, jak sądził, nie było zbyt wielką zachcianką. Zerwał się gwałtownie, wyszedł z łazienki i zatrzasnął drzwi. Nalał sobie zimnego piwa i zamyślił się. Nie zamierzał się więcej denerwować. Opadł na kanapę i skupił się na swym piwie. Gdy owinięta w ręcznik Stephanie wynurzyła się z łazienki, zdążył już dojść do siebie.

– Ze sposobu, w jaki zatrzasnąłeś drzwi, domyślam się, że jesteś wściekły – odezwała się spokojnym głosem. Stała w drzwiach do sypialni. – Chcę ci tylko powiedzieć, że jestem wyczerpana psychicznie i fizycznie. Potrzebuję trochę snu. Wstaliśmy o piątej rano, żeby wszystkiego dopilnować.

– Ja też jestem zmęczony – odparł Daniel. – Chciałem cię tylko poinformować, że Ashley ma się znakomicie. Większość objawów choroby Parkinsona zdążyła już w tajemniczy sposób ustąpić.

– To miło – stwierdziła Stephanie. – Niestety, nie zmienia to faktu, że implantacja się nie powiodła.

– Może się jednak powiodła! – sprzeciwił się Daniel. – Mówię ci, że będziesz zdumiona. To zupełnie inny człowiek.

– Nie wątpię, że to inny człowiek. Niechcący wtłoczyliśmy mu do płata skroniowego chmurę neuronów dopaminergicznych, które nigdy nie powinny się tam znaleźć. Doświadczony neurochirurg jest przekonany, że Ashleya czeka teraz koszmarna padaczka skroniowa. Dla kogoś takiego jak on będzie to jeszcze gorsze niż choroba Parkinsona.

– Ale nie miał napadu od opuszczenia sali operacyjnej. Mówię ci, ma się doskonale.

– Jeszcze nie miał napadu.

– Jeśli coś się stanie, możemy poradzić sobie z tym tak, jak zaproponowałem doktorowi Nawazowi.

– Masz na myśli środek cytotoksyczny dołączony do przeciwciała monoklonalnego?

– Właśnie.

– Możesz to zrobić, jeśli masz ochotę i jeśli uda ci się nakłonić Ashleya, by poddał się tak ryzykownemu eksperymentowi, ale zajmiesz się tym sam. Ja nie wezmę w tym udziału. Nie wypróbowaliśmy tego nawet na hodowlach komórek, nie mówiąc już o zwierzętach, więc jest to bez porównania bardziej nieetyczne niż wszystko, co zrobiliśmy do tej pory.

Daniel wpatrywał się w Stephanie. Czuł, że znów ogarnia go rozdrażnienie.

– Po czyjej stronie właściwie jesteś? – zapytał ostro. – Postanowiliśmy, że wyleczymy Ashleya, by ocalić HTRS i CURE, i na Boga, osiągniemy to.

– Chcę wierzyć, że przechodzę na stronę kierującą się czymś innym niż tylko własnym interesem – odparła Stephanie. – Kiedy uświadomiliśmy sobie dzisiaj, że sala operacyjna nie jest wyposażona w niezbędny sprzęt rentgenowski, powinniśmy byli przerwać zabieg. Dla własnej korzyści igraliśmy z życiem drugiego człowieka. – Uniosła dłonie, kiedy ujrzała, że twarz Daniela czerwienieje, a jego usta otwierają się, by udzielić odpowiedzi. – Jeśli nie masz nic przeciwko, skończmy na tym – dodała. – Przepraszam, ale wplątaliśmy się w dokładnie taką dyskusję, jakiej dziś wieczorem nie jestem w stanie prowadzić. Mówiłam ci, że jestem wykończona. Może po przespanej nocy spojrzę na to inaczej. Kto wie?

– Świetnie! – prychnął Daniel i machnął dłonią. – Idź do łóżka!

– Przyjdziesz?

– Tak, może – rzucił gniewnie Daniel. Wstał i podszedł do barku. Potrzebował kolejnego piwa.

Daniel nie miał pojęcia, ile razy telefon zadzwonił, odkąd jego wyczerpany umysł włączył ów terkot w śniony właśnie koszmar. W śnie Daniel znów był studentem medycyny, a dzwonek telefonu wzbudzał w nim grozę. W tamtych czasach było to często wezwanie do nagłego przypadku, z którym z braku wiedzy nie umiał sobie poradzić.

Nim wreszcie otworzył oczy, zapadła cisza. Usiadł na łóżku i spojrzał na milczący teraz telefon na stoliku, zastanawiając się, czy istotnie dzwonił, czy może tylko mu się to śniło. Potem zdezorientowany rozejrzał się dookoła. Był w salonie, kompletnie ubrany. Wszystkie światła były zapalone. Po dwóch piwach zasnął jak zabity.

Drzwi sypialni stanęły otworem i pojawiła się w nich Stephanie w jedwabnej krótkiej piżamce. Mrużyła oczy i mrugała w jasnym świetle.

– Dzwoni Carol Manning – odezwała się głosem ochryplym od snu. – Jest zdenerwowana i chce z tobą rozmawiać.

– Och, nie! – jęknął z niepokojem Daniel. Spuścił nogi ze stolika. Wciąż miał na sobie nawet buty. Sięgnął przez całą długość kanapy i podniósł słuchawkę. Stephanie została w drzwiach, by słuchać rozmowy.

– Ashley zachowuje się dziwnie – rzuciła Carol do telefonu, gdy tylko Daniel się zgłosił.

– Co robi? – zapytał Daniel. Dawny studencki strach przed niekompetencją w obliczu nagłego wypadku powrócił potężną falą. Od tak wielu lat nie miał styczności z medycyną kliniczną, że zapomniał już większość tego, czego się niegdyś nauczył.

– Chodzi nie tyle o to, co robi, ile o to, na co się skarży. Proszę wybaczyć słownictwo, ale twierdzi, że czuje świńskie gówno. Powiedział mi pan, że gdyby czuł jakiś dziwny zapach, to może być ważne.

Daniel poczuł, że zamiera mu serce, a jego wcześniejszy optymizm ulatnia się bez śladu. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że Ashley ma aurę, zwiastującą nadejście kolejnego napadu skroniowego. Jednocześnie ostatnie resztki jego lekarskiej pewności siebie legły w gruzach, gdy dotarło do niego, że musi stawić czoło przypadkowi, który wedle przewidywań doktora Nawaza będzie jeszcze gorszy od poprzedniego.

– Czy zachowuje się agresywnie albo wyzywająco? – zapytał Daniel nerwowo. Gorączkowo rozglądał się po pokoju za czarną saszetką zawierającą środek uspokajający i strzykawki. Na szczęście dostrzegł ją na stole w przedpokoju.

– Wyzywająco to trochę za dużo powiedziane, ale jest rozdrażniony. Z drugiej strony był drażliwy przez cały ostatni rok.

– Dobrze, proszę zachować spokój! – powiedział Daniel, w równym stopniu na własny użytek, co dla Carol. – Będę u was za chwilę. – Spojrzał na zegarek. Było wpół do trzeciej w nocy.

– Nie jesteśmy w naszym pokoju – odparła Carol.

– Więc gdzie, u licha?

– W kasynie – przyznała Carol. – Ashley się uparł. Nic nie mogłam poradzić, choć próbowałam. Nie dzwoniłam, bo wiedziałam, że pan też nic nie mógłby zrobić. Kiedy on coś postanowi, to koniec. Przecież jest senatorem.

– Dobry Boże! – jęknął Daniel. Uderzył dłonią w czoło. – Próbowała pani go nakłonić, żeby wrócił do pokoju, kiedy poczuł świńską kupę?

– Wspomniałam o tym, ale kazał mi wyjść i wskoczyć do basenu z rekinami.

– W porządku! Gdzie dokładnie jesteście?

– Przy grupie automatów do gier, od strony oceanu, za stołami do ruletki.

– Zaraz schodzę. Musimy odprowadzić go do pokoju!

Daniel podniósł się na nogi i zerknął na Stephanie, ale ona zniknęła z powrotem w sypialni. Podbiegł i zajrzał do środka. Stephanie gorączkowo ścigała piżamę i wkładała ubranie.

– Zaczekaj! – zawołała. – Pójdę z tobą. Jeśli Ashley będzie miał napad podobny do tego, który miał w sali operacyjnej, będziesz potrzebował pomocy.

– Świetnie – odparł Daniel. – Gdzie jest telefon komórkowy?

Stephanie skinęła głową w stronę biurka, pospiesznie zapinając bluzkę.

– Weź go ze sobą! Gdzie są numery do Newhouse'a i Nawaza?

– Już je mam – odparła Stephanie, wciągając spodnie. – Są u mnie w kieszeni.

Daniel podbiegł do saszetki z lekami. Dla pewności rozpiął suwak. Widok fiolki i strzykawek dodał mu nieco otuchy. Teraz należało tylko wprowadzić lekarstwo w Ashleya, nim rozpęta się piekło.

Stephanie pojawiła się w drzwiach sypialni, szamocąc się z mokasynami i wpychając bluzkę w spodnie. Nim zdążyła podejść do Daniela, on otworzył już drzwi na korytarz. Razem popędzili w stronę wind.

Daniel przywołał windę, wziął od Stephanie telefon komórkowy, podał jej saszetkę z lekami i wybrał numer doktora Nawaza.

– No szybciej! – zawołał, gdy telefon dzwonił i dzwonił. Dokładnie wtedy gdy przyjechała winda, w słuchawce rozległ się zaspany głos doktora Nawaza.

– Tu doktor Lowell – powiedział Daniel. – Możemy zaraz stracić łączność. Właśnie wchodzę do windy. – Stephanie wcisnęła przycisk holu i drzwi zamknęły się. – Słyszysz mnie pan jeszcze?

– Bardzo słabo – odparł doktor Nawaz. – Co się stało?

– Ashley ma wężową aurę padaczkową – oświadczył Daniel. Obserwował wskaźnik pięt. Winda była podobno szybkiebieżna, ale numery zdawały się maleć z dręczącą powolnością.

– Kto to jest Ashley? – zapytał doktor Nawaz.

– Mam na myśli pana Smitha – poprawił się Daniel. Zerknął na Stephanie, która przewróciła oczami. Jej zdaniem był to kolejny drobny epizod w nieustającej i mało zabawnej komedii.

– Mogę być w klinice za jakieś dwadzieścia minut. Radzę, żeby pan zadzwonił do doktora Newhouse’a. Jak mówiłem wcześniej, podejrzewam, że ten napad będzie gorszy niż pierwszy, zważywszy zwłaszcza na to, gdzie trafiły te komórki. Moglibyśmy mieć ten sam zespół.

– Zadzwonię do doktora Newhouse’a, ale nie jesteśmy w klinice.

– A gdzie?

– W ośrodku Atlantis na Paradise Island. W tej chwili pacjent jest w kasynie, ale spróbujemy sprowadzić go z powrotem do pokoju, który jest zarejestrowany na nazwisko Carol Manning. To apartament Posejdon.

Nastąpiła cisza, trwająca przez kilka pięt.

– Jest tam pan jeszcze? – odezwał się Daniel do telefonu.

– Nie jestem pewien, czy wierzę własnym uszom. Ten człowiek jakieś dwanaście godzin temu miał kraniotomię. Co on, u diabła, robi w kasynie?

– To zbyt długa historia.

– Która jest godzina?

– Druga trzydzieści pięć. Wiem, że to kiepska wymówka, ale nie mieliśmy pojęcia, że

pan Smith pójdzie do kasyna, kiedy przywieźliśmy go tu z powrotem, a on jest wyjątkowo uparty i nie daje sobie nic wyperswadować.

– Czy były jakieś dalsze objawy poza aurą?

– Nie widziałem jeszcze pacjenta, ale nie sądzę.

– Lepiej wyprowadźcie go z tego kasyna. W przeciwnym razie może być cholerna scena.

– Właśnie jesteśmy w drodze.

– Przyjadę tak szybko, jak się da. Najpierw zajrzę do kasyna. Jeśli was tam nie będzie, pojedę do pokoju.

Daniel zakończył rozmowę, po czym wybrał numer doktora Newhouse'a. Podobnie jak w wypadku doktora Nawaza, telefon musiał dzwonić wiele razy, zanim został odebrany. Jednak w przeciwieństwie do doktora Nawaza doktor Newhouse odezwał się rześkim głosem, jak gdyby nie spał.

– Przepraszam, że sprawiam panu kłopot – powiedział Daniel. Drzwi windy otworzyły się na poziomie holu.

– Nic nie szkodzi. Często dyżuruję pod telefonem, więc jestem przyzwyczajony do wezwań w środku nocy. Jaki mamy problem?

Daniel wyjaśnił sytuację, jednocześnie biegnąc przez główny hol w stronę kasyna, które mieściło się w centrum potężnego kompleksu. Reakcja doktora Newhouse'a pod każdym względem przypominała reakcję doktora Nawaza. On także obiecał swój rychły przyjazd. Daniel rozłączył się i wymienił telefon na czarną szaszetkę z lekami.

Przy wejściu do kasyna Daniel i Stephanie zwolnili do szybkiego marszu. Lokal działał w najlepsze i mimo późnej pory panował tu większy ruch, niż którekolwiek z nich mogło się spodziewać. Ze swym grubym, czerwono-czarnym dywanem, wielkimi kryształowymi żyrandolami i elegancko ubranymi krupierami wewnątrz kasyna przedstawiało barwny widok. Daniel i Stephanie ruszyli naprzód przez tłum kłębiący się przy zgrupowanych na środku przestronnej sali stołach do ruletki. Nie potrzebowali wiele czasu, by odnaleźć opisany przez Carol zespół automatów do gry, a gdy tam dotarli, jeszcze krócej trwało, nim spostrzegli Ashleya. Carol stała tuż za nim i wyraźnie ucieszyła się z przybycia pomocy.

Ashley siedział przed jednym z automatów, ze sporą kupką monet na blacie. W dalszym ciągu ubrany był w swój groteskowy strój turysty. Na czole wciąż miał bandaż. Jego twarz, przy czerwonym blasku odbijającym się od dywanu, wydawała się mniej blada niż zwykle. Przy obu sąsiednich automatach nikogo nie było.

Ashley niezmordowanie wrzucał monety do maszyny w tempie, do jakiego z pewnością nie byłby zdolny dzień wcześniej. Ledwo tylko wewnętrzne kółka zdążyły się zatrzymać, kolejna moneta wpadała w szczelinę, czemu towarzyszyło szarpnięcie dźwigni. Senator patrzył jak zahipnotyzowany w rozmyte obrazy owoców.

Bez chwili wahania Daniel podszedł wprost do Ashleya i obrócił go, położywszy mu dłoń na lewym ramieniu.

– Panie senatorze! Jak miło pana widzieć!

Ashley spojrzał zezem w twarz Daniela. Oczy miał nieruchome, a źrenice rozszerzone. Jego zazwyczaj starannie uczesane włosy były zmierzwiłone, jak gdyby ktoś celowo je rozczochrał, aby nadać mu dziki wygląd.

– Zabieraj łapy, śmierdzieliu – warknął bez śladu swego normalnego akcentu.

Daniel natychmiast wykonał polecenie, wstrząśnięty i przerażony niezwykłą u senatora wulgarnością, która przypominała podobny wybuch w sali operacyjnej. Przede wszystkim nie chciał prowokować tego człowieka, co na pewno przyspieszyłoby rozwój objawów. Spojrzał w oczy Ashleya, które zdradzały jakby oderwanie od rzeczywistości, gdyż nie pojawił się w nich nawet ślad rozpoznania. Przez krótką chwilę obaj trwali w bezruchu. Daniel gorączkowo się zastanawiał, czy ma spróbować podać Ashleyowi lekarstwo na miejscu, postanowił jednak tego nie robić w obawie, że próba się nie powiedzie i pogorszy tylko sprawę.

– Carol mówiła mi, że czuł pan nieprzyjemny zapach – zauważył, nie wiedząc, co powiedzieć ani jak postępować dalej.

Ashley lekceważąco machnął dłonią, a potem skinął głową.

– To pewnie była tamta dziwka w tej seksownej, czerwonej sukience. Dlatego przeszedłem do tego automatu.

Daniel zerknął we wskazanym kierunku. Stała tam młoda kobieta w czerwonej, mocno wydekoltowanej sukience, ukazującej spory fragment biustu, zwłaszcza gdy jej właścicielka ciągnęła dźwignię automatu. Daniel ponownie odwrócił się do Ashleya, który tymczasem znów zajął się grą

– Więc nie czuje już pan tego zapachu?

– Tylko trochę, odkąd odsunąłem się od tej dziwki.

– Cóż, to świetnie – stwierdził Daniel, pozwalając sobie na promyk nadziei, że aura ustąpi bez dalszych skutków. Mimo wszystko chciał ściągnąć Ashleya z powrotem do apartamentu. Gdyby doszło do sceny w kasynie, niewątpliwie całą sprawę podchwyciłyby media.

– Panie senatorze, chciałbym panu coś pokazać w pańskim pokoju.

– Odpieprz się, jestem zajęty.

Daniel nerwowo przełknął ślinę. Promyk nadziei, który zbudził się w nim, zaczął gasnąć, gdy uświadomił sobie, że nastrój i zachowanie Ashleya już teraz są wyraźnie nienormalne, nawet jeśli jeszcze nie szokujące. Gorączkowo usiłował wymyślić coś, co skłoniłoby Ashleya do powrotu na górę, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

Nagle Carol pociągnęła go za rękaw i szepnęła mu coś do ucha. Wzruszył ramionami. Był gotów wypróbować każdy, choćby najbardziej absurdalny pomysł.

– Panie senatorze, w pokoju czeka na pana skrzynka bourbona.

Z zachęcającą szybkością Ashley puścił dźwignię automatu, odwrócił się i spojrzał na Daniela.

– O, panie doktorze, pan tutaj? – zapytał ze swym zwykłym akcentem.



– Cieszę się, że pana widzę, senatorze. Przyszedłem tu na dół, żeby powiedzieć panu o skrzynce bourbona, którą przysłano do pańskiego pokoju. Musi pan iść na górę i pokwitować odbiór.

Ku uldze Daniela Ashley natychmiast zsunął się z przyśrubowanego do podłogi przed automatem stołka i wstał. Zapewne dostał zawrotów głowy, gdyż zatoczył się lekko, nim złapał się skraju maszyny. Daniel dla asekuracji chwycił go za ramię tuż nad łokciem. Ashley zamrugał, spojrzał na niego i po raz pierwszy się uśmiechnął.

– Chodźmy, młody człowieku – powiedział. – Pokwitowanie skrzynki bourbona to godne zadanie dla tego starego prowincjusza. Carol, kochanie, dopilnuj mojego łupu, jeśli łaska!

Ściskając wciąż Ashleya za ramię, Daniel odprowadził go od automatów. Aby podziękować Carol za pomysł, na który sam nigdy by nie wpadł, mrugnął do niej, gdy ich oczy spotkały się przelotnie. Podczas gdy Carol szybko zgarniała monety, Daniel i Stephanie ruszyli wraz z senatorem przez salę wśród kłębiącego się tłumu graczy.

Wszystko przebiegało gładko, dopóki nie dotarli do wind, gdzie musieli przez chwilę czekać. Niczym słońce przesłonięte przez chmury, uśmiech Ashleya nagle zniknął, a w jego miejsce pojawił się grymas niezadowolenia. Daniel obserwował jego twarz i spostrzegł tę przemianę. Miał ochotę zapytać senatora, o czym on myśli, powstrzymał się jednak w obawie przed naruszeniem status quo. Intuicja podpowiadała mu, że jedynie cienka nić kontaktu z rzeczywistością utrzymuje umysł Ashleya na wodzy.

Nieszczęsnym trafem dwie pary, które Ashley dostrzegł ponad ramieniem Daniela, wsiadły za nimi do tej samej windy. Jedna z tych osób wcisnęła przycisk trzydziestego piętra. Daniel zaklął pod nosem. Miał nadzieję, że będą mieć windę tylko dla siebie, a napięcie wywołane obawą przed niekontrolowanym zachowaniem Ashleya w obecności nieznajomych sprawiło, że serce zaczęło walić mu jak młotem, na czoło zaś wystąpił pot. Zerknął na Stephanie, która wyglądała na równie przerażoną jak on sam. Spojrzał znów na Ashleya i zauważył, że senator wpatruje się wściekłym wzrokiem w czwórkę podchmielonych, hałaśliwych i zachowujących się prowokująco ludzi.

Daniel rozpiął saszetkę z lekami. Zerknął do środka na fiolkę i strzykawkę, zastanawiając się, czy nie powinien napełnić jednej z nich. Problem polegał na tym, że nieznajomi zauważyliby, co robi, i mogliby wpaść w popłoch.

– Co jest, tatuśku? – zapytała drwiąco jedna z kobiet, kiedy dostrzegła zaczepne, nieruchome spojrzenie Ashleya. – Jesteś zazdrosny, dziadku? Marzy ci się małe barabara?

– Pieprz się, suko! – warknął Ashley.

– Hej, tak się nie mówi do damy! – wypalił towarzysz kobiety. Odepchnął ją na bok i wyszedł naprzód, by stanąć twarzą w twarz z Ashleyem.

Niewiele myśląc, Daniel wcisnął się między dwóch mężczyzn. Czuł cuchnący czosnkiem i alkoholem oddech nieznajomego i wzrok Ashleya na tyle swej czaszki.

– Przepraszam za mojego pacjenta – oświadczył. – Jestem lekarzem, a ten pan jest chory.

– Będzie jeszcze bardziej chory, jeśli nie przeprosi mojej żony – zagroził mężczyzna. – Co mu dolega, brak piątej klepki? – Parsknął drwiącym śmiechem, wykręcając szyję, by lepiej przyjrzeć się Ashleyowi ponad ramieniem Daniela.

– Coś w tym rodzaju – przyznał Daniel.

– Dziwka! – krzyknął Ashley, wykonując wulgarny gest w stronę kobiety.

– No, tego już za wiele! – warknął mężczyzna. Wyciągnął rękę, by odsunąć Daniela, i jednocześnie zacisnął drugą dłoń w pięść.

Stephanie złapała go za ramię.

– Doktor mówi prawdę – zapewniła. – Ten pan nie jest w pełni sobą. Odprowadzamy go do pokoju, żeby dać mu lekarstwo.

Winda zatrzymała się na trzydziestym piętrze i drzwi się otworzyły.

– Może lepiej dalibyście mu nowy mózg – rzucił mężczyzna, gdy towarzysze ze śmiechem wyciągali go z windy. Wyszwolecił ramiona i gapił się wściekle na Ashleya, dopóki nie zamknęły się przed nim drzwi.

Daniel i Stephanie zerknęli nerwowo po sobie. Potencjalna katastrofa została zażegnana. Daniel spojrział na Ashleya, który cmokał wargami, jak gdyby ugryzł coś niesmacznego. Drzwi windy otworzyły się na trzydziestym drugim piętrze.

Carol i Daniel ujęli Ashleya za ramiona i wyprowadzili go z windy na korytarz. Nie opierał się, po prostu szedł jak automat. Przy drzwiach z syrenami Carol puściła go na krótką chwilę, by wyciągnąć kartę magnetyczną i podać ją Stephanie, która otworzyła drzwi. Daniel i Carol chcieli wprowadzić senatora do środka, ale on strząsnął ich ręce i sam tam wszedł.

– Bogu dzięki – westchnęła Stephanie, zamykając drzwi.

Żyrandol w przedpokoju się świecił, podobnie jak lampka na biurku w salonie, poza tym jednak apartament spowijał mrok. Zasłony oraz szklane tafle były rozsunięte i ukazywały rozgwieżdżone niebo, rozpościerające się ponad ciemnym morzem. Świeżo ścięte kwiaty na stoliku kołysały się lekko, poruszane nocną bryzą.

Ashley kroczył przed siebie. Kilka kroków od stolika zatrzymał się i zastygł w bezruchu ze wzrokiem zwróconym w stronę balkonu. Carol włączyła więcej lamp, które zalały pokój rześmistym światłem, po czym podeszła do senatora, żeby go posadzić.

Daniel wyrzucił zawartość saszetki na jedną z dwóch identycznych konsolek w przedpokoju. Zaczął się szarpać z opakowaniem strzykawki. Stephanie tymczasem zdjęła zakrętkę osłaniającą gumowy korek fiołki z lekarstwem.

– Jak to zrobisz, jeśli będzie się opierał? – szepnęła.

– Nie mam zielonego pojęcia – przyznał Daniel. – Mam nadzieję, że doktor Nawaz i doktor Newhouse wkrótce tu będą. – Rozerwał celofan zębami.

– Senator robi taką minę jak wtedy, kiedy czuł świńskie łajno – zawołała Carol z salonu.

– Niech pani spróbuje skłonić go, żeby usiadł – odkrzyknął Daniel. Wreszcie wydobył strzykawkę z opakowania i odrzucił papieraek na bok.

– Już próbowałam – odparła Carol. – Opiera się.

Z salonu dobiegł łomot przewracanych mebli. Daniel i Stephanie gwałtownie odwrócili głowy. Carol podnosiła się z podłogi – została pchnięta na jeden z niskich stolików i podczas upadku wyrzuciła stojącą na nim ceramiczną lampę, która roztrzaskała się na tysiąc kawałków. Ashley zrywał z siebie ubranie i rozrzucał je po pokoju.

– O Boże! – krzyknął Daniel. – Senator wpada w szal! – Chwycił jeden z wacików z alkoholem i rozerwał opakowanie, ale kiedy wyjął wacik ze środka, upuścił go. Złapał następny.

– Pomóc ci? – zapytała Stephanie.

– Wszystko leci mi z rąk – przyznał Daniel. Wyciągnął wacik i przetarł gumową zatyczkę fiolki z lekiem. Nim jednak zdążył wprowadzić igłę, Ashley wydał przeraźliwy wrzask. Zdjęty paniką Daniel wcisnął fiolkę i strzykawkę w ręce Stephanie i rzucił się do pokoju, by sprawdzić, co się dzieje. Carol stała za jedną z kanap, zasłaniając sobie twarz dłońmi. Ashley tkwił wciąż w tym samym miejscu, jednak był już zupełnie nagi, jeśli nie liczyć czarnych skarpetek do połowy łydki. Stał lekko przygarbiony i wpatrywał się w uniesione ku twarzy dłonie.

– Co się stało? – zawołał Daniel, podchodząc bliżej.

– Moje dłonie krwawią – powiedział Ashley ze zgrozą. Dygotał. Powoli opuścił drżące ręce, rozstawiając szeroko palce.

Daniel przyjrzał się jego dłoniom, po czym spojrzał mu w twarz.

– Pańskie dłonie są w porządku, senatorze. Niech się pan uspokoi. Wszystko będzie dobrze. Może pan usiądzie? Mamy dla pana lekarstwo, które przyniesie panu ulgę.

– To smutne, że nie widzisz ran na moich dłoniach – rzucił Ashley. – Może zauważysz je chociaż na moich stopach.

Daniel spojrzał w dół i znów uniósł wzrok.

– Ma pan skarpetki, ale pańskie stopy wyglądają normalnie. Proszę usiąść na kanapie. – Wyciągnął rękę, by ująć go za ramię, lecz nim zdążył to zrobić, Ashley uderzył go dłońmi w pierś. Kompletnie zaskoczony Daniel zatoczył się na stół i upadł plecami na blat, rozbijając przy tym wazon. Woda i ścięte kwiaty chlusnęły na grubego dywan. Daniel stoczył się z blatu i runął plackiem między stół a jedną z kanap. Carol krzyknęła przeraźliwie.

Nie zważając na nic, Ashley ominął stół z drugiej strony i wybiegł na balkon. Na progu zatrzymał się gwałtownie i rozłożył ręce na boki ze zwróconymi ku górze dłońmi. Nocna bryza od oceanu poruszała jego rozczochrane włosy.

– Rany boskie! On jest na balkonie! – krzyknęła Stephanie, przyciskając do piersi strzykawkę, wacik z alkoholem i fiolkę.

Krzywiąc się z bólu w plecach po zderzeniu z wazonem, Daniel z wysiłkiem podniósł się na nogi. Wybiegł na balkon i ominął Ashleya, by stanąć pomiędzy nim a balustradą.

– Panie senatorze! – ryknął z uniesionymi dłońmi. – Proszę wrócić do pokoju!

Ashley ani drgnął. Oczy miał zamknięte, a na jego twarzy zamiast wcześniejszego przerażenia malował się głęboki spokój.

Daniel pstryknął palcami, by przyciągnąć uwagę Stephanie, która ze skonsternowaną miną przystanąła w drzwiach salonu.

– Czy strzykawka jest napełniona? – zapytał, nie odrywając oczu od Ashleya.

– Nie!

– Napełnij ją natychmiast!

– Ile?

– Dwa centymetry szczęście. Szybko!

Stephanie wciągnęła płyn, schowała fiolkę do kieszeni i postukała w strzykawkę paznokciem, by usunąć bąbelki powietrza. Pobiegła na balkon i podała strzykawkę Danielowi. Spojrzała na łagodną twarz Ashleya. Mężczyzna wyglądał jak posąg. Nie poruszał się. Zdawało się, że nawet nie oddycha.

– Wygląda, jakby skamieniał – zauważyła.

– Nie wiem, czy próbować to podać dożylnie, czy tylko domięśniowo – powiedział Daniel. Zrobił krok naprzód, wciąż jeszcze niezdecydowany, co robić, gdy nagle Ashley otworzył oczy i bez najmniejszego ostrzeżenia rzucił się naprzód. W odpowiedzi Daniel objął ramionami klatkę piersiową Ashleya, jednocześnie próbując zaprzeć się na kafelkach podłogi. Ale było to jak próba powstrzymania szarżującego byka. Buty Daniela przejechały po ceramicznej posadzce i kiedy dwaj mężczyźni zderzyli się z balustradą, z rozpędu przekoziółkowali i runęli w ciemność.

– Nie! – wrzasnęła Stephanie, biegnąc do poręczy i spoglądając w dół. Zdjęta zgrozą ujrzała, jak Ashley i Daniel, spleceni w uścisku, spadają wolno niczym lecąca w otchłań para kochanków. Chwilę później odwróciła wzrok, ogarnięta falą mdłości osunęła się na podłogę i oparła plecami o chłodną kamienną balustradę.

## **Epilog**

### **6.15, poniedziałek, 25 marca 2002**

Nikłe rozjaśnienie nieba, pół godziny wcześniej niemal niedostrzegalne, było już wyraźne. Gwiazdy zbladły, a na ich miejscu zjawiała się łagodna, różowa poświata, zwiastująca bliski wschód słońca. Nocna bryza ucichła. Nawet tu, trzydzieści dwa piętra nad ziemią, słychać było niezmordowany świergot ptaków.

Stephanie i Carol siedziały na ustawionych vis-à-vis kanapach w salonie apartamentu zbliżonego rozmiarami do Posejdona, lecz nie tak luksusowego. Siedziały tak od kilku godzin, bez ruchu i bez słowa, niemal w stanie katatonii po wstrząsie psychicznym wywołanym przez tragiczne salto Ashleya i Daniela przez balustradę balkonu. Carol jako pierwsza zareagowała na to wydarzenie. Podbiegła do telefonu i oznajmiła telefonistce, że dwóch ludzi spadło z balkonu apartamentu Posejdon.

Roztrzęsiony głos Carol zmobilizował Stephanie do podniesienia się z podłogi. Nie spojrzała już w dół, ale rzuciła się do drzwi i popędziła przed siebie korytarzem. Gdy zadyszana czekała na windę, dołączyła do niej Carol. W windzie żadna z nich nie odezwała się słowem, jedynie wpatrywały się w siebie nawzajem, nie mogąc uwierzyć w to, czego były świadkami. Obie łudziły się nadzieją na cud. Wszystko to stało się tak szybko, że zdawało się nierealne.

Winda zwiozła je na poziom Wykopalisk. By dostać się stąd na chodnik przed kompleksem hotelowym, musiały przebiec obok potężnych, podświetlonych akwariów, wypełnionych wszelkimi rodzajami morskich stworzeń, oraz fantazyjnych ruin mitycznej Atlantydy. Obie domyślały się, że istnieje krótsza droga, ale to była jedyna trasa, jaką знаła Carol, a czas był sprawą najwyższej wagi.

Po wyjściu w noc skrzyły w lewo i ominęły podświetlony podwodnymi reflektorami basen Royal Baths Pool. Kiedy dotarły do węższego, słabiej oświetlonego pasażu, musiały zwolnić. Przeszły przez most nad Laguną Ogonczy, by wyjść wreszcie na pogrążony w mroku, starannie utrzymany teren u stóp zachodniego skrzydła Royal Towers. Obie były

zdyszane.

Oddział ochrony hotelowej sprawnie zareagował na alarm wszczęty przez Carol i przybył już na miejsce. Kilku ochroniarzy zajętych było odgradzaniem terenu żółtą taśmą ostrzegawczą, którą rozciągali między palmami. Potężny czarnoskóry Bahamczyk w ciemnym garniturze wynurzył się z ciemności i zatrzymał kobiety.

– Przepraszam – powiedział, kiedy zagroził im drogę, jak również widok. – Doszło do wypadku.

– Mieszkamy z ofiarami – rzuciła Stephanie, usiłując dojrzeć cokolwiek za barczystym mężczyzną.

– Przykro mi, ale mimo wszystko byłoby lepiej, żeby zostały panie tutaj – stwierdził ochroniarz. – Karetki są w drodze.

– Karetki? – powtórzyła Stephanie, desperacko trzymając się promyka nadziei.

– I policja – dodał mężczyzna.

– Czy nic im nie jest? – zapytała z wahaniem Stephanie. – Czy oni żyją? Musimy ich zobaczyć!

– Proszę pani – zaczął łagodnie ochroniarz – ci ludzie spadli z trzydziestego drugiego piętra. To nie jest piękny widok.

Przyjechały karetki, by zabrać ciała. Przybyła również policja i przeprowadziła wstępne dochodzenie. Znalaziono strzykawkę, co w pierwszej chwili wywołało sensację, dopóki Stephanie nie wyjaśniła, że było to lekarstwo przepisane przez miejscowego lekarza. Potwierdzili to doktorzy Nawaz i Newhouse, którzy pojawili się wkrótce po tragedii. Policjanci udali się wraz z kobietami i lekarzami na górę do apartamentu Posejdon, by obejrzeć balkon i balustradę.

Następnie główny inspektor skonfiskował paszporty kobiet i oświadczył im, że będą musiały pozostać na Bahamach, dopóki wszystko nie zostanie wyjaśnione. Kazał też zapieczętować apartament Posejdon i apartament Stephanie dla dalszego śledztwa.

Kierownik nocnej zmiany hotelowej był wzorem opanowania, skuteczności i współczucia. Natychmiast i bez zbędnych pytań przydzielił kobietom apartament we wschodnim skrzydle Royal Towers, gdzie teraz właśnie siedziały. Zaopatrzył je też we wszelkiego rodzaju artykuły osobiste, by złagodzić tymczasową niemożność używania własnych przyborów. Doktor Nawaz i doktor Newhouse towarzyszyli im przez pewien czas. Doktor Newhouse zostawił im środek uspokajający, który mogły zażyć, gdyby czuły taką potrzebę. Żadna tego nie zrobiła. Małe plastikowe pudełko spoczywało nietknięte na stoliku.

Myśli Stephanie krążyły bez ustanku wokół całej historii, począwszy od owej deszczowej nocy w Waszyngtonie aż do niedawnej tragedii. Z perspektywy czasu trudno jej było uwierzyć, że oboje z Danielem pozwolili wciągnąć się w tak ryzykowny interes. Jeszcze dziwniejsza była ich niezdolność uświadomienia sobie własnego szaleństwa, mimo licznych komplikacji, które powinny były otworzyć im oczy na fakt, że ich decyzje są skażone

poważnym błędem. Doprawdy pomieszali ze sobą cele i środki. To, że ona sama kwestionowała niekiedy słusność ich poczynań było niewielką pociechą, gdyż nigdy nie działała zgodnie ze swą intuicją.

W końcu Stephanie zdjęła nogi ze stolika i usiadła prosto. Miała już dość introspekcji. Zesztywniała od siedzenia w bezruchu. Wyciągnęła przed siebie ręce ze splecionymi dłońmi. Przebiegła palcami po włosach, zaczerpnęła tchu i głośno wypuściła powietrze. Spojrzała na Carol.

– Pewnie jest pani wyczerpana – zauważyła. – Ja spałam przynajmniej kilka godzin.

– Choć może zabrzmie to dziwnie, nie jestem – odparła Carol. Za przykładem Stephanie także się przeciągnęła. – Czuję się, jakbym wypijała dziesięć filiżanek kawy. Nie mogę przestać myśleć o tym, jak absurdalna była cała ta historia, od tamtego pamiętnego spotkania w moim samochodzie aż do dzisiejszej katastrofy.

– Była pani temu przeciwna? – zapytała Stephanie.

– Oczywiście! Próbowałam wyperswadować to Ashleyowi od samego początku.

– Jestem zaskoczona.

– Dlaczego?

Stephanie wzruszyła ramionami.

– Właściwie nie wiem, ale chyba dlatego, że to oznacza, że pani i ja miałyśmy podobne odczucia. Ja również byłam temu przeciwna i próbowałam odwieść Daniela od tego pomysłu, ale niestety nie dość stanowczo.

– Najwyraźniej obu nam pisana była rola Kasandry – stwierdziła Carol. – To chyba dość stosowne, skoro cała sprawa okazała się grecką tragedią.

– Jak to?

Zmęczona Carol parsknęła krótkim śmiechem.

– Proszę nie zwracać na mnie uwagi. Studiowałam literaturę i czasami daję się ponieść metaforom.

– Zaciekało mnie to – przyznała Stephanie. – Co to miało wspólnego z grecką tragedią? Carol milczała przez chwilę, zbierając myśli.

– Chodzi o charakter bohaterów – wyjaśniła. – Była to historia dwóch tytanów, we własnych, odrębnych dziedzinach, a jednak dziwnie podobnych w swej nieposkromionej pysze, którzy osiągnęli wielkość, tyle że skażoną tragicznymi wadami. U senatora Butlera była to żądza władzy, która przeistoczyła się ze środka w cel, a następnie w cel sam w sobie. U doktora Lowella, jak sądzę, było to pragnienie korzyści materialnych i sławy odpowiedniej, jego zdaniem, do jego inteligencji i dokonań. Gdy ci dwaj ludzie zetknęli się ze sobą i postanowili wykorzystać się nawzajem do swych własnych celów, te tragiczne wady doprowadziły ich do dosłownego upadku.

Stephanie spojrzała na Carol. Zawsze uważała tę zamkniętą w sobie kobietę za bezbarwną, dość nudną, pozostającą w cieniu swego szefa podwładną. Nagle ujrzała ją w

innym świetle i sama poczuła się o wiele mniej inteligentna i mniej wykształcona, niż sądziła dotychczas.

– Na czym polega rola Kasandry?

– W greckiej mitologii Kasandra była obdarzona darem wieszczania, ale przekleństwo sprawiło, że nikt nie wierzył w jej przepowiednie.

– To ciekawe – stwierdziła bez przekonania Stephanie. – W pewnym momencie droczyłam się z Danielem, że jest podobny do Ashleya.

– Pod pewnymi względami był do niego podobny. Ale niech mi pani powie, jak zareagował doktor Lowell na te uwagi?

– Rozgniewał się.

– Nie jestem zaskoczona. Reakcja senatora Butlera wyglądałaby tak samo, gdybym miała odwagę powiedzieć mu coś podobnego. Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że oni podziwiali się nawzajem, pogardzali sobą i zazdrościli jeden drugiemu, wszystko jednocześnie. Byli rywalami w spaczonym męskim stylu.

– Być może – zgodziła się Stephanie, kiedy przemyślała tę sprawę. Nie wierzyła w to, by Daniel podziwiał cokolwiek w Ashleyu Butlerze, wiedziała jednak, że jej intelekt nie jest w tej chwili w najlepszej formie. – Jest pani głodna? – zapytała, by zmienić temat.

Carol pokręciła głową.

– Ani trochę.

– Ja też nie – przyznała Stephanie. Była wyczerpana, ale zdawała sobie sprawę, że nie zdołałaby zasnąć. Potrzebowała kontaktu z ludźmi i rozmowy, która nie pozwoliłaby jej wciąż na nowo wracać myślami do tych samych kwestii. – Co ma pani zamiar robić, kiedy dochodzenie się skończy i będziemy mogły wreszcie opuścić Bahamy?

– Nie jestem pewna, czy będzie jakieś dochodzenie, a jeśli nawet będzie, to szybkie, pro forma i za zamkniętymi drzwiami.

– Doprawdy? Dlaczego tak pani twierdzi?

– Ashley Butler był wpływowym senatorem w Kongresie z niewielką większością. Rząd Stanów Zjednoczonych włączy się w tę sprawę bezpośrednio i aktywnie na wysokim szczeblu. Myślę, że wszystko zostanie rozwiązane bardzo, bardzo szybko, ponieważ będzie to leżało we wspólnym interesie. Sądzę nawet, że pojawią się naciski, by, o ile to możliwe, utrzymać tę aferę w tajemnicy przed mediami.

– Rany boskie! – mruknęła Stephanie na myśl o tym scenariuszu. Nie przyszło jej do głowy, że wydarzenia mogą przybrać taki obrót. W gruncie rzeczy oczyma wyobraźni widziała już nagłówki w „The Boston Globe” jako ostatni cios dla CURE. Jednak nie wzięła pod uwagę politycznych konsekwencji sławy Ashleya.

– Co do mnie – ciągnęła Carol – mam zamiar wrócić do domu i umówić się na spotkanie z gubernatorem. Musi wyznaczyć następcę na fotel senatora Butlera, a ja postaram się dowieść, że mam najwyższe kwalifikacje, żeby go przejąć. Jeśli do tego nie dojdzie lub nawet



jeśli dojdzie, zacznę przygotowania do startu w następnych wyborach.

– Jak pani myśli, co się stanie z projektem ustawy S. 1103?

– Bez senatora Butlera prawdopodobnie po prostu upadnie – odparła Carol. – Pani troska powinna skupić się na drugiej stronie sali, gdzie skrajnie prawicowi republikanie mogą podnieść sztandar.

– Tego właśnie obawialiśmy się od początku – przyznała Stephanie. – Byliśmy zaskoczeni, kiedy zaatakował nas pani szef.

– Nie powinniście byli. To jedna z tych populistycznych kwestii, jakich zawsze bronił. W ten właśnie sposób zapewniał sobie zaplecze polityczne. Przypuszczam, że jego hipokryzja w stosunku do procedury doktora Lowella nie uszła pani uwagi.

– Bynajmniej.

– A co z panią? – zapytała Carol. – Co ma pani zamiar zrobić po wyjeździe z Nassau?

Stephanie zastanowiła się przez chwilę.

– Najpierw muszę uregulować sprawę z moim bratem. To długa historia, ale nasze stosunki są jeszcze jedną ofiarą tej żalostnej afery. Potem pewnie zajmę się ratowaniem CURE. Nie brałam pod uwagę tej możliwości, dopóki nie napomknęła pani, że ta nieszczęsna historia może nie trafić do mediów i że projekt ustawy S. 1103 może przepaść w komisji. Nie mam specjalnej smykałki do interesów, ale chyba spróbuję. Sądzę, że tego właśnie chciałby Daniel, zwłaszcza jeśli umożliwi to ludziom korzystanie z dobrodziejstw HTRS.

– Cóż, muszę powiedzieć, że zaczęłam wierzyć w procedurę doktora Lowella, jak również w klonowanie terapeutyczne. Wiem, że podczas implantacji u senatora Butlera wystąpił pewien problem techniczny, ale nie ulega wątpliwości, że zabieg w cudowny sposób usunął objawy choroby Parkinsona.

– Ten natychmiastowy efekt pozytywny zaskoczył nas – przyznała Stephanie. – U naszych myszy nigdy nie obserwowaliśmy tak szybkiej poprawy. Dlaczego do tego doszło u Ashleya, nie potrafię wyjaśnić, ale jestem pewna, że gdyby implantacja przebiegła tak, jak powinna, w odpowiednio wyposażonej placówce medycznej w Stanach, senator zostałby wyleczony, jeśli nie całkowicie, to w każdym razie w znacznym stopniu.

– Byłam pod wrażeniem – przyznała Carol.

– Nawet pomimo tej tragedii dowodzi to, jak obiecująca jest ta technika. Jestem przekonana, że jest to przyszłość medycyny w walce z mnóstwem chorób, pod warunkiem że garstka polityków nie zdoła zamknąć Amerykanom dostępu do niej dla własnych, egoistycznych celów.

– Cóż, mam nadzieję, że będę miała szansę temu zapobiec – odparła Carol. – Jeśli uda mi się uzyskać fotel Ashleya Butlera, uczynię to swoją misją.

## **Od autora**

Uważam swoje powieści za „fakcję”. Neologizm ten oznacza, że fakt i fikcja są splecione ze sobą do tego stopnia, iż często trudno jest wskazać, gdzie przebiega między nimi granica. Jak się to ma do Napadu? Oczywiście wszystkie postacie są fikcyjne, podobnie jak fabuła. Niestety, również procedura HTRS nie należy jeszcze do arsenału biomedycyny. Ale niemal cała reszta opiera się na faktach, w tym także partie dotyczące Całunu Turyńskiego, z którego plam krwi istotnie wyizolowano konkretne geny. Muszę przyznać, że, podobnie jak Daniel i Stephanie, zacząłem się fascynować całunem. Źródło, które cytuję Stephanie, jest również autentyczne i osobom zainteresowanym dalszym zgłębianiem tematu polecam je jako pierwszą lekturę.

Faktem jest też, że spora liczba amerykańskich polityków zaangażowała się w debatę na temat biotechnologii, dziedziny, w której tempo odkryć stało się geometryczne. Istotnie wygląda na to, że dwudziesty pierwszy wiek będzie należał do biologii, tak jak wiek dwudziesty należał do fizyki, a dziewiętnasty do chemii. Niestety, moim zdaniem, niektórzy z polityków, jak mój fikcyjny senator Ashley Butler, włączyli się w tę debatę bardziej z demagogicznych względów niż jako prawdziwi, troszczący się o dobro publiczne przywódcy. A nawet ci politycy, którzy dążą do zakazania w Stanach Zjednoczonych tych przyszłościowych technik terapeutycznych z, jak wierzą, uzasadnionych względów moralnych, nie zawahaliby się zapewne przed wyprawą do innego kraju, gdzie takie terapie są legalne, gdyby oni sami lub członkowie ich rodzin zostali dotknięci chorobą, na którą stanowią one ratunek.

W scenie rozgrywającej się w sali posiedzeń Kongresu (rozdział drugi) senator Ashley Butler ukazuje swoje prawdziwe oblicze, grając na powszechnych obawach przed hodowlą ludzkich zarodków i atawistycznym mitem Frankensteina. Senator nie chce także dostrzec różnicy między klonowaniem reprodukcyjnym (klonowaniem ludzi, co do którego istnieje niemal powszechny sprzeciw) a klonowaniem terapeutycznym (klonowaniem komórek danej osoby w celu jej wyleczenia). Senator Butler, tak jak inni przeciwnicy badań nad komórkami macierzystymi i klonowaniem terapeutycznym, wskazuje na to, że procedura ta wymaga

kawałkowania embrionów. Jak Daniel, z niewielkim skutkiem, stara się wykazać, jest to nieprawda. W klonowaniu terapeutycznym komórki macierzyste pozyskiwane są na etapie blastocysty na długo przed rozpoczęciem formowania się zarodka. Tak naprawdę w procesie klonowania terapeutycznego nigdy nie dopuszcza się do powstania zarodka i nic nigdy nie jest wprowadzane do macicy.

Większość moich czytelników zauważyła już, że u podstaw moich thrillerów medycznych leżą ważne kwestie socjologiczne. Napad nie jest pod tym względem wyjątkiem i oczywiście sednem sprawy jest tu pożałowania godna kolizja polityki i gwałtownie rozwijającej się biotechnologii. Ale czym innym jest wykorzystać pouczającą powiastkę dla nakreślenia problemu, a czym innym zaproponować rozwiązanie. Tym niemniej Daniel wskazuje pewną drogę i życzyłbym sobie, żeby nasz kraj nią podążył. Jak Daniel mówi w rozdziale szóstym: „Zapożyczyliśmy [chodzi o Stany Zjednoczone] wiele z naszych wyobrażeń o prawach jednostki, sposobie rządzenia, i oczywiście nasze prawo zwyczajowe, z Anglii. Dlaczego nie możemy wzorować się na Anglii także jeśli chodzi o podejście do etyki biotechnologii reprodukcyjnej?”

W odpowiedzi na nierzadko trudne i niepokojące kwestie etyczne wiążące się z badaniami nad ludzką genetyką reprodukcyjną i molekularną, podkreślone przez narodziny w roku 1978 pierwszego na świecie dziecka poczętego drogą zapłodnienia *in vitro*, parlament brytyjski w swej mądrości powołał do istnienia Urząd do spraw Zapłodnienia i Embriologii Człowieka (Human Fertilisation and Embryology Authority, HFEA), który działa od roku 1991. Instytucja ta, pośród innych swych funkcji, wydaje zezwolenia klinikom niepłodności i sprawuje nadzór nad ich działalnością (czego brakuje w USA), jak również zaleca parlamentowi politykę w stosunku do badań i technik reprodukcyjnych. Co dość ciekawe, przewodniczący, wiceprzewodniczący i co najmniej połowa ogółu członków ustawowo nie może być ani lekarzami, ani naukowcami zajmującymi się techniką reprodukcyjną. Zmierzam do tego, że Anglicy zdołali utworzyć prawdziwie reprezentatywny organ, którego członkowie odzwierciedlają szeroki zakres interesów ogółu społeczeństwa i który może dyskutować nad właściwymi sobie zagadnieniami w apolitycznym środowisku. Co godne uwagi, HFEA wydał w roku 1998 raport, wprowadzający wyraźne rozróżnienie między klonowaniem reprodukcyjnym, które uznano za nielegalne, oraz klonowaniem terapeutycznym, które przedstawiono jako obiecujące w leczeniu poważnych schorzeń.

Fakt, że biotechnologia ogólnie, a biotechnologia reprodukcyjna w szczególności, rozwijają się w tak szybkim tempie, nasuwa wniosek, że dziedzina ta wymaga pewnej formy nadzoru. Nie ulega wątpliwości, że w pełni nieskrępowana biotechnologia może stanowić zagrożenie dla ludzkiej godności, jeśli nie dla naszej tożsamości, jak oświadczył doktor Leon Kass, obecny przewodniczący Prezydenckiej Rady do spraw Bioetyki. Ale stronnicza polityka nie jest odpowiednią areną dla szukania rozwiązań tego problemu. W takich warunkach wszelkie komisje nieuchronnie zapełnią się przedstawicielami określonych orientacji

politycznych.

Wierzę, że gdyby Kongres Stanów Zjednoczonych utworzył, na wzór angielskiego HFEA, obiektywną stałą komisję doradczą, wyszłoby to amerykańskiemu społeczeństwu na dobre. Nie tylko można by w inteligentny i demokratyczny sposób rozwiązać trwającą obecnie debatę na temat klonowania terapeutycznego (co do klonowania reprodukcyjnego już teraz panuje powszechna zgoda), ale i można by sprawować odpowiedni nadzór nad klinikami niepłodności. Niewykluczone nawet, że pokrewna tym zagadnieniom kwestia aborcji zostałaby uwolniona od treści politycznych, ku korzyści nas wszystkich.

**Robin Cook, lek. med.**

**12 marca 2003**

**Naples, Floryda**